JAROSLAW WOJTCZAK

# Jak zdobyto DZIKI ZACHÓD

Prawdziwa historia amerykańskiego Pogranicza

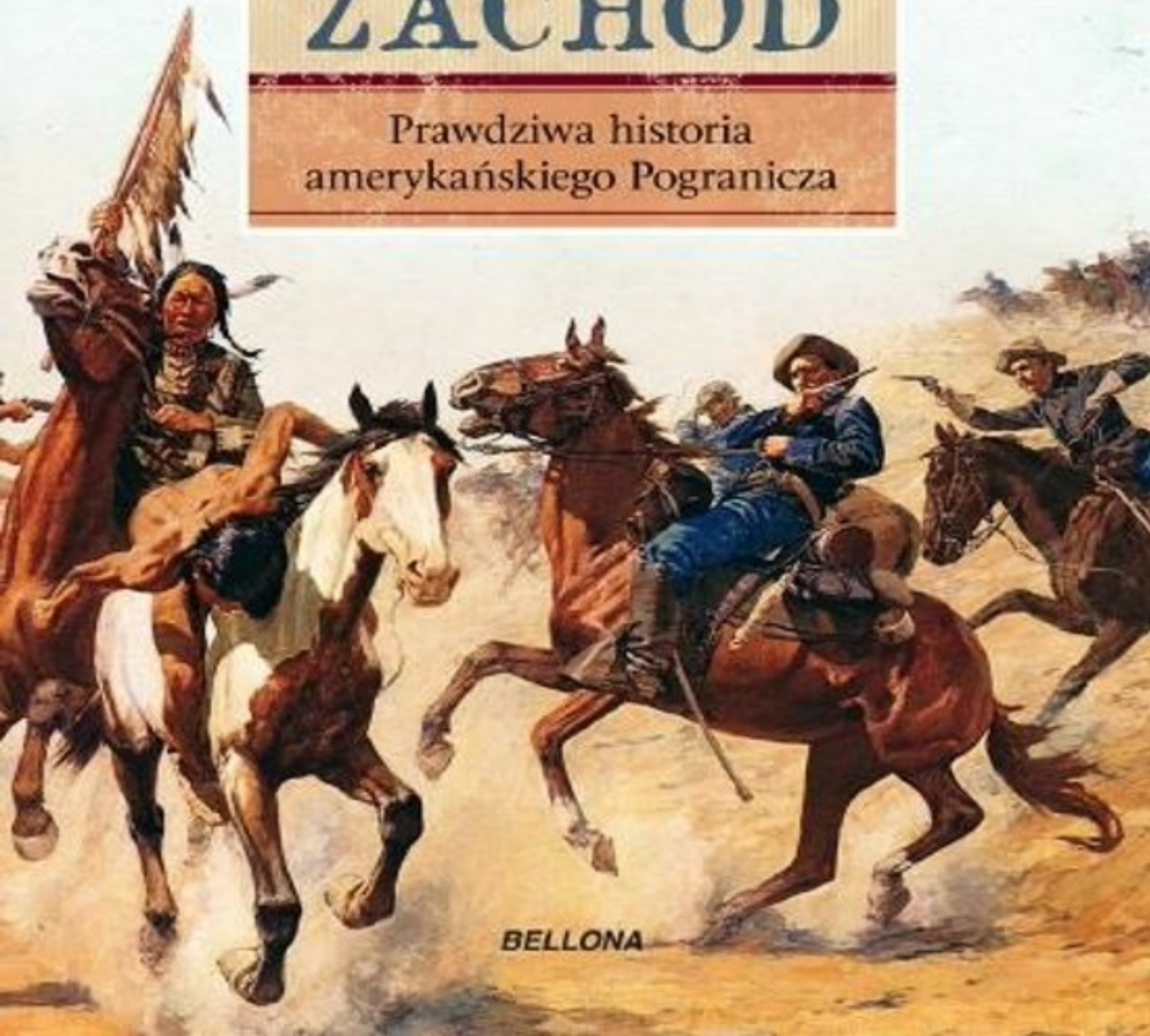

BELLONA

JAROSŁAW WOJTCZAK

# Jak zdobyto DZIKI ZACHÓD

Prawdziwa historia amerykańskiego Pogranicza

**BELLONA**
Warszawa

Projekt okładki i stron tytułowych
*Radosław Krawczyk*

Redaktor merytoryczny i korekta
*Ewa Piotrkiewicz-Karmowska*

Redaktor prowadzący
*Zofia Gawryś*

Redaktor techniczny
*Beata Jankowska*

Copyright © by Bellona Spółka Akcyjna,
Warszawa 2016–2017

Copyright © by Jarosław Wojtczak,
Warszawa 2016

Zapraszamy na strony:
www.bellona.pl, www.ksiegarnia.bellona.pl

Dołącz do nas na Facebooku:
www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona

Nasz adres: Bellona Spółka Akcyjna
ul. Bema 87, 01-233 Warszawa
Dział wysyłki: tel. 22 457 03 02, 22 457 03 06, 22 457 03 78
faks: 22 652 27 01
e-mail; biuro@bellona.pl

**ISBN 978-83-11-14079-0**

Nr 11090

# Spis treści

**Rozdział I.** Poszukiwacze ścieżek

**Rozdział II.** Wielcy odkrywcy kontynentu amerykańskiego
- Wyprawa Lewisa i Clarka
- Zebulon Pike odkrywca czy fartowny szpieg?

**Rozdział III.** Traperzy, górscy wędrowcy i dżentelmeni zachodu

**Rozdział IV.** Pionierzy
- Wędrowiec na szlaku
- Wyzwania na szlaku
- Kobiety ruszają na Zachód
- Misjonarze i „czarne suknie”
- Migracja mormonów

**Rozdział V.** Stan samotnej gwiazdy i republika niedźwiedziej flagi
- Alamo - „ołtarz Teksasu”
- Rewolta Niedźwiedziej Flagi

**Rozdział VI.** Wielka gorączka złota
- Kalifornijska bonanza
- Gorączka złota w Pike’s Peak
- Poszukiwacze złota, rozkwitające miasta i dziedzictwo wielkiej gorączki złota

**Rozdział VII.** Kowboje, wielkie stada bydła i farmerzy
- Poganiacze i „królowie bydła”
- Era farmerów

**Rozdział VIII.** Ujarzmienie zachodu
- Dyliżansem przez prerię
- Poczta konna Pony Express
- „Żelazny koń” w biegu przez kontynent

**Rozdział IX.** Biały człowiek przeciwko czerwonemu
- Problem indiański po rewolucji amerykańskiej
- Szlak łez Czirokezów
- Ostatnia wojna wschodnich Indian

Fikcja „indiańskiej granicy”
Indiańska tragedia
Masakra Grattana
Mocne czary „długich noży”
Wojna Siuksów w Minnesocie
Masakra nad Sand Creek
Wojna Czerwonej Chmury
W obronie ziemi przodków
Wojna o Czarne Wzgórza
Ostatni wolni Indianie

**Rozdział X.** Koniec epoki dzikiego zachodu
Nadejście nowych czasów
Rządy rewolwera
Mity i legendy
Romantyczny Dziki Zachód

**Cyrk Buffalo Billa**

**Bibliografia**

## Rozdział I

# Poszukiwacze ścieżek

Wiosną 1799 roku Daniel Boone, słynny traper i pionier amerykańskiego Pogranicza, ściął drzewo żółtego tulipanowca i rozpoczął budowę osiemnastometrowej łodzi. Wyzuty ze swej ziemi w Kentucky, nękany przez sąd i wierzycieli, wielki wędrowiec w pośpiechu czynił przygotowania do podróży, która miała go zaprowadzić rzeką Ohio do St. Louis w odległej krainie Missouri**[**[1]**]**. „Staruszko – rzekł ponoć pewnego dnia do swej żony Rebeki – musimy stąd iść, bo tu robi się dla nas za tłoczno”.

We wrześniu spakował swój dobytek, załadował rodzinę na łódź i wyruszył w dół Ohio, zostawiając za sobą Kentucky – kraj, w którym żył i o który walczył przez ostatnie trzydzieści lat. Od granicy, którą wielką brunatną linią wyznaczała rzeka Missisipi, odgradzająca młode państwo amerykańskie od położonych na zachodzie posiadłości Francji i Hiszpanii, dzieliło go tysiąc kilometrów. Stary wędrowiec pokonał całą tę odległość pieszo, idąc brzegiem rzeki, po której w zasięgu jego wzroku płynęła rodzinna łódź. Miał wtedy sześćdziesiąt pięć lat i rozpoczynał nowe życie na Zachodzie.

Dla Boone’a nie było to nic nowego. Urodzony 2 listopada 1734 roku w Birdsboro, małej osadzie kwakrów, niedaleko Filadelfii w Pensylwanii, dorastał na skraju nieprzebytej puszczy, którą przemierzali tylko jej pierwotni mieszkańcy i dzikie zwierzęta**[**[2]**]**. Od zaprzyjaźnionych Indian, którzy odwiedzali czasem farmę jego ojca i dziadka, oraz od myśliwych przemieszczających się z południa na północ w poszukiwaniu cennych futer młody Boone słyszał opowieści

o niezmierzonym bezkresie ziem rozciągających się poza barierą Appalachów. Ich tajemniczy bezmiar rozpalał wyobraźnię i kusił nieograniczonymi możliwościami. Kusił i nęcił tak bardzo, że już wkrótce Daniel stał się jednym z pierwszych poszukiwaczy ścieżek (*pathfinders*), którzy przetarli drogę przez przełęcz Cumberland, główne przejście z południowych Appalachów na kontynent**[3]**.

Dzieciństwo doskonale przygotowało go do roli wielkiego odkrywcy dziewiczych, nieznanych terenów na zachodzie kraju. Już wtedy bowiem poznał życie leśnych Indian i tajniki polowań na dzikie zwierzęta, a gdy jako dwunastoletni chłopak otrzymał od ojca pierwszą strzelbę, sam stał się myśliwym. W maju 1750 roku rodzina Boone'ów porzuciła społeczność kwakrów i przeniosła się do doliny rzeki Yadkin w Karolinie Północnej. Podróż trwała blisko rok i Daniel na równi z dorosłymi musiał dbać o bezpieczeństwo i wyżywienie bliskich. Dzięki jego celnemu oku i pewnej dłoni wędrowcom nigdy nie zabrakło świeżego mięsa. Potem, już jako dwudziestoletni młodzieniec, zostawił na pewien czas rodzinę i wziął udział w nieudanej ekspedycji angielskiego generała Edwarda Braddocka przeciwko Francuzom i ich indiańskim sprzymierzeńcom, zakończonej straszliwą klęską Brytyjczyków nad rzeką Monongahelą 13 lipca 1755 roku. Poznał wówczas Johna Finleya – myśliwego, który w czasie tzw. długich łowów spędził na terenach zajmowanych przez Indian wiele tygodni, a nawet miesięcy i spenetrował liczne dzikie obszary Zachodu. Opowieści Finleya na nowo rozbudziły jego wyobraźnię, lecz młody Boone nie był jeszcze gotowy do rozpoczęcia życia odkrywcy. Wrócił na farmę ojca i w sierpniu 1756 roku ożenił się z córką sąsiadów, Rebeką Bryan, twardą pionierką, którą – jeśli wierzyć przekazom – cechowała wielka odwaga i równie wielka cierpliwość. Młoda para zamieszkała w chatce na farmie Boone'ów i z czasem dochowała się dziesięciorga dzieci.

W 1761 roku Daniel zorganizował swoją pierwszą nieudaną wyprawę do Kentucky, „mrocznej i krwawej krainy", jak ją nazywali Indianie. Trzy lata później zapuścił się na ziemie wschodniego Kentucky aż po rzekę Rock Castle, dopływ Cumberland River. Jesienią 1767 roku w towarzystwie brata Squire'a dotarł do skraju Kentucky i rozbił obóz zimowy w Salt Springs koło dzisiejszego Prestonburga. Dalej na zachód leżały ostatnie jako tako poznane tereny, oddzielone od reszty nieznanego kraju groźną przełęczą Cumberland. Tam przypadkiem spotkał starego druha Finleya, który namawiał go, aby ruszył z nim na zachód po wielką przygodę, do „raju myśliwych", pełnego dzikiej zwierzyny i soczystej trawy, idealnej dla farmerów i pasterzy. Daniel jednak odmówił. Dopiero po upływie dwóch kolejnych lat wielki poszukiwacz ścieżek zdecydował się zostawić rodzinny dom i podążyć ku swemu przeznaczeniu.

W maju 1769 roku Boone, Finley i czterech innych myśliwych: John Stewart, Joseph Halden, James Mooney i William Cooke, wyruszyli w nieznane. Pokonali Pasmo Błękitne w Appalachach (*Blue Ridge Mountains*) i w połowie czerwca rozbili obóz po drugiej stronie przełęczy, nad strumieniem, który nazwali Station Camp Creek. W grudniu, w czasie jednej z wypraw myśliwskich, Boone'a i Stewarta schwytali Indianie z plemienia Szaunisów, którzy uważali Kentucky za swoje tereny łowieckie i traktowali białych jak kłusowników. Myśliwi stracili wówczas wszystkie upolowane skóry, ale na szczęście zachowali skalpy. Szaunisi nakazali im wynosić się ze swojej ziemi, oni jednak nie posłuchali i jakiś czas później znów wpadli w ręce Indian. Boone'owi udało się uciec, ale Stewart tym razem nie zdołał ocalić skalpu. Nie odstraszyło to jednak nieulękłego trapera. We wrześniu 1773 roku Boone sprzedał swoją farmę i wraz z najbliższymi, dwoma braćmi oraz pięcioma innymi rodzinami znowu wyprawił się w głąb Kentucky. Zatrzymani przez niechętnych im Indian, wędrowcy spędzili jakiś czas nad rzeką Clinch, w pobliżu granicy z Wirginią. Boone najmował się wtedy jako przewodnik różnych grup mierniczych zmierzających do Kentucky. Podczas jednej z takich wypraw zbudował chatę nad strumieniem Big Spring, niedaleko miejsca, w którym w czerwcu 1774 roku pionier z Pensylwanii, kapitan James Harrod, wraz z grupą trzydziestu jeden osób założył nad rzeką Kentucky osadę Harrodstown (obecnie miasto Harrodsburg).

Potem Boone dotarł do ujścia rzeki Kentucky i spenetrował całe Kentucky, aż do wodospadów Ohio, gdzie dziś leży miasto Louisville. Nie obyło się przy tym bez niebezpiecznych przygód i dramatycznych przeżyć. Indianie, starając się za wszelką cenę odstraszyć niepożądanych osadników, nie cofali się przed niczym. Na przykład w październiku 1773 roku Delawarowie i Szaunisi – ku przestrodze pionierów – zamordowali wśród wymyślnych tortur najstarszego syna Boone'a, Jamesa, i jeszcze jednego białego chłopca. Tym razem strwożona grupa Boone'a wycofała się z Kentucky, a wieść o tym okrutnym czynie rozniosła się po całym Pograniczu. Niedługo potem Boone w stopniu kapitana milicji wziął udział w wojnie brytyjskiego gubernatora Wirginii, lorda Johna Dunmore'a, z Indianami rozsierdzonymi bezmyślnym mordem dokonanym w kwietniu 1774 roku nad Yellow Creek w Ohio. Mordu tego dokonała grupa białych pod przywództwem niejakiego Daniela Greathouse'a na dwudziestu Mingach, wśród których było trzynastu krewnych słynnego wodza Logana. Nie wiadomo jednak, czy 10 października Boone uczestniczył w nierozstrzygniętej bitwie nad Wielką Kanawhą (*Point Pleasant*), po której sprzymierzeni z Mingami Szaunisi pod wodzą Kaczana Kukurydzy ostatecznie zrezygnowali ze swych praw do Kentucky.

W marcu 1775 roku pułkownik Richard Henderson z Karoliny Północnej, stojący na czele Kompanii Transylwańskiej – firmy obrotu ziemią promującej osadnictwo po zachodniej stronie Appalachów z zamiarem założenia tam nowej kolonii angielskiej – odkupił wielki obszar od Indian z plemienia Czirokezów i wynajął Boone'a jako swego agenta do budowy drogi łączącej obie Karoliny z Zachodem. Traper przybył nad rzekę Holston w dzisiejszym Tennessee z bratem i grupą dwudziestu ośmiu drwali jeszcze w tym samym miesiącu. Wytyczyli oni i wyrąbali przez lasy i góry słynną puszczańską Dziką Drogę (*Wilderness Road*), przez ponad pięćdziesiąt lat główny szlak, którym podróżowali kupcy i osadnicy ze wschodu Ameryki w głąb Kentucky. Mimo straty kilku ludzi zabitych przez Szaunisów i borykania się z dziką przyrodą, do końca kwietnia wybudowali też ufortyfikowaną osadę Boonesborough, która stała się zalążkiem nowej kolonii o nazwie Transylwania. Nie zważając na zagrożenie ze strony Indian, we wrześniu Boone sprowadził do Boonesborough swoją rodzinę i liczną grupę osadników.

*Uprowadzona przez Indian*

Pod koniec lipca pamiętnego 1776 roku, w którym zbuntowani przeciwko

brytyjskiej metropolii koloniści amerykańscy ogłosili w Filadelfii *Deklarację niepodległości Stanów Zjednoczonych*, wojownicy Szaunisów porwali córkę Boone'a, Jemimę, i dwie inne dziewczyny z zamiarem uprowadzenia ich do swoich wiosek w głębi Ohio. Boone natychmiast zorganizował pościg i po dwóch dniach dogonił porywaczy. On i jego ludzie zabili z zaskoczenia trzech Indian, uwolnili porwane dziewczęta i szczęśliwie powrócili z nimi do domu. Zdarzenie to stało się głośne i rozsławiło imię Boone'a na całym Pograniczu. Wiele lat później słynny amerykański pisarz James Fenimore Cooper wykorzystał ten epizod w swojej powieści *Ostatni Mohikanin*. Dzięki tej i podobnym przygodom Daniel Boone stał się pierwowzorem Sokolego Oka – bohatera złożonego z pięciu ksiąg cyklu powieściowego tegoż pisarza.

W Kentucky często dochodziło do starć z Indianami. 24 kwietnia 1777 roku Boone wspólnie ze swym przyjacielem Simonem Kentonem i innymi pionierami zdołał obronić Boonesborough przed atakiem stu Szaunisów pod wodzą Czarnej Ryby. Miesiąc później odparł dwudniowe oblężenie Osady przez Indian, ale podczas jednej z potyczek od jego kuli zginął syn Czarnej Ryby. 7 lutego 1778 roku, w czasie wyprawy po sól nad Blue Licks (Sina Lizawka), w pobliżu dzisiejszego Lexington w Kentucky, Boone i dwudziestu sześciu innych białych, zajętych warzeniem soli, wpadło w ręce licznego oddziału Szaunisów. Nie stawiali oporu, ponieważ byli w mniejszości i nie mieli szans na pokonanie Indian. Wódz Niebieski Kaftan przekazał jeńców Czarnej Rybie, a ten zabrał ich do swojej wioski Old Chillicothe nad rzeką Little Miami w Ohio. Tam przeszli rytualne biczowanie, po czym zostali wywiezieni do fortu Detroit, gdzie Czarna Ryba zamierzał sprzedać część z nich angielskiemu gubernatorowi Henry'emu Hamiltonowi. Boone przekonał Anglików, że jest lojalnym poddanym króla, powołując się na swój stopień oficerski w brytyjskiej milicji i udział w wojnie lorda Dunmore'a. Nie został sprzedany, lecz adoptowany przez Czarną Rybę w miejsce zastrzelonego syna i nazwany Wielkim Żółwiem. W czerwcu zauważył w Old Chillicothe przygotowania Indian do kolejnego ataku na białych, zmylił więc czujność opiekunów i uciekł z wioski. Po czterech dniach wędrówki przez puszczę, przebywszy dwieście sześćdziesiąt kilometrów, dotarł do Boonesborough, żeby ostrzec mieszkańców o niebezpieczeństwie. W osadzie zastał jednak tylko swoją córkę, Jemimę. Żona Rebeka bowiem, przekonana o jego śmierci, zabrała resztę rodziny i wróciła do Karoliny Północnej. Do oczekiwanego napadu na Boonesborough doszło 7 września. Osadę zaatakowało czterystu pięćdziesięciu Indian i francuskich Kanadyjczyków, ale przez dziesięć dni nie udało im się zdobyć dobrze przygotowanego do obrony fortu.

Pod koniec 1778 roku Boone’a oskarżono o zdradę i „działanie na korzyść władz brytyjskich”, o czym miały świadczyć wydarzenia lutowe nad Blue Licks oraz rzekoma obietnica poddania Brytyjczykom Boonesborough, złożona jakoby w czasie niewoli u Indian. Proces przed sądem wojennym odbywał się w forcie Logan, wzniesionym w lutym 1777 roku przez znanego pioniera i żołnierza z Wirginii, Benjamina Logana. Po rozpatrzeniu sprawy sąd nie tylko uznał Boone’a za niewinnego, ale zarekomendował jego awans na majora wirginijskiej milicji.

*Daniel Boone prowadzący grupę osadników przez Przełęcz Cumberland*

W roku 1780 Boone wrócił z rodziną do Boonesborough. Dwa lata później, 19 sierpnia 1782 roku, wziął udział w słynnej bitwie z Indianami nad Blue Licks, w której zginął jego dwudziestotrzyletni syn, Israel. Po wojnie o niepodległość (1775–1783) pracował jako mierniczy nad rzeką Ohio. W 1788 roku przeniósł się do osady Point Pleasant w okręgu Kanawha, w dzisiejszej Wirginii Zachodniej. W nowym miejscu wytrzymał kilka lat, po czym w 1795 roku wrócił z Rebeką do Kentucky, które tymczasem zostało piętnastym stanem Unii. Cztery

lata później niespokojna natura kazała mu rzucić spokojne życie i jeszcze raz podążyć w stronę zachodzącego słońca, tym razem do Missouri, krainy znajdującej się pod rządami Hiszpanii, gdzie gospodarował już jego syn, Daniel Morgan Boone. Dostał tam znaczny obszar dobrych gruntów nad strumieniem Femme Osage w St. Charles i zaczął z ramienia władz hiszpańskich pełnić funkcję urzędową. W 1803 roku Missouri przeszło jednak pod administrację Stanów Zjednoczonych jako część zakupionej od Francuzów Luizjany i Boone znów utracił swoją ziemię. Resztę życia spędził z synem Nathanem w Charette Village koło Marthasville w Missouri. Spokojny już żywot dwukrotnie zakłócił, wracając do Kentucky, aby spłacić stare długi z czasów, gdy zajmował się handlem ziemią. Zmarł 26 września 1820 roku w wieku osiemdziesięciu sześciu lat. Pochowano go w Missouri obok ukochanej Rebeki, która odeszła siedem lat wcześniej. Ćwierć wieku później szczątki Daniela Boone'a i jego żony przewieziono do Kentucky i pogrzebano na cmentarzu we Frankforcie. Leżą tam do dzisiaj na wysokiej skarpie, skąd rozciąga się widok na rzekę i miasto, tak jak z licznych wzniesień, na które wspinał się Boone, rozciągała się bezkresna panorama dzikich puszcz i łąk, czekających na odkrycie i zasiedlenie.

Legendarny Daniel Boone był bez wątpienia najsłynniejszym, ale nie jedynym odkrywcą nowych ziem na Zachodzie. Na długo przed nim, w 1750 roku, angielski lekarz Thomas Walker (1715–1794), przedstawiciel wirginijskiej kompanii ziemskiej Loyal Land Company, odkrył nową drogę przez przełęcz w Appalachach, którą nazwał przełęczą Cumberland (*Cumberland Gap*), na cześć bohatera tamtych czasów, Wilhelma Augusta Hanowerskiego, księcia Cumberland, syna króla Anglii Jerzego II**[**[4]**]**.

Po Walkerze środkową część Kentucky eksplorował wspomniany już John Finley (1706–1773). Mieszkając w Shippensburgu w Pensylwanii, usłyszał on o bogatych terenach na zachodzie kraju, co zachęciło go do wypraw myśliwsko-badawczych. Pierwszą z nich podjął jesienią 1767 roku w górę doliny Ohio. Nad Big Bone Lick spotkał przyjaźnie nastawionych Szaunisów, którzy zaprosili go do swojej wioski Eskippakithiki, w samym sercu Kentucky. Finley osiedlił się nad Cabin Creek, gdzie był dostatek świeżej wody, żyzna ziemia oraz mnóstwo zwierzyny łownej, i zajął się zyskownym handlem futrami. Skóry kupowali od niego Indianie.

Przyjacielem i towarzyszem broni Daniela Boone'a był Simon Kenton (1755–1836) z Wirginii. W 1771 roku jako szesnastolatek w szale zazdrości pobił do nieprzytomności człowieka i myśląc, że ten nie żyje, uciekł na dzikie tereny Kentucky i Ohio. Przez dwa lata występował tam pod nazwiskiem Simon Butler.

W 1782 roku przybył w rodzinne strony i widząc, że domniemana ofiara jego złości żyje, wrócił do prawdziwego nazwiska. Kenton służył jako zwiadowca w wojnach z Indianami. Słynął z wielkiej odwagi i męstwa w boju. Szczególnie zasłużył się dla zdobycia i utrzymania granic osadnictwa białych w północnej i środkowej części Kentucky. W kwietniu 1777 roku uratował życie Boone'owi, gdy Boonesborough zaatakowali Szaunisi. W październiku następnego roku jego samego uchronili od tortur i utraty skalpu wódz Mingów Logan oraz biały renegat Simon Girty, wychowanek irokeskich Seneków i dawny znajomy z czasów wojny lorda Dunmore'a, który do końca życia pozostał wierny sprawie angielskiej i swych indiańskich przyjaciół. Przekazany w ręce Brytyjczyków, Kenton uciekł z fortu Detroit w czerwcu 1779 roku i po miesięcznym marszu przez puszczę wrócił do swoich. Do sześćdziesiątego roku życia służył pod rozkazami amerykańskich dowódców: George'a Rogersa Clarka, Anthony'ego Wayne'a i Williama Harrisona, zwalczających opór plemion indiańskich. Zmarł w Ohio i został pochowany w miejscowości Urbana.

Mniej znany od Daniela Boone'a i Simona Kentona jest Lewis Wetzel (1763–1808), syn niemieckiego imigranta z Pensylwanii i Mary Bonnet, w której żyłach płynęła francuska krew. Uważany za „ciemnego bohatera" Pogranicza, Wetzel zyskał ponurą sławę najsłynniejszego chyba w swoim czasie pogromcy Indian. Źródłem jego nienawiści były tragiczne przeżycia z dzieciństwa: w 1777 roku Indianie zabili mu rodziców na odległej farmie nad rzeką Ohio, a jego samego wraz z młodszym bratem Jacobem wzięli do niewoli. Chłopcy zdołali uciec i dotrzeć do siedzib białych ludzi, ale Lewis zaprzysiągł Indianom krwawą zemstę. Istotnie, w późniejszych latach wziął udział we wszystkich wojnach indiańskich w regionie Ohio. Świetnie znał taktykę walki partyzanckiej i był doskonałym strzelcem, który potrafił przeładować muszkiet w pełnym biegu. Z tego powodu Indianie nadali mu przydomek Śmiertelny Wiatr. W latach 1782–1787 wielokrotnie wyprawiał się samopas po skalpy wrogów; zgładził co najmniej kilku spokojnych Indian, a paru zabił w walce. W 1788 roku, opętany żądzą zemsty, zamordował jednego z pokojowo nastawionych wodzów. Został wówczas aresztowany i uwięziony w forcie Harmar, koło dzisiejszej Marietty w Ohio. Mimo związanych rąk i nadzoru uzbrojonych strażników, zdołał jednak zbiec ku ogromnej radości ludzi tak jak on nienawidzących Indian. Do końca życia ukrywał się w hiszpańskiej Luizjanie i w Missisipi. Równie zażartym wrogiem Indian, specjalizującym się w walce tomahawkiem, był jego starszy brat Martin, zaprzyjaźniony z Danielem Boone'em.

Na koniec warto wspomnieć Jamesa (ok. 1748–1831) i Jacoba (ok. 1750–

1832) Sadowskich, wnuków polskiego szlachcica Antoniego Józefa Sadowskiego (ok. 1669–1736) herbu Nałęcz, z okolic Ostrowca Świętokrzyskiego na Kielecczyźnie, uczestnika wielkiej wojny północnej, który po ucieczce z niewoli szwedzkiej wyemigrował do Ameryki na początku XVIII wieku. W 1712 roku przeniósł się wraz z rodziną z New Jersey do Pensylwanii i osiedlił nad brzegami rzeki Schuylkill. Wkrótce zasłynął jako pionier oraz zdolny tłumacz, handlarz futrami i agent indiański, nadzorujący z ramienia gubernatora Pensylwanii Patricka Gordona sprawy Delawarów i niektórych plemion irokeskich. W 1719 roku razem z George'em Boone'em, dziadkiem Daniela, i innymi sąsiadami założył osadę Amity w hrabstwie Berks**[**[5]**]**. Dziesięć lat później, w 1729 roku, wraz z dwoma wspólnikami otworzył punkt handlowy na terenie dzisiejszego Kittanning w Pensylwanii, a prawdopodobnie około roku 1734 on i jego syn Andrzej (1705–1768) dali początek faktorii handlowej na zachodnim brzegu jeziora Erie (w 1749 Francuzi utworzyli tam ważny posterunek wojskowy Fort Sandoské, w latach 1761–1763 brytyjski Fort Sandusky, zdobyty i zniszczony w maju 1763 przez Indian podczas powstania Pontiaka). Od zniekształconego nazwiska „Sadowski" pochodzi nazwa „Sandusky", którą dziś noszą niektóre miejscowości w Indianie, Iowa, Illinois, Ohio, Teksasie i Wisconsin oraz rzeka (Sandusky River) i zatoka (Sandusky Bay) na jeziorze Erie w Ohio. Z kolei James i Jacob Sadowscy (Sandusky), synowie Andrzeja (Andrew), ruszyli dalej na zachód. W latach 1773–1775 wędrowali po Kentucky i Tennessee razem z Jamesem Harrodem, Abrahamem i Isaakiem Hite'ami oraz innymi słynnymi traperami jako członkowie pierwszej grupy mierniczych kapitana Thomasa Bullitta i Daniela Boone'a, wysłanej przez gubernatora Wirginii z Pittsburgha w dół rzeki Ohio i w górę rzeki Kentucky w celu wytyczenia działek ziemi dla weteranów wojny z Francuzami i Indianami (1755–1760). W lipcu 1774 roku Jacob oraz jego towarzysz John Smith i jeszcze jeden traper, uciekając z okolic Harrodstown przed Indianami, dotarli rzeką Ohio do brzegów Missisipi i odważyli się spłynąć w dół wielkiej rzeki. Podobno dotarli do samego Nowego Orleanu i stamtąd przypłynęli statkiem do Baltimore. Dwa lata później Jacob i James Sandusky założyli nad strumieniem Pleasant Run w Kentucky faktorię handlową, znaną jako Sandusky's Station. Po wybuchu wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych bracia Sandusky wrócili na wschód kraju i zaciągnęli się do Armii Kontynentalnej Jerzego Waszyngtona. Przez pewien czas walczyli pod rozkazami twórcy kawalerii amerykańskiej, generała Kazimierza Pułaskiego, a 19 października 1781 roku byli świadkami kapitulacji dowódcy wojsk brytyjskich, lorda Charlesa Cornwallisa, pod Yorktown. Dziesięć miesięcy później, w sierpniu 1782 roku,

Jacob u boku Daniela Boone’a brał udział w krwawej bitwie nad Blue Licks, zwanej „ostatnią bitwą rewolucji amerykańskiej”, w której trzystu pięćdziesięciu probrytyjskich Indian i kanadyjskich lojalistów kapitana Williama Caldwella pobiło na głowę liczący stu osiemdziesięciu dwóch ludzi oddział amerykańskiej milicji pułkownika Johna Todda.

Bitwa nad Blue Licks nie zmieniła biegu historii, ale członkowie rodziny Sadowskich (Sanduskych) są dziś zaliczani do grona największych pionierów amerykańskiego kontynentu. „Wielce szacowna rodzina” – tak określił ją późniejszy prezydent Theodore Roosevelt, autor słynnej książki *Winning of the West* (Podbój Zachodu), i hołd ten jest w pełni uzasadniony. Sadowscy rzeczywiście zasługują na szacunek i wdzięczną pamięć Amerykanów. Dzięki odwadze, determinacji, ciekawości i żądzy przygód przyczynili się swymi dokonaniami i pionierskim geniuszem do odkrycia nowych ścieżek i przetarli szlaki, które później powiodły następne pokolenia amerykańskich śmiałków na podbój Zachodu.

Poszukiwacze ścieżek i odkrywcy z dawnych kolonii angielskich, wśród których prym wiódł Daniel Boone, otworzyli drogi na Zachód, a ich dzieło kontynuowali liczni następcy. Najmłodszy syn Boone’a, Nathan (1781–1856), był oficerem w słynnym oddziale strzelców konnych (*Mounted Rangers*), a potem w pułku dragonów pułkownika Henry’ego Dodge’a, i jednym z pierwszych Amerykanów, którzy obozowali w miejscu dzisiejszego miasta Denver w Kolorado. Wnuk Daniela, Albert Gallatin Boone, pracował dla Biura do spraw Indian i w latach 1859–1861 pełnił obowiązki agenta rządowego plemion Czejenów, Arapahów, Kiowów, Komanczów i Kiowa-Apaczów w Kolorado. Matka innej legendy Dzikiego Zachodu, słynnego Kita Carsona (1809–1868), Rebeka Robinson także pochodziła z rodziny Boone’ów. Na ścianie budynku sądu w pierwszym miejscu wiecznego spoczynku Daniela Boone’a w St. Charles, po drugiej stronie Missouri, naprzeciwko St. Louis, znajduje się tabliczka upamiętniająca jeden ze szlaków odkrytych przez starego wędrowca. Napisano na niej, że zakurzona ścieżka dała początek drodze na Zachód, która potem wytyczyła szlak Santa Fe, szlak do Salt Lake City i szlak Oregoński. W napisie tym jest zawarta jakaś sprawiedliwość dziejowa: słuchając ciągłych nawoływań Zachodu, Daniel Boone stał się przewodnikiem w przyszłość Ameryki.

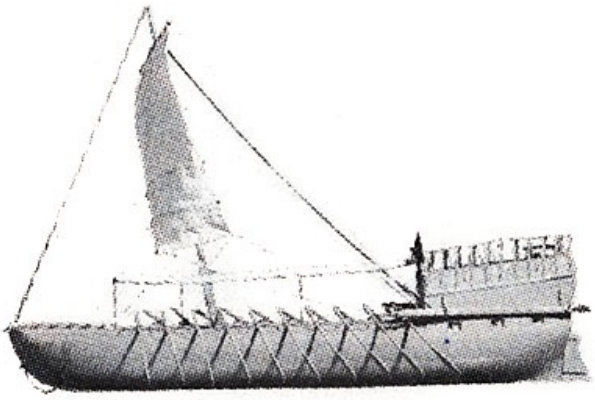

Rozdział II

# Wielcy odkrywcy kontynentu amerykańskiego

## Wyprawa Lewisa i Clarka

Wczesna historia Stanów Zjednoczonych jest przede wszystkim historią migracji Amerykanów na Zachód w poszukiwaniu ziemi i bogactw. Zachód to nie tylko strona świata, to także region geograficzno-kulturowy i cały złożony problem polityczno-społeczny związany z ekspansją i podbojem kontynentu; w tym znaczeniu pisze się go wielką literą: Zachód (*West*).

Kolonizacja Zachodu różniła się od kolonizacji obszarów zamorskich przez inne wielkie mocarstwa. Jej bohaterami bowiem byli głównie odkrywcy, myśliwi, osadnicy i awanturnicy, którym przyświecał miraż bogactwa i szczęścia czekającego na nieznanych ziemiach, nie zaś niezbyt liczne jeszcze w młodym kraju wojsko. Z tej romantycznej wizji zachodnich ziem Stanów Zjednoczonych zrodziła się w początkach XIX wieku legenda Dzikiego Zachodu.

Po zakończeniu wojny o niepodległość władze amerykańskie zaczęły z całą bezwzględnością żądać od Indian zamieszkujących tereny pomiędzy Appalachami a Missisipi, w większości sojuszników pokonanej Anglii, scedowania tych ziem na rzecz zwycięskiej Unii. Podstawę prawną ekspansji poza granice Appalachów stanowiły trzy akty Kongresu z lat 1784, 1785 i 1787. Wyznaczały one zasady pomiarów i sprzedaży ziem na zachodnich rubieżach kraju oraz okre-

ślały organizację polityczną nowych terytoriów i kryteria pozwalające im w przyszłości stać się pełnoprawnymi stanami Unii. Głównym twórcą tego systemu był wybitny polityk amerykański, jeden z założycieli Stanów Zjednoczonych i faktyczny autor *Deklaracji niepodległości*, Thomas Jefferson (1743–1826).

Stosując na przemian politykę siły i dyplomacji (tylko w latach 1784–1796 podpisano piętnaście traktatów o przejęciu terenów indiańskich), około roku 1800 Stany Zjednoczone doprowadziły swoją zachodnią granicę do Missisipi. Tam kończyła się cywilizacja, a zaczynała ogromna, dzika i niezbadana kraina zwana Luizjaną (*Louisiana*), przejęta swego czasu od Francji przez Hiszpanię. O krainie tej Amerykanie mieli bardzo mgliste wyobrażenie; nikt nie znał jej geografii, jej bogactw i czyhających w niej zagrożeń, a jej tajemniczość rozpalała wyobraźnię. Wysokie góry i rozległe prerie zamieszkane tylko przez Indian stawały się przedmiotem ożywionych dyskusji pierwszych pionierów i podstawą licznych mitów. Oczami wyobraźni widziano tam krainę szczęśliwości i bezpieczny azyl dla wszystkich, którzy szukają prawdziwej wolności, przygody, bogactwa i swobód religijnych. Spekulowano, że góry przewyższają tam „wszystko, co istnieje w innych częściach świata” i że być może „zawierają większe bogactwa niż Indie i pozostałe kraje Wschodu”, a na zachód od nich przyszłe pokolenia znajdą „swój upragniony raj”. Na razie jednak były to tylko marzenia, bo nikt jeszcze nie znał tych ziem.

Brak wiarygodnych informacji o ogromnych obszarach rozciągających się na zachód od Missisipi to tylko jedna z przyczyn hamujących dalszą ekspansję na te ziemie. Druga, znacznie poważniejsza, wynikała z faktu, że pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a wybrzeżem Pacyfiku rozciągał się pas terytorium przynależnego do obcego państwa. Ziemie Unii ograniczały się do regionu położonego na wschód od Missisipi, a w szczególności do wybrzeża Atlantyku. Środek kontynentu zajmowała Luizjana, która jeszcze wciąż niby należała do Hiszpanii, ale w istocie ponownie była już w posiadaniu Francji. Obejmowała ona ziemie na zachód od Missisipi, w tym niemal wszystkie środkowe Równiny, aż po Góry Skaliste. Na południowy zachód od Luizjany rozciągały się tereny Kalifornii, Teksasu i Meksyku, od ponad dwóch wieków pozostające pod władzą Hiszpanii. Na północnym zachodzie, poza pasmem Gór Skalistych, leżała kraina zwana Oregonem, penetrowana przez białych myśliwych i handlarzy futrami, ale całkowicie jeszcze niezasiedlona. Do tej deszczowej, skalistej i zalesionej krainy swoje pretensje zgłaszały Hiszpania, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone.

Pierwsze opisy Oregonu pochodzą od europejskich żeglarzy, którzy docierali

do zachodnich wybrzeży Ameryki Północnej pod koniec XVIII wieku, i od traperów z kanadyjskich kompanii futrzarskich. Hiszpański kapitan Juan Pèrez Hernández już w roku 1774 dopłynął do wysp Vancouver i Królowej Charlotty. W 1788 roku słynny angielski żeglarz James Cook, odbywający wyprawę dookoła świata, zawinął dwoma małymi statkami „Discovery" i „Resolution", mocno uszkodzonymi podczas sztormu, do zatoki Nootka Sound w dzisiejszej prowincji Kolumbia Brytyjska, gdzie został gościnnie przyjęty przez miejscowych Indian. W końcu XVIII wieku oprócz Hiszpanów, Brytyjczyków oraz Rosjan z Alaski zaczęli się tam pojawiać także Amerykanie. W maju 1792 roku kapitan Robert Gray odkrył ujście wielkiej rzeki, której nadał miano Kolumbia, od nazwy dowodzonego przez siebie statku „Columbia". Gray wpłynął ponad trzydzieści kilometrów w głąb Kolumbii, kilkakrotnie spotkał się z miejscowymi Indianami i sporządził pierwszą mapę ujścia rzeki do oceanu. Odpływając, wziął symbolicznie odkryte ziemie w posiadanie Stanów Zjednoczonych.

W październiku 1792 roku u ujścia Kolumbii pojawił się angielski żeglarz George Vancouver (1757–1798), uczestnik dwóch wypraw Jamesa Cooka dookoła świata. Wyposażony w najnowocześniejsze w owym czasie przyrządy nawigacyjne, mając doskonale wyszkoloną załogę, przez trzy lata badał na statku „Discovery" północno-zachodnie wybrzeże Ameryki w poszukiwaniu drogi wodnej łączącej Ocean Spokojny ze wschodnią częścią kontynentu. Wykorzystując kopię mapy Graya zdobytą w hiszpańskiej faktorii Nootka Sound, wysłał jednego ze swoich oficerów, porucznika Williama Broughtona, na zbadanie Kolumbii. Broughton posunął się na niewielkim statku „Chatham" prawie sto sześćdziesiąt kilometrów w głąb rzeki, aż do miejsca położonego naprzeciw dzisiejszego miasta Portland w Oregonie, które nazwał Point Vancouver. Majestatycznemu szczytowi na wschód od niego Anglicy nadali nazwę Mount Hood (Góra Hooda). Broughton błędnie jednak ocenił, że łańcuch górski, z którego wyrasta ten szczyt, czyli Góry Kaskadowe, stanowi kontynentalny dział wód, za którym rozciągają się równiny Luizjany. Niemniej efekty wyprawy Vancouvera były bezsporne, wzbogacone dodatkowo o wspaniałą mapę północno-zachodniego wybrzeża Ameryki Północnej oraz pracę zatytułowaną *Wyprawa odkrywcza do Północnego Pacyfiku i dookoła świata*, wydaną drukiem w Anglii w roku 1798.

W tym samym mniej więcej czasie podróż z głębi kontynentu do wybrzeży Pacyfiku odbył Szkot, Alexander Mackenzie (1763–1820). W latach 1788–1796 kierował on placówką handlową w kanadyjskim forcie Chippewyan nad jeziorem Athabaska w dzisiejszej prowincji Alberta. Z ramienia Północno-Zachodniej

Kompanii Futrzarskiej (*North West Fur Company*) podjął kilka wypraw badawczych w kierunku zachodniego wybrzeża szlakami wytyczonymi przez Indian. W 1789 roku dotarł do Morza Arktycznego, a cztery lata później przebił się przez góry i w lipcu 1793 roku jako pierwszy Europejczyk osiągnął od wschodu wybrzeże Oceanu Spokojnego na północ od Meksyku. W 1801 roku powrócił do Anglii i opublikował dziennik z podróży, w którym z chronologiczną dokładnością opisał własne osiągnięcia w eksploracji zachodniej Kanady. Już jako uznany odkrywca i polityk, uhonorowany przez króla Jerzego II tytułem szlacheckim, stał się gorącym orędownikiem rozciągnięcia przez Wielką Brytanię kontroli nad północno-zachodnim wybrzeżem Oceanu Spokojnego.

Sukcesy Brytyjczyków w eksploracji zachodniego wybrzeża Pacyfiku poważnie zaniepokoiły Amerykanów. Thomas Jefferson, podówczas wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, dowiedział się o wyprawie Mackenziego w 1797 roku, ale dokładnie zapoznał się z jej przebiegiem dopiero w roku 1802, już jako prezydent. Sprawozdanie szkockiego podróżnika zelektryzowało go jeszcze bardziej niż wcześniejsze raporty Vancouvera i Broughtona o możliwości nawigacji po wodach Kolumbii i o rzekomym kontynentalnym dziale wód. Nikt lepiej od niego nie dostrzegał trudności w dalszej ekspansji na zachód, nikt też bardziej od niego nie był zdecydowany, żeby je pokonać.

Docierające do Waszyngtonu wieści o usilnych zabiegach Mackenziego, aby skłonić rząd w Londynie do podjęcia wysiłków w celu zapewnienia Wielkiej Brytanii panowania nad zachodnią częścią kontynentu, skłoniły Jeffersona do działania. 18 stycznia 1803 roku skierował on do Kongresu tajny wniosek o wyasygnowanie kwoty dwóch i pół tysiąca dolarów na zorganizowanie ekspedycji na północny zachód. Kongres zaakceptował tę propozycję i wyraził zgodę na powołanie tzw. Korpusu Odkrywców (*Corps of Discovery*), w składzie jeden oficer i dwunastu żołnierzy, mających stanowić trzon wyprawy.

Wiosną 1803 roku Jefferson polecił swojemu osobistemu sekretarzowi, kapitanowi Meriwetherowi Lewisowi (1774–1809), zorganizowanie ekspedycji w celu znalezienia drogi wodnej ze wschodu do wybrzeża Pacyfiku. Pozwoliłoby to potwierdzić prawo Stanów Zjednoczonych do Oregonu, z powołaniem się na roszczenia zgłoszone do tego terytorium przez kapitana Roberta Graya w 1792 roku. Szczęśliwie dla Jeffersona realizacji jego planów pomogły nieoczekiwane wydarzenia w Europie.

W 1762 roku Francja przekazała Luizjanę Hiszpanii, żeby nie dopuścić do jej przejęcia przez Wielką Brytanię po zakończeniu wojny siedmioletniej. Jednakże

w październiku 1800 roku kraina ta powróciła do napoleońskiej Francji w wyniku tajnego traktatu w San Ildefonso, a wraz z nią Francja odzyskiwała ważny port w Nowym Orleanie z bogatym zapleczem handlowym. Rodziło to nowe zakusy imperialne związane z Ameryką i nadzieje na odbicie Kanady z rąk Brytyjczyków. Stany Zjednoczone uznały ten fakt za zagrożenie dla swoich żywotnych interesów handlowych, ponieważ przez port w Nowym Orleanie przechodziło prawie czterdzieści procent amerykańskiej produkcji. Dopóki była tam administracja hiszpańska, Amerykanie korzystali ze strefy wolnocłowej i wielu przywilejów, Francuzi jednak nie zamierzali stosować wobec nich żadnej taryfy ulgowej. Znaczna część opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych uznała to za dostateczny powód do walki o ujście Missisipi i zaczęła domagać się wojny.

Jefferson jednak wolał uniknąć wojny i podjął kompromisową próbę odkupienia od Francji Nowego Orleanu. Skutek tych działań okazał się całkowicie nieoczekiwany. Wysłani do Paryża amerykańscy negocjatorzy dowiedzieli się ze zdumieniem, że Napoleon postanowił zrezygnować z planów imperialnych w Ameryce i sprzedać całą Luizjanę! Decyzja ta wynikała ze strat poniesionych przez armię francuską w czasie tłumienia powstania murzyńskiego na Santo Domingo (Haiti) i prawdopodobieństwa nowej wojny w Europie. Po dwutygodniowych negocjacjach podpisano 30 kwietnia 1803 roku traktat o kupnie Luizjany. Stany Zjednoczone zobowiązały się zapłacić Francji piętnaście milionów dolarów (łącznie z anulowanym długiem) i przyznać mieszkańcom tych ziem obywatelstwo amerykańskie. Tak więc za jednym pociągnięciem pióra powiększyły swoje terytorium o dwa miliony sto czterdzieści pięć tysięcy kilometrów kwadratowych, płacąc nieco ponad cztery centy za akr ziemi! Był to jeden z najkorzystniejszych interesów w historii handlu międzynarodowego. W przyszłości na tym terenie miało powstać piętnaście nowych stanów o obszarze sześciokrotnie większym od trzynastu stanów założycielskich Unii.

Jefferson wiedział, że podjęta przez niego decyzja zakupu Luizjany (*Louisiana Purchase*) wykracza poza jego uprawnienia, konstytucja bowiem nie zezwalała władzom federalnym nabywać nowych terytoriów. Nie mógł jednak zrezygnować z korzyści, jakie się z tym wiązały. Wzrokiem wizjonera sięgał już ku wybrzeżom Pacyfiku i dlatego zrobił wszystko, aby przekonać Kongres, że postąpił słusznie.

Jednocześnie czynił starania, żeby jak najszybciej wysłać ekspedycję Lewisa. „Kapitan Lewis jest odważny, mądry i przezorny” – mówił o swoim protegowanym wiosną 1803 roku. „Zna lasy, obyczaje i charaktery Indian. Nie uzyskał wprawdzie regularnego wykształcenia, ale ma niezwykły dar obserwowania na-

tury i dlatego niewątpliwie zwróci uwagę na wszystkie jej nowe fragmenty, jakie napotka na swej drodze”.

Lewis, świadom swoich ograniczeń, zaproponował współudział w wyprawie przyjacielowi z wojska, kapitanowi Williamowi Clarkowi (1770–1838), który był nie tylko znakomitym geografem, ale także miał duże doświadczenie w nawigacji po wodach śródlądowych i doskonale znał Pogranicze z okresu służby na tamtym terenie. Rudowłosy Wirginijczyk przyjął propozycję z entuzjazmem, zapewniając, że z nikim tak bardzo nie chciałby dzielić trudów tej niebezpiecznej wyprawy jak właśnie z Lewisem.

*Meriwether Lewis i William Clark*

Ekspedycję zaplanowano z dużą starannością i dokładnością. Lewis i Clark zamierzali najpierw udać się ku nieznanym źródłom Missouri, przekroczyć Góry Skaliste i kontynentalny dział wód, a następnie spłynąć nurtem legendarnej już niemal Kolumbii do wybrzeży Oceanu Spokojnego. Po drodze mieli dokonywać pomiarów geograficznych, badać naturę przemierzanych obszarów, poznać ich mieszkańców oraz wytyczyć nowe szlaki i sporządzić mapy nieznanych dotychczas części kontynentu z myślą o przyszłej ekspansji i handlu.

Przygotowania zaczęto od zlecenia budowy w Pittsburghu dużego (siedemnastometrowego) płaskodennego statku rzecznego typu *keelboat* z przybudówką w kształcie drewnianej chaty, masztem z czworokątnym żaglem i jedenastoma parami wioseł. W tym czasie Lewis uczył się zasad wykonywania pomiarów geo-

graficznych i studiował plany opracowane przez kartografa Nicholasa Kinga na podstawie map dolnego biegu Kolumbii sporządzonych przez Broughtona dla Vancouvera w 1792 roku. Organizatorzy ekspedycji błędnie założyli, że po dotarciu do źródeł Missouri wystarczy przekroczyć jedno pasmo górskie, aby dostać się do zlewiska Kolumbii i spłynąć nią do oceanu. Miało to poważnie oddziałać na przebieg wyprawy i czas jej trwania.

4 lipca 1803 roku ogłoszono wreszcie oficjalną wiadomość o zakupie Luizjany, a 31 sierpnia Lewis opuścił Pittsburgh i popłynął w dół rzeki Ohio. W końcu października w Clarksville (Terytorium Indiany) dołączył do niego Clark z kilkoma ludźmi. 7 grudnia dziewiętnastoosobowa załoga dopłynęła w pobliże St. Louis, gdzie u zbiegu Missisipi z Missouri, nieco powyżej miasta, rozbito obóz zimowy Camp Wood. Tam na przełomie lat 1803/1804 kompletowano skład ekspedycji, przygotowywano sprzęt i zapasy oraz zbierano dodatkowe informacje przed dalszą podróżą.

Uczestników wyprawy Lewis werbował spośród „dobrych myśliwych, odważnych, zdrowych, nieżonatych mężczyzn nawykłych do lasów i zdolnych znosić niewygody w dostatecznym stopniu”. W końcu wybrał czternastu żołnierzy ochotników, dziewięciu tęgich drwali z Kentucky, dwóch francuskich przewoźników i półkrwi francuskiego trapera George’a Drouillarda, który miał służyć załodze jako tłumacz, tropiciel i przewodnik. Poza tym wziął ze sobą wielkiego czarnego psa, nowofundlanda Scannona, Clark zaś swego murzyńskiego służącego Yorka.

Wiosną 1804 roku wszystko było gotowe do drogi. W deszczowy poniedziałek 14 maja mała flotylla, w której skład oprócz statku wypełnionego dziesięcioma tonami zapasów i prezentami dla Indian wchodziły dwie mniejsze trzynastometrowe łodzie wiosłowe, opuściła Camp Wood i popłynęła na zachód w górę Missouri.

Po niedawnych wiosennych roztopach rzeka płynęła szerokim, wartkim nurtem, a jej żółte zamulone wody zakrywały przed wzrokiem podróżników naturalne pułapki: zdradliwe dziury, mielizny i zakola. Kapryśna, dzika Missouri, którą uczestnicy wyprawy mieli zapamiętać jako „diabelską rzekę”, w wielu miejscach zmieniała swoje koryto w taki sposób, że niełatwo było natrafić na główny nurt. Tylko dzięki francuskim przewoźnikom, którzy dobrze znali okolice, oraz doświadczeniu Clarka wielokrotnie udało się uniknąć katastrofy. Dodatkowo żeglugę utrudniały wiosenne burze i stale zmieniający się kierunek wiatru. W tych warunkach żagiel na niewiele się zdawał, a wiosła przydawały się

tylko na spokojniejszych odcinkach rzeki. Niejednokrotnie załoga musiała wysiadać na brzeg i ciągnąć na linach pod prąd statek i łodzie, często zapadając się w głębokie doły wydrążone przez wodę w grząskim terenie. Gdzie indziej zatopione drzewa tworzyły niebezpieczne podwodne zapory, które trzeba było omijać lub usuwać za pomocą siekier. Mimo ogromnego wysiłku wszystkich uczestników ekspedycji dziennie pokonywano nie więcej niż piętnaście kilometrów. Na domiar złego wkrótce zaczęły się nieznośne upały i podróżnikom dały się we znaki roje dokuczliwych komarów. Dopiero kiedy rzeka skręciła na północ, południowy wiatr ułatwił dalszą drogę i umożliwił zwiększenie szybkości do ponad trzydziestu kilometrów dziennie.

Clark i większość załogi zajmowali się nawigacją, a Lewis z nieodłącznym Scannonem penetrował brzeg rzeki, polował, badał miejscową przyrodę, zbierał nieznane okazy roślin i robił notatki w dzienniku.

Święto 4 lipca podróżnicy uczcili w pobliżu ujścia rzeki Platte wystrzałem armatnim i dodatkową porcją whisky. Pod koniec miesiąca napotkali pierwszych Indian, a cztery dni później w miejscu, które nazwali Council Bluffs w dzisiejszym stanie Iowa, Lewis i Clark odbyli przyjazną naradę z wodzami plemion Oto i Missouri. Wręczyli Indianom zaproszenie do Waszyngtonu oraz obdarowali ich medalami pokoju, amerykańskimi flagami i różnymi drobiazgami[6].

20 sierpnia w pobliżu dzisiejszego Sioux City w stanie Iowa wyprawa poniosła pierwszą i, jak się okazało, jedyną ofiarę: prawdopodobnie wskutek pęknięcia wyrostka robaczkowego zmarł sierżant Charles Floyd. Na jego cześć Lewis i Clark nazwali pobliskie wzgórza Floyd’s Bluffs, a płynącą opodal rzekę – Floyd’s River. W ostatnich dniach sierpnia doszło do przyjaznego spotkania z Siuksami z grupy Yankton[7]. Kilka dni później Amerykanie po raz pierwszy zobaczyli pieski preriowe. Z wielkim trudem schwytali jednego osobnika, żeby przesłać go wraz z innymi nieznanymi okazami fauny i flory prezydentowi Jeffersonowi.

*Lewis i Clark w wiosce Siuksów nad Missouri*

25 września w pobliżu ujścia rzeki Bad w dzisiejszej Dakocie Południowej omal nie doszło do tragicznego w skutkach starcia z liczną grupą groźnych, dobrze uzbrojonych Siuksów Teton. „Dzielnie wyglądający” – jak ich opisywał Lewis – pobratymcy Yanktonów nie chcieli przepuścić ekspedycji przez swoje terytorium, dopóki nie otrzymają w zamian jednej łodzi. Lewis jednak nie dał się zastraszyć i podjął ostrożne negocjacje z wodzem Czarnym Bizonem. Ostatecznie mądra, rozważna dyplomacja, wsparta paroma łykami mocnej whisky, garścią tytoniu i drobnymi prezentami, rozładowała napięcie. Amerykanie pozostali w obozie Siuksów trzy dni, starając się poznać ich zwyczaje i nawiązać pierwsze kontakty handlowe.

Potem ruszyli dalej i w końcu września dotarli do wiosek plemienia Arikara w pobliżu ujścia Grand River. Odwieczni wrogowie Siuksów powitali ich z radością. Odkrywcy spędzili wśród nich pięć przyjemnych dni i odnotowali, że „wszyscy oni byli przyjaźni i zadowoleni z naszej wizyty”. Wykonując otrzymane rozkazy, Lewis i Clark namówili wodza Arikarów, Ankedoucharo, aby dołączył do delegacji wodzów plemion z doliny Missisipi, którzy zgodzili się jechać do Waszyngtonu**[8]**.

Przez kilka następnych tygodni podróżnicy płynęli w górę Missouri przez półpustynne obszary Dakoty. W połowie października przekroczyli dzisiejszą granicę Dakoty Południowej i Dakoty Północnej, a dziesięć dni później dotarli do osad prowadzących półosiadły tryb życia plemion indiańskich Mandanów i Hidatsa. Były to duże wioski położone w dolinie Missouri, przy ujściu rzeki Knife. W dwu z nich, w solidnie zbudowanych okrągłych ziemiankach, mieszkali Mandanowie, a w trzech pozostałych sprzymierzeni z nimi Hidatsa.

*Wódz Siuksów*
*Czarny Bizon*

Przyjazne przyjęcie, jakie zgotowali białym podróżnikom Indianie, sprawiło, że pod koniec października Lewis i Clark zdecydowali się rozbić obóz stały ponad dwa i pół tysiąca kilometrów od punktu wyjścia, żeby przeczekać nadchodzącą zimę. Na miejsce obozowiska wybrali plażę na wschodnim brzegu Missouri w pobliżu wiosek Mandanów: niecałe dziesięć kilometrów na południe od Roophate i około pięciu kilometrów od położonej po przeciwnej stronie rzeki wioski Matootonha.

Amerykanie czuli się bezpiecznie w sąsiedztwie przyjaznych im Mandanów i Hidatsów, musieli jednak mieć się na baczności przed handlującymi z nimi wojowniczymi Siuksami, Assiniboinami, Czejenami i Wronami. Dlatego ze względów bezpieczeństwa na początku listopada rozpoczęli budowę umocnionego obozu. W ciągu trzech tygodni wznieśli na przecięciu ważnych granicznych szlaków handlowych prymitywną trójkątną palisadę wysokości ponad pięciu metrów z dwoma rzędami drewnianych chatek stykających się w jednym rogu i czymś w rodzaju bastionu naprzeciwko bramy wejściowej. Obóz nazwali Fort Mandan.

Do fortu docierali przedstawiciele licznych plemion indiańskich z północnych prerii, hiszpańscy i francuscy handlarze z Luizjany, a także traperzy i kupcy z kanadyjskich kompanii futrzarskich. Mimo niesprzyjającej pogody i oddalenia od cywilizacji przez całą zimę w Fort Mandan trwał ożywiony ruch. Lewis i

Clark pracowicie nawiązywali kontakty z przybyszami i skrzętnie zbierali wszelkie informacje o ziemiach leżących na zachodzie i zamieszkujących je plemionach. Największe ich zainteresowanie wzbudził kanadyjski traper i handlarz Touissaint Charbonneau, znawca i przyjaciel Indian znad górnej Missouri, władający kilkoma indiańskimi narzeczami. Doceniając jego umiejętności, zaproponowali mu udział w dalszej wyprawie w charakterze tłumacza, a on chętnie wyraził na to zgodę.

Charbonneau był barwną postacią. Mniej więcej na rok przed przybyciem Lewisa i Clarka wykupił z niewoli u Hidatsów dwie dziewczyny z plemienia Szoszonów i zgodnie z obowiązującym zwyczajem obie pojął za żony. Jednej z nich, znanej pod imieniem Sakakawea, czyli Kobieta Ptak, warto poświęcić nieco więcej uwagi, albowiem należy ona do tych nielicznych Indianek, które przeszły do historii Stanów Zjednoczonych.

Sakakawea (Sacagawea, Sacajawea) urodziła się około 1787 roku w dolinie Lehmi w dzisiejszym stanie Idaho w jednej z grup wschodniego odłamu plemienia Szoszonów. Jako młoda dziewczyna obozowała ze swoimi współplemieńcami w miejscu zwanym obecnie Three Forks, gdzie trzy mniejsze dopływy dają początek rzece Missouri. Latem 1799 lub 1800 roku na obóz napadli wojownicy Hidatsa, którzy najeżdżali bliższych i dalszych sąsiadów w rejonie Gór Skalistych, porwali ją, a następnie adoptowali. Przez kilka lat mieszkała w ich osadzie nad górną Missouri i tam właśnie spotkał ją przebywający wśród Indian Charbonneau. Zimą 1803/1804 roku ona i inna branka z jej plemienia, zwana Kobieta Wydrą, zostały jego żonami. Kiedy Kanadyjczyk, zachęcony perspektywą znacznego zarobku, zgodził się towarzyszyć Lewisowi i Clarkowi w dalszej podróży na zachód, Sakakawea zaoferowała swoją pomoc w dotarciu do krainy Szoszonów i znalezieniu przejścia przez Góry Skaliste. Chociaż była chora i spodziewała się dziecka, obaj odkrywcy uznali, że może im się bardzo przydać ze względu na znajomość zachodnich Indian i ich języka. Clark zajął się nią troskliwie („kobieta w grupie mężczyzn jest oznaką pokoju” – twierdził), wyleczył ją, a potem cieszył się, gdy w lutym 1805 roku urodziła zdrowego synka Jeana Baptiste’a, którego nazywał pieszczotliwie Małym Ważniakiem (*Little Pomp*).

W marcu 1805 roku lód na Missouri zaczął puszczać i wkrótce rzeka znów stała się żeglowna. W pierwszych dniach kwietnia Lewis i Clark odesłali do St. Louis statek z załogą. Znajdowały się na nim, oprócz listów do rodzin, przeznaczone dla prezydenta Jeffersona mapy, raporty, wyroby sztuki indiańskiej oraz liczne zebrane po drodze egzemplarze fauny i flory**[9]**. 7 kwietnia pozostała część ekspedycji w liczbie trzydziestu trzech osób (obaj dowódcy, trzech sier-

żantów, dwudziestu trzech szeregowych oraz pięcioro cywili: Charbonneau, Sakakawea, Jean Baptiste, York oraz Drouillard) podążyła na zachód w dwóch łodziach i sześciu dłubankach, wydrążonych w czasie przerwy zimowej z wielkich pni amerykańskiej topoli. Dopiero teraz zaczęła się prawdziwa przygoda odkrywcza. „Mieliśmy spenetrować kraj szeroki na co najmniej 2000 mil, którego nie tknęła nigdy stopa cywilizowanego człowieka. Sami musieliśmy się przekonać, czy czeka nas tam dobre, czy złe” – odnotował w dzienniku Lewis.

27 kwietnia podróżnicy przekroczyli dzisiejszą granicę Montany. Lewis ze Scannonem oraz Drouillard szli brzegiem i wypatrywali śladów Indian i zwierzyny. Przedostatniego dnia tego miesiąca upolowali tak ogromnego niedźwiedzia grizzly (dwieście sześćdziesiąt centymetrów długości i sto osiemdziesiąt centymetrów wysokości w kłębie), że do jego powalenia musieli użyć aż dziesięciu kul. Był to pierwszy w historii okaz tego gatunku poddany badaniom naukowym.

*Wyprawa Lewisa i Clarka*

Na początku maja odkrywcy minęli ujście rzeki Milk. Teren zaczął się wznosić, utrudniając nawigację, dezorientowały liczne dopływy Missouri płynące z różnych kierunków. W pierwszych dniach czerwca wyprawa zatrzymała się w rozwidleniu Missouri z rzeką Marias, ponieważ nie było wiadomo, która z nich prowadzi do oceanu. Po tygodniu badań, nadal nie mając pewności, dowódcy

obrali kurs na południe. Zanim jednak wyruszyli w góry, postanowili zmniejszyć obciążenie i dlatego jedną z większych łodzi wraz z częścią zapasów na drogę powrotną ukryli w bezpiecznym miejscu.

W połowie czerwca wyprawa dotarła do wodospadów Great Falls na rzece Missouri, o których wspominali Indianie we wioskach Mandanów. Dowódcy uzyskali pewność, że obrali właściwy kierunek, musieli jednak znaleźć sposób na pokonanie serii wodospadów i kaskad. Nawigacja była niemożliwa, pozostawało więc tylko przetransportowanie łodzi i bagażu lądem na odcinku prawie trzydziestu kilometrów. Ciężką pirogę pozostawiono w ukryciu u stóp wielkiego wodospadu, a pozostałe czółna i zapasy przewieziono na prymitywnie sklecone wozach wykonanych ze ściętych drzew. Budowa wozów i transport czółen zajęły cały miesiąc. W tym czasie myśliwi polowali i uzupełniali niezbędny zapas żywności. Udało się zgromadzić dużą ilość prowiantu, głównie suszone mięso, ryby i sporządzony indiańskim sposobem pożywny *pemmikan*, czyli sproszkowane mięso zmieszane z tłuszczem zwierzęcym i suszonymi jagodami.

13 lipca przewiezione z trudem czółna ponownie spuszczono na wodę tuż powyżej ostatniego wodospadu. Sześć dni później odkrywcy dotarli do Gór Skalistych i wpłynęli do gigantycznego skalnego kanionu o stromych zboczach, piętrzących się na wysokość czterystu metrów; Lewis nazwał go Bramą w Góry Skaliste (*Rocky Mountains Gate*). Następnego dnia nad szczytami gór pojawiły się ostrzegawcze sygnały dymne: znak, że odkryli ich Indianie i nie życzą sobie kontaktu z obcymi! Po upływie następnych dwóch dni Sakakawea zaczęła rozpoznawać otoczenie. „Indianka poznaje kraj i zapewnia nas, że to wody, nad którymi żyją jej pobratymcy i że niedaleko już stąd do rozwidlenia trzech rzek – zanotował tego dnia Lewis. – Ta wiadomość podniosła nas wszystkich na duchu”.

25 lipca Clark, Charbonneau i trzech szeregowców dotarli do Three Forks, a po dwóch dniach dołączyła do nich główna część wyprawy. Znaleźli się w miejscu, w którym przed kilkoma laty Sakakaweę porwali wojownicy Hidatsów. Lewis uznał, że to „ważny punkt geograficzny zachodniej części kontynentu”, i zaproponował, żeby zatrzymali się na dłużej i zbadali źródła Missouri. W wyniku dokonanych pomiarów odkrywcy ustalili, że początek dają jej trzy mniejsze rzeki wypływające z Gór Skalistych, które nazwali Gallatin, Madison i Jefferson, na cześć najbardziej znanych wówczas polityków administracji rządowej w Waszyngtonie**[**10**]**.

Dalej ekspedycja pokonała największy z dopływów, Jefferson (znany także jako Beaverhead River), i ruszyła lądem ku połyskującej w letnim słońcu ścianie

Gór Skalistych. 1 sierpnia Lewis z trzema ludźmi podążył przodem na poszukiwanie Szoszonów, bez których pomocy los wyprawy zdawał się przesądzony. Śmiałkowie wspięli się między strzeliste szczyty i przekroczyli kontynentalny dział wód. Reszta wlokła się za nimi „schorowana, rozpalona gorączką i bardzo zmęczona", przenosząc przez groźne krawędzie skalne, rwące potoki i ziejące śmiercią przepaście osiem ciężkich czółen, wyładowanych sprzętem i zapasami. Karkołomna wspinaczka wydawała się nie mieć końca. Według relacji Clarka ludzie byli tak wyczerpani, że woleliby nadal zmagać się z rzeką, niż pokonywać drogę lądem.

4 sierpnia Lewis zszedł do doliny Big Hole z nadzieją, że ujrzy rzekę płynącą do oceanu. Zawiedziony widokiem kolejnego masywu górskiego, uznał, że dalszy marsz w kierunku zachodnim jest niemożliwy. Wycieńczeni wędrowcy musieli zawrócić i cofnąć się do rzeki Jefferson. Cztery dni później, kilka kilometrów poniżej ujścia potoku Ruby, Sakakawea rozpoznała samotną skałę, nazwaną z powodu kształtu Głową Bobra (*Beaver's Head*). Ucieszona, poinformowała dowódców wyprawy, że niedaleko, w dolinie Lemhi, znajdują się letnie łowiska jej plemienia. Te słowa wlały otuchę w serca skrajnie zmęczonych ludzi i dodały im sił. Nazajutrz ekipa zwiadowcza (Lewis i jego trzej towarzysze) znowu ruszyła przodem w poszukiwaniu Indian. Posuwając się uparcie wzdłuż kolejnych odnóg rzeki Jefferson, 12 sierpnia zwiadowcy dotarli do źródeł potoku Trail, który Lewis błędnie wziął za miejsce narodzin wielkiej Missouri**[11]**. Nieco dalej otworzyła się przed nimi szeroka szczelina skalna, przez którą wiódł odwieczny szlak indiański do doliny Lemhi. Lewis i jego ludzie zeszli na zachodnią stronę pasma Bitterroot Range, po raz drugi przekroczyli kontynentalny dział wód i wyszli poza granice Terytorium Luizjany. Tym samym jako pierwsi Amerykanie wkroczyli od wschodu na ziemie leżące w dorzeczu Kolumbii.

Tymczasem główna część wyprawy z trudem posuwała się w górę rzeki Jefferson po znakach pozostawionych przez Lewisa. Wkrótce rzeka zmieniła się w wąski górski potok, uniemożliwiając dalszą żeglugę. Znowu trzeba było zejść na ląd i iść pieszo, dźwigając obciążone zapasami łodzie.

W deszczowy wtorek 13 sierpnia Lewis i jego towarzysze natknęli się w końcu na wioskę Szoszonów z grupy wodza Cameahwaita. Na widok Indian odkrywca demonstracyjnie odłożył broń i rozwinął amerykańską flagę. Wódz, otoczony świtą sześćdziesięciu konnych wojowników, właściwie odczytał gest białego przybysza, wypalił z nim fajkę pokoju, a następnie powiódł uroczyście do swojego obozu. Kiedy jednak Lewis poprosił za pośrednictwem Drouillarda o pomoc w odszukaniu trzonu wyprawy, podejrzliwi Indianie odmówili, obawiając

się zasadzki. W końcu jednak udało się przełamać ich nieufność i po dwóch dniach pobytu w obozie Szoszonów zwiadowcy w towarzystwie dwudziestu ośmiu mężczyzn i kobiet ruszyli na poszukiwanie oddziału Clarka.

17 sierpnia obie grupy połączyły się szczęśliwie w górnym biegu rzeki Jefferson. Ku swej wielkiej radości Sakakawea rozpoznała w towarzyszących Lewisowi Szoszonach dawno niewidzianych ziomków z doliny Lemhi, co dowódcy wyprawy uznali za nadzwyczajne wydarzenie. Na jego pamiątkę miejsce, w którym spotkały się obie grupy, nazwali Szczęśliwym Obozem (*Camp Fortunate*). Jeszcze większa radość czekała wszystkich w wiosce Cameahwaita. Podczas uroczystego powitania białych w wielkim namiocie rady Sakakawea, która miała być tłumaczką, podbiegła nagle do wodza, zarzuciła mu swój koc na ramiona i z płaczem objęła go za szyję. Rozpoznała w nim bowiem starszego brata, o którym sądziła, że dawno nie żyje. To całkowicie przełamało lody. Lewis i Clark poinformowali Szoszonów o celu swojej wyprawy, ale życzliwi Indianie odradzali im dalszą drogę na zachód. Przestrzegali przed głodem w dzikiej głuszy, gdzie nie sposób nic upolować, złowrogimi górami pokrytymi gęstym lasem, przez które ciężko się przedrzeć, i „krainą duchów” czyhających na śmiałków.

Mimo tych przestróg nieustraszeni odkrywcy postanowili kontynuować wyprawę trudnym szlakiem północnym, prowadzącym ku żeglownej rzece Clearwater. Rozpoznali okolicę, kupili od Szoszonów konie potrzebne do przebycia gór (choć nie było to łatwe, bo na krótko przed przybyciem ekspedycji wiele koni skradły Szoszonom Czarne Stopy) i ostatniego dnia sierpnia ruszyli w dalszą drogę, do doliny rzeki Bitterroot. 4 września kawalkada złożona z trzydziestu jucznych koni, prowadzona przez dwóch wynajętych indiańskich przewodników, napotkała obóz przyjaznych Indian Płaskich Głów. Biali kupili od nich trzynaście dodatkowych koni i pięć dni później w okolicach dzisiejszej Missouli w Montanie rozbili obozowisko, które nazwali Miejscem Odpoczynku Podróżnych (*Travellers Rest*). Tam, nad strumieniem Lolo wijącym się pośród wzgórz pokrytych wczesnym wrześniowym śniegiem, przez dwa dni zbierali siły do pokonania ostatniego odcinka drogi przez dzikie pustkowia Gór Skalistych oddzielające ich od żeglownej rzeki Clearwater.

11 września ekspedycja ruszyła dalej i po dwóch dniach dotarła do strasznej przełęczy Lolo, którą później nazwano Piekielnymi Wrotami (*Hell Gate*). Nazajutrz rozpoczął się najtrudniejszy etap całej wyprawy: mordercza wspinaczka przez góry Bitterroot wśród szalejących wichrów, śnieżycy i dokuczliwego zimna. Na domiar złego indiański przewodnik pomylił w zamieci drogę i wybrał niewłaściwy szlak. Głodni, spragnieni i przemarznięci wędrowcy musieli prze-

dzierać się przez dzikie pustkowia w skrajnie trudnych warunkach. Słaniali się ze zmęczenia, ostre odłamki skał i ciernie kolczastych krzewów przebijały im mokasyny i raniły zmarznięte stopy, zwalone drzewa blokowały przejścia. Konie ślizgały się po stromych zboczach i zsuwały w głębokie przepaście.

Skończyły się zapasy żywności i wody. O polowaniu w tym górskim piekle nie było mowy, więc zdesperowani podróżnicy zarżnęli trzy konie, zjedli psa i resztki sadła niedźwiedziego, a nawet wszystkie świece łojowe. Pragnienie gasili stopionym śniegiem. Sakakawea z dzieckiem w nosidełku na plecach pomagała wyszukiwać pod śniegiem jadalne korzenie, czym niewątpliwie przyczyniła się do uratowania wyprawy od śmierci głodowej.

Wprost graniczy z cudem, że ekspedycja zdołała pokonać ten piekielny, dziki szlak Lolo (*Lolo Trail*). Udało się jednak i 20 września Clark z sześcioma ludźmi jako pierwsi resztkami sił przebyli góry i zeszli na zachodnią stronę pasma Bitterroot. U podnóża gór, na wolnej od śniegu prerii Weippe, natknęli się na indiańską osadę. „W odległości jednej mili od szałasów – napisał w swoim dzienniku Clark – napotkaliśmy trzech indiańskich chłopców, którzy na mój widok uciekli i ukryli się w trawie. Zsiadłem z konia i wraz z bronią oddałem go pod opiekę jednemu z moich ludzi. Potem przeczesałem trawę i znalazłem dwóch chłopców. Dałem im po kawałku kolorowej wstążki i wysłałem do obozu. Wkrótce ostrożnie wyszedł mi na spotkanie mężczyzna. Zaprowadził mnie do dużej, przestronnej chaty, gdzie otoczyła mnie gromada wystraszonych kobiet i dzieci. W zamian za kilka drobiazgów otrzymaliśmy po kawale bizoniego mięsa, trochę suszonych jagód i różnych korzeni”.

Indianami, których spotkał Clark, byli Nez Percé (Przekłute Nosy) z jesiennego obozu wodza Kręcone Włosy znad rzeki Clearwater w dzisiejszym stanie Idaho**[**[12]**]**. Przyjazne przyjęcie uczestnicy wyprawy zawdzięczali kobiecie o imieniu Wet-khoo-weis. Na krótko przed przybyciem ekspedycji powróciła ona z Kanady, gdzie zetknęła się z białymi, i to ona najprawdopodobniej przekonała swoich współplemieńców, aby nie robili przybyszom krzywdy i powitali ich gościnnie.

Nazajutrz wódz Kręcone Włosy osobiście poprowadził swoich gości z powrotem na prerię Weippe, gdzie 22 września nadciągnęła skrajnie wycieńczona grupa Lewisa. Od wyjścia z Travellers Rest ludzie, z których wielu chorowało na czerwonkę, przebyli w ciągu jedenastu dni ponad dwieście pięćdziesiąt kilometrów.

Indianie powiedli ich do swojego obozu i nakarmili suszonymi łososiami, ja-

godami i kamasją[13]. Wygłodniali Amerykanie ciężko odchorowali łapczywość, z jaką rzucili się na jedzenie. Gdyby Nez Percé chcieli ich wtedy zniszczyć, chociażby po to, aby przejąć cenne konie i broń, zrobiliby to bez trudu, bo bezsilna większość białych nie była zdolna do jakiegokolwiek wysiłku. Indianie jednak okazali im autentyczną życzliwość i gościnność. Otoczeni szczerą opieką, uczestnicy wyprawy szybko odzyskiwali siły po strasznych doznaniach górskich.

Przyjaźni Indianie z udziałem samego wodza wykonali na białej jeleniej skórze mapy terenu, wskazali gościom dalszą drogę wodną do wybrzeży Oceanu Spokojnego, a następnie poprowadzili ich w dół Clearwater. W obozie Canoe Camp, założonym u ujścia północnej odnogi rzeki, odkrywcy przez jedenaście dni ciężko pracowali, wydłubując z pni sosnowych pięć prostych czółen. 7 października zostawili wszystkie konie pod opieką rodziny Kręconych Włosów, spuścili dłubanki na bystre wody Clearwater i popłynęli z jej biegiem na zachód.

W napotykanych po drodze wioskach i obozach rybackich Nez Percé zaopatrzyli się dodatkowo w suszone ryby, jadalne korzenie i psy. W negocjacjach z innymi plemionami pomagał im wódz Kręcone Włosy i jeszcze jeden wojownik, którzy zostali z nimi po odejściu obu szoszońskich przewodników. Spływ był bardzo niebezpieczny, lecz nadchodząca szybko zima zmuszała do pośpiechu. Silny prąd dzikich, nieujarzmionych rzek Snake i Kolumbii miotał chybotliwymi łodziami wśród grzmotu i piany wód przewalających się z olbrzymią prędkością, a liczne katarakty i wodospady trzeba było obchodzić pieszo.

22 października wspaniałe wodospady Celilo na Kolumbii, przerażające masami wód spadających z hukiem w czterdziestoseściometrową otchłań, zmusiły wyprawę do ostatniego większego obejścia. Trzy dni później w wielkim centrum handlowym ludów Zachodniego Wybrzeża i Płaskowyżu (dzisiejszym The Dalles), w miejscu gdzie Kolumbia przecina pasmo Gór Kaskadowych, odkrywcy pożegnali życzliwych im Indian i już sami kontynuowali podróż w kierunku oceanu[14]. Wreszcie 7 listopada 1805 roku, kiedy ciężka mgła uniosła się znad rzeki pod przysłonięte ciemnymi deszczowymi chmurami niebo, ujrzeli bezkresne wody Pacyfiku. „Wielka radość w obozie, ocean na horyzoncie! – zapisał tego dnia Clark w swoim dzienniku. – Wielki Ocean Spokojny, którego wyglądaliśmy niecierpliwie od tak dawna!”.

Zanim jednak zanurzyli dłonie w wodach „zachodniego oceanu”, minęły jeszcze całe trzy tygodnie. Straszliwe burze i sztormy zatrzymały ich bowiem w odległości ponad trzydziestu kilometrów od wybrzeża. Do oceanu dotarli dopiero

w pierwszych dniach grudnia, po przeszło osiemnastu miesiącach od rozpoczęcia podróży. Dla podkreślenia wagi tego wydarzenia Clark – czy to z właściwej odkrywcom próżności, czy też przejęty powagą chwili – wyrył na pniu wielkiego drzewa napis: „William Clark, 3 grudnia 1805 roku. Lądem ze Stanów Zjednoczonych w 1804 i 1805 roku”.

Tak więc Lewis i Clark wypełnili doniosłe zadanie zlecone im przez prezydenta Jeffersona, co pozwoliło później Stanom Zjednoczonym opanować kontynent od morza do morza. Niedaleko ujścia Kolumbii wybudowali prymitywną palisadę, którą nazwali Fort Clatsop. Przez prawie pięć miesięcy badali wybrzeże Oregonu po obu stronach Kolumbii, spotykali się z miejscowymi Indianami, pisali raporty, rysowali mapy, polowali i przygotowywali zapas ponad trzystu par mokasynów na drogę powrotną.

Pobyt nad oceanem nie był sielanką. Wybrzeże Pacyfiku okazało się groźne i niegościnne, a miejscowi Indianie z plemienia Czinuków opryskliwi i niezbyt przyjaźni. Ludziom dokuczały tęsknota za domem, choroby, brak pożywienia i ciągłe deszcze (przez całą zimę nie padało tylko przez dwanaście dni). Na początku marca dla członków wyprawy nadeszły szczególnie ciężkie dni, gdy skończył się zapas tytoniu i whisky. Ostatecznie 23 marca 1806 roku ekspedycja opuściła Fort Clatsop i ruszyła w drogę powrotną na wschód.

Podróż znanym już szlakiem w górę Kolumbii i Snake była znacznie łatwiejsza. Łodzie, opróżnione z zapasów i prezentów dla Indian, już tak nie ciążyły, a obchodzenie przeszkód na rzece nie sprawiało tylu trudności co poprzednio.

W pierwszych dniach maja podróżnicy dotarli do gościnnych Nez Percé w dolinie Kamiah, u których jesienią pozostawili konie, i z przykrością dowiedzieli się, że z trzydziestu ośmiu zwierząt zimę przeżyło tylko dwadzieścia jeden. Musieli więc koniecznie postarać się o nowe, co wcale nie było łatwe. Na szczęście dzięki ostatnim zachowanym prezentom oraz pomocy medycznej świadczonej Indianom udało się Clarkowi zdobyć czterdzieści cztery sztuki. Dalszą podróż powrotną uniemożliwiły jednak obfite opady, które pokryły prerię nad Clearwater dwudziestocentymetrową warstwą śniegu i całkowicie zasypały przełęcze górskie. Trzeba było zaczekać, aż śnieg stopnieje i odsłoni przejście przez góry Bitterroot.

Wódz Kręcone Włosy przedstawił białych naczelnikom innych grup Nez Percé. Wszędzie przyjmowano ich gościnnie, obficie karmiono i nie szczędzono opieki. Zachwycony przyjęciem Lewis określił ludzi z tego plemienia jako „najbardziej gościnnych, najuczciwszych i najszczerszych”, jakich spotkał podczas

całej podróży. Clark z kolei, którego podziw dla Nez Percé rósł w miarę przedłużania się pobytu wśród nich, napisał, że okazali oni członkom wyprawy „więcej gościnności niż jakikolwiek inny naród lub szczep”. Zwracał też uwagę na ich wygląd i urodę. W dzienniku pod datą 24 września 1805 roku zanotował: „Indianie Chopunnish są najprzystojniejszymi ludźmi, jakich widziałem. Kobiety noszą suknie z koźlej skóry przystrojone paciorkami, muszelkami i ciekawie wyglądającymi zwierzęcymi kośćmi. Mężczyźni ubierają się w wyprawione na biało skóry bizonów lub jeleni, które dekorują koralikami i morskimi muszelkami”.

*Lewis i Clark w forcie Clatsop*

Na znak przyjaźni Lewis i Clark rozdawali wodzom pamiątkowe medale i amerykańskie flagi**[**[15]**]**. Przy pomocy Sakakawei i pewnej kobiety z plemienia zachodnich Szoszonów, która w niewoli u Nez Percé dobrze poznała ich język, opisywali starszyźnie potęgę Stanów Zjednoczonych i wyjaśniali cele ekspedycji. Zapewniali, że jednym z głównych zadań wyprawy jest zaprowadzenie pokoju pomiędzy zwaśnionymi szczepami Indian i stworzenie warunków do budowy na ich ziemiach faktorii handlowych, w których mogliby się zaopatrywać w towary białych ludzi. Wodzowie Nez Percé sceptycznie odnieśli się do możli-

wości zawarcia pokoju z odwiecznymi wrogami: zachodnimi Szoszonami, Pajutami i Bannokami oraz Czarnymi Stopami z równin Montany, ale perspektywa dostępu do broni palnej i amerykańskich towarów wyraźnie ich zainteresowała. Ostatecznie przywódcy, wśród których prym wiedli wielcy wodzowie wojenni Złamane Ramię, Czerwony Niedźwiedź Grizzly i Ucięty Nos, obiecali „rozważyć korzyści płynące z pokoju i chętniej działać na rzecz utrzymania pokojowych stosunków z sąsiadami". Co więcej, złożyli uroczystą deklarację, że odtąd biali mogą być pewni ich gorących uczuć i liczyć na wszelką pomoc z ich strony, bo chociaż Nez Percé są biedni, mają dobre serca.

Późniejsza historia pokazała, że ta obietnica przyjaźni i sojuszu z Amerykanami zaważyła na przyszłych stosunkach plemienia z białymi. Wieść o przymierzu zawartym w czasie pamiętnej narady 1806 roku rozniosła się po wszystkich obozach Nez Percé i była przekazywana z pokolenia na pokolenie. Indianie, którzy mieli okazję osobiście spotkać obu wielkich odkrywców, Clarka i Lewisa, mówili o tym z dumą i dbali, aby młodzi honorowali przyrzeczenie tak jak ich przodkowie. Mimo późniejszych kłopotów z białymi i krzywd, jakich Nez Percé od nich doznali, tradycyjna przyjaźń do Amerykanów przetrwała z małymi wyjątkami do roku 1877.

Obfite opady śniegu i zasypane przełęcze górskie zatrzymały wyprawę w dolinie Kamiah na wiele dni. Niemal codziennie uczestnicy ekspedycji niecierpliwie wyglądali oznak poprawy pogody. „Widok szybko podnoszącej się wody w rzece napełnia mnie radością – zanotował Lewis 17 maja – gdyż jest to bez wątpienia skutek topnienia śniegu w górach. Trochę cierpliwości, a padnie lodowa bariera, która odgradza mnie od przyjaciół i kraju".

10 czerwca ekspedycja ruszyła dalej na wschód, prowadzona przez kilku młodych Indian, którzy postanowili zapolować na bizony. „O godzinie 11 wyjechaliśmy, każdy konno, z lekkim ładunkiem na drugim koniu, nie licząc zapasowych wierzchowców, które w razie konieczności można będzie nawet zjeść. Tym razem czujemy się doskonale przygotowani do przebycia gór" – zapisał skrupulatny Lewis.

Chociaż dni były już coraz cieplejsze, a w dolinach kwitły łąki, zima w wyższych partiach gór nie chciała ustąpić. Zapiski Lewisa z 17 czerwca wskazują, że tego dnia wyprawę zatrzymał śnieg głęboki na ponad trzydzieści centymetrów, zalegający nawet na południowych, najbardziej nasłonecznionych stokach. „Dalsze posuwanie się w tych warunkach uznaliśmy za szaleństwo, gdyż nasze konie nie wytrzymają bez jedzenia dłużej niż przez pięć dni" – brzmi zapis.

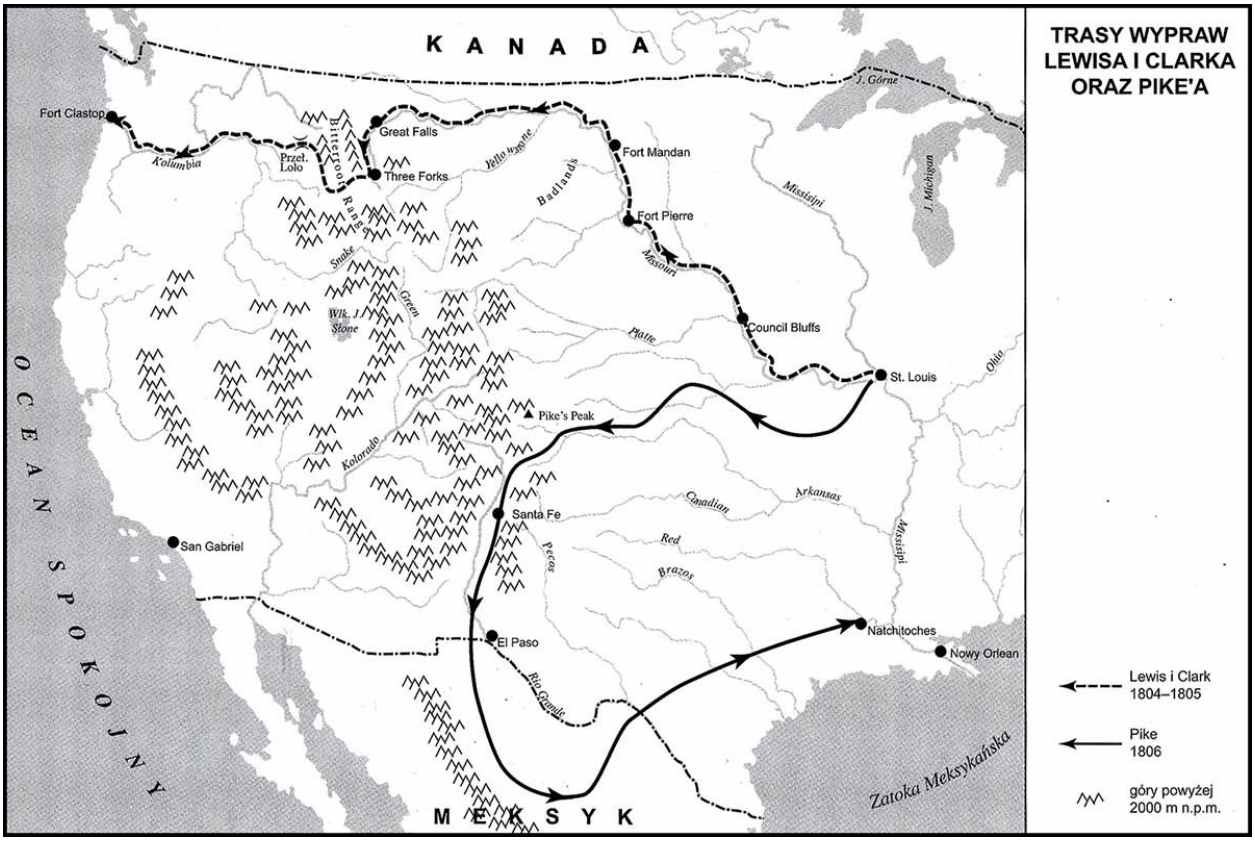


Dopiero tydzień później warunki poprawiły się na tyle, że można było zaryzykować ostatnie przejście przez góry. 24 czerwca rozpoczął się decydujący etap drogi na wschód groźnym szlakiem Lolo. Ostatniego dnia czerwca wyprawa szczęśliwie przebyła pasmo Bitterroot i ponownie znalazła się w Travellers Rest. Podróżnicy pokonali dwieście pięćdziesiąt kilometrów dzielących ich od krainy Nez Percé w sześć dni, czyli w czasie o połowę krótszym niż w kierunku zachodnim.

3 lipca w Travellers Rest ekspedycja podzieliła się na dwie grupy, żeby zbadać większy obszar Terytorium Luizjany. Clark z dwudziestoma ludźmi, Charbonneau, Sakakaweą i jej dzieckiem oraz pięćdziesięcioma końmi ruszył na południe w górę rzeki Bitterroot na poszukiwanie Szoszonów. Lewis na czele dziewięciu ludzi poszedł skrótem na północny wschód w stronę Montany.

Grupa Clarka minęła miejsce, gdzie rok wcześniej napotkano obóz Płaskich Głów, przekroczyła kontynentalny dział wód na dzisiejszej przełęczy Gibbona, zeszła do doliny Big Hole i 8 lipca przybyła do Camp Fortunate. Nie napotkawszy Szoszonów, którzy zdążyli już odejść na południe do Wielkiej Kotliny, podróżnicy wydobyli z ukrycia czółna i zapasy, po czym udali się do Three Forks. Tam grupa się podzieliła: sierżant John Ordway popłynął z dziewięcioma ludźmi

w dół Missouri i 18 lipca dotarł do Great Falls, a Clark z resztą oddziału i końmi podążył na wschód wzdłuż Gallatin, aby spenetrować dolinę rzeki Yellowstone. Podczas nocnego postoju w pobliżu dzisiejszego Livingstone w Montanie do obozu zakradli się Indianie Wrony i niepostrzeżenie uprowadzili wszystkie konie ekspedycji. Dalsza podróż grupy Clarka wzdłuż Yellowstone aż do jej ujścia do Missouri przebiegła już bez większych zakłóceń.

Tymczasem Lewis przeprawił się przez Clark Fork do rzeki Blackfoot. 6 lipca przekroczył kontynentalny dział wód na dzisiejszej Przełęczy Lewisa i Clarka, po czym zszedł na równiny Montany. Idąc starym szlakiem myśliwskim Nez Percé wzdłuż strumienia Sun, dotarł do Great Falls i z przykrością stwierdził, że zapasy ukryte zeszłego lata u stóp wodospadów wypatrzyli i ukradli Indianie. Nie czekając na Clarka, 16 lipca podążył z trzema ludźmi na północ, żeby zbadać tereny w górze rzeki Marias i sprawdzić, czy ma ona połączenie z oceanem, a przy okazji osiągnąć pięćdziesiąty równoleżnik, stanowiący północną granicę Luizjany.

27 lipca w drodze powrotnej do Missouri doszło nad strumieniem Badger do niefortunnej potyczki z grupą ośmiu Czarnych Stóp, którzy nocą próbowali ukraść im broń i konie. W zamieszaniu jeden z ludzi Lewisa, Reuben Fields, pchnął nożem w serce wojownika o imieniu Ten-Który-Patrzy-Na-Cielę-Bizona, a Lewis – zmuszony do użycia broni – śmiertelnie postrzelił drugiego napastnika. To jedyne podczas całej wyprawy starcie z Indianami miało dalekosiężne skutki. Odtąd między Amerykanami i Czarnymi Stopami, nazywanymi ze względu na ich dużą liczebność i bitność „władcami północnych prerii”, na wiele lat zapanowała otwarta wrogość.

Lewis i Clark spotkali się ponownie 12 sierpnia nad Missouri, dwieście kilometrów poniżej ujścia Yellowstone. Dwa dni później ekspedycja dotarła do wiosek Mandanów nad rzeką Knife. Tam obaj dowódcy pożegnali Charbonneau i jego rodzinę (Kanadyjczyk otrzymał pięćset dolarów wynagrodzenia, a Sakakawea nie dostała nic). Od wyprawy odłączył się zwerbowany w Pittsburghu John Colter z Wirginii, który postanowił z dwoma przypadkowo spotkanymi traperami z Illinois powrócić w góry na połów bobrów. Pozostali uczestnicy po trzech dniach odpoczynku ruszyli do St. Louis w towarzystwie zaprzyjaźnionego wodza Mandanów, Sheheke.

Płynąc w dół rzeki z prędkością ponad stu kilometrów dziennie, 23 września 1806 roku, po upływie dwu lat, czterech miesięcy i dziewięciu dni, wyprawa dotarła do St. Louis. Przybycie odkrywców wywołało wielką radość i zdziwienie,

od dawna bowiem uważano ich za zmarłych.

Następnie Lewis i Clark udali się do Waszyngtontu, gdzie powitano ich jak bohaterów narodowych. W uznaniu zasług obaj dostali po tysiąc sześćset akrów ziemi (około sześciuset pięćdziesięciu hektarów), a każdemu z szeregowych uczestników wyprawy przyznano podwójny żołd i trzysta dwadzieścia akrów ziemi (około stu trzydziestu hektarów). Ponadto Lewis otrzymał stanowisko gubernatora Luizjany, które pełnił przez kolejne dwa lata, Clarka zaś mianowano agentem do spraw Indian na Terytorium Luizjany i generałem brygady milicji terytorialnej.

Dalsze losy głównych bohaterów ekspedycji potoczyły się różnie. Kilka miesięcy po powrocie z wyprawy Charbonneau przybył z rodziną na zaproszenie Clarka do St. Louis, gdzie czekała na niego działka ziemi przyznana mu przez rząd amerykański. Kanadyjczyk nie miał jednak charakteru farmera i po kilku miesiącach, wiosną 1807 roku, wrócił do Dakoty, aby dalej prowadzić życie trapera. W późniejszych latach zasłynął jako pracownik Amerykańskiej Kompanii Futrzarskiej oraz tłumacz i przewodnik po preriach nad górną Missouri**[16]**. Sakakawea została przez jakiś czas w St. Louis i wychowywała syna, a od sierpniu 1807 roku także córeczkę Lizette. Później dołączyła do męża w Dakocie, pozostawiając małego Jeana Baptiste’a pod opieką Clarka.

Meriwether Lewis okazał się nie najlepszym politykiem i gubernatorem Luizjany. Zginął w październiku 1809 roku w pobliżu Nashville w Tennessee, w drodze do Waszyngtonu, w niewyjaśnionych okolicznościach. Według jednej z wersji było to zabójstwo, według innej – samobójstwo. Sakakawea zmarła w grudniu 1812 roku w forcie Manuel nad Missouri w Dakocie Południowej podczas epidemii tyfusu**[17]**. Jeden z naocznych świadków jej śmierci, John Luttig, który w zastępstwie Williama Clarka opiekował się w tym czasie jej dziećmi, napisał 20 grudnia 1812 roku: „(...) tego wieczoru żona Charbonneau, *Snake Squaw* [Szoszonów nazywano także *Snakes*, czyli Wężami, z powodu uprawianego tańca węża – przyp. J.W.], zmarła na »zgniłą gorączkę«. Była dobrą kobietą, najlepszą w forcie, miała około 25 lat. Zostawiła małą córeczkę”. Jeanem Baptiste’em i Lizette znów zajął się Clark, starając się zastąpić im nieobecnego ojca i zmarłą matkę.

W latach 1813–1821 pełnił on funkcję gubernatora nowo utworzonego Terytorium Missouri. W 1814 roku opublikował dzienniki z wyprawy, a w 1820 roku bezskutecznie ubiegał się o nominację na gubernatora stanu Missouri. W latach 1822–1838 był komisarzem do spraw Indian w St. Louis, szanowanym przez

wszystkich za prawość charakteru i uczciwość. Zmarł 1 września 1838 roku.

Ekspedycja Lewisa i Clarka, dobrze zaplanowana i brawurowo poprowadzona, zakończyła się sukcesem. Jej uczestnicy przebyli ponad jedenaście tysięcy kilometrów i jako pierwsi Amerykanie dotarli do Oceanu Spokojnego od wschodu. Odkryli dla nauki niezliczoną liczbę nieznanych dotąd gatunków roślin i zwierząt, poznali i opisali wiele plemion indiańskich, po raz pierwszy własnoręcznie wykonali mapy terenów uważanych do tej pory za „białą plamę Ameryki" i dostarczyli rządowi Stanów Zjednoczonych ważkich argumentów uzasadniających jego roszczenia do Terytorium Oregonu. Opłacił się zatem koszt wyprawy, choć wyniósł trzydzieści dziewięć tysięcy dolarów, czyli wielokrotnie więcej niż początkowe dwa i pół tysiąca dolarów, o które w 1803 roku zabiegał w Kongresie Jefferson.

Nie wszystkie jednak rezultaty ekspedycji dało się z powodzeniem wykorzystać. Odkryty przez Lewisa i Clarka szlak od źródeł Missouri do Kolumbii, który według oczekiwań Jeffersona miał być krótki i łatwy do przebycia, okazał się morderczą ponadtrzystapięćdziesięciokilometrową drogą przez wyjątkowo trudny kraj. Większość obszarów prerii i Gór Skalistych pozostała wciąż niezbadana, a możliwości poznania nowych ziem ograniczało blokowanie przez Hiszpanię dogodniejszych południowych szlaków wzdłuż rzek Arkansas, Canadian i Red. Znaczna część Luizjany nie nadawała się pod uprawę ze względu na dzikie półpustynne obszary Wielkich Równin i niedostępne góry. Niemal wszędzie stosunki z Indianami były napięte i trudne do uregulowania. Ostatecznie wybuch wojny amerykańsko-angielskiej (1812–1814) na wiele lat zahamował ekspansję na zachód kontynentu. Przygasły wielkie nadzieje i entuzjazm, które wzbudziła wśród Amerykanów wyprawa Lewisa i Clarka. Trzeba było wiele czasu i wielu nowych doświadczeń, żeby idea „wielkiego pochodu" na zachodnie krańce Stanów Zjednoczonych mogła się urzeczywistnić.

## Zebulon Pike odkrywca czy fartowny szpieg?

W czasie gdy Lewis i Clark realizowali plan prezydenta Jeffersona, penetrując północno-zachodnie obszary kontynentu, jego podwładni przygotowywali już nową wyprawę. Ogromne Terytorium Luizjany było bowiem zbyt wielkie, aby mogła je zbadać pojedyncza ekspedycja. Duże doliny ciągnące się ze wschodu na zachód na południe od Missouri w kierunku Gór Skalistych, zwłaszcza doliny rzek Arkansas, Canadian i Red rozpalały wyobraźnię Amerykanów i budziły ciekawość, co się znajduje po zachodniej stronie skalnej granicy. Kilka

niewielkich ekip badawczych dokonało zachęcających pomiarów w dolinie Red River i Jefferson postanowił znacznie rozszerzyć zakres poszukiwań w tej części kontynentu.

W 1806 roku badaniem mało znanych terenów u źródeł Missisipi zajął się młody, dwudziestosiedmioletni oficer armii Stanów Zjednoczonych porucznik Zeb Pike.

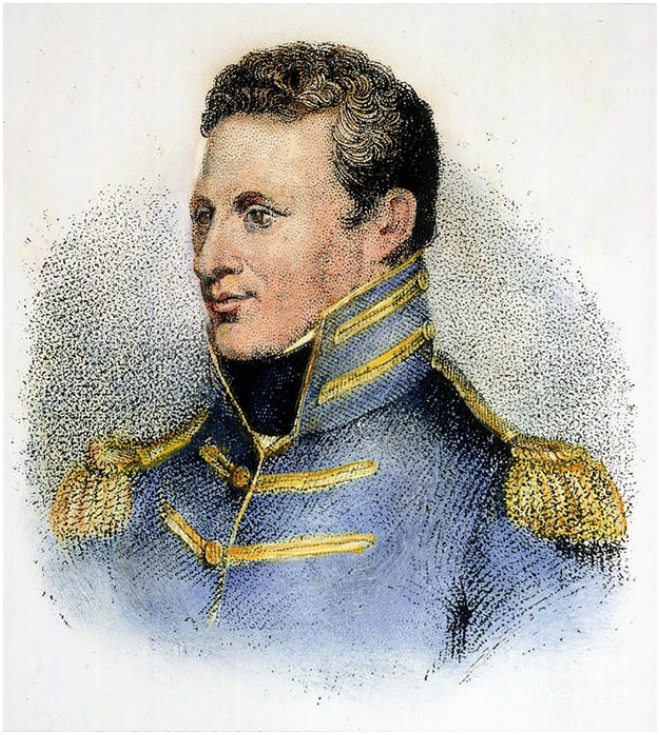

*Porucznik Zebulon Pike*

Zebulon Montgomery Pike urodził się 5 stycznia 1779 roku w Lamberton (obecnie dzielnica Trenton) w New Jersey. Jego ojciec, także Zebulon, był oficerem w Armii Kontynentalnej generała Jerzego Waszyngtona i po zakończeniu wojny o niepodległość pozostał w wojsku. Młody Pike dorastał w różnych fortach na środkowym pograniczu kraju, w Ohio i Illinois. W 1794 roku rozpoczął służbę wojskową jako kadet w pułku swojego ojca. Pięć lat później został chorążym, a w następnym roku był już porucznikiem 1. pułku piechoty, stacjonującego w zachodniej Pensylwanii. W 1801 roku w atmosferze skandalu rodzinnego ożenił się w Cincinnati ze swoją bliską kuzynką, Clarissą Brown. Po ślubie służył w pogranicznych fortach Vincennes i Kaskaskia.

Kariera wojskowa Pike’a była związana z generałem Jamesem Wilkinsonem, pierwszym gubernatorem nowo powstałego terytorium Górnej Luizjany. To właśnie on w 1805 roku, początkowo bez wiedzy prezydenta Jeffersona, polecił Pike’owi odszukać źródła Missisipi, nawiązać kontakt z plemionami indiańskimi mieszkającymi w górnym biegu rzeki, kupić działki pod budowę przyszłych fortów i nakłonić Brytyjczyków do likwidacji swoich placówek handlowych na obszarze przylegającym do Wielkich Jezior, do którego rościli sobie pretensje Amerykanie.

Pike opuścił bazę w forcie Bellefontaine koło St. Louis, u ujścia Missouri, 9 sierpnia 1805 roku. Wraz z dwudziestoma ludźmi ze swojego pułku popłynął w

górę Missisipi dwudziestodwumetrowym rzecznym galarem typu *keelboat*, podobnym do tego, jakim posłużyli się Lewis i Clark. U ujścia Rock River w dzisiejszym Illinois napotkał plemię Sauków i rozmówił się z ich wodzem Czarnym Jastrzębiem, który później określił go w swojej autobiografii jako „dobrego i bardzo odważnego człowieka". W Prairie du Chien w Wisconsin spotkał się z Wabashą, wodzem z wpływowej rodziny plemienia Mdewakanton z odłamu wschodnich Siuksów Santee. Wabasha zaproponował mu, aby mianował Małą Wronę, naczelnika grupy Kaposia, odłamu Mdewakantonów z wioski leżącej na zachodnim brzegu Missisipi poniżej ujścia rzeki Minnesota, wodzem swoich stronników wśród wschodnich Siuksów. Podróżnicy zamienili ciężki *keelboat* na dwie lżejsze łodzie i popłynęli dalej w górę rzeki. 23 września w widłach Missisipi i Minnesoty (tam gdzie obecnie znajduje się aglomeracja miejska Minneapolis–St. Paul) spotkali wspomnianego Małą Wronę, dziadka późniejszego słynnego wodza Siuksów o tym samym imieniu, oraz kilku innych wodzów Mdewakantonów. Pike kupił od nich ponad sto pięćdziesiąt pięć tysięcy akrów ziemi na cele wojskowe za podarki wartości dwustu dolarów, sześćdziesiąt galonów whisky i przyznanie Indianom prawa do polowań na nabytym obszarze. Mimo wielu spotkań z przedstawicielami różnych plemion indiańskich i niezłych interesów, nie udało mu się jednak przekonać żadnego z wodzów Santee do odwiedzin w St. Louis i rozmów z Wilkinsonem. Niepowodzeniem zakończyły się także jego energiczne próby zamknięcia posterunków brytyjskiej Kompanii Północno-Zachodniej (*North West Company*). Błędnie również zlokalizował źródła Missisipi w wodach jeziora Cass Lake (za jej początek uznaje się wypływ z jeziora Itasca w północnej części stanu Minnesota). Pokonawszy prawie osiem tysięcy kilometrów, ekspedycja powróciła do St. Louis 30 kwietnia 1806 roku. Historycy uznali tę wyprawę za nieudaną, ponieważ Pike'owi nie udało się zrealizować żadnego z głównych celów, z wyjątkiem korzystnego nabycia terenu pod budowę późniejszej placówki wojskowej**[**[18]**]**. Niewątpliwie jednak doświadczenie, którego nabył wówczas młody oficer, przydało mu się w następnej wyprawie, na południowy zachód.

Krótko po powrocie Pike'a z głównego biegu Missisipi, Wilkinson postanowił, bez upoważnienia sekretarza wojny Henry'ego Dearborna w Waszyngtonie, wysłać go z kolejną ekspedycją, tym razem w celu zbadania suchych obszarów w południowej części Luizjany nad rzekami Arkansas i Red w dzisiejszym Kansas i Oklahomie. Chodziło o „rozpoznanie" granicy pomiędzy nowymi nabytkami terytorialnymi Stanów Zjednoczonych i posiadłościami hiszpańskimi na południowym zachodzie oraz o nawiązanie przyjaznych kontaktów z niektórymi

miejscowymi plemionami indiańskimi (Osagami, Kansa, Paunisami i Komanczami), z myślą o ustanowieniu efektywnej kontroli nad olbrzymimi obszarami Luizjany, w tym nad dzisiejszymi stanami Kansas i Nebraska. Przy okazji wspólnik Wilkinsona z Illinois, kupiec William Morrison z Kaskaskia, zlecił Pike'owi zbadanie możliwości wymiany handlowej z Hiszpanami w Nowym Meksyku.

W roku 1806 napięcie między Amerykanami i Hiszpanami na zachodniej granicy groziło wybuchem wojny. Władze amerykańskie chciały wiedzieć, gdzie są zlokalizowane hiszpańskie forty, ilu żołnierzy w nich stacjonuje i jakie niebezpieczeństwa czyhają na podróżnych. Obowiązkiem Wilkinsona, jako gubernatora Górnej Luizjany, było organizowanie działań wywiadowczych przeciwko Hiszpanii. Zlecał to swoim oficerom, którzy często przebierali się za myśliwych lub handlarzy. List napisany przez niego w lipcu 1806 roku nie pozostawia wątpliwości, że Pike miał się znaleźć jak najbliżej Santa Fe, najważniejszego wówczas miasta i centrum administracyjno-wojskowego w hiszpańskim Nowym Meksyku. Sam Wilkinson według wszelkich znaków na niebie i ziemi był podwójnym agentem i pracował na rzecz Hiszpanii (to on przypuszczalnie powiadomił władze hiszpańskie o wyprawie Lewisa i Clarka). W każdym razie wyprawa Pike'a na pogranicze hiszpańskie wynikała zarówno z oficjalnych, jak i nieoficjalnych interesów generała Wilkinsona**[19]**.

Hiszpania zazdrośnie strzegła dostępu z zewnątrz do Teksasu i Nowego Meksyku, skąd już niedaleko było do kopalni srebra w Durango i Zacatecas, źródła jej wielkiego bogactwa. Nie dopuszczała napływu obcych towarów do swoich kolonii, utrzymywała monopol na wyroby własnego przemysłu i tępiła na swym terytorium idee Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Sprzedaż Luizjany Amerykanom, narodowi jankeskich kupców, którego przedstawiciele dawno już przekroczyli Appalachy i niczym złośliwa narośl usadowili się na wschodnich granicach Nowej Hiszpanii, uświadomiła Hiszpanom, że muszą ich zatrzymać za wszelką cenę. Tym bardziej że chodziły pogłoski, jakoby granice amerykańskiej Luizjany sięgają brzegów Rio Grande, a nie tylko Red River.

Hiszpania nadal uważała wszystkie ziemie na zachód od Missisipi za swoje i zabraniała Amerykanom wstępu na te terytoria**[20]**. Z kolei Amerykanie chcieli przesunąć swoje granice jak najdalej: na zachód – do Gór Skalistych, na południe – do Rio Grande i na północny zachód – do Oceanu Spokojnego.

Generał Nemesio Salcedo, komendant generalny wewnętrznych prowincji Nowej Hiszpanii z kwaterą w meksykańskim mieście Chihuahua, starał się za wszelką cenę powstrzymać ekspansję Stanów Zjednoczonych na zachód konty-

nentu. To z jego rozkazu Hiszpanie z garnizonu w Nacogdoches w Teksasie powstrzymali inspirowane przez Jeffersona wyprawy zwiadowcze Williama Dunbara w 1804 roku i Thomasa Freemana w 1806 roku wzdłuż Red River. Jesienią 1805 roku, kiedy Lewis i Clark podążali w górę Missouri i kaptowali Indian dla sprawy amerykańskiej, wezwał Hiszpanów z Nowego Meksyku, aby temu przeciwdziałali. W odpowiedzi wysłano nad rzekę Platte ekspedycję wojskową pod dowództwem francuskiego oficera Pierre'a Pablo. Latem 1806 roku z Nowego Meksyku wyruszyła nad Missouri kolejna wyprawa, w sile ponad sześciuset żołnierzy regularnych i milicji oraz posiłkowych Indian. Dowodził nią porucznik

Facundo Malgares. Tym razem chodziło nie tylko o pokrzyżowanie planów Lewisa i Clarka, lecz także o przechwycenie ekspedycji Pike'a na równinach pomiędzy rzekami Arkansas i Red**[**[21]**]**.

Malgares ruszył 15 czerwca z Santa Fe w dół Red River, do kraju Komanczów. Następnie podążył na północny wschód, ku rzece Arkansas. W obozie na południowym brzegu rzeki, niedaleko dzisiejszego Lamed, pozostawił dwustu czterdziestu ludzi z częścią zaopatrzenia i najbardziej zmęczone zwierzęta. Sam z resztą oddziału dotarł do wioski Paunisów w pobliżu Republican River, koło Guide Rock w dzisiejszej Nebrasce, i ostrzegł indiańskich wodzów przed kontaktami z Amerykanami. Potem wrócił nad Arkansas, zabrał pozostawionych żołnierzy i poszedł w górę rzeki. W Santa Fe był z powrotem 1 października. Tam rozpuścił milicję, a sam z dragonami czekał na rozwój wydarzeń.

15 lipca Pike ponownie wyruszył z fortu Bellefontaine. Towarzyszyli mu: porucznik James Wilkinson, syn gubernatora, jako jego zastępca, cywilny lekarz i naukowiec doktor John Robinson, który dołączył do wyprawy na ochotnika, hiszpańsko-francuski tłumacz Antoine François Vasquez, sierżant, dwaj kaprale i szesnastu żołnierzy po cywilnemu. Członkowie wyprawy, zwanej szumnie ekspedycją Pike'a, popłynęli na dwóch łodziach w górę rzeki Missouri, zamierzając najpierw dotrzeć do kraju Paunisów w zachodniej części dzisiejszych stanów Kansas i Nebraska. W drodze towarzyszyło Amerykanom pięćdziesięciu Indian z plemienia Osagów. Było wśród nich kilku wodzów z Wielkim Żołnierzem, powracających z Waszyngtonu ze spotkania z prezydentem Jeffersonem, oraz grupa wojowników z wodzami wojennymi Bezuchym i Wiatrem, którzy wracali do swoich siedzib w południowo-zachodnim Missouri z niewoli u plemienia Potawatomich w Kansas.

Po krótkim pobycie w osadach przyjaznych Osagów nad Little Osage River, nabyciu koni i wynajęciu indiańskich przewodników – trzech Paunisów i kilku

Osagów z wodzem Bezuchym – 1 września ekspedycja ruszyła dalej na zachód przez równiny Kansas. 25 września dotarła do wioski Paunisów, na południe od Republican River w Nebrasce, ale nie spotkała się tam z przyjaznym przyjęciem wodza Białego Wilka, któremu ledwie kilka tygodni wcześniej porucznik Ma]gares nakazał trzymać się z dala od Amerykanów. Indianie ostrzegli członków wyprawy, aby nie zbliżali się do hiszpańskich posiadłości, lecz pewny siebie, arogancki Pike odparł butnie, że „wojownicy Wielkiego Ojca nie są kobietami, aby można ich było zawrócić słowami", i nakazał zastąpić powiewającą nad wioską flagę hiszpańską gwiaździstym sztandarem amerykańskim. Indianie szybko mieli się przekonać, że Amerykanie w niczym nie przypominają Hiszpanów i Francuzów, z którymi potrafili sobie radzić, i że nie ustępują z ziem, na których raz postawili stopę.

4 października do wioski Paunisów przybyło dwóch fancuskich handlarzy z informacją o szczęśliwym powrocie Lewisa i Clarka do St. Louis. Trzy dni później wyprawa Pike'a podążyła dalej śladami hiszpańskiej kawalerii niewłaściwą drogą, którą nazwano później szlakiem Santa Fe. Po dotarciu 28 października do rzeki Arkansas w pobliżu Great Bend porucznik Wilkinson z pięcioma ludźmi odłączył się i spłynął indiańskimi łódkami ze skór bizonich do miejsca, gdzie uchodzi ona do Missisipi. Następnie popłynął na północ i po siedemdziesięciu trzech dniach podróży przybył szczęśliwie do St. Louis.

Pike tymczasem z pozostałymi piętnastoma ludźmi (jeden zdezerterował) ruszył w górę Arkansas, wciąż trzymając się tropów hiszpańskiej kawalerii Malgaresa. 11 listopada podjął śmiałą, lecz niezbyt mądrą decyzję, żeby kontynuować wyprawę w warunkach zimowych, mimo braku odpowiedniej odzieży i wyposażenia. 23 listopada ekspedycja osiągnęła miejsce dzisiejszego Pueblo w Kolorado. Zafascynowany pięknem Gór Skalistych na zachodzie, Pike z kilkoma towarzyszami podjął bezskuteczną próbę zdobycia strzelistego szczytu, który później nazwano jego imieniem**[**[22]**]**. Niezrażony niepowodzeniem, poprowadził ludzi przez góry aż do źródeł rzeki, którą później zidentyfikowano jako południowe ramię Południowej Platte. Posuwając się dalej na zachód przez górską przełęcz, dotarł do następnej rzeki, którą uznał za Red River, a która okazała się pozostawioną w tyle dwa tygodnie wcześniej rzeką Arkansas. Nadchodząca zima zastała ekspedycję daleko na północ od źródeł Red River.

Boże Narodzenie podróżnicy spędzili w miejscu dzisiejszego miasta Salida w Kolorado, starając się wzmocnić nadwątlone siły mięsem ubitego bizona. Na początku stycznia skręcili na południe i podążyli w dół Arkansas. Pike zdecydował się pozostawić konie pod opieką dwóch ludzi w prowizorycznym obozie nad tą

rzeką i wraz trzynastoma towarzyszami wyruszył 17 stycznia przez śniegi Gór Skalistych na poszukiwanie źródeł Red River. Po drodze trzech ludzi zachorowało i trzeba ich było odesłać. Pozostała jedenastka brnęła niestrudzenie na południe, przekroczyła południowe pasmo Gór Skalistych Sangre de Cristo i dotarła do źródeł Rio Grande, które Pike mylnie uznał za początek Red River. 1 lutego 1807 roku na hiszpańskiej ziemi nad strumieniem Conejos, w pobliżu dzisiejszego Alamosa w południowym Kolorado, wędrowcy wybudowali mały drewniany fort, który nazwali Palisadą Pike'a (*Pike's Stockade*), i buńczucznie wywiesili flagę amerykańską.

Hiszpanie z Nowego Meksyku dowiedzieli się o tym od doktora Robinsona, który za zgodą Pike'a udał się samotnie do Santa Fe. Uznali ten fakt za prowokację i wysłali przeciw Amerykanom oddział stu kawalerzystów. 26 lutego żołnierze otoczyli Pike'a i pięciu jego ludzi (pięciu pozostałych próbowało w tym czasie odszukać pozostawionych w górach kolegów). Poinformowali, że jest to terytorium hiszpańskie, zażądali jego opuszczenia i udania się do gubernatora Nowego Meksyku, Joaquina del Real Alencastera. Pike umiejętnie udał zdziwienie, że znajduje się nad Rio Grande, a nie nad Red River. Później napisał: „Natychmiast kazałem spuścić i zwinąć moją flagę".

On i jego ludzie (także ci odnalezieni w górach) zostali pod konwojem odprowadzeni do Santa Fe. Zarośnięci, brudni, odziani w skóry bardziej przypominali zdziczałych myśliwych niż członków ekspedycji wojskowej. Ironią losu aresztowanie było dla nich wybawieniem, bo głodni i wyczerpani, bez jedzenia i ciepłej odzieży zapewne niedługo by pociągnęli. Zarazem Pike zyskał niespodziewaną okazję poznania zakazanego terytorium hiszpańskiego. W tym momencie skończyła się jego misja odkrywcy i zaczęła się klasyczna misja szpiegowska.

Z zabranych mu dokumentów Hiszpanie dowiedzieli się o wojskowym charakterze ekspedycji. Z obawy, że Amerykanie zechcą uwolnić swoich ludzi siłą, wysłali na tereny nadgraniczne patrole wojska, ale okazało się to całkowicie zbędne. Jeńców przyjął gubernator Alencaster, po czym 8 marca odesłano ich pod eskortą Malgaresa, którego Pike opisał jako „dżentelmena, żołnierza i jednego z najszlachetniejszych ludzi", jakich spotkał, w głąb Meksyku, do generała Salcedo. Długa i niezwykle ciekawa, prawie tysiąckilometrowa podróż wiodła przez Albuquerque, El Paso i dalej na południe, do Chihuahua. Po drodze Pike'a i jego towarzyszy gościnnie przyjmowali hiszpańscy księża, a w El Paso wydano nawet na ich cześć bal z udziałem najpiękniejszych dam z okolicy. Wreszcie więźniów doprowadzono do generała Salcedo, ale ten – mimo że nie miał wątpliwości co do charakteru misji Pike'a – nie chciał zaogniać stosunków ze Sta-

nami Zjednoczonymi i po kilku tygodniach postanowił odesłać jeńców do granicy amerykańskiej w dzisiejszej Luizjanie. W czasie podróży powrotnej przez północny Meksyk i Teksas w towarzystwie Malgaresa, który towarzyszył Amerykanom aż do 6 maja, kiedy to zmienił go inny oficer, Pike prowadził tajne notatki skrywane w lufach karabinów. Opisywał w nich dokładnie topografię i mieszkańców Nowej Hiszpanii, ich zwyczaje, bogactwa naturalne, napotkane plemiona Indian i obiekty wojskowe. Przywieziony przez niego raport był pierwszym rzetelnym opisem północnych prowincji Nowej Hiszpanii, jaki trafił do władz Stanów Zjednoczonych.

Ostatecznie Pike'a, Robinsona i sześciu szeregowych dowieziono 1 lipca 1807 roku do amerykańskiej placówki granicznej w Natchitoches, w dzisiejszym Teksasie. Tam wzruszony Pike napisał: „Język nie potrafi wyrazić radości, jaką poczułem w sercu, kiedy znowu zobaczyłem powiewający dumnie sztandar mojej ojczyzny". Stamtąd udał się on do Nowego Orleanu, a następnie do Nowego Jorku i Waszyngtonu. Prezydent Jefferson przyjął go niezbyt ciepło, uważał bowiem, że jego dokonania nie dorównują osiągnięciom Lewisa i Clarka. Także Kongres odmówił Pike'owi honorów i nie zgodził się na przyznanie ani jemu, ani jego ludziom nagrody i nadania ziemi, tak jak to było w przypadku uczestników wyprawy Lewisa i Clarka.

W ślad za Pike'em do Waszyngtonu trafił ostry protest władz hiszpańskich przeciwko naruszeniu przez niego granic Nowej Hiszpanii i działalności szpiegowskiej, z żądaniem oficjalnych przeprosin kanałem dyplomatycznym. Sekretarz stanu James Madison zaprzeczył, jakoby Pike był szpiegiem, i oświadczył, że jego zadaniem była wyłącznie eksploracja południowej części Luizjany w poszukiwaniu źródeł rzeki Arkansas. Przeprosiny nie nastąpiły i oba państwa zerwały stosunki dyplomatyczne.

Ośmiu innych uczestników wyprawy Pike'a Hiszpanie więzili przez dwa lata. Jednego z nich zabił pijany kolega, za co został skazany na długoletnie więzienie i przebywał w Meksyku do czasu uzyskania przez ten kraj niepodległości w 1821 roku. Pozostali wrócili do ojczyzny. Hiszpańskiego gubernatora Alencastera zdymisjonowano za zbyt łagodne potraktowanie Pike'a i odesłanie go do Chihuahua, co umożliwiło mu obserwację prawnie zakazanych cudzoziemcom terenów Nowej Hiszpanii.

Z korespondencji Pike'a wynika, że nie wiedział on o ukrytych intencjach Wilkinsona i jego knowaniach z byłym wiceprezydentem Aaronem Burrem, ale domyślał się, że uczestniczy w ważnych działaniach wywiadowczych na rzecz

swego kraju. W czasie wyprawy awansował na kapitana, o czym dowiedział się dopiero po jej zakończeniu. Potem wrócił do zawodowej służby wojskowej. W 1808 roku został majorem, w 1811 podpułkownikiem, a w 1812 pułkownikiem i dowódcą 4. pułku piechoty. Po wybuchu wojny z Wielką Brytanią otrzymał w 1813 roku awans na generała brygady i objął dowództwo nad wojskami amerykańskimi przeznaczonymi do desantu na stolicę kanadyjskiej prowincji Ontario-York (obecnie Toronto). 27 kwietnia tego roku osobiście poprowadził tysiąc siedmiuset żołnierzy do zwycięskiego ataku na miasto bronione przez ośmiuset Brytyjczyków, którymi dowodził generał Roger Sheaffe. Ciężko ranny wskutek wybuchu miny pułapki wysadzonej przez Brytyjczyków podczas odwrotu (w wyniku przedwczesnej eksplozji zginęło czterdziestu dwóch Anglików oraz pięćdziesięciu dwóch żołnierzy amerykańskich, a stu osiemdziesięciu odniosło rany), zmarł wkrótce, mając zaledwie trzydzieści cztery łata. W odwecie za zdradliwy postępek Brytyjczyków i śmierć swego dowódcy żołnierze amerykańscy spalili wszystkie rządowe budynki Yorku[23]. Ciało Pike’a przewieziono przez jezioro Ontario i pochowano w forcie Sacket Harbour w stanie Nowy York. Jego jedyna córka, która dożyła pełnoletności, wyszła za mąż za Johna Clevesa Harrisona, syna gubernatora Illinois i późniejszego prezydenta Stanów Zjednoczonych Williama Henry’ego Harrisona.

Wyprawa Pike’a dostarczyła dużej wiedzy na temat Wielkich Równin i północnych prowincji Nowej Hiszpanii, a jego własne obserwacje, odnotowane w dzienniku z ekspedycji, opublikowanym w 1810 roku pod tytułem *Relacja z ekspedycji do źródeł rzeki Missisipi i przez zachodnie połacie Luizjany*, przyczyniły się do zwiększenia w Stanach Zjednoczonych zainteresowania perspektywą otwarcia handlu z Nowym Meksykiem. Sporządzone przez niego unikatowe mapy pokazały potencjalnym kupcom drogę do celów w Nowym Meksyku. Mimo to ekspedycja Pike’a była ostatnią amerykańską wyprawą badawczą ery jeffersonowskiej i lat późniejszych, gdyż Kongres – umyślnie lub nie – „zapomniał” przyznać funduszy na eksplorację zachodnich kresów. Dopiero za prezydentury Jamesa Monroego major Stephen Harriman Long wyprawił się w górę rzeki Missouri (1819) i do Gór Skalistych (1820) wzdłuż granicy kolonii hiszpańskich i dokładniej zbadał geografię oraz zasoby naturalne terenów nad rzekami Platte, Arkansas i Red, nabytych wskutek cesji Luizjany. Potwierdził tym samym znaczenie odkrytej przez Pike’a drogi do Santa Fe.

Podejmowane przez Amerykanów próby nawiązania bezpośrednich kontaktów handlowych z Hiszpanami i południowo-zachodnimi Indianami były blokowane tak długo, jak długo Hiszpania kontrolowała kolonie amerykańskie, ale

przyniosły wymierne korzyści ekonomiczne po uzyskaniu niepodległości przez Meksyk. Z początku droga odkryta przez Pike'a i częściowo spenetrowana w 1820 roku przez majora Longa okazała się zbyt trudna dla osadników, ale kupcy i handlarze szybko ją docenili, ponieważ szlak z St. Louis do Santa Fe był znacznie krótszy niż z Santa Fe do głównego portu Meksyku w Veracruz. W listopadzie 1821 roku meksykański gubernator Nowego Meksyku Fucundo Malgares (dawny „opiekun" Pike'a) z radością powitał pierwszą amerykańską karawanę handlową, doprowadzoną pomyślnie z Franklin w Missouri do Santa Fe przez kupca Williama Becknella i jego czterech towarzyszy. Wędrując z Missouri wzdłuż działu dopływów rzek Arkansas i Kansas, a potem wzdłuż samej Arkansas, Becknell i jego ludzie otworzyli dla regularnego handlu międzynarodowego i celów wojskowych słynną drogę kresową przez równiny dzisiejszego Kansas i Kolorado oraz skalistą przełęcz Raton do Nowego Meksyku, nazwaną później szlakiem Santa Fe (*Santa Fe Trail*). Wkrótce ze wschodu do Santa Fe zaczęły płynąć nieprzerwanym strumieniem amerykańskie i europejskie towary, a z powrotem kupcy wieźli konie, muły, futra, złoto i srebro. Do 1824 roku szlak Santa Fe stał się szerokim traktem, dostatecznie wygodnym dla wozów i dobrze zaopatrzonych karawan konnych**[**[24]**]**. Jego przebycie trwało średnio siedemdziesiąt dwa dni. Krótsza odnoga, przez rzekę Cimarron, skracała ten czas o prawie dziesięć dni, ale znaczny odcinek tego skrótu prowadził przez suche, całkowicie pozbawione wody tereny.

Santa Fe było co najwyżej przedsionkiem do Południowego Zachodu z jego głównymi źródłami bogactwa – futrami zwierzęcymi, złotem i srebrem znajdującymi się dalej, na ziemiach Meksyku i Kalifornii. W 1824 roku słynny traper i podróżnik Jedediah Smith przetarł szlak znad Wielkiego Jeziora Słonego w Utah do dolnej Kalifornii. Krótko po nim dwaj inni odkrywcy, którzy wyruszyli z Santa Fe, jako pierwsi przemierzyli łatwiejsze południowe drogi do Kalifornii. W 1827 roku James Pattie z Kentucky powędrował wolno znad górnej Rio Grande w dół Gila River do Yumy w Arizonie i dotarł do wybrzeża Oceanu Spokojnego w San Diego, odkrywając szlak Gila (*Gila Trail*). Trzy lata później inny pionier z Kentucky, William Wolfskill (1798–1866), od 1828 roku naturalizowany obywatel Meksyku, kierując się bardziej na północ i omijając wzburzone wody Wielkiego Kanionu Kolorado, otworzył szlak Hiszpański (*Spanish Trail*). Szlak ten doprowadził go z Santa Fe skrajem pustyni Mojave z jej największą osobliwością – leżącą osiemdziesiąt sześć metrów poniżej poziomu morza Doliną Śmierci – do wybrzeża oceanu w pobliżu dzisiejszego Los Angeles**[**[25]**]**.

## Rozdział III

# Traperzy, górscy wędrowcy i dżentelmeni zachodu

Pierwsi odkrywcy, wspierani przez amerykańskie władze, otworzyli drogę na Zachód, ale badacze z niechęcią myśleli o kontynuowaniu ich wysiłków. Znaleźli się jednak śmiałkowie gotowi podążyć ścieżką nowych odkryć. A kierowało nimi odwieczne ludzkie pragnienie zdobycia bogactwa.

Przez wiele lat brytyjskie spółki futrzarskie z Kanady, a zwłaszcza słynna Kompania Zatoki Hudsona (*Hudson's Bay Company*), czerpały ogromne zyski z eksploracji północnych regionów Gór Skalistych. Stany Zjednoczone patrzyły na to zazdrosnym wzrokiem, toteż jednym z najważniejszych zadań, jakie otrzymali Lewis i Clark, było zbadanie „tego bogatego kraju obfitującego w cenne futra, obecnie pozyskiwane wyłącznie przez poddanych brytyjskiego monarchy". Dowódcy Korpusu Odkrywców wykonali to zadanie nadzwyczaj sumiennie: przebyli wyjątkowo groźne, surowe góry i przemierzyli krainę pełną niebezpieczeństw, ale obfitującą w bezlik bobrów. I właśnie bobry stały się wkrótce magnesem przyciągającym do tej niegościnnej krainy nieustraszonych myśliwych, w historii Dzikiego Zachodu zwanych traperami albo „ludźmi z gór" (*Mountain Men*).

Na początku XIX wieku zaczął się popyt na futra bobrowe, co spowodowało rozwój handlu tym surowcem, szczególnie gwałtowny w latach dwudziestych. Wysokie ceny oferowane za skóry przez producentów czapek, cylindrów czy

płaszczy w Ameryce i Europie stwarzały szansę zarobienia dużych i szybkich pieniędzy. Ryzyko wydawało się więc opłacalne. Dobry traper mógł w ciągu sezonu zarobić około dwóch tysięcy dolarów, co w owych czasach było znaczną sumą (roczny dochód doświadczonego rzemieślnika na Wschodzie rzadko przekraczał pięćset dolarów). Szacuje się, że zyskownym polowaniem na bobry i inne zwierzęta futerkowe w Górach Skalistych zajmowało się trzy tysiące „ludzi z gór", w tym około sześciuset Anglo-Amerykanów, głównie z Kentucky, Wirginii i Terytorium Luizjany. Większość stanowili doświadczeni Francuzi z Kanady i Luizjany, Brytyjczycy, hiszpańscy Kreole, Metysi, Indianie ze Wschodu (najczęściej potomkowie Irokezów i Delawarów), a także Murzyni i Meksykanie.

Półdzicy, odważni, nieustraszeni traperzy i handlarze futer stanowili forpocztę cywilizacji białego człowieka na terenach zastrzeżonych dotąd wyłącznie dla Indian. Swoim wyglądem, zwyczajami i zachowaniem nie przypominali heroldów nowej kultury: wiedli swobodny, niczym nieskrępowany żywot wśród wolnych Indian i niezbadanej dziczy. A jednak to oni właśnie zasiali ziarno, z którego miała się narodzić nowa era amerykańskiego Zachodu. Ludzie ci z godną podziwu brawurą zapuszczali się w najodleglejsze zakątki dzikiej Ameryki, penetrując równiny i góry w poszukiwaniu bobrów i innych zwierząt futerkowych. Chociaż chodziło im głównie o skóry zwierzęce, mimowolnie dali narodowi amerykańskiemu coś znacznie ważniejszego: bezcenną wiedzę o geografii i zasobach naturalnych tych ziem, przyczyniając się do ich eksploracji i przyszłego osadnictwa.

Z okresem tym na trwałe są związane nazwiska Johna Coltera, Jima Bridgera, Jedediaha Smitha, Davida Jacksona, Williama Sublette'a, Toma „Złamanej Ręki" Fitzpatricka, Johna „Grizzly" Adamsa, Joe Meeka, Zenasa Leonarda, Hugh Glassa, Jima Beckwourtha i Roberta Campbella. W ich ślady poszli później inni herosi wczesnego Pogranicza: Christopher „Kit" Carson, bracia Charles i William Bentowie, Ceran St. Vrain, Ed Curtis, Jim Baker, Louis Vasquez, William „Stary Bill" Williams, Richard „Wuj Dick" Wooten i inni. To tylko najbardziej znane postaci spośród setek tych, którzy odziani w skóry, z nieodłączną strzelbą myśliwską na ramieniu przemierzali dzikie ostępy, wspinali się na nagie szczyty gór, z nożem w ręku stawiali czoła niedźwiedziom grizzly, a gdy dopadł ich głód i niedostatek, nie wahali się żuć pociętą w paski skórę czy – jak chce legenda – zjadać własne mokasyny.

Legendę „ludzi z gór" zapoczątkował uczestnik ekspedycji Lewisa i Clarka, twardy drwal z Kentucky i były zwiadowca w oddziale Simona Kentona, John Colter (1774–1813). Jeden z przyjaciół opisał go jako człowieka stworzonego do

„znoszenia najcięższych niewygód, niedostatku i niebezpieczeństw”. W sierpniu 1806 roku Colter, zwolniony przed terminem ze służby przez Lewisa i Clarka, razem z dwoma przygodnie poznanymi nad górną Missouri traperami z Illinois, Josephem Dickinsonem i Forrestem Hancockiem, wrócił w Góry Skaliste na połów bobrów w górnym biegu rzeki Yellowstone. Zimą 1807 roku jako pierwszy biały człowiek trafił na tereny, które obecnie wchodzą w skład parków narodowych Yellowstone i Grand Teton. Latem 1808 roku wspólnie ze swym towarzyszem Johnem Pottsem, podobnie jak on byłym uczestnikiem wyprawy Lewisa i Clarka, walczył w obronie obozu Indian Wron, zaatakowanego przez wrogie im Czarne Stopy. Colter i Potts musieli mieć się na baczności, bo polowali na terenach należących do Czarnych Stóp, którzy dobrze pamiętali niedawną potyczkę z Lewisem i dyszeli żądzą zemsty za śmierć swoich dwóch wojowników. Dlatego dnie spędzali zwykle w ukryciu w zaroślach na brzegach rzek, a pułapki zakładali po zapadnięciu zmroku i zabierali je tuż przed świtem. Codziennie narażali życie dla paru bobrowych skórek, ale takie właśnie było życie pierwszych traperów.

Jesienią 1808 roku schwytał ich liczny oddział Czarnych Stóp, kiedy płynęli rzeką Jefferson z ładunkiem futer do swojej kryjówki w miejscu znanym dziś jako Three Forks. Nieostrożny Potts próbował się bronić i ranił jednego z Indian. Natychmiast przeszyła go lawina strzał, a jego ciało wojownicy porąbali tomahawkami. Natomiast odarty z ubrania Colter dostał szansę w słynnym w dziejach Zachodu „biegu o życie”. Młody i silny, wykorzystał okazję, skacząc przez zarośla i kalecząc gołe stopy o skały i kolczaste krzewy. Podczas ponaddziesięciokilometrowego dramatycznego pościgu zabił najszybszego ze ścigających go Indian jego własną włócznią, a następnie zdołał zmylić pogoń, kryjąc się w lodowatej wodzie pod stosem zwalonych pni na brzegu rzeki Madison. W nocy wydostał się z kryjówki, wspiął na urwisko i pognał przez odkrytą prerię jak najdalej od swoich prześladowców. Ostatecznie, po jedenastu dniach morderczej ucieczki, w czasie której półnagi i bosy przebył pieszo ponad trzysta dwadzieścia kilometrów, żywiąc się korzonkami, larwami i korą drzew, dotarł bezpiecznie do bazy myśliwych w forcie Raymond nad rzeką Bighorn i ocalił życie. Nie chciał jednak stracić zdobyczy i kiedy tylko wydobrzał, wrócił po nią, nie zważając na niebezpieczeństwo. Niedługo potem znów natknął się na Czarne Stopy. To spotkanie tak go przeraziło, że postanowił rzucić niebezpieczny zawód trapera. „Jeśli tylko Bóg wybaczy mi tym razem – przyrzekł sobie, uciekając przed Indianami – opuszczę ten kraj i niech będę przeklęty, jeśli kiedykolwiek jeszcze tu wrócę”. Dotrzymał słowa i po sześciu latach spędzonych z dala od cywiliza-

cji, w 1810 roku wyjechał do St. Louis. Tam wreszcie ożenił się, ustatkował i pędził spokojniejsze już życie na farmie koło New Heaven w Missouri.

Szybko jednak znaleźli się jego naśladowcy – odważni, przedsiębiorczy ludzie, którym niestraszni byli groźni Indianie, dzika przyroda i niebezpieczne zwierzęta. Ruszali z huczącego od plotek, wypełnionego wielkimi oczekiwaniami St. Louis w nieznane ostępy, aby czerpać pełnymi garściami z mitycznych bogactw Luizjany. Wielu z nich zginęło z głodu, zimna, w nurtach rzek, z rąk Indian lub od kłów i pazurów niedźwiedzi, ale nie powstrzymało to innych śmiałków. W oczach urzędników półdzicy traperzy łamali prawo, wkraczając bez zezwolenia na tereny Indian, a pierwotni mieszkańcy tych ziem nie rozumieli zachłanności białych myśliwych i ich pędu za bobrowymi skórkami. W pogoni za cennymi futrami ludzie ci z własnego wyboru stawali się wyrzutkami, funkcjonującymi poza obrębem cywilizowanego społeczeństwa. Ich życie i pozbawiony wszelkich regulacji proceder, którym się parali, zawsze balansowały na granicy ryzyka i katastrofy. „Człowiek z gór” świadomie godził się na izolację i niewygody. Przywdziewał skórzaną koszulę z charakterystycznymi frędzlami na szwach i okutany futrzaną peleryną lub skórą bizona, zagłębiał się w niezmierzoną dzicz pełną dzikich bestii.

Wbrew jednak powszechnemu mniemaniu, przeciętny traper nie był pustelnikiem, samotnie zmagającym się z naturą i w pojedynkę walczącym o przetrwanie. Najczęściej „ludzie z gór” wędrowali w dobrze zorganizowanych i uzbrojonych grupach zwanych brygadami, liczących trzydziestu do pięćdziesięciu, a czasem nawet ponad stu ludzi. Nierzadko towarzyszyły im indiańskie żony i rodziny, które mogły stanowić nawet połowę grupy. Dopiero po przybyciu brygady w wyznaczony rejon polowania dzieliła się ona na mniejsze grupki, którym łatwiej było się ukryć przed wzrokiem Indian. Te małe grupki rozpadały się na jeszcze mniejsze, liczące po dwóch–trzech ludzi, albo nawet na pojedynczych myśliwych, którzy zasadzali się na bobry w wybranych strumieniach lub wyruszali samotnie na dzień lub dwa, po czym wracali do wspólnego obozowiska. Zwykle jednak traperzy polowali w parach, aby wzajemnie sobie pomagać w razie potrzeby.

*Człowiek z Gór*

Ogólnie „ludzi z gór” można podzielić na trzy kategorie: niezależnych i niezwiązanych z żadną kompanią futrzarską; niezależnych, ale handlujących z jedną kompanią, oraz kontraktowych, pracujących dla określonej kompanii i pobierających roczne wynagrodzenie. Wielu z nich po dorobieniu się wykupywało udziały w istniejących spółkach futarzarskich lub zakładało własne spółki.

Pierwszy śladem Coltera wyruszył pochodzący z Nowego Orleanu hiszpański handlarz Manuel Lisa (1772–1820). Mieszkając od lat w St. Louis, dobrze znał

on rzekę Missouri, dlatego postanowił wybudować u ujścia strumieni spływających z Gór Skalistych posterunki handlowe, w których mógłby zaopatrywać traperów w potrzebne im rzeczy i skupować od nich bobrowe skórki. Już w kwietniu 1807 roku przedsiębiorczy Hiszpan ruszył na czele czterdziestu dwóch ludzi do kraju Indian nad górną Missouri i dotarł do ujścia Yellowstone. Potem poszedł dalej w górę rzeki i w listopadzie założył u ujścia rzeki Bighorn w dzisiejszej Montanie pierwszy posterunek handlowy w dorzeczu górnej Missouri, nazwany Fort Raymond. Po powrocie do St. Louis z pierwszej zakończonej sukcesem wyprawy, w sierpniu 1808 roku doprowadził do utworzenia Kompanii Futrzarskiej Missouri (*Missouri Fur Company*). Rok później na szlaku do Gór Skalistych, pomiędzy ujściem rzek Little Missouri i Knife w dzisiejszej Dakocie Północnej, założył kolejny posterunek handlowy o nazwie Fort Lisa. Dzięki zyskownemu handlowi futrami stał się prominentnym obywatelem St. Louis, który jako jeden z pierwszych wybudował w mieście murowany dom, będący miarą jego sukcesu. Wybuch wojny 1812 roku przejściowo zahamował handel skórami po obu stronach granicy kanadyjskiej, ale w latach późniejszych Lisa odbudował swoją pozycję, a dobra reputacja i przyjazne kontakty z Indianami pozwoliły mu także pełnić przez jakiś czas stanowisko agenta indiańskiego różnych plemion żyjących pomiędzy rzekami Missisipi i Missouri.

*Manuel Lisa*

Widoki na zrobienie majątku na Zachodzie zwabiły też grubsze ryby niż Lisa. Znany nowojorski potentat handlowy i jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce, John Jacob Astor (1763–1848), szybko dostrzegł szansę na powiększenie tam swojej fortuny. Jego celem był kraj zwany Oregonem, rozległa kraina, do której pretensje zgłaszali Brytyjczycy, rozciągająca się od Gór Skalistych do Oceanu Spokojnego i od meksykańskiej Kalifornii do rosyjskiej Alaski. W latach 1808–

1810 Astor założył dwie kompanie handlowe i wysłał statek z Nowego Jorku dookoła przylądka Horn[26]. W połowie 1811 roku otworzył u ujścia Kolumbii własną placówkę handlową znaną jako Fort Astoria, a następnie skierował z St. Louis śladem Lewisa i Clarka ekipę sześćdziesięciu traperów i handlarzy z Wilsonem Price'em Huntem na czele, żeby zabezpieczyli szlak dla dóbr i towarów ze Wschodu. Latem 1812 roku z fortu Astoria wyruszyło lądem w kierunku wschodnim kilku ludzi pod wodzą sprytnego Szkota Roberta Stuarta, który miał dostarczyć Astorowi raport z osiągnięć w Oregonie. Idąc starym indiańskim szlakiem używanym przez myśliwych z plemienia Wron, w październiku Stuart odkrył słynną Przełęcz Południową (*South Pass*) na południowym krańcu pasma Wind River, w dzisiejszym stanie Wyoming. Ekipa spędziła zimę 1812/1813 na ziemiach indiańskiego plemienia Arapahów w dolinie Wind River, a wiosną spłynęła rzekami Sweetwater i Północną Platte do Missouri. Pod koniec sierpnia 1813 roku dotarła w końcu do St. Louis i tu dowiedziała się o wybuchu wojny z Anglią (1812–1814), która miała położyć kres marzeniom Astora o własnym imperium na Dalekim Zachodzie.

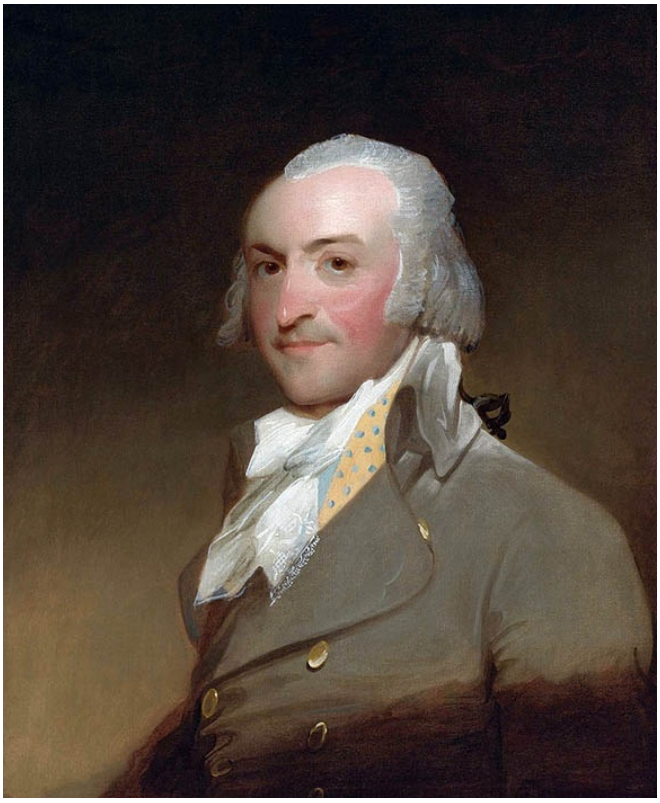

*John Jacob Astor*

Wiosną 1811 roku o planach Astora, zamierzającego otworzyć faktorię handlową na wybrzeżu Oceanu Spokojnego, dowiedzieli się rywalizujący z nim Brytyjczycy z Kompanii Zatoki Hudsona i Kompanii Północno-Zachodniej. Pracownikowi tej drugiej kompanii, Davidowi Thompsonowi, polecono wyprzedzić Amerykanów i uniemożliwić im zdobycie uprzywilejowanej pozycji w Oregonie. Ekspedycja Thompsona, znana pod nazwą „Columbia Enterprise", dość długo szukała dogodnego przejścia przez Góry Skaliste. A kiedy wreszcie Brytyjczycy dotarli do Kolumbii i w połowie lipca dopłynęli do jej ujścia, zastali tam już istniejącą od sześciu tygodni placówkę Kompanii Futrzarskiej Pacyfiku (*Pacific Fur Company*) w forcie Astoria i musieli się wycofać na północ.

W ciągu dziesięciu lat wszystkie przedsięwzięcia Amerykanów na Dalekim Zachodzie upadły z powodu wrogości Indian i przeciwdziałania Brytyjczyków, pretendujących do objęcia swym władztwem całego Oregonu. Ludzie Manuela Lisy zostali zdziesiątkowani i przegnani z Montany przez rozwścieczone Czarne Stopy i Arikarów, którzy pamiętali swoje wcześniejsze niedobre doświadczenia z Amerykanami i nie rozumieli chciwości białych i bezmyślnej rzezi bobrów[27]. Placówce Astora należącej do Kompanii Futrzarskiej Pacyfiku kres położyła wojna amerykańsko-angielska 1812 roku. Zaraz po jej wybuchu brytyjski gubernator Kanady skierował do Oregonu ekspedycję, która w październiku 1813 roku groźbami i demonstracją siły zmusiła Amerykanów do sprzedania Astorii kanadyjskiej Kompanii Północno-Zachodniej i przeniesienia interesów na wschodnią stronę Gór Skalistych.

Warunki geograficzne, polityka i zmagania wojenne przyczyniły się do niepowodzenia pierwszych prób opanowania Dalekiego Zachodu, ale bobrów wciąż było tam zatrzęsienie, a beztroscy „ludzie z gór” nie chcieli rezygnować z ich cennych futer. Kompania Lisy przeorganizowała się i przeniosła dalej na południe. W 1821 roku pod nowym kierownictwem weteranów wojny z Brytyjczykami, generała Williama Henry’ego Ashleya i jego wspólnika, majora Andrew Henry’ego, przekształciła się w Kompanię Futrzarską Gór Skalistych (*Rocky Mountain Fur Company*), konkurującą z Kompanią Zatoki Hudsona i kompanią Astora w lukratywnym handlu futrami bobrów. Astor także opuścił północne terytorium Oregonu i przeniósł swoją nową Amerykańską Kompanię Futrzarską (*American Fur Company*) do St. Louis, rozpoczynając rywalizację z Ashleyem na bezpieczniejszym południowym terenie. Naciskani przez ambitnych i przedsiębiorczych handlarzy, którzy albo zatrudniali traperów bezpośrednio, albo skupowali od nich futra indywidualnie, „ludzie z gór” brali swoje narzędzia oraz pułapki i z trudem ciągnąc konie, posuwali się coraz dalej w głąb nieznanego kraju. Pędzili żywot w skrajnie trudnych warunkach, codziennie narażali życie, a w zamian otrzymywali niewiele, faktyczne zyski trafiały bowiem do spółek futrzarskich. Często stawali się jedynie najemnikami i dłużnikami wielkich przedsiębiorców[28], ale to właśnie ich historia nagrodziła nieprzemijającą sławą, bo to ich wytrwałe, pełne odcisków stopy wydeptały wrota do Gór Skalistych.

Pierwsze posterunki handlowe, w których można było uzupełnić zapasy i sprzedać zgromadzone futra, padły ofiarą Czarnych Stóp i Arikarów. Dlatego po roku 1822 generał Ashley zrezygnował z budowy drogich w utrzymaniu i często odległych od terenów łowieckich fortów i faktorii handlowych i ustanowił nowy, skuteczny sposób zaopatrywania traperów z Gór Skalistych. Każdego roku wy-

znaczał termin i miejsce spotkania (*rendezvous*) w jakiejś bezpiecznej dolinie lub na górskiej łące. Ściągał tam swoich ludzi, niezależnych myśliwych z ich całoroczną zdobyczą oraz zaprzyjaźnionych Indian zainteresowanych handlem. Wczesnym latem, przed nastaniem upałów, długie karawany jucznych mułów i koni ciągnęły do dolin rzek spływających ze wschodnich stoków Gór Skalistych, aby zdążyć na coroczne spotkanie. W wyznaczonym miejscu traperzy mogli się zaopatrzyć we wszystko, czego potrzebowali do życia i polowania. Oprócz podstawowych środków spożywczych, takich jak cukier, kawa, mąka, a nawet drobne artykuły luksusowe, które miały nieco osłodzić samotne życie w górach**[**[29]**]**, były tam także do nabycia żelazne pułapki na bobry, świeże konie, broń gładkolufowa i gwintowana, proch, ołów na kule, noże, siekiery, narzędzia, koce, ubrania i buty, a nawet mile widziane używki, tytoń po dolarze za funt i mocny alkohol, potocznie nazywany *whiskey*, po pięć dolarów za pół litra. To były rzeczy najważniejsze. Ale muły ciągnące ze wschodu przywoziły również towary przeznaczone na wymianę handlową z Indianami: kolorowe szklane paciorki, wełniane koce, szkarłatne płaszcze dla wodzów, stalowe noże i toporki, groty do strzał, haczyki na ryby, lusterka, pióra i farby, tytoń do ceremonialnych fajek oraz „wodę ognistą” – podłą whisky, która niewiele miała wspólnego ze swym szkockim pierwowzorem, za to skutecznie pogłębiała rozpacz i pijaństwo wśród tubylczych plemion.

Zaingurowane w 1825 roku nad Henry’s Fork, dopływem rzeki Snake w południowo-wschodniej części Idaho, coroczne *rendezvous* okazały się wielkim sukcesem i z czasem stały się jednym z najważniejszych wydarzeń sezonu. Traperzy z zadowoleniem przyjęli to nowe rozwiązanie, dzięki któremu nie musieli już co roku wracać do St. Louis i „cywilizacji”, żeby sprzedać skóry i odnowić zapasy. Ponadto spotkania stały się dla nich okazją do odpoczynku i zabawy po długim okresie samotności w górach. Mogli się teraz oddawać hazardowi, pijaństwu, tańcom, pojedynkom, zawodom sportowym i przelotnym miłostkom z indiańskimi kobietami. Niejeden gotów był za chwilę radości i rozrywki pozbyć się swoich skórek niemal za bezcen, pewien, że znajdzie ich jeszcze więcej tam, skąd przybył. Krótko mówiąc, *rendezvous* przypominały gigantyczny targ, festiwal, arenę sportową, wyścigi konne i cyrk w jednym. Ich popularność z każdym rokiem rosła, przyciągając nie tylko własnych i niezależnych traperów, ale także Indian, Kanadyjczyków i przybyszów z Nowego Meksyku, a czas trwania z początkowych dwóch tygodni wydłużył się do prawie dwóch miesięcy. W niektórych latach liczba uczestników przekraczała dwa tysiące. W ramach konkurencji z Kompanią Zatoki Hudsona Ashley wybierał na miejsca spotkań tereny w po-

bliżu posterunków handlowych Kanadyjczyków, licząc na przyciągnięcie Indian i odebranie rywalom części handlu z przyjaznymi plemionami Płaskich Głów, Bannoków, Szoszonów i Nez Percé. Kolejne *renedezvous* „ludzi z gór” odbywały się: nad Henry’s Fork (1825), w Cache Valley nad Bear River (1826), nad Bear Lake (1827, 1828), w Pierre’s Hole (1829, 1832), nad Popo Agie River (1830), nad Horse Creek u zbiegu z Green River (1833) i nad Ham’s Creek (1834). W 1831 roku spotkanie wyznaczone w Cache Valley nie doszło do skutku, ponieważ przewodnik karawany z towarami zgubił drogę i nie dotarł na miejsce. Po roku 1834 *renedezvous* traperów odbywały się zawsze u zbiegu Green River i Horse Creek (z wyjątkiem Popo Agie River w roku 1838), gdzie w sierpniu 1832 roku powstał na krótko Fort Bonneville. Łącznie odbyło się trzynaście spotkań, ostatnie w roku 1840. Drastyczny spadek populacji bobrów, zmniejszenie się popytu na futra i obniżka cen na ten surowiec oraz napływ osadników, a wraz z nimi cywilizacji sprawiły, że czas traperów dobiegł końca. Spotkanie w 1840 roku można uznać za początek kresu ery „ludzi z gór”, chociaż handel futrami i skórami trwał nadal w różnej formie do końca XIX wieku.

Dopóki jednak odbywały się *renedezvous*, myśliwi z gór chętnie w nich uczestniczyli, a potem wracali z towarami, które ledwo wystarczały na przeżycie, do swoich odległych samotni, gdzie czekały na nich nowe śmiertelne zagrożenia. Szczególne niebezpieczeństwo groziło im ze strony Indian. Oszukiwani i wykorzystywani przez handlarzy, wyniszczeni ospą przywleczoną przez białego człowieka, tubylcy potrafili być nieprzewidywalni, podstępni i bezlitośni. Spośród północnych plemion najbardziej wrogo nastawione do Amerykanów były Czarne Stopy. Wynikało to częściowo z ich kulturowej skłonności do agresji, częściowo zaś z pragnienia zemsty za przyjazne stosunki łączące białych z ich tradycyjnymi wrogami: Szoszonami, Wronami czy Płaskimi Głowami.

Jeszcze bardziej wojowniczy od Czarnych Stóp byli Indianie Atsina (Gros Ventre), małe, sprzymierzone z nimi plemię żyjące pośród nich, lecz językowo i kulturowo bliższe mieszkającym bardziej na południe Arapahom, których zresztą często odwiedzali. Amerykanie słabo ich rozpoznawali i dlatego wiele dokonanych przez nich napadów przypisywali Czarnym Stopom. Oba plemiona zazdrośnie strzegły swoich terenów łowieckich i były gotowe zabijać wszystkich intruzów, którzy na nie wkraczali. W końcu XVIII wieku kanadyjska Kompania Zatoki Hudsona zdołała zawrzeć z nimi napięty pokój. Kanadyjczycy nie mieli właściwie wyboru, ponieważ Czarne Stopy kontrolowały strategiczny obszar północno-zachodnich Równin rozdzielający dwa główne obszary aktywności Kompanii nad rzeką Kolumbią i u podnóża Gór Skalistych w dorzeczu Saskat-

chewan. Od tego czasu Indianie chętnie handlowali z Kanadyjczykami, ale nie pozwalali nikomu polować na swoich ziemiach. Sami nie łowili bobrów, które uważali za święte stworzenia, chociaż polowali na inne zwierzęta futerkowe i na bizony. Z tym większą więc nienawiścią odnosili się do amerykańskich traperów, którzy masowo wybijali święte bobry i płoszyli zwierzynę, stanowiącą główne źródło ich pożywienia. Ludzie z Kompanii Zatoki Hudsona dobrze o tym wiedzieli i często napuszczali Indian na swoich amerykańskich rywali. Niebezpodstawnie zatem „ludzie z gór” oskarżali Kanadyjczyków o „zatruwanie umysłów Indian przeciwko nim”.

Tylko w 1823 roku kompania Ashleya straciła dwudziestu ludzi. W maju z rąk Czarnych Stóp zginęło nad górną Missouri czterech z dwudziestu jeden traperów towarzyszących Andrew Henry’emu w wyprawie do ujścia rzeki Yellowstone. Na pomoc ekspedycji pospieszył generał Ashley z grupą siedemdziesięciu myśliwych i dwudziestu żeglarzy płynących w górę Missouri ku Górom Skalistym. W końcu maja, po dotarciu do stałych wiosek Arikarów w pobliżu ujścia Grand River w dzisiejszej Dakocie Południowej, wdał się on w niezbyt udane negocjacje handlowe z Indianami. W zamian za konie potrzebne do dalszej podróży w góry sprzedał im swoje towary, w tym broń i amunicję, którą niezadowoleni Indianie natychmiast wykorzystali do rozprawienia się z białymi. 2 czerwca sześciuset Arikarów z wodzem Szare Oczy na czele zaatakowało niespodziewanie obóz Ashleya, zabijając czternastu i raniąc dziewięciu jego ludzi[30]. Pozostali zdołali wycofać się na łodzie i odpłynąć w dół rzeki. Incydent ten urósł do rangi „najgorszej katastrofy w historii zachodniego handlu skórami” i bezpośrednio doprowadził do konfliktu zbrojnego zwanego wojną z Ankarami (*Arikara War*).

Wieści o ataku Arikarów na ekspedycję Ashleya dotarły do fortu Atkinson (w pobliżu dzisiejszego Omaha w Nebrasce), którego dowódcą był podpułkownik Henry Leavenworth z 6. pułku piechoty, i rozpaliły żądzę odwetu wśród traperów z St. Louis. Na początku sierpnia Leavenworth na czele specjalnego oddziału karnego o nazwie Legion Missouri, złożonego z dwustu trzydziestu żołnierzy regularnych i sześćdziesięciu traperów pod wodzą handlarza z St. Louis Joshui Pilchera, wspomaganego przez siedmiuset pięćdziesięciu zaprzyjaźnionych Siuksów, wyruszył na wyprawę odwetową przeciwko Arikarom. 9 i 10 sierpnia żołnierze i indiańscy sprzymierzeńcy pobili Arikarów nad brzegami Missouri, a w następnych dniach mściwi traperzy doszczętnie spalili opuszczone wioski Indian. Pozbawieni siedzib Arikarowie rozproszyli się i opuścili tradycyjne domy na ponad dekadę. 15 sierpnia wyprawa zakończyła kampanię i Le-

avenworth poprowadził swoje siły w dół Missouri do fortu Atkinson. Wojna z Ankarami, choć krótka i właściwie nierozstrzygnięta, jest warta odnotowania jako pierwszy konflikt zbrojny Amerykanów z Indianami na Zachodzie.

W czasie gdy Leavenworth walczył z Arikarami nad górną Missouri, Henry ze swymi ludźmi polował w dolinie Yellowstone. Znów miał przykre doświadczenie z Indianami: ukradli mu konie i zabili kolejnych dwóch traperów z jego ekspedycji. Trzy lata później, na początku lipca 1826 roku, karawanę Ashleya wiozącą ładunek skór bobrowych nad Bighorn River, skąd miały być wysłane rzeką na wschód, Indianie zaatakowali dwukrotnie. Najpierw oddział sześćdziesięciu Czarnych Stóp uprowadził białym wszystkie konie, z wyjątkiem dwóch (podkradali się bezszelestnie, używając jako mokasynów odciętych niedźwiedzich łap), i ranił jednego z traperów. Kilka dni później myśliwych napadli Indianie z plemienia Wron; próbowali zdobyć ich obóz, ale zostali odparci ze stratą dwóch wojowników. Ostatecznie karawana otrzymała pomoc innej grupy traperów i w pierwszych dniach sierpnia dotarła nad Bighorn, skąd ładunek bezpiecznie odpłynął do St. Louis.

Ataki Indian nie ominęły także innych białych myśliwych. Latem 1827 roku, po zakończeniu *rendezvous* nad Bear Lake w dzisiejszym Utah, grupę Jedediaha Smitha złożoną z osiemnastu mężczyzn i dwóch kobiet napadli podczas przeprawy przez rzekę Kolorado Indianie Mojave. Zginęło dziesięciu ludzi, a obie kobiety trafiły do niewoli. Indianie uprowadzili także wszystkie konie białych. Pozostali przy życiu członkowie wyprawy zdołali dotrzeć do Kalifornii, a tam dowiedzieli się, że władze hiszpańskie uznały ich za intruzów i postanowiły aresztować. Wiosną następnego roku, w drodze powrotnej z Kalifornii, obóz Smitha nad Umpqua River zaatakowali Indianie Kelawatset, zabijając piętnastu jego ludzi. Tylko trzy osoby, w tym Smith, przeżyły napad. W połowie sierpnia cała trójka szczęśliwie dotarła do kanadyjskiego fortu Vancouver nad rzeką Kolumbia, gdzie pomocy udzielili im brytyjscy traperzy z konkurencyjnej Kompanii Zatoki Hudsona.

Stosunki Amerykanów z Kanadyjczykami nie zawsze układały się pokojowo. Amerykanie, w pełni świadomi brytyjskiej polityki szczucia Indian przeciwko nim, odpłacali Kanadyjczykom nienawiścią. W końcu 1824 roku kierujący interesami Kompanii Zatoki Hudsona w dorzeczu południowej Kolumbii słynny handlarz Peter Skene Ogden poprowadził z faktorii Flathead House ekspedycję stu trzydziestu jeden kanadyjskich traperów wzdłuż rzeki Snake (*Snake River Country Expedition*), rozciągając wpływy Kompanii na wschód do Bitterroot River w Montanie i na południe do Bear River w dzisiejszym Utah. Podczas wę-

drówki na południe doliną Bear River, w kwietniu 1825 roku Ogden dowiedział się od Szoszonów o polujących w okolicy traperach Ashleya z brygady Johna Henry'ego Webera. Obie grupy niezależnie od siebie rozbiły obóz w dolinie Weber River, w miejscu gdzie dziś znajduje się miasteczko Mountain Green, niedaleko Ogden. Amerykanów rozzłościło wywieszenie brytyjskiej flagi przez Ogdena na obszarze, który uważali za swoją strefę wpływów. Obie strony oskarżały się nawzajem o naruszenie swojego terytorium, chociaż obie naruszały suwerenność niepodległego Meksyku, który sprawował kontrolę nad tym terenem jako spadkobierca Hiszpanii na mocy traktatu Adamsa-Onisa z 1819 roku. W końcu 24 maja grupa rozeźlonych dwudziestu pięciu Amerykanów z Johnsonem Gardnerem na czele wdarła się do obozu Ogdena i zmusiła go do zwinięcia flagi, a przy okazji nakłoniła do dezercji dwudziestu trzech traperów z ładunkiem siedmiuset bobrowych skórek, obiecując im za nie wyższą zapłatę. Ogden i pozostali jego ludzie opuścili obozowisko następnego dnia. Od tamtej pory miejsce to nosi nazwę Punktu Dezerterów (*Deserters Point*).

Oprócz wrogich Indian i konkurencji Kanadyjczyków „ludziom z gór" zagrażały na co dzień dzikie zwierzęta: pumy, wilki, żmije i przede wszystkim niedźwiedzie, zwłaszcza osławione grizzly z Gór Skalistych. W 1823 roku Jedadiaha Smitha, pracującego wówczas dla Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych, niespodziewanie zaatakował potężny niedźwiedź i mocno go poturbował. Bestia połamała mu żebra, częściowo zdarła skórę z głowy i oberwała ucho, które cudem zawisło na kawałku skóry. Zachowując trzeźwość umysłu, Smith polecił swojemu towarzyszowi, Jamesowi Clymanowi, wziąć igłę z bawełnianą nicią i przyszyć oderwane fragmenty ciała. „Wziąłem więc swoją igłę – wspominał potem Clyman – i zszywając po kawałku pokaleczone części, połączyłem je tak składnie, jak tylko potrafiłem".

Szczęśliwie Smith przeżył spotkanie z grizzly i zyskał potem sławę jednego z najwybitniejszych traperów swoich czasów, ale wielu innych nie miało tyle szczęścia i zginęło od ran zadanych pazurami i kłami dzikich zwierząt. Był wśród nich jeden z towarzyszy Jamesa Pattiego, podróżującego z grupą myśliwych latem 1824 roku z Kentucky do Nowego Meksyku. Pattie znalazł go w dolinie Rio Grande „dosłownie rozszarpanego na strzępy". Rozerwane mięśnie, odsłaniające nagie ścięgna, poszarpany bok, gardło i twarz sprawiały upiorny widok. O dziwo, tak strasznie poturbowany człowiek żył jeszcze i oddychał „przez powyrywane otwory w ciele". Na młodym wędrowcu spoczął przykry obowiązek zajęcia się nieszczęśnikiem, ale ten – mimo potwornego cierpienia – nie mógł umrzeć, a jakakolwiek pomoc

była niemożliwa. W końcu bezsilny Pattie bezszelestnie oddalił się, zostawiając pechowego towarzysza na pewną śmierć.

Do szczęśliwców natomiast należał Hugh Glass, ciężko poturbowany w 1823 roku przez broniącą swoich młodych niedźwiedzicę grizzly, który – podobnie jak Smith – cudem uszedł śmierci, ale w okolicznościach o wiele bardziej dramatycznych (jego historia jest opowiedziana dalej w tym rozdziale).

*Jedediah Smith*

13 lutego 1822 roku Ashley i Henry w imieniu Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych zamieścili w „Missouri Gazette” i „Public Adviser” w St. Louis krótkie ogłoszenie, że zapraszają „stu przedsiębiorczych młodych ludzi na wyprawę w górę rzeki Missouri, do jej źródeł, na okres jednego, dwóch lub trzech lat”. 20 marca to samo ogłoszenie powtórzyli w gazecie „Missouri Republican”. Ludzi, którzy odpowiedzieli na ich apel, nazwano później „setką Ashleya” (*Ashley's Hundred*). W grupie tej znalazły się takie postaci, jak: Jedediah Smith, czterej bracia Sublette, wśród nich William i Milton, Jim Beckwourth, Thomas Fitzpatrick, David Jackson oraz Jim Bridger, James Clyman, Edward Rose, Hugh Glass, Joseph Meek, Robert Newell, George Ebbert i Kit Carson.

Ogłoszenie Ashleya i Henry'ego było odpowiedzią na wydany w lipcu 1821 roku zakaz sprzedaży alkoholu Indianom. Do tej pory handel skórami opierał się w zasadzie na Indianach, którzy dostarczali futra upolowanych zwierząt do wyznaczonych punktów handlowych, gdzie oprócz innych przydatnych towarów otrzymywali w zamian także znaczne ilości alkoholu, głównie dlatego, że osłabiało to ich upór i pozwalało łatwiej ich oszukiwać. Metoda ta stała się tak powszechna, że właściwie trudno było prowadzić handel skórami bez dużych ilości „wody ognistej”. Na pomysł wysłania w góry białych myśliwych wpadł Henry. Jego plan eliminował udział Indian i unieważniał system placówek handlowych.

Ich miejsce mieli zająć odpowiednio wyszkoleni i regularnie zaopatrywani podczas corocznych *renedezvous* młodzi biali traperzy.

Typowy traper miał w swoim wyposażeniu przede wszystkim broń i zestaw pułapek na bobry. Kapitan Benjamin Bonneville, który przebywał w Górach Skalistych w latach 1832–1834, pozostawił potomnym taki oto opis wyposażenia „człowieka z gór": „Sprzęt trapera składał się zasadniczo z karabinu, funta prochu i czterech funtów ołowiu z formą do odlewania kul, siedmiu pułapek, siekiery, toporka, noża, szydła, kociołka do gotowania, dwóch koców i, jeśli nie brakowało zapasów, siedmiu funtów mąki. Zwykle traper miał do dyspozycji dwa lub trzy konie do jazdy wierzchem oraz transportu bagażu i skór zwierzęcych".

Wyruszając na polowanie, traper smarował pułapki specjalną przynętą wykonaną z roślin i gruczołów piżmowych bobra, mającą przywabiać zwierzęta. Następnie umieszczał je na całą dobę pod powierzchnią wody w płytkich górskich strumieniach. Wymagało to często brodzenia po kolana lub pas w przeraźliwie zimnej wodzie, ponieważ najlepsze futra pozyskiwało się późną jesienią lub wczesną wiosną, tuż po puszczeniu lodów. Bóbr, który złapał się w pułapkę, nie mógł nabrać powietrza i tonął, chociaż niektóre zwierzęta uwalniały się, odgryzając uwięzioną łapę. Nazajutrz myśliwy wracał i sprawdzał pułapki. Martwe bobry wyciągał z wody i obdzierał ze skóry, którą następnie rozciągał na specjalnej ramie z mocnych gałązek i pozostawiał do wyschnięcia.

W latach 1822–1825 Ashley i Henry zorganizowali kilka dużych wypraw po futra w góry Zachodu. Przy okazji grupa traperów z Jedediahem Smithem na czele ponownie odkryła w 1824 roku słynną Przełęcz Południową w południowo-zachodniej części Wyomingu. W połowie marca ludzie Smitha, poinstruowani przez Indian z plemienia Wron, pokonali przełęcz i zeszli do doliny Green River. Odkrycie to otworzyło dla „ludzi z gór" nowe, obfitujące w dziką zwierzynę łowiska i znacznie skróciło drogę z St. Louis na ziemie leżące po zachodniej stronie Gór Skalistych. Stosunkowo łatwa i dogodna droga przez Przełęcz Południową stała się później ważnym etapem słynnego szlaku Oregońskiego i odegrała istotną rolę w rozwoju osadnictwa w Kalifornii, Utah i Oregonie**[**[31]**]**. Sam Ashley spłynął w 1825 roku odcinkiem rzeki Kolorado dalej na południe, a rok później poprowadził ekspedycję do doliny Salt Lake i odkrył jezioro Utah, które nazwał Lake Ashley. W 1828 roku badał tereny północnego Kolorado. Po spłynięciu z gór południową odnogą Platte na skraj Wielkich Równin ruszył na północ rzeką Cache la Poudre i po przejściu równiny Laramie wrócił nad Green River.

Wbrew obawom, Ashley i Henry z łatwością zebrali chętnych do udziału w ich przedsięwzięciu. Większość z nich stanowili twardzi i prymitywni poszukiwacze przygód, silni i pewni siebie, a zarazem żądni szybkiego zarobku egoiści skorzy do awantur i przesiąknięci alkoholem. Ludzie ci mieli na uwadze tylko własny interes, nie dbali o resztę świata. Ale ogłoszenie Ashleya zainteresowało także ludzi innego pokroju. Oni także byli twardzi i złaknieni przygód, lecz cechowało ich coś jeszcze: ciekawość świata i pragnienie poznania, które zawsze pchało ich za kolejne wzgórze przesłaniające im widok. Podziwiali majestat i tajemnicze piękno otaczającego ich świata, a bystrość umysłu pozwalała im wykorzystywać doświadczenie nabyte w głuszy z pożytkiem dla siebie i innych. Ludzie ci mieli odwagę i wizję pionierów, którym musiał ulec dziki i trudno dostępny Zachód.

Najbardziej chyba znanymi śmiałkami, którzy odpowiedzieli na apel Ashleya, byli Jedediah Smith i James Bridger, najwybitniejsi ze wszystkich „ludzi z gór". Pochodzący ze stanu Nowy Jork Jed Smith (1799–1831) był cichy, spokojny i bardzo religijny. W dzieciństwie pracował jako pomocnik woźnicy, potem został samodzielnym przewoźnikiem. W 1822 roku dołączył do wyprawy traperskiej „setki Ashleya". Jako zdeklarowany metodysta miał opinię człowieka, którego „nieodłącznymi towarzyszami były Biblia i strzelba". Na tle prymitywnych, brodatych, często zapijaczonych i brudnych traperów z gór wydawał się prawdziwym elegantem. Zawsze był schludnie ubrany i gładko ogolony, a na dodatek nigdy nie pił i nie palił tytoniu. Obserwując na co dzień okrucieństwo i chciwość swoich współtowarzyszy, odczuwał wyrzuty sumienia i często ubolewał nad „przewrotnością swego niegodziwego serca". Własne trudne życie postrzegał jako misję, której celem było zachęcanie innych do niesienia pomocy potrzebującym. „Sprostam każdemu niebezpieczeństwu, aby pomóc tym, którzy tej pomocy potrzebują – mawiał. – To dlatego przemierzam góry pokryte wiecznym śniegiem". W 1824 roku, wyposażony w instrukcje otrzymane od zaprzyjaźnionych Indian Wron, poprowadził niewielką grupkę traperów na południe od Yellowstone, aby odszukać przejście przez Góry Skaliste i znaleźć nowe tereny łowieckie po zachodniej stronie kontynentalnego działu wód. Podczas tej podróży odkrył słynną Przełęcz Południową i dotarł nad Green River. Po drodze omal nie stracił życia: napotkany niedźwiedź grizzly zdarł mu z głowy część skóry, tak że do końca życia zaczesywał włosy do przodu, aby zakryć okropną bliznę, którą pozostawiły pazury zwierza. Mimo tej dramatycznej przygody wyprawa okazała się wielkim sukcesem. W 1825 roku Smith wrócił do St. Louis z ładunkiem dziewięciu tysięcy funtów (około czterech ton) bobrowych skórek. W samym tylko

sezonie 1824/1825 zdobył sześćset sześćdziesiąt osiem futer, co stanowi rekordowy łup w historii „ludzi z gór” (średnia zdobycz trapera wynosiła około stu dwudziestu skór rocznie).

W tymże roku został wspólnikiem Ashleya na miejsce Andrew Henry’ego, który dorobił się znacznego majątku i wycofał z interesu. Rok później, w lipcu 1826 roku, stał się współwłaścicielem Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych, którą Ashley sprzedał jemu i dwóm innym traperom, Davidowi Jacksonowi i Williamowi Sublette’owi. Pomagali im: Robert Campbell, Tom Fitzpatrick, Jim Bridger, Moses Harris i Jim Beckwourth. Przez kolejne pięć lat kompania działała jako Smith, Jackson & Sublette Company, potem została ponownie sprzedana i wróciła do dawnej nazwy. Ashley nadal pośredniczył w sprzedaży futer dostarczanych przez Smitha, Jacksona i Sublette’a na rynkach wschodnich i udzielał im kredytu. Jego zyski osiągnęły taki poziom, że po roku 1830 rzucił dotychczasowe zajęcie i zajął się polityką (przez dwie kadencje zasiadał w Izbie Reprezentantów jako kongresman z Missouri). Do swojej śmierci w 1838 roku dwukrotnie bez powodzenia ubiegał się o zaszczytne stanowisko gubernatora Missouri.

Wkrótce Jed Smith postanowił poszukać nowych łowisk na nieznanym Południowym Zachodzie. W sierpniu 1826 roku wyruszył z piętnastoma ludźmi znad Wielkiego Jeziora Słonego dalej na południe (Jackson i Sublette przy pomocy Bridgera i Campbella nadal łowili bobry w środkowej części Gór Skalistych). Po spłynięciu odcinkiem rzeki Kolorado podążył na zachód, w kierunku Kalifornii, i dotarł do Black Mountains w Arizonie. Rozczarowały go suche, pozbawione bobrów tereny Południowego Zachodu, dawna domena Hiszpanii, znajdująca się obecnie pod kontrolą Meksyku, ale zamiast wrócić na północ, postanowił udać się dalej na zachód przez pustynię Mojave. W listopadzie on i jego ludzie stanęli u wrót bezkresnego, jałowego pustkowia, pokrytego cienką warstewką soli. Ruszyli przez tę płaską, słoną i spaloną słońcem równinę i po piętnastu dniach wędrówki wkroczyli do Kalifornii przez przełęcz Cajon. Idąc dalej na zachód, dotarli do zbudowanej z suszonej gliny (*adobe*) misji San Gabriel w okolicach dzisiejszego Los Angeles. Tereny te znajdowały się pod kontrolą władz meksykańskich, więc niemiłe tam widziani Amerykanie zostali aresztowani i do stycznia 1827 roku przebywali w więzieniu w San Diego. Po uwolnieniu podążyli na północ, w kierunku zatoki San Francisco, i przezimowali w dolinie San Joaquin. Na początku maja 1827 roku Smith poprowadził swoich ludzi z powrotem do basenu Wielkiego Jeziora Słonego przez góry Sierra Nevada, ale głębokie śniegi na dzisiejszej przełęczy Ebbetts uśmierciły wiele koni i tak wyczerpały ludzi, że

uniemożliwiły przeprawę.

Drugą próbę pokonania potężnej przeszkody terenowej Smith podjął jeszcze w maju już tylko w towarzystwie dwóch mężczyzn z siedmioma końmi i dwoma mułami. Po wielu trudach wszyscy trzej przebyli góry i pustynie Nevady, gdzie „często podróżowali bez kropli wody, czasem przez dwa dni". Ostatecznie 27 lipca, z zaledwie jednym koniem i jednym mułem, dotarli do miejsca corocznego *rendezvous* nad Bear Lake w północnym Utah (dziś leży tam miasteczko Laketown). Smith napisał do swego przyjaciela Williama Clarka list, w którym przedstawił uciążliwości podróży i scharakteryzował miejsca, przez które wędrował. Donosił, że odkrył „kraj, który był rozległy, skryty za zasłoną niewiedzy i zupełnie nieznany obywatelom Stanów Zjednoczonych".

Po zakończeniu *rendezvous* nad Bear Lake zebrał nową grupę dwudziestu osób i w połowie sierpnia ruszył w drogę powrotną do Kalifornii. Tym razem nie miał tyle szczęścia co poprzednio. Posuwając się wzdłuż Weber River, minął Wielkie Jezioro Słone i tym samym szlakiem co wcześniej dotarł do rzeki Kolorado, która doprowadziła go do wiosek plemienia Mojave. Podczas przeprawy przez rzekę Indianie z tego plemienia zabili dziesięciu mężczyzn i wzięli do niewoli dwie kobiety. Pozostali członkowie grupy dotarli do Kalifornii w końcu sierpnia. Tam Smitha znowu aresztowały meksykańskie władze. Został zwolniony dopiero wtedy, kiedy przyrzekł opuścić Kalifornię i nigdy więcej do niej nie wrócić.

Niepocieszony, zebrał nową grupę i powędrował na północ wzdłuż wybrzeża Oceanu Spokojnego, do ujścia rzeki Kolumbia. 14 lipca 1828 roku, kiedy wraz z dwoma towarzyszami prowadził zwiad nad rzeką Umpqua w dzisiejszym Oregonie, obóz zaatakowali Indianie Kelawatset i zabili piętnastu mężczyzn. Pozostałych przy życiu ludzi Smith poprowadził do fortu Vancouver w Kanadzie, gdzie pomocy udzielili im traperzy z Kompanii Zatoki Hudsona. Łącznie w ciągu trzyletnich wędrówek do Kalifornii zwerbował on trzydziestu trzech ludzi, z których dwudziestu sześciu zginęło.

W 1829 roku Smith i jego partnerzy sprzedali swój interes Tomowi Fitzpatrickowi i czterem innym „ludziom z gór", a ci przywrócili placówce dawną nazwę: Kompania Futrzarska Gór Skalistych. W kwietniu 1830 roku niestrudzony traper poprowadził z St. Louis razem z Jacksonem i Sublette'em pierwszą karawanę dziesięciu wozów, której towarzyszyło stadko bydła, na doroczne *rendezvous* nad rzeką Popo Agie, dopływem Snake River. Droga wzdłuż Platte i Sweetwater, którą jechali, stała się później częścią słynnego szlaku osadników zdążających

do Oregonu.

Po powrocie ze spotkania do St. Louis Smith zamierzał zająć się handlem, ale wiosną 1831 roku niespokojna natura i chęć zarobku skłoniły go do przyjęcia propozycji poprowadzenia wraz z Davidem Jacksonem karawany handlowej dwudziestu dwóch wozów szlakiem Santa Fe do Kalifornii. 27 maja tego roku, w czasie postoju karawany, opuścił obóz i wyruszył samotnie na poszukiwanie wody w wyschniętym korycie rzeki Cimarron, w południowo-zachodniej części dzisiejszego Kansas. Tym razem szczęście mu nie sprzyjało. Wody nie znalazł, za to trafił na wyprawę wojenną Komanczów i zginął, przebity indiańską włócznią (włócznia była ulubioną bronią Komanczów, którzy jako najlepsi jeźdźcy spośród wszystkich Indian posługiwali się nią z niebywałą wprawą). Okoliczności jego śmierci nie zostały do końca wyjaśnione, a ciała nigdy nie odnaleziono.

Jego towarzysze przybyli szczęśliwie do Santa Fe na początku lipca i tam przypadkiem dowiedzieli się, co się z nim stało, od meksykańskiego kupca handlującego z Komanczami. Jackson, który uważał, że przyczynił się do śmierci przyjaciela i miał z tego powodu poczucie winy, dotarł ostatecznie do Kalifornii w listopadzie 1831 roku, ale po powrocie do Missouri porzucił ryzykowny interes. Schorowany, przeniósł się do spokojnego Tennessee, gdzie zakończył życie sześć lat później. Chociaż nigdy nie zyskał tak wielkiej sławy jak Jed Smith czy Jim Bridger, jego wkład w otwarcie Zachodu był znacznie większy, niż mówi o tym historia**[**32**]**.

W ciągu swego krótkiego życia Jedediah Smith zdążył ogromnie się zasłużyć dla eksploracji ziem na zachodnich krańcach Stanów Zjednoczonych. Odkrywca, kierownik traperskich brygad i partner w dwóch kompaniach futrzarskich, był pierwszym Amerykaninem od czasów ludzi Astora, który przekroczył ze wschodu na zachód kontynentalny dział wód biegnący wzdłuż Gór Skalistych. Przyczynił się do ponownego odkrycia Przełęczy Południowej, jako pierwszy przemierzył całe Utah i dotarł lądem do Kalifornii. Był też pierwszym białym wędrowcem, który przekroczył góry Sierra Nevada oraz pustynne obszary Płaskowyżu Kolumbii i Wielkiej Kotliny. Jego opowieści o cudach Kalifornii i Oregonu, poparte cennymi informacjami geograficznymi, przyciągnęły dziesiątki innych śmiałków, którzy poświęcili się bez reszty poznaniu Zachodu.

O ile Jed Smith był romantycznym rycerzem Gór Skalistych, o tyle pochodzący z Wirginii James Felix Bridger (1804–1881) odznaczał się realizmem. Ten „prosty, zwykły i bezpretensjonalny człowiek”, jak określił go jeden z jego sympatyków, prawdopodobnie mniej inteligentny od Smitha, w czasie czterdziestu

lat samotnych wędrówek poznał Zachód lepiej niż jakikolwiek inny Amerykanin. Dobrze też znał i szanował Indian (miał po kolei trzy indiańskie żony). Swoją karierę zaczął jako czternastoletni pomocnik kowala w St. Louis. Młot i kowadło nie były mu jednak pisane. Mając osiemnaście lat, za zaoszczędzone pieniądze kupił strzelbę Hawkena[33] i razem z wieloma innymi odpowiedział na słynny apel Ashleya, zachęcający do udziału w ekspedycji nad górną Missouri. W sierpniu 1823 roku znalazł się w trzynastoosobowej grupie traperów Andrew Henry'ego zdążającej lądem od ujścia Grand River do faktorii w forcie Henry u ujścia rzeki Yellowstone[34]. Któregoś dnia podczas polowania w widłach Grand River w dzisiejszej Dakocie Południowej jeden z jego towarzyszy, Hugh Glass, został ciężko poturbowany przez broniącą swoich młodych niedźwiedzicę grizzly. Henry nie chciał opóźniać grupy, zostawił więc Bridgera i dwudziestotrzyletniego Johna Fitzgeralda, żeby zaopiekowali się ledwo żywym Glassem, a potem oddali mu ostatnią posługę. Traperzy odczekali trzy dni, po czym – przekonani, że nieprzytomny Glass lada chwila umrze – zabrali jego broń i przykrytego niedźwiedzią skórą, pozostawili na łaskę losu w świeżo wykopanym dole. Po dołączeniu do grupy zameldowali Henry'emu, że Glass zmarł z odniesionych ran, ale nie zdołali go pochować, spłoszeni pojawieniem się oddziału Arikarów. Tymczasem opuszczony nieszczęśnik odzyskał przytomność i mimo okropnych ran zdołał wydostać się z dołu. Żywiąc się głównie dzikimi jagodami i korzonkami, odzyskał siły na tyle, że w ciągu sześciu tygodni pokuśtykał na południe do rzeki Cheyenne. Tam po jakimś czasie odnaleźli go zaprzyjaźnieni Indianie i pomogli mu dotrzeć do placówki handlowej w forcie Kiowa nad Missouri, w samym sercu krainy Siuksów Teton i ponad trzysta kilometrów od miejsca, w którym rozpoczął swoją odyseję.

Po wyleczeniu ran Glass wrócił na Zachód z zamiarem ukarania Bridgera i Fitzgeralda za to, że pozostawili go bezbronnego na pewną śmierć. Odnalazł Bridgera nad Yellowstone u ujścia rzeki Bighhorn, ale w ostatniej chwili darował mu życie, prawdopodobnie ze względu na jego młody wiek. Później odszukał także Fitzgeralda, lecz okazało się, że ten tymczasem wstąpił do armii. Zabicie żołnierza groziło śmiercią, więc Glass był zmuszony poniechać zemsty (ale udało mu się przynajmniej odzyskać utraconą strzelbę). Wrócił do życia w górach i w późniejszych latach został myśliwym zaopatrującym w mięso załogę fortu Union w górze Missouri. Zginął nad Yellowstone zimą 1833 roku w nierównej walce z Arikarami. Okoliczności jego spotkania z niedźwiedziem oraz późniejsza dramatyczna walka o przetrwanie i powrót do cywilizacji przeszły do historii Dzikiego Zachodu. Stały się też kanwą wielu książek i filmów poświęco-

nych życiu „ludzi z gór”[35].

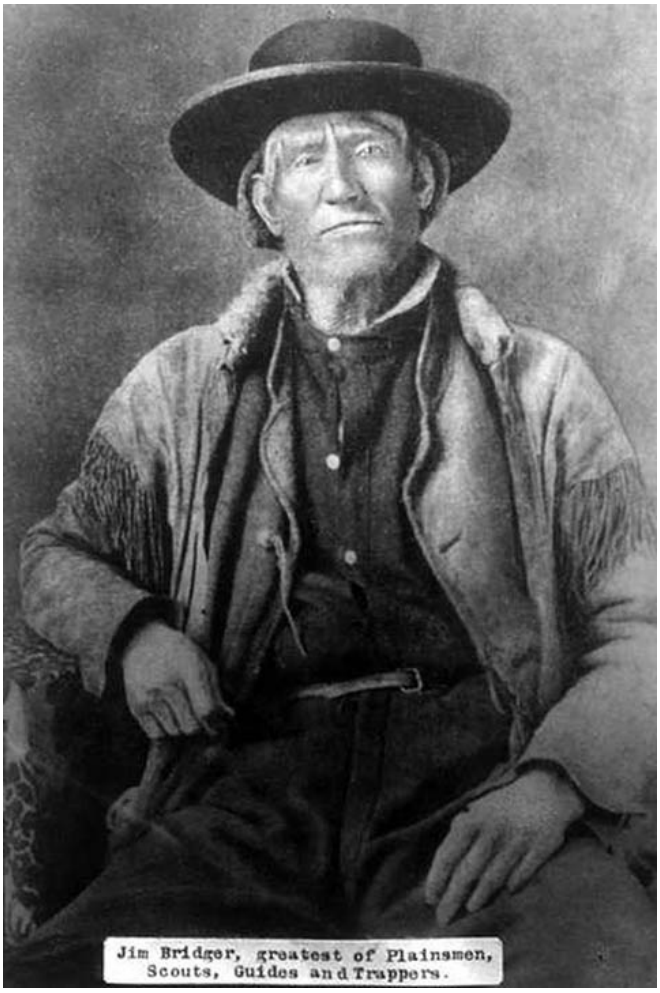

*Jim Bridger*

Jim Bridger, uniknąwszy zemsty Glassa, nadal penetrował góry Zachodu. Jako jeden z pierwszych białych ludzi zobaczył słynne gejzery i inne cuda natury na terenie dzisiejszego Parku Narodowego Yellowstone w Wyomingu. W 1824 roku, podczas wędrówki do ujścia Bear River w Utah, odkrył Wielkie Jezioro Słone i błędnie zidentyfikował je jako zatokę Oceanu Spokojnego[36]. Stąd nie poszedł dalej na południe, lecz razem z Jedem Smithem, Davidem Jacksonem i braćmi Sublette udał się na północ Utah, żeby polować w obfitujących w bobry górach Wasatch. Wiele lat później, w 1842 roku, wybudował razem ze swoim wspólnikiem Louisem Vasquezem placówkę handlową na zachodnim brzegu Black Fork, dopływu Green River, w południowo-zachodnim Wyomingu, którą nazwał Fort Bridger. Złożony z kilku prostych drewnianych chat otoczonych palisadą, fort ten stał się z czasem ważnym punktem etapowym w wędrówce pionierów na Zachód, oferując im odpoczynek, kuźnię, stolarnię i możliwość uzupełnienia zapasów. Tutaj kończył się pierwszy odcinek słynnego szlaku Oregońskiego i rozpoczynał nie mniej znany szlak Kalifornijski. W 1850 roku Bridger odkrył alternatywne dla Przełączy Południowej przejście przez przełęcz nazwaną jego imieniem (*Bridger Pass*), które skracało szlak Oregoński o prawie sto kilometrów i stało się później korytarzem dla linii kolejowej Union Pacific Railroad oraz międzystanowej autostrady numer 80. W 1864 roku niemłody już legendarny odkrywca przetarł szlak Bridgera – drogę z Wyomingu do złotonośnych pól Montany, która pozwalała ominąć niebezpieczny ze względu na wrogo nastawionych Indian szlak Bozemana.

Rzadko kiedy ważne pierwsze odkrycia były efektem zaplanowanych i prze-

myślanych działań. Kiedy w 1806 roku John Colter wyruszał nad górną Missouri w poszukiwaniu bobrów, nie miał najmniejszego pojęcia, że w istocie jest zwiadowcą i zwiastunem potężnego pochodu na Zachód, w kierunku Oceanu Spokojnego. Jim Bridger, osiadając na farmie w Kansas, nie sądził, że w ciągu pięćdziesięciu lat zostaną odkryte i spenetrowane prawie wszystkie większe przełęcze, doliny i rzeki w Górach Skalistych.

Zasługi wczesnych odkrywców i traperów są bezsporne. Andrew Henry i ludzie Astora otworzyli wiele szlaków, których nie udało się znaleźć Lewisowi i Clarkowi. W latach 1822–1828 ludzie Ashleya byli tak samo ruchliwi i aktywni jak bobry, na które polowali, przecierając szlaki wiodące od rzek Missisipi, Missouri i Platte, przez Przełęcz Południową, do łowisk po zachodniej stronie Gór Skalistych. Za ich przyczyną równiny w dorzeczu rzek Snake i Green stały się tak udeptane, jak nie przymierzając, parki w centrum ruchliwego St. Louis.

Ci pierwsi biali odkrywcy nigdy nie uważali się za zdobywców nowych terenów. Ziemia znaczyła dla nich tyle samo co dla Indian. Lasy i równiny Zachodu zapewniały im pożywienie, odzienie, budulec na domy oraz cenne futra, za które w odległych faktoriach mogli odnowić zapasy prochu i amunicji, a także kupić rzeczy niedostępne na odludziu. W razie konieczności walczyli z Indianami o dostęp do łowisk, ale nigdy nie podważali ich praw do tych ziem i nie myśleli ich stamtąd rugować. Często zawierali przyjaźnie z tubylcami, żenili się z ich kobietami i brali udział w walkach międzyplemiennych u boku krewnych swoich indiańskich żon. Pod koniec lat trzydziestych XIX wieku, kiedy skończył się popyt na futra bobrów i dotychczasowe zajęcie przestało się opłacać, wielu z nich wybrało życie osiadłe. Inni przestawili się na zyskowny handel z Indianami, zakładając umocnione punkty handlowe po obu stronach Gór Skalistych, m.in. w łatwo dostępnych dolinach rzek Arkansas i Południowej Platte. Jeszcze inni, jak: Kit Carson, Tom Fitzpatrick, Jim Baker, Stephen Meek, Joseph Walker, Jim Bridger i William Sublette, zostali zwiadowcami i przewodnikami rządowych wypraw badawczych i karawan emigrantów zdążających w poprzek kontynentu. Czasami okoliczności powodowały, że w charakterystyczny sposób zmieniały się ich relacje z indiańskimi plemionami. Przykładem może być historia powstania fortu Benta (*Bent's Fort*) w południowo-wschodnim Kolorado.

W 1824 roku bracia Charles i William Bent oraz ich partner Ceran St. Vrain, traperzy i handlarze skórami z St. Louis, po nieudanej próbie współpracy z Amerykańską Kompanią Futrzarską Astora, zwrócili się na południe i zorganizowali wyprawę po futra w górę rzeki Arkansas, na tereny dzisiejszego Kolorado. W roku 1828 założyli spółkę Bent & St. Vrain Company i razem z Kitem Carsonem

oraz Edem Curtisem zaczęli handlować z Komanczami i Kiowami wzdłuż szlaku Santa Fe. W tym czasie plemię Czejenów wciąż jeszcze żyło na północy, w okolicach Czarnych Wzgórz (*Black Hills*), i tylko okresowo wędrowało na południe w ślad za bizonami. W celu rozwinięcia działalności handlowej bracia Bent i St. Vrain wybudowali nad Canadian River w Teksasie, na obszarze zwanym Rączką Patelni (*Panhandle*), faktorię o ścianach z palonej gliny, znaną jako Adobe Walls. Zazdrośni o swoje wpływy meksykańscy kupcy z Santa Fe, Taos i innych miast Nowego Meksyku podburzyli Indian i ci zaczęli zagrażać nowej faktorii. Odpowiedzialny za jej prowadzenie St. Vrain postanowił zwinąć interes i wynieść się w spokojniejsze miejsce, ale przed wyjazdem grupa Komanczów i Kiowów uprowadziła mu stado mułów. Wtedy przebiegły St. Vrain wywiesił białą flagę i zaprosił Indian do negocjacji. Kiedy wodzowie indiańscy przekroczyli próg jego domu, zaryglował drzwi i zagroził im śmiercią, jeśli nie zwrócą mułów i nie pozwolą mu bezpiecznie wyjechać na północ. Szantaż poskutkował: muły powróciły do właściciela, a kupiec bez przeszkód wydostał się z pułapki. Tę metodę wielokrotnie później stosowali wobec Indian różni amerykańscy dowódcy wojskowi, ale pierwszy zastosował ją właśnie St. Vrain.

Po tym wydarzeniu Indianie z południowych Równin wciąż unikali bliższych kontaktów z Amerykanami. Wówczas William Bent, z charakterystyczną dla Jankesów przedsiębiorczością, zaczął się rozglądać za nowym biznesem. W 1831 roku wybudował u ujścia Fountain Creek, w miejscu dzisiejszego Pueblo, swoją pierwszą placówkę handlową. Po roku jego brat Charles, który prowadził interesy w Nowym Meksyku, namówił go do zmiany lokalizacji. W poszukiwaniu lepszego miejsca William nawiązał kontakt z Czejenami, których zaufanie zdobył wcześniej, ukrywając ich dwóch wojowników przed pościgiem Komanczów (wziął też zresztą za żonę siostrę wpływowego szamana Czejenów Szarego Pioruna – Kobietę Sowę, a po jej śmierci w 1847 roku ożenił się z jej rodzoną siostrą, Żółtą Kobietą). Doprowadził do spotkania z przywódcami Czejenów polujących w dolinie Arkansas i przekonał ich wielkiego wodza Żółtego Wilka do współpracy handlowej. W rezultacie doszło do wybudowania nad górną Arkansas, na górzystym odcinku szlaku Santa Fe we wschodnim Kolorado, warownego fortu Benta, a znaczna część Czejenów przeniosła swoje obozy z północy na południe, w pobliże nowej placówki handlowej. W takich okolicznościach doszło do historycznego podziału plemienia Czejenów na dwa odłamy – północny i południowy. Przykład ten doskonale pokazuje, w jaki sposób działalność białego człowieka wpływała na zmianę zwyczajów, tradycji i losów wielu plemion indiańskich.

Rendezvous *nad Green River*

Okres od 1806 do 1830 roku był erą „ludzi z gór”. To oni – twardzi, gburowaci i nieokrzesani traperzy – otworzyli nową drogę na Zachód. Potem, w latach 1830–1850, przywędrowali tam odkrywcy innego rodzaju: podróżnicy dżentelmeni, niezależni młodzi ludzie, zamożni i wykształceni, których na zachodnie Pogranicze zwabiła żądza przygód i dobrej zabawy. Niektórzy z nich byli typem śmiałków, o których Alexander Ross z Kompanii Futrzarskiej Pacyfiku, jeden z założycieli fortu Astoria, pisał w 1811 roku, że wyruszyli łodzią po wodach Kolumbii „jeden z płaszczem zarzuconym na ramiona, drugi z parasolem w dłoni, a trzeci z tomikiem wierszy i gazetami dla rozrywki”.

Wśród europejskich łowców przygód wyróżniał się ekscentryczny szkocki arystokrata, oficer gwardii królewskiej i weteran spod Waterloo, kapitan William Drummond Stewart (1795–1871), który w poszukiwaniu wrażeń i rzadkich trofeów myśliwskich odbył kilka wypraw na amerykański Zachód w latach 1833–1842. Odważny, silny i wysportowany, wyposażony w listy polecające do szefów Kompanii Zatoki Hudsona oraz Williama Clarka, Williama Ashleya, Williama Sublette’a i Roberta Campbella, z dwoma drogimi sztucerami od słynnego londyńskiego rusznikarza Josepha Mantona i bagażami pełnymi eleganckich strojów, pchał się w najdziwniejsze i najbardziej odległe zakątki dzikiej krainy.

Zadziwiał nawet „ludzi z gór”, którzy mimo jego dziwactw darzyli go szacunkiem. „Nie jestem pewien, czego szukał w górach – mówił o nim z podziwem jeden ze starych weteranów Gór Skalistych. – Nie był przecież handlarzem ani traperem, a szastał dolarami na lewo i prawo. Była w nim też jakaś niesamowita stanowczość, ukryta pod kosmatą czapą z futra czarnego niedźwiedzia”.

Wiosną i latem 1833 roku Stewart, za niebagatelną kwotę pięciuset dolarów, towarzyszył jako gość Campbellowi prowadzącemu z Independence w Missouri tabor niedawno utworzonej Kompanii Futrzarskiej St. Louis z zaopatrzeniem dla traperów biorących udział w *rendezvous* nad Green River, u jej zbiegu z Horse Creek[37]. Karawana Campbella przybyła na miejsce 5 lipca, wyprzedzając o trzy dni konkurencyjny tabor Amerykańskiej Kompanii Futrzarskiej. Widok barwnych traperów, wolnych od seksualnych uprzedzeń indiańskich dziewcząt, które chętnie dzieliły łoże z białymi przybyszami, i radosnych zabaw „ludzi z gór” zachwycił go do tego stopnia, że wyruszał na poszukiwanie przygód w Ameryce Północnej jeszcze parokrotnie. Rozmiłowany w górach i traperce, na swoją ostatnią wyprawę do doliny Green River w 1837 roku wybrał się w towarzystwie Toma Fitzpatricka, kilku ludzi nauki i amerykańskiego malarza z Nowego Orleanu Alfreda Jacoba Millera, autora wielu prac dokumentujących przyrodę oraz życie traperów i Indian na Dalekim Zachodzie (w przyszłości miały one ozdobić ściany rodzinnego zamku Stewartów w Szkocji). W maju 1839 roku pojechał na krótko do Szkocji, żeby przyjąć tytuł barona i rodowy majątek w hrabstwie Perthshire po zmarłym bezdzietnie bracie. Zabrał wtedy ze sobą mnóstwo trofeów myśliwskich, pamiątek, roślin i ptaków, a także dwa bizony, młodego niedźwiedzia grizzly oraz dwóch Indian i kanadyjskiego trapera Antoine’a Clementa, z którym podobno łączyły go wieloletnie stosunki homoseksualne.

W 1842 roku razem z Clementem i obu Indianami powrócił do Ameryki, aby wziąć udział w wielkim letnim polowaniu u podnóża gór Wind River w krainie Szoszonów w Wyomingu. W tym niepowtarzalnym prywatnym przedsięwzięciu towarzyszyli mu jako przewodnicy William Sublette, Antoine Clement oraz syn Sakakawei Jean Baptiste Charbonneau i jego ojciec Toussaint, wynajęty jako woźnica. Stewart wziął też ze sobą kilku europejskich botaników, lekarza, paru katolickich misjonarzy oraz trzydziestu młodych nieopierzonych dżentelmenów z towarzystwa, specjalnie zaproszonych do udziału w swawolnej wyprawie, nie licząc tuzinów służących, kucharzy, woźniców, myśliwych i „ludzi prawie wszystkich profesji”. Już na miejscu dołączyło do nich około czterdziestu Szoszonów. Cała ta ekscentryczna grupa pozostała na preriach Wyomingu do połowy sierpnia, polując, ucztując i

uprawiając bez ograniczeń hazard, po czym zmęczona i skłócona wróciła do St. Louis. Stewart planował spędzić tam zimę 1842/1843 i wiosną odbyć podróż do Taos i Santa Fe w Nowym Meksyku, ale skandal wywołany rozpustą w Wyomingu wygnał go z Ameryki na zawsze. Ekscentryczny Szkot wsiadł w Nowym Orleanie na statek i wrócił do rodzinnej posiadłości. Aż do śmierci w 1871 roku wiódł życie zupełnie inne niż w Górach Skalistych, powszechnie nazywany „Szkotem w jeleniej bluzie”.

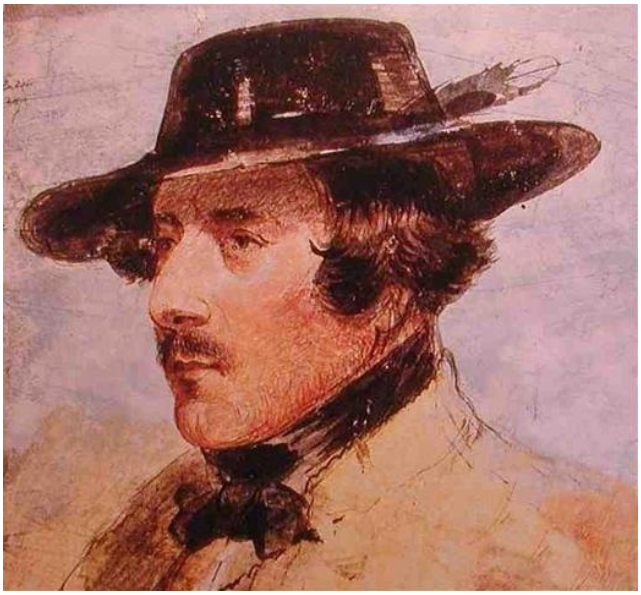

*Sir William Drummond Steward*

W 1854 roku ruszył do Ameryki Północnej inny europejski arystokrata, niebywale bogaty czterdziestotrzyletni Irlandczyk, sir George Gore, zainspirowany ekscytującymi opowieściami Stewarta o jego przygodach w towarzystwie tak barwnych postaci jak Jim Bridger, Kit Carson i Tom Fitzpatrick. Sir George, zapalony sportowiec, wędkarz i myśliwy, zorganizował słynną wyprawę na północnoamerykańskie prerie, która swym rozmachem przewyższyła wszystkie dotychczasowe przedsięwzięcia. Sam tabor ekspedycji liczył dwadzieścia siedem pojazdów, osiemnaście zaprzęgów wołów i sto dwanaście koni. Wiozły one najlepszy na świecie sprzęt wędkarski oraz prywatny arsenał Gore’a, złożony z siedemdziesięciu pięciu karabinów, tuzina strzelb myśliwskich, wielu pistoletów i rewolwerów, prochu i amunicji wszelkiego kalibru. Na wozach znajdował się także sprzęt obozowy i mnóstwo przedmiotów dla osobistej wygody sir George’a: przestronny lniany namiot, łatwo składalne ozdobne łoże z mosiądzu, stalowa wanna z rodowym herbem właściciela, przenośna umywalka, podręczny żelazny stolik, kompletny zestaw cynowych naczyń, a ponadto kilka obozowych piecyków, francuskie dywany, szafy z ubraniami na każdą okazję i pokaźna biblioteczka oprawionych w skórę dzieł klasyków. Były tam również: sekstans, barometr, dwa zegary, potężny teleskop z sześciocalowymi soczewkami i gumowa tratwa. Ponadto wieziono całą masę podarków dla Indian, a wśród nich dwieście pięćdziesiąt galonów zaprawionej strychniną whisky. Taborowi towarzyszyła sfora trzydziestu dwóch specjalnie wyszkolonych chartów myśliwskich, osiemnaście ciętych na lisy foksterierów i trzy mleczne krowy.

Na wyprawę Gore zabrał swoich przyjaciół i służbę. W St. Louis uzyskał

zgodę na wjazd do kraju Indian, po czym dotarł na prerie Nebraski i dobrał sobie jeszcze czterdziestu wytrawnych pomocników. W połowie czerwca 1854 roku karawana wkroczyła do fortu Laramie, gdzie przewodnikiem ekspedycji zgodził się zostać sam Jim Bridger, dobrze pamiętający miłe chwile spędzone w towarzystwie Williama Stewarta. Poprowadził on wyprawę dalej na zachód szlakiem Oregońskim, ale jej dalsze losy nie są dokładnie znane, ponieważ przed powrotem do Europy Gore zniszczył swój pamiętnik. Wiadomo jednak, że w ciągu dwóch lat wędrówki przez prerie i góry Kolorado, Wyomingu, Montany i Dakoty irlandzki arystokrata dokonał prawdziwej masakry wśród dzikiej zwierzyny. Podobno strzelał „wszędzie i do wszystkiego”, co się ruszało, dla czystego sportu. Według jego własnych relacji, zabił sto pięć niedźwiedzi, ponad dwa tysiące bizonów oraz tysiąc sześćset łosi i jeleni, nie licząc mniejszych zwierząt (a prawdopodobnie jeszcze więcej zranił). Trofeów myśliwskich zdobył tyle, że nie mieściły się na wozach i z powodzeniem można by wyposażyć nimi kilka muzeów.

Dokonywana przez Gore’a rzeź bizonów rozwścieczyła Indian. Rozeźlone Czarne Stopy z Montany porwały mu dwadzieścia jeden koni, ale niezrażony tym Irlandczyk kupił świeże konie od Wron i kontynuował swoją krwawą przygodę. Zdesperowani Indianie skarżyli się agentom rządowym na szalonego cudzoziemca, który zabija ich zwierzęta dla zwykłej przyjemności, ale przedstawiciele rządu, choć też mieli dość ekscesów aroganckiego Gore’a, nie podjęli przeciwko niemu żadnych działań. A butny arystokrata nie zważał na skargi i wściekłość Indian. W ciągu dnia zabijał, wieczorami zaś zapraszał do swego namiotu Jima Bridgera, który nigdy nie nauczył się czytać i pisać, i dla relaksu czytał mu na głos dzieła Szekspira lub Waltera Scotta albo dawał popis gry na skrzypcach.

Wiosną 1856 roku Gore, zyskawszy niepochlebne miano „zabójcy bizonów”, niechętnie zakończył dwuletnią ekspedycję myśliwską i ruszył w drogę powrotną nad Missouri. W forcie Union chciał sprzedać swój sprzęt i liczne przedmioty za rozsądną cenę, ale pazerni handlarze z Amerykańskiej Kompanii Futrzarskiej próbowali wyłudzić je od niego za bezcen. Oburzony ich chciwością, kazał spalić wozy, podarki dla Indian, prywatne zapiski i rzeczy osobiste oraz wszystkie niepotrzebne zapasy pod bramą fortu. Konie i krowy rozdał swoim podręcznym i obozującym w pobliżu Indianom. Zachował tylko broń, trochę indiańskich pamiątek, siodła, uprząż i trofea myśliwskie.

Z fortu Union spłynął Missouri do St. Louis, gdzie pożegnał się z Jimem Bridgerem i zapłacił mu za usługi siedemset pięćdziesiąt dolarów. Stamtąd udał się do Nowego Orleanu, gdzie wsiadł na statek i wrócił do Anglii. Jak się sza-

cuje, „wielka wyprawa myśliwska na prerie” kosztowała go około dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Niemniej sir Gore nigdy tego nie żałował i nigdy nie zapomniał przygody swego życia. Do końca polowanie pozostało jego pasją tak absorbującą, że zabrakło mu czasu na ożenek. Zmarł w szkockim Inverness w roku 1878. Dziś jego wyczyny przypominają takie nazwy geograficzne na mapach Kolorado, jak: Gore Pass, Gore Canyon, Gore Mountain, Gore Lake czy Gore Creek.

*Wojownik Czarnych Stóp (*obraz Karla Bodmera 1840–1843*)*

O ile Williama Stewarta i George’a Gore’a interesowały tylko przygoda, polowania, dobra zabawa oraz swoboda obyczajowa Indian, o tyle dżentelmenami, którzy pojawili się na amerykańskich kresach w latach trzydziestych XIX wieku, kierowały zupełnie inne pobudki: intelektualne, naukowe i artystyczne.

Już w roku 1822 w podróż na zachód Stanów Zjednoczonych wybrał się niemiecki badacz i naturalista, książę Fryderyk Paweł Wirtemberski (1797–1860). Po wstępnym spotkaniu z młodym synem Sakakawei, Jeanem Baptiste’em, za-

aranżowanym nad rzeką Kansas przez jego opiekuna Williama Clarka, w 1823 roku książę wyruszył na północne Równiny z Taussaintem Charboneau jako przewodnikiem i tłumaczem. Ekipa księcia spędziła pięć miesięcy nad górną Missouri, odwiedzając faktorie handlowe i plemiona Indian, zbierając okazy fauny i flory oraz gromadząc dane naukowe. Kiedy w 1824 roku książę Wirtemberski wracał do Europy, zafascynowany jego dokonaniami i osobowością Clark pozwolił swemu szesnastoletniemu wychowankowi pojechać razem z nim. Przez sześć lat syn Sakakawei mieszkał w pałacu księcia pod Stuttgartem i był jego nieodłącznym towarzyszem podczas podróży po Europie i Afryce Północnej. W 1829 roku książę wrócił do Stanów Zjednoczonych i bezpiecznie odstawił swego kosmopolitycznego już i dobrze wykształconego (biegle władał językami niemieckim, francuskim i hiszpańskim) podopiecznego do domu. Zaprawiony w podróżach młody Jean Baptiste rozpoczął swoje własne przygody jako świetny traper i przewodnik po Zachodzie. Wiele lat później, w 1849 roku, książę Wirtemberski odbył swoją trzecią podróż do Ameryki Północnej, tym razem do Kalifornii, gdzie trwała właśnie słynna gorączka złota. Dziś jest uznawany za jednego z pierwszych badaczy, którzy eksplorowali dzikie tereny u źródeł Missouri i Missisipi.

W czasie gdy kapitan William Stewart wyruszał z taborem Campbella na *rendezvous* nad Green River, do wrót Dalekiego Zachodu zapukał inny dziwny cudzoziemiec. Był nim niemiecki podróżnik, etnolog i przyrodnik, książę Maksymilian zu Wied-Neuwied (1782–1867). Wiosną 1833 roku przybył on do do St. Louis w towarzystwie jednego tylko służącego oraz pochodzącego ze Szwajcarii malarza Karla Bodmera, z zamiarem dołączenia do karawany wyruszającej do kraju Indian. Chciał bowiem lepiej poznać tubylcze plemiona i zebrać próbki nieznanych w Europie roślin. Ostatecznie, po rozmowach z Campbellem i Williamem Sublette’em, książę Maksymilian zrezygnował z długiej i niewygodnej podróży lądem i w kwietniu wyruszył w rejs parowcem „Yellowstone” w górę Missouri, aż do ujścia rzeki Yellowstone, gdzie w forcie Union, w odległości dwóch i pół tysiąca kilometrów, stała placówka potężnej Amerykańskiej Kompanii Futrzarskiej. Płynąc dalej płaskodennym galarem, książę i jego towarzysze dotarli do fortu McKenzie (w pobliżu współczesnego Fort Benton w Montanie). Zimę spędzili w forcie Clark koło wioski Mandanów, a wiosną następnego roku, po ponadrocznym pobycie nad górną Missouri, spłynęli w dół rzeki, kończąc swoją amerykańską przygodę. Książę Maksymilian jako pierwszy biały badacz kultury zaobserwował i opisał zwyczaje wielu plemion indiańskich z północnych Równin, zwłaszcza Mandanów i Hidatsów, którzy mieszkali w osiadłych wio-

skach na brzegach Missouri, a specjalnie zatrudniony w tym celu Bodmer namalował portrety ich wodzów**[38]**. Na marginesie warto wspomnieć, że tłumaczem i przewodnikiem księcia w czasie wędrówki po preriach nad górną Missouri był ten sam Toussaint Charbonneau, który ćwierć wieku wcześniej towarzyszył ekspedycji Lewisa i Clarka, a potem uczestniczył w skandalizującej wyprawie kapitana Stewarta do Wyomingu.

Karl Bodmer (1809–1893) nie był pierwszym artystą, który penetrował odległe rejony Ameryki w poszukiwaniu tematów malarskich, które mogły zaspokoić ciekawość wywołaną wyprawami Lewisa i Clarka, Pike'a oraz innych badaczy Zachodu. Przed nim próbowali tego: Samuel Seymour, który w latach 1819–1820 towarzyszył ekspedycjom wojskowym majora Stephena Longa w górę Missouri i Platte; Joshua Shaw, który w tym samym czasie popłynął w górę rzeki Missouri, oraz Peter Rindisbacher, żyjący pośród pierwszych osadników nad Północną Red River w latach 1821–1826. Z prac tych trzech wczesnych malarzy Zachodu przetrwały tylko nieliczne ilustracje Seymoura do rzadkiej książki opisującej wyprawę majora Longa ku źródłom Platte.

Bodmer – podobnie jak inny wybitny artysta rodem z Pensylwanii, zafascynowany „znikającą rasą" Ameryki George Catlin (1796–1872) – był kimś więcej niż tylko malarzem. Był swego rodzaju etnografem, badającym i dokumentującym wyjątkowy sposób życia Indian, a także kolekcjonerem pamiątek i wytworów kultury indiańskiej. I on, i Catlin, który w latach 1830–1836 odbył pięć podróży na Zachód, nie malowali Indian w przesadny, fantazyjny sposób, lecz dokładnie odzwierciedlali to, co sami widzieli, bez żadnych artystycznych upiększeń. Zgodnie z ówczesną tradycją europejską, która najwyżej ceniła portret, namalowali mnóstwo wizerunków ważnych Indian: wodzów, sławnych wojowników, szamanów i innych. W połowie XIX wieku i później w ich ślady poszło wielu innych artystów zafascynowanych dzikim, wspaniałym światem amerykańskiego Zachodu, a wśród nich: Alfred Jacob Miller, Paul Kane, Thomas Moran, Alfred Bierstadt, George Caleb Bingham i chyba najbardziej znani Frederick Remington i Charles Russell, piewcy romantycznego stylu kowbojów i zachodniego życia w siodle.

W latach 1832–1834 Góry Skaliste próbował wziąć szturmem dzielny kapitan Benjamin Louis de Bonneville (1796–1878), oficer armii amerykańskiej, traper i odkrywca Zachodu. Urodzony we Francji, przybył do Stanów Zjednoczonych wraz z rodziną w 1803 roku. W roku 1815 ukończył West Point i jako zdolny oficer artylerii rozpoczął służbę wojskową na pograniczu indiańskim. Po przeniesieniu w 1828 roku do Jefferson Barracks koło St. Louis zainteresował się

eksploracją Zachodu. W 1831 roku zaproponowano mu poprowadzenie ekspedycji do Oregonu. Miał w przebraniu handlarza skór bliżej poznać tamtejsze plemiona indiańskie i zebrać dla rządu informacje o geografii, topografii, zasobach naturalnych i aktywności Brytyjczyków na spornym obszarze Dalekiego Zachodu, kontrolowanym w znacznej części przez Kompanię Zatoki Hudsona. Wskutek licznych trudności i braku ochotników wyprawa nie doszła do skutku, ale to nie zniechęciło Bonneville'a.

Pełen młodzieńczego romantyzmu i heroicznych wyobrażeń o górach i pustyniach Dalekiego Zachodu, wziął urlop z wojska, uzyskał wsparcie finansowe samego Johna Astora i przy pomocy doświadczonych traperów, Nathaniela Jarvisa Wyetha i Josepha Reddeforda Walkera, zorganizował wiosną 1832 roku ekspedycję w góry Wyomingu w składzie stu dziesięciu ludzi i dwudziestu wozów. Wyprawa wyruszyła z fortu Osage w Missouri w górę rzeki Missouri, a potem Platte, w lipcu pokonała Przełęcz Południową i zeszła do doliny Green River. Wtedy to po raz pierwszy w historii ciągnięte przez woły wozy przejechały Przełęcz Południową i dotarły do Oregonu od wschodu. W sierpniu u zbiegu Horse Creek i Green River Bonneville zbudował ufortyfikowany obóz zimowy, który nazwano Fort Bonneville. Placówka miała stanowić zaczątek przyszłej faktorii handlowej dla traperów z Gór Skalistych, ale nadchodząca zima z obfitymi opadami śniegu zweryfikowała plany Bonneville'a: ekspedycja musiała opuścić źle wybrane miejsce, o którym traperzy mówili z przekąsem „Fort Nonsens". Miejsce to jednak przez kilka następnych lat z powodzeniem służyło letnim *rendezvous*.

Wiosną 1833 roku Bonneville spenetrował dolinę Snake River w dzisiejszym Idaho, a w lipcu wziął udział w *rendezvous* nad Green River, polując i handlując ze słynnymi „ludźmi z gór". Wydzielony oddziałek jego ekspedycji pod kierunkiem Josepha Walkera wyruszył nad Wielkie Jezioro Słone w Utah z zadaniem znalezienia wygodnej drogi lądowej do Kalifornii. Walker przetarł szlak wzdłuż rzeki Humboldta przez Nevadę i odkrył przełęcz wiodącą przez góry Sierra Nevada. Przełęcz ta, która dziś nosi jego imię (*Walker Pass*), oraz prowadząca do niej droga stały się później znane jako szlak Kalifornijski i odegrały ważną rolę w czasie słynnej gorączki złota w 1849 roku.

Ostatecznie Bonneville poznał Indian Dalekiego Zachodu. Odwiedził Płaskie Głowy i Wrony, obozował wśród Bannoków i Szoszonów, podziwiał wielkie stada koni należące do Indian Nez Percé i Cayuse. Na początku 1834 roku wyruszył do Oregonu i z pomocą przyjaznych Nez Percé w marcu dotarł do placówki Kompanii Zatoki Hudsona w forcie Nez Percé nad rzeką Walla Walla. Kanadyj-

czycy jednak potraktowali go jako rywala w wyścigu po bobrowe skórki i odmówili mu współpracy. Niepowodzeniem zakończyły się także próby nawiązania handlu z pozostającymi pod ich wpływem rzecznymi grupami Indian Sahaptin w dolinie Kolumbii. Zniechęcony i pozbawiony zapasów Bonneville opuścił więc Oregon i po ponad dwóch latach wędrówek powrócił do Missouri w sierpniu 1834 roku.

Jego szeroko zakrojona ekspedycja nie przyniosła wielu korzyści. Najważniejszymi jej osiągnięciami było spenetrowanie części Gór Skalistych oraz naniesienie na mapy przez Walkera regionu Wielkiej Kotliny i drogi do Kalifornii. Natomiast tym, co najbardziej pozwoliło ją zapamiętać, okazał się wyśmiewany przez „ludzi z gór" ze względu na swoje niefortunne położenie „Fort Nonsens". Mimo wątpliwych sukcesów, postać Bonneville'a stała się sławna dzięki popularnemu pisarzowi Washingtonowi Irvingowi, który rozsławił ją w książce *Przygody kapitana Bonneville'a*, wydanej w 1837 roku.

W 1836 roku, po nieudanym zamachu stanu w Strasburgu, francuska monarchia orleańska wygnała księcia Karola Ludwika Napoleona, późniejszego cesarza Napoleona III, do Ameryki. Jednym z jego najwierniejszych towarzyszy na wygnaniu był włoski książę Francesco Arese z Mediolanu. W 1837 roku Karol Ludwik Napoleon w pośpiechu opuścił Nowy Jork i wrócił do Europy, Arese jednak postanowił zostać i odbyć podróż po Stanach Zjednoczonych. Z Nowego Jorku pojechał do Filadelfii, Baltimore i Waszyngtonu, potem zwiedził Wirginię, spłynął rzeką Ohio do St. Louis, podążył w górę Missouri, przebył prerię do Green Bay w Wisconsin, po czym wrócił do Nowego Jorku przez Wielkie Jeziora i Kanadę. Podczas tej podróży, która trwała od czerwca do listopada, robił mnóstwo notatek w języku francuskim, opisując geografię i mieszkańców terenów, które zwiedzał. Odnaleziono je dopiero po jego śmierci i opublikowano w 1894 roku w Turynie w formie załącznika do jego biografii autorstwa Romualda Bonfadiniego. W Stanach Zjednoczonych zapoznano się z nimi dopiero w 1934 roku i wydano je po angielsku pod tytułem *Podróż na prerie i do wnętrza Ameryki Północnej. Zapiski z podróży księcia Francesco Arese*.

Dziesięć lat po ekspedycji Bonneville'a w jego ślady podążył kompetentny, ambitny i energiczny mierniczy John Charles Frémont (1813– 1890). W 1835 roku, jako młody oficer Korpusu Inżynieryjnego armii Stanów Zjednoczonych, wziął on udział w wyprawie badawczej na terenach pomiędzy górną Missisipi i Missouri. Sam zorganizował trzy ekspedycje, które za sprawą prasy lat czterdziestych XIX wieku przyniosły mu przydomek Wielki Poszukiwacz Ścieżek (*Great Pathfinder*). W wyprawach tych towarzyszył mu w charakterze przewod-

nika słynny traper Kit Carson. Innym ważnym ich uczestnikiem był pruski kartograf Georg Karl Preuss (1803–1854).

Frémont był kimś więcej niż zwykłym mierniczym: był wizjonerem. W 1841 roku ożenił się z Jessie Benton, ukochaną córką najbardziej wpływowego rzecznika amerykańskiego ekspansjonizmu i rozwoju Zachodu, senatora Thomasa Harta Bentona. W pełni podzielał entuzjazm swojego teścia i popieraną przez niego koncepcję „objawionego przeznaczenia" (*Manifest Destiny*)**[**[39]**]**. Dzięki wpływom Bentona w 1842 roku objął dowództwo rządowej ekspedycji mierniczej na zachodnie obszary Stanów Zjednoczonych, do Oregonu oraz na przygraniczne tereny Kalifornii, podjętej z myślą o postępie w naukowym zbadaniu tych ziem i naniesieniu ich na mapy. Chodziło również o odkrycie najbezpieczniejszej i najszybszej drogi dla emigrantów podróżujących przez Góry Skaliste. W ciągu następnych dwunastu lat Frémont wymierzył i naniósł na mapy wielki obszar środkowej części Gór Skalistych, Wielkiej Kotliny i pasma górskiego Sierra Nevada, ukoronowanego wspaniałym szczytem Mount Whitney, najwyższym punktem w kontynentalnej części Stanów Zjednoczonych (4418 metrów n.p.m.). Już w 1842 roku, w drodze do Przełęczy Południowej, zbadał wschodnią część słynnego szlaku Oregońskiego i jego okolice, aż do doliny Yellowstone. W latach 1843 i 1844 spenetrował zachodnią część szlaku do Oregonu oraz obszar między Górami Skalistymi i Sierra Nevada. W czasie tej wyprawy zdobył jeden z najwyższych szczytów pasma Wind River, nazwany na jego cześć Górą Frémonta (*Mount Fremont*), i w lutym 1844 roku jako przypuszczalnie jeden z pierwszych białych ludzi zobaczył kalifornijskie jezioro Tahoe. Trzecia ekspedycja, w 1845 roku, której pierwotnym celem było odnalezienie źródeł rzeki Arkansas po wschodniej stronie Gór Skalistych, zawiodła go ostatecznie z fortu Bent przez Sierra Nevada do Kalifornii. Na początku 1846 roku Frémont przybył do doliny Sacramento, gdzie jako gorący zwolennik aneksji Kalifornii przez Stany Zjednoczone podburzył mieszkających tam amerykańskich osadników, przyczyniając się do wybuchu rewolty przeciwko Meksykowi.

W czasie swoich wędrówek przemierzył tereny od Tucson w Arizonie na południu, do Walla Walla w stanie Waszyngton na północy oraz od fortu Laramie w Wyomingu i Pueblo w Kolorado na wschodnich obrzeżach Gór Skalistych do Monterrey na wybrzeżu Oceanu Spokojnego. Jego raporty i mapy sporządzone przez Preussa zostały opublikowane przez Kongres i stały się przewodnikiem dla tysięcy pionierów, którzy w latach 1845–1849 „ruszyli falą karawan wozów" do Oregonu i Kalifornii. Osiągnięcia Frémonta postawiły go w rzędzie największych odkrywców kontynentu i przy-

*Kapitan John Charles Frémont*

czyniły się do późniejszej aneksji Kalifornii przez Stany Zjednoczone.

„Rzeka Missisipi nigdy nie została określona jako zachodnia granica amerykańskiego imperium” – napisał w 1789 roku uznany amerykański geograf. Zanim nadszedł rok 1850, czas potwierdził słuszność tych słów. W 1840 roku na zachód od Missisipi istniały trzy stany: Missouri, Arkansas i Luizjana. Zasięg terytorialny Stanów Zjednoczonych był już w zasadzie ustalony. Traktat oregoński (*Oregon Treaty*) z 1846 roku ustanowił granicę z Kanadą na 49. równoleżniku, od Wielkich Jezior do Oceanu Spokojnego. Dzięki zwycięstwu w wojnie z Meksykiem Stany Zjednoczone uzyskały w 1848 roku rozległy obszar dawnych hiszpańskich terytoriów w Teksasie i cały Południowy Zachód. Wielkie Równiny zostały przecięte transkontynentalnymi szlakami, bramy wiodące przez Góry Skaliste otwarto na oścież, a smagane potężnymi falami oceanu wybrzeże Pacyfiku rozwarło ramiona dla fali imigrantów. Wkrótce ze Wschodu zaczęli tysiącami ciągnąć oczekiwani przez Frémonta i Bentona osadnicy. Ktoś zauważył, że ludzie „zebrani ze wszystkich stanów Unii i wszystkich narodów Europy pędzą tu jak fala powodziowa”.

Ten pęd ku Górom Skalistym wydawał się nie do zatrzymania. Celem Amerykanów stał się legendarny Zachód, a polem, na którym młody naród amerykański miał się sprawdzić i przejść prawdziwą próbę czasu, była nieposkromiona dzicz. Widząc nieprzebrane gromady ciągnące ku Górom Skalistym, entuzjaści zasiedlenia nowych ziem nie wątpili, że „Imperium pomaszeruje na zachód” i nic nie stanie temu na przeszkodzie.

Potrzeba wielkiej wędrówki była wyczuwana nawet w najodleglejszych i najspokojniejszych zakątkach wschodnich stanów. Uległ jej także pisarz i filozof Henry David Thoreau (1817–1862), który prawie całe życie spędził w miasteczku Concord w Massachusetts. Pracując samotnie w zbudowanej przez siebie chatce nad stawem Walden w lasach concordzkich nad swoim najsłynniejszym dziełem *Walden, czyli życie w lesie*, widział się oczami wyobraźni w dro-

dze na Zachód. „Idąc na Zachód, czuję się wolny. To jest kierunek, który powinniśmy obrać. Muszę iść do Oregonu, nie do Europy” – napisał.

Ludzie ruszyli z gorączkowym pośpiechem, aby posiąść wyśnioną ziemię obiecaną, mieniącą się kolorami zachodzącego słońca. Bystry Francuz Alexis de Tocqueville (1805–1859), jeden z największych myślicieli politycznych XIX wieku, obserwując w 1833 roku szaloną ucieczkę z miast i farm na wschodnim wybrzeżu, zauważył, że europejscy imigranci przybywający do Ameryki traktują wyścig do Pacyfiku „jako akt przeznaczenia”.

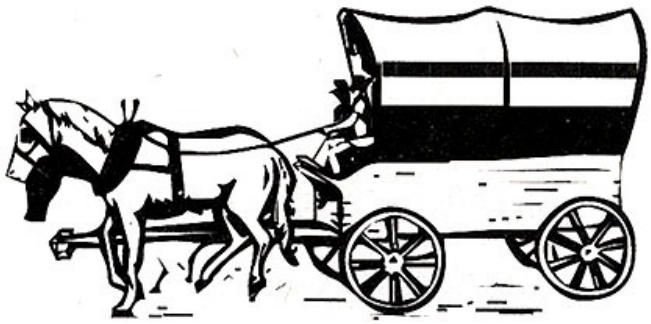

Rozdział IV

# Pionierzy

## Wędrowiec na szlaku

Około roku 1830 na przełaj przez niemal cały kontynent prowadziło już kilka ważnych szlaków. W krótkim czasie najpopularniejsze z nich, używane dotąd głównie przez traperów i handlarzy futer, zaroiły się od osadników. Ponaglani rządową propagandą, głodem ziemi i poczuciem przeznaczenia, spakowali oni swój skromny dobytek i karawany wozów ruszyły w drogę.

Typowy wędrowiec szukający szczęścia na Zachodzie docierał lądem do Missisipi, wsiadał na parowiec rzeczny w St. Louis i kończył rejs w niedużym mieście Independence, dwieście czterdzieści kilometrów w górę Missouri, gdzie od zachodu wpada do niej rzeka Kansas. Tu, albo w niedalekim St. Joseph, zaczynał się słynny szlak Oregoński (*Oregon Trail*), który wiódł przez dzisiejsze stany: Missouri, Kansas, Nebraska, Wyoming, Idaho do Oregonu. Przecinał Wielkie Równiny wzdłuż Platte, a później Północnej Platte (tę część nazywano szlakiem Platte), przekraczał Góry Skaliste na Przełęczy Południowej i docierał do rzeki Snake w Idaho. Dalej prowadził wzdłuż Snake River do doliny Kolumbii. Główny szlak kończył się nad rzeką Willamette i w forcie Vancouver nad Kolumbią. Dotarcie do celu wymagało niekiedy pokonania nawet trzech i pół tysiąca kilometrów w ciągu jednego lata i jesieni, wozem zaprzężonym w woły, konie lub muły, z szybkością nieprzekraczającą dwudziestu pięciu kilometrów dziennie, co zwykle oznaczało pięcio- lub sześciomiesięczną wędrówkę.

Przeciętny podróżnik, który opuszczał osiedla cywilizowanej społeczności i ruszał w nieznane, nie był typem filozofa, a w każdym razie niewiele miał czasu na refleksję. Wystarczała mu wiara w „objawione przeznaczenie” narodu amerykańskiego, która kazała mu podążać szlakiem Oregońskim ze skromnym dobytkiem, dużym zapasem nadziei i niemal całkowitą nieświadomością tego, co go czeka. Wiedzę zastępowała mu wyobraźnia, która podsuwała mu podpis_obrazuy krainy, gdzie niebo jest bardziej błękitne, gwiazdy jaśniejsze, powietrze zdrowsze, deszcz mniej dokuczliwy, a ziemia żyźniejsza niż na Wschodzie.

*Na Szlaku Oregońskim*

Wędrowiec docierał na prerię i widział przed sobą rozległą, miejscami pofalowaną równinę, przeciętą ze wschodu na zachód szerokimi, leniwie płynącymi rzekami, licznymi wąwozami i strumieniami o pokrytych żwirem brzegach, porośniętą wysoką, soczystą trawą. Tę wietrzną, wilgotną krainę na początku roku nawiedzały gwałtowne burze, potem na krótko pokrywał ją magiczny dywan z dzikich kwiatów, a później pozbawiało ją kolorów prażące z wysoka słońce i przysypywał duszący, wszechobecny kurz. Wraz ze wznoszeniem się terenu trawa stawała się niższa i cieńsza, klimat suchszy, a zasoby wody pitnej mniej

obfite.

Do tej pory wędrowiec szedł wzdłuż rzeki Platte, płytkiej, szerokiej i brudnej, wypełnionej gorzką wodą, płynącą tak wolno, że wydawała się gubić swój nurt pośród licznych piaszczystych łach i wysepek porośniętych gęstymi wierzbowymi i topolowymi lasami. Po minięciu Ash Hollow, około ośmiuset kilometrów na północny zachód od Independence, teren się załamywał i wybrzuszał, ukształtowany silnym suchym wiatrem w formacje skalne o fantastycznych kształtach. Szlak nadal prowadził wzdłuż Platte, a potem doliną Północnej Platte, aż jakieś tysiąc pięćdziesiąt kilometrów od punktu wyjścia mijał skromną czworokątną palisadę fortu Laramie. Około stu sześćdziesięciu kilometrów za fortem rozstawał się ze skręcającą na południe Północną Platte i wiódł przez księżycowy krajpodpis_obrazu skalny ku rzece Sweetwater i Przełęczy Południowej w dolnej części pasma Wind River w południowo-zachodnim Wyomingu. Nad Sweetwater, na tysiąc trzysta dziesiątym kilometrze szlaku, wznosiła się charakterystyczna formacja skalna zwana Skałą Niepodległości (*Independence Rock*). Tak ją nazwali Jim Bridger i jego towarzysze 4 lipca 1824 roku. Na ciemnych ścianach tego najbardziej znanego punktu orientacyjnego na szlaku Oregońskim podróżni, wzorem słynnych poprzedników, zostawiali krótkie wiadomości lub ryli na pamiątkę swoje imiona, czyniąc z tej ogromnej skały „wielki pustynny rejestr”. Nieco dalej na prawo wyłaniało się chłodne, pokryte błyszczącym lodem w kolorze błękitu pasmo Wind River, wypiętrzone na wysokość ponad czterech tysięcy metrów nad poziom morza. Poniżej granicy niebieskawego lodu spadały w dół gęsto zalesione zbocza, u których stóp, na tysiąc czterysta siedemdziesiątym kilometrze szlaku, otwierała swe wrota Przełęcz Południowa. Wąska niczym rozpadlina, w zamian za swoje niepozorne kształty oferowała podróżnym pochyłości tak łagodne, że tylko strumienie spływające na wschód do Sweetwater i na południowy zachód do Green River (głównego dopływu potężnej Kolorado) wskazywały na przebiegający tędy kontynentalny dział wód.

Pokonując barierę Gór Skalistych, wędrowiec zostawiał za sobą burzliwy, dotknięty biedą świat i wkraczał do istnej ziemi obiecanej. Dalej na południe, wśród poszarpanych szczytów, rzeka Kolorado wyrzeźbiła sobie drogę do Arizony. Bezpośrednio na zachód biegł główny nurt Green River, zmierzającej na południowy zachód na spotkanie z Kolorado. Niedaleko źródeł Green River, w górach Wind River, budziła się do życia rzeka Snake, zataczając gigantyczny łuk na południowy zachód, zachód i północ, wokół gór Idaho, aby w końcu na terenie obecnego stanu Waszyngton połączyć swoje wody z potężną Kolumbią. Po przejściu na północny brzeg Snake w Three Islands Crossing, na dwa tysiące

dwieście pięćdziesiątym kilometrze, szlak Oregoński biegł przez rozległy jałowy region pomiędzy Górami Skalistymi i pasmami górskimi na wybrzeżu oceanu: Płaskowyż Kolumbii, ponurą wulkaniczną równinę z rzadka porośniętą skąpą kolczastą roślinnością na północy, oraz Wielką Kotlinę Nevady, piaszczystą pustynię rojącą się od grzechotników i wonnej szałwii na południu. „Dziwnie wyglądający i pełen melancholii kraj – napisał o tej krainie Frémont. – Pełen pęknięć, gwałtu i ognia". Wreszcie zdrożony wędrowiec z uczuciem ulgi pokonywał ostatnie górskie przełęcze, wypatrując zadrzewionych wzgórz Oregonu i zroszonej deszczem zieleni doliny Williamette na północy, albo wdychając powiew musującego południowego powietrza znad wybrzeża dolnej Kalifornii, gdzie fale Pacyfiku pędzące przez pełne ryb zatoki z potężnym szumem rozbijają się o ściany niskich nadmorskich klifów.

Wyzwania są dla twardych ludzi. Każdy, kto wyruszał na Zachód, miał wolę przetrwania i robił wszystko, aby przetrwać. Przeprawiając się przez góry, dosiadał muła lub zaniedbanego konika i nieogolony, ze zmierzwionymi włosami niedbale opadającymi na twarz zagłębiał się w nieznane. Nosił flanelową albo skórzaną koszulę, skórzane bryczesy i okrywał się skórą bizona. Owijał stopy paskami pociętego koca i wzuwał na nie mokasyny z jeleniej skóry. W poprzek siodła przed sobą przewieszał wierną strzelbę, z tyłu zaś umieszczał zrolowany koc, a w nim zapasowe mokasyny. W jucznych torbach po obu stronach wiózł swój marny dobytek. U pasa zwisała mu torebka na kule i rożek z prochem, woreczek z tytoniem i dodatkowe skałki do strzelby. Wyposażenia dopełniał wielki rzeźniczy nóż i siekiera, przywiązane rzemieniami do łęku siodła.

Wędrowiec z lepszego towarzystwa mógł podróżować z większą elegancją, w szerokoskrzydłym filcowym kapeluszu i ozdobionej frędzlami koszuli. Mógł mieć dwa pistolety w olstrach i zdobne srebrem meksykańskie siodło. Ale na końcu szlaku trudno było odróżnić dżentelmena od opryszka czy zwykłego prostaka. Francis Parkman (1823–1893), znany amerykański historyk, pisarz i autor znakomitego dzieła opisującego życie na szlaku Oregońskim, zatytułowanego *The Oregon Trail: Sketches of Prairie and Rocky Mountains Life* (Szlak Oregoński: Szkice z życia na prerii i w Górach Skalistych), jako młody człowiek z dobrego domu w 1846 roku wyruszył na Zachód w wielkim stylu z karawaną osadników, ale wrócił w „czerwonej flanelowej koszuli owiniętej wokół pasa niczym sutanna", spod której wystawały „dziwne rzeczy wykonane rękami indiańskiej kobiety z przesiąkniętej dymem skóry". Zdrowia i wytrzymałości starczyło mu tylko na przebycie Wielkich Równin i części szlaku Oregońskiego do fortu Laramie. Więcej już w drogę nie wyruszył. Wrócił do Bostonu, gdzie przez jakiś czas

był profesorem na Harvardzie, i zajął się badaniami nad historią Pogranicza, co zapewniło mu miejsce wśród najwybitniejszych historyków amerykańskich. Jego książka poświęcona podróży na Zachód w 1846 roku, oprócz wrażeń i trafnych spostrzeżeń autora, zawiera wiele cennych informacji praktycznych, przydatnych pionierom wędrującym później szlakiem Oregońskim.

## Wyzwania na szlaku

Zachód nikomu nie dawał przywilejów. Każdego czekały takie same trudy, znoje i niebezpieczeństwa w drodze. Każdy, kto decydował się na wędrówkę, sam ponosił ciężar swojej decyzji. Palące promienie słońca i mroźne zimowe zawieje (blizzardy) doskwierały wszystkim jednakowo. Konie i zaprzęgi wpadały w podziemne nory piesków preriowych, żyjących w olbrzymich stadach na Wielkich Równinach, lub potykały się na przyprawiających o zawrót głowy górskich ścieżkach. Latem kurz zatykał oczy, uszy i usta. Zimą ślepota śnieżna, wywołana promieniami słonecznymi odbitymi na śniegu, wiodła ludzi i zwierzęta na skraj przepaści, a nierzadko wprost w górską otchłań. Trzeba było forsować lub przepływać tysiące strumieni i rzek; wyciągać z lotnych piasków juczne konie i muły, batożyć je do krwi i zmuszać, aby weszły do rwącej wody, albo pędzić prychające i na wpół oszalałe na błotniste brzegi. A wieczorem głodni, spragnieni i przemoczeni ludzie kładli się do snu przy akompaniamencie przejmującego wycia wilków, wśród niezliczonych chmar uciążliwych, kąsających komarów.

Najbezpieczniejszym sposobem podróżowania dla mężczyzn, kobiet i dzieci był tabor krytych wozów, popularnie zwanych „szkunerami prerii”, prowadzony przez doświadczonego przewodnika**[**[40]**]**. Typowy pojazd pionierów typu *Conestoga*, przystosowany do jazdy po bezdrożach, o nośności około sześciu ton, miał cztery stopy szerokości i dwanaście stóp długości (121 x 365 cm). Musiały się na nim zmieścić zapasy na podróż i rzeczy niezbędne do rozpoczęcia nowego życia. Najważniejsze były żywność, broń i narzędzia, ale niektórzy zabierali ze sobą także meble, żelazne piecyki, kufry, dziecinne kołyski i rodzinne pamiątki. Poza tym wóz dawał schronienie.

Na każdym etapie wędrówki podróżni pokonywali różne trudności. Najpierw, przez jedną trzecią drogi przez prerię, musieli przywyknąć do nowych warunków i nauczyć się zwykłych codziennych czynności: zaprzęgać i wyprzęgać zwierzęta pociągowe, utrzymywać wozy w odpowiednim szyku, codziennie zapewnić świeżą wodę i pożywienie ludziom i zwierzętom. Uczyli się też zasad

współżycia społecznego na szlaku, przestrzegania reguł obowiązujących w gromadzie, rozbijania na noc i zwijania nad ranem kolejnych obozowisk, poruszania się w kilku kolumnach wozów, aby wzbijać mniej kurzu i ograniczyć wdychanie duszącego pyłu, zamiany miejsc w szyku, żeby było sprawiedliwie. Wędrowali przez sześć dni w tygodniu, aby pokonać najtrudniejsze odcinki szlaku i zdążyć przekroczyć góry przed nadejściem zimowych śniegów. Na szczęście pierwsze kilometry drogi były stosunkowo łatwe, dopóki podążali wytyczonym szlakiem przez dolinę Platte w kierunku wysokich Równin. Rozpoczęcie podróży na wiosnę gwarantowało dostatek trawy dla zwierząt i obfitość wody, a jeśli udało się wyprzedzić innych, można było mieć pewność, że w tradycyjnych miejscach postoju i oczkach wodnych pasza nie będzie wyjedzona, a woda zanieczyszczona i zagrażająca wybuchem epidemii cholery.

*Napad na karawanę osadników*

Podniecenie rosło, kiedy pionierzy mijali popularne punkty orientacyjne: Kominową Skałę (*Chimney Rock*) i Szkockie Urwisko (*Scotts Bluff*) w Nebrasce. To oznaczało postęp, prawie jedną trzecią przebytej drogi, zarazem jednak rodziło obawę, czy wystarczy pieniądzy na dalszą podróż. Do tego czasu trzeba było przecież płacić myto za przeprawy promowe i przejazdy przez mosty, kupować zapasy i żywność w punktach etapowych po drodze lub od innych emigran-

tów.

*Chimney Rock w Nebrasce*

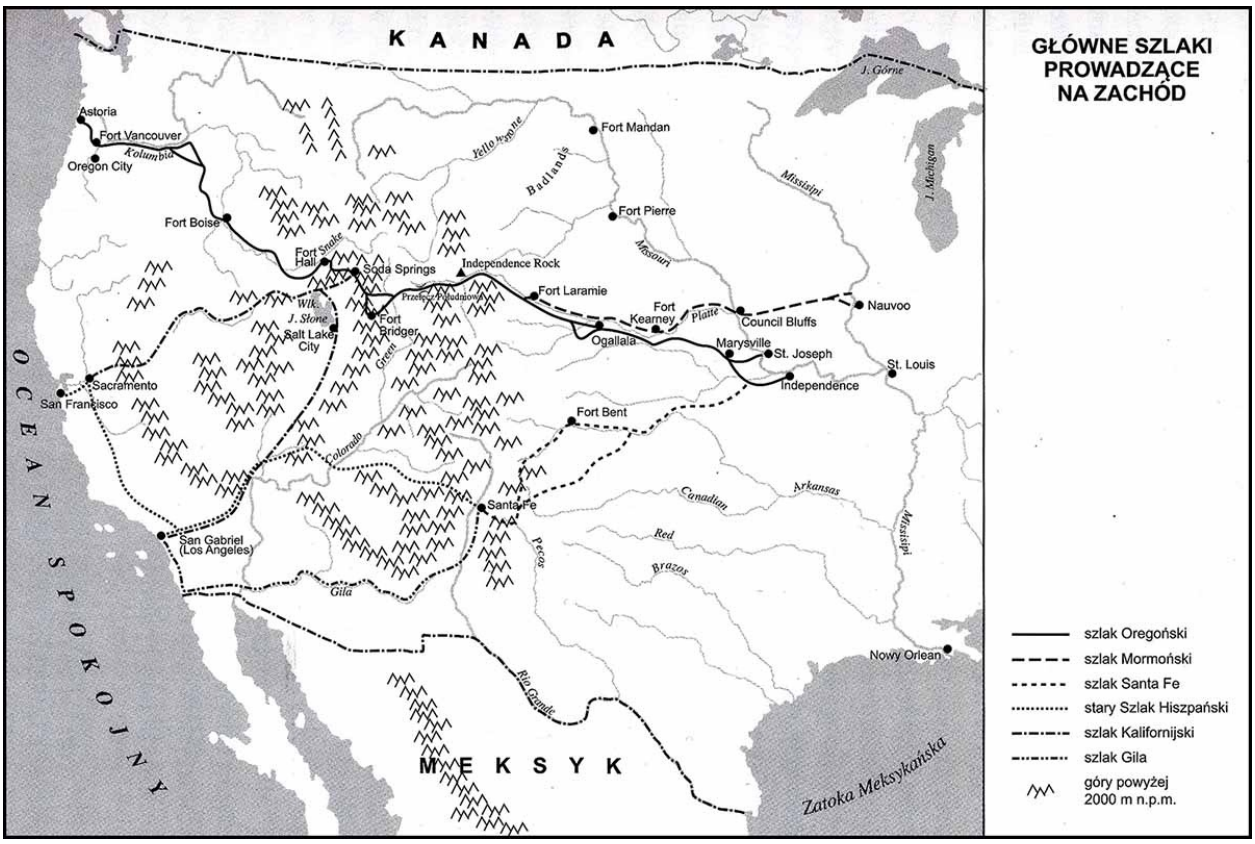


Tydzień jazdy za Szkockim Urwiskiem znajdował się fort Laramie. Ten wczesny punkt handlu z Indianami, wybudowany w czerwcu 1834 roku w pobliżu ujścia Laramie do Północnej Platte przez znanych handlarzy skórami Williama Sublette'a i Roberta Campbella, początkowo nazywał się Fort William. Od 1835 roku był własnością Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych, a od 1836 roku – Amerykańskiej Kompanii Futrzarskiej. Położony na terenach łowieckich Siuksów i Czejenów, szybko nabrał rangi centrum handlowego dla Indian i traperów. Od 1841 roku pod zmienioną nazwą Fort John zaopatrywał okazjonalnych wędrowców oraz misjonarzy. W 1849 roku, przejęty przez armię na placówkę wojskową mającą chronić karawany emigrantów wędrujących szlakiem Oregońskim, stał się jednym z najważniejszych przystanków na tym szlaku**[**41**]**.

*Fort Laramie (*obraz Alfreda Jacoba Millera*)*

W forcie Laramie podróżni mogli uzupełnić kończące się zapasy, kupić nowe zwierzęta pociągowe, żywność i lekarstwa, ale za cenę wielokrotnie wyższą niż na Wschodzie. Po długiej wędrówce wzdłuż mulistej Platte z ulgą witali możliwość kąpieli i wyprania swoich rzeczy w czystej rzece. W forcie pozostawali tylko około sześciu tygodni, dlatego każdy dzień mijał im na wytężonej pracy. Trzeba przecież było dobrze się przygotować do przeprawy przez kontynentalny dział wód, naprawić uprząż i rozchwiane koła, wzmocnić pudła wozów.

Potem ruszali w dalszą drogę, już znacznie trudniejszą. Stopniowo ubywało wody i trawy dla zwierząt. Pod wpływem suchego powietrza drewniane koła kurczyły się i spadały z nich obluzowane żelazne obręcze. Coraz rzadziej napotykano stada bizonów, stanowiących główne źródło świeżego mięsa. Zaczynało brakować opału na ogniska – nie tylko drewna, ale i wysuszonego bizoniego łajna. Zmęczone konie z wysiłkiem ciągnęły ciężkie wozy, pozbywano się więc zbędnego balastu: cennych mebli, skrzyń, pamiątek rodzinnych i rzeczy osobistych. Najważniejsze przecież dla przetrwania były żywność i narzędzia. W forcie Bridgera po zachodniej stronie Gór Skalistych ci, którzy jechali do Oregonu,

skręcali na północny zachód, do doliny rzeki Snake. Niektórzy jednak zaraz po przekroczeniu Przełęczy Południowej wybierali trudniejszy szlak skrótem Sublete'a (*Sublette's Cutoff*). Prowadził on przez dziki i jałowy teren, gdzie na przestrzeni osiemdziesięciu kilometrów nie było ani wody, ani trawy, ale ci, którzy zdecydowali się nim pojechać i przeżyli, oszczędzali prawie sto czterdzieści kilometrów i tydzień drogi.

Pierwsi emigranci w zasadzie nie mieli kłopotów z Indianami. Napotykani tubylcy byli zwykle ciekawi białych, przyjaźni i pomocni. Często towarzyszyli im w drodze, dostarczali koni, żywności i lekarstw, służyli za przewodników i pilotów przy pokonywaniu najbardziej niebezpiecznych przepraw rzecznych. Niektórzy podróżujący w ogóle nie widywali Indian. Ataki na karawany wozów zdarzały się rzadko, mimo to w 1851 roku Thomas Fitzpatrick zwołał naradę w forcie Laramie, na którą przybyło dziesięć tysięcy Indian. W podpisanym wówczas traktacie (tzw. traktat z Laramie) Indianie zobowiązali się nie niepokoić białych wędrowców w zamian za coroczną rentę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Kiedy jednak liczba emigrantów na szlaku wzrosła, pokojowe dotąd relacje z Indianami zaczęły się pogarszać. Biali roznosili epidemie chorób, niszczyli przyrodę i bez umiaru wybijali dziką zwierzynę, a to nie mogło się podobać tubylcom. Po roku 1860 wrogość Indian osiągnęła szczyt i każdy przejazd przez ich tereny wiązał się z dużym ryzykiem, a nierzadko i z ofiarami. W najlepszym razie młodzi wojownicy żądali w takim wypadku „prezentów" w postaci kawy lub tytoniu. Wbrew popularnemu wyobrażeniu, tworzone przez emigrantów kręgi z wozów na postoju nie miały na celu ochrony przed Indianami, lecz przede wszystkim zabezpieczenie własnych zwierząt. Mądrzy ludzie po obu stronach starali się unikać kłopotów i często im się to udawało.

Znużeni, bosi i zmęczeni podróżni nabierali nowej energii, gdy zbliżała się trzecia, końcowa i zarazem najtrudniejsza część wędrówki. Teraz zaczynał się wyścig z czasem, żeby przebyć góry, zanim zimowe śniegi zamkną przełęcze lub odetną drogę nieprzygotowanym i wyczerpanym ludziom przed pokonaniem pasma Gór Błękitnych we wschodnim Oregonie albo leżących dalej na zachodzie Gór Kaskadowych. W pierwszych latach istnienia szlaku Oregońskiego emigranci nie mieli innego wyjścia, tylko porzucić swoje wozy na brzegu Kolumbii, zbić tratwy i spłynąć nimi w dół rzeki z dzisiejszego The Dalles do fortu Vancouver. Wielu straciło życie w zdradzieckiej rzece, pełnej kaskad i niebezpiecznych prądów, prawie u celu podróży. Dopiero po wybudowaniu w 1846 roku przez Sama Barlowa płatnej drogi o długości stu sześćdziesięciu kilometrów przez niedostępne wcześniej Góry Kaskadowe otworzył się dostęp dla wozów do doliny

rzeki Willamette. Już w pierwszym roku istnienia nowej drogi Barlowa (*Barlow Road*) przeszły nią sto pięćdziesiąt dwa wozy, tysiąc pięćset pięćdziesiąt dziewięć mułów, koni i krów oraz tysiąc trzysta owiec.

Zaraz po przybyciu do doliny Willamette emigranci rozpływali się po okolicy w poszukiwaniu miejsca na farmy i osady. Początkowo niewielu przybyszów osiedlało się na północ od Kolumbii. Kiedy jednak Stany Zjednoczone i Wielka Brytania osiągnęły porozumienie w sprawie granicy międzynarodowej w Oregonie i Kompania Zatoki Hudsona przeniosła swoją placówkę z fortu Vancouver na wyspę Vancouver, Amerykanie zaczęli osiedlać się także w dzisiejszym stanie Waszyngton. Według spisu ludności z 1850 roku w Oregonie mieszkało wówczas dwanaście tysięcy dziewięćdziesięciu trzech ludzi. Dziesięć lat później, kiedy Oregon był już od roku stanem, liczba ta wynosiła pięćdziesiąt dwa tysiące czterysta dziewięćdziesiąt pięć osób. Małe osiedla przekształciły się w miasta. Dotychczasowe ziemianki i chaty z bali zostały zastąpione przez solidne domy otoczone dobrze zagospodarowanymi ogrodami i sadami. Ziemia nabrała cywilizowanego wyglądu, jak w kraju, który emigranci opuścili.

Jedyną formą wypoczynku dla ludzi i zwierząt podróżujących szlakiem na Zachód był wieczorny obóz. Po znojnym dniu można było wreszcie wyprząc konie, posilić się i rozłożyć posłania. Stopniowo gasły ostatnie światła dnia i na bezkresnym letnim niebie rozbłyskały miliardy gwiazd. Wiatr szumiał w topolowych gajach porastających brzegi rzek. Na ogniu podtrzymywanym chrustem lub wysuszonym łajnem bizonów skwierczało pieczone na patykach mięso lub bulgotała potrawka w żelaznym kociołku. W ciemności dymy obozowych ognisk unosiły się pod obłoki. Czasem ktoś nucił smętną balladę, umilając czas zmęczonym ludziom przeżuwającym ostatnie kęsy wieczornego posiłku. Wreszcie płomień ogniska przygasał i wszechobecna noc kładła cień na rozłożone wokół żarzących się węgli postaci owinięte w koce. Tylko konie czujnie węszyły w mroku i od czasu do czasu cicho parskały.

*Wozy pionierów w drodze na zachód*

O świcie zaczynała się codzienna niekończąca się mordęga. Nauczeni doświadczeniem ludzie pozbywali się każdego zbędnego ciężaru, zaśmiecając szlak porzuconymi sprzętami, starymi ubraniami i niepotrzebnymi narzędziami. Trzeba było ograniczyć się do tego, co niezbędne; trzeba było przeżyć, czyli przede wszystkim zdobyć jedzenie. Spożywano więc wszystko, co dało się ustrzelić, złapać lub złowić. Przy odrobinie szczęścia trafiał się jeleń, łoś lub widłoroga antylopa, nieraz kupowano psy od mijanych po drodze Indian. Latem dietę uzupełniały dzikie owoce, jagody i jadalne korzenie. Za największe luksusy uchodziły kawa, cukier i suchary, ale bez nich można się było obejść.

Najcenniejszym jednak i najbardziej pożądanym źródłem mięsa był amerykański bizon – wielkie, kosmate, potężnie zbudowane zwierzę o wysokości w kłębie do stu osiemdziesięciu centymetrów i masie do tysiąca kilogramów. Po trawiastych obszarach Wielkich Równin i u podnóża Gór Skalistych wędrowały swobodnie milionowe stada tych zwierząt, zapewniając koczowniczym plemionom Indian niemal wszystko, czego potrzebowały do życia. Mięso służyło do jedzenia, skóra – do wyrobu odzieży i pokrycia namiotów, z rogów wyrabiano naczynia, z kości narzędzia i groty do strzał, ze ścięgien cięciwy i sznurki, z racic klej, a wysuszone łajno nadawało się na opał. Wcześni pionierzy szybko docenili wartość bizona i wzorem Indian nauczyli się wykorzystywać każdą część upolowanego zwierzęcia: nie tylko górę zdrowego soczystego mięsa czy wyjątkowo

smakowitą surową wątrobę, przyprawianą czasem z braku soli odrobiną prochu strzelniczego, ale także jelita, kości i zwłaszcza skórę. Z bizoniej skóry wyrabiali między innymi namioty, spodnie, płaszcze, juki do siodeł, a nawet łódki do przeprawy przez rzeki. Po roku 1830, kiedy nadmierne polowania na bobry spowodowały znaczny spadek ich populacji, bizon stał się ważnym towarem w handlu na Zachodzie. W rezultacie bezgraniczna chciwość i okrucieństwo człowieka doprowadziły niemal do wyginięcia gatunku.

Bizon był nie tylko źródłem wszelkiej obfitości, ale także masowej rozrywki. Polowanie na bizony stało się wręcz ulubionym sportem Amerykanów. Kiedy przerażone stado rzucało się do biegu, dudniąc tysiącami kopyt z siłą i grzmotem rozpędzonej lokomotywy, w żyłach człowieka Zachodu zaczynała szybciej krążyć krew. Jeździec zaciskał mocniej pas, wkładał do ust garść kul, wbijał ostrogi w boki konia i ruszał pędem przez falistą prerię za uciekającym stadem. Pijany gonitwą, wpadał z wrzaskiem w gęsty obłok kurzu i strzelał, przeładowując w galopie broń, dopóki nie zabrakło mu kul lub póki nie okulał jego pokryty pianą, ledwo żywy koń. „Czułem się jak wykąpany w gorącej wodzie” – napisał po takim polowaniu Francis Parkman.

Ogromne ilości bizoniego mięsa zjadano w czasie największego wydarzenia społecznego na Zachodzie – corocznego spotkania kompanii futrzarskiej. Wygłodniały „człowiek z gór” mógł pochłonąć nawet trzy kilogramy mięsiwa za jednym posiedzeniem, popijając je morzem mocnego alkoholu. Do ulubionych miejsc spotkań – Pierre’s Hole i Jackson Hole, przytulonych do doliny rzeki Snake – ściągały wówczas setki spragnionych odpoczynku i dobrej zabawy traperów. Przybywali także Indianie, aby pohandlować, napić się „wody ognistej”, pouprawiać hazard i popatrzeć na dziwnych białych ludzi. A nieokrzesani samotnicy z gór, po otrzymaniu wypłaty i uzupełnieniu niezbędnych zapasów, rzucali się na kilka dni w wir dzikiego szaleństwa. Większość upijała się na umór, urządzała burdy, pojedynkowała się i oddawała hazardowi. Wielu zawierało doraźne małżeństwa z indiańskimi dziewczętami, zwabionymi kolorowymi wstążkami i tanimi błyskotkami, a potem znowu piło na umór i zwalało na ziemię tam, gdzie ich zmożył sen. Nocą zaś świeżo poślubione indiańskie żony odciągały swoich nieprzytomnych mężów w krzaki, aby mogli dojść do siebie.

A temu wszystkiemu przyglądali się Indianie. Nie byli jednak tylko krytycznymi obserwatorami. Czasami poszczególne plemiona dawały pokaz własnych umiejętności. Mężczyźni i kobiety śpiewali i tańczyli, a młodzi wojownicy szarżowali konno z okrzykami wojennymi przy wtórze karabinowej palby. Potem mieszali się z rozbawionym tłumem, pili, ile się dało, i starali się dorównać bia-

łym rozpasaniem. Uwielbiali gry hazardowe i nie znali w tym umiaru. Kołysząc się i mamrocząc pod nosem magiczne zaklęcia na szczęście, Indianin był gotów postawić wszystko, co posiadał, w popularnej grze w kości, stanowiącej odpowiednik gry w trzy karty. Na koniec przejedzeni, upojeni alkoholem, godni pożałowania nieszczęśnicy, biali i czerwoni, bez pieniędzy i rzeczy, które przegrali, chwiejnym krokiem wracali do surowej rzeczywistości, aby dalej znosić trudy codziennego żywota.

## Kobiety ruszają na Zachód

Aż do lat trzydziestych XIX wieku Zachód był dla Amerykanów wyłącznie światem mężczyzn. Światem odkrywców, traperów, handlarzy, wizjonerów, żołnierzy, czasami artystów i zblazowanych dandysów, ale tylko mężczyzn. Nikt nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że biała kobieta mogłaby się zmierzyć z dziczą amerykańskich kresów. Bo nawet gdyby wytrzymała trudy i niebezpieczeństwa podróży, jak miałaby, przy całym szacunku dla damskiej intymności, dosiadać konia w długiej sukni podczas wędrówki przez góry? Albo czy byłaby w stanie przebyć wozem trudny szlak Oregoński? Przecież nawet podróż utartym szlakiem wydawała się zbyt niebezpieczna. Koła wozów grzęzły w błocie i lotnych paskach, w górach zaś łamały się i rozpadały. Wozy utykały w drodze albo nie mogły przejechać zbyt wąską ścieżką. Ślizgały się po stromych zboczach lub z trudem brnęły przez płaskie, ale dziurawe odcinki szlaku, zawalone odłamkami skał. Nawet doświadczona Kompania Gór Skalistych, która próbowała korzystać z wozów, musiała w końcu z nich zrezygnować. Oprócz tego na szlaku czyhali Indianie, dla których skalp kobiety był tak samo cenny jak mężczyzny. A jednak wszystkie te przeszkody okazały się do pokonania za sprawą pewnej organizacji religijnej, która wysłała na szlak pierwsze panie.

Początek lat trzydziestych XIX wieku stanowił punkt zwrotny w historii Indian z Północnego Zachodu. Bliskie kontakty z białymi i uzależnienie od europejskich towarów na trwałe zmieniły styl życia wielu plemion. Na etapie przyjaznych obustronnych relacji Indianie żywo interesowali się cywilizacją przybyszów i zasadami ich wiary. Wielu z nich, a zwłaszcza przywódcy plemienni i dbająca o swoją pozycję starszyzna rodowa, dostrzegało w nowej religii i obyczajach białych ludzi klucz do mądrości, sukcesów i bogactwa. Nic więc dziwnego, że chrześcijaństwo umacniało swoje wpływy wśród plemion z Dalekiego Zachodu, zwłaszcza od roku 1830. Przyczyniły się do tego kontakty z francuskimi Kanadyjczykami, ochrzczonymi Irokezami ze Wschodu pracującymi dla kanadyjskich kompanii futrzarskich, handlarzami futer i amerykańskimi trape-

rami. W 1825 roku Kompania Zatoki Hudsona zapoczątkowała zwyczaj wysyłania do anglikańskich szkół misyjnych w Kanadzie młodych Indian z wpływowych rodzin, którzy po kilku latach nauki wracali do swoich wiosek i włączali się w akcję chrystianizacyjną wśród współplemieńców.

Doniosłe znaczenie dla losów plemion z Północnego Zachodu miała wizyta czterech wojowników ze szczepu Nez Percé na Wschodzie w 1831 roku. Wraz z amerykańskimi traperami powracającymi z Gór Skalistych udali się oni do St. Louis, gdzie spotkali się między innymi z Williamem Clarkiem, odpowiedzialnym w tym czasie za sprawy Indian na Terytorium Missouri. Podczas rozmów z białymi, czy to w wyniku nieporozumienia, czy wskutek religijnej gorliwości tłumacza, ochrzczonego półkrwi

Indianina z plemienia Huronów, powstało wrażenie, że wojownicy Nez Percé stanowią oficjalną delegację swego ludu, wysłaną po „księgę nieba białego człowieka”, jak Indianie nazywali Biblię, i zabiegającą o przysłanie do nich misjonarzy.

*Wojownik Nez Percé*

Jakie były prawdziwe okoliczności tego wydarzenia, nie wiadomo, w każdym razie rzekomy apel Nez Percé o chrystianizację wzbudził zainteresowanie wielu organizacji religijnych na Wschodzie. Pierwszy odpowiedział na niego metodysta Jason Lee (1803–1845): w 1834 roku wyruszył z grupą osób nad rzekę Kolumbię, aby nieść zbawienie „wędrownym synom natury". Gorliwy moralista założył misję w krainie Płaskich Głów w południowej Montanie, ale wkrótce uznał, że cel, jaki sobie wyznaczył, przekracza jego siły i zniechęcony przeniósł się do doliny Willamette między Kanadyjczyków z Kompanii Zatoki Hudsona. Dwa lata później w dzieło nawracania Indian włączyła się protestancka organi-

zacja religijna z Bostonu pod nazwą Amerykański Zarząd Komisarzy do spraw Misji Zagranicznych (ABCFM). Organizacja ta – wyrosła na gruncie ewangelicznego zapału, jaki ogarnął Amerykę w pierwszym półwieczu po uzyskaniu niepodległości – wysłała do Oregonu dwie pary prezbiteriańskich misjonarzy ze stanu Nowy Jork: doktora Marcusa Whitmana i jego świeżo poślubioną żonę Narcissę oraz Henry'ego i Elizę Spaldingów. Było to epokowe wydarzenie, gdyż w grupce misjonarzy znalazły się od razu dwie kobiety. Mimo ostrzeżeń starych wyg, że kobiety nie przeżyją drogi na Zachód, bo nawet jeśli uda im się uniknąć zwykłych zagrożeń, wykończy je „nieokiełznana dzikość" prymitywnych plemion, dzielne panie nie ulękły się niebezpieczeństw. Narcissa (1808–1847), dla której był to miesiąc miodowy, uznała, że ma dość sił, wiary i optymizmu, a Eliza (1807–1851), choć słabego zdrowia, tryskała energią i dobrym humorem.

W końcu maja 1836 roku misjonarze wyruszyli dwoma krytymi wozami z St. Louis w ślad za karawaną kupców, która pod przewodnictwem Miltona Sublette'a i Toma Fitzpatricka udawała się przez Przełęcz Południową na *rendezvous* nad Green River. Towarzyszyło im trzech pomocników, wśród nich obiecujący świecki misjonarz William Gray. Grupa prowadziła ze sobą czternaście koni, sześć mułów, cztery mleczne krowy i trzynaście owiec.

Już na stosunkowo łatwym odcinku szlaku nad Platte obie kobiety poznały przedsmak tego, co je czeka. W czerwcu obficie padało i podróżnych atakowały chmary komarów, a oni nie mieli namiotów. Ciężkie wozy zapadały się w grząskim gruncie, a sytuację pogarszały setki wezbranych strumieni, wypełnionych po brzegi wiosennymi wodami spływającymi z gór. Rozładowywanie bagaży i przeprawianie ich łódką po dwadzieścia razy dziennie nadwątlało siły i wyczerpywało cierpliwość, tym bardziej że skórzane poszycia łodzi rozszarpywały wałęsające się po szlaku głodne indiańskie psy. Na dodatek tempo spowalniały towarzyszące misjonarzom zwierzęta, z upiorem wzbraniające się przed pokonywaniem licznych przeszkód wodnych i niechętne do marszu po nocnym wypoczynku. Obie kobiety, owinięte po same oczy cienkim zwojem perkalu, wlokły się w brudzie, kurzu i błocie na samym końcu kupieckiej karawany. A podczas krótkiego postoju w środku dnia albo na wieczornym obozowisku ścigały je ciekawskie, wścibskie spojrzenia woźniców i towarzyszących handlarzom Indian.

Natychmiast po przybyciu na miejsce odpoczynku lub do obozowiska kobiety przygotowywały posiłek. Jedzenia nie brakowało, bo zabrano ze sobą sporo prowiantu, a krowy dostarczały tłustego mleka. Szybko jednak zaczęto oszczędzać zapasy i żywić się głównie bizonim mięsem, czasem nawet trzy razy dziennie. Mimo że było ono bardzo smaczne i pożywne, pod koniec lipca wędrowcy mieli

go już dość i marzyli o kawałku zwykłej wieprzowiny z ziemniakami. Kobiety musiały nauczyć się niezbędnych na prerii umiejętności: rozpalać ogień z wysuszonego łajna bizonów i piec namiastkę chleba na żelaznej patelni. Posiłki podawały zwykle na blaszanych talerzach, stawianych wprost na ziemi, i jadły za pomocą myśliwskiego noża. W miarę możliwości starały się jednak zachować choć odrobinę kultury, więc przy sprzyjającej okazji rozkładały obrus i używały wystruganych z drewna widelców. Przed posiłkiem dokonywały pobieżnej toalety, otrzepywały suknie z kurzu drogi i związywały zmierzwione włosy. Delikatna Eliza ciągle się na coś uskarżała, ale Narcissa „była zadowolona jak nigdy przedtem”. Zanim cała grupa dotarła nad Green River, była już w odmiennym stanie i cieszyła się na powiększenie rodziny.

Tego roku Zachód nawiedziły liczne choroby. Oprócz powszechnej na szlaku dyzenterii i biegunki wystąpiła także epidemia cholery, a dotknięci nią nieszczęśnicy wili się z bólu od potwornych skurczów i konwulsji. W owym czasie nikt nie znał przyczyn tej strasznej choroby, ale dziś wiemy, że wywołała ją skażona i zanieczyszczona woda. Lekarz Whitman wiózł ze sobą trochę lekarstw, ale najczęściej stosował upuszczanie krwi i czyścił swoich pacjentów słoną wodą. Robił, co mógł, aby ulżyć nieszczęśnikom, lecz niewiele potrafił pomóc. Już jednak sama obecność lekarza dobrze oddziaływała na ludzi. Nawet Jim Bridger pozwolił Whitmanowi wyjąć sobie spod skóry tkwiący tam od lat grot indiańskiej strzały.

Na początku lipca grupa dotarła w końcu na *rendezvous* nad Green River. Widok białych misjonarek wzbudził wśród zebranych nie lada sensację. Obie Amerykanki powitał długi szereg Indianek Nez Percé, które obdarzyły je ceremonialnymi, lecz płynącymi ze szczerego serca pocałunkami, według zwyczaju „ludzi z gór”. Potem młodzi wojownicy Bannoków, Płaskich Głów, Szoszonów i Nez Percé w pełnych strojach wojennych popisali się konną szarżą i ustąpili miejsca starym traperom. Ci, zadziwieni nie mniej od Indian, starali się przywołać w pamięci zapomniany już prawie podpis_obrazu białych kobiet widywanych w dalekiej przeszłości na Wschodzie. Panie zaś, zafascynowane nowym otoczeniem i mile połechtane powszechnym zainteresowaniem nie traciły dobrego humoru. A Narcissa od razu wykorzystała okazję, żeby zaprezentować zdumionej publice dwa muły obładowane dewocjonaliami.

Na razie misjonarze mogli uznać swoją podróż za sukces. Whitman, jako rzecznik większości grupy, napisał entuzjastyczny list do zarządu Misji, ale Spalding dodał gorzką uwagę: „Jeśli cenicie życie i pieniądze, nigdy nie wysyłajcie drugiej misji przez te góry”. Jego ponure przewidywania wkrótce miały się

sprawdzić. Misjonarze z pomocą kanadyjskich traperów ruszyli dalej w kierunku rzeki Kolumbii ciężkimi wozami, których Whitman nie chciał porzucać. Tempo marszu było mizerne. Nieprzystosowane do warunków wozy przewracały się, łamały osie, zapadały się w grząskim gruncie i utykały w wąskich skalnych przesmykach, a ciągnące je muły omal się nie potopiły w rwącej górskiej rzece. Letnie słońce niemiłosiernie paliło, nie pozwalając na południowy odpoczynek. Chude, wynędzniałe bydło z wystającymi żebrami i zdartymi do żywego mięsa kopytami wlokło się w otępieniu, przerywanym atakami szału z powodu atakujących je insektów. Zwierzętom boleśnie dawała się też we znaki kolczasta roślinność Płaskowyżu Kolumbii, która spowalniała jeszcze ślimacze tempo wędrówki. Nawet promienna do tej pory Narcissa Whitman zmarkotniała i zaczęła odczuwać przykre skutki wczesnej ciąży. W końcu nieznośny gorąc, zmęczenie i monotonna dieta przykuły ją do łóżka. Grupa jednak uparcie posuwała się dalej. Wreszcie u kresu ludzkiej wytrzymałości podróżni pokonali ostatnią naturalną przeszkodę, Góry Błękitne w północno-wschodnim Oregonie, i z odzyskaną nadzieją zeszli do doliny Kolumbii. Na początku sierpnia dotarli do fortu Hall w południowo-wschodnim Idaho, a pod koniec drugiej dekady miesiąca osiągnęli fort Boise. Ostatecznie, po sześciu tygodniach wędrówki znad Green River, wypełnionej niezliczonymi modłami i wieloma chwilami zwątpienia, 1 września 1836 roku misjonarze przybyli do fortu Walla Walla, znajdującego się wówczas pod zarządem Kompanii Zatoki Hudsona.

Po dotarciu do Oregonu obie pary się rozdzieliły. Whitmanowie osiedlili się wśród Indian Cayuse, Spaldingowie zaś w listopadzie tego roku założyli misję w krainie Nez Percé nad potokiem Lapwai w Idaho. W ten sposób Narcissa Whitman i Eliza Spalding jako pierwsze kobiety przemierzyły kontynent północnoamerykański. W marcu 1837 roku Narcissa wydała na świat córeczkę Alice Clarissę, pierwsze anglo-amerykańskie dziecko urodzone na terytorium Oregonu (dwa lata później dziewczynka utonęła w rzece Walla Walla). Ten historyczny wyczyn misjonarzy dowiódł, że trudną i zdradliwą drogę na Zachód są w stanie przebyć także kobiety, wozy i bydło. Po opublikowaniu dzienników i listów do rodzin Whitmanowie i Spaldingowie stali się wzorem do naśladowania dla wielu pionierów, którzy uwierzyli, że Oregon to kraina wielu możliwości i ziemia obiecana, wolna od biedy i chorób, których zaznali na Wschodzie.

Nastąpił punkt zwrotny w kolonizacji Zachodu. Teraz już nic nie mogło zahamować emigranckiej fali. Farmerzy, przedsiębiorcy, rzemieślnicy, politycy, dziennikarze, łowcy przygód, misjonarze, hazardziści, górnicy, przewoźnicy i inni – młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety – wszyscy w pośpiechu ruszali w

drogę. Na szlaku Oregońskim jak grzyby po deszczu powstawały punkty etapowe i forty mające chronić wędrujących pionierów. Wybudowane w 1834 roku forty Laramie, Hall i Boise, brudne i ciasne posterunki skryte za drewnianą palisadą, dla wielu stawały się wspaniałymi oazami cywilizacji w otaczającej ich zewsząd dziczy.

„Jest naszym objawionym przeznaczeniem połączyć w jeden naród przestrzeń pomiędzy dwoma wielkimi oceanami!" – grzmieli politycy. Chociaż idea „objawionego przeznaczenia" została oficjalnie ogłoszona dopiero w 1845 roku, interesy materialne Stanów Zjednoczonych, wsparte przekonaniem, że to Bóg dał Amerykanom prawo do zajmowania nowych terytoriów i ustanawiania na nich własnych zwyczajów i rządów, stały się siłą napędową społeczeństwa amerykańskiego na długo przedtem. Już od 1840 roku przeciętny amerykański mężczyzna i kobieta gotowi byli podążyć ku Górom Skalistym, aby znaleźć dla siebie miejsce pod słońcem Zachodu.

W drodze do Kalifornii najtrudniejszy do pokonania był stuseśćdziesięciokilometrowy odcinek przez Sierra Nevada. W tym długim na blisko sześćset pięćdziesiąt kilometrów paśmie górskim, stanowiącym naturalną wschodnią granicę i kręgosłup Kalifornii, występuje około pięciuset imponujących szczytów powyżej 3700 metrów nad poziomem morza. Z powodu ich wysokości i bliskości Oceanu Spokojnego spada tam więcej śniegu niż w innych górach Ameryki Północnej. Dlatego dla emigrantów wędrujących do Kalifornii najważniejsze było dokładne zaplanowanie czasu, żeby uniknąć zarówno wiosennych roztopów i błota uniemożliwiających przeprowadzenie górskim szlakiem ciężkich wozów, jak i potężnych opadów śniegu, nawiedzających przełęcze górskie już od września, wskutek czego stawały się one nie do przebycia. Tego czasu nie starczyło grupie ludzi skupionych wokół rodzin Georga i Jacoba Donnerów oraz Jamesa Reeda ze Springfield w Illinois. Główna grupa trzydziestu dwóch osób na dziewięciu nowiutkich wozach wyruszyła z Illinois w liczącą cztery tysiące kilometrów podróż do Kalifornii w kwietniu 1846 roku. Po drodze dołączyli do niej inni, łącznie więc karawana składała się z osiemdziesięciu siedmiu ludzi i dwudziestu trzech wozów.

Podróż szlakiem Oregońskim przebiegła bez poważniejszych zakłóceń. Cztery miesiące zaplanowane na pokonanie prerii, pustyni, gór i rzek w drodze do wymarzonego celu wydawały się okresem całkowicie realnym. Problemy zaczęły się na szlaku Kalifornijskim, gdy niedoświadczonym pionierom przyszło się zmierzyć z Wielką Pustynią Słoną, jałową przyrodą Wielkiej Kotliny, własnymi słabościami, niesnaskami i wojowniczymi Pajutami, którzy wykorzysty-

wali każdą okazję, żeby kraść lub zabijać konie i woły białych wędrowców. Na tym etapie podróży kilka osób zmarło, a kiedy wreszcie udało się przebrnąć pustynię, Jamesa Reeda wypędzono za morderstwo, a wielu ludzi nie miało czym podróżować. Dopiero na początku listopada pionierzy stanęli u wrót Sierra Nevada w okolicach dzisiejszego Reno. W decydującym momencie, zaledwie dwadzieścia kilometrów od górskiej przełęczy, za którą leżała kalifornijska dolina Sacramento z jej pierwszymi amerykańskimi osadami, wędrowców zatrzymały obfite opady śniegu. Nad jeziorem, które dziś nosi nazwę Donner Lake, musieli rozbić zimowy obóz, z niewielkim zapasem żywności i nielicznymi zwierzętami pociągowymi, które przetrzymały skrajnie trudne warunki. Przez cztery miesiące mężczyźni, kobiety i dzieci marzli i zamarzali w byle jakich szałasach i namiotach, bez większej nadziei na przetrwanie. Z głodu żuli rzemienie uprzęży, a nawet dopuszczali się kanibalizmu.

Na początku lutego 1847 roku na pomoc uwięzionym w śniegach Sierra Nevada u wejścia do dzisiejszej Przełęczy Donnera (2175 m n.p.m.) wyruszyła z fortu Sutter w Kalifornii pierwsza ekipa ratunkowa, prowadzona przez Jamesa Reeda, banity, który zdołał jakimś cudem przebić się przez góry, zanim śniegi odcięły drogę jego dawnym towarzyszom. 19 lutego ratownicy weszli do obozu nad Donner Lake i zastali w nim czterdziestu ośmiu żywych ludzi. Niektórzy z nich postradali zmysły, inni znajdowali się na granicy życia i śmierci. W marcu przybyły kolejne ekipy ratunkowe. Odkryły resztki skórzanej uprzęży i aż nadto oczywiste ślady kanibalizmu, którego ofiarą padli też niektórzy członkowie rodziny Donnerów. W kwietniu, po ewakuacji ostatnich ocalałych ludzi, sporządzono bilans śmiertelnych ofiar: wyniósł on czterdzieści jeden osób.

*Jezioro Donnera iśniegi Sierra Nevada (1860)*

Tragedia karawany Donnerów odbiła się szerokim echem w całym kraju. Prasa szeroko komentowała to wydarzenie, oskarżając wędrowców o wybór złej drogi, kanibalizm i morderstwa. Ci, którzy przeżyli, mieli na ten temat inne zdanie, ale szczegółów tragedii nigdy do końca nie wyjaśniono. Wkrótce potem w Kalifornii odkryto złoto i spragnieni żółtego kruszcu poszukiwacze fortuny znowu ruszyli na Zachód, nie omijając drogi, którą znaczyły kości wielu członków nieszczęsnej karawany Donnerów.

Indianie z niedowierzaniem i najwyższym zdumieniem obserwowali dziesiątki tysięcy osób pędzące w amoku przez prerie w stronę dalekich gór na zachodzie. Oni, którzy nigdy nie byli zbyt liczni, „ledwo mogli uwierzyć, że na ziemi może żyć tak wielu białych ludzi”. Niektórzy zaczęli nawet uważać, że wszyscy biali ze wschodu przeniosą się na zachód, więc może Indianie powinni powędrować na wschód, żeby zająć ich miejsce. Ten najazd na ziemie tubylczych plemion niepokoił ludzi myślących, wśród nich Parkmana. Przewidywał on, że zjawisko to niesie ze sobą niebezpieczne skutki dla przyszłości Indian. Jego obawy sprawdziły się czterdzieści lat później, kiedy rdzenną ludność Ame-

ryki pobito, ujarzmiono i zapędzono do odległych jałowych rezerwatów. Wyszydzani przez niego tępi, niepohamowani prostacy, ciągnący z uporem w stronę horyzontu, opanowali w końcu tę ziemię i stali się jej panami.

## Misjonarze i „czarne suknie”

W połowie XIX wieku nastał w Stanach Zjednoczonych czas wielkiej migracji na Zachód. Pierwsza grupa sześćdziesięciu pionierów, z Johnem Bidwellem i Johnem Bartlesonem (*the Bidwell-Bartleson Party*) na czele, wyruszyła z Westport w Missouri w maju 1841 roku, jednocześnie z ekipą jezuickich misjonarzy ojca Pierre’a-Jeana De Smeta (1801–1873), prowadzoną przez słynnego Toma Fitzpatricka. Fitzpatrick poprowadził ich wzdłuż Platte do fortu Laramie, a stamtąd przez Przełęcz Południową, i już bez wozów, które wcześniej porzucono, ku rzece Snake w Oregonie. Szlak ten, używany od dwudziestu lat przez traperów i handlarzy futer, którzy podążali wzdłuż Platte i Sweetwater, przez Przełęcz Południową do Gór Skalistych, miał się wkrótce stać słynną drogą emigrantów, zwaną potocznie szlakiem Oregońskim.

Poczynając od lat czterdziestych, przez następne dwadzieścia osiem lat masowych wędrówek, przemierzyło tę drogę ze wschodu na zachód blisko trzysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Prawdopodobnie co dziesiąty lub co piętnasty z nich nigdy nie dotarł do celu, głównie z powodu cholery panującej na szlaku w połowie lat pięćdziesiątych. Inni zginęli w kraksach i wypadkach, od przypadkowych postrzałów lub w rwącym nurcie pokonywanych przeszkód wodnych. Tylko nieliczni padli ofiarą złych warunków atmosferycznych, głodu i ataków Indian, dla których ważniejsze niż skalpy wędrowców były ich konie, muły i bydło.

Za „oficjalne” otwarcie szlaku Oregońskiego uważa się rok 1843. Wtedy to do Oregonu ruszył z inicjatywy przebywającego na Wschodzie doktora Marcusa Whitmana tabor dowodzony przez braci Jessego, Charlesa i Lindsaya Applegate’ów, złożony z ponad tysiąca ludzi, pięciu tysięcy zwierząt oraz stu dwudziestu wozów. Tę największą w dziejach Ameryki pojedynczą karawanę osadników poprowadził dawny „człowiek z gór”, Bill Sublette. Pionierzy mieli do pokonania tysiące kilometrów nieznanej ziemi, a sukces ich wyprawy zależał od obfitości trawy i wody dla zwierząt oraz zdolności wozów do pokonania przeszkód terenowych. Poruszając się z prędkością około dwudziestu kilometrów dziennie, osadnicy zakończyli szczęśliwie swoją wędrówkę po sześciu miesiącach. W tym czasie pokonali prawie trzy tysiące sto kilometrów przez dzisiejsze stany Missouri (16 km), Kansas (290 km), Nebraska (690 km), Wyoming (780 km), Idaho

(645 km) i Oregon (675 km). Pod koniec września większość z nich dotarła swoimi wozami do The Dalles i wkrótce zaczęła oczyszczać ziemię i budować domy nad brzegami rzek Willamette i Kolumbia.

Choć pierwsi Amerykanie osiedlili się na Północnym Zachodzie już w latach trzydziestych, nie można było ogłosić Oregonu częścią Stanów Zjednoczonych, bo prawa do tego terytorium rościła sobie również Wielka Brytania. Po zakończeniu wojny 1812 roku oba państwa podpisały w roku 1818 porozumienie o wspólnych rządach w Oregonie, ale sprawa ostatecznej przynależności tych obszarów pozostała nierozstrzygnięta. Wielu Amerykanów uważało, że dopiero następna wojna pozwoli im wyprzeć stamtąd Brytyjczyków. W tym czasie pracownicy Kompanii Zatoki Hudsona, którzy osiedlili się w forcie Vancouver nad Kolumbią, kierowani przez charyzmatycznego przywódcę Johna McLaughina, otrzymali polecenie prowadzenia polityki zniechęcającej potencjalnych osadników amerykańskich. W obawie przed niebezpieczną konkurencją McLaughin postanowił wyłapać wszystkie bobry, aby rywalom nie opłacało się na nie polować. Anglicy nie wzięli jednak pod uwagę, że bardziej niż futrami Amerykanie zainteresują się ziemią. Zapaść ekonomiczna w Stanach Zjednoczonych w latach 1837 i 1841 spotęgowała frustrację farmerów i przedsiębiorców. Ogólną depresję pogłębił kryzys w międzynarodowym handlu futrami w 1839 roku i zaniepokojenie brytyjską dominacją na Północnym Zachodzie. Jednocześnie amerykańskie kościoły protestanckie na Wschodzie dostrzegły w Indianach w Oregonie gotowy materiał do przyjęcia europejskich idei cywilizacyjnych. Z ich inicjatywy stowarzyszenia misjonarskie podjęły z religijną gorliwością akcję chrystianizacji indiańskich plemion. Większość pionierów jednak decydowała się przenieść na Zachód z przyczyn praktycznych. Kierowała nimi głównie żądza posiadania ziemi i chęć osiedlenia się w kraju o zdrowszym klimacie niż ten, w którym dotychczas żyli, nie zaś misja szerzenia chrześcijaństwa. Nizinne tereny na Wschodzie, z których pochodzili, były źródłem wielu chorób. Były też – według zapisu z 1840 roku – najuboższe w Ameryce.

Po przebyciu Wielkich Równin i przekroczeniu bariery Gór Skalistych przez legendarną Przełęcz Południową część osadników ruszała z fortu Hall na południowy zachód i podążała wzdłuż północnego brzegu Wielkiego Jeziora Słonego, przez osławioną dolinę rzeki Humboldta oraz pustynie i góry Nevady do Kalifornii. Inni szli dalej wzdłuż rzeki Snake do Kolumbii i na wybrzeże Oceanu Spokojnego. Osadnikom przekraczającym pasmo Gór Błękitnych, którzy nie mieli już zapasów, Indianie Cayuse i inne plemiona sprzedawali żywność, podejmowali się także funkcji przewodników, licząc na handel wymienny. W zamian

za jedzenie i pomoc otrzymywali od białych ubrania, tytoń i broń palną.

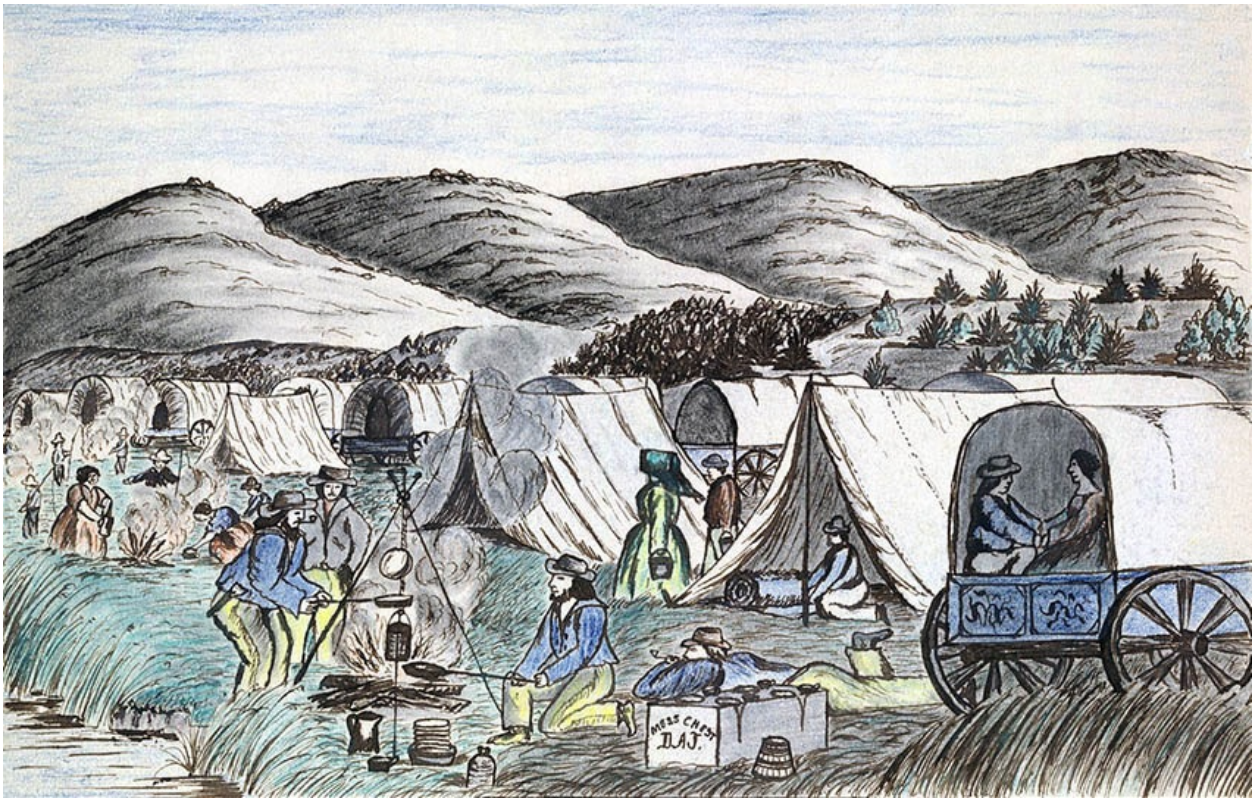

*Emigranci na Humboldt River*

W pierwszych latach istnienia szlaku Oregońskiego, po pokonaniu pasma Gór Błękitnych, większość wędrowców kierowała się do indiańskiej misji w Waiilatpu nad rzeką Walla Walla, założonej przez Marcusa i Narcissę Whitmanów w 1836 roku z myślą o chrystianizacji plemienia Cayuse. W ciągu następnej dekady misja ta stała się symbolem krzewienia chrześcijaństwa na Zachodzie, a Whitmanowie wcieleniem amerykańskiego posłannictwa. Prawda jednak była inna. Wprawdzie Indianie przyjęli misjonarzy życzliwie i wydawali się zainteresowani cywilizacją białych i otwarci na nową religię, ale w ciągu dziesięciu lat Whitmanom udało się nawrócić zaledwie kilku z nich. Religijna gorliwość i żarliwość misjonarzy, ich pogarda dla odwiecznych indiańskich obyczajów i tradycji oraz popieranie osadnictwa białych w Oregonie budziły wrogość Cayusów. Oliwy do ognia dolała konkurencja dla protestanckich misjonarzy ze strony księży katolickich, zwanych przez Indian z powodu stroju „czarnymi sukniami” (*Black Robes*), którzy po umocnieniu swoich wpływów wśród Płaskich Głów osiedlili się w dolinie Willamette i planowali otworzyć nowe misje w kraju Cayusów i Nez Percé. Indianie szanowali zwłaszcza jezuickich duchownych, takich jak Pierre-Jean De Smet, Nicolas Point i Jean Augustine Joset, którzy respekto-

wali ich zwyczaje i tradycyjny sposób życia.

Miarą sukcesów De Smeta i Pointa były próby nawrócenia na chrześcijaństwo wojowniczych Czarnych Stóp.W 1841 roku założyli oni w dolinie Bitterroot w kraju Płaskich Głów w zachodniej Montanie misję Sainte-Marie (St. Marie) i w grudniu tego roku ojciec De Smet ochrzcił pierwszych pięciu Indian z plemienia Czarnych Stóp. Potem jezuici rozszerzyli swoją działalność na Oregon, obszar Gór Skalistych i cały Północny Zachód. Dzięki wyjątkowym talentom i ciężkiej pracy misyjnej ojciec De Smet zyskał ogromny autorytet wśród Indian i białych traperów. Jego takt, wyczucie sytuacji, poszanowanie dla indiańskiej tradycji i talenty dyplomatyczne wielokrotnie pozwoliły zażegnać konflikty międzyplemienne. W roku 1845 podjął on trudną próbę porozumienia się z potężnymi Czarnymi Stopami, którzy nieustannie nękali najazdami Płaskie Głowy i inne, słabsze i mniej wojownicze plemiona w regionie. W tym celu wybrał się w daleką podróż do Kanady, ale jego misja nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Sukcesem natomiast zakończyła się rok później jego wizyta u Pieganów, południowego odłamu Czarnych Stóp. W intencji pogodzenia wrogich plemion Czarnych Stóp oraz Płaskich Głów i Nez Percé we wrześniu 1846 roku misjonarze odprawili pierwszą masową mszę dla Indian, w której wzięło udział ponad dwa tysiące tipi Czarnych Stóp i ich najbliższych sprzymierzeńców Atsina (Gros Ventre) oraz Płaskich Głów i Nez Percé. Dopiero jednak w 1859 roku na zaproszenie rządowego agenta Czarnych Stóp Alfreda Vaughna jezuici przybyli do ich kraju i wybudowali tam nad Teton River w pobliżu Choteau w Montanie misję Sainte-Pierre (St. Peter).

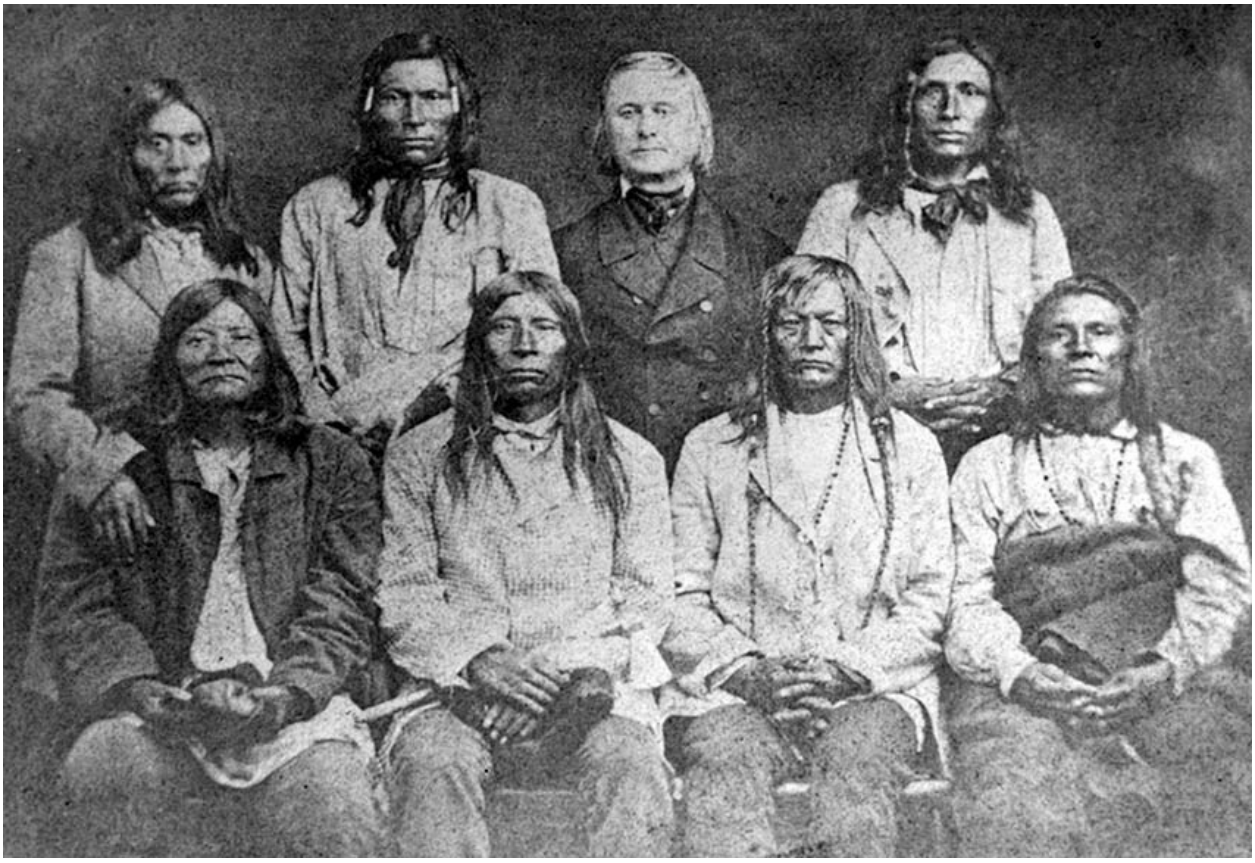

*Ojciec de Smet wśród Indian Płaskowyżu*

Zgoła inaczej przebiegała akcja chrystianizacyjna prowadzona przez małżeństwo Spaldingów, którzy osiedlili się z dala od głównych szlaków emigrantów, w kraju Indian Nez Percé. Założyli oni szkołę misyjną nad potokiem Lapwai, w której wielu Indian uczyło się czytania, pisania i rachunków, a także podstaw rolnictwa, ogrodnictwa i hodowli. Część z nich, zainteresowana zasadami nowej wiary, osiedliła się w pobliżu misji i niektórzy dość szybko przyjęli chrześcijaństwo. Działalność Spaldingów, z początku niezbyt udana (w 1842 roku misja w Lapwai została nawet przejściowo zamknięta), z czasem przyczyniła się do podziału plemienia Nez Percé na dwie grupy. Jedna, znajdująca się pod silnym wpływem misjonarzy, zaczęła rezygnować ze swoich wierzeń religijnych, plemiennych zwyczajów i stylu życia, druga zaś próbowała utrzymać swą niezależność i tradycyjny sposób życia. W miarę upływu czasu podział ten stawał się coraz wyraźniejszy.

W 1847 roku w stosunkach białych z Indianami w Oregonie nastąpił kryzys spowodowany przyniesioną przez osadników epidemią odry, która błyskawicznie rozprzestrzeniła się wśród Cayusów. Pastorowi Whitmanowi nie udało się jej opanować i wielu Indian zmarło (prawie połowa populacji, w tym niemal

wszystkie dzieci). Oburzenie wywołane dotychczasowym postępowaniem misjonarzy obróciło się w nienawiść. Cayusi zaczęli podejrzewać Whitmana o czary i sprowadzenie na nich śmiertelnej choroby, aby szybciej zagarnąć ich ziemie pod osadnictwo białych (oskarżenia te były bezpodstawne, ale faktem jest, że większość białych, którzy zachorowali na odrę, wyzdrowiała). 29 listopada gromada wojowników z mniej cywilizowanej części plemienia, z wodzem Tilokaiktem i wojownikiem Tomahasem na czele, napadła na misję Waiilatpu i zamordowała Whitmanów. Wraz z nimi zginęło lub zmarło z odniesionych ran czternastu innych białych. Czterdzieści siedem osób: pięciu mężczyzn, osiem kobiet i trzydzieścioro czworo dzieci, wzięto do niewoli i uprowadzono do wioski Cayusów w pobliżu dzisiejszej miejscowości Mission w Oregonie. Następnie napastnicy spalili misję, aby wypędzić nieczystą siłę, która w ich mniemaniu spowodowała śmierć tak wielu członków plemienia.

Ostrzeżony w porę o losie Whitmanów przez życzliwego księdza katolickiego, pastor Spalding, który w czasie masakry przebywał z dala od misji, uciekł i ukrył się w bezpiecznym miejscu. Na wieść o wydarzeniach w Waiilatpu rozgniewani młodzi wojownicy Nez Percé, sympatyzujący z Cayusami, splądrowali misję w Lapwai i wygnali z niej białych mieszkańców. Na pomoc uciekinierom przybyli pracownicy Kompanii Zatoki Hudsona z fortu Vancouver. Energiczny agent Peter Skene Ogden wynegocjował zwolnienie jeńców z Waiilatpu i Lapwai za okup, na który składały się koce, ubrania, broń. i amunicja. 1 stycznia 1848 roku uwolnieni biali w eskorcie przyjaznych im Nez Percé dotarli bezpiecznie do fortu Walla Walla. Trzy miesiące później, w obawie o swoje bezpieczeństwo, ewakuowali się także prezbiteriańscy misjonarze z sąsiedniego kraju Indian Spokane.

Chociaż masakrze w Waillatpu była winna niewielka grupa Cayusów, odpowiedzialnością za nią obarczono całe plemię. Po tym tragicznym wydarzeniu Amerykanie wysłali przeciwko zbuntowanym Cayusom oddział karny ochotników z fanatycznym kaznodzieją i zaciekłym wrogiem Indian Corneliusem Gilliamem na czele. W lutym 1848 roku ochotnicy zniszczyli pokojowy obóz Cayusów, którzy nie mieli nic wspólnego z zabójstwem Whitmanów i innych białych. W odwecie rozwścieczeni Cayusowie zaatakowali oddział Gilliama i zmusili go, żeby wycofał się do fortu Walla Walla.

Niczym niesprowokowana napaść Gilliama na wioskę Cayusów omal nie doprowadziła do zjednoczenia przeciwko białym głównych plemion tego regionu: Cayuse, Nez Percé, Walla Walla, Umatilla i Palouse. Wodzom Nez Percé udało się jednak powściągnąć zapędy większości Indian i zapobiec wybuchowi wojny.

Osamotnieni Cayusowie prowadzili walkę przez następne dwa lata, ale wyniszczeni chorobami i nękani przez białych, musieli się poddać. W 1850 roku pięciu przywódców, w tym Tilokaikt i Tomahas, dobrowolnie oddało się w ręce białych, żeby uniknąć zagłady resztek plemienia. „Czyż wasi misjonarze nie uczą nas, że Chrystus oddał życie, by ocalić swoich ludzi? – pytał szyderczo swoich prześladowców Tilokaikt. – Więc i my umrzemy, by ocalić naszych ludzi". Więźniów przewieziono do Oregon City, gdzie zostali szybko osądzeni i powieszeni.

Zabójstwo Whitmanów i egzekucja pięciu Cayusów zapoczątkowały okres wzajemnej nieufności i nasilenia aktów przemocy na całym Północnym Zachodzie. W tym samym roku Kongres uchwalił brzemienną w skutki ustawę (*Donation Act*) regulującą darowiznę ziem w Oregonie. Dawała ona białym osadnikom dostęp do terenów indiańskich, co stało się źródłem przyszłych wojen z plemionami Północnego Zachodu.

## Migracja mormonów

Było to pogodnego poranka wiosną 1820 roku. Niepozorny i nikomu nieznany czternastoletni chłopiec nazwiskiem Joseph Smith z miejscowości Manchester w okręgu Ontario w stanie Nowy Jork w czasie modlitwy w pobliskim lesie doznał wizji religijnej. „W blasku wspaniałości niemożliwych do opisania" ukazali mu się Bóg Ojciec i Syn Boży – Jezus Chrystus, którzy zabronili mu przystępowania do którejkolwiek z istniejących sekt religijnych, „albowiem wszystkie są w błędzie", i zapowiedzieli doniosłe zmiany w jego życiu. Trzy lata później, 21 września 1823 roku, Smithowi ukazał się ponoć „niebiański wysłannik" – anioł imieniem Moroni (syn Mormona), który przekazał mu, że na zboczu wzgórza Kumorah w pobliżu Manchesteru znajdzie cienkie złote płyty z wyrytymi na nich inskrypcjami w tajemniczym języku. Jest to pozostałość po zagubionym plemieniu Izraelitów, którzy zawędrowali do Ameryki w czasach biblijnych.

„Posłaniec zwrócił się do mnie po imieniu, mówiąc, że został do mnie wysłany sprzed oblicza Boga i że imię jego jest Moroni. Powiedział mi, że Bóg ma dla mnie ważne zadanie i że imię moje będzie znane jako dobre i jako złe pośród wszystkich narodów, pokoleń i różnojęzycznych ludów, to znaczy, że ludzie na całym świecie będą o mnie dobrze i źle mówili. Powiedział również, że została zachowana księga spisana na złotych płytach, zawierająca dzieje dawnych mieszkańców tego kontynentu oraz ich rodowody. Zawarta jest też w niej pełnia

*Joseph Smith*

wiecznej ewangelii, jak przekazał ją Zbawiciel dawnym mieszkańcom kontynentu Ameryki”**[**[42]**]**.

We wrześniu 1827 roku dzięki wskazówkom tegoż samego niebiańskiego posłańca Smith wydobył owe tajemnicze złote płyty, zawierające starożytne kroniki z zapisem historii ludów Ameryki, a następnie przetłumaczył je, jak twierdził – dzięki darowi i mocy Boga – z reformowanego języka egipskiego i opublikował 26 marca 1830 roku jako *Księgę Mormona*. 6 kwietnia ogłosił swoje posłannictwo i razem z pięcioma przyjaciółmi założył Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich.

Wkrótce potem przeniósł się wraz ze swoimi zwolennikami ze stanu Nowy Jork do miejscowości Kirtland w Ohio, niedaleko dzisiejszego Cleveland. Tam wyznawcy nowego Kościoła zbudowali piękną świątynią i rozpoczęli szeroką działalność misyjną. Nowa wspólnota religijna, którą od imienia Mormona nazwano mormonami, szybko się rozrastała. Spotkało się to z niechęcią otoczenia i prześladowaniami. Zmuszeni do opuszczenia swoich domów, farm i kościołów, mormoni przenieśli się do stanu Missouri, a stamtąd do stanu Illinois. W niezamieszkanej okolicy nad Missisipi nabyli obszar bagnisk, które następnie osuszyli i w 1839 roku założyli tam miasto Nauvoo, czyli „piękne”.

Wznieśli je na miejscu dawnej indiańskiej wioski Quashquame, nazwanej tak od imienia wodza Sauków i Lisów, który przewodził delegacji tych plemion do St. Louis, gdzie w 1804 roku podpisano traktat oddający Stanom Zjednoczonym wszystkie ziemie w zachodnim Illinois i północnym Missouri. Niezadowolona z tego część Indian stanęła u boku wielkiego wodza Szaunisów Tecumseha i w wojnie angielsko-amerykańskiej 1812 roku opowiedziała po stronie Wielkiej Brytanii. Nieuznający traktatu Saukowie i Lisy podjęli też próbę odzyskania ziem plemiennych na wschodnim brzegu Missisipi, co doprowadziło w 1832 roku do wybuchu ostatniej wojny wschodnich Indian ze Stanami Zjednoczo-

nymi, zwanej wojną Czarnego Jastrzębia.

W nowym miejscu osiedlenia mormoni postanowili wybudować wspaniałą świątynię i w tym celu kupili tartak w sąsiednim Wisconsin, powyżej wodospadów na rzece Black. Zatrudniona w nim rzesza ludzi (sto pięćdziesiąt osób) latem 1843 roku dostarczyła do Nauvoo ogromne ilości drewna. Niestety, nie zostało ono wykorzystane zgodnie z przeznaczeniem, znów z powodu wrogości otoczenia (tartak został sprzedany wkrótce po śmierci charyzmatycznego przywódcy).

Jednym z powodów nietolerancji wobec mormonów było praktykowane przez nich wielożeństwo. Znienawidzony Smith, który na wzór wielkich postaci biblijnych miał kilka żon, padł ofiarą brutalnego samosądu. W 1844 roku startował w wyborach na prezydenta Stanów Zjednoczonych z programem zniesienia niewolnictwa, co jeszcze bardziej rozwścieczyło jego wrogów. Pod fałszywym pretekstem aresztowali go i osadzili razem z jego bratem Hyrumem w więzieniu w Carthage. Tam 27 czerwca, kiedy rzekomo pod gwarantowaną opieką stanową obaj czekali na rozprawę sądową, zamordowała ich uzbrojona zgraja nienawistników. Następcą proroka w Kościele Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich został jeden z jego uczniów, Brigham Young (1801–1877).

Dzięki działalności misyjnej szeregi mormonów wciąż rosły. Przed rokiem 1844 Nauvoo, gdzie przez jakiś czas żyli we względnym spokoju i dobrobycie, stało się największym miastem w Illinois (około dwudziestu tysięcy mieszkańców), rywalizując o palmę pierwszeństwa z Chicago. Jednakże wiosną 1846 roku prześladowania znów zmusiły ich do szukania innego miejsca na ziemi. 1 marca, w czasie szalejącej burzy śnieżnej, opuścili Nauvoo, dobrze przygotowani do drogi. Każda rodzina zabrała ze sobą: jeden wóz, trzy pary wołów, pięć krów, trzy owce, czterysta pięćdziesiąt kilogramów mąki i niecałe dziesięć kilogramów cukru, a ponadto namiot, ubrania, pościel, narzędzia, sprzęty domowe i nasiona zbóż. Wartość wyposażenia wynosiła około dwustu pięćdziesięciu dolarów. Pionierów poprzedzał tak zwany oddział szybki pod przewodnictwem Younga.

Zimę 1846/1847 wygnańcy spędzili we wschodniej Nebrasce, niedaleko ujścia Platte. Podzieleni na kolumny, w kwietniu 1847 roku ruszyli dalej doliną tej rzeki. Powyżej fortu Kearny po raz pierwszy zobaczyli bizony, które odtąd miały być ich głównym źródłem pożywienia. Posuwając się wzdłuż Platte, dotarli do fortu Laramie, a stamtąd do brodu na Północnej Platte, w okolicach późniejszego fortu Caspar**[**43**]**. Tam Young kazał zbudować przeprawę promową dla następ-

nych mormońskich emigrantów (funkcjonowała do 1852 roku). Na początku lipca wędrowcy dotarli do fortu Bridger. Właściciel fortu, chcąc się pozbyć z okolicy nieproszonych przybyszów, poradził podobno Youngowi, aby skręcili na południowy zachód i osiedlili się w należącej wówczas do Meksyku dolinie Salt Lake w Utah.

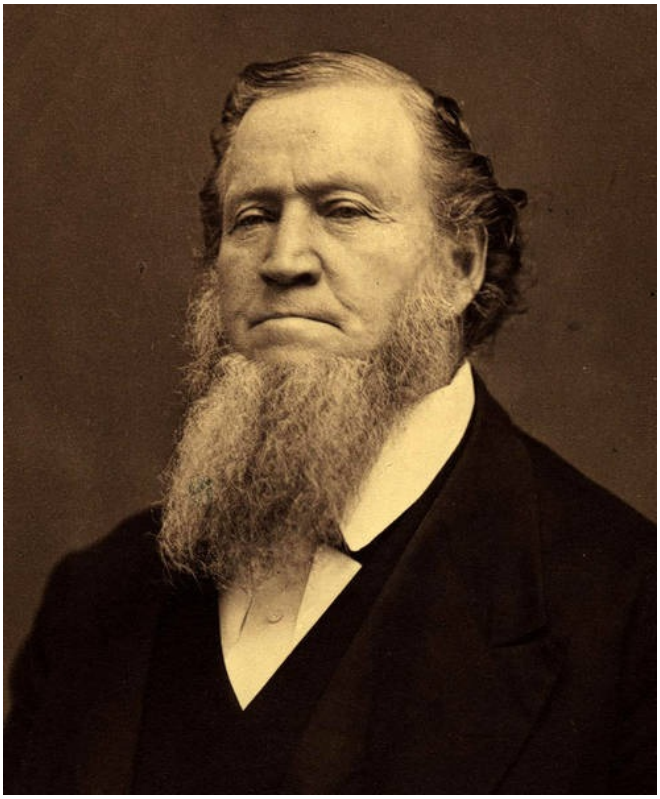

*Brigham Young*

*Mormoni w drodze do Utah*

Ruszyli więc dalej, niesieni religijnym zapałem, zachęcani do marszu muzyką orkiestry dętej. Po piętnastu miesiącach powolnej wędrówki około dwunastu ty-

sięcy ludzi na trzech tysiącach wozów, pokonawszy liczne przeszkody na trudnym szlaku, dotarło w końcu do celu długiej podróży. 24 lipca 1847 roku pierwsi „święci” z grupy Brighama Younga ujrzeli błyszczące na tle smutnej spalonej słońcem równiny Wielkie Jezioro Słone. „Instynktownie, jakby z inspiracji – napisał jeden z nich – zerwaliśmy kapelusze z głów i zawołaliśmy, przepełnieni radością: Hosanna!, chwaląc Boga i radując się niezmiernie”. Wkrótce w miejscu, które podobno ich przywódca Young zobaczył we śnie, założyli pierwszą osadę. Nazwali ją Salt Lake City.

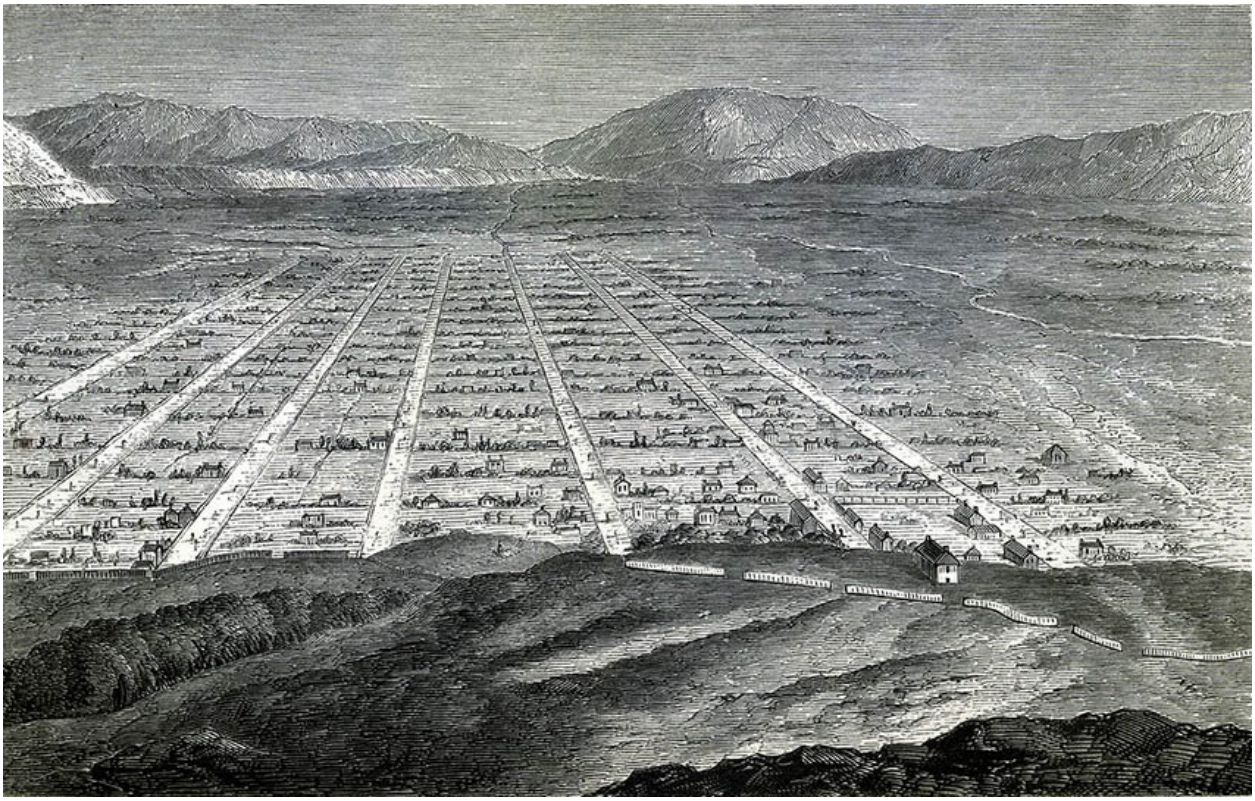

*Salt Lake City w 1860 roku*

Aż do roku 1869, kiedy powstanie kolei transkontynentalnej zahamowało exodus, szlakiem pierwszych pionierów przez Wielkie Równiny i Góry Skaliste przybyło do Utah ponad siedemdziesiąt tysięcy mormońskich osadników. Wielu z nich pochodziło z Wysp Brytyjskich i Skandynawii. W latach pięćdziesiątych szlak ten pokonało pieszo z Iowa blisko trzy tysiące najuboższych, ciągnąc swój skromny dobytek na małych dwukołowych wózkach. Nazwano ich „pionierami z ręcznymi wózkami” (*Handcart Pioneers*).

Tak więc po długoletniej tułaczce mormoni znaleźli wreszcie swoje miejsce na ziemi. Za sukces jednak – osiągnięty dzięki niesamowitej dyscyplinie, determinacji i głębokiej wierze w przeznaczenie – zapłacili wysoką cenę. Wielu z

nich zmarło na szlaku, w tym setki dzieci, od dyzenterii, choroby wysokogórskiej, malarycznej gorączki i szkorbutu. Tylko podczas zimowej wędrówki mormoni pochowali po drodze ponad sześćset osób. Dzieci niejednokrotnie przychodziły na świat na zamarzniętej ziemi w brudnych namiotach, w temperaturze poniżej dwudziestu stopni Celsjusza.

A mimo to, mimo tych niebywałych trudności i przeszkód, wyznawcy Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich pokonali ponad dwa tysiące kilometrów szlaku Oregońskiego, od Nauvoo do Salt Lake City (tę część szlaku przyjęło się nazywać szlakiem Mormońskim lub Pionierskim Szlakiem Mormonów), i zagospodarowali nieprzyjazną pustynię. Spokojni, prostolinijni ludzie, nienawykli do życia w tak surowych warunkach, uwierzyli w swoje prawo do tej pustynnej ziemi, danej im z rąk Boga. Przeświadczeni o misji przekształcenia jej w raj, w niedługim czasie opanowali niemal całe Utah**[**44**]**. Jesse Applegate, który zetknął się z mormonami na szlaku, pisał o nich z nieskrywanym podziwem: „Zawsze są przygotowani na najgorsze i gotowi stawić czoło każdemu wyzwaniu, zawsze zwycięscy. Czyż nie mamy powodu, aby nazywać ich ludźmi przeznaczenia?”.

Nowy przywódca i prorok Kościoła, Brigham Young, wierzył, że w Utah, z dala od cywilizacji, jego lud zyska wreszcie spokój i swobodę praktykowania swojej religii. Niestety, prześladowania wróciły po włączeniu Utah do Stanów Zjednoczonych w 1849 roku, po wojnie z Meksykiem, w której ochotniczy batalion mormonów zasłużył się po stronie Amerykanów. Niepomni tego Amerykanie opóźniali i blokowali decyzje związane ze statusem nowych ziem (np. Kongres odrzucił petycję o nadanie części wielkiego terytorium przejętego od Meksyku – bez Teksasu i Kalifornii – praw stanowych tylko z powodu proponowanej nazwy *Deseret*, co w starożytnym języku *Księgi Mormona* oznaczało „pszczołę”). Ostatecznie w lutym 1851 roku administracja prezydenta Miliarda Fillmore’a, w uznaniu załug Younga jako kolonizatora i założyciela miasta Salt Lake City, mianowała go inspektorem do spraw Indian i pierwszym gubernatorem utworzonego we wrześniu 1850 roku Terytorium Utah. Wdzięczny prorok wybrał na stolicę Terytorium niewielkie miasteczko, które na cześć prezydenta nazwał Fillmore (potem stolicę przeniesiono do Salt Lake City).

Za rządów Younga nasiliła się akcja osiedleńcza mormonów na obszarze dzisiejszych stanów Utah, Idaho, Arizona, Nevada oraz w południowym Kolorado. W jej wyniku powstało ponad trzysta nowych osiedli, w większości w Utah, ale także na innych terenach od Kanady po Meksyk. Przyjaźnie nastawieni do Indian, mormoni budowali drogi, mosty, forty i kanały nawadniające, założyli też

uniwersytet w Salt Lake City. W 1852 roku utworzyli własną milicję terytorialną (*Nauvoo Legion*), od roku 1856 w Utah sprawnie działała dobrze zorganizowana służba pocztowa. W krótkim czasie świetnie zagospodarowali swój kraj, dzieląc czas i energię między pracę i życie religijne. Tym samym przyczynili się do ekonomicznego rozwoju Zachodu.

Przez jakiś czas mormoni mieli jakby własne państwo w dolinie o biblijnej nazwie Deseret, którego centrum stanowiło Salt Lake City. Początkowo rządzili się tam samodzielnie, potem podjęli starania o przyjęcie do Unii. Nastąpiło to dopiero w 1896 roku, już po zniesieniu wielożeństwa, zakazanego oficjalną proklamacją Prezydenta Kościoła (Younga) w 1890 roku. Odtąd każdy, kto praktykowałby poligamię, miał być wykluczony ze wspólnoty religijnej.

Mormońskim osadnikom nie podobało się jednak, że w pobliskim forcie Bridger zatrzymują się na odpoczynek i dla uzupełnienia zapasów karawany emigrantów wędrujących szlakiem Oregońskim do Oregonu i Kalifornii. Nie chcieli obcych na swoich terenach, zwrócili się więc przeciwko właścicielowi fortu, Jimowi Bridgerowi, pod pretekstem podburzania Indian i sprzedawania im alkoholu oraz amunicji, co było naruszeniem prawa federalnego. W czerwcu 1853 roku na Fort Bridger ruszył uzbrojony oddział czterdziestu ośmiu ludzi Younga (na szczęście uprzedzony o tym właściciel zdążył zbiec w ostatniej chwili). Mormoni zniszczyli znalezione zapasy alkoholu i zajęli fort (według niektórych źródeł puścili go z dymem, ale to nieprawda, bo żoną Bridgera była wtedy córka słynnego wodza Szoszonów Washakie i obawiali się zemsty Indian). Następnie wybudowali obok kamienny fort Supply i utworzyli bazę zaopatrzeniową dla własnych emigrantów zmierzających do Utah. W 1855 roku zmusili Bridgera do sprzedaży fortu. Stary traper zrezygnował wówczas z handlu i wstąpił do służby rządowej jako przewodnik i zwiadowca wojskowy.

Okupacja fortu Bridger spowodowała protesty i nasiliła falę niechęci do mormonów. W 1857 roku nowy prezydent James Buchanan, pod wpływem oskarżeń Republikanów o popieranie przez jego Partię Demokratyczną dwóch reliktów „barbarzyństwa”: niewolnictwa i poligamii wśród mormonów, odwołał Brighama Younga z funkcji gubernatora Terytorium Utah. Doprowadziło to do tarć z rządem federalnym i konfliktu znanego jako wojna o Utah (*Utah War*).

W celu przywrócenia porządku na terenach zamieszkanych przez mormonów rząd wysłał do Utah ekspedycję w sile około dwóch i pół tysiąca żołnierzy pod dowództwem pułkownika Alberta Sidneya Jonhstona. Przewodnikiem był pałający żądzą zemsty Jim Bridger. Na wieść o zbliżaniu się oddziałów federalnych

mormoni spalili swoje forty w Wyomingu i wycofali się do Salt Lake City. Kiedy Johnston i jego ludzie dotarli w listopadzie nad Black Fork, znaleźli tylko zwęglone szczątki dawnych fortyfikacji. W tej sytuacji żołnierze wybudowali w pobliżu tymczasowy obóz Camp Scott i pozostali w nim na zimę.

Atmosferę histerii wojennej i nienawiści podsyciły tragiczne wydarzenia w Mountain Meadows, niedaleko mormońskiego osiedla Cedar City, gdzie we wrześniu 1857 roku rozbiła obóz karawana około stu pięćdziesięciu emigrantów z Arkansas, prowadzona starym szlakiem Hiszpańskim do Kalifornii przez Johna Bakera i Alexandra Fenchera. 7 września obóz został zaatakowany przez oddział mormońskiej milicji przebrany za Indian, z majorem Johnem Doyle'em Lee na czele, oraz grupkę wojowników z plemienia południowych Pajutów. Przez pięć dni wędrowcy bronili się skutecznie zza kręgu wozów. 11 września, gdy liczba ofiar po ich stronie wyniosła siedmiu zabitych i szesnastu rannych, wyczerpani walką i pozbawieni wody poddali się wobec groźby zmasowanego ataku wrogich Indian. Obiecano im jednak ochronę i bezpieczne przejście, jeśli złożą broń i wydadzą Pajutom stado krów oraz zapasy tytułem okupu. Emigranci przyjęli warunki i stu trzydziestu siedmiu ludzi opuściło ufortyfikowany obóz. Wówczas mormoni złamali przyrzeczenie i wszystkich, z wyjątkiem siedemnaściorga małych dzieci, wymordowali, a dobytkiem podzielili się z Indianami. Początkowo winę za masakrę próbowali zrzucić na Pajutów, ale przeprowadzone w 1859 roku śledztwo federalne ujawniło ponurą prawdę. Organizator i sprawca zbrodni, John Doyle Lee, został jednak osądzony, skazany na śmierć i rozstrzelany na miejscu masakry dopiero w 1877 roku.

Wiosną 1858 roku pułkownik Johnston ruszył do Salt Lake City, a żołnierze pozostawieni w Camp Scott przystąpili do budowy nowego stałego fortu, wykorzystując kamienie z muru wzniesionego przez mormonów. Zanim jednak siły federalne dotarły do Utah, mormoni przypomnieli sobie jedną z zasad wiary, głoszoną przez proroka Josepha Smitha, o „posłuszeństwie królom, prezydentom, władcom i rządom oraz przestrzeganiu, poszanowaniu i poparciu dla prawa". W czerwcu tego roku Young złożył urząd gubernatora, a przywódcy mormońscy podporządkowali się rządowi federalnemu w zamian za obietnicę amnestii. Do kolejnej poważnej wojny nie doszło tylko dlatego, że wybuchła wojna secesyjna, a okupujące Utah siły zostały w 1861 roku wycofane na wschód do walki z konfederatami.

Rozdział V

# Stan samotnej gwiazdy i republika niedźwiedziej flagi

## Alamo - „ołtarz Teksasu”

Pod koniec XVI wieku Teksas znalazł się pod władzą hiszpańskich konkwistadorów. Początkowo Hiszpanie szukali tam bajecznych skarbów – takich jak te, które ich poprzednicy znaleźli w Meksyku i Peru. Później prowadzili działalność misyjną wśród miejscowych Indian. Dopiero na początku XVIII wieku zintensyfikowali kolonizację Teksasu, przyczyniając się do rozwoju rolnictwa i hodowli. Nieliczne konie i andaluzyjskie krowy, które uciekły z hiszpańskich hodowli na równiny Teksasu, dały początek stadom mustangów i dzikiego długorogiego bydła, znanego z legend Dzikiego Zachodu**[**45**]**.

W ciągu niewielu lat po nabyciu przez Stany Zjednoczone w 1803 roku francuskiej Luizjany fala osadników posuwająca się w głąb terenów na zachód od Missisipi dotarła do granic posiadłości hiszpańskich i Hiszpanie w Teksasie stanęli nagle przed ogromnym problemem niekontrolowanego przenikania amerykańskich kolonistów na ich terytorium.

Ponadstuletni wysiłek kolonizacyjny Hiszpanii w Teksasie przyniósł nikłe rezultaty: w 1820 roku mieszkało tam zaledwie dwa i pół tysiąca osób pochodzenia europejskiego. Od lat Hiszpanie utrzymywali ścisły zakaz osiedlania się obcych na terenie swoich amerykańskich posiadłości. Dopiero w 1820 roku wpro-

wadzono w życie nowe prawo kolonizacyjne, zezwalające na sprowadzanie do hiszpańskich kolonii w Ameryce zagranicznych osadników. Po uzyskaniu przez Meksyk niepodległości w 1821 roku do Teksasu nadal napływali amerykańscy koloniści, z których wielu przywoziło ze sobą murzyńskich niewolników. Zgodnie z meksykańską konstytucją z 1824 roku, osadnicy otrzymywali setki akrów bezpańskiej ziemi, przyjmowali katolicki chrzest i stawali się obywatelami Meksyku. Większość z nich pochodziła z południa Stanów Zjednoczonych, gdzie niewolnictwo było zagwarantowane prawem i zwyczajem. I właśnie na tle „pokojowej inwazji Amerykanów" i niewolniczej kolonizacji Teksasu doszło do pierwszych nieporozumień pomiędzy osadnikami a władzami Meksyku, gdzie niewolnictwo zostało formalnie zniesione w 1829 roku.

W 1835 roku w Teksasie mieszkało już trzydzieści pięć tysięcy Amerykanów, krytycznie nastawionych do miejscowego porządku prawnego, nietolerancji religijnej oraz systemu sprawowania władzy, i zaledwie cztery tysiące ludności meksykańskiej. Coraz silniejsi Amerykanie zaczęli więc podejmować próby ustanowienia własnych standardów wolności i uniezależnienia się od Meksyku. Na tym tle doszło w 1835 roku do wybuchu zbrojnego powstania zwanego rewolucją teksańską.

Rząd Meksyku wysłał przeciwko zbuntowanym Teksańczykom wojska generała Martina de Cosa, a gdy ten w grudniu 1835 roku poniósł sromotną klęskę w bitwie o San Antonio, do Teksasu wyruszyła trzytysięczna armia, którą dowodził sam prezydent, generał Antonio López de Santa Anna. W trudnych warunkach zimowych przeszedł on ze swoim wojskiem pięćset kilometrów przez pustynie północnego Meksyku i przekroczył Rio Grande z zamiarem stłumienia rebelii i odzyskania Teksasu. Tą zimową ofensywą całkowicie zaskoczył przeciwnika.

Głównym punktem oporu Teksańczyków była ponadstuletnia misja katolicka Alamo nad rzeką San Antonio, która służyła niegdyś wojskom hiszpańskim jako fort. Na początku lutego 1836 roku jej garnizon liczył około stu pięćdziesięciu żołnierzy i ochotników teksańskich pod wodzą ambitnego idealisty podpułkownika Williama Travisa oraz trzeźwego realisty, charyzmatycznego Jamesa (Jima) Bowiego. Początkowo Travis, mający pełnić obowiązki komendanta, zamierzał ewakuować Alamo, przekonany, że leży ono zbyt daleko na zachód, aby mogło stanowić skuteczną zaporę dla armii Santa Anny. Zmienił jednak zdanie pod wpływem nastrojów załogi, widoku grubych murów i licznej artylerii złożonej z dwudziestu dział. „Alamo jest ważniejsze, niż to sobie wyobrażałem. To klucz do Teksasu" – napisał, doceniając znaczenie misji w obronie granic kraju. 8 lutego załogę Alamo wzmocnił dwunastoosobowy oddziałek konnych ochotników

z Tennessee. Przyprowadził go legendarny heros amerykańskiego Zachodu, Davy Crockett, myśliwy, zwiadowca i polityk, który swoimi – często wyolbrzymionymi przez prasę – czynami (ponoć jednej zimy potrafił zabić sto pięć niedźwiedzi) wzbudzał powszechny szacunek.

Pierwsze oddziały generała Santa Anny dotarły do San Antonio 23 lutego. Zaalarmowany przez zwiadowców i obserwatora, bijącego na trwogę w dzwon z wieży kościoła, teksański garnizon zamknął się za murami misji. Meksykanie wywiesili na wieży kościelnej czerwoną flagę – tradycyjny znak, że w nadchodzącej bitwie nie będą brali jeńców, a wówczas Travis kazał wystrzelić z największego działa. Na propozycję bezwarunkowej kapitulacji i złożenia broni w zamian za życie załoga Alamo odpowiedziała kolejnym wystrzałem armatnim. Zaczęło się więc oblężenie.

Drugiego dnia Meksykanie zajęli pozycje wokół fortu, otaczając go pierścieniem umocnień i stanowisk artyleryjskich, pod których osłoną zamierzali przypuścić atak na misję. Tego samego dnia dramatycznie pogorszył się stan zdrowia Jima Bowiego, od dawna chorego na gruźlicę. Odtąd pozostał on przykuty do łóżka przez większą część oblężenia. Wieczorem 24 lutego Travis napisał swój słynny apel *Do mieszkańców Teksasu i wszystkich Amerykanów na świecie*:

„Rodacy i współtowarzysze walki! Jestem otoczony przez tysiąc lub więcej Meksykanów (...). Wróg zażądał bezwarunkowej kapitulacji i zagroził, że jeśli fort padnie, garnizon zostanie wycięty do nogi. Odpowiedziałem na to wystrzałem armatnim. Nasza flaga wciąż dumnie powiewa na murach. Nigdy się nie poddam ani nie wycofam. Wzywam was, w imię wolności, patriotyzmu i wszystkiego, co jest drogie sercu każdego Amerykanina, przybądźcie nam z pomocą (...). Jeśli moje wezwanie nie zostanie wysłuchane, jestem zdecydowany umrzeć jak żołnierz, który dobrze wie, co znaczy honor jego i ojczyzny. Zwycięstwo albo śmierć!”.

Przez dwanaście dni Santa Anna zaciskał pierścień oblężenia, ściągając nowe oddziały wojska i artylerię. Nocne dźwięki trąbek, nagła kanonada z dział i próbne ataki meksykańskiej piechoty zmuszały załogę Alamo do ciągłego czuwania na murach i nie pozwalały na odpoczynek. Mimo zmęczenia i zimna morale obrońców nie słabło, ale pomoc z zewnątrz nie nadchodziła. Dla podtrzymania ducha załogi Travis zorganizował dwie nocne wycieczki za mury. Nawet beznadziejnie chory Jim Bowie kazał wynosić swoje nosze na dziedziniec i osobiście zachęcał ludzi do wytrwania. W nocy 1 marca do Alamo przekradła się grupa trzydziestu dwóch ochotników z pobliskiego miasteczka Gonzales – je-

dyni, którzy odpowiedzieli na apel Travisa o pomoc dla oblężonego fortu. Tymczasem siły meksykańskie przygotowywały się do ostatecznego szturmu.

Meksykanie mieli działa o niewielkim zasięgu i aby wyrządzić obrońcom poważniejsze szkody, musieli podejść na bliską odległość. Teksańczycy trzymali ich na dystans dzięki dalekonośnym strzelbom myśliwskim. Od 4 marca fort ostrzeliwało sześć meksykańskich baterii, próbując rozbić grube mury misji i zrobić w nich wyłom umożliwiający wdarcie się do wnętrza fortecy. Na tyłach artylerii gromadzili się już żołnierze Santa Anny, przygotowywano wiązki faszyny i sprzęt oblężniczy. Zbliżał się szturm generalny.

*Davy Crockett w Alamo*

Według legendy 5 marca Travis zebrał na placu załogę, przedstawił jej beznadziejność położenia i pozwolił każdemu zdecydować, czy chce się poddać, próbować ucieczki, czy pozostać na miejscu i walczyć do końca. Potem zaznaczył szablą na ziemi linię i kazał ją przekroczyć tym, którzy są gotowi pozostać w murach Alamo. Sam przeszedł pierwszy. Po nim zrobili to wszyscy inni, nawet Jim Bowie kazał przenieść przez nią swoje nosze. Tylko jeden człowiek, francuski weteran wojen napoleońskich Louis Rose, uznał, że nie jest gotowy na

śmierć. Jeszcze tej samej nocy przeskoczył przez mur i szczęśliwie umknął. To dzięki jego relacji wiemy, jak wyglądał ostatni dzień Alamo przed upadkiem fortu.

Dwunastego dnia oblężenia Santa Anna zakończył przygotowania do szturmu i zaprzestał ostrzału. 6 marca o trzeciej nad ranem Meksykanie zaczęli zajmować pozycje. O wpół do szóstej ich trębacz dał sygnał do ataku. Z okrzykiem „Viva Santa Anna!" zwarte kolumny, liczące tysiąc ośmiuset żołnierzy, ruszyły na przyczajony fort. Z pogardą dla śmierci Meksykanie podeszli pod mury i wspięli się na drabiny oblężnicze. Mordercze salwy Teksańczyków powaliły pierwsze szeregi atakujących, ale zaraz pojawili się następni. Padł Travis, rażony kulą w głowę. Za trzecim razem na murach pozostało już niewielu obrońców. Żołnierze Santa Anny wdarli się na nie z wrzaskiem, któremu towarzyszył terkot karabinów. Zorganizowany odwrót na drugą linię obrony okazał się niemożliwy. Przygnieceni liczebną przewagą wroga, obrońcy w śmiertelnej walce wręcz szybko ulegli furii meksykańskich bagnetów. Wkrótce na maszcie wznoszącym się nad ruinami kaplicy znikła flaga Teksańczyków, a jej miejsce zajął trójkolorowy sztandar meksykański.

Po zdławieniu oporu na murach i dziedzińcu zwycięscy Meksykanie rzucili się do przeszukiwania zabudowań. Oszczędzili czternaścioro dzieci i kobiet, ale zakłuli bagnetami śmiertelnie chorego Jima Bowiego, który ściskał w dłoniach parę pistoletów do obrony. Jeden z ostatnich pozostałych przy życiu obrońców próbował jeszcze wysadzić w powietrze magazyn prochu, ale padł, rażony kulami zdobywców. Chwilę później pluton egzekucyjny rozstrzelał kilku wziętych żywcem teksańskich jeńców, wśród nich ponoć samego Davy'ego Crocketta. O wpół do siódmej było już po wszystkim. Trzynastodniowe oblężenie Alamo zakończyło się bitwą, która trwała zaledwie godzinę. W szturmie zginęło stu osiemdziesięciu dziewięciu znanych z imienia i nazwiska obrońców. Uratował się tylko jeden, Meksykanin Brigido Guerro, który zdołał przekonać żołnierzy Santa Anny, że był więźniem Teksańczyków. Po stronie meksykańskiej poległo lub odniosło rany około sześciuset ludzi.

Groźny w skutkach dla Meksykanów okazał się jednak efekt psychologiczny zdobycia Alamo. Wieść o heroicznej śmierci Travisa i jego ludzi obudziła Teksańczyków z letargu i zmobilizowała ich do działania. Amerykańska opinia publiczna, szczególnie wstrząśnięta śmiercią narodowego bohatera Davy'ego Crocketta, solidarnie poparła sprawę Teksasu. Ze Stanów Zjednoczonych zaczęły napływać setki ochotników i coraz większa pomoc materiałowa i finansowa. 21 kwietnia 1836 roku nowa armia Teksasu, dowodzona przez charyzmatycznego

generała Sama Houstona, z okrzykiem „Pamiętajcie o Alamo!” (Remember Alamo!) rozgromiła przeważające liczebnie oddziały Santa Anny w bitwie na równinie San Jacinto. Bitwa ta przesądziła los Teksasu: Meksyk zrzekł się do niego praw i uznał niepodległość nowej Republiki Teksańskiej.

Bitwa nad San Jacinto zapewniła Teksasowi niepodległość od Meksyku i dziewięć lat istnienia w charakterze suwerennej Republiki Teksasu. 29 grudnia 1845 roku Teksas stał się oficjalnie częścią Stanów Zjednoczonych jako dwudziesty dziewiąty stan Unii – „Stan Samotnej Gwiazdy”.

## Rewolta Niedźwiedziej Flagi

W połowie lat czterdziestych XIX wieku Kalifornia była prawie bezludnym i zapomnianym krajem. Zamieszkiwało go kilka tysięcy ludności kreolskiej i metyskiej, potocznie zwanej *Californios*, która wiodła spokojny żywot w nielicznych miasteczkach oraz blisko pięciuset ranczach i hacjendach, a także około stu tysięcy tubylców należących do kilkudziesięciu rozproszonych plemion indiańskich. Rząd meksykański znajdował się ponad trzy tysiące dwieście kilometrów dalej i faktycznie nie sprawował nad tym obszarem żadnej władzy. Korzystne położenie i odległość władz od dawna zachęcały żeglarzy i kupców amerykańskich i angielskich do penetrowania brzegów Kalifornii w poszukiwaniu baz do handlu z Azją i Oceanią. A potem, na fali wielkiej migracji do Oregonu w latach 1842–1843, na tym formalnie meksykańskim terytorium zaczęły powstawać pierwsze amerykańskie kolonie. W roku 1846 w Kalifornii mieszkało już około dwóch tysięcy Amerykanów, głównie w północnej części prowincji.

Wraz ze wzrostem liczby Amerykanów i ich wpływów w Kalifornii słabło na tym obszarze militarne panowanie Meksyku. Utrzymywane tam oddziały wojskowe w sile około sześciuset ludzi, w połowie żołnierzy regularnych, w połowie miejscowej milicji, stanowiły niezdyscyplinowaną, słabo opłacaną i źle uzbrojoną zbieraninę. A meksykańska flota Oceanu Spokojnego, złożona z jednego starego okrętu, niemal zupełnie nienadającego się do żeglugi oceanicznej, zakrawała na kpinę.

W 1845 roku nowym prezydentem Stanów Zjednoczonych został James Knox Polk, gorący orędownik przyłączenia do USA Teksasu i Oregonu, co zresztą okazało się decydującym czynnikiem w wyścigu do Białego Domu (w czerwcu 1846 roku w Waszyngtonie podpisano traktat regulujący kwestie osadnictwa na tym spornym terytorium). Był on także rzecznikiem przyłączenia Nowego Meksyku i Kalifornii. Wobec fiaska prób pokojowego opanowania Kalifornii (władze

amerykańskie bezskutecznie proponowały za nią Meksykowi trzydzieści milionów dolarów), podejmowanych zresztą już przez jego poprzednika Johna Tylera, nowy prezydent postanowił ją zaanektować, ale nie zbrojnie, lecz przez pokojową infiltrację, tak jak to było w przypadku Teksasu. Kalifornijscy Amerykanie coraz bardziej angażowali się w życie polityczne prowincji i chętnie brali udział w sporach partyjnych z myślą o własnych celach. Wydawało się więc, że taka niepodległościowa rewolta na małą skalę przetnie słabe więzi łączące Kalifornię z Meksykiem i odda ją w ręce Stanów Zjednoczonych. Potrzebna była tylko niewielka zachęta z Waszyngtonu i obietnica pomocy militarnej dla rebeliantów.

W październiku 1845 roku Polk mianował swojego zaufanego agenta, Thomasa Olivera Larkina, amerykańskim konsulem w Monterey, miasteczku pięknie położonym nad zatoką o tej samej nazwie, które od czasu przybycia w te strony w roku 1602 konkwistadora Sebastiana Vizcaino odgrywało rolę stolicy Górnej Kalifornii. Oficjalnie zadaniem Larkina miało być przeciwstawianie się brytyjskim i francuskim planom opanowania Kalifornii. Jednakże tajna instrukcja, którą otrzymał on od sekretarza stanu Jamesa Buchanana, nie pozostawiała wątpliwości co do jego faktycznej misji. „Na razie prezydent nie uczyni nic, co pozwoliłoby Kalifornii stać się jednym z wolnych i niezależnych stanów Unii – zakomunikował Buchanan Larkinowi. – Jeżeli jednak mieszkańcy Kalifornii wyrażą pragnienie związania swojej przyszłości z nami, udzielimy im braterskiej pomocy w taki sposób, aby nie dać Meksykowi powodów do skargi. Pozwólmy jednak, aby wypadki toczyły się na razie swoim kursem, chyba że Wielka Brytania lub Francja podejmą próbę opanowania Kalifornii wbrew woli jej mieszkańców. Temu będą musieli się przeciwstawić”. Tym samym Polk dał Larkinowi jasno do zrozumienia, że rząd Stanów Zjednoczonych udzieli Kalifornijczykom pomocy w razie oderwania tej prowincji od Meksyku, i upoważnił go do załatwienia spraw na miejscu wedle własnego uznania.

W czerwcu 1845 roku prezydent postawił w stan gotowości okręty Eskadry Pacyfiku komodora Johna Drake’a Sloata i polecił mu, aby na wypadek wojny z Meksykiem zajął kalifornijskie porty[46]. W połowie listopada Sloat wprowadził cztery okręty do meksykańskiego portu Mazatlan u wejścia do Zatoki Kalifornijskiej i czekał tam na dalsze rozkazy.

Polk podjął także inne działania w celu udzielenia pomocy ewentualnym rebeliantom amerykańskim i przeciwdziałania brytyjskim próbom opanowania Kalifornii. W maju 1845 roku spotkał się ze słynnym podróżnikiem i odkrywcą Johnem Frémontem, który następnie udał się do St. Louis, gdzie zebrał oddział pięćdziesięciu pięciu żołnierzy i traperów oraz sześciu zwiadowców indiańskich

z plemienia Delawarów na swoją kolejną już, trzecią wyprawę na Zachód. Na początku czerwca ekspedycja z Kitem Carsonem jako przewodnikiem wyruszyła z fortu Benta nad rzeką Arkansas przez góry Kolorado i słoną pustynię Nevady do Sierra Nevada, a stamtąd w styczniu 1846 roku przybyła do doliny Sacramento w północnej Kalifornii. Tam Frémont, pod pretekstem znalezienia odpowiedniego miejsca na zimowy obóz, uzyskał zgodę władz meksykańskich na przemieszczenie swoich ludzi na południe, do doliny San Joaquin. Kiedy jednak rozbił obóz nie w wyznaczonym miejscu, lecz koło Salinas, w niedalekim sąsiedztwie Monterey, u podnóża dzisiejszego Fremont Peak, i spotkał się potajemnie z Larkinem, wzbudziło to podejrzenia wojskowego komendanta Górnej Kalifornii, generała José Marii Castro. Na początku marca władze meksykańskie cofnęły zgodę na dalszy pobyt ekspedycji i nakazały jej dowódcy opuszczenie prowincji. W odpowiedzi Frémont wywiesił amerykańską flagę i ufortyfikował obóz, rzucając Meksykanom wyzwanie. W tej sytuacji Castro podjął najpierw nieudaną próbę sforsowania barykady, a następnie odciął Amerykanów od zaopatrzenia. Wobec silniejszego przeciwnika i widma głodu Frémont po trzech dniach ustąpił i zgodził się wycofać na północ. Rozbił obóz niedaleko jeziora Klamath, na pograniczu Kalifornii i Oregonu, i tam czekał na odpowiedni moment do interwencji.

W lutym 1846 roku do komodora Sloata w Mazatlan przybył drogą lądową z Veracruz specjalny kurier z Waszyngtonu, młody porucznik piechoty morskiej Archibald Gillespie, który kilka miesięcy wcześniej wrócił z dwuletniego rejsu do krajów Orientu. Znał dobrze hiszpański i z utęsknieniem wyczekiwał przydziału do służby na lądzie, ale nie spodziewał się, że sekretarz marynarki w rządzie Polka, George Bancroft, ma dla niego zadanie specjalne, zlecone przez samego prezydenta. A prezydent nakazywał Sloatowi wypłynięcie na wody zatoki Monterey i udzielenie pomocy materiałowej amerykańskim rebeliantom przygotowującym powstanie przeciwko Meksykowi. Udając dla zmylenia Meksykanów i Brytyjczyków kupca handlującego z Chinami, Gillespie popłynął następnie okrętem USS „Cyane” z eskadry Sloata przez Hawaje do Monterey. Na miejsce przybył 17 kwietnia. Tam spotkał się z Larkinem i dowiedział się, że na granicy Oregonu czeka Frémont. Kupił więc konia, wynajął paru miejscowych ludzi jako przewodników i ruszył na północ. 9 maja dotarł do obozu Frémonta nad jeziorem Klamath, poinformował go o nieuchronności wybuchu wojny z Meksykiem i przekazał mu ustny rozkaz poczynienia niezbędnych kroków w celu „zabezpieczenia interesów Stanów Zjednoczonych w Kalifornii”**[**[47]**]**.

Podekscytowany wizytą wysłannika prezydenta i rozkazami, które otrzymał,

Frémont zaniedbał środków ostrożności i nie wystawił wart wokół obozu. Luźna atmosfera udzieliła się nawet doświadczonemu Kitowi Carsonowi, który położył się spać z nienaładowaną strzelbą u boku. Taka nieostrożność była wielką nierozwagą w kraju Indian i Amerykanie przekonali się o tym jeszcze tej nocy.

Przed wschodem słońca, zanim czujne uszy Carsona zdołały wychwycić podejrzane szmery, do obozu wdarli się Indianie z plemienia Modoków, a może Klamasów, i zabili trzech ludzi Frémonta. Ofiarą napastników padli: stary traper Basil Lejeunesse, któremu rozłupano głowę angielskim toporkiem, Metys Denny przeszyty kilkoma strzałami, gdy próbował wydostać się spod warstwy koców, i zwiadowca Delawarów o imieniu Żuraw. Resztę wyprawy uratował od śmierci wszczęty przez Carsona alarm. Indianie zostali odparci i wycofali się, pozostawiając jednego zabitego wojownika. W jego kołczanie Amerykanie znaleźli pęk strzał z żelaznymi angielskimi grotami.

*John Charles Frémont*

W odwecie Frémont i jego ludzie zniszczyli nazajutrz dużą wioskę Klamasów, położoną najbliżej ich obozu u ujścia rzeki Williamson do jeziora Klamath, nie wnikając w to, czy jej mieszkańcy mieli jakikolwiek związek z nocnym napadem. Zabili czternastu lub piętnastu wojowników i kilka kobiet. Podczas walki jeden z Indian niechybnie trafiłby Carsona zatrutą strzałą z łuku, gdyby nie szybki refleks Frémonta, który stratował wojownika swoim koniem i uratował przewodnikowi życie. Rachunek z poprzedniej nocy został wyrównany.

Reakcja Frémonta na przywiezione przez Gillespiego rozkazy z Waszyngtonu była niezwłoczna. Wraz z całym oddziałem „zdezerterował” z armii i w końcu maja ruszył w kierunku Sonomy, głównego ogniska konspiracji osadników amerykańskich w dolinie Sacramento. Gillespie, wysłany przodem do Sausalito, małego portu leżącego naprzeciwko Yerba Buena (dawnej wioski rybackiej indiańskiego plemienia Costanoan i późniejszego San Francisco), wiózł listę potrzebnego zaopatrzenia. Składało się na nie: osiem tysięcy kapiszo-

nów, beczułka prochu, trzysta funtów ołowiu na kule do karabinów, żywność, sól, mydło, płótno na namioty oraz żelazo na końskie podkowy. Wszystko to Frémontowi i Gillespiemu miały dostarczyć lada dzień okręty Sloata.

14 czerwca grupa około trzydziestu amerykańskich kolonistów pod przywództwem Ezekiela Merritta i Williama Browne'a Idego opanowała mały meksykański garnizon w Sonomie i uprowadziła dwieście koni przeznaczonych dla żołnierzy generała Castro. Kilka dni później do Sonomy przybył ze swoim oddziałem Fremont i przejął dowództwo oraz pieczę nad jeńcami i zdobyczą. Stało się to sygnałem do zbrojnego powstania przeciwko Meksykowi, znanego pod nazwą rewolty Niedźwiedziej Flagi (*Bear Flag Revolt*)[48].

*Flaga Republiki Kalifornii*

Na wieść o wydarzeniach w Sonomie generał Castro wysłał z Monterey przeciwko powstańcom oddział swoich żołnierzy. 24 czerwca doszło do pierwszej potyczki, zakończonej porażką Meksykanów. Po zwycięstwie zbuntowani koloniści pomaszerowali na południe, zajęli opuszczony fort w Yerba Buena i zagwoździli zdobyte tam meksykańskie działa. Potem wrócili do Sonomy i 4 lipca, w amerykański Dzień Niepodległości, ogłosili powstanie niezależnej Republiki Niedźwiedziej Flagi (*Bear Flag Republic*). 5 lipca z żołnierzy Frémonta i ochotników kalifornijskich formalnie zorganizowano siły zbrojne Republiki, tzw. Ba-

talion Kalifornijski, w sile dwustu dwudziestu czterech ludzi. Dowódcą oddziału został Frémont, a jego zastępcą – Gillespie.

Powstańcy nie wiedzieli, że tymczasem wybuchła wojna amerykańsko-meksykańska. Nieoficjalną wiadomość o niej komodor Sloat otrzymał w Mazatlan już 17 maja, ale przygotowania do planowanej akcji zajęły mu kilka tygodni i dopiero 2 lipca jego okręty opłynęły półwysep Monterey – miejsce, które szkocki powieściopisarz Robert Louis Stevenson nazwał „najpiękniejszym zakątkiem na ziemi, gdzie ląd spotyka się z morzem" – i weszły do uroczej zatoki. Na pokładzie swojej flagowej fregaty USS „Savannah" Sloat spotkał się z Larkinem i omówił z nim plan działań przeciwko Meksykanom w Kalifornii. 6 lipca wysłał do Yerba Buena okręt USS „Portsmouth" z bronią i zaopatrzeniem dla Frémonta, a nazajutrz, po przeanalizowaniu sytuacji, wpłynął do portu w Monterey i wysadził desant dwustu pięćdziesięciu marynarzy i żołnierzy piechoty morskiej. Opanował miasto i dwa dni później wydał proklamację o przyłączeniu Kalifornii do Stanów Zjednoczonych. Na wieść o tym zebrani w Sonomie Kalifornijczycy natychmiast poprosili o włączenie ich republiki do Unii i zastąpienie flagi z niedźwiedziem gwiaździstym sztandarem amerykańskim. Generał Castro i jego zwolennicy uciekli na południe do Los Angeles, gdzie połączyli się z siłami gubernatora Kalifornii Pio Pico, a wówczas Frémont na czele egzotycznie wyglądającego Batalionu Kalifornijskiego ruszył do Monterey i 19 lipca ze swoją różnokolorową zbieraniną dumnie wkroczył do miasta.

16 lipca do portu w Monterey wpłynął brytyjski okręt liniowy HMS „Collingwood" z dowódcą Floty Pacyfiku, admirałem sir George'em Seymourem na pokładzie, co utwierdziło Amerykanów w przekonaniu o dalekowzrocznej polityce prezydenta Polka i podjęciu przez niego właściwych kroków dla zabezpieczenia interesów Stanów Zjednoczonych w Kalifornii. Seymour wysłał do Londynu meldunek, że nie mógł zapobiec opanowaniu północnej Kalifornii przez Amerykanów, i tydzień później odpłynął z Monterey.

Samowolna akcja Frémonta i Gillespiego spotkała się z krytyką Sloata. Komodor nie uznał kompetencji dowódczych Frémonta i odmówił współpracy z jego batalionem. Nie zdążył jednak zastosować wobec niego żadnych sankcji, bo 23 lipca do Kalifornii przybył na okręcie USS „Congress" nowy dowódca Eskadry Pacyfiku, komodor Robert Field Stockton, znacznie bardziej entuzjastycznie nastawiony do wydarzeń w Kalifornii. Jego pierwszym posunięciem było porozumienie się z Frémontem w sprawie podziału kompetencji dowódczych. Jako oficer wyższy stopniem Stockton zachował dla siebie naczelne dowództwo wszystkich sił amerykańskich w Kalifornii, Frémontowi zaś pozostawił ko-

mendę nad Batalionem Kalifornijskim, formalnie uznanym za jednostkę ochotniczą armii Stanów Zjednoczonych. Następnie komodor awansował Frémonta na majora, a Gillespiego na kapitana.

W końcu lipca Stockton i Frémont byli gotowi do działań przeciwko Los Angeles, najsilniejszemu garnizonowi meksykańskiemu w południowej Kalifornii. Oddział stu sześćdziesięciu żołnierzy Frémonta, wysłany na USS „Cyane" do zawsze słonecznego San Diego[49], miał zaatakować Los Angeles od tyłu, a marynarze i piechota morska Stocktona z portu San Pedro, na północ od miasta. Na wieść o zbliżaniu się dwóch kolumn nieprzyjaciela Castro i Pico zrezygnowali z obrony Los Angeles i uciekli do meksykańskiego stanu Sonora, a wraz z ich ucieczką w Kalifornii ustał zorganizowany opór Meksykanów. 16 sierpnia połączone siły Stocktona i Frémonta (pięciuset ludzi) bez walki zajęły największe miasto meksykańskiej Kalifornii, liczące wówczas około trzech tysięcy mieszkańców. Początkowo Stockton zamierzał mianować gubernatorem zdobytej prowincji Frémonta, ale potem zmienił zdanie i oddał pod jego administrację część północną z Monterey, a część południową z Los Angeles przekazał pod zarząd Gillespiego. 17 sierpnia wydał odezwę, w której sam ogłosił się tymczasowym gubernatorem Kalifornii i obiecał poszanowanie wszystkich praw miejscowej ludności.

Przekonany, że sytuacja w Kalifornii jest całkowicie opanowana, wysłał do Waszyngtonu Kita Carsona i zwiadowców Delawarów z tajnym raportem o zdobyciu prowincji. Na początku września pozostawił w Los Angeles niewielki garnizon pod dowództwem Gillespiego i odpłynął do Yerba Buena, aby przygotować nową operację przeciwko meksykańskim portom na Półwyspie Kalifornijskim. Tymczasem Frémont udał się lądem na północ Kalifornii w poszukiwaniu nowych ochotników do swojego oddziału.

23 sierpnia wybuchło w Los Angeles powstanie Meksykanów pod przywództwem kapitana José Marii Floresa. Powstańcy obiegli szczupły garnizon Gillespiego i w ciągu paru dni odzyskali całą południową Kalifornię, z wyjątkiem San Diego i San Pedro, gdzie kotwiczyło parę amerykańskich okrętów. Na wyzwolonych terenach powołali nowe władze meksykańskie z Floresem jako gubernatorem i naczelnym dowódcą wojsk. Osaczony w środku miasta Gillespie przywrócił do użytku cztery lekkie meksykańskie działa, które Castro kazał zagwoździć przed ucieczką, i heroicznie zaczął się sposobić do drugiego Alamo. Nie tracąc ducha, wysłał po pomoc amerykańskiego awanturnika Johna Browna, znanego wśród Meksykanów jako „Juan Flaco", czyli Chudy Janek. Brown był rzeczywiście chudy jak szczapa, ale odważny i sprytny. Brawurowo przedarł się

przez linie dziesięciokrotnie liczniejszych Meksykanów i pognał na północ do Yerba Buena z wiadomością dla Stocktona spisaną na bibułce do papierosów, którą dla bezpieczeństwa ukrył w swoich długich włosach. Niestety, wiadomość ta dotarła do adresata dopiero pod koniec września.

Tymczasem po tygodniu bezkrwawego oblężenia i symbolicznej wymianie strzałów, przeplatanych serią negocjacji, 29 sierpnia garnizon amerykański w Los Angeles złożył broń. Gillespiemu oddano pełne honory wojskowe, po czym opuścił on miasto wraz ze swoimi siedemdziesięcioma trzema żołnierzami, kilkoma kobietami i służbą, zabierając broń i trzy odzyskane armaty. O zmierzchu dotarł do San Pedro, gdzie pechowe armaty ponownie zagwożdżono, a ludzi przyjęto na pokład amerykańskiego okrętu USS „Vandalia".

Na wieść o utracie Los Angeles Stockton natychmiast wezwał Frémonta do powrotu i rozpoczął przygotowania do odbicia miasta. Na początku października żołnierzy Frémonta ponownie załadowano na okręty i wysłano do San Diego, a komodor z resztą ludzi znów popłynął do San Pedro, gdzie siły miały się połączyć. Tymczasem Frémont złamał rozkaz i wyokrętował się w Monterey, prawdopodobnie po to, żeby zdobyć konie dla swojego oddziału. Stockton z garścią marynarzy i piechoty morskiej oraz ludźmi Gillespiego na próżno czekał w San Pedro na jego przybycie. Wreszcie 6 października siły Stocktona i Gillespiego podjęły samodzielną próbę odzyskania Los Angeles, ale nie dały rady lekkim działom i długim lancom Meksykanów w starciu pod Rancho Domingo, musiały więc pod koniec miesiąca odpłynąć do San Diego. 16 listopada Amerykanie stoczyli nierozstrzygniętą potyczkę z Meksykanami pod La Navidad, po czym Stockton znowu wycofał się do San Diego. W czasie kiedy bez powodzenia próbował on odzyskać Los Angeles, doszły go wieści o zbliżaniu się do Kalifornii amerykańskiej kolumny wojsk generała Kearny'go.

Zaraz po wypowiedzeniu wojny Meksykowi prezydent Polk nakazał pułkownikowi Stephenowi Wattsowi Kearny'emu (1794–1848) dokonać inwazji na Nowy Meksyk i Kalifornię. Do końca maja 1846 roku Kearny zgromadził w forcie Leavenworth w dzisiejszym Kansas oddział złożony z tysiąca sześciuset pięćdziesięciu żołnierzy i ochotników, któremu nadał dumną nazwę Armii Zachodu (*Army of the West*). 5 czerwca wyruszył na podbój Nowego Meksyku szlakiem Santa Fe przez południową pustynię. Ludzie cierpieli istne katusze z braku wody i żywności oraz z powodu marnej kondycji kawaleryjskich koni, niemniej pokonali tę drogę przez mękę i 18 sierpnia opanowali bez walki Santa Fe. Trzy dni później Kearny wydał proklamację o aneksji całego terytorium Nowego Meksyku. W zdobytym mieście ustanowiono tymczasowy rząd teryto-

rialny, na którego czele stanął William Bent, dobrze znany na Pograniczu handlarz i współwłaściciel fortu nazwanego jego imieniem. To zakończyło pierwsze etap zwycięskiej kampanii na Zachodzie. W ciągu sześciu tygodni niewiele ponad półtora tysiąca żołnierzy Kearny'ego przebyło szlak o długości tysiąca sześciuset kilometrów i zajęło rozległe terytorium zamieszkane przez osiemdziesiąt tysięcy ludzi. W Stanach Zjednoczonych zapewne spodziewano się takiego obrotu rzeczy, bo już 30 czerwca Kearny otrzymał awansem nominację na generała brygady, o czym w połowie sierpnia poinformowano go specjalnym kurierem z Waszyngtonu.

Kiedy sytuacja w Nowym Meksyku się ustabilizowała, Kearny rozpoczął przygotowania do wypełnienia drugiej części swojej misji – udziału w podboju Kalifornii. Z tym zamiarem wyruszył w końcu września na czele trzystu dragonów w dół Rio Grande. 6 października napotkał w Soccoro Kita Carsona i jego Delawarów zmierzających do Waszyngtonu z raportem o podboju Kalifornii. Na wieść o tym odesłał do Santa Fe większość swoich żołnierzy i ruszył dalej do Kalifornii z oddziałem stu dwudziestu kawalerzystów oraz Carsonem, którego zdołał namówić do powrotu (listy do Waszyngtonu powieźli Delawarowie). U ujścia rzeki Gila do Kolorado dowiedział się o powstaniu Floresa, po czym kontynuuował morderczy marsz przez pustynię kalifornijską. Przebył ją do końcu listopada ze stratą wielu koni i mułów, które nie wytrzymały trudów wędrówki.

W tym czasie Stockton usiłował zebrać jak najwięcej sił przed ofensywą na Los Angeles. Ponieważ wciąż nie miał łączności z Frémontem, który kluczył między hacjendami w głębi lądu w poszukiwaniu koni, wysłał na spotkanie Kearny'ego kapitana Gillespiego z wieścią o krytycznej sytuacji w Kalifornii i prośbą o przyspieszenie marszu. 5 grudnia Gillespie napotkał generała i poprowadził go wraz z jego ludźmi do San Diego. Następnego dnia w pobliżu indiańskiego pueblo San Pasqual Amerykanom zastąpił drogę stuosobowy oddział zwiadowczy meksykańskich lansjerów pod dowództwem majora Andresa Pico, brata obalonego gubernatora Kalifornii. Nad ranem 6 grudnia, w zacinającym zimnym deszczu, Kearny dał rozkaz do ataku. W krótkim, ale niezwykle zaciętym boju długie lance Meksykanów okazały się skuteczniejsze od amerykańskich szabel i karabinków z zamokniętym prochem. Kearny stracił dwudziestu dwóch ludzi, a piętnastu zostało ciężko rannych, głównie od pchnięć lancami. Wprawdzie utrzymał pole bitwy, ale jego sytuacja wydawała się beznadziejna.

Nazajutrz po walce wyczerpany oddział Kearny'ego otoczyli na pobliskim wzgórzu kawalerzyści majora Pico. Okrążeni Amerykanie przez kilka dni cierpieli straszliwe pragnienie i głód (z

konieczności jedli mięso zabitych mułów), ale trwali w uporze i starali się wyjść cało z opresji. Dzielny Kit Carson z dwoma ludźmi zdołał się przekraść przez pierścień okrążenia i dotrzeć do San Diego z meldunkiem o sytuacji oddziału, pokonując pieszo pięćdziesiąt kilometrów kamienistego terenu. 11 grudnia przybyła odsiecz z okrętów Stocktona, a następnego dnia do San Diego wkroczył smutny kondukt oswobodzonych żołnierzy Kearny'ego. Od tamtej pory wzgórze, na którym dragoni amerykańscy wytrzymali oblężenie Meksykanów, nosi nazwę Wzgórza Mułów (*Mule Hill*).

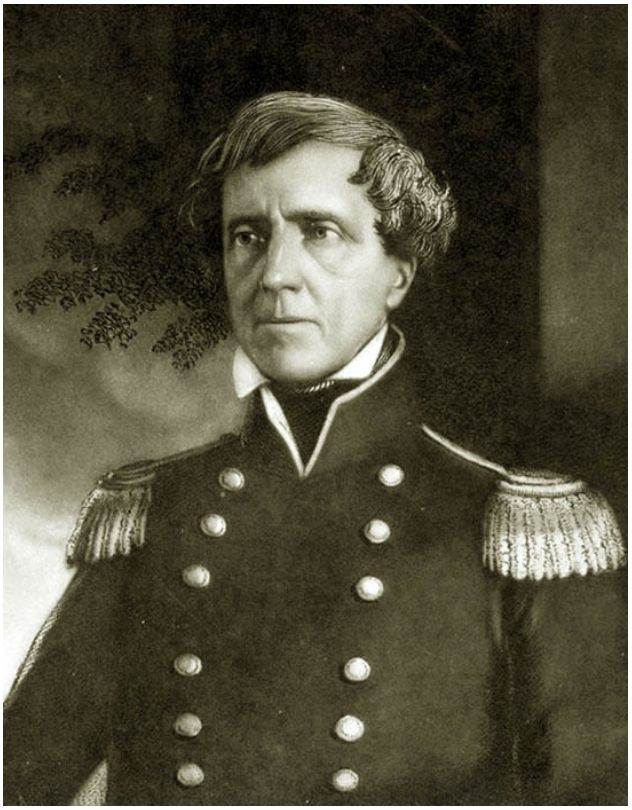

*Generał Stephen Watts Kearny*

Pod koniec grudnia 1846 roku kombinowany oddział pięciuset marynarzy i żołnierzy Stocktona oraz Kearny ego wyruszył z San Diego na Los Angeles. 8 stycznia 1847 roku przy brodzie na rzece San Gabriel drogę zastąpili im Flores i Pico na czele podobnej liczby Meksykanów, dysponujących kilkoma działami. Mimo ostrzału nieprzyjacielskiej artylerii Amerykanie sforsowali bród i zmusili przeciwnika do ucieczki. Nazajutrz pod La Mesa, na przedpolu Los Angeles, doszło do następnej bitwy. Tym razem Flores popełnił błąd, strzelając bez umiaru z dział, wskutek czego wkrótce zabrakło mu prochu i w decydującym momencie jego ludzie musieli ruszyć na Amerykanów bez wsparcia artylerii. W rezultacie zostali łatwo odparci i po-

szli w rozsypkę. 10 stycznia Flores ewakuował Los Angeles i wycofał się do Meksyku. Po południu tego samego dnia Stockton bez oporu wkroczył do miasta i przywrócił w nim amerykańską okupację. Powiewająca nad fortem Los Angeles dumna flaga Meksyku została ściągnięta po raz ostatni. Zaszczyt zastąpienia jej sztandarem w gwiazdy i pasy przypadł Gillespiemu. Wywiesił ją on nad tą samą kwaterą, którą był zmuszony opuścić ponad cztery miesiące wcześniej.

W czasie gdy Stockton i Kearny rozpoczynali ofensywę na Los Angeles, od północy zbliżał się do miasta oddział Frémonta. Po kilku tygodniach spędzonych na północy Kalifornii Frémont wzmocnił swoje siły do około czterystu ludzi i w końcu listopada ruszył na południe. 12 stycznia, dwa dni po zajęciu Los Angeles przez oddziały Stocktona i Kearny ego, natknął się na resztki wojsk meksykańskich Andresa Pico w pobliżu położonej na północ od miasta przełęczy Cahuenga. 13 stycznia, bez porozumienia ze Stocktonem, skłonił majora Pico do podpisania aktu kapitulacji na warunkach, których wcześniej generał Kearny odmówił Meksykanom. Teraz jednak Stocktonowi zależało na jak najszybszym uspokojeniu sytuacji w Kalifornii i podjęciu działań przeciwko portom meksykańskim, zaakceptował więc układ z Cahuengi jeszcze tego samego dnia. W ten sposób przedsiębiorczemu Frémontowi przypadł w udziale splendor zakończenia wojny w Kalifornii, w której największą rolę odegrali Stockton i Kearny.

Wraz z ponowną okupacją Los Angeles i kapitulacją Andresa Pico opór Meksykanów w Kalifornii ostatecznie ustał. Amerykanie opanowali Kalifornię, ale zaczęły się między nimi rozgrywki personalne. Swoisty *modus operandi*, który wypracowali między sobą Stockton i Frémont, zachwiał się po przybyciu generała Kearny’ego. Najpierw bowiem, po zdobyciu Los Angeles, zażądał on od Stocktona oddania mu naczelnego dowództwa wojsk, a kilka miesięcy później powierzenia mu funkcji gubernatora Kalifornii. Stockton jednak przekazał już to stanowisko Frémontowi, a na protesty Kearny’ego odpowiedział tymczasowym pozbawieniem go dowództwa nad wojskiem.

W sierpniu 1847 roku generał Stockton wyjechał z Kalifornii, pozostawiając nierozwiązany konflikt pomiędzy obydwoma oficerami. Ambitny i pewny siebie Frémont odmawiał podporządkowania się rozkazom generała. W końcu z Waszyngtonu nadeszły instrukcje potwierdzające nominację Kearny’ego i Frémont został aresztowany. Oskarżono go o niesubordynację i bunt, a następnie odesłano na proces do Waszyngtonu. W styczniu 1848 roku sąd wojskowy uznał go za winnego „braku dyscypliny i postępowania niezgodnego z rozkazami”, i skazał na usunięcie z armii. Wielu obserwatorów odebrało tę karę jako przejaw od-

wiecznej rywalizacji pomiędzy armią i flotą, a we Frémoncie dostrzeżono ofiarę dobrych stosunków z oficerami marynarki i komodorem Stocktonem. Prezydent Polk – uwzględniając zasługi Frémonta i jego polityczne koneksje (wsparcie teścia, senatora Bentona) – zatwierdził wyrok, ale anulował karę. Ambitny Frémont jednak odmówił powrotu do służby i wyjechał do Kalifornii. W 1850 roku, kiedy Kalifornii przyznano status stanu, został senatorem. W roku 1856 kandydował na prezydenta z ramienia Partii Republikańskiej. Po wybuchu wojny secesyjnej, mianowany generałem ochotników, dowodził przez jakiś czas działaniami na Zachodzie. W latach 1878–1883 pełnił funkcję gubernatora Arizony. Na krótko przed śmiercią w roku 1890, przez wielu historyków uważanym za ostateczny koniec Dzikiego Zachodu, uzyskał awans na generała majora armii Stanów Zjednoczonych.

Rozdział VI

# Wielka gorączka złota

## Kalifornijska bonanza

„Poniedziałek 24, tego dnia pewien rodzaj minerału, który wygląda jak złoto, został po raz pierwszy znaleziony w kanale wodnym przez Jamesa Martiala, szefa tartaku”. Ten krótki, niepoprawny i słabo czytelny wpis w dzienniku półanalfabety robotnika Henry’ego Bilgera, niemający – jak się wydawało – żadnego znaczenia w chwili jego pisania w styczniu 1848 roku, był zapowiedzią wydarzenia, które zmieniło bieg amerykańskiej historii.

W 1848 roku zakończyła się wojna amerykańsko-meksykańska. W traktacie pokojowym zawartym 2 lutego w Guadalupe Hidalgo pokonany Meksyk uznał prawo Stanów Zjednoczonych do Teksasu i granicę na Rio Grande. Odstępował też Amerykanom przeszło połowę swojego terytorium o łącznej powierzchni ponad trzech milionów kilometrów kwadratowych, w tym: Górną Kalifornię (obecny stan Kalifornia) i Nowy Meksyk (obecne stany: Arizona, Nowy Meksyk, Nevada, Utah oraz część Wyomingu i Kolorado). A wszystko to za cenę osiemnastu milionów dolarów w postaci różnych świadczeń kompensacyjnych.

Na kilka dni przed podpisaniem traktatu pokojowego, w mroźny poranek 24 stycznia 1848 roku, majster stolarski James Marshall, zatrudniony przy budowie tartaku wodnego na brzegu rzeki American w dolinie Colonia (co w języku miejscowych Indian Nisenan znaczy „piękna”) u podnóża zachodniego stoku gór Sierra Nevada, nieco powyżej zbiegu z rzeką Sacramento w północnej Kalifor-

nii, dostrzegł kilka drobnych błyszczących grudek w kanale doprowadzającym prąd wody do koła tartaku. Wydobył je i zaniósł do Elizabeth Jane „Jennie” Wimmer, obozowej kucharki i praczki. Kobieta przez całą noc moczyła grudkę wielkości ziarna grochu w roztworze ługu mydlanego, a następnego ranka stwierdziła, że Marshall znalazł prawdziwy samorodek złota (*nugget*). Później oszacowano, że samorodek ten, czysty w dziewięćdziesięciu sześciu procentach, był wart dwanaście dolarów. Zadowolony Marshall podarował nugget pani Wimmer, a ta zrobiła sobie z niego wisiorek.

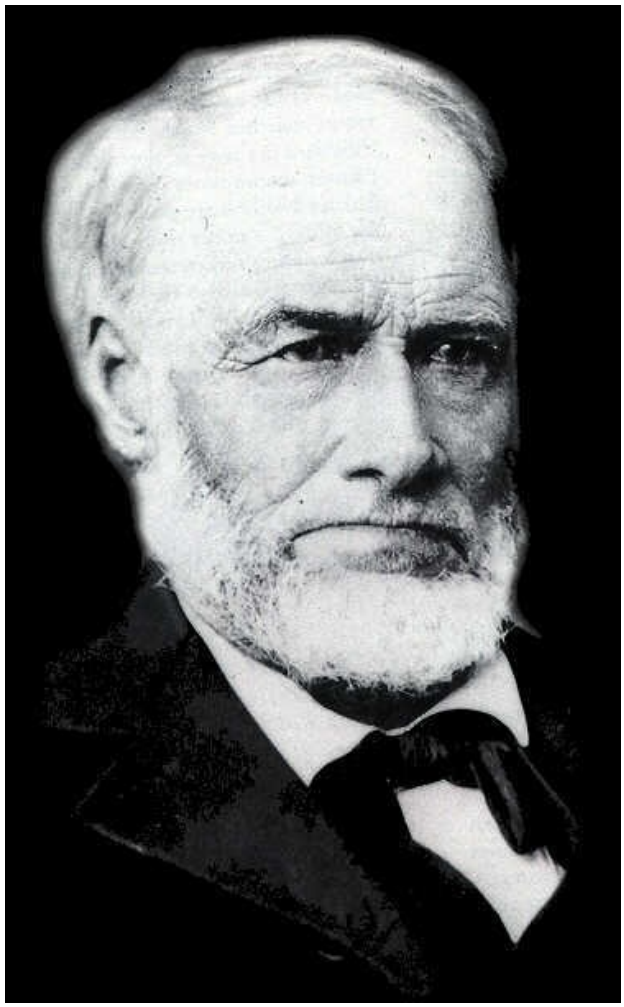

*James Wilson Marshall*

James Wilson Marshall (1810–1885) był farmerem, zdolnym kołodziejem i mistrzem stolarskim. Do Kalifornii przybył w 1845 roku z Missouri w poszukiwaniu lepszego klimatu dla swego nadwątlonego malarią zdrowia. W czasie rewolty Niedźwiedziej Flagi służył pod rozkazami kapitana Frémonta w Batalionie Kalifornijskim. Po zakończeniu służby sprzedał podupadłą farmę i zaoferował swoje usługi Johnowi Sutterowi, właścicielowi wielkiej posiadłości ziemskiej u zbiegu rzek American i Sacramento. Sutter przyjął go i zatrudnił przy budowie tartaku wodnego.

*Zrekonstruowany Fort Sutter w Kaliforni*

Cztery dni po dokonaniu znaleziska Marshall zawiózł żółte grudki złota do swojego szefa. Obaj mężczyźni zamknęli się na klucz, sięgnęli do mądrych ksiąg i poddali fragmenty minerału różnym dodatkowym badaniom. Potem wyprostowali się i odetchnęli głęboko. Obozowa praczka Jennie Wimmer miała rację: Marshall odkrył prawdziwe złoto.

„To było deszczowe popołudnie – wspominał Sutter – kiedy pan Marshall wszedł do mojego biura w forcie, cały mokry. Byłem cokolwiek zdziwiony jego widokiem, wyjechał bowiem zaledwie kilka dni temu, a potem wysłałem do Colomy parę wozów z prowiantem i wyposażeniem dla tartaku. Powiedział mi, że

ma dla mnie parę ważnych i interesujących wiadomości, które chciałby mi przekazać w sekrecie gdzieś, gdzie nikt nam nie przeszkodzi i żadna przypadkowa osoba nie podsłucha tego, co ma mi do powiedzenia. Zaprowadziłem go więc do swoich prywatnych pokoi, a on poprosił mnie, abym zamknął drzwi na klucz, co też uczyniłem (...). Marshall wyjął z kieszeni gałganek i pokazał mi żółtawy metal, którego było ze dwie uncje (...) i który składał się z drobnych grudek i próbek. Niektóre z nich były warte kilka dolarów. Powiedział mi, że napomknął pracownikom tartaku o możliwości znalezienia złota, ale wyśmiali go i nazwali szaleńcem (...). Po przebadaniu próbek przy użyciu kwasu azotowego, który znalazłem w swojej apteczce, dokonaniu innych eksperymentów i przeczytaniu długiego artykułu o złocie w *Encyklopedii amerykańskiej*, stwierdziłem, że to złoto w najlepszym gatunku, przynajmniej 23-karatowe (...). Gdy to usłyszał, stracił cierpliwość i mimo zmęczenia chciał, abym natychmiast pojechał z nim do Colomy (...). Obiecałem mu, że przyjadę do niego jutro rano. Wyruszył do Colomy w największym deszczu, chociaż był i tak całkiem przemoczony, i nie wziął nawet nic do jedzenia (...). Następnego ranka w gęstym deszczu pojechałem do Colomy (...)".

John Sutter, a właściwie Johannes Augustus Sutter (1803–1880) był imigrantem ze Szwajcarii, który uciekł ze swojego kraju przed więzieniem grożącym mu za długi. W 1839 roku przybył do meksykańskiej Kalifornii w poszukiwaniu szczęścia i spokoju. W 1840 roku uzyskał obywatelstwo meksykańskie, a rok później dostał duże nadanie ziemskie od gubernatora Górnej Kalifornii, Juana Bautisty Alvarado. Na otrzymanej ziemi u podnóża gór Sierra Nevada postanowił założyć utopijną kolonię rolniczą pod nazwą Nowa Szwajcaria (*Nueva Helvetia* lub *New Helvetia*). Do jej obrony wybudował w roku 1843 strategicznie położoną na szlaku Kalifornijskim i przy drodze wodnej z głębi lądu do zatoki San Francisco faktorię obronno-handlową, potocznie zwaną fortem Suttera. Posiadłość Suttera znacznie się rozwinęła, kiedy do północnej Kalifornii zaczęli ściągać liczni osadnicy, traperzy i handlarze. Dzięki temu w ciągu kilku lat stał się on najbogatszym i najbardziej wpływowym człowiekiem w regionie**[**50**]**. W 1847 roku zasadził w swojej kolonii dwa tysiące drzew owocowych, co zapoczątkowało rozwój rolnictwa w dolinie Sacramento. W 1846 roku fort Suttera był jedną z głównych baz Frémonta w czasie rewolty Niedźwiedziej Flagi i miejscem, skąd wyruszały wyprawy ratunkowe na pomoc pechowej karawanie Donnera w w górach Sierra Nevada.

Po aneksji Kalifornii, której się nie przeciwstawiał, wobec dużego napływu osadników i wzrostu zapotrzebowania na drewno potrzebne do budowy młyna,

domów mieszkalnych i na ogrodzenia, Sutter postanowił zbudować tartak w Colomie nad rzeką American, około osiemdziesięciu pięciu kilometrów na północny wschód od Nowej Szwajcarii i fortu. Nadzór nad jego budową powierzył właśnie Johnowi Marshallowi. Gdy ten odkrył złoto na jego ziemi, obaj postanowili utrzymać to w tajemnicy. Nie chcieli bowiem, aby robotnicy, w większości miejscowi Indianie i weterani rozwiązanego w drodze do Salt Lake City batalionu mormonów, rzucili pracę i zaczęli szukać złotego kruszcu, a żądza złota nie sprowadziła poszukiwaczy, którzy zburzyliby spokój i bezpieczeństwo Nowej Szwajcarii. Początkowo wszystko szło po ich myśli. Robotnicy dokończyli budowę tartaku, przy okazji znajdując grudki złota w kilku jeszcze innych miejscach. Sutter odebrał od nich przysięgę milczenia, ale po paru tygodniach wiadomość o złocie i tak przedostała się do San Francisco i Monterey, dwóch sennych miasteczek, które przez wiele lat hiszpańskich i meksykańskich rządów pozostawały w stanie marazmu. Teraz energia Amerykanów zbudziła je nagle z uśpienia.

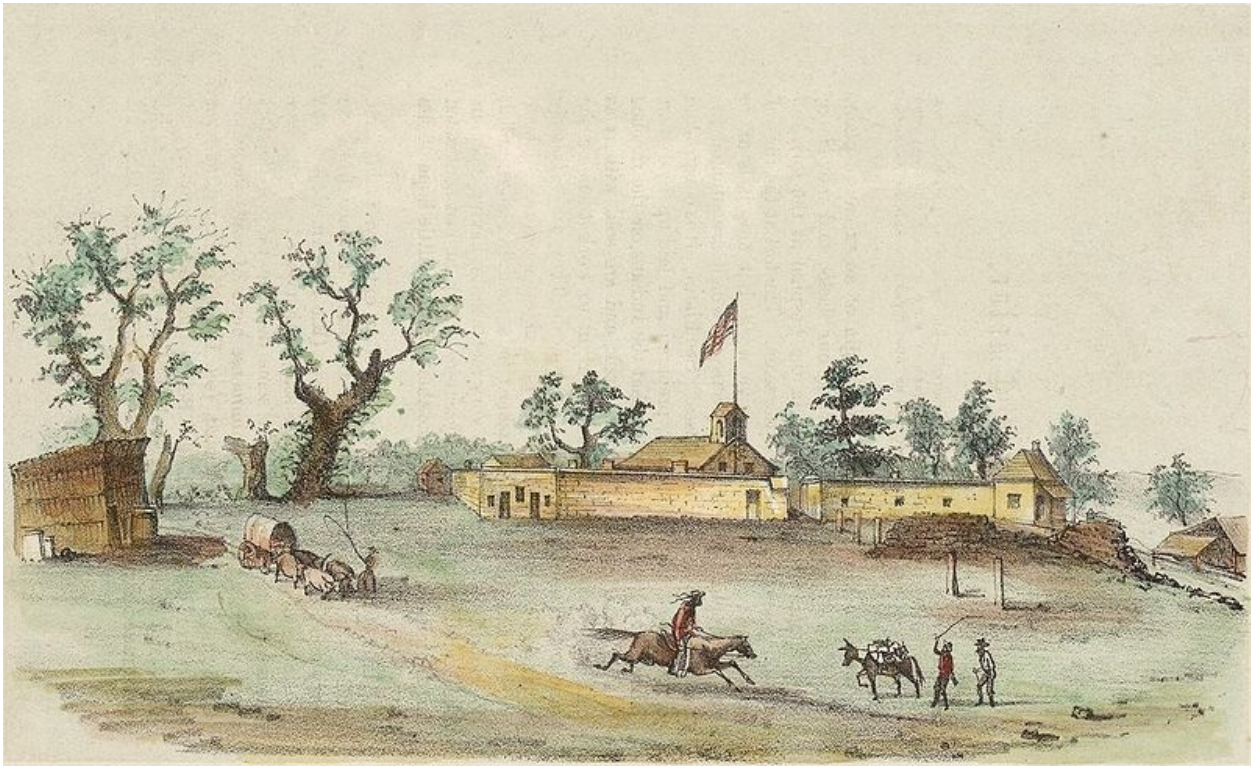

*Fort Suttera w roku 1849*

W marcu 1848 roku do doliny Sacramento zaczęli napływać pierwsi, jeszcze dość nieliczni, amatorzy fortuny. W maju przybył nad American River Samuel Brennan, mormoński wydawca tygodnika „California Star” w San Francisco i właściciel sklepu w forcie Suttera, jedynego pomiędzy San Francisco a złotono-

śnym polem w Colomie. Dwa tygodnie później powrócił do miasta z pierwszymi próbkami złotego piasku i grudkami nuggetów, które przyjmował od robotników Suttera w zamian za sprzedawane im towary. Tam sprytnie wykupił wszystkie szufle, szpadle, łopaty i patelnie, jakie udało mu się znaleźć, a potem biegał ulicami miasta i krzyczał: „Złoto, złoto nad American River!”.

W mieście już od trzech miesięcy chodziły słuchy o odkryciu złota, ale dopiero wtedy wszystkich ogarnęło szaleństwo. Francuski konsul w San Francisco donosił, że miasto, które po okresie meksykańskiego zastoju pod nową amerykańską władzą zaczynało się rozwijać i nabierać życia, nagle się wyludniło. W ciągu paru dni trzy czwarte mieszkańców pognało na wzgórza Sacramento. Opustoszały ulice, zamknięto warsztaty, sklepy, biura i szkoły. 15 czerwca ukazał się ostatni numer „California Star”, po czym redakcję trzeba było zamknąć, bo cały personel wyjechał szukać złota. W miasteczku zostało tylko pięciu mężczyzn, którzy mieli się opiekować kobietami i dziećmi. Dowódca Eskadry Pacyfiku skarżył się, że z jego okrętów dezerterują nie tylko zwykli marynarze, ale też podoficerowie z długoletnim i zaszczytnym stażem. Zakotwiczone w porcie San Francisco statki kołysały się bezsilnie, opuszczone przez pasażerów i załogi szukające fortuny w górach. Brennan, który płacił za zwykłe patelnie po dwadzieścia centów od sztuki, potem sprzedawał je po piętnaście dolarów. W ciągu dziewięciu tygodni zbił majątek wartości trzydziestu sześciu tysięcy dolarów. Jak stwierdził burmistrz Monterrey, Walter Colton, „nasze miasta obudziły się dziś z błogiego snu”. Robotnicy zostawiali narzędzia, żołnierze porzucali karabiny i masowo dezerterowali, właściciele restauracji i hoteli opuszczali swoich klientów, nie odbierając nawet należności. „Wszyscy pogonili za złotem do kopalni – pisał Colton. – Jedni konno, drudzy na wozach, jeszcze inni o kulach, a jeden nawet w wózku na śmieci”. Latem 1848 roku szaleńczego wyścigu po złoto nie mogły zatrzymać „ani nadzieja na nagrodę, ani strach przed karą”. Na złotodajne pola przybywali poszukiwacze z całej Kalifornii, Meksyku, Panamy i nawet z Hawajów. Z sąsiedniego Oregonu ściągnęła ponad połowa mężczyzn. A złota odkrywano coraz więcej. Przeciętnie poszukiwacz mógł zarobić dwadzieścia dolarów na dzień.

Na Wschodzie pierwsze informacje o odkryciu złota w Kalifornii opublikowała 19 sierpnia 1848 roku gazeta „New York Herald”. Na początku grudnia do Waszyngtonu przybył wysłannik gubernatora Kalifornii ze skrzynką wypełnioną paroma kilogramami czystego kruszcu. A kiedy mennica rządowa w Filadelfii potwierdziła jego doskonałą jakość, 5 grudnia prezydent Polk oficjalnie poinformował o odkryciu bogatych złóż złota. W prasie wschodniego wybrzeża poja-

wiły się dziesiątki prawdziwych lub zmyślonych historii o bogactwach kalifornijskich rzek i gór. Krążyły legendy rozpalające wyobraźnię i żądzę posiadania. Jedna z nich mówiła o przybyszu z Kalifornii, który widział podobno bryłę złota o wadze trzech kilogramów. Inny człowiek wydobył ponoć szesnaście kilogramów złotego piasku w jeden dzień, a jeszcze inny zarobił dwanaście tysięcy dolarów w ciągu tygodnia. Nic więc dziwnego, że w połowie grudnia gorączka złota ogarnęła już całą Amerykę, a każdy spodziewał się znaleźć bryły wielkości co najmniej pięści, leżące wprost na ziemi.

*San Francisco (1849)*

Emigracja na Zachód, i tak dotąd dość znaczna, nagle przybrała masowy charakter. Do Kalifornii ruszył nieprzebrany strumień ludzi owładniętych nieuleczalną chorobą zdobycia fortuny, przekonanych, że znajdą tam szczęście i bajeczne bogactwo. Waszyngtońska gazeta „Intelligencer” donosiła w styczniu 1849 roku, że „wszyscy teraz rozmawiają o złocie, śnią o złocie lub kopią złoto”. Tak zaczął się wyścig bohaterów sławnego roku czterdziestego dziewiątego (*Forty-niners*) do wymarzonych gór złota. Sklepy w wielkich miastach na Wschodzie rywalizowały ze sobą, oferując najbardziej poszukiwane „kalifornijskie towary”: sześciostrzałowe kolty, modne samoczynne pistolety Allena (tzw. pieprzniczki), uniwersalne noże Bowiego, wodoodporne zapałki, siekiery, łopaty, miski i patelnie do płukania złotego piasku, a nawet pasy zaprojektowane

„specjalnie do przechowywania złota”. Każdy mieszkaniec Wschodu, który zdecydował się wyjechać na Zachód, kupował strzelbę, nóż, sprzęt obozowy i przewodnik opisujący drogę do Kalifornii, i ruszał na szlak najszybciej, jak się dało. Do Kalifornii podążały takie tłumy, że pewna grupa spekulantów z Waszyngtonu, która w kwietniu 1849 roku przybyła do przeprawy promowej na rzece Missouri w St. Joseph (na północ od Kansas City), dowiedziała się, że miejsca na promie są zarezerwowane aż do lipca.

Ten niespotykany dotąd masowy ruch ludności w całych Stanach Zjednoczonych przeszedł do historii pod nazwą „wielkiej gorączki złota w Kalifornii” (*Californian Gold Rush*). Tej gorączce ulegli i ludzie biedniejsi, i najbardziej przedsiębiorczy ze Wschodu i Północy. A kiedy wieści o złocie obiegły świat, jego czar przyciągnął do Ameryki także argonautów z innych krajów: Anglików, Francuzów, Włochów, Niemców, Hiszpanów, Meksykanów, Chilijczyków, a nawet Australijczyków. Dla niejednego z nich szlak do wymarzonej Kalifornii okazał się zbyt trudny do pokonania, a wielu łowców fortuny padło ofiarą własnego pośpiechu i głupoty. Mnóstwo ludzi wlokło ze sobą w góry wygodne łóżka, puchową pościel, kołdry, dzbanki i garnki, sztućce, zastawę stołową i chińską porcelanę. „Wiele z tych rzeczy – pisał naoczny świadek – było tak przydatne emigrantom na szlaku jak psu dwa ogony. A weźmy na ten przykład ubranie! Niektórzy mieli skrzynie pełne białych koszul i sztywnych kapeluszy. Większość z tych rzeczy lądowała później w rowie, zaśmiecając szlak. Nieporęczne wozy kończyły zwykle jako budulec na siodła juczne albo paliwo do ogniska. Ciężkie skrzynie, pługi, kowadła, kamienie szlifierskie, kuchenki, piece, beczki, prowiant, ubrania i sprzęty domowe – wszystko to leżało dookoła w ogromnej ilości”.

Żniwo zbierały także głód i choroby. Proste krzyże wystające z grobów na poboczach dróg najlepiej wskazywały drogę do złotonośnych pól. Tylko w szczytowym okresie gorączki, na początku lat pięćdziesiątych, od cholery zmarło co najmniej pięć tysięcy podróżnych. Najwięcej ofiar wśród ludzi i zwierząt pochłaniała ponura pustynia w dolinie Humboldta, pomiędzy Górami Skalistymi a Sierra Nevada. Biedne zwierzęta, pozbawione paszy i podtruwane alkaliczną wodą, padały bezsilnie na ziemię, a słońce i gorący wiatr pozostawiały z nich tylko kupki bielejących kości. Ci, którzy mieli pieniądze, mogli uniknąć uciążliwości drogi lądowej i dotrzeć na zachodnie wybrzeże Oceanu Spokojnego statkiem, opływając przylądek Horn lub pokonując kontynent przez meksykański przesmyk Isthmus. Rejs statkiem do San Francisco był mniej niebezpieczny niż podróż lądem, ale sztormy, szkorbut, głód i niedostatek wody pitnej i tak zbie-

rały swoje żniwo.

Góry Sierra Nevada, kiedyś tylko obszar łowiecki pojedynczych traperów, zapełniły się nagle tłumem zgiełkliwych, gwarnych i rozgorączkowanych łowców fortuny, naiwnych i podatnych na plotkę, biegających z jednego pełnego nadziei miejsca na drugie. „Owszem, złota jest tu pełno – donosił jeden z poszukiwaczy w 1850 roku – ale jego wydobycie wymaga cierpliwości i ciężkiej pracy, nie mówiąc o pewnych umiejętnościach i doświadczeniu”.

Wielu z tych, którzy przybyli do Kalifornii, faktycznie znalazło złoto, ale jeszcze więcej go nie znalazło. Naniesiony przez wodę kruszec, początkowo gęsto występujący w kamienistych korytach i na brzegach górskich strumieni, szybko wydobyto prostą metodą odkrywkową. Eksploatowano złoto tkwiące w szczelinach skalnych, placerach, czyli miejscach gdzie zalegało płytko pod ziemią, bądź wypłukiwano złoty piasek i grudki leżące na brzegach i dnach strumieni. Potem za pomocą zwykłych narzędzi zaczęto rozbijać złotonośne skały na ziemi albo tuż pod jej powierzchnią. Poszukiwaczowi wystarczał kilof, szufla, mocny nóż, cynowa łyżka oraz zwykła patelnia lub miska do oddzielania złotego pyłu od piasku i żwiru. Sławetna patelnia do płukania złota, o której śpiewano spontaniczne piosenki, początkowo rzeczywiście była zwykłą kuchenną patelnią czernioną w ogniu, co pozwalało łatwiej dostrzec złoty piasek. Potem pojawiły się większe i wydajniejsze urządzenia, drewniane kołyski i długie koryta przedzielone siatkami o coraz mniejszych okach, zwane „długimi Tomami”.

Urobek z koryta rzeki wrzucano do patelni, miski lub kołyski, a następnie wytrząsano i przesiewano. Przy odrobinie szczęścia w naczyniu pozostawały małe złote grudki. W suchych wykopkach materiał skalny miażdżono specjalnymi młynami do kruszenia skał, a zawarte w nich złoto wytrącano za pomocą rtęci. Ze względu na duże zapotrzebowanie na wodę, eksploatację złóż prowadzono głównie w bezpośredniej bliskości rzek i strumieni. Zaopatrzony w „pokaźny zapas wieprzowiny i fasoli”, poszukiwacz z roku czterdziestego dziewiątego obozował w pobliżu miejsca pracy i miał szansę w krótkim czasie „zgromadzić kupę forsy”.

Fortuny powstawały i przepadały, ale nikt nie wie, ile naprawdę ich powstało. Kolejne fale poszukiwaczy zalewały kalifornijskie góry i krążyły po nich w szaleńczym wirze niczym chmary os wokół słoika z miodem. Wczesne techniki wydobycia złota były prymitywne i czasochłonne, ale niektórzy z pierwszych łowców fortuny istotnie znaleźli bogactwo. Wielu je roztrwoniło, znacznie mniej

utrzymało, a większość szczęściarzy popadła w zapomnienie i doprowadziła się do ruiny. Faktycznie jednak złoto w Kalifornii było, i to w całkiem dużych ilościach. Kalifornijski Urząd Górnictwa szacował, że w 1849 roku wartość wydobytego kruszcu wyniosła dziesięć milionów dolarów. W roku 1852 wzrosła ona już do osiemdziesięciu jeden milionów. Ogółem w latach 1848–1858 wydobyto złoto wartości około pięciuset pięćdziesięciu milionów dolarów.

Owszem, złoto było największym wabikiem przyciągającym amatorów bogactwa, ale nie jedynym. W drodze do Kalifornii podróżni natrafili na różne inne cenne minerały w górach Washoe, na nowo powstałym Terytorium Nevady, ale początkowo – mając przed sobą perspektywę zdobycia najcenniejszego z kruszców – nie zwracali na nie większej uwagi. Dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy zainteresowanie złotem nieco osłabło, część poszukiwaczy postanowiła przyjrzeć się bliżej minerałowi, który bracia Ethan i Hosea Grosh, wytrawni mineralodzy i weterani gorączki złota z roku czterdziestego dziewiątego, odkryli w 1857 roku na wschodnim zboczu Mount Davidson, w krainie Washoe. Było nim srebro. Obaj odkrywcy nieszczęśliwie zmarli, a ich schedę przejął wspólnik Henry Comstock i wkrótce sprzedał ją za stosunkowo niewielkie pieniądze. W miejscu występowania pokładów srebra powstała słynna kopalnia zwana Żyłą Comstocka (*Comstock Lode*), w pobliżu której w 1859 roku wyrosło miasto Virginia City, parę kilometrów na południowy wschód od dzisiejszego Reno, spopularyzowane przez serial telewizyjny *Bonanza*. Swoją nazwę miasto wzięło od przezwiska pochodzącego z Wirginii trapera i górnika Jamesa Fenimore’a (1817–1861), zwanego Old Virginia. Podobno ochrzcił on cenne znalezisko, rozbijając butelkę whisky o drzwi pierwszego saloonu zbudowanego obok kopalni. Dwa lata później w Virginia City mieszkało już ponad dziesięć tysięcy ludzi (trzy czwarte Terytorium Nevady), a w latach siedemdziesiątych – trzydzieści tysięcy, co czyniło je jednym z większych miast w całych Stanach Zjednoczonych. W jego sąsiedztwie wyrosły inne miasta górnicze: Gold Hill, Silver City, Genoa i Carson City.

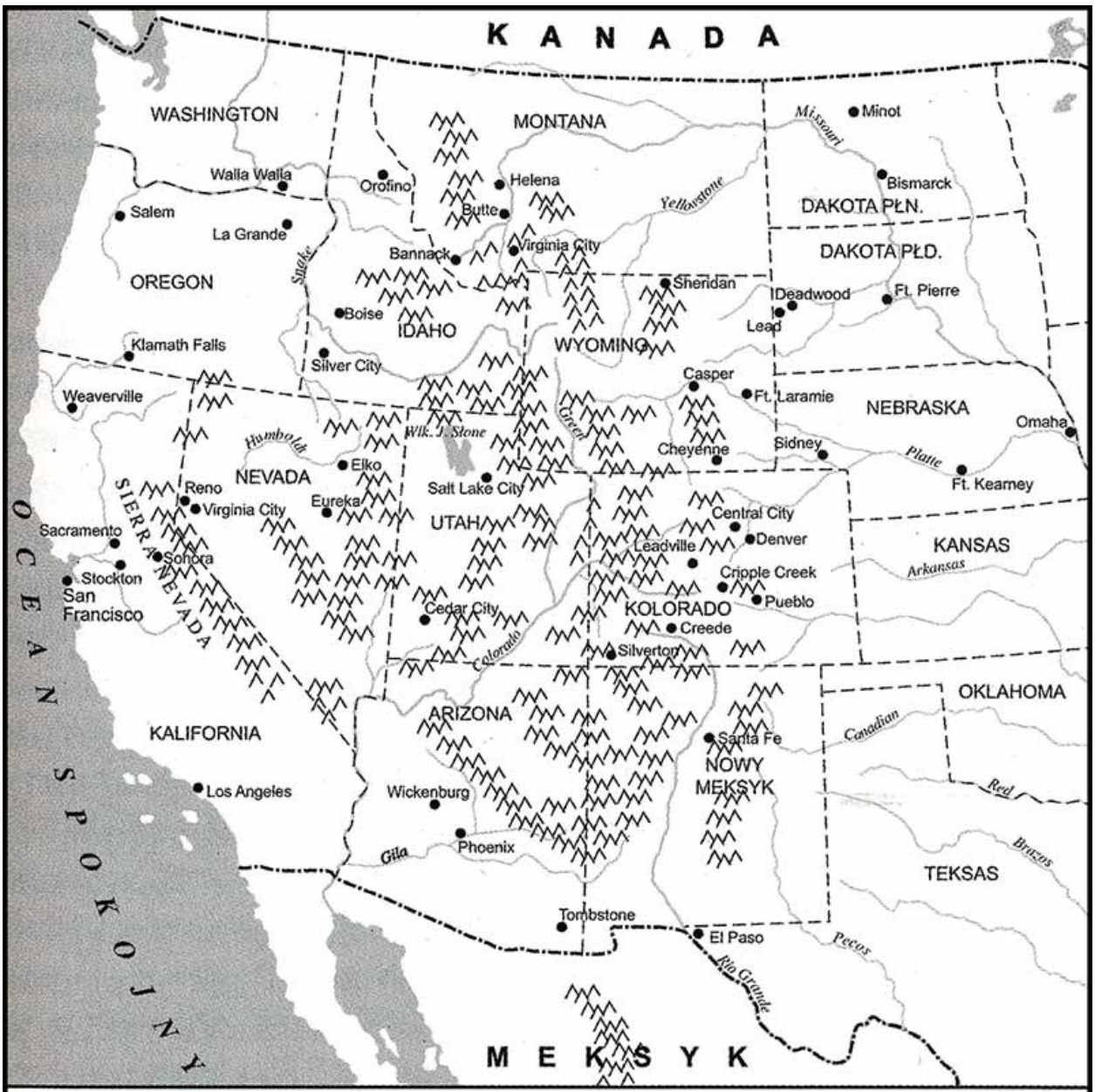


**GŁÓWNE OŚRODKI GÓRNICTWA ZŁOTA I SREBRA W POŁOWIE XIX WIEKU**

W ciągu trzydziestu lat Comstock Lode – pierwsze wielkie złoże srebra odkryte w Stanach Zjednoczonych – dostarczyło kruszec o wartości trzystu czterdziestu milionów dolarów, a w najlepszych latach 1876–1878 jego roczne wydobycie dawało trzydzieści sześć milionów zysku. Nic więc dziwnego, że w pobliskim Carson City otwarto nawet specjalną filię mennicy państwowej. Spośród wielu bogatych żył w Mount Davidson największa okazała się tzw. Wielka Bonanza (*Big Bonanza*), odkryta w 1873 roku na głębokości trzystu metrów i tak

ogromna, że – jak mówiono – „nawet ślepiec powożący czterokonnym zaprzęgiem mógł nią jechać w śnieżnej zamieci”. W 1875 roku miasto Virginia City poważnie ucierpiało z powodu pożaru, a w miarę wyczerpywania się złóż srebra traciło na znaczeniu. Po roku 1880 niemal zupełnie opustoszało.

Skutki migracji do Kalifornii okazały się dużo poważniejsze, niż początkowo sądzono, przyspieszając kolonizację Zachodu i przesądzając ostatecznie los Indian (w latach 1848–1890 wywędrowało na zachód Stanów Zjednoczonych osiem milionów ludzi). Tylko w pamiętnym roku 1849 do Kalifornii przybyło w poszukiwaniu złota ponad osiemdziesiąt tysięcy osób, a w następnych latach ich liczba wzrosła o kolejne tysiące. W ciągu jednej nocy powstawały całe miasta, które później szybko znikały, pozostawiając opuszczone ruiny współczesnym odkrywcom wymarłych miast (*ghost towns*). San Francisco, założone przez Hiszpanów w 1776 roku jako maleńkie Yerba Buena (przez trzy pokolenia mieszkało tam mniej niż tysiąc osób), w 1849 roku liczyło już czterdzieści tysięcy mieszkańców, a na przełomie wieków – trzysta czterdzieści dwa tysiące. Wielu przybyszów wzbogaciło się na dostarczaniu górnikom żywności i zaopatrzenia po zawyżonych cenach oraz na świadczeniu różnych usług. Część tych, którym nie powiodło się w Kalifornii, wróciła na Wschód. Niektórzy zajęli się na miejscu hodowlą bydła i uprawą owoców. Tak czy inaczej, Kalifornia szybko osiągnęła wymaganą konstytucyjnie liczbę ludności, powołała własne władze i w 1850 roku została przyjęta do Unii jako trzydziesty pierwszy stan.

A główni bohaterowie kalifornijskiej bonanzy? Jak na ironię, ani Sutter, ani Marshall nie dorobili się majątku na swoim odkryciu. Kiedy wieści o złocie się rozniosły, spełniły się najgorsze obawy Suttera: tysiące poszukiwaczy tego kruszcu zalały dolinę Sacramento i zburzyły spokój Nowej Szwajcarii. Do wyścigu po fortunę dołączyli także jego robotnicy. Opuszczony i rozżalony, skarżył się z goryczą: „Jakim to nieszczęściem było dla mnie to nagłe odkrycie złota! Złamało i zrujnowało całą moją ciężką, bezustanną i owocną pracę (...). Wszystko zostało opuszczone, a cała praca – i ta zaczęta, i ta prawie skończona – porzucona z ogromną dla mnie stratą”.

Osamotniony, nie był w stanie obronić swojej własności. W krótkim czasie jego dobytek rozgrabiono: skradziono mu bydło, owce i nawet koła młyńskie, a budynki rozebrano do fundamentów. Na jego ziemi rozpanoszyli się dzicy lokatorzy i hordy pijaków. Zrezygnowany Sutter przekazał resztę majątku najstarszemu synowi, Johnowi Augustusowi juniorowi (1826–1897). Przedsiębiorczy młody człowiek szybko zwietrzył zyskowną okazję i realizując marzenia ojca o własnym mieście, w 1849 roku założył osadę Sacramento, nazwaną tak od prze-

pływającej obok rzeki. Już w lutym następnego roku otrzymała ona prawa miejskie. Ojciec jednak nie mógł przeboleć, że nowe miasto nie nazywa się Sutterville i że nie powstało w pobliżu jego ukochanej Nowej Szwajcarii.

W 1852 roku Sutter senior zbankrutował, a jego ziemię przejęli nielegalni osadnicy. Na próżno dochodził sprawiedliwości: Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych nie uznał jego prawa własności do całej ziemi nadanej mu przez rząd meksykański. Procesy ciągnęły się latami, aż wreszcie gdy w 1865 roku banda pijanych łobuzów spaliła mu dom, zrujnowany i schorowany Sutter wyjechał z żoną do Pensylwanii. Przez następne piętnaście lat toczył walkę z rządem i Kongresem, domagając się restytucji swojej własności. Bez powodzenia. 16 czerwca 1880 roku Kongres odrzucił jego roszczenia po raz ostatni. Dwa dni później niekoronowany król Kalifornii zmarł w hotelu w Waszyngtonie z poczuciem głębokiej krzywdy. Natomiast jego syn, który został w Kalifornii, najpierw dorobił się majątku, potem go stracił, ale i tak przeszedł do historii jako założyciel miasta Sacramento, wybranego w 1854 roku na stolicę stanu.

Nie poszczęściło się również Jamesowi Marshallowi. Nie zdołał zapewnić sobie prawa wyłączności do odkrytego złotonośnego pola. Rozgoryczony, rozpił się i zaczął krążyć po Kalifornii w poszukiwaniu nowej bonanzy. Drugi raz jednak szczęście mu nie dopisało i został z niczym. Zarabiał na życie opowieściami o swoim odkryciu z 1848 roku i sprzedawaniem kart z autografami. W 1872 roku władze stanowe przyznały mu na krótko rentę za wkład w historyczne wydarzenie, które otworzyło nową erę w dziejach Kalifornii, ale od 1878 roku pozostawał praktycznie bez środków do życia. Zmarł w biedzie w 1885 roku. Został pochowany w Colomie, wówczas już stolicy okręgu o znamiennej nazwie El Dorado, w słynnej kalifornijskiej Krainie Złota (*Gold Country*) u podnóża Sierra Nevada.

## Gorączka złota w Pike’s Peak

Złota poszukiwano, i znajdowano je, także w wielu innych miejscach. Równo dziesięć lat po odkryciu Jamesa Marshalla w Colomie, wiosną i wczesnym latem 1858 roku na Terytorium Kansas rozeszły się pogłoski o odkryciu cennego kruszcu we wschodniej części Gór Skalistych, w dzisiejszym stanie Kolorado. William Russell, doświadczony górnik z Georgii i weteran wielkiej gorączki złota z 1849 roku, potraktował poważnie powtarzane od lat pogłoski i zorganizował w tamte rejony dobrze wyposażoną ekspedycję poszukiwawczą. Jego ekipa, złożona w większości z cywilizowanych Indian z plemienia Czirokezów, rozpo-

częła prace u podnóża Gór Skalistych, na obszarze znanym jako region Pike's Peak[51], w lipcu 1858 roku. Znalazła pierwsze grudki złota, wartości dwustu dolarów, ale po kilku tygodniach okazało się, że poszukiwania w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Pike's Peak nie wróżą większego powodzenia. Jesienią więc przeniesiono główny obóz w pobliże ujścia Cherry Creek do Południowej Platte, w miejsce gdzie dziś leży miasto Denver. Znaleziono tam liczne ślady kruszcu, ale nie aż tyle, żeby rozbudzić nadzieje na „nowe El Dorado".

Przypadkowym świadkiem odkrycia był pewien kupiec z Missouri, powracający z wyprawy handlowej do Nowego Meksyku. Za jego sprawą wieść o złocie szybko się rozeszła, a prasa w Missouri i Kansas dopełniła reszty. W rezultacie wczesną wiosną 1859 roku z różnych punktów nad rzeką Missouri rozpoczął się szaleńczy wyścig w kierunku Gór Skalistych.

W maju 1859 roku rywal Russella z Georgii, John Gregory, odkrył znacznie bogatsze pokłady złota nad Clear Creek, w pobliżu dzisiejszego Central City, około sześćdziesięciu pięciu kilometrów na zachód od Denver. W następstwie puste do niedawna tereny pomiędzy rzekami Platte i Arkansas zaroiły się tysiącami ludzi, zwiastunów ogromnej fali poszukiwaczy, napływającej nieprzebranym strumieniem na środkowe Równiny. Drogi, z których od dawna korzystali emigranci i przewoźnicy, przestały wystarczać. Każdym dostępnym przejściem pełzły w kierunku Gór Skalistych karawany ciężkich wozów krytych białym płótnem. Wiele z nich miało wymalowane na poszyciu hasło: „Pike's Peak albo klapa" (*Pike's Peak or Bust*). W nocy unosiły się pod obłoki dymy setek obozowych ognisk. Tysiące ludzi wędrowało trudnymi szlakami w górę rzek Smoky Hill i Republican, zanieczyszczając wody i zaśmiecając przyrodę porzuconymi sprzętami, starymi ubraniami i narzędziami górniczymi. W maju 1859 roku samym tylko szlakiem wzdłuż Republican przeszło w kierunku zachodnim nie mniej niż dziesięć tysięcy ludzi. Wiosną tego roku do Kolorado przybyło ponad sto tysięcy osadników, poszukiwaczy złota i różnej maści awanturników. Prym wśród nich wiedli mieszkańcy Kansas, wskutek czego niektórzy przepowiadali mu nawet całkowite wyludnienie, zagrażające jego stanowym aspiracjom[52]. Jak grzyby po deszczu wyrastały nowe obozy górników: Fairplay, Georgetown, Gold Hill, Breckenridge. Wiosną i latem 1860 roku pęd do Gór Skalistych nie ustawał. W maju doliną Platte przejechało dziesięć tysięcy wozów, z których prawie wszystkie zmierzały do nowych kopalni złota w regionie Peake's Peak i Cherry Creek.

Wśród poszukiwaczy znalazł się założyciel pierwszej gazety w Kolorado, William Newton Byers. Na początku 1859 roku zostawił on dom i spokojne ży-

cie w Omaha i owładnięty gorączką złota, ruszył wraz z innymi nad Cherry Creek. 23 kwietnia wydał pierwszy numer gazety „Rocky Mountains News". Zamieszczone w niej przesadnie optymistyczne artykuły sławiące bogactwo Gór Skalistych podgrzewały atmosferę i rozbudzały nadzieje tych, którzy kilkoma uderzeniami kilofa lub machnięciami łopatą spodziewali się zdobyć fortunę. W rejonie Pike's Peak, Idaho Springs i w górnym biegu Południowej Platte mnożyły się drewniane osady górników.

Większość kopaczy była zwykłymi farmerami ze Wschodu, którzy nie bardzo potrafili cokolwiek znaleźć (żartowano nawet, że próbowali wydobywać złoto widłami). Szybko poczuli się rozczarowani, a wraz z nimi tysiące innych osób. W 1861 roku pęd ku Górom Skalistym ustał i ludzie zaczęli masowo wracać na Wschód, do Missouri i Stanów**[53]**. Przynajmniej połowa z nich podążała tymi samymi drogami, którymi w odwrotnym kierunku wciąż zmierzali amatorzy złotej fortuny. Na swoich wozach rozczarowani poszukiwacze wypisywali dosadne hasło: „Wystrychnięci na dudka" (*Busted by Clod*) lub rymowankę: „Z Kansas, gdzie głód i frasunek, do Missouri po ratunek" (*From Kansas and starvation to Missouri and salvation*). Byli wśród nich i tacy, którzy dali się nabrać niejakiemu Danielowi Cheesemanowi Oaksowi, autorowi wielce poczytnego, choć mającego niewiele wspólnego z rzeczywistością przewodnika po złotonośnym regionie. Po kilku miesiącach na głowę Oaksa dybały już setki niedoszłych milionerów, którzy – nie mogąc go dopaść – ustawili przy szlaku symboliczny nagrobek z wyrytym epitafium o znamiennej treści: „Tu leży zabitego D.C. Oaksa ciało, któremu nas na Pike's Peak nabrać się udało"**[54]**. Co najmniej drugie tyle złorzeczyło Byersowi, a niektórzy wręcz uważali, że zarówno on, jak i Oakes powinni zadyndać na sznurze. Na szczęście coraz głośniejsze plotki o rzekomej śmierci Oaksa (do czego przyczynił się jego symboliczny grób) ostudziły nastroje, a przy okazji upiekło się także Byersowi.

Na długo przedtem zanim rozpoczął się exodus zawiedzionych poszukiwaczy złota, emerytowany generał James William Denver, piąty gubernator Terytorium Kansas, podjął decyzję, która już wkrótce miała przesądzić o przyszłości tych ziem. Spodziewając się wielkiego napływu ludzi, wpadł on na pomysł wydzielenia z ogromnych przestrzeni zachodniego Kansas nowego amerykańskiego Terytorium Szoszonów (*Shoshone Territory*) i w ślad za tym we wrześniu 1858 roku wysłał w rejon Pike's Peak własną ekspedycję. Jej zadaniem było zaprowadzenie porządku wśród górników, utworzenie władz i wybranie u stóp Gór Skalistych miejsca pod budowę miasta, które pełniłoby funkcję stolicy nowego okręgu. Tak naprawdę jednak członkowie wyprawy liczyli, że wzbogacą się na wydobyciu

złota, a gubernator i jego wspólnicy spodziewali się znacznych korzyści ze sprzedaży ziemi górnikom i przyszłym osadnikom.

Poruszając się wzdłuż rzeki Arkansas, wysłannicy Denvera minęli po drodze tysiące zaciekawionych Indian z plemion Kiowa, Komanczów, Arapahów oraz Czejenów i w listopadzie bez przeszkód dotarli do ujścia Cherry Creek. Tam z wielkim zdziwieniem zobaczyli, że na obu brzegach potoku rozsiadły się już dwa duże obozowiska poszukiwaczy złota. Jednym z nich było osiedle na zachodnim brzegu Cherry Creek założone przez Williama Russella i jego ludzi, którzy trafili tu we wrześniu. Russell nadał mu oficjalnie nazwę Auraria (od łacińskiego słowa *aurum* oznaczającego złoto), na pamiątkę miejscowości w rodzinnej Georgii, gdzie w latach trzydziestych XIX wieku wybuchł pierwszy złoty boom w kraju. Drugie osiedle, na wschodnim brzegu potoku, nazywało się St. Charles, a założyła je w październiku grupa poszukiwaczy z miasta Lawrence w Kansas, przybyła śladem Russella.

Mieszkańcy Aurarii, którzy zjawili się nad Cherry Creek pierwsi, krzywym okiem patrzyli na nowych przybyszów i ani myśleli respektować ich władzy. Chcąc nie chcąc, ludzie Denvera rozbili własne obozowisko nad brzegiem potoku. Potem jednak porozumieli się z górnikami z St. Charles i zawiązali spółkę miejską. Pod koniec listopada wytyczono centrum przyszłego miasta, któremu na cześć gubernatora Kansas nadano nazwę Denver City. Zapewne u podstaw tej decyzji leżał dość przyziemny cel, a mianowicie chęć uzyskania od gubernatora licencji na sprzedaż alkoholu w nowo powstającym mieście. Zimą posłańcy z Denver wyprzedzili ludzi z Aurarii i pierwsi uzyskali potwierdzenie praw miejskich dla swojej osady, która w przyszłości miała się stać stolicą Kolorado.

Zaprowadzenie rządów prawa w rejonie Denver – z dala od siedziby władz Terytorium Kansas – nastręczało wiele trudności. Dlatego różne grupy interesów zaczęły dążyć do oderwania się od Kansas. W odpowiedzi na ich apele do rządu federalnego, w kwietniu 1859 roku zwołano pierwszą konwencję konstytucyjną w sprawie utworzenia suwerennego stanu. We wrześniu projekt odrzucono w głosowaniu powszechnym, ale już miesiąc później frakcja zmierzająca do uniezależnienia się od rządu terytorialnego Kansas przyjęła własną konstytucję i proklamowała powstanie nowego Terytorium Jeffersona. Kongres w Waszyngtonie, zaniepokojony wzrostem napięcia pomiędzy Północą i Południem, odmówił jego uznania, mimo to samozwańcze Terytorium Jeffersona przetrwało do roku 1861.

Osadom nad Cherry Creek zagrażały też inne, błyskawicznie rozwijające się miasteczka górnicze, zwłaszcza Colorado City i Golden, z których każde preten-

dowało do przywództwa w regionie. Z tego powodu mieszkańcy Denver postanowili połączyć wszystkie osiedla w widłach Cherry Creek i Południowej Platte w jeden organizm miejski. Decyzję w tej sprawie zatwierdziły władze terytorialne Kansas w lutym 1860 roku, a 6 kwietnia proklamowano powstanie jednego miasta Denver.

Po dwóch latach Denver, podobnie jak inne osady górnicze, stało się siedliskiem gwałtu, prostytucji, hazardu i pijaństwa, a to zrodziło konieczność zaprowadzenia ładu i porządku. Na straży prawa w mieście stanął miejscowy kowal Tom Pollock, z powodu donośnego głosu zwany „Hałaśliwym Tomem". W bezpośredniej rywalizacji o gwiazdę szeryfa pokonał on swego rywala głównie dzięki temu, że w widowiskowym pojedynku rewolwerowym zastrzelił znanego hazardzistę i awanturnika, George'a Steele'a. „Hałaśliwy Tom" pobierał z kasy miejskiej pięćdziesiąt centów za każdego złoczyńcę, którego udało mu się złapać. Musiało ich być niemało, skoro wkrótce hotel, który zamieniono na tymczasowy areszt, wypełnił się „gośćmi" Pollocka do ostatniego miejsca.

Początkowo i Denver, i sąsiednie osady były po prostu chaotycznymi zbiorowiskami prowizorycznych szałasów i namiotów, drewnianych bud, chat zestawionych z okrąglaków i „miejsc interesu", o których przeznaczeniu informowały koślawe szyldy. W styczniu 1859 roku naliczono w Aurarii pięćdziesiąt drewnianych zabudowań, w Denver dwadzieścia. Szybko jednak miasto zaczęło się rozwijać w niespotykanym tempie. Pojawiły się domy mieszkalne, prawdziwe sklepy i ulice z drewnianymi chodnikami. Przybywali nowi osadnicy z rodzinami, rzemieślnicy i kupcy, stanowiący element stabilizujący miejscową społeczność.

Region wydobycia złota nabierał cywilizowanego charakteru. Misjonarze wysłani w Góry Skaliste przez Konferencję Kościoła Metodystów z Kansas i Nebraska założyli pierwszą parafię. W marcu 1859 roku w Denver przyszło na świat pierwsze dziecko z mieszanego małżeństwa dawnego „człowieka z gór" Williama „Jacka" McGaa i Indianki Arapaho. 23 kwietnia ukazał się pierwszy numer gazety „Rocky Mountains News". W październiku w Aurarii otwarto pierwszą szkołę. W krótkim czasie w Denver powstało kilka teatrów, z których największy mógł pomieścić na dwóch kondygnacjach tysiąc widzów. Jak grzyby po deszczu wyrastały saloony, domy publiczne i szulernie. W 1860 roku powołano jednostkę straży pożarnej, rok później rozpoczęto produkcję przemysłową maszyn górniczych. Jeden z ówczesnych mieszkańców Denver tak opisywał początki miasta: „Szyby w oknach były rzadkością, a jedynie dwie lub trzy chaty miały podłogi z desek. Umeblowanie domów stanowiły stołki, stoły i łóżka z pę-

ków gałęzi, a funkcję biurek i kufrów pełniły sosnowe skrzynki. Puste miejsce w dolnej części tego embrionalnego miasta zajmowały namioty Indian, zamieszkane przez kobiety szyjące ubrania ze skór dzikich zwierząt lub gotujące psy na obiad, nagie dzieciaki bawiące się w piasku oraz wojowników wylegujących się na ziemi, ubranych jedynie w wąskie przepaski biodrowe. Taki był podpis_obrazu w roku 1859. Wiosną 1860 roku niewiele się zmieniło, tyle że przybyło lepszych domów i wzrosła liczba ludzi. Wszystkie drogi prowadzące w kierunku gór były przepełnione karawanami wozów krytych białym płótnem, ciągniętych przez woły lub muły, które powoli zmierzały ku nowo odkrytym i budzącym nadzieje kopalniom złota".

Wiosną 1859 roku u zbiegu Cherry Greek i Południowej Platte gnieździło się około tysiąca ludzi, w większości młodych, nieznających gór mężczyzn. Nowojorski dziennikarz Horace Greeley, który zawitał w te strony w początkach istnienia Denver, Opisał je jako „sklecone z drewna osiedle ze stu pięćdziesięcioma domostwami, ani w trzech czwartych ukończone, ani w dwóch trzecich zamieszkane i ani w jednej trzeciej nienadające się do tego, by w nim zamieszkać". Mimo to rok później liczba białych mieszkańców Kolorado wynosiła już trzydzieści pięć tysięcy, w tym tysiąc sześćset kobiet, z których większość osiedliła się w okolicach Denver. Znajdowali się wśród nich „Amerykanie ze wszystkich części Unii, Meksykanie, Indianie, Metysi, traperzy, spekulanci, hazardziści, desperaci, przegrani politycy i uczciwi ludzie". Prawie codziennie dochodziło do kłótni, burd i strzelaniny, a morderstwa nikogo nie szokowały. Greeley odnotował, że w czasie jego dwutygodniowego pobytu w Denver było tam „więcej awantur, walk i strzelaniny z pobudek kryminalnych niż w jakiejkolwiek innej, podobnej wielkości społeczności na Ziemi".

Dzięki odkryciu nowych złóż złota miasto urosło w siłę i jako baza zaopatrzeniowa dla górników i wojska stało się centrum regionu. Wiosną 1859 roku wzdłuż Platte uruchomiono regularną linię dyliżansową z Leavenworth do Kolorado. W maju do Denver przybyły pierwsze dwa dyliżanse pocztowe firmy Leavenworth & Pike's Peak Express (ze względów bezpieczeństwa jeździły parami). Wkrótce na całej trasie kursowało ich już pięćdziesiąt.

Dla zaspokojenia potrzeb mieszkańców Kolorado nie tylko wzdłuż Platte, ale także wzdłuż Arkansas, Republican i Smoky Hill uruchomiono stałe linie dyliżansów, zapewniające regularne połączenie głównych miast Kansas z Denver. Wiosną 1861 roku na szlaku Platte poprowadzono linię telegrafu z Omaha do fortu Kearny (w Denver pierwszą stację telegraficzną uruchomiono dopiero w październiku 1863 roku, jako odnogę linii łączącej Wschód z wybrzeżem Pacy-

fiku). Wzdłuż ważniejszych szlaków komunikacyjnych zakładano nowe stacje, wokół których wyrastały osiedla pionierów. Otaczające je równiny, znakomicie nadające się na pastwiska, powoli zaczęły zmieniać się w rancza.

Dobre warunki do rozwoju hodowli i rolnictwa oraz potencjalnie łatwy dostęp transportu na równiny Kansas, Nebraski i Kolorado przyciągnęły także uwagę spekulantów oraz towarzystw kolejowych. Budowa kolei „od rzeki Missisipi do Oceanu Spokojnego" stała się w 1860 roku hasłem wyborczym Partii Demokratycznej. Jej przedstawiciele otwarcie głosili, że „żywotne interesy całego kraju wymagają przeprowadzenia kolei żelaznej do Pacyfiku, dlatego rząd federalny powinien udzielić natychmiastowej i efektywnej pomocy przy jej budowie, a do tego czasu powinno być ustanowione codzienne połączenie dyliżansów poczty Overland Mail". 1 lipca 1862 roku przyjęto ustawę o kolei Pacyfiku, która umożliwiała budowę transkontynentalnej linii kolejowej. Na jej podstawie utworzono kompanię Union Pacific Railroad, uprawnioną do budowy kolei i linii telegraficznej na ziemiach stanowiących „własność publiczną". Tam gdzie linia kolejowa miała przechodzić przez tereny indiańskie, ustawa nakazywała „aby rząd Stanów Zjednoczonych tak szybko, jak to jest możliwe, pozbawił Indian prawa do ziemi, która stanowi przedmiot działalności określonej niniejszą ustawą". Na takich samych warunkach powstały później inne towarzystwa kolejowe.

Na długo przed założeniem Denver miejsce, w którym Cherry Creek wpada do Południowej Platte, było ulubionym obozowiskiem Arapahów. Potok nazwano dla upamiętnienia krzewów dzikiej wiśni (*choke cherry*), które dostarczały Arapahom kwaśnych owoców, doskonałego składnika indiańskiego przysmaku z wysuszonego i startego mięsa – pemmikanu. Rzeka Platte natomiast zawdzięcza swoje miano licznie zapuszczającym się tam niegdyś francuskim traperom i handlarzom, z którymi Arapahowie zawsze żyli w przyjaźni. To właśnie francuscy przybysze ochrzcili ją tak z powodu jej płaskiego i płytkiego koryta. Miłość, jaką Arapahowie darzyli okolice Cherry Creek, skłoniła francuskiego kupca z St. Louis, Auguste'a Pierre'a Chouteau, do założenia w 1815 roku na brzegu potoku obozu handlowego, w którym kupcy i myśliwi okresowo handlowali z Indianami. W 1832 roku handlarz skór z Missouri, późniejszy wspólnik Jima Bridgera, Louis Vasquez, wybudował u zbiegu Clear Creek i Południowej Platte drewnianą faktorię, w której wymieniał towary przywiezione z St. Louis na skóry bizonów, futra bobrów i dzikie mustangi. Następnie wzniósł mocniejszą glinianą konstrukcję sześćdziesiąt pięć kilometrów dalej w dół Platte i tam przeniósł główny ciężar handlu z Arapahami, Czejenami, Ute i innymi plemionami.

W latach czterdziestych i pięćdziesiątych XIX wieku wielu Arapahów obozowało w miejscu późniejszego Denver. Idylla skończyła się wraz z napływem Amerykanów, których Indianie ochrzcili mianem „ludzi pająków”. Odkrycie złota w górach Kolorado spowodowało złamanie postanowień traktatu z Laramie (1851) już w siedem lat po jego podpisaniu.

Początkowo Arapahowie i Czejenowie odnosili się przychylnie do białych przybyszów, bezprawnie wdzierających się na ich tereny łowieckie. Naiwnie sądzili, że nie pozostaną oni długo na ich ziemi i tak jak inni, pójdą dalej na zachód. Ze zdumieniem i rozbawieniem obserwowali wyścig do złotonośnych pól Kolorado. Wielu uważało białych za szaleńców, poszukujących czegoś, co nie ma żadnej wartości.

Kiedy powstało Denver, Indianie byli tam niemal codziennymi gośćmi lub obozowali na jego skraju. Wiosną 1859 roku osadę odwiedził naczelny wódz Południowych Arapahów, Mały Kruk, którego plemię zimowało zazwyczaj u podnóża Gór Skalistych, w okolicy współczesnych miast Boulder i Denver. Spotkał się z mieszkańcami Denver i zapewnił ich o pokojowych zamiarach i przyjaźni swoich ludzi. Przy okazji nauczył się palić cygara oraz jeść mięso nożem i widelcem. Odjeżdżając, przypomniał jednak białym, że kraj, w którym się znajdują, należy do Indian, i wyraził nadzieję, że przybysze opuszczą go, kiedy wydobędą tyle złota, ile jest im potrzebne. Biali jednak nie tylko zostali, ale wciąż ich przybywało, a wodzowie Arapahów mieli później gorzko żałować serdeczności, jaką okazali zachłannym „ludziom pająkom”.

W 1860 roku biała ludność w Kolorado przewyższała liczbą Południowych Arapahów w stosunku dwadzieścia do jednego. Nie minęły cztery lata, a gazeta „Rocky Mountains News”, która przychylnie komentowała wizytę Małego Kruka w Denver w 1859 roku, w artykule z marca 1863 roku tak pisała o Indianach: „To zdeprawowana, włóczęgowska, brutalna i niewdzięczna rasa, która powinna zostać zmieciona z powierzchni ziemi”. W tymże roku aż w dwudziestu spośród dwudziestu siedmiu artykułów na temat Indian, zamieszczonych w „Rocky Mountains News”, nawoływano do wyniszczenia tubylczej ludności. Biali w Kolorado coraz częściej okazywali pogardę i nienawiść niedawnym gospodarzom tych ziem.

W ciągu roku ustalono nowe granice Kansas i wydzielono z niego nowe Terytorium, a 28 lutego 1861 roku Kongres przyjął dla niego nazwę Kolorado. Pierwsze wybory do terytorialnej legislatury odbywały się w atmosferze wojny domowej i rywalizacji między zwolennikami Północy i Południa. Z powodu złej

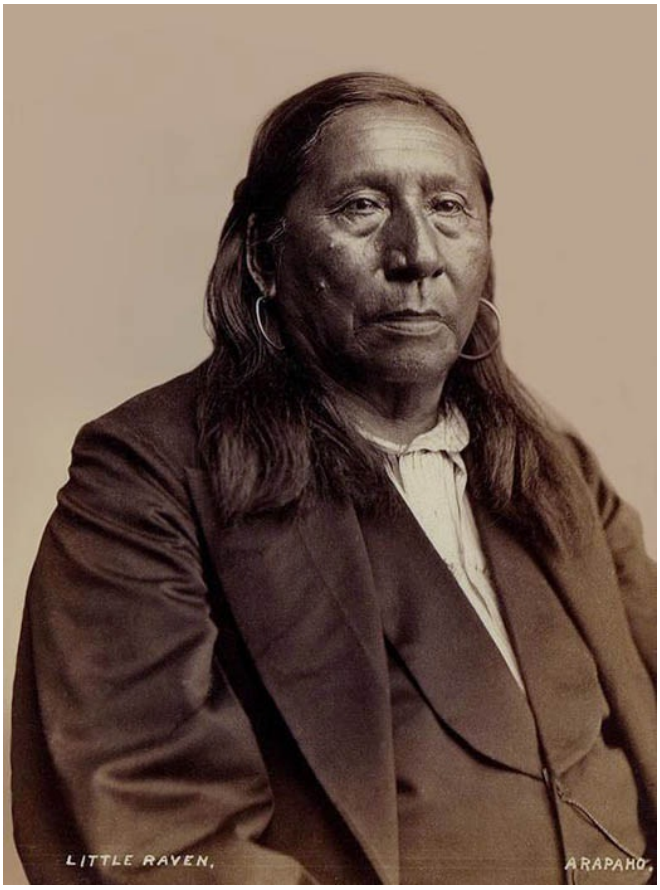

*Wódz Aparachów Mały Kruk (1871)*

reputacji Denver i zbyt wielu w tym mieście zwolenników Południa na stolicę Terytorium wybrano Colorado City. W 1862 roku przeniesiono ją do Golden City, co nie spodobało się włodarzom Kolorado, którzy woleli obradować w tętniącym życiem Denver, a nie w prowincjonalnym Golden[55]. W styczniu 1863 roku złożono w Kongresie projekt ustawy w sprawie zorganizowania się Kolorado w kolejny stan Unii. Projekt przepadł w Izbie Reprezentantów, gdyż „Kongres był zbyt zajęty wojną domową (...)".

W roku 1864 odbywały się wybory do Kongresu. Zwolennicy suwerennego stanu głośno za tym agitowali, licząc, że zmiana zapewni im większą pomoc rządową w zwalczaniu Indian, a w przyszłości przyciągnie do Kolorado kolej i zabezpieczy interesy górnictwa. W lipcu zwołano w Denver kolejną konwencję konstytucyjną, która miała przygotować projekt nowej konstytucji i poddać ją pod głosowanie na początku września. Sprawa ta zdominowała na jakiś czas życie publiczne w Kolorado, ale pierwszy etap walki o prawa stanowe dla Terytorium zakończył się niepowodzeniem. Musiało upłynąć jeszcze dwanaście długich lat, zanim 1 sierpnia 1876 roku prezydent Ulysses Simpson Grant podpisał proklamację o przyjęciu Kolorado do Unii jako trzydziestego ósmego stanu. Kolorado – stan, któremu dała początek jedna z największych amerykańskich gorączek złota – zyskało przydomek „stanu stulecia" (*Centennial State*), ponieważ rok jego przyjęcia przypadł dokładnie w sto lat od ogłoszenia *Deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych*.

## Poszukiwacze złota, rozkwitające miasta i dziedzictwo wielkiej gorączki złota

Gorączka złota w 1849 roku przypominała karnawał. Na złotonośne pola

przybywali Amerykanie, Meksykanie, Indianie, imigranci z całej Europy i innych części świata, przynosząc ze sobą dziesiątki języków i tysiące dziwnych obyczajów. Kiedy znany amerykański poeta, pisarz i krytyk literacki Bayard Taylor (1825–1878) dotarł tego roku nad rzekę Mokelumne jako korespondent gazety „Tribune”, zastał tam zapracowaną różnokolorową społeczność. Zobaczył obóz poszukiwaczy na brzegu rzeki u podnóża majestatycznych gór Sierra Nevada, złożony z setek białych namiotów otaczających wykopki. Nieco dalej ujrzał całą prowizoryczną wioskę Meksykanów, powstałą w ciągu trzech tygodni, którą tworzyły pozbawione ścian drewniane chatynki, przykryte luźno położonymi gałęziami drzew. Zauważył także swoisty „hotel”, prowadzony przez pewnego chytrego francuskiego trapera, czyli obszerną wiatę, pod którą stały zbite z desek stoły dla zgłodniałych gości i karcianych graczy, zaopatrzony w nieodłączny w takim przybytku skład z alkoholami.

Same wykopki prowadzono na niewielkim obszarze postrzępionej kamienistej ziemi, gdzie skalisty wąwóz dotykał wąskiego brzegu rzeki. Cała okolica tętniła wytężoną pracą, wykonywaną prostymi narzędziami w upalnym słońcu. Była to praca ciężka i nużąca, ale ciągle znajdowane tu i ówdzie grudki złota dopingowały ludzi do dalszego wysiłku. Kiedy Taylor obserwował zanurzonych po kolana w wodzie mężczyzn, godzinami grzebiących w brudnym mule i żwirze, wydawało mu się, że taki widok powinien ostudzić każdą głowę rozpaloną żądzą złota. „Ale kiedy widziało się złote ziarenka wylewające się z blaszanej miski – wspominał – palce zaczynały świerzbić i człowieka ogarniała nagła chęć, aby złapać za najcięższy łom i największą szuflę”. Tylko jednego ranka urobek wynosił prawie trzy kilogramy złota, a to znaczyło, że cierpliwy i pracowity poszukiwacz mógł liczyć na pięćdziesiąt do stu gramów złota dziennie wartości dwudziestu dolarów.

Nie wszyscy jednak mieli ochotę tak ciężko pracować. Byli i tacy, którzy woleli liczyć na szczęście, i niekiedy faktycznie im ono dopisywało, jak pewnemu doktorkowi, którego spotkał Taylor. Otóż osobnik ten, chroniąc się przed południowym skwarem, leniwie dłubał dziurę w ziemi i wygrzebał kilogramową bryłę złota! Inni wynajmowali biedniejszych robotników meksykańskich i Indian, aby za nich harowali, a jeszcze inni przekopywali doły pozostawione przez poprzedników, żeby się zanadto nie zmęczyć. „Porównywali kopanie złota do loterii – pisał Taylor – w której ludzie wygrywają jedynie przez przypadek lub szczęśliwy traf”. Na złotonośnych polach właściwie nie istniały zależności pomiędzy ciężką pracą, wynikającą z niej satysfakcją i należną nagrodą. Nieraz kilka przypadkowych machnięć łopatą dawało fortunę, a cały rok ciężkiej ha-

rówki kończył się gorzkim rozczarowaniem. Nic zatem dziwnego, że wielu poszukiwaczy traciło rozsądek i nie przejmowało się tym, co nastąpi. Taylor widywał brudnych łotrzyków w podartych ubraniach, którzy „pili szampana po dziesięć dolarów za butelkę lub podgrzewali w swoich obozowych kociołkach miski z zupą żółwiową i sałatkę z homarów". Spotkał też pewnego ekscentryka, który mieszkał samotnie w małym namiocie na skraju pola, ciężko pracował i w ciągu mniej więcej roku wykopał złoto wartości około czterdziestu tysięcy dolarów. Człowiek ten każdy mozolnie zarobiony cent wydał na luksusowe jedzenie, „dając poznać swojemu podniebieniu smak ostryg, szynek, suszonych owoców, najprzedniejszych warzyw i chińskich specjałów, wszystko świeżo umyte zawartością butelki z szampanem". Kiedy skończyły mu się pieniądze, biedny jak mysz kościelna smakosz wrócił do kopania, licząc, że zarobi na kolejną ucztę.

Osobną kategorię łowców szczęścia stanowili hazardziści. Nad rzeką Mokelumne Taylor spotkał co najmniej tuzin przybytków hazardu, obleganych zwłaszcza przez Meksykanów. W sytuacji gdy wartość pieniądza i wymiany została wywrócona do góry nogami, nikogo nie dziwiło, jeśli ktoś w ciągu jednej nocy tracił miesięczny zarobek. Złota na okolicznych wzgórzach nie brakowało, więc taka strata nie wydawała się zbyt dotkliwa. Gorzej jeśli za złotem i hazardem, którym zwykle towarzyszyło nieokiełznane pijaństwo, czaiła się zbrodnia i występek. „Kopalnie złota – donosił pewien anonimowy obserwator, który zdegustowany wrócił z gór do Monterey – są wypełnione po brzegi włóczęgami ze wszystkich zakątków świata, łotrami znikąd, łajdakami, kieszonkowcami, złodziejami, szulerami i zabójcami przybyłymi prosto z piekła, aby zamienić nasze drogi i ścieżki w potoki krwi". Nieco trzeźwiej patrzący na rzeczywistość Taylor uważał, że złotonośne pola nad Mokelumne mają zapewnione „tyle porządku i bezpieczeństwa, ile można zapewnić bez cywilnej administracji". Poszukiwacze rządzili się własnymi prawami i nie wahali się w demokratyczny sposób używać surowej sprawiedliwości. Taylor wspomina człowieka, któremu wymierzono sto batów, ogolono głowę i obcięto uszy za kradzież ponad czterdziestu kilogramów złota. Perspektywa tak brutalnej, ale sprawiedliwej kary powstrzymywała niejednego potencjalnego rabusia i trzymała na wodzy największych zuchwalców. W różnorodnej i otwartej społeczności kradzież była wielką pokusą, ale niewielu się na nią ważyło z obawy przed surową karą.

Pierwsi łowcy fortuny stanowili niespokojną zbieraninę indywidualistów, dźwigających swoje prymitywne narzędzia na plecach i poszukujących złota na własną rękę. Budowali byle jakie chaty, żeby mieć dach nad głową, i nie tworzyli zwartej społeczności. Później, kiedy cenne minerały trzeba było wydoby-

wać regularnymi metodami górniczymi z głęboko położonych żył, błyskawicznie zaczęły powstawać ruchliwe miasteczka górnicze, wszędzie w podobny sposób. Najpierw wokół znaleziska pojawiało się koczowisko brudnych płóciennych namiotów. Potem wytyczano pojedynczą ulicę, latem nieznośnie zakurzoną, a zimą tak błotnistą, że trudno było przez nią przejechać. Przy niej szybko wyrastały koślawe drewniane budy. W końcu pojawiało się kilka solidnych budynków użyteczności publicznej oraz trochę lichych drewnianych domów, których mieszkańcy próbowali prowadzić w miarę normalne życie w miarę normalnych warunkach bytowych. Stopniowo miasteczko się rozrastało, przybywało mieszkańców i domów, wytyczano nowe ulice.

Chlubny wyjątek stanowiło wspomniane już Virginia City w Nevadzie, miasteczko górników srebra osiadłych wokół Żyły Comstocka. W 1860 roku było ono skupiskiem kilkunastu drewnianych ruder na nagim zboczu górskim, a niecałe dwadzieścia lat później miało już wielki kościół przypominający katedrę, gmach opery, ponad sto saloonów i hotel z jedyną windą na zachód od Chicago. Żadne inne miasto nie rozkwitło tak pięknie, a żywot większości okazał się krótkotrwały.

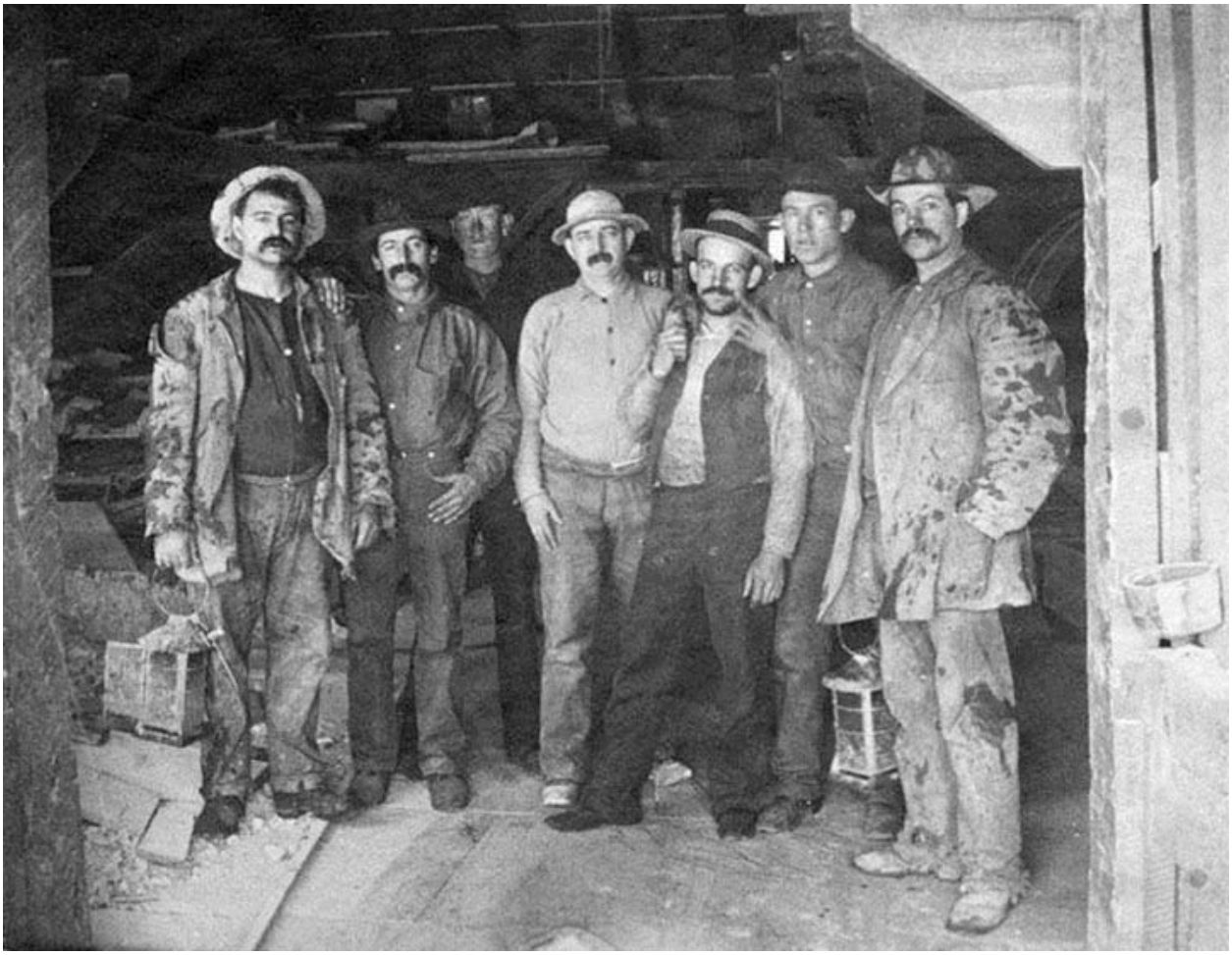

*Górnicy w Comstock Lode*

Niektóre miasteczka nigdy nie osiągnęły ostatniego stadium rozwoju. Wiele, jak Last Chance Gulge (Wąwóz Ostatniej Szansy) czy Deadwood (Umarły Las), nie wyszło poza pojedynczą ulicę, wzdłuż której ciągnął się sznur barów i szulerni, górujących nad kopalnianymi szybami i chatami górników. Urodzony w Irlandii amerykański podróżnik, pisarz, artysta i agent rządowy John Ross Browne (1821–1875), który po raz pierwszy odwiedził Virginia City w początkach jego istnienia, dostrzegł tam tylko „namioty z płótna, koców, gałęzi, worków po ziemniakach i starych koszul, z pustymi beczułkami po whisky zamiast kominów, oraz kurne chaty z ziemi i kamieni, nie mówiąc już o jamach po kojotach w zboczu góry, siłą odebranych zwierzętom przez zagnieżdżonych w nich ludzi”. Wszystko było pokryte grubą warstwą błota i wszelakiego śmiecia, którego nikt nie starał się usuwać. Takie miasteczka były surową próbą życia dla mężczyzn, ale zupełnie nie nadawały się dla kobiet. Wczesne przewodniki adresowane do pań uczciwie mówiły o trudach życia w górniczych osadach, wskazywały na brak kościołów, teatrów, sklepów, zakładów fryzjerskich, modystek, a także ga-

zet, książek i regularnej poczty. „Nie ma tu miejsc do spacerowania, nie ma chodników, nie ma powozów, nie ma warzyw, z wyjątkiem kartofli i cebuli, nie ma mleka, nie ma jajek, po prostu nie ma niczego” – przestrzegały.

W tych odrażających miasteczkach największy problem stanowiło utrzymanie porządku. Górnik pracujący pod ziemią, w przeciwieństwie do zwykłego poszukiwacza, nie był przelotnym ptaszkiem liczącym na łut szczęścia, ale ciężko harującym w trudnych warunkach wyrobnikiem. Ross Browne określił górników jako „okropnych rozkrzyczanych pijaków” żyjących w miasteczkach pełnych „desperatów najgorszego gatunku”. Nic dziwnego, że w takich osiedlach panował nieustający stan gwałtu i bezprawia, z którym początkowo trudno było sobie poradzić. Wkrótce jednak, podobnie jak w osadach poszukiwaczy złota, do głosu doszła surowa kresowa demokracja i górnicy pokazali swą siłę, organizując się, zanim jeszcze do ich miast przybyli przedstawiciele administracji rządowej ze Wschodu. Strażnicy porządku bez większego hałasu wyłapywali, szybko osądzali i wieszali najgorszych przestępców. Zorganizowane komitety obywatelskie budowały szkoły, kościoły, teatry, zakładały biblioteki i redakcje gazet. Wieczory poezji, koncerty i wodewile były jeszcze rzadkością, podobnie jak walki bokserskie i zapasy, ale z czasem i na to przyszła pora. Powoływano urzędników samorządowych, a co bardziej ambitne jednostki, zachęcane przez rzesze zwykłych obywateli, ruszały w drogę na Wschód i prosiły Waszyngton o nadanie im praw. „Wystarczy zebrać stu Amerykanów – zwykło się wtedy mówić – a oni natychmiast założą miasto, spiszą stanową konstytucję i zgłoszą akces o przyjęcie do Unii, przy czym dwudziestu pięciu z nich stanie się zaraz kandydatami do amerykańskiego Senatu”.

Tak jak się tego obawiał John Sutter w roku 1848, niekontrolowany rozwój górnictwa w Górach Skalistych i Sierra Nevada zniszczył senny spokój na Zachodzie. Przez wiele pokoleń słabo zaludniona kraina bydła i rancz, jaką była południowa Kalifornia, rozwijała się powoli bez ingerencji z zewnątrz. Potem pojawili się pierwsi Amerykanie: handlarze futer, traperzy z gór i nieliczni osadnicy, niespiesznie pracujący na farmach, zgodnie z rytmem pór roku, od których zależały zbiory. Ci, którzy przybyli zaraz po wydarciu Kalifornii Meksykowi, „zniszczyli niewiele tego, co było stare, ale też stworzyli niewiele nowego”. A później wybuchła gorączka złota i wraz z nią przywędrowali porażeni nią ludzie z czterdziestego dziewiątego. W najbliższym sąsiedztwie utopijnej posiadłości Suttera u zbiegu rzek Sacramento i American powstało głośne, tętniące życiem „złote miasto” Sacramento. Około sześćdziesięciu kilometrów na południe od niego, w miejscu samotnego hiszpańskiego rancza tkwiącego w samym środku

bagniska, w ciągu zaledwie czterech miesięcy 1849 roku wyrosło „miasto namiotów z tysiącem mieszkańców i port z dwudziestoma pięcioma statkami na kotwicach”. Według relacji Taylora pewna firma, która rozpoczęła tam działalność, w ciągu owych czterech miesięcy zarobiła sto tysięcy dolarów. I nie dziwota, jeśli się weźmie pod uwagę, że działka budowlana przy głównej ulicy miasta kosztowała sześć tysięcy dolarów, a za wybudowanie parterowego baraku do celów handlowych trzeba było zapłacić aż piętnaście tysięcy.

Rok później, w 1850 roku, pewien amerykański senator z dumą podkreślał, że w 1846 roku Kalifornia była meksykańską prowincją „nieznaną nawet dla naszych zazwyczaj nieumiarkowanych pragnień”, w latach 1848–1849 „słabo obsadzonym wojskiem krajem zależnym” od Stanów Zjednoczonych, ale już w roku 1850 „stanem ludniejszym i bogatszym niż większość ze wszystkich trzydziestu stanów Unii”.

Kalifornia i Kolorado nie były jedynymi miejscami, gdzie w połowie XIX wieku odnaleziono złoto i inne metale szlachetne. Bogactwa mineralne odkryto także w odległych górskich rejonach, na które do tej pory nie zwracano większej uwagi. Nowe terytoria Idaho, Montany, Dakoty, Utah, Nevady i Arizony, które dotychczas nie bardzo mogły się rozwijać ze względu na trudne położenie geograficzne, nagle rozkwitły dzięki kopalniom i pracującym w nich górnikom. Bogatym rezerwuarem cennych minerałów okazały się Góry Skaliste, od jednego końca do drugiego. Rzadko trafiał się rok, w którym nie dochodziło do nowego odkrycia. I za każdym razem ludzie rzucali wszystko i pędzili w najodludniejsze miejsca, gotowi zmierzyć się z dziką naturą i przeznaczeniem.

Szczęśliwe znalezisko zwiadowcy wojskowego Eda Schieffelina na krańcu pustyni w Arizonie we wrześniu 1877 roku, w dolinie San Pedro niedaleko granicy z Meksykiem, przywiodło spoconą hołotę do historycznego

Tombstone. Gdy Schieffelin wyruszał z fortu Huachuca, śmiano się z niego, że w dzikim pustkowiu, gdzie zmierzał szukać bogactwa, znajdzie jedynie kamień nagrobny. Na przekór prześmiewcom, znalazł bogate złoża srebra, a miejsce jego występowania nazwał Tombstone (ang. nagrobek). Po roku 1879 stało się ono jednym z ważniejszych centrów wydobycia srebra (wiatach 1877–1890 wydobyto tam srebro wartości czterdziestu do osiemdziesięciu pięciu milionów dolarów oraz złoto wartości trzech milionów). Miasto i jego bogactwo przyciągało nie tylko górników, ale też pokerzystów, szulerów, opryszków i różnego autoramentu szumowiny. W ciągu paru lat liczba mieszkańców wzrosła do piętnastu tysięcy. Tombstone stało się jednym z najsłynniejszych „miast bezprawia” na

Dzikim Zachodzie, a kradzieże, rabunki, rywalizacja przestępczych klanów o wpływy w świecie hazardu i rozrywki oraz spektakularne pojedynki rewolwerowe przyćmiły sławę „srebrnego” miasta, którego kopalnie w latach dziewięćdziesiątych zalała woda i które po okresie prosperity opustoszało.

Mormoni z Utah dorobili się na srebrze w górach otaczających Salt Lake City. Miasteczko Butte w Montanie, wyrosłe w pobliżu źródeł Missouri, przyciągało najpierw poszukiwaczy złota, potem amatorów srebra, a w końcu stało się jednym z największych na Zachodzie zagłębi miedziowych. Bogate pokłady miedzi odkryto także w kanionie Bingham w Utah, na południowy wschód od Salt Lake City. Chociaż na pierwsze ślady minerału natrafili już w 1848 roku dwaj mormoni, bracia Sanford i Thomas Binghamowie, za radą Brighama Younga, który chciał skupić wszystkie siły na budowie mormońskich osiedli, z jego eksploatacją czekano do roku 1863. W tym samym roku odkryto złoto w Arizonie, a w 1874 – w Black Hills, na ziemiach Siuksów w Dakocie Południowej.

Doświadczenia ze złotonośnych pół Kalifornii okazały się bezcenne dla późniejszych poszukiwaczy. Pół wieku po pierwszej gorączce złota w Kalifornii w 1849 roku, cały amerykański rejon Gór Skalistych, od Zatoki Kalifornijskiej do rzeki Kolumbia, został przebadany i zryty przez pięć pokoleń łowców fortuny. W latach osiemdziesiątych zaczęto wydobywać złoto na Alasce. Chociaż nadal używano prostych narzędzi i urządzeń do płukania, to złoża leżące głęboko pod ziemią wymagały już przemysłowych metod wydobycia i rafinacji. Postęp techniczny w tej dziedzinie umożliwił eksploatację nowych złóż, takich jak to odkryte w 1897 roku w Cripple Creek w Kolorado, oraz wznowienie prac w starych kopalniach, które wydawały się już całkiem wyczerpane.

Imponujący rozwój tych ziem nastąpił kosztem tysięcy istnień ludzkich, straconych złudzeń i fortun, zmarnowanego szczęścia, biedy i cierpienia. „Bardzo wielu – napisał pewien rozczarowany poszukiwacz złota – spotkał tu zawód, a tysiące pozostawią tu swoje kości. Inni stracą zdrowie, nabawią się ciężkich chorób, które zabiorą ze sobą do grobu”. Stary weteran roku czterdziestego dziewiątego, a zarazem świadek rzezi podczas wojny secesyjnej wspominał, że żadna z krwawych bitew „nie złamała tylu serc i nie spowodowała tak wielkiego bólu jak migracja za złotem do Kalifornii”.

Górnicze szaleństwo w Kalifornii, Nevadzie i Górach Skalistych jest tylko jednym z elementów dziwnej historii migracji na Zachód. W pewnej mierze wszyscy emigranci byli na swój sposób hazardzistami. Żyli nadzieją, marzeniami i złudzeniami, nie zaś rzeczywistością. Podejmowali działania nie zawsze

zgodne ze zdrowym rozsądkiem i logiką. Przypływali i odpływali falami, tak jak chciał czas i kaprysy fortuny, częściej doznając porażki niż sukcesu.

*Poszukiwacze złota w Kaliforni*

Odkrycie cennych minerałów dawało najodważniejszym szansę na szybkie wzbogacenie, a to zmuszało do pośpiechu. Ponure górskie miasteczka, gdzie największym komfortem było proste łóżko zbite gwoździami z desek, zapełniały się tak szybko jak Nowy Orlean w czasie karnawału. Czas bonanzy jednak szybko minął. Wyeksploatowane kopalnie pozamykano, hałaśliwe i niebezpieczne miasteczka opustoszały i stały się tak ciche jak cmentarze. Ich mieszkańcy wyjechali w poszukiwaniu szczęścia do innych części kraju. Osiedlili się tam i rozmnożyli,

dając zachodnim stanom zastrzyk nowej energii i optymizmu, które odziedziczyli po swoich przodkach.

Apetyt górniczych miast na wszelkiego rodzaju dobra doprowadził do zaniedbania innych części Zachodu. Przed rokiem 1850 dawne hiszpańskie miasteczko Yerba Buena, już jako San Francisco, urosło do rangi głównego portu i bazy zaopatrzeniowej dla poszukiwaczy złota, a liczba jego mieszkańców wzrosła do około czterdziestu tysięcy (największa osada na południu Kalifornii, centrum hodowli bydła Los Angeles, liczyło w tym czasie jedynie tysiąc sześciuset mieszkańców). Rozwój górnictwa doprowadził do kryzysu rolnictwa. Spekulanci i finansiści, w nadziei na ogromne zyski, inwestowali w kopalnie, podczas gdy osadnicy, ranczerzy i wieśniacy, niezdolni do konkurencji z nimi, błagali o środki, które pozwoliłyby im przetrwać. Potrzeby techniczne kopalni przekształcały kraj w pustynię. Same głębokie korytarze Żyły Comstocka pochłonęły ponad siedemset czterdzieści trzy miliony metrów kwadratowych drewnianych podpór, a drewno na nie pozyskano z grabieży publicznych lasów na wiele kilometrów wokół znaleziska.

To co dawało bogactwo białym, Indianom niosło cierpienie, śmierć i zagładę. Niepohamowany pęd do złota prowadził do konfliktów, które nierzadko przeradzały się w otwartą wojnę. Podpisane wcześniej traktaty z Indianami stały się nagle bezużytecznymi świstkami papieru, gdy tylko na terenach zagwarantowanych im przez rząd odkryto cenne minerały. Z kilkoma wyjątkami, wszystkie wojny z Indianami w latach 1846–1877 wiązały się właśnie ze znalezieniem złota lub srebra.

Odkrycie Marshalla z 1848 roku doprowadziło do wieloletnich bezustannych ataków na kalifornijskich Indian. Poszukiwacze złota i innych cennych metali bezceremonialnie wkraczali na ich ziemie, absolutnie nie zważając, że nie mają do tego prawa. Spowodowało to masową eksterminację kalifornijskich Indian. Tylko w latach 1850–1860 wyginęło ich siedemdziesiąt procent spośród ponad stu tysięcy, a pod koniec XIX wieku żyło w rezerwatach już tylko dwadzieścia pięć do trzydziestu tysięcy pierwotnych mieszkańców Kalifornii.

Odkrycie srebra w Comstock Lode i powstanie Virginia City w Nevadzie przyczyniło się do usunięcia Pajutów z ich dotychczasowych terenów. Biali ludzie wybijali im dzikie zwierzęta, wycinali i palili sosny, które dostarczały Indianom smacznych orzeszków piniowych, zajmowali życiodajne źródła wody pitnej i najlepsze miejsca pod obozowiska, porywali i gwałcili ich kobiety. Pajutów, którzy do tej pory żyli spokojnie i dostatnio pod błękitnym niebem w przyja-

znych górskich dolinach i urwistych kanionach, zimą 1859/1860 dopadł głód. W styczniu grupa zdesperowanych wojowników zaatakowała w poszukiwaniu żywności osamotnione rancza w dolinie Willow Creek i zabiła młodego osadnika Dextera Deminga. Tymczasowy gubernator Nevady, Isaac Roop, wezwał wówczas na pomoc wojsko, ale dowódca armii na wybrzeżu Kalifornii, generał Newman Clarke, pozostał głuchy na to wezwanie. Napięcie narastało, aż znalazło ujście na początku maja 1860 roku. Według najbardziej prawdopodobnej z wersji biali handlarze z faktorii Williams Station porwali wtedy dwie młode Indianki z plemienia Bannoków. W odpowiedzi mężowie i krewni kobiet napadli na stację, zabili pięciu białych mężczyzn, spalili zabudowania i uwolnili porwane kobiety. Według innej wersji porwano i zgwałcono tylko jedną Indiankę z plemienia Pajutów, która wraz z mężem przybyła na handel do faktorii. W akcie zemsty jej mąż i kilkunastu wojowników z grupy wodza Winnemukki zabili pięciu białych i spalili stację, oszczędzając jedyną białą kobietę. Istnieją jeszcze inne wersje tej historii, wszystkie jednak mają związek z indiańskimi kobietami lub dziewczętami.

Stary wódz i szaman Pajutów, Winnemucca, oraz jego syn Numaga przestrzegali przed walką z białymi, ale po ataku na Williams Station i oni zrozumieli, że wojna jest nieunikniona. Tymczasem rozsierdzeni mieszkańcy Virginia City postanowili surowo ukarać Indian i wezwali na pomoc ochotników z Genoa, Carson i Silver City. Wkrótce we wszystkich większych osiedlach górniczych Nevady powstały oddziały ochotnicze. 9 maja oddział karny złożony ze stu pięciu ludzi wyruszył przeciw Pajutom zgromadzonym w wielkim obozie nad Pyramid Lake. Wśród białych ochotników byli górnicy, poszukiwacze złota, woźnice, karciarze, rzeźnicy, lokalni politycy i zwyczajni farmerzy. Wszyscy jechali konno z hasłem „Indianin na śniadanie i konik do jazdy” (*An Indian for breakfast, and a pony to ride*). Prowadził ich major William Ormsby, ale w praktyce brakowało im jednolitego przywództwa. Słabo uzbrojeni, niezdyscyplinowani i niekarni, 12 maja zaatakowali bez przygotowania obóz Pajutów i wpadli w zasadzkę, umiejętnie zastawioną przez wojowników Numagi. „Szarżowali przez otwartą bramę do indiańskiego corralu” – napisał podpis_obrazuowo korespondent gazety „Union” w Sacramento. Wódz Numaga pozwolił przerażonym napastnikom na niezorganizowany odwrót, który przerodził się w polowanie na pojedynczych ludzi wśród kęp wyschniętej szałwii. Pewien historyk porównał je do krwawego polowania na króliki.

Ochotnicy ponieśli sromotną klęskę: czterdziestu dwóch z nich zostało zabitych, a trzydziestu uznano za zagi-

*Wódz Pajutów Winnemucca (1880)*

nionych. Tylko trzydziestu trzech szczęśliwców zdołało wyrwać się pułapki i wrócić do Carson i Virginia City. Indianie mieli jedynie trzech rannych, ale było to pyrrusowe zwycięstwo.

Wkrótce biali zmobilizowali nowe siły, pięciuset pięćdziesięciu ochotników i dwustu regularnych żołnierzy z Kalifornii, pod komendą dawnego strażnika Teksasu i pierwszego szeryfa San Francisco, Jacka „Coffe" Haysa. Ta tak zwana ekspedycja do doliny Carson (*Carson Valley Expedition*) tak długo ścigała Pajutów, aż ci, zdziesiątkowani, poszli w rozsypkę. Wiosną 1861 roku pobite plemię rozpierzchło się po pustynnych obszarach Nevady, niezdolne już nigdy stawić oporu. Amerykanie zaś wybudowali nad rzeką Carson fort Churchill, który ich odtąd skutecznie strzegł i nie pozwolił więcej niepokoić.

Podobnie wyglądały stosunki białych z innymi plemionami indiańskimi. Z Apaczami z Południowego Zachodu były pokojowe do czasu, gdy w 1863 roku odkryto złoto w okręgu Tonto w Arizonie. Doszło wtedy do krwawej, okrutnej wojny, która trwała ponad dwadzieścia lat i zakończyła się w 1886 roku ostateczną klęską Apaczów i umieszczeniem ich w rezerwatach. Wojna z Siuksami w latach 1866–1868 miała związek z odkryciem złota koło Virginia City w Montanie, a wojna w 1876 roku – ze znalezieniem tego kruszcu w Black Hills w Dakocie.

Takie samo było źródło wojny z plemieniem Nez Percé w Oregonie i Idaho. Zaczęło się od tego, że w lutym 1860 roku handlarz Elias Davidson Pierce z Walla Walla odkrył na terenie rezerwatu tych Indian, w północnej części Gór Skalistych, ślady złota. To wystarczyło, by na początku 1861 roku kraj Indian w Idaho zalała fala awanturników. Wiosną w górach na północy rezerwatu złota szukało już kilkuset górników, a tysiące innych napływały, nie zważając na postanowienia traktatu z 1855 roku, który przyznał tę ziemię Indianom. Bezradni

agenci rządowi zdołali w kwietniu 1861 roku przekonać wielu wodzów Nez Percé, aby zgodzili się udostępnić poszukiwaczom złotonośne tereny nad rzeką Clearwater, zapewniając, że pozostałe ziemie plemienne pozostaną zamknięte dla białych. Porozumienie to jednak zostało złamane już w maju: u zbiegu Clearwater i Snake powstało miasteczko namiotów, stanowiące zaplecze dla tysięcy wciąż napływających białych przybyszów. Na nic się zdały protesty wodzów Nez Percé: chociaż zapewniano ich, że będzie to tylko tymczasowe osiedle, w ciągu zaledwie dwóch miesięcy powstały pierwsze domy, dając początek miastu Lewiston.

Dla ochrony interesów plemienia w miejscu dawnej misji Spaldinga w Lapwai utworzono nową agencję, ale i to nie powstrzymało fali żądnych bogactwa poszukiwaczy. W lecie całe ich hordy wkroczyły na obszar południowej części rezerwatu, a w połowie 1862 roku na ziemiach Nez Percé przebywało już ponad osiemnaście tysięcy białych. Wraz z nimi na tereny Indian dotarło zło, którego tak lękali się ich przywódcy. Wybuchały kłótnie i spory o wypas stad bydła i koni, o prawo do ziemi, o dostęp do łowisk, strumieni i innych źródeł wody. Wśród Nez Percé zaczął się szerzyć alkoholizm. Coraz więcej Indian, często celowo rozpijanych, stawało się ofiarami oszustw, rabunków, gwałtów i morderstw. Ponadto biali domagali się od władz usunięcia tubylców z zajmowanych terenów. Rząd federalny, przewidując dalszy napływ poszukiwaczy złota, uznał, że jedynym sposobem uniknięcia wojny będzie zawarcie nowego traktatu, który ograniczy obszar rezerwatu. W czerwca 1863 roku zaproponowano Indianom, aby przenieśli się do mniejszego rezerwatu, obejmującego tereny w dolnym biegu Clearwater i dolinie Lapwai, położonego ściśle pomiędzy górniczymi okręgami na północy i południu krainy Nez Percé. Okręgi te, wraz z pozostałą częścią wielkiego rezerwatu ustanowionego traktatem z 1855 roku, miały być odkupione przez rząd i otwarte dla białych. Tę nieuczciwą propozycję komisarze uzasadniali chęcią skupienia wszystkich Nez Percé w jednym miejscu, rzekomo dla ich bezpieczeństwa i ochrony przed agresją poszukiwaczy złota, czego rząd nie może zapewnić w sytuacji zbytniego rozproszenia różnych grup plemiennych. Wielu wodzów Nez Percé, w tym znany z elokwencji i prawości charakteru Heinmot Tooyalaktet, zwany przez Amerykanów Wodzem Józefem (*Chief Joseph*), nie uznało tego haniebnego porozumienia. W rezultacie w 1877 roku wybuchła wojna Nez Percé ze Stanami Zjednoczonymi, zakończona słynnym odwrotem prawie ośmiuset indiańskich mężczyzn, kobiet i dzieci z Oregonu i Idaho w kierunku granicy kanadyjskiej.

Konflikty białych z Zachodnimi Apaczami zapoczątkowało odkrycie w roku

1863 złota w samym sercu gór Tonto w Arizonie, w miejscu gdzie wkrótce powstało miasto Prescott. Żołnierze z fortu Whipple w dolinie Chino, którzy mieli zapewnić bezpieczeństwo górnikom, strzelali do Apaczów bez ostrzeżenia, a cywilni obywatele wespół z Meksykanami organizowali specjalne „oddziały do polowań na Indian” (*Indian-hunting parties*). Wielu ludzi Pogranicza uważało, że w wojnie z Indianami wszystkie chwyty są dozwolone. Przekonany o tym podstępny i bezwzględny ranczer King Woolsey podrzucił raz Apaczom zatrutą żywność, a innym razem zaprosił do siebie grupę wojowników na „naradę pokojową”, po czym zdradziecko ich wymordował. W odpowiedzi straszliwi Tonto i Yavapai masowo kradli konie, krowy i zwierzęta juczne białych, mordując przy tym górników i ranczerów. Przez pewien czas wydawało się nawet, że Amerykanie będą musieli opuścić centralną Arizonę. Wojna z Apaczami toczyła się tak długo, że na Wschodzie zrozumiano wreszcie, iż walki są zbyt kosztowne i nie przynoszą pożądanych rezultatów.

*Wódz Józef z plemienia Nez Percé (1877)*

Czarne Wzgórza (*Black Hills*) w dzisiejszej Dakocie Południowej od dawna nęciły traperów, awanturników i poszukiwaczy złota. Kiedy więc latem 1874 roku ekspedycja wojskowa pod komendą osławionego oficera kawalerii George’a Armstronga Custera (1839–1876) odkryła w samym sercu gór olbrzymie pokłady tego kruszcu, każdy uczestnik wyprawy wytyczał sobie działki, oznaczał je palikami i domagał się zatwierdzenia ich przez Custera**[**56**]**. Powstała nowa kompania górnicza, a rok później w świętych górach Siuksów, gdzie według wierzeń Indian mieszkały tylko duchy zmarłych, a dzikie zwierzęta ufnie jadły ludziom z ręki, bo nie znały jeszcze niebezpieczeństw cywilizacji, grasowało już pięć tysięcy poszukiwaczy. Próba usunięcia Indian z tych terenów sprowokowała wielkie powstanie Siuksów w latach 1876–1877. Jednakże żądnego skarbów białego człowieka nic nie mogło zatrzymać. Opór Siuksów brutalnie złamano, zwierzęta w lasach i jeziorach wybito, drzewa w dolinach wycięto lub

spalono, a na kościach Indian i resztkach ich domeny powstało miasto o ponurej nazwie Deadwood (Umarły Las).

Rozdział VII

# Kowboje, wielkie stada bydła i farmerzy

## Poganiacze i „królowie bydła”

Głównym powodem wędrówki na Zachód był głód ziemi. Ludzie opuszczali żyzny, zielony kraj na Wschodzie i ruszali w nieznane. Przeprawiali się przez Missouri i wkraczali na rozległe, dzikie tereny. Najpierw witała ich bezkresna sucha równina, potem surowe pasma gór i w końcu wąski pas wybrzeża oceanu. Tu i ówdzie ten zróżnicowany krajpodpis_obrazu przecinały głębokie doliny, zielone pastwiska, skrawki urodzajnej gleby i kojące dla oczu lasy. Przede wszystkim jednak, jak wzrokiem sięgnąć ciągnęły się ogromne, wyschnięte połacie prerii. Z rzadka rozsiane kępy wierzbiny i topolowe zagajniki ukrywały się jedynie w dolinach rzek. W tym obcym kraju panował skrajnie zmienny klimat: niemiłosiernie upalne lata z częstymi gwałtownymi burzami i surowe mroźne zimy z obfitymi opadami śniegu. Duże rzeki to wylewały, to zamieniały się w wąskie strumyki, ściekające po masach żwiru. Ziemi do wzięcia było tu w bród, ale wydawała się zbyt sucha. Poza tym osadnicy potrzebowali wody do życia i drewna na budowę domów, a tego brakowało. Niemal jedyną zachętą dla białego człowieka na tym dzikim odludziu były nieprzebrane stada zwierząt.

Konie i bydło przybyły do Ameryki z Hiszpanami w XVI wieku. Część z nich uciekła i zdziczała, a ich potomkami były płochliwe dzikie mustangi i ruchliwe żylaste krowy długorogie, wywodzące się od bydła iberyjskiego, tak charakterystyczne dla Południowego Zachodu. Przez trzysta lat meksykańscy kowboje, na-

zywani *vaqueros*, oswajali je, rozmnażali, krzyżowali i hodowali. W rezultacie wyhodowano „bydło tęczowe”, nazwane tak ze względu na ubarwienie sierści. Hiszpańskie słowa związane z pracą *vaqueros* weszły na stałe do języka kowbojów. Takie wyrazy, jak: *chapar ej os* lub *chaps* (skórzane ochraniacze na nogi zakładane na spodnie), *armitas* (skórzany fartuch wiązany w pasie i nad kolanami), *tapaderos* (skórzana osłona na strzemionach, chroniąca buty przed kolczastymi krzewami i kaktusami), ranczo, sombrero, lasso, *corral* (zagroda dla bydła lub koni) i wiele innych mają hiszpańskie pochodzenie.

Półdzikie, dość chude, wysokie bydło z długimi rogami o rozpiętości do półtora metra, świetnie przystosowane do przetrwania na suchych równinach, odgrywało ważną rolę w gospodarce Teksasu. W 1848 roku, po wojnie amerykańsko-meksykańskiej, terytorium to zostało włączone do Stanów Zjednoczonych razem z innymi wielkimi obszarami byłej hiszpańskiej domeny. Wzbogaceni w ten sposób Amerykanie spostrzegli nagle, że dysponują nadmiarem bydła. Mówiono, że w Teksasie na jednego człowieka przypada sześć sztuk bydła, i raczej nie przesadzano.

Co było robić z tak wielką liczbą zwierząt? Rynek bydła praktycznie wówczas nie istniał. Teksańczycy zajadali się co prawda wołową polędwicą, ze skór wyrabiali buty i siodła, wysyłali surowe skóry, łój, kopyta i rogi do uprzemysłowionych regionów północnych, ale cała reszta ubitego zwierzęcia dostawała się zwykle kojotom i sępom. Wprawdzie już od 1842 roku, jeszcze przed przyłączeniem Teksasu do Unii, dostarczano bydło do Shreveport i Nowego Orleanu, a od 1846 – do niektórych miast w Missouri i Ohio, ale i tak była to zaledwie część tego, co Teksas mógł zaoferować rynkom zewnętrznym. Poza tym do prób zdobycia nowych rynków zbytu niejednego hodowcę zniechęcały potężne ostre rogi krów, które w dodatku niechętnie dawały się pędzić i trudno je było upilnować. Dopóki więc ceny bydła nie podskoczyły, brakowało chętnych do pędzenia ich na odległe rynki gęsto zaludnionego Północnego Wschodu.

*Długorogie bydło z Teksasu*

Hodowcy przepędzali bydło z pastwisk do miejsc sprzedaży specjalnymi drogami zwanymi szlakami bydlęcymi (*cattle trails*). Najsłynniejsze z nich prowadziły z Teksasu na północ, przez Wielkie Równiny do Kansas. Jeden z pierwszych, tak zwany szlak Szaunisów (*Shawnee Trail*), otwarty w latach czterdziestych, rozpoczynał się w Brownsville w dolnym biegu Rio Grande, wiódł do Dallas w północnym Teksasie, przebiegał przez Terytorium Indiańskie, wkraczał do południowo-wschodniej części Kansas i stąmtąd rozchodził się do stacji kolejowych w Missouri, w Kansas City, Sedali i St. Louis.

Warunki handlu bydłem poprawiły się dopiero na początku lat pięćdziesiątych, po odkryciu złota w Kalifornii. Nagle powstał niezwykle chłonny rynek zbytu. Wygłodniali poszukiwacze stłoczeni w górskich osadach potrzebowali mięsa, a kalifornijscy hodowcy nie byli w stanie zaspokoić tych potrzeb. Zaczęto więc sprowadzać bydło z Missouri, Arkansas i przede wszystkim z Teksasu. Przed hodowcami otworzyły się niebywałe możliwości zysku. W 1849 roku jedną krowę wartą w Teksasie piętnaście dolarów można było sprzedać w San Francisco za sto pięćdziesiąt dolarów. Opłacało się więc ryzykować, pędząc bydło nawet najtrudniejszą drogą. Jeden z pionierów handlu bydłem, William Henry Snyder, przez dwa lata dostarczał krowy z Teksasu na zachodnie wybrzeże okrężnym szlakiem w górę Rio Grande, a potem przez Kolorado, Wyoming, Utah i Nevadę. W 1852 roku kapitan Jack Cureton ze słynnej formacji Strażników Teksasu (*Texas Rangers*) popędził tysiąc sto sztuk teksańskiego bydła niebezpieczną drogą przez Nowy Meksyk i Arizonę do Kalifornii, cały czas

ukrywając się przed Apaczami. Ale kiedy w końcu dotarł na miejsce i sprzedał swoje krowy głodnym górnikom, zarobił na tym dwadzieścia tysięcy dolarów, co w owym czasie było fortuną. Zarabiali także przewodnicy przez pustynię i przez tereny Indian. Na przykład w 1854 roku jeden z teksańskich przewodników wziął za przeprowadzenie stada tysiąc pięćset dolarów. A Kalifornia okazała się tylko przedsionkiem do fortuny. Znacznie większy rynek czekał na Północy i Wschodzie, gdzie szybko rozwijał się przemysł i wciąż rosła liczba ludności, co pociągnęło za sobą gwałtowny wzrost cen wołowiny. W tej sytuacji głównym problemem hodowców w Teksasie stało się, jak „połączyć wartego cztery dolary cielaka z czterdziestodolarowym rynkiem".

Tego, co wydawało się niemożliwe, podjęli się w końcu 1852 roku młody Anglik Tom Candy Ponting oraz jego wspólnik Washington Malone. Wyjechali oni z Illinois, ściśnięci pasami wypełnionymi złotymi monetami, zdecydowani przeprowadzić stado bydła z Teksasu do Nowego Jorku. Po przybyciu na Południe znaleźli gościnę na ranczu rodziny Cutterów koło dzisiejszego Bonham. Wtajemniczyli gospodynię w swoje plany i za jej zgodą ukryli swoje ciężkie pasy ze złotem pod jej materacem. Kupili za nie siedemset sztuk bydła i wiosną 1853 roku wyruszyli w trwającą ponad rok podróż. Przekroczyli Red River, przecięli Terytorium Indiańskie i powędrowali dalej, przez Missouri do Illinois i Indiany. Wreszcie w lipcu 1854 roku, po przebyciu dwóch tysięcy czterystu kilometrów pieszo i dziewięciuset sześćdziesięciu koleją, trafili wprost na słynny nowojorski targ bydlęcy przy Hundred Street. Tam sprzedali swoje najlepsze sztuki po osiemdziesiąt dolarów, choć – jak napisała nowojorska „Tribune" – „te pierwsze przybyłe z Teksasu do Nowego Jorku długorogie bestie wyglądały cokolwiek dziko". Ponting i Malone przebyli rekordowo długi szlak, którego już nikt potem nie poważył się pokonać.

Niestety, wkrótce dynamicznie rozwijający się handel teksańskim bydłem zahamowała wojna secesyjna. Brak nadzoru i blokada gospodarcza ze strony Unii doprowadziły do niekontrolowanego wzrostu pogłowia teksańskich krów. W rezultacie po zakończeniu wojny Teksas stanął w obliczu klęski: na otwartych równinach pasło się około pięciu milionów sztuk bydła, ale nie było gdzie go sprzedać. Miejscowy rynek nie potrzebował gór mięsa, toteż krowa stała się najwyżej tyle warta co jej skóra. Ta klęska nadmiaru rażąco kontrastowała z niedoborem w większości amerykańskich stanów, gdzie w czasie wojny pogłowie spadło o trzydzieści do pięćdziesięciu procent. Już więc w 1865 roku zaczęto w Teksasie rozglądać się za nowymi rynkami zbytu. Handel z Nowym Orleanem i miastami na wybrzeżu okazał się niezbyt opłacalny, bo nie mogły one wchłonąć

nawet części tego, co oferowali hodowcy. Trzeba było zatem szukać gdzie indziej. I znaleziono rozwiązanie. W lipcu 1866 roku Charles Goodnight i Oliver Loving wytyczyli słynny szlak bydlęcy nazwany ich imieniem (*Goodnight-Loving Trail*), prowadzący z Belknap w Teksasie na Północny Zachód, do fortów Sumner i Bascom w Nowym Meksyku. Potem przedłużono go jeszcze przez przełęcz Raton na północ, do Kolorado i Wyomingu.

W 1866 roku bydło z Południa zaatakowała teksańska gorączka, niegroźna dla długorogich krów, ale zabójcza dla ras hodowanych dalej na północ. Z obawy przed roznoszeniem zarazy władze stanowe wprowadziły kwarantannę i zamknęły dla bydła z Teksasu stary szlak Szaunisów, ograniczając jego zasięg do linii Kansas – Missouri. A tymczasem Północ wręcz pragnęła wołowiny. W Chicago na powierzchni stu czterdziestu hektarów otwarto 25 grudnia 1865 roku Union Stock Yard – pierwszy na Środkowym Zachodzie targ bydlęcy z prawdziwego zdarzenia, a nowoczesne chłodnie firmy Armour & Swift gotowe były przyjąć każdą ilość mięsa.

Ratunkiem dla południowego handlu bydłem okazała się kolej. Na pomysł jej wykorzystania wpadł handlarz z Illinois, Joseph McCoy (1837–1915). Doszedł on do wniosku, że gdyby punkt załadunkowy znalazł się na prerii na północ od Teksasu, poza linią kwarantanny, bydło można by pognać do stacji, załadować do wagonów i wysłać na północ kraju szybko i bezpiecznie. Postanowił więc zainteresować swoim pomysłem innych hodowców i stosowne władze.

Wiosną 1867 roku opuścił swoją bogatą farmę w Illinois i pojechał do Kansas. Odwiedził wiele miast, wśród nich Junction City, Solomon City i Salinę, ale nikt nie podjął jego pomysłu. Wreszcie po wielu poszukiwaniach dotarł do sennej osady nad rzeką Smoky Hill, na końcu nowej linii kolejowej Kansas Pacific Railroad. Osada nazywała się Abilene i została założona w czasie słynnej gorączki złota w Pike’s Peak w 1858 roku jako Mud Creek. W 1867 roku to „malutkie i całkiem wymarłe” miejsce składało się z zaledwie tuzina obskórnych ziemianek i zapyziałego saloonu mieszczącego się w ciemnej drewnianej chacie. Dla McCoya jednak okazało się miejscem idealnym. Leżało daleko poza strefą nieprzyjaznych hodowcom bydła farmerów, zapewniało dostatek trawy oraz wody i było chronione przed napadami Indian przez garnizon wojskowy w niedalekim forcie Riley.

W połowie czerwca McCoy przekonał miejscowych do swojego pomysłu i uzyskał od gubernatora Kansas Samuela Crawforda zgodę na wpuszczenie teksańskiego bydła poza linię kwarantanny. W lipcu zawarł umowę z koleją, założył

*Joseph McCoy*

firmę skupu bydła i wysłał po nie swoich ludzi do Teksasu. Następnie w ciągu dwóch miesięcy wybudował wielką zagrodę, stodołę oraz duży hotel dla hodowców i poganiaczy bydła. Hotel nazywał się Domek dla Poganiaczy (*Drover's Cottage*) i był jednym z najładniejszych obiektów tego typu na całym Zachodzie. W połowie sierpnia 1867 roku do Abilene przybyło pierwsze stado liczące siedem tysięcy sztuk bydła, a 5 września stację opuścił pierwszy pociąg z dwudziestoma wagonami wiozącymi zwierzęta do Chicago. Przed końcem sezonu do Abilene spędzono trzydzieści sześć tysięcy krów. Tak narodziła się era wielkich „królów bydła" i kowbojów.

*Kowboje na szlaku przepędu bydła*

Od 1867 roku główna trasa przepędu bydła z Teksasu na Północ, przez Terytorium Indiańskie do Abilene, wiodła tak zwanym szlakiem Chisholma (*Chisholm Trail*), półkrwi Czirokeza, handlarza i przewoźnika towarów, zwiadowcy w czasie wojny secesyjnej. W marcu 1865 roku Chisholm wyprawił się z karawaną handlową do doliny rzek Canadian i Washita szlakiem, którym w 1861 roku wycofywały się z Terytorium Indiańskiego pod naciskiem konfederatów załogi federalnych fortów Washita, Arbuckle i Cobb. Drogę tę, po dokładnym wymierzeniu i oznaczeniu, wykorzystał McCoy do połączenia odległych pastwisk w Teksasie z koleją w Abilene. Ten liczący prawie tysiąc kilometrów szlak rozpoczynał się w okolicach San Antonio i prowadził do Fort Worth, skąd zbaczał lekko na zachód do przeprawy przez Red River. Dalej ciągnął się przez Terytorium Indiańskie na północ do Caldwell w południowym Kansas i na koniec przez miasto Wichita docierał do Abilene, skąd bydło przewożono dalej na wschód koleją.

Przedsięwzięcie McCoya okazało się ogromnym sukcesem. Dla Abilene nastała era prosperity i rozwoju. Senna osada przekształciła się w ponadtrzyty-

sięczne miasto, które zyskało miano „królowej Kansas”. W 1870 roku było tam już dziesięć noclegowni, jedenaście saloonów, pięć dużych sklepów, cztery hotele i bank, który tylko w pierwszych dwóch miesiącach działalności przyjął dziewięćset tysięcy dolarów, co stanowi odpowiednik dzisiejszych piętnastu milionów. Funkcjonowało w nim siedemdziesiąt pięć firm zarabiających na hodowcach bydła i kowbojach. Sam McCoy w uznaniu zasług został wybrany na burmistrza i pełnił tę funkcję do roku 1873. Wkrótce po Abilene otwarto kilka innych stacji przeładunkowych dla teksańskiego bydła, a do roku 1870 upowszechnił się już w Kansas jego przewóz koleją.

*Kowbojski wóz (Chuck Wagon) na szlaku*

Szlak Chisholma stał się najpopularniejszą drogą teksańskich hodowców. W 1868 roku przepędzono nim na Północ siedemdziesiąt pięć tysięcy sztuk bydła, w 1869 liczba ta wzrosła do stu pięćdziesięciu tysięcy, w 1870 wynosiła już trzysta tysięcy, a w 1871 sięgnęła sześciuset tysięcy sztuk. Bywały dni, że w Abilene przebywało jednocześnie pięć tysięcy kowbojów. Szlak ten poważnie stracił na znaczeniu w 1873 roku, kiedy kolej dotarła do Dodge City na południu Kansas, co znacznie skróciło i ułatwiło drogę do punktów załadunkowych. Z czasem napływ osadników i grodzenie ziemi spowodowały upadek Abilene i przeniesienie części handlu bydłem do Wichita. Ponowne ożywienie szlaku Chisholma nastąpiło w 1880 roku, po otwarciu linii kolejowej z Caldwell. Ten stan rzeczy utrzy-

mywał się do czasu połączenia sieci kolejowej w Kansas z liniami w Teksasie.

Gdy kolej dotarła do miast położonych dalej na zachodzie i pozbawiła Abilene uprzywilejowanej pozycji w przeładunku bydła, McCoy opuścił je i przeprowadził się do Kansas City. Tam w roku 1874 opublikował książkę opisującą prawdziwe życie na kowbojskim szlaku. Podobno przed wyjazdem z Chicago obiecał dostarczyć dwieście tysięcy sztuk bydła w ciągu dziesięciu lat, a dostarczył ich prawie półtora miliona w ciągu czterech lat. Nie bez powodu więc nazywano go „wiarygodnym McCoyem" (*The Real McCoy*).

Praca przy teksańskim bydle była ciężka, wymagała siły, odwagi i dużych umiejętności. Typowe wyposażenie kowboja składało się z siodła, lassa do chwytania koni i bydła, skórzanych ochraniaczy na nogi, sześciostrzałowego rewolweru do obrony przed drapieżnikami, białymi rabusiami albo Indianami, chusty (bandany), osłaniającej przed tumanami kurzu wzbijanego kopytami zwierząt na szlaku, oraz szerokoskrzydłego kapelusza chroniącego głowę przed palącym słońcem i deszczem. Właściciel rancza zapewniał kowbojowi konia do pracy, ale większość poganiaczy wolała jechać na własnym koniu, lepiej znanym i pewniejszym. Przygotowania do przepędu zaczynały się wczesną wiosną od spędzenia przywykłych do dużej swobody długorogów z zimowych pastwisk. Najbardziej niespokojne sztuki chwytano na lasso przy świetle księżyca, wiązano je i czekano, aż się uspokoją. Niektóre trzeba było zwabiać do zamkniętych corrali z pomocą oswojonych sztuk łub wyciągać z ukrycia w suchych parowach i zaroślach rzewnym śpiewem. Po spędzeniu stada oddzielano od niego zwierzęta nienadające się do przepędu, a pozostałym wypalano na skórze znaki własnościowe na dowód, że nie są bezpańskie. Podejmowali się tego tylko najodważniejsi i najbardziej doświadczeni kowboje. Prawdziwy kowboj stanowił idealną jedność z koniem. Uwijał się na nim z lassem niczym cyrkowiec, zręcznie unikając ciężkich kopyt i ostrych rogów. Po schwytaniu krowy na lasso z całej siły przewracał ją na bok, aby można jej było związać nogi i zawlec do miejsca, gdzie czekał już człowiek z rozpalonym żelazem do znakowania.

Przed świtem w dniu rozpoczęcia przepędu szef poganiaczy budził kucharza, żeby przygotował dla wszystkich solidne śniadanie z kawą. Potem kowboje szli obejrzeć swoje konie. Stado przeznaczone do przepędu składało się zwykle z około dwóch i pół tysiąca sztuk. Do przepędzenia tak licznego bydła trzeba było co najmniej piętnastu poganiaczy, a każdy z nich musiał mieć na zmianę nawet dziesięć koni. Przed wyruszeniem stada młodzi pomocnicy opiekujący się końmi, tzw. wranglerzy (*wranglers*), wyganiali luźne konie. Za nimi ruszał wóz obozowy kucharza (*chuck-wagon*), zwykle starszego i mądrego mężczyzny, od

którego umiejętności i doświadczenia zależał dobry nastrój w grupie. Powożony przez niego wóz był wyposażony w sprzęt kuchenny oraz specjalny kredens z szufladami i półkami, pełnił zatem funkcję ruchomego magazynu, przystosowanego do przewozu żywności, zapasowej broni i amunicji oraz drobnych rzeczy osobistych kowbojów[57]. Zamykająca kredens tylna klapa wozu po rozłożeniu zamieniała się w stół, na którym można było jeść i przygotowywać posiłki. Pod wozem, za tylnymi kołami, znajdowała się skrzynia na naczynia kuchenne. Przy zewnętrznej burcie umieszczano beczkę z wodą na dwa–trzy dni, a przy drugiej burcie – dla przeciwwagi – skrzynię z ciężkimi narzędziami.

*Stado bydła (1900)*

Stado prowadził przewodnik (*trailboss*), który wyprzedzał wszystkich o dzień marszu. Do jego zadań należało sprawdzanie terenu, szukanie wody i wybór miejsca na nocleg. Jadący na przodzie doświadczeni poganiacze (*pointriders*) pilnowali, aby bydło trzymało się byków idących wyznaczonym szlakiem na czele stada. Pozostali kowboje, w zależności od starszeństwa, otaczali stado wachlarzem, aby się nie rozpraszało. Dzielili się na skrzydłowych (*wingriders*) i bocznych (*flankriders*). Na końcu jechali pojedynczy jeźdźcy (*dragriders*), do których należało zbieranie pozostających w tyle słabych i okaleczonych sztuk. Ci mieli najgorzej, bo musieli łykać całe tony kurzu wzbijanego w powietrze

przez tysiące kopyt przed nimi. Tak zorganizowany przepęd na Północ, do Abilene, trwał około sześciu tygodni w codziennym trudzie i znoju.

Bydło długorogie było uparte i złośliwe, ale Teksańczycy zaklinali się, że to najlepsze zwierzęta do pędzenia na szlaku. Twarde i odporne na niewygody krowy potrafiły iść przez teren pozbawiony wody i paszy. Rzadziej niż inne bydło wpadały w panikę, a kiedy już się rozbiegały, pędziły w jednej, zbitej masie, którą łatwiej było osaczyć i zawrócić. Na szlaku szły karnie za przewodnim bykiem, całymi dniami zachowując jaki taki porządek marszu. Starannie zaplanowana dzienna trasa przepędu wynosiła zwykle około trzydziestu kilometrów. Stado ruszało w drogę po porannym popasie, w południe stawało na krótki odpoczynek, potem pędziło do wodopoju, a w tym czasie ludzie z utęsknieniem czekali na odgłos walenia w patelnię i nawoływanie kucharza na obiad.

Najbardziej wyczekiwanym momentem był wieczorny postój i obfita kolacja. Kucharz, nie żałując jedzenia, napełniał wtedy cynowe talerze kowbojów pożywnymi, choć niezbyt wyrafinowanymi potrawami: pieczoną wołowiną, sucharami, fasolą, które popijano gorzką czarną kawą. Po kolacji zmęczeni ludzie rozkładali się wokół ognisk, naprawiali oporządzenie, śpiewali lub rozgrywali partyjkę pokera, z braku gotówki zastępując pieniądze zapałkami. W nocy przykrywali się kocami po samą brodę i nasuwali na twarz kapelusze dla ochrony przed rosą. W tym czasie wyznaczony wartownik krążył wolno na koniu pośród stada, nucąc stare kowbojskie melodie, które miały uspokoić najbardziej zdenerwowane sztuki. Kiedy czuł, że morzy go sen, stosował sprawdzony sposób na pokonanie senności: wcierał sobie w oczy tytoń, a piekący ból sprawiał, że odechciewało mu się spać. Taki niezmącony spokój trwał do świtu, kiedy to brutalny okrzyk kucharza przerywał błogi sen kowbojów i tradycyjna porcja czarnej kawy zaczynała kolejny znojny dzień na bydlęcym szlaku.

Niekiedy, w ciemnościach nocy, nagle coś płoszyło stado: błyskawica na niebie, pękająca z hukiem gałąź lub spadający fragment skały. Takiej nagłej paniki (*stampede*) kowboje obawiali się najbardziej, ponieważ zawsze niosła ze sobą niebezpieczeństwo, a czasami nie dawała się opanować. Pędzące stado tratowało wszystko na swej drodze, nie zważając na przeszkody. Jeśli ktoś dostał się pod pędzące kopyta, jego los był przesądzony. „Znaleźliśmy go leżącego pomiędzy norami piesków preriowych – napisał pewien kowboj o swoim stratowanym towarzyszu. – Koń i człowiek zostali wgnieceni w ziemię tak płasko, że przypominali naleśnik. Można było go zidentyfikować jedynie po kolbie rewolweru”. Nieopanowanie paniki groziło samounicestwieniem stada. Podczas jednego z przepędów w Teksasie oszalałe ze strachu zwierzęta wpadły do głębokiego jaru nad

rzeką Brazos i wszystkie zginęły. Od tamtej pory to fatalne miejsce nosi smutną nazwę Wąwozu Paniki (*Stampede Gulch*).

Równie niebezpieczne jak panika były burze. Znany „król bydła” z Teksasu, Isaac Thomas „Ike” Pryor (1852–1937), który w latach 1878–1885 dostarczał rocznie na Północ czterdzieści pięć tysięcy sztuk, podczas wiosennej burzy 1887 roku stracił niemal całe stado warte pięćset tysięcy dolarów. Inna ekipa postradała blisko osiemdziesiąt koni, które zamarzły na śmierć w ciągu jednej nocy. Nie mniejsze zagrożenie stanowili Indianie, zwłaszcza Komancze i Kiowa. Ci, którzy uchodzili za przyjaznych, często porywali kilka lub kilkanaście sztuk tylko po to, aby za ich zwrot uzyskać nagrodę. Natomiast wrogo nastawieni Indianie po prostu napadali na stado i odganiali tyle krów, ile się dało. Przejście przez Terytorium Indiańskie na północ od Red River zawsze trzeba było opłacić „prezentami” z bydła dla poszczególnych plemion. Dalej na północy, w Kansas, miejscowi osadnicy także nie pałali sympatią do kowbojów z Południa. Interesy hodowców bydła i farmerów były zasadniczo różne, a walka o zyski i wpływy często przeradzała się w zbrojne potyczki, a nawet krwawe konflikty burzące spokój na Dzikim Zachodzie.

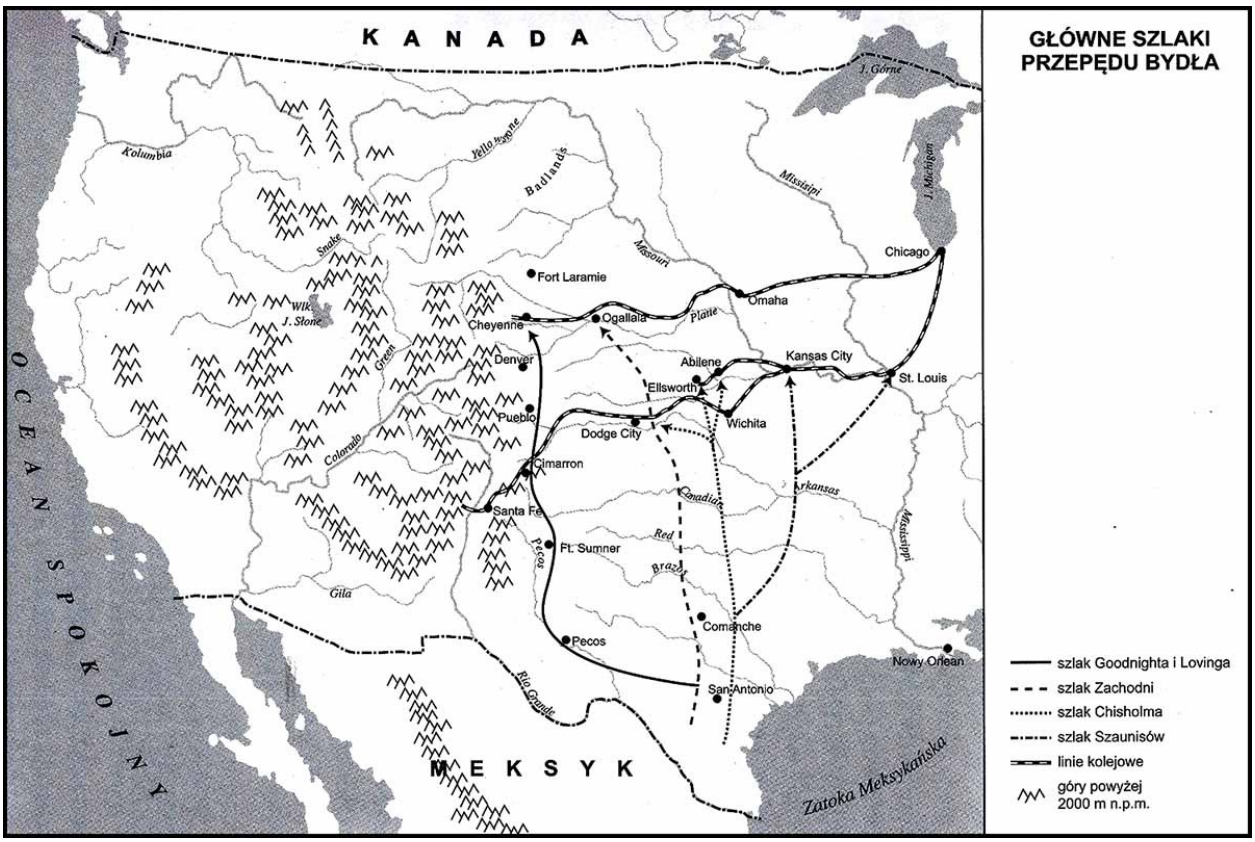


Dla kowbojów dni na szlaku ciągnęły się w nieskończoność, a ciężka praca

dawała się we znaki nawet najsilniejszym i najbardziej doświadczonym[58]. Niekiedy wręcz porównywali oni swój los do piekła. George Duffield, który w 1866 roku pędził tysiąc długorogów aż do Iowa, napisał w pamiętniku: „Wszystko wokół mnie zasmuca". Przez „wszystko" rozumiał ciągłe deszcze, panikę zwierząt, gwałtowne burze, rwące rzeki, kłopoty z Indianami, utratę rzeczy i zapasów żywności, utonięcia ludzi. W ciągu sześciu miesięcy spędzonych na szlaku Duffield niejednego doświadczył i niejedno przeżył: spadł z konia i poważnie się zranił; o mało nie utonął, kiedy nocą porwała go wezbrana rzeka; spędził w siodle sześćdziesiąt godzin bez jedzenia i snu w poszukiwaniu rozproszonego w panice bydła; uciekając przed rozszalałym bykiem, szukał ratunku w zimnych nurtach rzeki; kilka razy sięgał po rewolwer, aby odstraszyć groźnych Indian; kark i plecy miał spalone od słonecznego żaru. Wreszcie w październiku mniej niż z połową stada on i jego towarzysze dotarli do celu, czyli do miasteczka Ottumwa (na południowy wschód od Des Moines). Ponury nastrój i troski prysły, kiedy strudzeni, znużeni ludzie dostrzegli dymiącą lokomotywę i rząd wagonów towarowych przed zagrodą, w której tłoczyło się porykujące bydło. Kowboje wykrzesali z siebie i koni resztki sił, zerwali na powitanie kapelusze i machając nimi, z wrzaskiem wpadli w brud głównej ulicy miasteczka, wzniecając tumany kurzu.

Kowboj biorący udział w przepędzie bydła zarabiał około trzydziestu dolarów miesięcznie. Spragniony alkoholu i towarzystwa kobiet, dostawał wypłatę zaraz po przybyciu na miejsce i zwykle tam wydawał większość zarobionych pieniędzy. Najpierw kupował sobie jakieś modne ubranie, brał gorącą kąpiel i szedł do fryzjera. Tak odświeżony był gotów oddać się w ręce barmana serwującego whisky i piwo, zasiąść do karcianego stołu lub paść w ramiona sprzedajnych dziewcząt z saloonu (*hurty-gurty girls*) albo tanich tancerek (*calico queens*) na sali balowej. „Wygląd i sposób bycia kowboja był szczególny i pełen energii – pisał Joseph McCoy – a on sam budził zainteresowanie swoimi wielkimi ostrogami, brzęczącymi przy każdym kroku, rewolwerami kołyszącymi się po bokach jak owczy ogon oraz oczami błyszczącymi z podniecenia, od alkoholu i pożądania". Rozgrzany i zamroczony alkoholem kowboj spędzał czas w miasteczku na dzikiej zabawie i długich chwilach otępienia w oczekiwaniu na wytrzeźwienie. Typowy kowboj, jak zanotował pewien obserwator, był „rodzajem centaura, pół konia, pół człowieka, z ogromnymi ostrogami i twarzą śmiałka, który niczego się nie boi".

Miasta centra spędu bydła dbały we własnym interesie o to, aby kowboje mieli gdzie się zabawić i wydać zarobione pieniądze. Abilene w krótkim, bo zaledwie pięcioletnim okresie świetności, dorobiło się kilkudziesięciu takich

miejsc, w których klientom nie przeszkadzały ani unoszące się nad nimi chmury kurzu, ani bijący w nozdrza niesamowity smród stłoczonych w zagrodach krów. Paradoksalnie, kolej przyczyniła się zarówno do jego rozwoju, jak i do jego zmierzchu. Okres świetności miasta trwał krótko. Do roku 1871 główne centrum handlu bydłem przesunęło się sto kilometrów dalej w kierunku zachodnim, do Ellsworth, później sto czterdzieści pięć kilometrów na południowy zachód do Wichita, a w końcu dwieście dwadzieścia pięć kilometrów na zachód, do Dodge City w Kansas.

Dodge City, które przeszło do historii jako jedno z najsłynniejszych miast Dzikiego Zachodu, zaczynało od prostej chaty z torfu zbudowanej w 1871 roku przez ranczera Henry'ego Sitiera obok kopiastych stert skór i kości bizonów, składowanych przez myśliwych dostarczających mięso dla robotników budujących kolej wzdłuż dawnego szlaku Santa Fe**[**59**]**. Przez krótki czas pozostawało nikomu nieznaną pograniczną osadą, ale kiedy we wrześniu 1872 roku doprowadzono tam linię kolejową ze Wschodu, szybko doceniono jego handlowy potencjał w regionie i wytyczono nowy główny szlak przepędu bydła z Teksasu, nazwany Wielkim Zachodnim Szlakiem Bydlęcym. W ciągu kilku sezonów, odkąd przedsiębiorczy dwudziestoczteroletni Kanadyjczyk George M. Hoover postawił w miasteczku pierwszy saloon dla spragnionych żołnierzy z pobliskiego fortu Dodge, rozkwitło ono i mocno się zaludniło**[**60**]**. A po upadku Abilene i innych, dalej wysuniętych na wschód centrów handlu bydłem stało się największym ze wszystkich bydlęcych miast. Do wagonów ładowano tam nawet pięćset tysięcy sztuk bydła rocznie; ogółem w ciągu dziesięciu lat przez Dodge City przewinęło się ponad pięć milionów krów. W 1880 roku wyrósł mu potężny rywal – pograniczna mieścina Caldwell. Przez kilka lat oba miasta ostro ze sobą rywalizowały, ale na szczęście bydła było dosyć dla obu. Niemniej to Dodge City stało się legendą Dzikiego Zachodu, a jego panowanie trwało nieprzerwanie aż do końca lat osiemdziesiątych XIX wieku. Z tego powodu przylgnęły do niego takie określenia jak „królowa bydlęcych miast" (*Queen of the Cowtowns*) i „światowa stolica kowbojów" (*The Cowboy Capital of the World*).

W końcu lat siedemdziesiątych zyskało ono także niezbyt zaszczytne miano „wrednego małego miasta w Ameryce" (*The Wicked Little City in America*), a jego wątpliwa sława dotarła do samego Waszyngtonu. Miasta na bydlęcym szlaku miały złą reputację. Uważano je za miejsca bezprawia, chociaż mocno przesadzano z oceną liczby popełnianych w nich zabójstw. W pierwszym okresie istnienia Dodge City było w nim aż dziewiętnaście saloonów, barów i domów publicznych, gdzie serwowano alkohol, czyli na około dziesięciu stałych miesz-

kańców przypadał mniej więcej jeden taki przybytek. Otaczająca je atmosfera skandalu szybko doprowadziła do powstania legendy Dodge City jako miasta rozpusty, azylu dla różnego autoramentu typów spod ciemnej gwiazdy zwabionych łatwymi pieniędzmi i częstych pojedynków rewolwerowców. W rzeczywistości przez większą część roku była to cicha i spokojna mieścina, która zmieniała się nie do poznania dopiero w sezonie wędrówek, polowań i przepędów bydła. Kiedy łowcy bizonów, robotnicy kolejowi, pionierzy na szlaku, żołnierze i kowboje po miesiącach spędzonych na prerii wpadali do miasta i bez pamięci rzucali się w wir rozrywki, pijąc na umór w saloonie lub przepychając się do tancerek w sali balowej, bójki i pojedynki były nieuniknione. Ale awanturnicy, hazardziści i notoryczni pijacy przychodzili, poszaleli w saloonie lub burdelu i odchodzili. Słynni na Zachodzie Stróże prawa wynajmowani do utrzymania porządku w mieście nie mieli z nimi większych kłopotów. Częste burdy wywoływane przez kowbojów i łowców bizonów kończyły się zwykle wykopaniem zapijaczonego zawadiaki z baru i zamknięciem go do wytrzeźwienia w miejskim areszcie. Przeciętny kowboj czy inny bywalec saloonu był osobnikiem hałaśliwym, skłonnym do zwady i głośnej pukaniny, ale wcale nie typem zwyrodniałego zabójcy. Najczęściej kierował lufę rewolweru w niebo, a nie w innego awanturnika. Chociaż o Dodge City mówiło się, że mają tam zawsze „człowieka na śniadanie”, wiarygodne dane odnotowały tylko piętnaście przypadków morderstw w ciągu dziesięciu burzliwych lat jego pogranicznej sławy. Niemniej miejski cmentarz Boot Hill, gdzie zgodnie z nazwą chowano tych, którzy padli ofiarą zabójstw i pojedynków, nagle „umierając w butach”, funkcjonował do roku 1878.

*Wyborowy karabin Sharpsa*

Z Abilene, Wichita i Dodge City wiąże się cała plejada nazwisk ludzi o reputacji rewolwerowców, tworzących legendę Dzikiego Zachodu. Pierwszym stróżem prawa w Abilene był dawny bokser i policjant z Nowego Jorku, a potem szeryf w paru zachodnich miastach, atletycznie zbudowany Tom „Bear River” Smith. Słynął z tego, że nie nosił broni i zamiast zabijać swych przeciwników, tłukł ich gołymi pięściami na kwaśne jabłko albo wykopywał z hukiem na ulicę.

Aż pewnego listopadowego dnia 1870 roku wdał się w pojedynek z dwoma opryszkami podejrzanymi o morderstwo. W chaotycznej strzelaninie został ciężko ranny, a potem bestialsko dobity kolbą karabinu i pozbawiony głowy ciosem topora. Był pierwszym stróżem prawa, który spoczął na cmentarzu w Abilene w ogromnym grobowcu, na którym wdzięczni mieszkańcy umieścili płytę sławiącą jego odwagę i oddanie w służbie sprawiedliwości. Następcą Toma Smitha w kwietniu 1871 roku został legendarny James Butler „Dziki Bill" Hickok, szczupły, elegancki mężczyzna ze starannie ufryzowanymi lokami opadającymi na ramiona, znany z ujmującego sposobu bycia oraz upodobania do jedwabnych koszul i fantazyjnych butów. Jego znakiem rozpoznawczym były dwa pozłacane rewolwery typu Colt Navy kalibru 0,36 cala z rękojeścią z kości słoniowej, które wyciągał z nieprawdopodobną szybkością. Dziki Bill ponoć nigdy nie chybiał, a ci, którzy odważyli się z nim zmierzyć w bezpośrednim pojedynku, przypłacali nierozwagę życiem (żaden z nich nie przeżył). Równie słynny Wyatt Earp, późniejszy legendarny szeryf w Tombstone i uczestnik strzelaniny w O.K. Corral, zaczynał w 1875 roku jako zastępca szefa policji w Wichita i partner nie mniej znanego Bata Mastersona. Zaprowadził w mieście porządek i zyskał opinię nieustraszonego obrońcy prawa, ale nie był bynajmniej wzorem moralności. Bezwzględny i chciwy, chciał przejąć kontrolę nad lokalami rozrywkowymi. Sprowokował bójkę w miejscu publicznym, za co rada miejska ukarała go wyrzuceniem z pracy. W 1876 roku przeniósł się do Dodge City, gdzie jeden z jego braci otworzył dom publiczny. Tam umocnił swą reputację odważnego i nigdy niechybiającego rewolwerowca o żelaznych nerwach, która miała mu towarzyszyć do końca życia.

Wyatt Berry Stapp Earp (1848–1929) był najpierw łowcą bizonów, podobnie jak inni słynni strzelcy z Dzikiego Zachodu: Patrick „Pat" Garrett, bracia James i William Mastersonowie, James „Dog" Kelly czy najsłynniejszy z nich, William Frederick „Buffalo Bill" Cody. Wszyscy oni zajmowali się zaopatrywaniem w mięso budowniczych kolei oraz dostarczaniem surowca na wyroby skórzane i pasy transmisyjne garbarniom przemysłowych miast na Wschodzie. Tym samym odegrali znaczącą acz niechlubną rolę w wybiciu ogromnych stad bizonów na Wielkich Równinach. Za skórę bizona płacono początkowo osiem dolarów, wielu więc szybko dostrzegło szansę zdobycia fortuny i na Zachód wyruszyły tysiące myśliwych. W roku 1873 tylko w zachodnim Kansas polowało około dwóch tysięcy łowców bizonów. W ciągu trzech lat z Dodge City wysłano na Wschód osiemset pięćdziesiąt tysięcy skór tych zwierząt, z czego ponad siedemset pięćdziesiąt tysięcy w samym 1873 roku. W tymże roku z miasta wywieziono

jedenaście milionów dwieście tysięcy funtów, czyli ponad pięć tysięcy ton mięsa i pięćdziesiąt wagonów peklowanych bizonich jęzorów, uważanych za największy rarytas. Sam Buffalo Bill, właściciel niezawodnego springfielda, nazywanego „Lucretia Borgia” (od imienia córki papieża, owianej złą sławą trucicielki), który w latach 1867–1868 zaopatrywał w mięso budowniczych linii kolejowej Kansas Pacific Railroad, w ciągu siedemnastu miesięcy zabił cztery tysiące dwieście osiemdziesiąt bizonów. Ten wynik przyniósł dwudziestodwuletniemu strzelcowi tytuł „króla łowców bizonów” i przydomek Buffalo Bill, pod którym wszedł do panteonu bohaterów narodowych Ameryki. Kiedy w 1875 roku ogromne stada bizonów na południowych Równinach skutecznie przetrzebiono, wielu myśliwych pozostało w regionie i znalazło sobie nowe zajęcie jako właściciele albo współwłaściciele saloonów, barmani lub hazardziści. Niektórzy stanęli na straży prawa. W centrach handlu bydłem ich strzeleckie umiejętności okazały się jednak mniej potrzebne, niż się potocznie uważa. Dodge City mogło być w powszechnej opinii „wrednym małym miastem w Ameryce, zbudowanym na beczce whisky”, ale jego cmentarz zapełniał się wcale nie szybciej niż gdzie indziej. W 1883 roku, po dwóch latach walki o „moralność” pod rządami postępowego burmistrza Alonzo Webstera, w Dodge City zakończyła się dziesięcioletnia „era whisky”. Nowy włodarz miasta, surowy nowojorczyk i weteran wojny secesyjnej w szeregach armii Unii, wydał zdecydowaną wojnę burzycielom porządku, zakazał sprzedaży alkoholu w niedziele, ograniczył prostytucję, powołał umundurowaną policję i wprowadził surowe kary za włóczęgostwo i chuligaństwo.

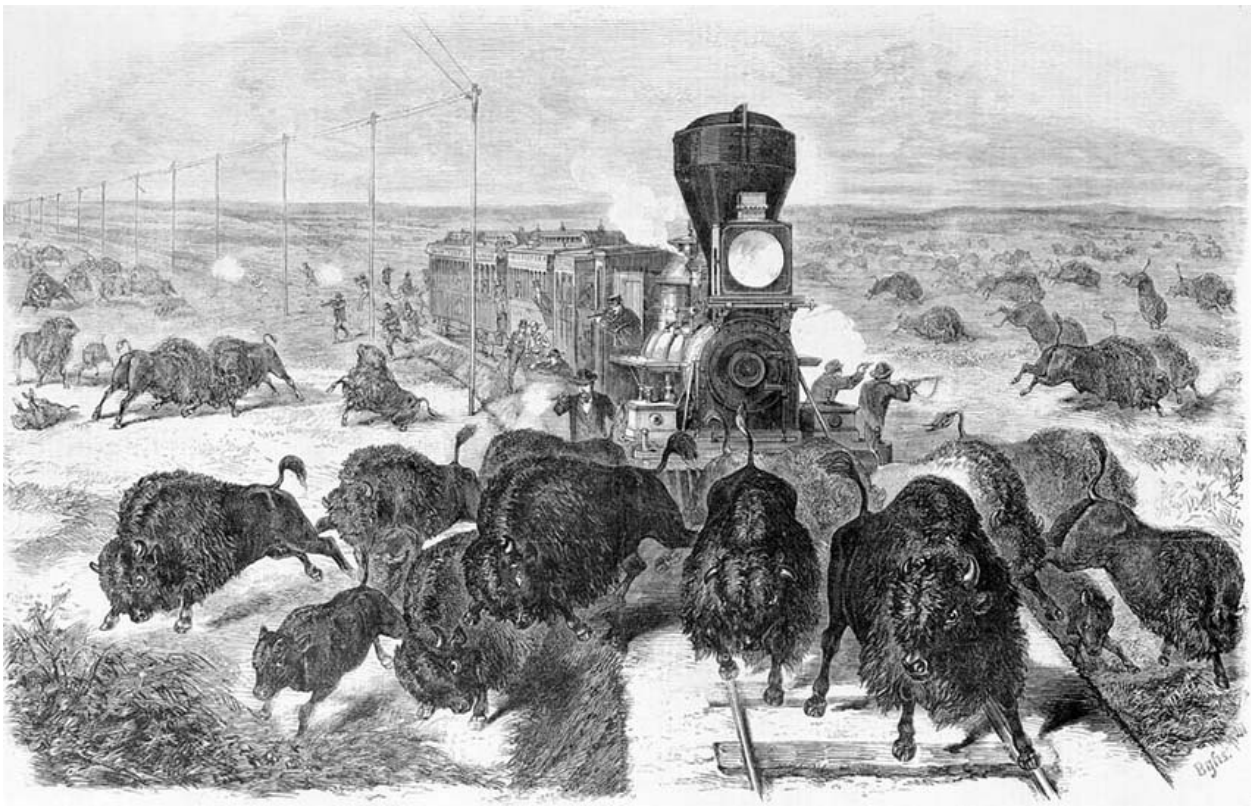

*Strzelanie do bizonów na linii Kansas Pacific*

Świat kowbojów i przepędów ogromnych stad bydła tworzyła niewielka liczebnie grupa twardych, odważnych i niezależnych ludzi. A pierwsi wielcy „królowie bydła”, cieszący się dużym autorytetem właściciele rozległych połaci ziemi, nie zawsze dbali o swój majątek. Ekscentryczny pułkownik Samuel Augustus Maverick (1803–1870), weteran Republiki Teksasu, był tak wrażliwy na punkcie niezależności, że nawet nie znaczył swoich krów. Jego wrogowie podejrzewali, że chodzi mu o to, aby zgłaszać pretensje do wszystkich nieoznakowanych krów pasących się na równinach Teksasu, ale prawda była inna. Kiedy w 1845 roku Maverick otrzymał zamiast pożyczonych pieniędzy tysiąc dwieście sztuk bydła, w ogóle się nimi nie zajmował i po upływie dziesięciu lat liczebność stada nie wzrosła. Wykorzystywali to jego sprytni sąsiedzi, wyłapując nieoznakowane cielęta i piętnując je swoimi znakami. Od tej pory wprowadzone do języka amerykańskiego typowe dla Dzikiego Zachodu określenie „maverick” oznaczało nie tylko nieoznakowaną sztukę bydła, ale także upartego indywidualistę i człowieka niezależnego. Inny bydlęcy baron, Abel Head „Szanghaj” Pierce (1834–1890), który jako dziewiętnastoletni chłopak okrętowy przybył z Nowego Jorku do Teksasu bez grosza przy duszy, zwykł witać swoje krowy w wielkiej posiadłości na nizinnym półwyspie Matagorda okrzykiem: „Oto moje lwy morskie, właśnie wyszły z Zatoki Meksykańskiej”. Na poły purytaninem, na

poły dziwakiem był też, bardzo skądinąd przedsiębiorczy i bogaty, Charles Goodnight. Na swoim ranczu w teksańskiej Rączce Patelni (*Panhandle*), w najlepszym okresie wartym ponad milion dolarów, zakazał picia alkoholu i uprawiania hazardu. Przesadzał do tego stopnia, że za niedopuszczalną uważał nawet niewinną kowbojska grę w pikuty.

*Kolekcja łbów bizonów upolowanych na linii Kansas Pacific*

## Era farmerów

Wolny i niezależny świat dumnych „królów bydła”, twardych kowbojów i zdumiewających przepędów trwał zaledwie około trzydziestu lat. Do roku 1880 kolej wdarła się głęboko na Południowy Zachód i długie szlaki bydlęce stały się niepotrzebne. Na dodatek zaczęła się zmieniać struktura hodowli. Grunty użytkowane do wypasu bydła w większości nie należały do hodowców, lecz stanowiły własność publiczną odebraną Indianom, na której każdy miał prawo za symboliczną opłatą wytyczyć sobie działkę. Zza rzeki Missouri napłynęły więc rzesze osadników szukających ziemi pod uprawę, którzy zryli pługami pastwiska na Wielkich Równinach i posiali zboże. Na rozległych terenach hodowlanych w zachodnim Kansas, Nebrasce, Dakocie, Wyomingu, Montanie, Kolorado, Teksa-

sie i na Terytorium Indiańskim, uważanych dotąd za „krainę bydła”, pojawiła się sieć drobnych farm.

Na ogromne przestrzenie Zachodu, a zwłaszcza Wielkich Równin, zwróciły też uwagę wielkie korporacje, za którym stał kapitał spekulacyjny z Wielkiej Brytanii. Zaczęły one skupywać grunty indywidualnych hodowców bydła oraz ziemie publiczne i wszystko grodzić. Odkąd bowiem w 1875 roku wysłano pierwszy transport amerykańskiej wołowiny do Europy, jej eksport wciąż rósł (najwyższy poziom osiągnął w 1881 roku), a w ślad za tym wzrastało zainteresowanie europejskich kół finansowych hodowlą bydła w Stanach Zjednoczonych. Za ocean zaczęło wyjeżdżać wielu Anglików, aby osobiście zająć się hodowlą, co Amerykanie komentowali z ironią, że nowi ranczerzy będą pilnować bydła z pomocą psów gończych. W 1884 roku udział brytyjskiego kapitału w hodowli na Wielkich Równinach wynosił już trzydzieści milionów dolarów. Eliminowanie konkurencji, likwidacja starych rancz i zmiana organizacji hodowli pozbawiły pracy wielu ludzi, powodując duże bezrobocie wśród kowbojów i wzrost przestępczości.

Dni handlu długorogami były policzone. Do stad na Północy zaczęto dołączać łagodniejsze i bardziej wydajne bydło z Europy, głównie szlachetnych ras Hereford, Branman i Angus, nadal narażone na teksańską gorączkę przenoszoną przez półdzikie krowy z Południa. Kiedy ceny wołowiny z długorogów z Południowego Zachodu spadły, znaczenia nabrały północne pastwiska w Wyomingu i Montanie. Na dawne tereny hodowlane coraz głębiej i głębiej wkraczali nowi osadnicy. Druty grodzeń przecięły szlaki przepędów i bardzo utrudniły hodowlę na otwartych przestrzeniach. Zmniejszyła się powierzchnia pastwisk, a bydła przybywało. Wkrótce problem rozwiązała sama przyroda. Straszliwe mrozy i zamiecie śnieżne w latach 1884–1885 i 1886–1887 spowodowały spadek pogłowia bydła na Zachodzie nawet o osiemdziesiąt procent. Setki tysięcy krów padły na pastwiskach z głodu i zimna. Wielcy hodowcy stanęli w obliczu klęski. Dotychczasowy system hodowli się załamał i ustąpił miejsca nowemu sposobowi gospodarowania ziemią.

Użytkowane przez hodowców tereny stopniowo przechodziły w ręce farmerów i nowocześnie myślących ranczerów. Nowi hodowcy ogradzali swoje pastwiska i wodopoje, a bydło karmili sianem zwożonym do paśników na wozach. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych otwarte przestrzenie, po których do niedawna swobodnie wędrowali kowboje, polegający tylko na sobie, koniu i lassie, przeszły do historii. Wielu z nich stało się po prostu zwykłymi wiejskimi parobkami.

Odtąd przyszłość należała do farmerów. W 1873 roku Joseph Farwell Glidden, farmer z De Kalb w Illinois, udoskonalił wynalazek Francuza Louisa Jannina z 1865 roku i opracował sposób przemysłowej produkcji drutu kolczastego. Do tej pory wszystkie sposoby grodzenia terenów zawodziły: bydło się przemieszczało, a stada mieszały, co sprzyjało kradzieżom. Zastosowanie drutu kolczastego pozwoliło na grodzenie pastwisk i utrzymanie stad w jednym miejscu, a zarazem zabezpieczało ziemie drobnych farmerów przed niszczeniem przez bydło wielkich hodowców. Do początku lat dziewięćdziesiątych większość terenów prywatnych została ogrodzona. Jednakże wobec niejasno określonych granic pastwisk procesowi temu towarzyszyły spory o prawo użytkowania ziemi i ciągłe konflikty między sąsiadującymi hodowcami, głównie na tle swobodnego dostępu bydła do wody. W miarę postępów osadnictwa dotychczasowi hodowcy byli wypierani coraz dalej na zachód, co zostrzało jeszcze sytuację i prowadziło nawet do krwawych starć między drobnymi hodowcami a ich potężnymi sąsiadami skupionymi w stowarzyszeniach hodowców**[61]**. Organizacje reprezentujące interesy hodowców (*Cattle Growers Associations*) powstały na Zachodzie już w latach 1865–1870, ale urosły w siłę w latach osiemdziesiątych, kiedy ich główne cele sprowadziły się do zwalczania konkurencji, walki z kradzieżami bydła i niedopuszczania nowych osadników na ziemie publiczne, na których wypasano bydło.

Według tradycyjnego wzorca anglo-saksońskich kolonii zawsze na pograniczu osiedlali się farmerzy, nie kupcy i handlarze. Przez wiele lat amerykański rolnik wzbraniał się przed wbiciem pługa w żyzną glebę Wielkich Równin. Odstraszała go bezkresna naga preria, smagana silnymi wiatrami, nawiedzana prze ulewne deszcze, tornada i powodzie. Generał William Tecumseh Sherman pisał z Kolorado, że ludzi ze Wschodu może tam sprowadzić tylko konieczność albo rządowe zachęty pieniężne. Jednakże te rozległe ziemie miały jeden wielki walor: leżały na szlaku prowadzącym na Zachód i nic nie kosztowały.

„Jedź na Zachód, młody człowieku!” (Go *West, young man*) – napisał w 1851 roku w gazecie „Terre Haute Express” ukazującej się w Indianie dziennikarz John Soule. Słowa te przypomniał i rozwinął czternaście lat później słynny dziennikarz i gorący rzecznik ekspansji na Zachód, Horace Greeley, który w artykule nowojorskiej „Tribune” z 13 lipca 1865 roku zamieścił wezwanie: „Jedź na Zachód, młody człowieku, i rozwijaj się wraz z krajem!”. Zdanie to, jedno z najbardziej znanych w XIX stuleciu, odegrało wielką rolę w kolonizacji Zachodu, zachęcając ludzi do szukania szansy na poprawę życia za rzeką Missouri, gdzie czekały żyzne ziemie, nie było przeludnienia, ubóstwa i bezrobocia. Odpo-

wiadając na wezwanie Greeleya, na Zachód tłumnie ruszyli osadnicy.

Warunki prawne do kolonizacji stworzył Akt osadnictwa (*Homestead Act*), podpisany w 1862 roku przez prezydenta Abrahama Lincolna. Na jego podstawie każdy, kto ukończył dwadzieścia jeden lat i był lub chciał zostać obywatelem Stanów Zjednoczonych, mógł otrzymać za symboliczną opłatą działkę ziemi. Warunkiem było wybudowanie domu i uprawianie ziemi przez pięć lat. Ziemie publiczne zajmowane przez hodowców na pastwiska zostały rozparcelowane na sześćdziesięciopięciohektarowe (stusześćdziesięcioakrowe) działki i wystawione na sprzedaż. Inne przepisy zezwalały na wydzierżawienie dodatkowego areału o powierzchni stu dziewięćdziesięciu pięciu hektarów (czterystu osiemdziesięciu akrów). Nieliczne do tej pory społeczności na Zachodzie, zainteresowane zwiększeniem bezpieczeństwa i zamożności, co zdawały się gwarantować tłumy przybyszów, aktywnie zabiegały o osadników. Na przykład w lokalnych gazetach Kansas zapewniano, że tutejsze ziemie są „bogate na równi z tymi, które leżą na brzegach słynnego dalekiego Nilu”. Z kolei szacowni senatorowie z Dakoty twierdzili w 1869 roku, że na ich żyznym terytorium można uprawiać wszystko, „od żyta do najprzedniejszej pszenicy, od ziemniaków po melony”. Hałas propagandowy zwiększył się jeszcze w latach siedemdziesiątych, kiedy do polowania na osadników dołączyły towarzystwa kolejowe, dysponujące ogromnymi obszarami ziemi otrzymanymi od rządu. Rozwój linii kolejowych, który ułatwił dostarczanie bydła na rynki zbytu, przyspieszył też rozwój osadnictwa i zajmowanie terenów publicznych pod uprawę.

Wabieni zachętami i mirażem darmowej ziemi, farmerzy przybywali coraz tłumniej i coraz dalej w głąb Wielkich Równin zapuszczały się ich wozy, za którymi podążało kilka sztuk bydła i innych zwierząt domowych. Z braku drewna przybysze budowali domy z darni i przykrywali dachy torfem, co zapewniało chłód w lecie i ciepło zimą. Za opał służył im chrust lub wysuszone krowie łajno. Kopali studnie, nieraz głębokie na trzydzieści metrów, i czerpali z nich wodę siłą własnych rąk. Gospodynie wyrabiały masło, śmietanę i ser z mleka krów pasących się na ogrodzonym pastwisku. Mężczyźni orali i obsiewali niewielkie poletka pszenicą na północy i kukurydzą na południu. Kobiety hodowały warzywa w przydomowych ogródkach. Zwykle wokół domu kręciło się kilka świń i stadko kur. Osadnicy prowadzili życie pełne wyrzeczeń i ciężkiej harówki. Padali ofiarą to suszy, to ulewnych deszczów. Zboże to wysychało, to kładło się, wysmagane zbyt obfitymi opadami, to pożerały je chmary wygłodniałej szarańczy. Niekiedy napadali ich Indianie, niechętni pochodowi białych, zwłaszcza przez Terytorium Indiańskie. Kiedy indziej zazdrośni hodowcy bydła nisz-

czyli im ogrodzenia, tratowali zasiewy i biczowali tych, którzy odważyli się protestować. Wielu nie wytrzymywało, pakowało swój skromny dobytek na wóz i ruszało dalej na zachód.

Praca farmera nigdy się nie kończyła i była równie ciężka jak kiedyś praca kowboja. „Wykonałam pracę w obejściu i posprzątałam dom, potem upiekłam pszenny i kukurydziany chleb, wycięłam nocną koszulę i częściowo ją zszyłam, jestem bardzo zmęczona” – pisała w 1873 roku żona farmera z Kansas. Kobieta zajmowała się domem, dziećmi i zwierzętami, dbała też o przydomowy ogródek warzywny. Jej mąż, często bez niczyjej pomocy, budował, kopał, nawadniał, orał, siał i kosił, a rzadko kiedy miał z tego sto pięćdziesiąt dolarów rocznie.

Zachód jednak sprzyjał odważnym, pracowitym i optymistom. Dlatego wysiłek farmera gospodarującego na Wielkich Równinach nie szedł na marne, a ziemia potrafiła mu się sowicie odwdzięczyć. Potem doszły urządzenia techniczne, które ułatwiały pracę i zwiększały wydajność gleby. Do roku 1900 ponad pięćset tysięcy farm w pasie Wielkich Równin produkowało już około dziewięćdziesięciu milionów ton ziarna, jedną trzecią całej produkcji zboża w Ameryce. Ten niebywały sukces amerykańscy farmerzy zawdzięczali głównie swojemu niezwykłemu uporowi i ciężkiej pracy. W ciągu niespełna stulecia ponura i odstręczająca dzicz, zniechęcająca wczesnych podróżnych, zmieniła się w światowy spichlerz zboża oraz kraj mlekiem i miodem płynący.

Rozdział VIII

# Ujarzmienie zachodu

## Dyliżansem przez prerię

W ciągu dwudziestu pięciu lat od otwarcia szlaku Oregońskiego, wzdłuż tej najpopularniejszej drogi na Zachód powstał cały system faktorii handlowych, stacji telegraficznych i komunikacyjnych, fortów, przepraw promowych i mostów, które miały służyć emigrantom, wojsku, liniom dyliżansów, poczcie konnej i transkontynentalnej linii telegraficznej. Mniejsze odnogi i skróty miały prowadzić do doliny Salt Lake i złotonośnych pół Kalifornii. Kiedy nowe osiedla na zachodzie kraju zaczęły rosnąć i się bogacić, powstała potrzeba uruchomienia szybkich i pewnych linii komunikacyjnych, łączących Zachód ze starymi wschodnimi stanami.

Rosnące znaczenie gospodarcze i polityczne wybrzeża Oceanu Spokojnego i zasiedlonych terenów w środku kontynentu wymagało szybkiego transportu i dobrej komunikacji z resztą kraju. Linie komunikacyjne były niczym żyły i arterie, którymi płynęła życiodajna krew dla rozwijającej się gospodarki nowych terytoriów. Do połowy XIX wieku pionierscy „ludzie z gór” otworzyli drogę stałym osadnikom i w niedługim czasie na ziemiach Zachodu osiedliły się tysiące imigrantów: według spisu ludności z 1850 roku mieszkało ich tam już około dwustu pięćdziesięciu tysięcy. Stare, niewygodne drogi handlowe i szlaki podróżne przestały wystarczać do zaopatrzenia i utrzymania rozkwitającego na tych ziemiach życia ekonomicznego. Dla powodzenia ekspansji na Zachód, dla

bezpieczeństwa rosnącego w siłę narodu amerykańskiego i umocnienia jego jedności potrzebne były silne więzi łączące nowy, ambitny porządek kształtujący się na Zachodzie ze starym społeczeństwem na wschodnim wybrzeżu.

Od samego początku nowe terytoria były otwarte dla prywatnej przedsiębiorczości. Rząd federalny, poza kilkoma wyjątkami, nie angażował się w inicjatywy odkrywcze, próby ucywilizowania i rozwój gospodarczy ogromnych obszarów leżących na zachód od Missisipi. Waszyngton ograniczył się do wydania paru koncesji, umożliwiających osobom prywatnym podjęcie działań w celu wykorzystania potencjału ziem zachodnich i powiązania ich z głównymi centrami politycznymi i gospodarczymi kraju.

Jeszcze przed wielką gorączką złota w 1849 roku stało się jasne, że Oregon i Kalifornia będą potrzebowały nowych szlaków komunikacyjnych. W końcu lat czterdziestych zaczęto nawet przebąkiwać o wybudowaniu transkontynentalnej linii kolejowej. W 1848 roku niezłomny promotor ekspansji na Zachód, John Charles Frémont, bez powodzenia szukał nowych przełęczy, którymi można by doprowadzić kolej do wybrzeża Oceanu Spokojnego. W tym samym czasie kapitan Howard Stansbury z wojskowej służby topograficznej przedsięwziął dwuletnią ekspedycję (1849–1851) do doliny Salt Lake i północnego Utah w poszukiwaniu nowych szlaków emigranckich i dogodnej drogi dla przyszłej linii kolejowej. Odkrył wówczas wygodny szlak przez Przełęcz Czejenów (*Cheyenne Pass*) do Laramie w Wyomingu. Ostatecznie wybrano pięć możliwych tras, którymi można by poprowadzić kolej w poprzek kontynentu, ale kraj nie dysponował jeszcze odpowiednimi środkami do realizacji tak gigantycznego przedsięwzięcia. Proces usprawnienia komunikacji pomiędzy Wschodem i Zachodem rozpoczęto zatem na mniejszą skalę, od rozwinięcia usług pocztowych.

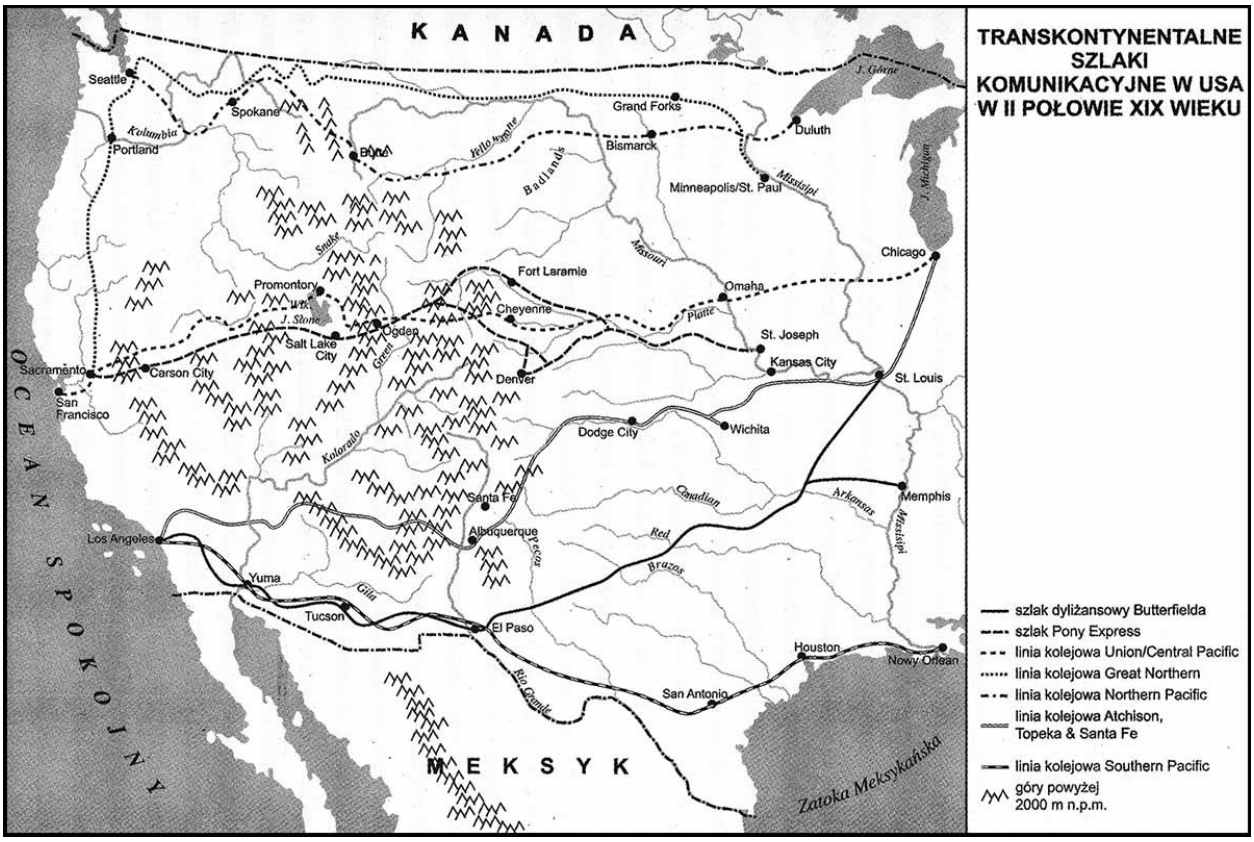


W 1850 roku dobrze zorganizowana społeczność mormonów w Utah jako pierwsza uruchomiła nieregularną łączność pocztową pomiędzy Salt Lake City a stacją końcową w Independence w Missouri za pośrednictwem dyliżansów przewożących paczki i listy. Ta powolna i zawsze narażona na poważne opóźnienia poczta funkcjonowała do czasu, gdy Stany Zjednoczone ogarnęła antymormońska gorączka, która w końcu przerodziła się w akcję zbrojną, i w rezultacie łączność z Kalifornią została odcięta. Z konieczności więc całą pocztę w obie strony wysyłano statkami dookoła Ameryki Południowej albo przez Zatokę Meksykańską do Przesmyku Panamskiego, skąd po przewiezieniu na wybrzeże Pacyfiku rozsyłano ją statkami do różnych miejsc na wybrzeżu Kalifornii. W 1856 roku obywatele tego najszybciej rozwijającego się wówczas stanu Unii zażądali od Kongresu otwarcia nowej, bezpiecznej drogi na wschód i regularnej łączności pocztowej z resztą kraju. W marcu 1857 roku Kongres, na wniosek nowo wybranego prezydenta Jamesa Buchanana, wyraził zgodę na uruchomienie transkontynentalnej linii pasażerskiej i pocztowej pomiędzy doliną Missisipi a San Francisco, obsługiwanej przez „dobre dyliżanse z czterokonnym zaprzęgiem”. Drogie i ciężkie, bo ważące grubo ponad tonę, ale za to mocne i dość wygodne powozy typu Concord (nazwane tak od miasta w stanie New Hampshire, gdzie je produkowano), wykonane z żelaza i twardego drewna jesionu amerykańskiego, za-

pewniały przebycie całej trasy w ciągu dwudziestu pięciu dni.

Koncesję na obsługę pierwszej linii dyliżansowej do Kalifornii przyznano dawnemu woźnicy dyliżansu, przewoźnikowi i przedsiębiorcy pocztowemu ze stanu New York, Johnowi Warrenowi Butterfieldowi (1801–1869), potężnemu mężczyźnie, którego zapał i energia dorównywały imponującej posturze. Nie było to jednak zadanie łatwe nawet dla tak doświadczonego człowieka w branży transportowej. Wymagało zorganizowania sprawnej komunikacji na długości czterech i pół tysiąca kilometrów ze wschodnich terminali w St. Louis w Missouri i Memphis w Tennessee do San Francisco, przez Fort Smith (Arkansas), Terytorium Indiańskie, El Paso (Teksas), Tucson (Arizona), Fort Yuma (Kalifornia) i Los Angeles. Butterfield zaproponował szlak południowy – o prawie tysiąc kilometrów dłuższy niż drogi przecinające środek kontynentu, przez Denver w Kolorado i Salt Lake City w Utah – ale nienarażony na zimowe opady śniegu i zawsze dostępny. Na wytyczenie trasy, budowę stacji pocztowych, zakup dyliżansów, wynajęcie ludzi do obsługi i przygotowanie niezbędnych zapasów miał tylko rok. Energicznie więc wziął się do roboty. W długim żółtym płaszczu przeciwdeszczowym i szerokoskrzydłym kapeluszu był wszędzie obecny. „To najbardziej energiczny zarządca, jakiego kiedykolwiek widziałem” – napisał pewien zauroczony nim reporter. Pod kierunkiem Butterfielda oczyszczono drogi, przerzucono mosty i wykopano studnie. Na całej długości szlaku powstało sto czterdzieści jeden stacji pocztowych. Potem Butterfield zakupił dwieście pięćdziesiąt dyliżansów firm Concord i Celebrity, tysiąc osiemset koni i mułów przeznaczonych do zaprzęgów, wynajął całą armię woźniców, konwojentów, służących w liberiach, kowali, kierowników stacji i agentów sprzedaży, łącznie ponad osiemset osób. Pojedynczy bilet na całej trasie kosztował dwieście dolarów, a na krótszych odcinkach dziesięć centów za milę (nieco ponad półtora kilometra). Inwestycja warta milion dolarów i wysiłek włożony przez Butterfielda oraz jego wspólników zostały nagrodzone sześcioletnim kontraktem na sześćset tysięcy dolarów rocznie. Była to w owym czasie najwyższa pod względem wartości umowa na świadczenie usług pocztowych w Stanach Zjednoczonych. Na drzwiczkach dyliżansów zamieszczono godło i napis informujące, że przewozi się nimi pocztę państwową, zatem potencjalni rabusie będą ścigani przez władze federalne. „Szlak pocztowy Overland jest najdłuższą i najważniejszą drogą komunikacyjną, jaką kiedykolwiek ustanowiono w jakimkolwiek kraju” – donosił z dumą minister poczty w administracji Buchanana i zarazem współtwórca całego przedsięwzięcia, Aaron Brown.

We wrześniu 1858 roku wszystko było gotowe. 16 września Butterfield poje-

chał pociągiem do Tipton (w połowie drogi między St. Louis i Independence), gdzie kończyła się linia kolejowa, i tam przesiadł się do pierwszego dyliżansu linii Butterfield Overland Mail Company. W tej pierwszej podróży do Kalifornii towarzyszyło mu trzech pasażerów oraz korespondent gazety „New York Herald", Waterman Ormsby. Dwa worki z pocztą znajdowały się pod kozłem, w skrzyni do przewozu wartościowych ładunków. Syn Butterfielda, przyciągający uwagę licznie zgromadzonych gapiów ogromnych rozmiarów muszką pod szyją, strzelił z bata i dyliżansowa linia pocztowa do Kalifornii rozpoczęła swoją działalność.

*Dyliżans Batterfielda*

Tuż po wschodzie słońca 10 października dyliżans z Butterfieldem i towarzyszącym mu dziennikarzem, rozpartymi na tapicerowanych ławkach, wtoczył się triumfalnie do San Francisco, na długo przed planowanym terminem przyjazdu (cała podróż trwała dwadzieścia trzy dni i dwadzieścia trzy godziny). Dzięki temu wydarzeniu, cieszył się redaktor miejscowej gazety „Bulletin", „Kalifornia została znowu połączona z resztą Unii". W rzeczywistości pierwsza podróż dyliżansem z Tipton do San Francisco była dla jego pasażerów prawdziwym koszmarem. Butterfield i Ormsby jako jedyni przebyli całą trasę, liczącą cztery tysiące pięćset dwadzieścia pięć kilometrów. „Gdybym tylko mógł wysiąść po dro-

dze, wróciłbym bez wahania, ale za to teraz wiem, jak wygląda piekło. Tkwiłem w nim przez dwadzieścia cztery dni” – napisał później Ormsby.

*Napad Indian na dyliżans*

Mimo trudnych warunków podróżowania przedsięwzięcie Butterfielda szybko zyskało ogromny rozgłos i odniosło wielki sukces finansowy. Komunikacja dyliżansowa udowodniła, że jest szybka, wygodniejsza i dużo łatwiejsza niż ryzykowna podróż morska dookoła strasznego przylądka Horn. Butterfield obniżył ceny biletów, a ludzie dosłownie bili się o miejsca i oferowali dodatkową zapłatę, aby tylko móc jechać. Pewien Anglik zmierzający do Kalifornii w 1860 roku odnotował, że wewnątrz dyliżansu panował taki ścisk, że pasażerowie musieli siedzieć z „mocno podkulonymi kolanami”, a niektórzy nawet wisieli uczepieni na zewnątrz, gdyż „zgodnie z ogólnym przyzwoleniem, amerykański pojazd nigdy nie jest pełny”. Warto przy tym pamiętać, że standardowe pudło dyliżansu mogło pomieścić od sześciu do dziewięciu pasażerów, a kolejnych sześciu, nie licząc woźnicy i jednego lub dwóch uzbrojonych konwojentów siedzących na koźle, mogło jechać na dachu. W tak mało komfortowy sposób, wstrząsani nierównościami terenu mimo skórzanych resorów, pasażerowie linii Butterfielda przemierzali prerie, góry i pustynie, mijając kupki wyschniętych kości,

które najczęściej służyły jako znaki drogowe na szlaku. Dławiąc się kurzem nieutwardzonych dróg (w oknach dyliżansów nie było szyb, a w razie potrzeby zasłaniano je skórzanymi lub płóciennymi roletami), zmęczeni i obolali tak bardzo, że nie mogli nawet spać, docierali do stacji etapowych zbudowanych z suszonej na słońcu gliny *adobe*. W ich mrocznych wnętrzach rzucali się na szybki posiłek i po zmianie koni gnali dalej, modląc się, aby nie dopadli ich budzący grozę Apacze. Mimo tych niewygód dwa razy w tygodniu, w palącym słońcu, kurzawie i śnieżycy, dyliżanse pocztowe Butterfield Overland Mail pędziły niestrudzenie w obu kierunkach przez kontynent, wioząc pasażerów, towary oraz do dwunastu tysięcy listów i przesyłek pocztowych. A John Butterfield zacierał ręce i rósł w siłę.

## Poczta konna Pony Express

Wkrótce Butterfieldowi pozazdrościli sukcesów inni przewoźnicy, a zwłaszcza stara firma transportowa założona przez Williama Russella, Alexandra Majorsa i Williama Waddella. Jej właściciele bardzo się wzbogacili, najpierw jako przewoźnicy na szlaku Santa Fe, a potem jako dostawcy zaopatrzenia dla posterunków wojskowych na zachodnim pograniczu. W roku 1858 ich firma była warta około dwóch milionów dolarów. Zatrudniała ponad cztery tysiące ludzi i miała do dyspozycji trzy i pół tysiąca wozów oraz czterdzieści tysięcy wołów pociągowych. To wystarczało Majorsowi i Waddellowi, ale nie dalekowzrocznemu Russellowi. Pod koniec 1859 roku, utopiwszy pieniądze w nieudanej próbie otwarcia regularnej linii dyliżansowej w Kolorado, wpadł on na pomysł, żeby rzucić wyzwanie Butterfieldowi i zorganizować szybką pocztę konną. Listy przewoziliby w ciągu dziesięciu dni sprawni konni posłańcy wytyczonym szlakiem z Missouri przez Kansas, Nebraskę, Wyoming, Utah, Nevadę do Kalifornii. Wspólnikom pomysł się spodobał i szybko przystąpili do jego realizacji. Kupili drogie konie, średnio po dwieście dolarów za sztukę, i w styczniu 1860 roku Russell dał ogłoszenie w prasie:

„Potrzebni młodzi, chudzi i żylaści chłopcy do 18 lat. Muszą doskonale jeździć konno i być gotowi codziennie ryzykować życie. Pożądane sieroty. Płaca 25 dolarów tygodniowo. Zgłoszenia w stajniach Pony Express w St. Joseph, Missouri”.

*Kurier Pony Express na szlaku*

Wśród osób, które odpowiedziały na to ogłoszenie, znaleźli się między innymi dwaj późniejsi bohaterowie Dzikiego Zachodu – piętnastoletni William Frederick Cody, znany potem jako Buffalo Bill, oraz nieco starszy od niego James Butler (Dziki Bill) Hickok. Zgłosił się także osławiony zabójca Joseph „Jack” Slade (1824–1864) oraz najmłodszy z chętnych, czternastoletni Billy Tate. Hickok został szefem stacji pocztowej w Rock Creek w Nebrasce, a Slade – w Cold Springs w Kolorado. Tate jeździł na szlaku pocztowym w Nevadzie w rejonie Ruby Valley (zginął w walce z Indianami w maju 1860 roku).

Na trasie liczącej dwa tysiące dziewięćset pięćdziesiąt kilometrów założono sto pięćdziesiąt siedem stacji etapowych, oddalonych od siebie od ośmiu do czterdziestu kilometrów, na których trzymano ponad czterysta koni dla posłańców. W ciągu dwóch pierwszych miesięcy 1860 roku zaangażowano stu dwudziestu jeźdźców oraz czterystu ludzi obsługi i poczta konna Pony Express mogła ruszyć. Pierwszy kurier, wyposażony w specjalne wydanie Biblii, otrzymane od religijnego Majorsa do „obrony przed skażeniem moralnym”, oraz dwa re-

wolwery, spiął ostrogami swego czarnego wierzchowca na przedmieściach St. Joseph w Missouri 3 kwietnia tego roku o godzinie 19.15. Według niektórych był nim dawny marynarz i „człowiek przywykły do każdej trudności”, dwudziestoześcioletni Johnson William „Billy” Richardson, według innych – dwudziestoletni Johnny Fry, ale pewności nie ma. Wiadomo natomiast, że jako pierwszy z Sacramento na Wschód wyruszył 4 kwietnia o godzinie 2.45 w nocy William „Bill” Hamilton. Pierwsza przesyłka ze Wschodu dotarła do Salt Lake City 9 kwietnia o 18.45, 12 kwietnia o 14.30 była w Carson City, a do San Francisco przywieziono ją 14 kwietnia około północy, dziesięć dni po wyruszeniu z St. Joseph. Zawierała czterdzieści dziewięć listów, pięć prywatnych telegramów, pewną liczbę oficjalnych dokumentów dla San Francisco i miejscowości mijanych po drodze oraz egzemplarze gazet z Nowego Jorku, Chicago, St. Louis i St. Joseph.

Podróż do Sacramento w Kalifornii, wymagająca zmiany siedemdziesięciu pięciu koni, trwała średnio dziesięć i pół dnia. Opłata za przesyłkę wynosiła początkowo pięć dolarów za pół uncji (około piętnastu gramów) i była to kwota, na którą przeciętny człowiek nie mógł sobie w tym czasie pozwolić. Potem obniżono cenę do dwóch i pół dolara, a w lipcu 1861 roku do jednego dolara, ale nawet wtedy uważano, że jest to wysoka opłata. Przesyłki ważono na wadze ze złota. Listy, prasę i drobne paczki przewożono w specjalnej skórzanej torbie, nazywanej z hiszpańskiego *mochila*, zakładanej na siodło i przytrzymywanej ciężarem jeźdźca. Na wszystkich czterech rogach *mochila* miała kieszenie, zwane *cantinas*, w których umieszczano zawiniątka z listami i dla większego bezpieczeństwa zamykano je na kłódki. Kurierzy byli uzbrojeni w dwa sześciostrzałowe kolty albo w rewolwer i siedmiostrzałowy karabin typu Spencer, których mogli używać tylko w samoobronie.

Początkowo robiono jeden kurs w tygodniu, potem dwa na tydzień. Na kolejnych stacjach kurier zeskakiwał z konia, przekładał torbę na świeżego wierzchowca, wskakiwał na siodło i pędził dalej. Na zmianę konia przeznaczano dwie minuty. *Mochila* z pocztą, siodło, uzda i ekwipunek ważyły łącznie około czterdziestu funtów, czyli nieco ponad osiemnaście kilogramów. Jeźdźcy Pony Express, w większości młodzi chłopcy drobnej postury, musieli mieć nieludzką wprost wytrzymałość i utrzymywać żelazną dyscyplinę, aby zmieścić się w wyznaczonym terminie.

Przeciętna szybkość kuriera wynosiła szesnaście kilometrów na godzinę. To wystarczało, żeby galopujący koń nie zmęczył się przed dokonaniem zmiany i żeby zachować wyznaczone tempo prze-

jazdu. Jeźdźcy zmieniali się zwykle co sto dwadzieścia do stu sześćdziesięciu kilometrów, ale nieraz zdarzało się, że musieli pokonywać znacznie większe odległości. Bill Cody przejechał kiedyś w Wyomingu pięćset osiemnaście kilometrów w ciągu dwudziestu jeden godzin i czterdziestu minut. Dziewiętnastoletni Jack Keetley, który jako jeden z nielicznych jeździł dla Pony Express przez cały czas jego istnienia, pokonał pięćset pięćdziesiąt kilometrów w trzydzieści jeden godzin bez postoju na odpoczynek i posiłek. Inny młody jeździec, dwudziestoletni Anglik Robert „Pony Bob” Haslam, nie zważając na zagrożenie ze strony Indian, przejechał w maju 1860 roku bez odpoczynku trzysta dziesięć kilometrów z pocztą na Wschód i po dziewięciogodzinnej przerwie wrócił tą samą drogą z przesyłką ze Wschodu. Była to najdłuższa podróż pojedynczego kuriera w historii Pony Express, tym bardziej godna podziwu, że Haslam, raniony indiańską strzałą w twarz, dotarł do celu z zaledwie dwugodzinnym opóźnieniem. Za swój wyczyn dostał sto dolarów premii. Haslam ustanowił także rekord szybkości na szlaku poczty konnej, przejeżdżając ponad sto dziewięćdziesiąt kilometrów w osiem godzin i dwadzieścia minut z wiadomością o wyborze Lincolna na prezydenta, wysłaną 7 listopada 1860 roku z fortu Kearny w Nebrasce, gdzie znajdował się zachodni terminal linii telegraficznej. Wiadomość ta dotarła do Kalifornii w siedem dni i siedemnaście godzin.

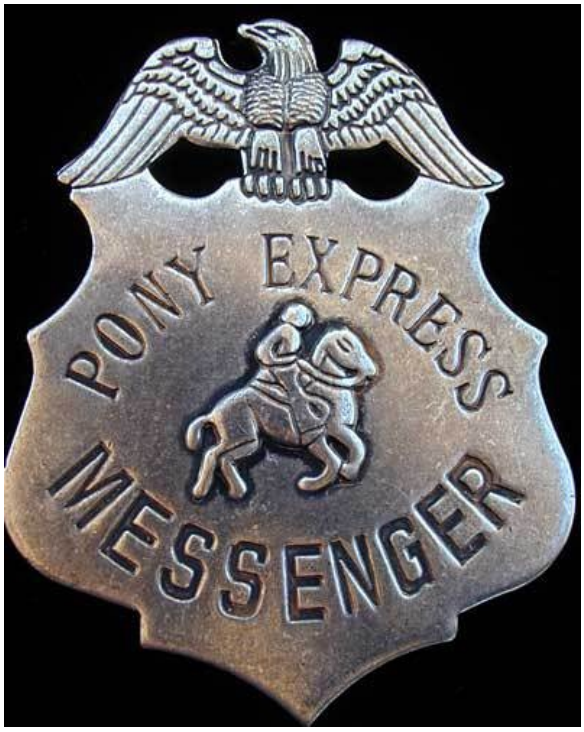

*Odznaka kuriera Pony Express*

Poczta Pony Express kursowała bez względu na pogodę, porę dnia i warunki bezpieczeństwa na szlaku. Przestała funkcjonować tylko raz po ośmiu tygodniach istnienia, gdy w maju i czerwcu 1860 roku Pajuci z Nevady ruszyli przeciwko białym i spalili kilka stacji, zabijając szesnastu pracowników i kradnąc lub płosząc około stu pięćdziesięciu koni. Oprócz ludzi, straty Pony Express wyniosły wówczas siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. W czerwcu wojsko przywróciło spokój i poczta wznowiła działalność. W kwietniu 1861 roku wybuchła wojna secesyjna i ze względu na zagrożenie ze strony konfederatów Pony Express ograniczyła swoją działalność do odcinka z Salt Lake City do Sacramento.

*Mochila*

Tradycyjne dyliżanse Butterfielda nie mogły w żaden sposób równać się z tak szybką, pełną poświęceń usługą. Wkrótce jednak Pony Expressowi zagroził inny rywal – dynamicznie rozwijająca się technika. Kiedy kurierzy konni przemierzali galopem kontynent, mijali po drodze małe grupki robotników wbijających w ziemię drewniane słupy transkontynentalnej linii telegraficznej Western Union. Nie wiedzieli zapewne, co to dla nich oznacza.

Wynaleziony w 1837 roku i spopularyzowany przez słynnego amerykańskiego wynalazcę Samuela Morse'a telegraf elektryczny nieubłaganie kroczył naprzód z przeciętną szybkością około dziewiętnastu kilometrów dziennie, ze wschodu i zachodu do Salt Lake City. 24 października 1861 roku zetknięto końcówki drutów i momentalnie pierwsza wiadomość połączyła oba amerykańskie wybrzeża**[**62**]**. Dwa dni później Pony Express zakończył działalność. W ciągu osiemnastu miesięcy i dwóch tygodni jego kurierzy przewieźli około trzydziestu pięciu tysięcy przesyłek i przejechali blisko dwa i pół miliona kilometrów. Mimo rządowego kontraktu na przewóz poczty Russell, Majors i Waddell stracili na swoim interesie dwieście tysięcy dolarów. W 1862 roku stacje i majątek poczty konnej Pony Express kupił nowy „król dyliżansów", Ben Holladay. Jego działalność nie trwała długo i ostatecznie zakończyła się klapą, ale Pony Express obrósł z czasem romantyczną legendą i stał się ważnym elementem barwnej tradycji amerykańskiego Zachodu.

W tym samym 1861 roku katastrofa dosięgła także dyliżansową linię pocztową Butterfielda. Po wybuchu wojny secesyjnej Konfederacja odcięła się od Unii i południowy szlak dyliżansów został zablokowany. Kongres niecierpliwie nalegał na przywrócenie łączności z bogatą Kalifornią, więc dyliżanse pocztowe skierowano na wolne od konfederatów północne trasy, pokrywające się z grubsza z linią Pony Express. Stary już i schorowany John Butterfield pozwolił, aby jego interes przeszedł w ręce nienasyconego Williama Russella. Ten przywrócił komunikację dyliżansową szlakiem północnym, ale to też go nie uratowało. Wprost utonął w bagnie długów i malwersacji, aż w końcu – zamieszany w

skandal finansowy z udziałem przedstawicieli administracji rządowej – całkiem stracił twarz i panowanie nad swoim imperium. Skorzystał na tym pozbawiony skrupułów Ben Holladay (1819–1887).

Czarnobrody, zimny Holladay, dawny właściciel saloonu i producent whisky z niewiarygodną smykałką do wszelakich interesów, zbudował swoją potęgę finansową na bliskiej znajomości z przywódcą mormonów Brighamem Youngiem i na długach Russella. Mówiono o nim, że „jest całkowicie pozbawiony uczciwości, moralności i zwykłej przyzwoitości". W 1852 roku przeniósł się z Missouri do Kalifornii, gdzie otworzył kilka linii dyliżansów operujących na długości czterech tysięcy trzystu kilometrów. W 1861 roku zdobył dla swojej Overland Stage Route kontrakt na przewóz poczty z Missouri do Salt Lake City, a w marcu następnego roku przejął zbankrutowany Pony Express. Tym samym zmonopolizował komunikację w ośmiu stanach na Zachodzie.

Przez następne cztery lata jego firma, znana jako Holladay Overland Mail, kwitła, sowicie korzystając z rządowych dotacji w łącznej wysokości sześciu milionów dolarów. A on sam, nazywany już otwarcie „królem dyliżansów", grał w pokera i cierpliwie czekał, obserwując zmiany zachodzące na Zachodzie. Od czasu do czasu objeżdżał swoje królestwo wygodnym dyliżansem marki Concord, wyposażonym w lampy do czytania i barek z drogimi alkoholami, ciągniętym przez zaprzęg specjalnie dobranych koni. A w razie gdy za bardzo dokuczali mu Indianie, wzywał wojsko, które surowo ich karało. Jego firma stała się tak znana, że zwróciła uwagę najsłynniejszej firmy przewozowo-transportowej – Wells, Fargo & Company z San Francisco.

*Dyliżans Wells Fargo*

Od czasu swego powstania w 1852 roku na fali złotego boomu w Kalifornii Wells Fargo zdążyła zyskać ogólne zaufanie i stać się potentatem na Zachodzie w branży finansowej, transportowej i pocztowej. Holladay wiedział, że z nią nie wygra i że nieuchronna jest konsolidacja. Zwlekał jednak z zawarciem transakcji, a tymczasem obserwował powolny, ale ciągły postęp kolei żelaznej. W 1866 roku, po zakończeniu wojny secesyjnej, uznał, że czas sprzedać swój interes i to, co pozostało z majątku Pony Express oraz Butterfield Stage. „Wielka konsolidacja" nastąpiła 1 listopada 1866 roku i kosztowała Wells Fargo półtora miliona dolarów. Tym samym firma z Kalifornii skupiła pod własnym szyldem cały transkontynentalny transport pasażerski i usługi pocztowe na zachód od Missouri oraz wiele lokalnych linii dyliżansowych. Wkrótce jednak, tak jak przewidywał Holladay, na ziemie Zachodu zawitała kolej. On sam usunął się w cień jako bajecznie bogaty człowiek, jeszcze raz udowadniając, że jest bardziej przebiegły od swoich konkurentów, a Wells Fargo z niedowierzaniem obserwowała ciężko sapiące lokomotywy i sznury wagonów, które stukotem kół zagłuszały umierający biznes dyliżansowy i o mało nie doprowadziły jej do ruiny[63].

## „Żelazny koń" w biegu przez kontynent

Kolej żelazna zawitała na Zachód w skromny sposób, kiedy inżynier Theodore Dehone Judah (1826–1863) wybudował w Kalifornii krótką linię kolejową z Sacramento do pobliskich złotonośnych pól w Folsom u podnóża Sierra Nevada. Oddana do użytku w lutym 1856 roku Sacramento Valley Railroad (SVRR)[64], o długości zaledwie trzydziestu siedmiu kilometrów, była pierwszą linią kolejową na zachód od Missisipi, ale to nie zadowoliło jej konstruktora. W umyśle młodego i ambitnego Judaha zrodził się wielki plan poprowadzenia transkontynentalnej linii kolejowej na wschód kontynentu, przez Sierra Nevada, Góry Skaliste i Wielkie Równiny, do rzeki Missisipi. Ludziom pozbawionym wyobraźni projekt ten wydawał się tak nierealny, że zaczęli z przekąsem nazywać jego pomysłodawcę „szalonym Judahem" (*Crazy Judah*). Szukając funduszy na realizację planu w Waszyngtonie i Kalifornii, Judah zaraził swoim optymizmem czterech kupców z Sacramento: Lelanda Stanforda, Collisa Pottera Huntingtona, Marka Hopkinsa i Charlesa Crockera. I tak oto właściciel sklepu spożywczego, sprzedawca tekstyliów oraz dwaj handlarze towarami żelaznymi, znani jako Wielka Czwórka (*Big Four*), założyli spółkę, która zdołała urzeczywistnić dalekosiężną wizję Judaha i sfinansować budowę słynnej linii kolejowej Central Pacific Railroad. Judah wytyczył trasę kolei przez Sierra Nevada i z poparciem Wielkiej Czwórki udał się do Waszyngtonu zabiegać o zgodę rządu federalnego i wsparcie finansowe dla swojego przedsięwzięcia.

O konieczności budowy linii kolejowej łączącej oba brzegi kontynentu zaczęto mówić już pod koniec lat czterdziestych, ale realizacja tego śmiałego projektu utknęła w gąszczu sprzecznych interesów różnych grup nacisku w sferach rządowych, kłopotów ze zgromadzeniem ogromnych funduszy oraz walk o przyszły podział zysków. Dopiero na początku 1862 roku, gdy wybuch wojny secesyjnej odciął zachodnie wybrzeże od Unii, Kongres docenił znaczenie projektu Theodore'a Judaha. Dostrzegając potrzebę zbudowania kolei dla celów wojskowych i dla mocniejszego związania terytoriów zachodnich ze Wschodem, zaakceptowano zaproponowaną przez niego trasę długości dwóch tysięcy ośmiuset kilometrów i zebrano część pieniędzy, a 1 lipca tego roku prezydent Abraham Lincoln podpisał Ustawę o Kolei Pacyficznej (*Pacific Railroad Act of 1862*). Akt ten otwierał drogę do budowy pierwszej transkontynentalnej linii kolejowej. Niestety, zaraz po jego przyjęciu Wielka Czwórka z Sacramento odsunęła w cień twórcę projektu i powierzyła dokończenie dzieła jednemu z jej członków, sprzedawcy tekstyliów, Charlesowi Crockerowi. Zdradzony przez wiarołomnych przyjaciół, Judah zmarł w 1863 roku na żółtą febrę, którą zaraził się w Panamie w drodze do Nowego Jorku, gdzie zamierzał szukać alternatywnych źródeł fian-

sowania dla swojej kolei, aby móc ją wykupić od nieuczciwej Wielkiej Czwórki.

*Robotnicy kolejowi*

Od momentu powzięcia decyzji do faktycznego rozpoczęcia budowy upłynęły jeszcze trzy lata. Realizację projektu powierzono dwóm firmom: jedna miała ruszyć znad zatoki San Francisco w Kalifornii, a druga od wschodniej strony Wielkich Równin. Rząd wspomógł budowę finansowo, przyznając obu przedsiębiorstwom pożyczki w wysokości od szesnastu tysięcy dolarów za milę torów na terenie równinnym do czterdziestu ośmiu tysięcy za milę w terenie górzystym (łącznie ponad sześćdziesiąt milionów dolarów). Dodatkowo obie firmy – Central Pacific Railroad (CPRR) na Zachodzie i Union Pacific Railroad (UPRR) na Wschodzie – otrzymały nadania ziemi publicznej wzdłuż projektowanej linii, sześć tysięcy czterysta akrów (dwa tysiące sześćset hektarów) na każdą ukończoną milę torów, w sumie dwadzieścia milionów akrów o łącznej wartości od pięćdziesięciu do stu milionów dolarów. W zamian rząd federalny zapewnił sobie promocyjne taryfy opłat na wszelkie rodzaje przewozów i usług realizowanych przez przyszłą kolej.

Obie strony uważały, że zrobiły świetny interes. Rząd, bo wydał obligacje, przekazał do użytku leżącą odłogiem ziemię publiczną (nie respektując traktatów z Indianami) i przyciągnął znaczne środki prywatne. A szefowie kolei, bo dostrzegali perspektywę zrobienia fortuny na spekulacji gruntami, na których miała powstać infrastruktura kolejowa i nowe miasta. Budowa ruszyła, a wraz z nią fala malwersacji i korupcji. Ściśle powiązana ze sobą klika akcjonariuszy, która kontrolowała obie spółki budujące kolej, przelewała do swoich kieszeni ogromne wpływy z zawartych kontraktów, żonglując finansami i dokonując oczywistych spekulacji na giełdzie. Późniejsze dochodzenie, przeprowadzone w 1872 roku przez komisję Kongresu w Crédit Mobilier Company of America, spółce powołanej do finansowania Union Pacific i kierowanej najpierw przez wiceprezydenta Union Pacific, Thomasa Clarka Duranta, a potem republikańskiego kongresmena z Massachussetts, Oaksa Amesa, wykazało straty poniesione w wyniku malwersacji i korupcji rzędu co najmniej dwudziestu trzech, a może nawet stu milionów dolarów. Znacznie trudniej było skontrolować spółkę The Contract & Finance Company, za którą kryła się Central Pacific, ponieważ jej szefowie oświadczyli po prostu, że wszystkie dokumenty firmy spłonęły w pożarze.

Wielka Czwórka z Sacramento triumfowała. Leland Stanford i Collie Huntington stali się szanowanymi obywatelami Kalifornii**[**[65]**]**. Charley Crocker pozostawił w spadku swoim dzieciom dwadzieścia cztery miliony dolarów, a najstarszy i najbardziej skąpy z nich „Uncle Mark” (Wujek Marek) Hopkins, były sprzedawca żelastwa i dawny wspólnik Huntingtona, zgromadził majątek wartości około dziewiętnastu milionów dolarów. Faktem jest jednak, że budowa transkontynentalnej linii kolejowej była przedsięwzięciem na niespotykaną skalę, „największym przedsięwzięciem pod Bogiem”, jak to określił mistrz ceremonii na uroczystości położenia kamienia węgielnego pod budowę torów Union Pacific w Omaha w Nebrasce w grudniu 1863 roku. I chociaż wiązała się z ogromnymi kosztami, niesamowitym wysiłkiem i ofiarami, okazała się osiągnięciem epokowym. Zanim jednak to nastąpiło, pojawiły się liczne problemy.

Zaczęło się od kłopotów z Indianami. Znaczną część ziemi, tak hojnie rozdawanej przedsiębiorstwom kolejowym, po prostu ukradziono plemionom indiańskim, mimo że jeszcze niedawno jej nietykalność uroczyście gwarantowały rządowe traktaty. Kolejowa „wielka wycieczka” (*Grand Excursion*)**[**[66]**]**, którą Union Pacific zorganizowała z rozmachem w październiku 1866 roku, aby zrobić wrażenie na wpływowych politykach, zagranicznych gościach i nowojorskiej elicie finansowej, bawiła się w najlepsze na 100. południku, nie zwracając naj-

mniejszej uwagi na to, że znajduje się w połowie drogi między Chicago a Górami Skalistymi, czterysta kilometrów na zachód od zagwarantowanej traktatami „nienaruszalnej granicy indiańskiej”.

Oczywiście wycieczka obfitowała w rozmaite atrakcje: obserwację układania torów kolejowych, spotkania z przyjaznymi Indianami z plemienia Paunisów, inscenizację walki Paunisów z wrogimi Siuksami, polowania na bizony, a nawet wywołany sztucznie wielki pożaru prerii. Wszystko to przy muzyce specjalnie wynajętej kapeli, z udziałem fotografów mających uwiecznić to wiekopomne wydarzenie i pod okiem batalionu kawalerii pułkownika Johna Miznera z fortu McPherson, czuwającego nad bezpieczeństwem gości. Kiedy szefom Union Pacific zwrócono uwagę na łamanie postanowień traktatowych z Indianami, z rozbrajającą szczerością oświadczyli, że „lokomotywa musi jechać naprzód i te biedne, nieświadome stworzenia na próżno próbują ją powstrzymać, opierając się jej cal po calu”. Mimo to zagrożenie ze strony Indian skłoniło lidera Union Pacific, Thomasa Duranta, do zwrócenia się latem 1865 roku o pomoc do bohatera niedawno zakończonej wojny secesyjnej, generała Williama Shermana, pełniącego obowiązki dowódcy armii na Wielkich Równinach[67].

Siedząc na beczułce z gwoździami, generał odbył wówczas krótką podróż odkrytą lorą wzdłuż pierwszego ukończonego odcinka linii kolejowej, podejmowany przez swoich gospodarzy pieczoną kaczką i dobrym francuskim winem. Sherman, mający już pewne doświadczenie z okresu szefowania Sacramento Valley Railroad, stał się entuzjastą kolei, zwłaszcza po tym, jak Union Pacific sprzedała mu po okazyjnej cenie duży kawał ziemi z puli gruntów otrzymanych od rządu. Jego poparcie okazało się dla powstającej kolei bezcenne.

Wszystko to wzmogło wrogość Indian do bladych twarzy jak nigdy przedtem. Widząc, jak łamane są zawarte z nimi traktaty, jak przez ich tereny łowieckie pędzi hałaśliwy, plujący iskrami dymiący potwór, którego nazwali „żelaznym koniem”, jak wybijane są ich stada bizonów, wojowniczy Siuksowie i sprzymierzeni z nimi Czejenowie i Arapahowie wykopali topór wojenny. I znów armia Stanów Zjednoczonych została wysłana na Równiny, aby zaprowadzić tam spokój i zapewnić bezpieczeństwo pociągom oraz zyskownej działalności spółek kolejowych.

W grudniu 1866 roku Siuksowie i Czejenowie wciągnęli w Wyomingu w zasadzkę oddział osiemdziesięciu jeden żołnierzy pod dowództwem kapitana Williama Fettermana i wszystkich zabili. Na budowniczych kolei padł blady strach. Durant zażądał od Shermana podjęcia bardziej stanowczych działań wobec

zbuntowanych Indian, a ten zareagował z właściwą sobie butą, oświadczając: „Indianie muszą umrzeć albo podporządkować się naszej woli”. Wielu istotnie zginęło, ale pozostali nie poddali się dyktatowi białego człowieka. Zrywali tory kolejowe, palili stacje, łupili karawany wozów z zaopatrzeniem, atakowali mniejsze oddziały wojska i napadali na robotników[68]. Szczególnie narażeni na ich zasadzki i ataki byli inżynierowie, mierniczy, robotnicy wyrównujący teren i budowniczowie mostów, którzy zawsze wyprzedzali ekipy układające szyny na odległość od szesnastu do nawet trzystu dwudziestu kilometrów. Nic więc dziwnego, że dla ludzi zatrudnionych przy budowie kolei karabin stał się tak samo ważnym narzędziem pracy jak kilof, młot czy łopata. Ale nawet zdyscyplinowani i doświadczeni na wojnie ludzie, uzbrojeni w najnowocześniejszą broń, niewiele mogli zdziałać wobec błyskawicznych ataków niewielkich oddziałków wrogich Indian. To samo dotyczyło wojska, które niczym pies łańcuchowy pilnowało terenów, przez które przechodziła kolej. Mimo obecności żołnierzy budowa kolei przypominała często wojnę partyzancką na małą skalę. Sherman potraktował poważnie swoje zadanie i dla bezpieczeństwa robotników kazał wybudować wzdłuż trasy kolei system fortów oraz zatrudnił zwiadowców indiańskich z plemienia Paunisów, szczepu od wieków wrogiego Siuksom i Czejenom[69]. Wszystko to na koszt amerykańskiego podatnika.

Z powodu zagrożenia ze strony Indian, kłopotów organizacyjnych oraz niedostatku siły roboczej postęp przy budowie wschodniego odcinka linii kolejowej początkowo był niewielki. Dopiero zakończenie wojny secesyjnej i depresja finansowa na Wschodzie zapewniły Union Pacific dostateczną liczbę rąk do pracy. Ta różnobarwna zbieranina składała się ze zdemobilizowanych żołnierzy Unii, byłych jeńców konfederackich, Irlandczyków z Nowego Jorku i skandynawskich imigrantów najętych do pracy w Chicago, którzy chcieli zarobić trochę grosza i osiąść na nowych ziemiach, oraz trzystu do tysiąca Murzynów, ciekawych świata rozciągającego się za Missisipi. Pierwsze szyny położono w Omaha dopiero 10 lipca 1865 roku, a wybudowanie pierwszej mili torów zajęło jedenaście dni. Do końca listopada tor w dolinie Platte biegł tylko czterdzieści osiem kilometrów na zachód od Missisipi.

Central Pacific nie miała aż takich kłopotów z Indianami, ale od samego początku borykała się z brakiem robotników, bo Kalifornijczycy nadal woleli kopać złoto. Zaradzono temu, sprowadzając z Azji tysiące Chińczyków. Poza tym zachodni odcinek kolei, choć dużo krótszy, liczył bowiem tysiąc sto dziewięćdziesiąt cztery kilometry, wschodni zaś tysiąc sześćset siedemdziesiąt, przebiegał w trudnym górzystym terenie. Potężne góry Sierra Nevada zmuszały budow-

niczych do transportowania szyn i ciężkiego sprzętu ze wschodniego wybrzeża statkami dookoła przylądka Horn.

Praca w górach była trudna i niebezpieczna. Każdy kilometr toru wymagał użycia setek kilogramów dynamitu do wysadzania skał i drążenia tuneli. Ludzie, najęci za dwa dolary dziennie, ginęli dziesiątkami, wielu rezygnowało. Dlatego Central Pacific zdecydowała się na eksperyment z Chińczykami. Rezultaty okazały się nad podziw dobre. Chińczycy, chociaż niewysocy, byli silni fizycznie, zaradni, pracowici i mało wymagający. A co najważniejsze, godzili się pracować za dolara dziennie. Poza tym, nie znając angielskiego, byli całkowicie zdani na dobrą wolę przedstawicieli Kompanii. Zachęcony efektami, Charley Crocker zorganizował stały dopływ siły roboczej z Chin. Tysiące skośnookich chińskich robotników, odzianych w jednakowe niebieskie kaftany, przekopały kilofami, przerzuciły łopatami i przewiozły na taczkach miliony metrów sześciennych górskiego urobku. Chińczycy mozolnie, ale bez ustanku brnęli przez góry i pustynie na zachodzie, Amerykanie zaś, Irlandczycy i Skandynawowie posuwali się szybko przez Wielkie Równiny od wschodu. Po dość wolnym początku wyścig do punktu, w którym miały się spotkać oba tory, znacznie przyspieszył.

*Pociąg Kansas Pacific Railway w Junction City, Kansas*

W 1866 roku Union Pacific z wielkim wyczuciem powierzyła prace nad budową torów braciom Casement z Ohio, którzy zobowiązali się, że koszt położenia mili szyn wyniesie siedemset pięćdziesiąt dolarów. Generał Unii w niedawno zakończonej wojnie, John „Jack” Casement, i jego młodszy brat Daniel, mali

mężczyźni z wielkimi brodami, byli wulkanami energii. Nazywano ich „parą największych małych ludzi, jakich widział świat – tak wielkich jak dwunastoletni chłopcy, tylko potrzebujących większych kapeluszy”. Młodszy z nich, prawdziwy czarodziej liczb, zajął się finansami, dostawą sprzętu i zaopatrzenia, a starszy objął bezpośrednie kierownictwo nad ekipami budowniczych. Trzymając żelazną ręką swoją zbieraninę weteranów wojny i niedawnych przybyszów z Europy, John Casement rządził nimi niczym mały tyran. Zdobył taki posłuch i szacunek, że podwładni zaczęli go nazywać „generałem Jackiem”. Wiosną 1866 roku bracia Casement zorganizowali specjalny pociąg roboczy (*work train*), złożony z dwunastu do piętnastu wagonów, który posuwał się wolno za budowniczymi i zaspokajał większość ich potrzeb (do 1869 roku został rozbudowany do dwudziestu dwóch wagonów). W jego skład wchodziły między innymi: wagon z zaopatrzeniem, cysterna z wodą, wagony sypialne, kuchnia i wagon restauracyjny, gabinet lekarski, łaźnia, warsztaty kowali, cieśli i siodlarzy, magazyn z narzędziami, arsenał, biuro płatnika, a nawet ruchome stanowisko telegrafu. Pociąg ciągnęły dwa parowozy, a jego blisko czterdziestoosobowa obsługa pełniła najróżniejsze funkcje w tym ruchomym miasteczku i zarazem fortecy na kołach. Potęga pociągu Casementów odstraszała Indian; nigdy nie odważyli się go zaatakować, zresztą potrzebowaliby do tego co najmniej tysiąc dobrze uzbrojonych ludzi, a takie zgromadzenie wojowników z Wielkich Równin zdarzało się bardzo rzadko. Wokół pociągu kręciła się gromada kobiet lekkich obyczajów, a także pokątni sprzedawcy kart, łowcy bizonów i handlarze alkoholem, który bardziej przypominał truciznę w płynie niż trunek godny miana whisky czy bourbona.

Bracia Casement kierowali budową od Fremont w Nebrasce aż do jej ukończenia w Utah. Pod ich kierownictwem prace, którym towarzyszył chrapliwy śpiew robotników i rytmiczne uderzenia młotów, nabrały rozmachu. „Przypomina to wielki chór kowali, trzy uderzenia do wbicia gwoździa – napisał pewien obserwator. – Potrzeba dziesięciu ostrych gwoździ na jedną szynę, 400 szyn na milę, 1800 mil do San Francisco, to daje 21 milionów takich machnięć młotem”. Do większego wysiłku motywowały robotników dodatkowe premie: półtora raza większa stawka i funt tytoniu na człowieka dziennie za milę położonych torów oraz pół dniówki ekstra. Do końca 1866 roku ludzie Casementów potrafili położyć w łagodnej dolinie Platte sto pięć kilometrów torów w ciągu miesiąca. W następnym roku kolej Union Pacific dotarła do pasma Wasatch w Górach Skalistych. W tym czasie Central Pacific była już po drugiej stronie Sierra Nevada i wkroczyła na suche pustynie Nevady. Na równej jak stół powierzchni pustyni niezmordowani Chińczycy ustanowili rekord układania toru: szesnaście kilome-

trów w ciągu jednego dnia. Obie firmy parły do przodu, ostro rywalizując ze sobą, a ich wyścig nagłaśniały gazety w całym kraju. Ekipy robotników wyrównujących teren pod linię kolejową, pracujące daleko w przodzie przed układaczami torów, biegały z jednego miejsca na drugie, zasypując dziury i niwelując drobne wzniesienia, potrącając się wzajemnie w poszukiwaniu najlepszej trasy i tam gdzie trzeba, torując sobie drogę ładunkami prochu albo dynamitu. W 1869 roku Kongres przeciął nić rywalizacji i wyznaczył Promontory Point, kawałek na północ od Salt Lake City, jako miejsce połączenia obu torów.

Na początku maja 1869 roku szefowie obu kompanii kolejowych udali się do Utah na uroczystość połączenia odcinków. Reprezentujący Union Pacific Duran spóźnił się, zatrzymany przez rozzłoszczonych robotników, którzy przypięli jego wagon łańcuchami do toru i puścili go w dalszą drogę dopiero wtedy, gdy wypłacono im zaległe wynagrodzenie. Był to jedyny przypadek w karierze Durana, kiedy nie protestował i nie kłócił się o pieniądze. Natychmiast posłał po płatnika i szybko ruszył dalej.

*Promontory Point – spotkanie Wschodu i Zachodu. Ostatnia szyna Union Pacific Railroad (1869)*

10 maja w Promontory Point doszło do długo oczekiwanego połączenia. Naoczny świadek „ceremonii wbicia złotego gwoździa” (*Golden Spike Ceremony*) z ramienia Central Pacific zanotował: „Na koniec pozostała luka długości jednej szyny. Jej uzupełnienia oraz położenia ostatniej szyny dokonano z wielką pompą. Ostatni podkład był zrobiony z pięknie zdobionego drewna wawrzynu, w które wbito dwa złote i dwa srebrne gwoździe”.

Złote gwoździe były darem Kalifornii, srebrne podarowała Nevada. Ponieważ Durant się spóźniał, zaszczyt wbicia ostatnich gwoździ przypadł Lelandowi Stanfordowi z Central Pacific. Nie obyło się przy tym bez humorystycznej sceny: Stanford wziął szeroki zamach i... nie trafił w łebek gwoździa, czym wzbudził ogólną wesołość zebranych. Ceremonialny młot, którym wbijano złote gwoździe, był połączony z kluczem telegrafu i ostatnie uderzenie nadano na całe Stany Zjednoczone. Dzień był piękny, lecz chłodny, więc zaraz po wbiciu ostatniego gwoździa i wykonaniu pamiątkowej fotografii goście udali się do wagonów Central Pacific, gdzie „whisky lała się strumieniami i wydawało się, że jest główną atrakcją dnia”.

Wybudowana kosztem ogromnego wysiłku i prawie niewolniczej pracy, w wielu miejscach słaba pod względem wykonania, transkontynentalna linia kolejowa tak naprawdę okazała się ledwo przejezdna, toteż kontrolujący ją rządowy inspektor nie był nią zachwycony. Nie zwracając uwagi na to, że jej budowę zakończono siedem lat przed planowanym terminem, uznał, że równie dobrze „może ona być wielkim amerykańskim osiągnięciem, jak i amerykańską słabością”. Nie tylko on rozumiał, że kraj i społeczeństwo padły ofiarą gigantycznego szwindlu w zamian za niewyobrażalne korzyści, jakie przypadły w udziale ludziom, którzy za tym stali. Na dodatek społeczeństwo, które uczestniczyło w tej budowie za pośrednictwem rządowych subsydiów i nadań ziemi, otrzymało wątpliwy przywilej ponoszenia dodatkowych opłat za podróżowanie wątpliwej jakości torem.

Pierwsi rzecznicy kolei transkontynentalnej widzieli w swoich wizjach masy emigrantów, które ruszą na Zachód, jak tylko zostanie ona oddana do użytku. „Dziesięć milionów emigrantów osiedli się na tych złotych ziemiach w ciągu 20 lat” – przewidywał jeden z nich. Oczekiwano także, że kolej przyniesie powiew cywilizacji do miejsc wcześniej dzikich i niedostępnych. Jak powiedział mówca, który w tamten pamiętny grudniowy dzień prowadził w Omaha ceremonię położenia kamienia węgielnego pod budowę odcinka Union Pacific, kolej do Oceanu Spokojnego będzie „bramą do ogrodu, długą na 700 i szeroką na 20 mil”.

Pomimo oszustw, szwindli i marnej jakości budowy, linia kolei transkontynentalnej przetrwała i spełniła oczekiwania tych, którzy w nią wierzyli. Niezależnie od kosztów i okoliczności, w jakich powstała, bez wątpienia stanowiła symbol amerykańskiej potęgi i niezbędne spoiwo, wiążące obie części kraju w jedną całość. Stosunkowo łatwo i wygodnie dostępny teraz Zachód przestał być odległym pograniczem i dał się poznać szerszej części społeczeństwa. Wkrótce wybudowano kolejne linie łączące obydwa amerykańskie wybrzeża: Great Northern i Northern Pacific, pomiędzy Union Pacific i granicą kanadyjską; Atchison, Topeka & Santa Fe do Los Angeles, przez Kansas City i Santa Fe oraz Southern Pacific z Nowego Orleanu do Los Angeles, przez Houston, El Paso i Yumę. Ich budowie także towarzyszyły finansowe przekręty, spekulacja gruntami i wyzysk robotników. Wąska klika cwaniaków, którzy w nieuczciwy sposób dorobili się milionów, zmonopolizowała branżę kolejową i eksploatowała ją bez umiaru. Niemniej to dzięki nim powstała stosunkowo gęsta sieć kolejowa i nowa jakość transportu, a żelazne palce oplotły Zachód i każdemu miejscu, którego dotknęły, niosły zapowiedź rozwoju i dobrobytu.

Muł i koń, które otworzyły Zachód, dźwigając na swych grzbietach pierwszych odkrywców, handlarzy i traperów, wkrótce odeszły w przeszłość. Przyszłość miała należeć do „żelaznego konia”, niezmordowanego, punktualnego i nieustępliwego. Swoją szybkością, mocą, pojemnością i niezawodnością kolej żelazna zlikwidowała istniejące bariery i uczyniła ze Stanów Zjednoczonych jeden organizm państwowy.

Rozdział IX

# Biały człowiek przeciwko czerwonemu

## Problem indiański po rewolucji amerykańskiej

Podczas migracji na Zachód Amerykanie nie zważali na prawa plemion indiańskich, których ziemie leżały na ich drodze. „Objawione przeznaczenie” białego człowieka doprowadziło do pozbawienia Indian dziedzictwa ich przodków, ale stało się to dopiero po ponad stu latach krwawych wojen, które przyniosły niezliczone ofiary wśród pierwotnych mieszkańców Ameryki.

Prosta zasada podboju, stosowana od zawsze przez agresorów, mówi, że pokonany musi albo dać się ujarzmić, albo zginąć. Europejczycy nie przybyli do Ameryki, aby nieść ludności tubylczej dobroczynność i okazywać miłosierdzie. Przybyli w poszukiwaniu bogactwa i lepszych warunków do życia dla siebie, szybko więc stało się dla nich oczywiste, że aby przetrwać, muszą odebrać Indianom ziemię, pozbawić ich praw, podeptać ich obyczaje i wyniszczyć ich samych.

W początkowym okresie osadnictwa, kiedy kolonie na wschodnim wybrzeżu dopiero się rozwijały, niełatwe do pogodzenia współistnienie białego i czerwonego człowieka nie zapowiadało jeszcze pełnej dramatyzmu ery gwałtów i rozlewu krwi. Pierwsi przybysze zza oceanu potrzebowali pomocy tubylców, żeby nauczyć się życia w nowych warunkach i sztuki przetrwania w dziczy. Poza tym potrzebowali odbiorców swoich towarów i wsparcia w wojnach toczonych z innymi białymi o panowanie na kontynencie.

W czasie rewolucji amerykańskiej przeciwko Brytyjczykom (1775–1783) Indianie zajęli pozycję wyczekującą i rozsądnie próbowali nie opowiadać się po żadnej ze stron. Kiedy jednak konflikt, który początkowo wyglądał na „kłótnię rodzinną”, przerodził się w prawdziwą długotrwałą wojnę, dowódcy obu stron zaczęli przekupywać wojowników indiańskich (także alkoholem), żeby przyciągnąć ich do swoich oddziałów pomocniczych. Pod koniec wojny większość głównych plemion stała po stronie Brytyjczyków, czego zwycięscy Amerykanie nigdy im nie zapomnieli. Po uwolnieniu się od zwierzchnictwa Wielkiej Brytanii swój gniew i żądzę zemsty skierowali wkrótce przeciwko jej indiańskim sojusznikom.

W roku 1790 doszło do wojny ze sprzymierzonymi plemionami Szaunisów, Miami, Potawatomich i Czipewejów. Na ich czele stał wybitny wódz plemienia Miami, Mały Żółw. W październiku tego roku Indianie pokonali na rzeką Maumee w Ohio armię generała Josiaha Harmara. Rok później, w listopadzie 1791 roku, rozgromili nad rzeką Wabash wojsko generała Arthura St. Claira: z około tysiąca czterystu żołnierzy amerykańskich sześciuset czterdziestu siedmiu zostało zabitych, a dwustu siedemnastu rannych, podczas gdy po stronie Indian straty wyniosły tylko sześćdziesięciu wojowników poległych i rannych. Była to najcięższa klęska, jakiej Amerykanie doznali w starciu z Indianami. Rozgoryczony tym prezydent Waszyngton określił nieudolnego St. Claira jako „najgorszego mordercę”. W 1793 roku przeciwko sprzymierzonym Indianom wysłano następną armię, złożoną z trzech tysięcy regularnej piechoty, kawalerii i konnych ochotników. Dowodził nią generał Anthony Wayne, którego żołnierze zwali „Mad Anthony” (Szalony Antoni), ponieważ w czasie wojny o niepodległość atakował z szaleńczą odwagą nawet te pozycje, które wydawały się nie do zdobycia. Indianie nazywali go „wodzem, który nie śpi”, gdyż ścigał ich niestrudzenie i często atakował nocą. Wayne żelazną ręką opanował plagę pijaństwa i symulanctwa, które opanowały zdemoralizowane klęskami wojsko, i 20 sierpnia 1794 roku pobił Indian w decydującej bitwie pod Fallen Timbers (Zapora z Pni) nad rzeką Maumee, w pobliżu brytyjskiego fortu Miami w Ohio. Potem spustoszył okolicę, paląc indiańskie wioski i niszcząc całe połacie pól kukurydzy. Wojnę z Indianami z Północnego Zachodu zakończył traktat pokojowy podpisany w Fort Greenville 3 sierpnia 1795 roku. Na jego mocy Indianie utracili na rzecz Stanów Zjednoczonych dolinę Ohio, większość Indiany oraz okolice Chicago i Detroit.

Z klęską sprzysiężenia Małego Żółwia i postanowieniami traktatu z Greenville nigdy nie pogodził się legendarny wódz Szaunisów Tecumseh, czyli

Puma Gotowa do Skoku (1768–1813). Jako młody wojownik brał on udział w walce z oddziałami Harmara i St. Claira, a potem wyróżnił się w przegranej bitwie pod Fallen Timbers. Nie uczestniczył w obradach w Greenville i nie podpisał niegodziwego traktatu, który odbierał Indianom ziemie w Ohio i Indianie. Całe swoje dorosłe życie poświęcił na zjednoczenie Indian i walkę z falą amerykańskiego osadnictwa. Na kartach historii pojawił się w 1805 roku, kiedy – zainspirowany wizją i naukami religijnymi swego młodszego brata Tenskwatawy, nazywanego Prorokiem – zaczął przy wsparciu Brytyjczyków działać na rzecz utworzenia wielkiej konfederacji plemion indiańskich, zdolnych przeciwstawić się naporowi Amerykanów. Przemierzył cały kraj, od Missisipi do Nowego Jorku i od Wielkich Jezior do Florydy, przekonując poszczególne plemiona, żeby uznały swoje ziemie za wspólną własność Indian i nie sprzedawały jej białym ludziom bez zgody wszystkich Indian. Namawiał też do powstrzymania się od picia alkoholu i zajęcia się rolnictwem, co – jego zadaniem – uchroni Indian przed zagładą. Stolicą rodzącej się konfederacji Tecumseha była wioska zwana Miastem Proroka, założona przez obu braci w 1808 roku nad rzeką Tippecanoe w dzisiejszej Indianie. To do niej z bliska i z daleka ściągały tłumy Indian pragnących osobiście poznać nauki wizjonera Tenskwatawy i dzielić swój los z wielkim Tecumsehem.

Dalekowzroczna wizja Tecumseha, usiłującego zjednoczyć wszystkich Indian i utworzyć państwo indiańskie na północ od Ohio, zaniepokoiła rząd amerykański. Wykorzystując moment, kiedy wódz wyruszył na południe, aby przekonać do swoich planów potężnych Krików i inne plemiona południowe, 7 listopada 1808 roku Miasto Proroka zaatakowały oddziały generała Williama Harrisona. Doszło do bitwy, która właściwie pozostała nierozstrzygnięta, ale Amerykanie spalili wioskę i zniszczyli zgromadzone w niej zapasy wojenne. Ta psychologiczna porażka obniżyła morale Indian i podkopała autorytet obu braci. Tworzony z wielkim trudem związek Tecumseha upadł, a sukces Harrisona nad Tippecanoe doprowadził go ponad trzydzieści lat później do prezydentury**[**[70]**]**. Po wybuchu wojny amerykańsko-angielskiej w 1812 roku wódz próbował jeszcze walczyć o sprawę indiańską u boku Brytyjczyków, od których otrzymał stopień generała. Na czele wojowników z różnych plemion stawał dzielnie w wielu bitwach, ale nigdy nie udało mu się zrealizować swojego planu. Jego wysiłki w tym kierunku przerwała bohaterska śmierć w starciu nad rzeką Thames w kanadyjskiej prowincji Ontario 5 października 1813 roku**[**[71]**]**.

Sojusz brytyjsko-indiański przestał istnieć, a cały Środkowy i Północny Zachód, od Ohio do Minnesoty, zajęli Amerykanie. Z zabranych Indianom ziem

utworzyli nowe stany Indiana (1816) oraz Illinois (1818), a także Terytorium Wisconsin (1836). Tecumseh zaś przeszedł do historii jako najwybitniejszy wódz indiański w Ameryce Północnej. Ci, którzy go znali – zarówno przyjaciele, jak i wrogowie – doceniali jego wybitny talent organizatorski i dowódczy, dar wymowy, odwagę w walce i wspaniałomyślność okazywaną pokonanym. Jego legenda trwa do dziś.

## Szlak łez Czirokezów

Zwycięstwo Stanów Zjednoczonych w wojnie 1812 roku i klęska Tecumseha stały się pierwszym sygnałem zagłady Indian. Podczas gdy potęga Amerykanów rosła, siła czerwonych plemion z roku na rok słabła. Głód ziemi coraz liczniejszej populacji białych na wschodzie kraju zmuszał Indian do ciągłego cofania się na zachód. Tych, którzy próbowali przeciwstawić się pochodowi osadników, zmuszano do odejścia siłą. Ci zaś, którzy starali się żyć w zgodzie z białymi i w nadziei, że zdołają utrzymać swój stan posiadania, przyjęli ich styl życia, zostali wyzuci z ziemi podstępem, gwałtem i oszustwem.

Na pierwszy ogień poszli potężni Krikowie z Południowego Wschodu. Chociaż formalnie zachowali oni neutralność w wojnie amerykańsko-brytyjskiej, niektóre odłamy plemienia pod wodzą Czerwonego Orła (znanego też jako William Wheaterford) i Menewy, zwane Czerwonymi Pałkami, wykorzystały okazję do najazdów na osady pionierów. Doprowadziło to do bratobójczej wojny ze stronnikami Amerykanów, zwanymi Białymi Pałkami, którym przewodził ugodowy wódz, mieszaniec William McIntosh. W jej wyniku doszło do masakry białych w forcie Mims w Alabamie w sierpniu 1813 roku, jednej z największych rzezi w historii indiańskiego Pogranicza**[**[72]**]**. Wydarzenie to wstrząsnęło amerykańską opinią publiczną i skłoniło rząd do podjęcia akcji odwetowej przeciw Krikom. Wzięło w niej udział pięciu generałów oraz kilka tysięcy ochotników i sprzymierzonych Indian. Rozstrzygnięcie walk nastąpiło dopiero wtedy, gdy dowództwo nad wojskiem objął bohater wojny z Brytyjczykami, generał Andrew Jackson**[**[73]**]**. W decydującej bitwie, stoczonej 27 marca 1814 roku pod Horshoe Bend nad rzeką Tallapoosa w Alabamie, pokonał on dwa tysiące Krików Menewy (zginęło około ośmiuset Indian). W rezultacie podpisano traktat w Fort Jackson, na którego mocy Krikowie zrzekli się rozległych terenów w Alabamie na rzecz białych osadników. Kolejne traktaty, z lat 1818 i 1825, wynegocjowane z ugodową frakcją McIntosha, odebrały Indianom resztę ziem w Georgii i przygotowały grunt pod przesiedlenie ich do Oklahomy. Zgodnie z prawem Krików z 1811 roku, sprzedaż ziemi była karana śmiercią na równi ze zdradą. Na tej pod-

stawie w maju 1825 roku współplemieńcy rękami Menewy wymierzyli McIntoshowi sprawiedliwość. Jego śmierć na nowo zagroziła wojną domową. Wówczas Amerykanie, pod pretekstem konieczności wzięcia pod ochronę osad białych kolonistów, zażądali usunięcia wszystkich Indian i przesiedlenia ich za rzekę Missisipi. W ten sposób Krikowie ostatecznie przegrali wojnę o ziemię, ale w przeciwieństwie do wielu innych plemion, zachowali swoją kulturową tradycję, którą szczycą się do dziś.

W 1829 roku nowy prezydent Stanów Zjednoczonych, Andrew Jackson, wyraził przekonanie, że biali i Indianie nigdy nie będą mogli żyć razem w pokoju i dlatego muszą być od siebie odizolowani. W swoim wystąpieniu w Kongresie oświadczył, że wszyscy Indianie powinni być przeniesieni na Zachód, za rzekę Missisipi. „Sądzę, że słuszne będzie wydzielić duży obszar na zachód od Missisipi i zagwarantować go Indianom na tak długo, jak długo zechcą tam zamieszkiwać” – oznajmił.

28 maja 1830 roku propozycje Jacksona zostały przyjęte i Kongres uchwalił Ustawę o przesiedleniu Indian (*Indian Removal Act*). Dwa lata później utworzono stanowisko komisarza do spraw Indian w Departamencie Wojny, a prezydent mianował Elberta Herringa szefem Biura do spraw Indian, odpowiedzialnym za przestrzeganie ustaw, które ich dotyczą**[**[74]**]**. Sprawy Indian uregulowano jednak dopiero 30 czerwca 1834 roku, kiedy Kongres na wniosek sekretarza wojny Lewisa Cassa przyjął dwa ważne akty prawne: Ustawę o handlu i stosunkach z Indianami oraz uzupełniającą ją Ustawę o organizacji Departamentu Spraw Indiańskich (*Organization of the Department of Indian Affairs Act*). Z obu tych aktów wywodzi się ogromna władza Departamentu Spraw Wewnętrznych nad życiem i własnością Indian.

Odtąd cała część Stanów Zjednoczonych na zachód od Missisipi, a „nie w granicach stanów Missouri, Luizjany i Terytorium Arkansas lub innego zorganizowanego terytorium”, miała być wyłącznym krajem Indian „tak długo, jak długo zechcą go zamieszkiwać”. W 1835 roku zaczęto ją nazywać Terytorium Indiańskim (*Indian Territory*) i dwa lata później oddano w „wieczne” użytkowanie Indianom. W celu nadzorowania spraw indiańskich na zachodnim brzegu Missisipi utworzono stanowisko specjalnego inspektora (superintendenta) do spraw Indian, który miał urzędować w St. Louis. Zgodnie z Ustawą o handlu żaden biały człowiek nie miał prawa przebywać na stałe i handlować na terenach indiańskich bez zgody władz, a biali nie mogli się tam osiedlać. Każdy, kto odważyłby się naruszyć ten zakaz, miał być aresztowany i pociągnięty do odpowiedzialności. Dla celów sądowniczych cały obszar podzielono na dwie części.

Część północną (głównie dzisiejsze Kansas) przypisano do stanu Missouri, a część południową (głównie dzisiejszą Oklahomę) do Terytorium Arkansas (po 1836 roku do stanu Arkansas).

Ustawa o przesiedleniu Indian była długo oczekiwanym aktem prawnym, mającym usunąć największą przeszkodę na drodze rozwoju państwa amerykańskiego. U jej podstaw legła popularna teza, że „intencją Stwórcy było wydobycie ziemi ze stanu natury i jej uprawianie", a ponieważ Indianie nie są rolnikami, lecz myśliwymi, którzy nie potrafią zrobić właściwego użytku z ziemi, tym samym nie są uprawnieni do jej posiadania (kiedy jednak zaczęto rugować Indian w Georgii, gdzie zmienili oni tryb życia i zajęli się rolnictwem, amerykański gubernator uznał, że traktat określający warunki posiadania ziemi przez plemię Czirokezów przeznaczył ją na tereny łowieckie, a nie pod uprawę, Czirokezi zatem złamali postanowienia układu i w ten sposób stracili prawo do ziemi).

Wszyscy Indianie jako kłopotliwy relikt przeszłości i zapora na drodze dalszego postępu mieli być przesiedleni na zachód od Missisipi, gdzie ich marnotrawny w oczach białych tryb życia przeszkadzałby tylko nielicznym. Dotyczyło to także pięciu plemion z Południowego Wschodu, uznanych przez Amerykanów za cywilizowane: Czirokezów, Krików, Czoktawów Czikasawów i Seminolów, którzy wkroczyli już na „drogę białego człowieka", a w żyłach wielu z nich płynęła „biała" krew (byli potomkami indiańskich kobiet oraz angielskich kupców i myśliwych).

*Szlak Łez Czirokezów*

Czirokezi zamieszkiwali rozległe tereny nad rzeką Tennessee. Z powodzeniem zakładali farmy, sklepy, kościoły i niewielkie warsztaty rzemieślnicze, budowali młyny, drogi bite i przeprawy promowe. W przeciwieństwie do większości Indian, mieszkali w dużych drewnianych chatach, uprawiali ziemię, hodowali tysiące sztuk bydła i koni. Najbogatsi, wzorem białych plantatorów z Południa, trzymali licznych czarnych niewolników. Jako jedyni spośród Indian, oprócz Czoktawów, mieli spisany po angielsku własny kodeks prawny (od 1808 roku) i konstytucję (od 1826 roku). Posługiwali się praktycznym alfabetem wymyślonym przez ich słynnego współplemieńca imieniem Sekwoja (*Sequoyah*), w pełni odpowiadającym potrzebom plemienia**[**75**]**. Od 1822 roku czytali już książki we własnym języku, zakładali szkoły i biblioteki. W 1828 roku wydawali nawet własną gazetę „Cherokee Phoenix”, ale władze Georgii zamknęły ją, kiedy zaczęła występować w obronie praw Czirokezów do własnej ziemi. Mimo to ich także objęła Ustawa o przesiedleniu Indian. W pięć lat od jej przyjęcia to największe, najbogatsze i najbardziej cywilizowane plemię regionu południowowschodniego zostało zmuszone do opuszczenia swoich pokojowa nastawionych i wysoko rozwiniętych osad na pograniczu Georgii i Tennessee. Przyczyną była

pazerność i chciwość ich białych sąsiadów.

Dobrobyt Czirokezów kłuł w oczy miejscowych polityków i farmerów, zaczęli więc domagać się pozbawienia ich prawa do ziemi i przesiedlenia na zachód od Missisipi. Nasilały się wobec nich akty przemocy. Czirokezi jednak nie poddali się i wnieśli sprawę do Sądu Najwyższego. Wygrali ją w 1832 roku, ale biali nie zaprzestali nękania i prześladowań. Wreszcie władze Georgii nakłoniły w 1835 roku część Indian z ugodowej frakcji plemienia do zawarcia traktatu o zrzeczeniu się wszystkich ziem Czirokezów w zamian za rekompensatę pieniężną i nowe tereny na Terytorium Indiańskim. Po ratyfikowaniu traktatu przez Senat wyznaczono ostateczny termin przesiedlenia ponad szesnastu tysięcy Czirokezów na maj 1838 roku. Zadanie to powierzono generałom Winfieldowi Scottowi i Johnowi Woolowi. Obaj byli bardzo zawstydzeni przykrą i niewdzięczną rolą, jaka im przypadła, i starali się chronić Indian przed „białymi, którzy jak sępy obserwowali ich, gotowi spaść na ofiarę i ograbić ją ze wszystkiego, co posiada”. I faktycznie: kiedy tylko Czirokezi opuścili swoje domy, ich majątki zostały splądrowane i rozkradzione przez białych osadników.

Pierwsza grupa czterystu pięćdziesięciu Czirokezów, którzy zgodzili się dobrowolnie wyjechać na Zachód, przybyła na Terytorium Indiańskie w marcu 1837 roku. Potem przyszła kolej na tych, którzy sprzeciwiali się opuszczeniu swoich ziem i ustąpili dopiero pod presją siły. Jesienią 1838 roku Czirokezi ruszyli pod eskortą siedmiu tysięcy żołnierzy w długą podróż do dzisiejszej Oklahomy kilkoma drogami o długości od tysiąca stu do tysiąca dziewięciuset kilometrów. Około dwóch tysięcy Indian poszło „dobrowolnie” przodem. Wędrówka wiązała się z tak nieludzkimi cierpieniami, że naczelny wódz Czirokezów, Czapla, znany białym jako John Ross, poprosił generała Scotta, aby pozwolił mu osobiście nadzorować przesiedlanie współplemieńców. Resztę skoszarowanych ludzi podzielił na tysiącosobowe grupy i sam poprowadził je na Zachód. Mimo że i on, i generał Scott robili wszystko, aby ochraniać wygnańców, po drodze zdarzały się akty przemocy, przypadki grabieży, gwałtów, a nawet morderstw. W trakcie tej upiornej odysei z zimna, chorób, głodu i wycieńczenia wyginęła jedna czwarta Czirokezów, blisko cztery tysiące ludzi. Była wśród nich żona wodza, Quatie, która zmarła na zapalenie płuc, ponieważ oddała swój koc choremu dziecku. Trudów marszu nie wytrzymywali przede wszystkim najstarsi i najmłodsi. Dlatego tę straszną drogę z Georgii do Oklahomy nazwano Szlakiem Łez (*Trail of Tears*).

W lipcu 1839 roku wszystkie odłamy Czirokezów utworzyły w Oklahomie demokratyczną republikę i połączyły się w „jedną polityczną całość, w kształcie

i pod nazwą Naród Czirokezów” (*Cherokee Nation*). Zjednoczone plemię otrzymało ziemie w północno-wschodnim rogu Terytorium Indiańskiego i 6 września przyjęło nową indiańską konstytucję, wzorowaną na konstytucji Stanów Zjednoczonych. Po wybuchu wojny secesyjnej Czirokezi pod przywództwem Johna Rossa próbowali zachować neutralność. Ostatecznie w październiku 1861 roku sprzymierzyli się z Konfederacją i zorganizowali pułk strzelców konnych, który dzielnie walczył po stronie Południa. Jego dowódca Stand Waitie był jedynym Indianinem, który doszedł w armii Południa do rangi generała i ostatnim z generałów Konfederacji, który złożył broń 23 czerwca 1865 roku w Doaksville na Terytorium Indiańskim.

Tylko nieliczni Czirokezi uniknęli przesiedlenia i przetrwali na swoich ziemiach w Appalachach w zachodniej, górzystej części Karoliny Północnej. Potomkowie zaś tych, którzy przybyli Szlak Łez, żyją obecnie głównie we wschodniej Oklahomie.

Przed Czirokezami przesiedlono na Terytorium Indiańskie: w 1831 roku Czoktawów z Missisipi, w 1836 roku Krików z Georgii i Alabamy, a w 1837 roku Czikasawów z Missisipi. Wszystkie plemiona opłaciły deportację tysiącami ofiar. Sami Krikowie w ciągu roku stracili trzy i pół tysiąca starców, kobiet i dzieci, zmarłych od chorób i trudów podróży. Tylko Seminolowie nie dali się wygnać ze swego kraju. Po wielu latach walk partyzanckich (1817–1839), w których zasłynął ich wódz Osceola, zwany „Wężem z Everglades”, wycofali się w lasy i bagna Florydy, gdzie pozostali wolni do 1842 roku. Dopiero gdy w wyniku nieustannych obław w ręce żołnierzy generała Zachary’ego Taylora wpadli ostatni wodzowie, trzy tysiące dziewięciuset trzydziestu spośród czterech tysięcy dwustu trzydziestu Seminolów przesiedlono na Terytorium Indiańskie. Nieliczni, którym udało się uniknąć deportacji, przetrwali na Florydzie do roku 1855, aby wziąć udział w kolejnej wojnie z białymi (1855–1858). Konflikt z Seminolami kosztował władze amerykańskie więcej niż jakakolwiek inna wojna z Indianami. Teoretycznie w ogóle nie został zakończony, ponieważ Seminole jako jedyni spośród Indian nigdy nie zgodzili się na zawarcie pokoju. Część z nich ukryła się w trudno dostępnej bagnistej krainie Everglades na południu Florydy i doczekała czasów, gdy rząd amerykański przestał się nimi interesować. Ich potomkowie żyją do dziś na bagnach i rozlewiskach Florydy, chociaż sposób życia wielu z nich zmienił się nie do poznania**[**76**]**.

Terytorium Indiańskie stało się symbolem cierpień i krzywdy Indian. Cztery z pięciu tzw. cywilizowanych plemion (z wyjątkiem Seminolów) przyjęły europejski styl życia jako sposób na przetrwanie wobec agresji białych. Ci jednak z całą

bezwzględnością – groźbą, zdradą i siłą – wyzuli te wielkie ludy z ziemi, zmusili je do pozostawienia swoich domów i większości dobytku i przejścia setek kilometrów do rezerwatów na terenie dzisiejszej Oklahomy i Kansas. Nieludzkie przesiedlenie sześćdziesięciu tysięcy osób w ciągu nieco ponad dziesięciu lat nie ma precedensu w całej historii Stanów Zjednoczonych. Indian pędzono pod strażą, głodnych, bez ciepłej odzieży, ze stopami krwawiącymi od długiego marszu. Wielu z nich nigdy nie dotarło do miejsca przeznaczenia, znacząc smutny Szlak Łez naprędce wykopanymi grobami. A krnąbrnych i niepokornych, którzy odmówili poddania się przymusowi, ścigano i zabijano bez litości. Setki Krików i Seminolów, którzy uciekli na bagna Alabamy i Florydy, padło ofiarą brutalnego polowania na ludzi. Pozostałych przy życiu zakuto w kajdany i przetransportowano na Terytorium Indiańskie.

Podobny los jak plemiona przesiedlone z Południowego Wschodu spotkał innych wschodnich Indian. Dla resztek potężnych niegdyś plemion leśnych: Szaunisów, Sauków, Lisów, Kikapu, Ottawów, Huronów, Potawatomich, Delawarów i innych, którzy zdołali przetrwać, wydzielono rezerwaty w Oklahomie i we wschodnim Kansas. Plemiona Quapaw, Otooto i Osagów, zamieszkujące niegdyś dorzecze Missisipi i Missouri, przesunięto na zachód i osiedlono we wschodniej Oklahomie. Na północ od nich osadzono na wpółosiadłe plemiona Kansa, Ponka i Omaha. Ze wschodniego Teksasu i Luizjany wypędzono resztki tych, którzy pozostali z rolniczych plemion Wichita, Waco i Caddo.

*Łuk i kołczan indiański*

## Ostatnia wojna wschodnich Indian

Podczas gdy Amerykanie siłą przesiedlali Indian z Południowego Wschodu, na Północy i Środkowym Wschodzie panował względny spokój. Jednakże ziemie plemion ze wschodnich prerii i regionu Wielkich Jezior były zbyt cenne, aby zostawić je wyłącznie Indianom i nielicznym białym traperom. Bogate złoża ołowiu w południowo-zachodniej części Wisconsin, gwałtownie rosnąca populacja białych w Illinois po rozwiązaniu tam problemu niewolnictwa w 1824 roku,

rozwój żeglugi parowej na Wielkich Jeziorach na początku lat trzydziestych XIX wieku oraz żyzne ziemie porośnięte gęstymi lasami wzdłuż górnego biegu Missisipi i jej dopływów – wszystko to przyczyniło się do błyskawicznego zasiedlenia tych terenów kosztem Winnebagów, Czipewejów, Potawatomich, Ottawów, Kikapu, Menominich oraz Sauków i Lisów. W tych dramatycznych chwilach objawiła się osobowość wybitnego wodza Sauków, Czarnego Jastrzębia (1767–1838), towarzysza walki wielkiego Tecumseha w wojnie 1812 roku, który najostrzej protestował przeciwko zabieraniu ziemi Indianom i przesiedlaniu ich na Zachód.

*Potyczka z Indianami*

Na początku kwietnia 1832 roku przeszło dwa tysiące Sauków i Lisów (w tym około pięciuset wojowników) pod wodzą Czarnego Jastrzębia oraz czarownika Winnebagów Białej Chmury opuściło Terytorium Iowa, dokąd ich wygnano z północno-zachodniego Illinois, i powróciło nad Rock River na wschodnim brzegu Missisipi. Ich powrót oraz kategoryczna odmowa opuszczenia dawnych ziem plemiennych, które utracili na mocy spornego traktatu podpisanego w St. Louis w 1804 roku, wywołały strach wśród białych osadników. Panikę Amery-

kanów spotęgowały wieści o zawarciu przez grupę Czarnego Jastrzębia sojuszu z częścią plemion Winnebago, Kikapu i Potawatomi oraz rozmowach prowadzonych z kanadyjskimi Brytyjczykami (z tego powodu zwolenników Czarnego Jastrzębia nazywano „grupą angielską").

W tej sytuacji gubernator Illinois, John Reynolds, zwołał milicję stanową w sile tysiąca siedmiuset ludzi (służył w niej także młody Abraham Lincoln) pod wodzą generała Samuela Whiteside'a. W maju 1832 roku skierował ją przeciwko Czarnemu Jastrzębiowi i jego zwolennikom, do których dołączyła niewielka grupa Winnebagów i Potawatomich. Na początku władze zamierzały aresztować Indian i odesłać ich z powrotem za rzekę Missisipi, ale liczne nieporozumienia sprowokowały otwarty konflikt. Pierwsza bitwa z niezdyscyplinowaną milicją, do której doszło 14 maja nad potokiem Sycamore, dopływem Rock River, skończyła się klęską oddziału dwustu siedemdziesięciu pięciu konnych majora Isaiaha Stillmana. Później jednak pozbawieni pomocy Anglików Indianie wycofali się na północ do Wisconsin, paląc po drodze farmy i zabijając wielu osadników. Pod presją prezydenta Jacksona, który domagał się „szybkiego i honorowego zakończenia wojny, które odstraszyłoby innych Indian przed wywoływaniem takich niesprowokowanych aktów wrogości na naszej granicy", w pościg za Czarnym Jastrzębiem ruszyła milicja i sprowadzone z pogranicznych fortów wojsko generała Henry'ego Atkinsona (trzy tysiące sto dziewięćdziesięciu sześciu konnych milicjantów i sześciuset dwudziestu dziewięciu regularnych piechurów). 16 czerwca pułkownik Henry Dodge na czele oddziału ochotników wciągnął w zasadzkę i wybił do nogi kilkunastoosobową wyprawę wojenną Indian w krótkiej bitwie w zakolu rzeki Pecatonica w południowym Wisconsin. Starcie to było pierwszym realnym sukcesem Amerykanów w wojnie i przywróciło zaufanie opinii publicznej do cywilnych ochotników. Podczas dalszego odwrotu Czarny Jastrząb został 21 lipca dodatkowo pobity przez milicję pułkownika Dodge'a pod Wisconsin Heights, przy przeprawie przez rzekę Wisconsin.

1 sierpnia wojsko generała Atkinsona w sile tysiąca trzystu milicjantów i żołnierzy regularnych dopadło resztek uciekającej „grupy angielskiej", zredukowanej w wyniku dezercji i głodu do około pięciuset osób (w tym stu pięćdziesięciu wojowników), u ujścia rzeki Bad Axe do Missisipi. Część Indian próbowała przeprawić się na drugi brzeg Missisipi, gdy pojawił się amerykański parowiec „Warrior", wracający z misji w górze rzeki, podjętej w celu zawarcia sojuszu z Siuksami Santee. Na widok okrętu Czarny Jastrząb z grupą wojowników zaczął machać białą flagą, ale dowódca parowca, kapitan Joseph Throckmorton, podejrzewając podstęp, dał rozkaz otwarcia ognia z dział. Zginęło dwudziestu Indian,

a pozostali wojownicy ukryli się na brzegu i też otworzyli ogień, raniąc jednego żołnierza. Po dwóch godzinach „Warrior” wycofał się z braku paliwa i odpłynął do fortu Crawford w Prairie du Chien.

Potyczka ta przekonała Czarnego Jastrzębia, że sytuacja jego ludzi jest beznadziejna i ocalenia trzeba szukać nie na drugim brzegu rzeki, tylko w szybkiej ucieczce na północ, do krainy Czipewejów. W nocy z paroma tuzinami swoich zwolenników uszedł na północ wzdłuż Missisipi, ale większość wojowników nie chciała go słuchać i pozostała wraz z rodzinami na wschodnim brzegu, zamierzając o świcie przeprawić się na skleconych naprędce tratwach i czółnach do Iowa. Rankiem 2 sierpnia wojsko Atkinsona zaatakowało Indian przygotowujących się do przeprawy. Przez godzinę wojownicy starali się desperacko osłaniać starców, kobiety i dzieci, którzy próbowali pokonać rzekę, ale gdy wrócił „Warrior” z zapasem paliwa i żołnierzami na pokładzie, nie mieli już żadnych szans. Ostatecznie, po ośmiu godzinach beznadziejnej walki, Indianie zostali zepchnięci do rzeki i zmasakrowani. Regularni żołnierze starali się unikać niepotrzebnego rozlewu krwi, ale milicjanci nie oszczędzali nikogo, a zwłaszcza bezbronnych kobiet i dzieci. Zabito wszystkich, którzy usiłowali przepłynąć rzekę lub ukryć się na jej brzegu. Spośród około czterystu Sauków i Lisów zginęło i utonęło ponad stu siedemdziesięciu mężczyzn, kobiet i dzieci, a blisko czterdzieści osób dostało się do niewoli. Straty Atkinsona wyniosły sześciu zabitych i osiemnastu rannych.

Według amerykańskiego historyka Patricka Junga, autora obszernej monografii tego konfliktu, była to „bardziej masakra niż bitwa”. Większość z blisko dwustu ludzi Czarnego Jastrzębia, którym udało się przeprawić na zachodni brzeg Missisipi, znalazła tylko czasowe schronienie. Tydzień później nad rzeką Red Cedar w Iowa około siedemdziesięciu z nich zostało zabitych, a ponad dwudziestu wzięli do niewoli Siuksowie Santee wodza Wabashy, nakłonieni do wojny ze starymi wrogami przez Amerykanów. Z sześćdziesięciu innych uciekinierów zdarli skalpy sprzymierzeni z Amerykanami Indianie Menomini i Winnebagowie. Tylko nielicznym udało się połączyć w Iowa z resztą plemienia, pozostającą pod wpływem przyjaznego białym wodza Koekuka.

*Kawalerzysta amerykański*

Czarny Jastrząb, Biała Chmura i inni przywódcy „grupy angielskiej” uciekli z garstką zwolenników na północ, ku źródłom rzeki La Crosse. Rozbili obóz w pobliżu obecnego miasta Tomah w Wisconsin i tam – świadomi tragizmu swojego położenia – postanowili poddać się Winnebagom. Zanim jednak dotarli do ich wioski u ujścia La Crosse, zostali schwytani przez przekupnych Winnebagów, Jednookiego Dekaurego i Oszusta. 27 sierpnia za cenę dwudziestu koni i stu dolarów zdrajcy wydali ich Amerykanom w Prairie du Chien. Czarnego Jastrzębia z dwoma synami, Nashashukiem i Gamesettem, Białą Chmurą, jego bratem i dwoma synami oraz paroma innymi wodzami przewieziono pod eskortą do fortu Armstrong w Rock Island w Illinois. Tam 21 września w obecności głównodowodzącego armii amerykańskiej, generała Winfielda Scotta, oraz gubernatora Reynoldsa podpisano nowy traktat z Saukami i Lisami. Na jego mocy Indianie ostatecznie odstępowali swoją ziemię Stanom Zjednoczonym. W ten sposób zakończyła się trwająca piętnaście tygodni wojna, która kosztowała życie siedemdziesięciu siedmiu białych i prawdopodobnie ponad pięciuset Indian.

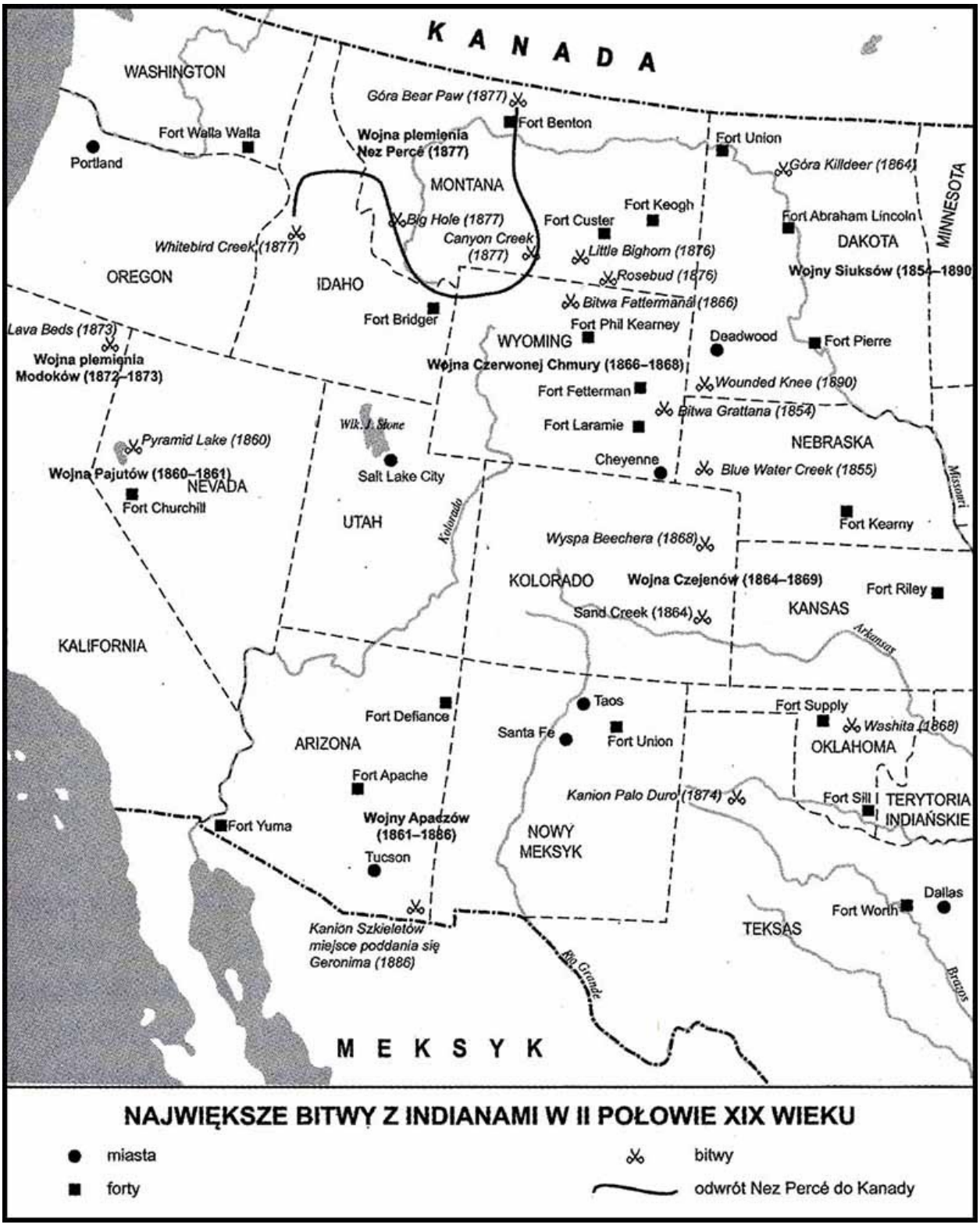


Czarnego Jastrzębia i wielu jego towarzyszy osadzono w Jefferson Barracks koło St. Louis, a wiosną 1833 roku odesłano do fortu Monroe w Wirginii, który bardziej przypominał więzienie niż budowlę obronną. W czerwcu, po spotkaniu

z prezydentem Jacksonem, wodza i jego ludzi zabrano w objazd po wielkich miastach Wschodu (Baltimore, Filadelfia, Nowy Jork, Albany), aby mogli się przekonać o potędze Stanów Zjednoczonych i wrócić do życia w pokoju. W czasie podróży Indianie zauważyli, że Amerykanie na Wschodzie są inni od tych na Zachodzie, którzy zwykle odmawiali im człowieczeństwa. Wszędzie przyjmowano ich z sympatią i honorami, ale im dalej posuwali się na zachód, tym więcej widzieli przejawów niechęci i wrogości. W Albany wrogi tłum obrzucił ich kamieniami, a w Detroit powiesił i spalił ich kukły. Ostatecznie Czarny Jastrząb wraz z innymi został zesłany do rezerwatu nad rzeką Des Moines w Iowa, gdzie zmarł w październiku 1838 roku.

## Fikcja „indiańskiej granicy”

Wypędzeni ze Wschodu Indianie osiedlili się na wyznaczonych terenach, ale na tym ich kłopoty się nie skończyły. Na zachód od nich rozciągały się łowiska koczowniczych plemion z Wielkich Równin. Zachodnia Oklahoma, wschodnia część Nowego Meksyku i północno-zachodni Teksas były domeną Kiowów i Komanczów. Na północ leżały ziemie Czejenów, Arapahów i Siuksów. Nie byli oni zachwyceni niespodziewanym pojawieniem się obcych plemion, które naruszyły dotychczasową równowagę, a to prowadziło do konfliktów. Przesiedleńcy musieli walczyć o przestrzeń życiową, chociaż ziemi na Zachodzie było w bród, a liczne stada bizonów wystarczały dla wszystkich. Na razie jednak życie Indian toczyło się bez większej ingerencji białych. Wydawało się, że Amerykanie zadowolili się dotychczasowymi zdobyczami i Missisipi pozostanie naturalną granicą oddzielającą obie rasy, tak jak uważali pierwsi odkrywcy penetrujący Wielkie Równiny, wielki wizjoner Thomas Jefferson, czy Zebulon Pike, który po swojej wyprawie w 1807 roku sugerował, aby pionierzy „pozostawili prerie wędrownym i nieucywilizowanym aborygenom”.

Po zakończeniu wojny z Czarnym Jastrzębiem w 1832 roku Stany Zjednoczone, na podstawie traktatu z Fort Armstrong, znanego jako „traktat zakupu od Czarnego Jastrzębia”, nabyły od Indian pas ziemi wzdłuż zachodniego brzegu Missisipi (w dzisiejszym stanie Iowa), co stanowiło punkt zwrotny w dziejach osadnictwa na Zachodzie. Dotychczas na tym terenie żyła garstka białych osadników, prawdopodobnie nie więcej niż pięćdziesięciu. Teraz statkami, krytymi wozami, konno i pieszo ciągnęli tłumnie nowi pionierzy i wybierali jak najlepsze dla siebie miejsca w dolinach rzek wpadających do Missisipi. Do końca 1833 roku w pasie kupionym od Czarnego Jastrzębia mieszkało już „pięć setek dusz z Tennessee, Kentucky i Północnej Karoliny, wraz z paroma Jankesami z Nowej

Anglii”. Słali oni do swoich rodzin i przyjaciół na Wschodzie oddziałujące na wyobraźnię listy o łagodnym klimacie, pięknych preriach i gajach, obfitości drewna oraz czystych wodach, zachęcając do pójścia w swoje ślady.

Pojawienie się osadników amerykańskich na zachodnim brzegu Missisipi było naruszeniem granic potwierdzonych w traktatach zawartych przez Stany Zjednoczone z indiańskimi plemionami. Podważało także decyzję prezydenta Jacksona z maja 1830 o przeniesieniu wszystkich Indian na zachód za Missisipi, którą uznał za „stałą granicę indiańską”. W rzeczywistości Jackson, uważany za jednego z twórców amerykańskiej demokracji, doskonale rozumiał dążenia swojego narodu, pokrywające się z jego pragnieniem rozwoju wielkich Stanów Zjednoczonych. Dlatego pozostawał głuchy na protesty Indian i bez skrupułów łamał wszelkie próby obrony ich praw. A w dorocznym przemówieniu wygłoszonym do Kongresu w grudniu 1835 roku przytoczył argumenty na rzecz polityki usunięcia Indian z obszarów objętych osadnictwem białych na zachód od Missisipi:

„(...) Wszystkie dotychczasowe próby udoskonalenia Indian zawiodły. Wydaje się faktem dokonanym, że nie mogą oni żyć w kontakcie z cywilizowanym społeczeństwem i prosperować (...). Nikt nie ma chyba wątpliwości, że rząd Stanów Zjednoczonych ma moralny obowiązek chronić i, jeśli to możliwe, zachować te rozproszone resztki rasy, które pozostały jeszcze w granicach naszego kraju. W celu realizacji tego obowiązku przeznaczyliśmy dla nich rozległy obszar na Zachodzie, gdzie będą mogli zamieszkać na stałe. (...) Plan ich usunięcia i przesiedlenia wynika z naszej wiedzy o ich charakterze i zwyczajach, i został podyktowany duchem nieograniczonej wolności. Każdy szczep otrzyma własne terytorium, którego klimat, żyzność i zdolność utrzymania indiańskich społeczności są dla nich wysoce korzystne. Przesiedlenie odbędzie się na koszt Stanów Zjednoczonych, a Indianom zagwarantuje się pewne zapasy odzieży, broni, amunicji i innych niezbędnych artykułów. Dostaną także żywność na okres roku od przybycia na nowe miejsce zamieszkania. (...) Przeznaczyliśmy dla nich kraj na zachód od Missouri i Arkansas, w którym nie będzie miejsca na osiedla białych. Na tym wielkim obszarze nie zostanie wprowadzony żaden ustrój polityczny, z wyjątkiem tego, który ustanowią sobie sami Indianie lub Stany Zjednoczone dla nich i za ich zgodą. W ten sposób powstanie bariera, mająca chronić ich przed wdzieraniem się naszych obywateli i przed tym całym złem, które doprowadziło ich do obecnego stanu (...) To, mam nadzieję, zapewni im pomyślność i poprawę warunków życia. W ten sposób zostanie spłacona wielka część moralnego długu, jaki wobec nich mamy”.

Zanim ustawę o stosunkach z Indianami z 1834 roku udało się wprowadzić w życie, tereny Wisconsin i Iowa zalała nowa fala osadników, napierających na terytoria Indian. Zarazem wciąż rosła liczba imigrantów w pasie zakupionym od Sauków i Lisów w 1832 roku. Skala zjawiska zmusiła władze w Waszyngtonie do zmiany pierwotnej decyzji i podpisania kolejnych traktatów, otwierających pod osadnictwo nowe tereny na Zachodzie. Po utworzeniu w 1838 roku Terytorium Iowa rząd był zmuszony przesunąć do roku 1840 „stałą granicę indiańską" z rzeki Missisipi do dziewięćdziesiątego piątego południka, sto sześćdziesiąt kilometrów na zachód od poprzedniej linii rozgraniczenia (zaczynała się ona nad Jeziorem Leśnym przy granicy z Kanadą, przecinała na południe obecne stany Minnesota i Iowa, dalej biegła wzdłuż zachodnich granic Missouri, Arkansas i Luizjany do zatoki Galveston w Teksasie). W celu utrzymania Indian za tym południkiem i powstrzymania białych przed jego przekraczaniem, wzdłuż nowej granicy powstała linia siedmiu posterunków wojskowych. Licząc w kolejności z północy na południe, były to: fort Snelling nad rzeką Missisipi, forty Atkinson i Leavenworth nad Missouri, forty Gibson i Smith nad Arkansas, fort Towson nad Red River oraz fort Jesup w Luizjanie.

## Indiańska tragedia

Biali uważali Indian za prymitywnych „dzikusów", których odwieczne prawa musiały ustąpić cywilizacji europejskiej, a oni sami przyjąć warunki narzucone im przez „wyższą rasę" zdobywców. Biały zdobywca był jednak nienasycony i nie wystarczało mu to, co już zagarnął. Chciał coraz więcej i więcej. A Indianin musiał mu ustąpić, żeby przeżyć. Biały zdobywca był też podstępny i zdradziecki: łamał słowo, obietnice i traktaty. A przecież gdyby nie Indianie, trudno byłoby przetrwać w dzikim nieznanym terenie pierwszym pionierom, którzy ruszyli na Zachód po zakupie Luizjany w 1803 roku. Bez pomocy Indian prawdopodobnie nie osiągnęłaby celu wyprawa Lewisa i Clarka w latach 1804–1806. Również przecierający najtrudniejsze szlaki „ludzie z gór" wiele – łącznie z życiem – zawdzięczali dobrym radom Indian, ich przyjaźni i życzliwości, a także znajomości ich zwyczajów. Niektóre plemiona, takie jak Nez Percé czy Płaskie Głowy, praktycznie opiekowały się pionierami w czasie ich wędrówek po górach Północnego Zachodu.

Już pierwsze kontakty z Indianami wykazały, że są oni życzliwi, a mogą też być użyteczni. Niektórym białym wydawali się dzicy i odrażający, bo jedli psy i zgniłe mięso, ale doskonale znali okolicę i potrafili żyć w dziczy. To od nich traperzy nauczyli się sztuki przetrwania. Dzięki nim dowiedzieli się, jak wyszuki-

wać jadalne korzenie i rośliny na prerii, a także jak przechowywać wysuszone wiatrem mięsiwa. Co więcej, wczesne sukcesy w handlu futrami zawdzięczali indiańskiej znajomości bobrów i zwyczajów tych zwierząt. Potem jednak zadowalający się skromnymi zasobami swojej ziemi małym Indianie przestali być zachłannym białym potrzebni, a nawet zaczęli im przeszkadzać. Indiańskich traperów, dostarczających skóry bobrów w ograniczonej liczbie do nadrzecznych faktorii, zdominowały i wyeliminowały wielkie kompanie futrzarskie. Biały człowiek potrzebował wszystkiego w nadmiarze, nie licząc się ze zgubnymi skutkami dla przyrody. A Indian, którzy tego nie rozumieli, trzeba było podporządkować sobie w sposób najprostszy z możliwych: za pomocą alkoholu. „Dałem im po ćwierć szklanki whisky – napisał Clark w drodze w górę Missouri w 1804 roku – która widocznie bardzo im posmakowała, bo wysysali nawet puste butelki, a potem zaczęli sprawiać kłopoty".

Wkrótce alkohol stał się prawdziwym przekleństwem tubylców. Już parę łyków czyniło Indianina dzikim i nieprzewidywalnym, a większa ilość uzależniała. Z czasem wśród Indian zapanowała plaga pijaństwa. Oczywiście, wykorzystywał to biały człowiek ze szkodą dla Indian. Bo pijany Indianin godził się na wszystko, co narzucano mu w ramach „stanu stosunków handlowych" z białymi. Co mądrzejsi wodzowie, widząc chciwość i pazerność przybyszów, obawiali się zniszczenia przez nich kultury indiańskiej, ale niewiele mogli zrobić. To biały człowiek zaczął narzucać tubylcom swoje zasady. Około roku 1830 popyt na skóry bizonów i zwierząt futerkowych wśród białych handlarzy osiągnął takie rozmiary, że Indianie – dotąd zachowujący umiar w polowaniu na zwierzęta – teraz zaczęli zabijać ich znacznie powyżej swoich potrzeb. „Dziś polujemy na bobry bez większego wysiłku – mówił jeden z nich. – Dziś jesteśmy bogaci, ale wkrótce będziemy biedni, bo kiedy bobry zostaną wybite, nie będziemy mieli z czego żyć".

Indianie zaczęli się też stopniowo uzależniać od towarów sprzedawanych przez białych handlarzy, głównie od prochu i amunicji do broni palnej. Często obozowali w pobliżu fortów i faktorii handlowych, co sprzyjało szerzeniu się wśród nich pijaństwa i nieznanych im dotąd chorób. Nawet najmądrzejsi wodzowie byli bezradni wobec tych zgubnych wpływów białych przybyszów.

A tych ciągle przybywało. Przekraczali Missisipi i Missouri i zalewali ziemie Indian. Na długo przed nadejściem głównej fali osadnictwa w połowie wieku Narcissa Whitman odnotowała, że biali zbyt mocno napierają na tubylcze plemiona, a jej doświadczony mąż misjonarz nieco później zauważył, że Indianie są skazani na zagładę i „przeciwstawianie się temu nic nie da, podobnie jak pra-

gnienie powstrzymania tego procesu”.

Pomimo to aż do połowy XIX wieku obszar Wielkich Równin pozostał domeną Indian, traperów i z rzadka pojawiających się tam oddziałów wojska. Sytuację zmieniły dopiero: wojna z Meksykiem (1846–1848), w której wyniku Stany Zjednoczone wydarły południowemu sąsiadowi ponad połowę jego terytorium, wielka migracja do Oregonu oraz odkrycie złota w Kalifornii w 1849 roku.

Druzgocąca klęska w wojnie ze Stanami Zjednoczonymi była dla Meksyku wstrząsem. Traktat pokojowy, zawarty w Guadalupe Hidalgo 2 lutego 1848 roku, sankcjonował zwycięstwo siły nad prawem i ustalał nową granicę między obu państwami na rzece Rio Grande. Tym samym oddawał pod kontrolę Amerykanów dotychczasowe słabo zaludnione tereny Nowego Meksyku i Górnej Kalifornii o powierzchni ponad trzech milionów kilometrów kwadratowych, od Zatoki Meksykańskiej po wybrzeże Oceanu Spokojnego (w niedalekiej przyszłości miały na nich powstać stany: Nowy Meksyk, Arizona, Nevada, Utah i Kalifornia oraz częściowo Kolorado i Wyoming). Ponadto rząd Meksyku musiał – pod groźbą wznowienia działań wojennych – zaakceptować inkorporację Teksasu, która była bezpośrednią przyczyną zakończonej właśnie wojny. Rekompensatą za utracone tereny miało być piętnaście milionów dolarów oraz przejęcie zadłużeń państwowych Meksyku na terenach włączonych do Stanów Zjednoczonych w wysokości trzech milionów dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Dotkliwe straty terytorialne oraz krótka, ale dokuczliwa okupacja stolicy przez wojska amerykańskie generała Winfielda Scotta wywołały głęboko zakorzenioną w kulturze meksykańskiej wrogość do Amerykanów, która pozostaje żywa do dziś. Koniec wojny nie oznaczał bynajmniej końca sporów granicznych między obu państwami. Po zdobyciu nowych terytoriów na Południowym Zachodzie rząd amerykański planował wybudowanie transkontynentalnej linii kolejowej z Teksasu do Kalifornii, która na zachód od Rio Grande miała prowadzić wzdłuż rzeki Gila w Arizonie. Szlak Gila biegł jednak przez meksykańską dolinę Mesilla, co przeszkadzało w realizacji amerykańskich planów połączenia Południa z wybrzeżem Oceanu Spokojnego. W 1853 roku prezydent Franklin Pierce zaproponował więc rządzącemu Meksykiem generałowi Santa Annie odkupienie tego obszaru i negocjacje w tej sprawie powierzył przedsiębiorcy z Karoliny Południowej Jamesowi Gadsdenowi, który miał udziały w planowanym przedsięwzięciu. Jednocześnie amerykański gubernator Nowego Meksyku generał William Lane wydał rozkaz okupacji spornych terenów, co faktycznie oznaczało ich wcielenie do Stanów Zjednoczonych. Rząd meksykański zaprotestował, lecz nie mógł już zmienić faktu dokonanego. Amerykanie zaproponowali dziesięć milio-

nów dolarów w złocie odstępnego, a prezydent Santa Anna, który rozpaczliwie potrzebował pieniędzy, przyjął tę niekorzystną dla kraju propozycję. 30 grudnia 1853 roku on i Gadsden podpisali umowę, ratyfikowaną następnie przez amerykański Kongres i podpisaną przez prezydenta Pierce'a w czerwcu 1854 roku.

W wyniku tej transakcji, znanej jako „zakup Gadsdena" (*Gadsden Purchase*), Santa Anna odsprzedał północnemu sąsiadowi następny szmat terytorium meksykańskiego wielkości blisko siedemdziesięciu ośmiu tysięcy kilometrów kwadratowych w dzisiejszym południowym Nowym Meksyku i Arizonie. Ta dodatkowa strata terytorialna pozwoliła mu utrzymać się przy władzy przez kolejny rok, ale została uznana za zdradę i wywołała sprzeciw wielu środowisk postępowej młodzieży meksykańskiej, która zawiązała konspirację w celu obalenia znienawidzonego dyktatora (Santa Anna sprzedał też dla własnego zysku tysiące schwytanych Indian jukatańskich do plantacji hiszpańskich na Kubie).

W ciągu stosunkowo krótkiego czasu ziemie, które niekiedyś wydawały się mało atrakcyjne i niedostępne, stały się przedmiotem zainteresowania i wzmożonego osadnictwa. W 1854 roku powstały dwa nowe ogromne terytoria, Kansas i Nebraska, w których skład weszła niemal cała kraina zamieszkana przez Indian z Równin. Tak więc zaledwie ćwierć wieku po ustanowieniu „stałej granicy indiańskiej" biali przekroczyli linię dziewięćdziesiątego piątego południka i wtargnęli na ziemie Indian.

Kiedy w końcu lat pięćdziesiątych XIX wieku odkryto złoto w górach Kolorado i tłumy poszukiwaczy ruszyły przez Równiny na Zachód, a Kansas i Nebraską zainteresowali się nie tylko osadnicy, ale także kolej, na nowo podjęto wysiłki w celu usunięcia stamtąd wszystkich Indian. W 1862 roku, mimo trwającej wojny secesyjnej, Kongres przyjął ustawę regulującą bezpłatny przydział osadnikom gruntów z ziem publicznych. Tym samym zanim zakończyła się pierwsza fala przesiedleń, zaczęła się już druga, a tereny Indian stały się przedmiotem handlu i spekulacji.

Początkowo drogę na Zachód próbowano torować białym za pomocą traktatów, zmuszających Indian do zrzeczenia się swoich praw do ziemi i scedowania ich na rzecz władz federalnych. Po ratyfikowaniu takiego traktatu przez Senat nabyte terytoria stawały się „własnością państwową" i podlegały ustawom regulującym obrót ziemią. Bywało jednak, że ziemię Indian wodzowie plemienni odstępowali bezpośrednio prywatnym osobom lub spółkom poza kontrolą władz. Naiwni i często nieświadomi tego, co podpisują, oddawali kolejne indiańskie tereny w ręce sprytnych spekulantów, kompanii obrotu ziemią i towarzystw kole-

jowych oraz stojących za nimi skorumpowanych polityków. Niemały udział w tej grabieży miało Biuro do spraw Indian. Urząd, powołany do ochrony tubylców przed nieuczciwością białych, od początku stał się narzędziem, za którego pomocą Stany Zjednoczone narzucały swoją wolę indiańskim plemionom. A nieliczni uczciwi urzędnicy byli solą w oku elit politycznych i kół gospodarczych, traktujących Indian jako uciążliwą przeszkodę na drodze do rozwoju kraju.

Kiedy zawodziły traktaty, dochodziło do wojny. Zamieszkujące Wielkie Równiny dumne i wolne plemiona z pogardą patrzyły na swoich braci ze Wschodu, którzy poddali się białym, i postanowiły walczyć w obronie własnej ziemi. Doszło do starcia dwóch kultur i odmiennych stylów życia. Jedna z nich, indiańska, była z góry skazana na zagładę nie tylko dlatego, że druga miała przewagę militarną, ale także dlatego, że walczyła w niegodny, brudny moralnie sposób. Biali stosowali najbardziej brutalne metody wyniszczania przeciwnika, takie jak rozmyślne szerzenie chorób, wybijanie potężnych stad bizonów, łamanie woli oporu Indian za pomocą zatrutego alkoholu czy bezlitosne zabijanie kobiet i dzieci. Nie cofali się też przed krwawymi rzeziami. Najbardziej znane z nich: masakra w dolinie rzeki Bear River w Idaho, nad potokiem Sand Creek w Kolorado, w dolinie rzeki Washita w Oklahomie czy nad strumieniem Wounded Knee w Dakocie Południowej na zawsze pozostaną symbolem nieludzkiej eksterminacji tych, którzy bronili swej ziemi i tradycji.

Plemiona indiańskie z Wielkich Równin nie stanowiły zwartych społeczności. Dzieliły się na mniejsze grupy regionalne, gromady i klany. Każde plemię było niezależne i kierowało się demokratycznymi zasadami. Na czele poszczególnych grup i plemion stali wodzowie, ale nie autokraci, lecz wybitne jednostki wyróżniające się cechami charakteru: mądrością, prawością i poczuciem sprawiedliwości. Wodzowie plemienia wraz z innymi najbardziej doświadczonymi i szanowanymi mężczyznami tworzyli radę starszych. Do jej zadań należało podejmowanie decyzji dotyczących wojny i pokoju oraz innych spraw istotnych dla ogółu, a także czuwanie nad przestrzeganiem praw i obyczajów plemiennych. Wszystkie ważne decyzje wymagały jednomyślności. Im większym poważaniem i respektem cieszył się wódz lub zasłużony wojownik, tym większe znaczenie miały jego słowa wypowiadane podczas narad plemiennych.

Indianie pojmowali wojnę w sposób typowy dla społeczeństw pierwotnych, zasadniczo różny od jej europejskiego rozumienia. Walkę traktowali jako rodzaj gry wojennej, w której chodziło nie tyle o zabicie przeciwnika, ile o wykazanie swojej indywidualnej wartości i osobistej odwagi. Najczęstszym powodem wojen międzyplemiennych była chęć zawładnięcia stadami koni należącymi do in-

nych szczepów, rozszerzenia terenów łowieckich i zdobycia najwygodniejszych miejsc do obozowania. Do tego dochodziły tradycyjna zemsta rodowa, pragnienie sławy, a potem także rywalizacja o dostęp do europejskich towarów.

Amerykanie często wykorzystywali brak silnej i scentralizowanej władzy wśród Indian, ich naiwny sposób rozumienia wojny oraz tradycyjną rywalizację między nimi do szczucia jednego plemienia na drugie. Nietrudno też było znaleźć zawistnych i przekupnych wodzów, którzy łatwowiernie stawiali znak na dokumencie, którego treści nie rozumieli, „sprzedając" ziemię swoich plemion. Biali z kolei łamali traktaty, jeśli były dla nich niewygodne lub wiązały im ręce na drodze do dalszego „postępu".

Na Zachodzie, zwłaszcza na Wielkich Równinach i u podnóża Gór Skalistych, biały osadnik i Indianin stawali naprzeciw siebie jako wrogowie. Ich interesy były tak różne, że nie dawało się ich pogodzić. Naiwni urzędnicy z Biura do spraw Indian wierzyli, że tubylcy porzucą swój dotychczasowy koczowniczy tryb życia, osiądą w jednym miejscu i zaczną uprawiać ziemię jak biali farmerzy. Nie rozumieli ich wolnej i nieskrępowanej natury łowców, która kazała im przemieszczać się w ślad za dziką zwierzyną. Dopóki milionowe stada bizonów wędrowały swobodnie po trawiastych połaciach Wielkich Równin, zapewniając Indianom niemal wszystko, czego potrzebowali, dopóty zamiar przekształcenia ich w spokojnych rolników lub hodowców pozostawał tylko pobożnym życzeniem. Tak od wieków wyglądało ich życie i nie zamierzali go zmieniać. Biali ludzie jednak nie dawali za wygraną. Przetrzebili stada bizonów i sprawili, że tereny łowieckie zaczęły się kurczyć. Zdesperowanych Indian demoralizowali alkoholem i wyniszczali europejskimi chorobami, takimi jak ospa, cholera, odra, gruźlica i syfilis. Na domiar złego po 1849 roku ziemie tubylców zalały hordy poszukiwaczy złota. Wszystko to wzbudzało w Indianach wrogość i „dzikość", którą zawsze im przypisywano.

Tę złość wyładowywali najpierw na niewinnych podróżnych. W odpowiedzi biali zaczęli strzelać bez ostrzeżenia do każdego napotkanego Indianina. Zapanowało całkowite bezprawie, przy czym najwyższą cenę płacili nie ci, którzy powinni. Indianie Mohave, zaatakowani przez Jamesa Pateego w roku 1826, powetowali to sobie rok później na wyprawie Jeda Smitha. Przysłane na Zachód wojsko, zamiast starać się utrzymać pokój, coraz częściej karało Indian, niemal wszędzie traktowanych jako wrogowie.

W okresie pomiędzy kalifornijską gorączką złota a wojną secesyjną armia toczyła walki z Siuksami, Czejenami, Arapahami i Komanczami, najdzielniej-

szymi i najbardziej wojowniczymi plemionami z Wielkich Równin. A zaczęło się w 1854 roku od błahego sporu o starą, schorowaną krowę mormońskiego osadnika.

## Masakra Grattana

Pod koniec lipca i na początku sierpnia 1854 roku w dolinie Północnej Platte rozbiło swoje obozy wiele grup Indian przybyłych na coroczny przydział towarów, zagwarantowany im w 1851 roku traktatem z Laramie. Na równinie na wschód od fortu Laramie wyrosło ponad sześćset tipi Siuksów i Czejenów Północnych. Prawie cztery tysiące Indian niecierpliwie czekało na przybycie agenta Biura do spraw Indian, majora Jamesa Whitfielda, nadzorującego sprawy plemion podległych rządowej Agencji Platte.

Przedłużająca się nieobecność agenta budziła zniecierpliwienie Indian. Stada ich koni wyjadały trawę w bezpośredniej bliskości obozów i co dnia trzeba je było wypędzać na coraz dalsze pastwiska. Kończyły się zapasy żywności, a w okolicy nie można było nic upolować, bo dzika zwierzyna została wybita. Indianom zaczynał doskwierać głód.

18 sierpnia drogą wzdłuż Platte, stanowiącą ważny odcinek słynnego szlaku Oregońskiego, posuwała się w kierunku fortu Laramie karawana mormońskich osadników zdążających do Utah. Za wozami jak zwykle szło stado bydła. Jedna z krów, stara, wychudzona i tak słaba, że ledwo się wlokła, została w tyle. Jej właściciel chciał ją zagonić z powrotem, ale spłoszone zwierzę uciekło w bok. Nie chcąc opóźniać marszu, osadnik machnął na nie ręką i zostawił je na szlaku. Wkrótce potem leżącą przy drodze zabiedzoną krowę znalazła grupka Indian jadących do obozu Siuksów, których wodzem był Niedźwiedź Rozpraszający Wrogów. Indianie potrzebowali mięsa i skóry na rzemienie, więc wojownik Wysokie Czoło, przebywający w odwiedzinach u krewnych i przyjaciół w wiosce Niedźwiedzia, dobił zdychające zwierzę strzałą z łuku i zawlókł je do obozu.

Wiedząc, czym grozi zamach na własność białego człowieka, Niedźwiedź Rozpraszający Wrogów i inni wodzowie Siuksów jeszcze tego samego dnia udali się do fortu z wyjaśnieniami. Właściciel krowy zwietrzył okazję łatwego zysku i zażądał odszkodowania znacznie przekraczającego jej wartość. Zgodnie z indiańskim zwyczajem, wódz Siuksów natychmiast zaoferował w zamian dobrego konia, ale komendant placówki, porucznik Hugh Fleming, uznał sprawę za tak błahą, że jej rozstrzygnięcie pozostawił do następnego dnia.

Być może na tym skończyłby się incydent, gdyby nie interwencja zastępcy

Fleminga, podporucznika Johna Grattana. Młody oficer, który od dawna narzekał na brak stanowczości wojska wobec Indian i przechwalał się, że z dwudziestoma żołnierzami pokonałby wszystkie plemiona Równin, zażądał przykładnego ukarania winnego szkody wyrządzonej białemu człowiekowi. Już wcześniej wymógł na Flemingu obietnicę poprowadzenia najbliższej wyprawy w pole i teraz zwrócił się do niego o przyznanie mu dowództwa nad oddziałem żołnierzy w celu aresztowania Wysokiego Czoła. Fleming nie był pewien, czy pod nieobecność agenta może podejmować decyzje o aresztowaniu i karaniu Indian, niemniej – choć niechętnie – zgodził się na prośbę podwładnego. Poinstruował go przy tym, aby „ujął przestępcę, a w razie odmowy poddania się, po dokonaniu oceny nastrojów Indian, działał według własnego uznania, nie ryzykując jednak starcia bez pewności co do jego pomyślnego zakończenia".

Nazajutrz Grattan zwołał załogę fortu i ignorując rozkaz Fleminga, wezwał ochotników „na niebezpieczną wyprawę". Potem wraz z dwudziestoma dziewięcioma żołnierzami i tłumaczem Lucienem Auguste'em wyruszył do obozowiska Siuksów. Oddziałowi towarzyszył wóz konny ze sprzętem i zaopatrzeniem oraz dwa zaprzęgi ciągnące działa. Przez całą drogę z fortu wystraszony Auguste pił dla kurażu whisky, wymachiwał bronią i odgrażał się, że oto nadchodzą żołnierze, którzy „doprawią Siuksom nowe uszy, aby słuchali rozkazów białych". Grattan próbował uspokoić pijanego tłumacza, ale ten nie zwracał na niego uwagi. Budziło to irytację i nerwowość wśród żołnierzy. Niektórzy z nich podejrzewali nawet, że ich dowódca też się upił i prowadzi ich na pewną zgubę.

Przemarsz oddziału wojska w gotowości bojowej zaalarmował obozujących Indian. Ściągnął również handlarza Jamesa Bordeaux, który miał żonę Indiankę z plemienia Siuksów. Próbował on powstrzymać Grattana, przekonując, że krowa była tak stara i chora, że na pewno by wkrótce zdechła. Po prostu „zastrzelili ją jacyś chłopcy dla kawałka skóry".

Pewny siebie oficer zignorował jednak uwagi handlarza i wojsko pomaszerowało wprost do obozu Niedźwiedzia Rozpraszającego Wrogów. Po dojściu do obozowiska Grattan polecił załadować oba działa i przygotować karabiny. Pijany Auguste indiańskim zwyczajem jeździł dookoła, wydając głośne okrzyki wojenne. Szydził przy tym z Siuksów i porównywał ich do bojaźliwych kobiet. Do białych wyszedł pełen godności Niedźwiedź Rozpraszający Wrogów i na żądanie Grattana, aby natychmiast wydał mu sprawcę, wyjaśnił, że Wysokie Czoło jest gościem w obozie i nie podlega jego władzy. Dla zażegnania sporu zaproponował kilka koni tytułem odszkodowania, ale Grattan odrzucił tę pokojową propozycję, zdecydowany na pokaz siły. Oświadczył, że sam aresztuje winowajcę, i

rozkazał żołnierzom wkroczyć do obozu Indian.

Żołnierze wykonali jego rozkaz, po czym wycelowali nabite działa w kierunku namiotów i ustawili się w szeregu po obu stronach armat. Wysokie Czoło stał spokojnie ze złożonymi na piersiach rękami u wejścia do swojego tipi, gotów raczej „zginąć na miejscu, niż dać się aresztować". Przez posłańca oświadczył Grattanowi, że nie odda się dobrowolnie w jego ręce i jeśli żołnierze chcą go wziąć, muszą użyć siły.

Grattan zaczął negocjować z Niedźwiedziem za pośrednictwem pijanego Auguste'a, a tymczasem zaniepokojeni postawą żołnierzy wojownicy chyłkiem wynosili ze swoich tipi broń i zajmowali stanowiska między namiotami. Niektórzy ściągali z pastwisk bojowe konie, zakładali pióropusze, malowali twarze wojennymi barwami i kryli się w krzakach na tyłach żołnierzy. Jednocześnie z sąsiedniego obozu Siuksów nadciągała konno gromada młodych wojowników z wodzem Czerwoną Chmurą na czele.

W końcu zawiedziony Grattan przerwał negocjacje, odszedł do swoich żołnierzy i wydał im rozkaz, którego Indianie nie zrozumieli. Rozległo się kilka strzałów i jeden z Indian padł, zraniony. Wodzowie Siuksów zaczęli krzyczeć do wojowników, żeby nie sięgali po broń, bo być może żołnierze strzelali tylko dla ratowania honoru i zaraz się wycofają, ale Grattan rozwiał ich złudzenia. Zapewne uznał tę demonstrację siły za niewystarczającą, bo znów rozkazał żołnierzom strzelać, a sam odpalił jedno działo, potem drugie. Niedokładnie wycelowane pociski przeleciały niegroźnie ponad namiotami Indian, ale jedna z kul karabinowych ciężko raniła Niedźwiedzia Rozpraszającego Wrogów. W odpowiedzi wojownicy zaczęli ostrzeliwać żołnierzy strzałami z łuków.

Grad strzał wywołał prawdziwą panikę wśród piechurów, którzy nie mieli prawie żadnego doświadczenia w walkach z Indianami. Grattan padł jako jeden z pierwszych; nie zdążył nawet użyć swoich sześciostrzałowych rewolwerów. W jego ciele naliczono potem dwadzieścia cztery strzały. Jedna z nich przeszyła mu czaszkę na wylot i zmasakrowała twarz. Lucien Auguste rzucił się do ucieczki zaraz po pierwszych strzałach. Pędem przedarł się przez obóz Siuksów i wypadł na drogę do Laramie. Tam doścignęli go rozwścieczeni wojownicy i naszpikowali niefortunnego tłumacza licznymi strzałami.

Pozostali przy życiu żołnierze rozpoczęli chaotyczny odwrót do fortu Laramie. Ci, którzy mogli jeszcze strzelać, starali się powstrzymywać atakujących Siuksów. Początkowo nawet im się to udawało, bo tylko nieliczni z Indian mieli broń palną. Potem jednak, na nierównym terenie, zostali otoczeni przez konnych

wojowników i w krótkim czasie wybici do nogi. Tylko jeden ciężko ranny szeregowiec zdołał ukryć się w krzakach, gdzie wieczorem odnaleźli go indiańscy krewni żony Jamesa Bordeaux i nazajutrz odwieźli do fortu. Tam nieszczęśnik zmarł, nie zostawiwszy żadnej relacji o bitwie.

Rozgrzani walką młodzi wojownicy Siuksów, przekonani, że Amerykanie zerwali traktat pokojowy i rozpoczęli wojnę, chcieli zaatakować fort, w którym pozostało tylko czterdziestu dwóch żołnierzy. Ostatecznie jednak zrezygnowali z tego zamiaru i zadowolili się uprowadzeniem bydła i koni należących do białych handlarzy z okolic Laramie oraz ograbieniem magazynów z towarami przeznaczonymi do podziału wśród Indian. W tej sytuacji bezpieczniej było zwinąć obozy i opuścić dolinę Platte. Plemiona Siuksów wyszły więc na prerię i rozproszyły się na niej, żeby zapolować na bizony. Kilka dni po walce w obozie nad rzeką Niobrara zmarł z odniesionych ran Niedźwiedź Rozpraszający Wrogów. W odwecie grupa wojowników wyprawiła się z powrotem nad Platte i dokonała napadu na obiekty wojskowe w forcie Laramie, raniąc przy tym porucznika Fleminga.

Parę dni później do fortu przybył długo oczekiwany agent Siuksów. Dzięki relacjom naocznych świadków odtworzył przebieg wydarzeń i opisał, jak doszło do bitwy. Zebrane przez niego dowody niezbicie świadczyły, że wojsko przekroczyło swoje uprawnienia, a działania Grattana były nielegalne. Nie przekonało to jednak osadników, wojskowych i dziennikarzy, którzy okrzyknęli agenta zdrajcą. Sekretarz wojny zaś, Jefferson Davis, przedstawił potyczkę z oddziałem Grattana jako zasadzkę Siuksów na niewinnych żołnierzy, zaplanowaną z myślą o ich wymordowaniu. Dlatego wypadki w obozie Niedźwiedzia Rozpraszającego Wrogów przeszły do historii pod nazwą „masakry Grattana” (*The Grattan Massacre*). Była to jedna z trzech bitew w historii wojen z Indianami Wielkich Równin, w której zginęli wszyscy uczestniczący w niej żołnierze amerykańscy**[**[77]**]**.

Na początku 1855 roku młody wódz Siuksów Cętkowany Ogon, który odegrał główną rolę w walce z oddziałem Grattana, wraz z dwoma wojownikami pomścił śmierć wodza, napadając na dyliżans pocztowy do Salt Lake City. Wśród białych na Zachodzie podniósł się krzyk. Osadnicy, właściciele linii dyliżansów i niektórzy dowódcy wojskowi domagali się przykładnego ukarania Indian. Sekretarz Davis uznał to za doskonałą okazję do zemsty za cios zadany armii, przekonał rząd do zorganizowania wyprawy odwetowej przeciwko Siuksom i na początku marca 1855 roku wydał formalny rozkaz jej rozpoczęcia.

Kampanią dowodził pułkownik William Harney, bohater wojny z Meksykiem

i doświadczony „pogromca Indian”. W 1839 roku, w czasie wojny z Seminolami na Florydzie, Harney dał się zaskoczyć wodzowi Chaikice w Indian Key, tracąc w nocnym napadzie większość z trzydziestu dwóch żołnierzy (jemu samemu udało się uciec w samej bieliźnie i ukryć w krzakach). Rok później wciągnął Chaikikę i jego wojowników w zasadzkę, po czym kazał powiesić schwytanych jeńców (dla Indian śmierć przez powieszenie była największą hańbą). W rewanżu Seminólo wie spalili żywcem wszystkich białych, którzy wpadli w ich ręce. Po tym wydarzeniu armia zaprzestała praktyki wieszania wziętych do niewoli Indian. Harney nie zapomniał jednak upokorzenia, którego doznał na Florydzie, i korzystał z każdej okazji, aby się mścić na Indianach.

W lecie 1855 roku zgromadził w fortach Laramie i Kearny około tysiąca dwustu żołnierzy kawalerii, piechoty i artylerii z zamiarem wzięcia Indian w dwa ognie. W końcu sierpnia jego zwiadowcy odkryli ślady poszukiwanego obozu Siuksów nad Blue Water, dopływem Północnej Platte. Był już koniec lata i Indianie polowali, żeby zgromadzić zapasy mięsa na zimę. Na ich czele stał teraz Mały Piorun, następca Niedźwiedzia Rozpraszającego Wrogów, pokojowo nastawiony do białych.

Tymczasem nowy agent indiański, Thomas Twiss, obawiając się odwetu wojska, rozesłał gońców do obozów Siuksów z ostrzeżeniem i radą, aby ze względów bezpieczeństwa wycofali się na południe od Platte, uważanej za rzekę graniczną. Mały Piorun jednak zlekceważył to ostrzeżenie i pozostał w letnim obozie nad Blue Water. Dopiero gdy wojsko zbliżyło się do ich obozu, Indianie zaczęli szykować się do ucieczki, ale Harney zwiódł Małego Pioruna białą flagą i symbolicznym ultimatum[78]. Uspokojony wódz czekał na pułkownika z zaledwie dwustu pięćdziesięcioma wojownikami.

W trakcie negocjacji Harney podzielił wojsko na dwie kolumny i otoczył obozowisko Indian piechotą od północy i kawalerzystami od południa. W ten sposób Indianie znaleźli się w pułapce. 3 września, nie czekając na wynik rozmów, pułkownik zaatakował wioskę Małego Pioruna. Piechurzy spędzili Siuksów wprost pod lufy i szable dragonów, a ci zabijali wszystkich bez względu na wiek i płeć. Podobno wiele Indianek w geście rozpaczy zrzucało z siebie suknie, aby pokazać, że są kobietami, ale żołnierze dla nikogo nie mieli litości. W nierównej walce zginęło osiemdziesięciu sześciu Siuksów i wielu zostało rannych. Czterech wojowników oraz siedemdziesiąt kobiet i dzieci wzięto do niewoli i zatrzymano jako zakładników. Mały Piorun, choć ranny, zdołał uciec. W bitwie wyróżnił się Cętkowany Ogon, który odniósł cztery rany od kuli i szabli. Straty żołnierzy amerykańskich wyniosły dwunastu zabitych i rannych. Później Harney przy-

znał, że zaatakował Indian bez powodu, i wyraził ubolewanie.

Pokonawszy Siuksów Małego Pioruna, pułkownik odesłał zakładników do fortu Kearny i ruszył do Laramie, gdzie spotkał się z wodzami pozostałych odłamów plemienia. Pod groźbą użycia siły nakazał im trzymać się z dala od szlaków komunikacyjnych i zażądał wydania sprawców napadu na dyliżans do Salt Lake City. Potem zawiesił handel z Indianami i poprowadził swój oddział do samego serca kraju Siuksów, wzywając ich do walki. Przestraszeni Indianie nie podjęli wyzwania i zeszli żołnierzom z drogi. Wojsko okrążyło świętą ziemię Siuksów, Czarne Wzgórza (Black Hills) w Dakocie Południowej, a potem przeczesało teren nad rzekami White i Cheyenne. W październiku dotarło do fortu Pierre**[79]** nad Missouri i tam stanęło na zimę. W marcu 1856 roku pułkownik Harney zmusił Małego Pioruna i innych wodzów Siuksów do zawarcia traktatu pokojowego w forcie Pierre. Indianie mieli powstrzymać się od napadów na osadników wędrujących na Zachód, wydać winnych morderstw i grabieży oraz zapłacić odszkodowanie za straty poniesione w bitwie z Grattanem i za ataki na osadników. W celu wymuszenia na Siuksach przestrzegania postanowień traktatu Harney wyznaczył poszczególnym plemionom naczelnych wodzów odpowiedzialnych za wykonanie zobowiązań. W zamian obiecał „chronić” Indian przed oszustwami białych, przywrócić wymianę handlową i zwolnić jeńców wziętych nad Blue Water. Traktat z fortu Pierre nigdy nie wszedł w życie. Senat uznał porozumienie za bezprawne i nie zatwierdził go, a i wyznaczeni przez Harneya wodzowie nie mieli na tyle władzy, żeby zmusić swoich współplemieńców do jego przestrzegania.

25 października 1855 roku, po apelu przestraszonej starszyzny, aby nie narażali na wojnę całego plemienia, Cętkowany Ogon i jego dwaj towarzysze, w barwach wojennych i z pieśnią śmierci na ustach, poddali się w forcie Laramie. Aresztowani i odesłani do więzienia wojskowego w Fort Leavenvorth w Kansas, w styczniu 1856 roku zostali ułaskawieni, ale pozostali tam jeszcze przez całą zimę. Do września Cętkowany Ogon przebywał wśród białych w forcie Kearny, a do swojego plemienia dołączył dopiero pod koniec roku. W czasie pobytu w Leavenworth i Kearny poznał zwyczaje Amerykanów i mógł się przekonać o ich potędze. Poruszony tym, co widział, zaczął zmieniać swoje wojownicze nastawienie i z czasem stał się wśród Siuksów jednym z głównych rzeczników pokoju z białymi.

## Mocne czary „długich noży”

Po zawarciu traktatu pokojowego z Siuksami w forcie Pierre sytuacja na Równinach znacznie się uspokoiła i obie strony powróciły do wymiany handlowej. Wkrótce jednak znów doszło do starć wojska z Indianami, tym razem z plemienia Czejenów.

Wiosną 1856 roku większość Czejenów Północnych rozbiła swe obozy nad górną Platte, w pobliżu mostu na szlaku emigrantów ciągnących do Oregonu i Kalifornii (dzisiejsze Casper w stanie Wyoming), dwieście kilometrów powyżej fortu Laramie. Pewnego dnia grupa pod wodzą Małego Wilka napotkała na szlaku cztery konie, których uprząż wskazywała, że należą one do osadników. Wojownicy jednak uznali je za bezpańskie i zabrali ze sobą. Komendant posterunku wojskowego strzegącego mostu zażądał zwrotu zwierząt, obiecując, że znalazcy dostaną nagrodę. Trzech wojowników zgodziło się oddać konie, ale czwarty – Mały Wilk – odmówił. Wówczas komendant wysłał żołnierzy, żeby odebrali zwierzę i aresztowali wodza. Mały Wilk zdążył uciec, ale w potyczce zginął jeden wojownik, a drugi – Płonący Wilk – został aresztowany. Więźnia przewieziono do aresztu wojskowego w forcie Laramie, gdzie w końcu zmarł. W odwecie Czejenowie z jego grupy zabili kanadyjskiego trapera Pierre’a Garniera, który wrócił właśnie z wyprawy łowieckiej. Groziło to eskalacją napięcia i nową wojną z białymi, dlatego wodzowie Czejenów Północnych przenieśli swoje obozy na południe, nad rzekę Arkansas, gdzie połączyli się z południowym odłamem plemienia. Stamtąd Czejenowie ruszyli nad rzekę Smoky Hill, a później nad Solomon River. Tam, w krainie bogatej w bizony, mogli żyć i polować z dala od białych ludzi.

W sierpniu 1856 roku Czejenowie wyruszyli przeciwko wrogiemu plemieniu Paunisów. Ścigając ich, przecięli tereny, przez które szlakiem Platte biegły linie dyliżansów łączące wschodnie obszary kraju z Utah i Kolorado. 24 sierpnia w pobliżu rzeki natknęli się na furgon pocztowy jadący z Salt Lake City do fortu Kearny. Chcieli poprosić o trochę tytoniu, zaczęli więc dawać woźnicy znaki, żeby się zatrzymał. Ten jednak, przestraszony, pognał konie, a jego pomocnik wystrzelił do Indian z rewolweru. Zaskoczeni Czejenowie posłali za wozem kilka strzał z łuków i zranili woźnicę w ramię.

Komendant fortu Kearny kapitan Henry Wharton uznał incydent za naruszenie postanowień traktatu z Laramie i postanowił ukarać Indian. Następnego dnia wysłał przeciwko nim oddział kawalerzystów pod dowództwem porucznika George’a Stewarta. Poszukiwani Czejenowie obozowali na brzegu Platte, w miejscu zwanym Grand Island. Stewart, nie bacząc na to, że blisko połowę z około siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu Indian stanowią kobiety i dzieci, o

świcie zaatakował ich bez ostrzeżenia. W walce kawalerzyści zabili sześciu wojowników i kilku ranili, zabrali też konie, muły i wiele innej zdobyczy. Czejenowie, mimo zaskoczenia, zdołali się przegrupować i nękali żołnierzy przez całą drogę powrotną do fortu. W odwecie za tę napaść następnego dnia zaatakowali w pobliżu fortu Kearny karawanę osadników, w której jechał powracający z Waszyngtonu do Salt Lake City mormoński sekretarz do spraw Terytorium Utah, Almon Babbit. Zabili trzy osoby, a dwie inne wzięli do niewoli. 6 września napadli na małą karawanę mormonów i zabili kolejne cztery osoby. Babbit w towarzystwie dwóch innych mężczyzn kontynuował podróż przez następne dwieście kilometrów. Nie miał jednak szczęścia, bo już 7 września on i jego towarzysze padli ofiarą Czejenów w pobliżu obozowiska emigrantów na szlaku Oregońskim w Ash Hollow. Przy tej okazji Indianie zrabowali znaczną sumę pieniędzy, którą niefortunny przedstawiciel mormonów wiózł na potrzeby rządu terytorialnego.

Przez kilka kolejnych tygodni Czejenowie nękali emigrantów i przewoźników na całym obszarze pomiędzy Platte i Smoky Hill River, zabijając łącznie osiemnaście osób. W październiku zjawił się u nich agent Twiss, aby załagodzić konflikt. Po naradzie wodzowie zgodzili się zaprzestać napadów, wydać jeńców i część łupów zdobytych na osadnikach. W zamian Twiss udał się z delegacją plemienia do fortu Bent i dokonał corocznego rozdziału towarów, jako zapłaty za zgodę na przejazd białych przez tereny Indian. Jesienią walki ustały, ale z nadejściem wiosny 1857 roku Czejenowie powrócili na ścieżkę wojenną, wznawiając ataki na emigrantów na szlakach przecinających Kansas i Nebraskę. Stały się one tak dokuczliwe, że w Waszyngtonie zapadła decyzja o wysłaniu wojska dla uspokojenia Czejenów i zmuszenia ich do zaprzestania napadów.

Na czele ekspedycji, która w maju wyruszyła z fortu Leavenworth, stanął weteran wojen z Indianami i Meksykanami, a zarazem największy rywal Harneya, pułkownik Edwin Voss Sumner, zwany przez żołnierzy Byczym Łbem (*Bull's Head*), ponieważ meksykańska kula trafiła go w głowę, nie wyrządzając mu większej szkody. Sumner dysponował ponad ośmiuset żołnierzami kawalerii i piechoty oraz dwoma działami. Przed wyprawą podzielił swoje siły na trzy grupy, które miały szukać Czejenów samodzielnie. Dowodzili nimi: podpułkownik Joseph Johnston, major John Sedgwick i on sam. Oddział Sumnera skierował się najpierw na zachód do fortu Kearny, a potem na północ wzdłuż Platte do fortu Laramie. Tam pułkownik dowiedział się, że Czejenowie wyruszyli na południe, żeby wziąć udział w tradycyjnym Tańcu Słońca rozpoczynającym sezon letnich polowań na bizony. Pomaszerował więc do Kolorado, gdzie na początku lipca niedaleko dzisiejszego Denver dołączył do niego oddział Sedgwicka, idący

znad górnej Arkansas. Połączone siły ruszyły na wschód, na równiny zachodniego Kansas, które były ulubionymi terenami łowieckimi Czejenów. 24 lipca, idąc w dół Solomon River, wynajęci zwiadowcy Sumnera z plemienia Paunisów i Delawarów trafili na ślady przemarszu dużego obozu Indian. Wojsko puściło się za nim w pogoń.

29 lipca liczący około pięciuset żołnierzy oddział Sumnera napotkał w dolinie rzeki Solomon w północno-zachodnim Kansas trzystu indiańskich wojowników w szyku bojowym stosowanym przez kawalerię. Byli to Czejenowie z obozu pozostałego po letnim Tańcu Słońca, w którym wzięły udział wszystkie odłamy plemienia z Północy i Południa. Po ostatnich sukcesach Czejenowie byli tak pewni siebie, że nie próbowali uciekać i nawet nie zwinęli swoich namiotów. Wyszli na spotkanie wojska i czekali spokojnie, rozciągnięci w linię, opierając jedno skrzydło o zalesiony brzeg południowej odnogi Solomon River, a drugie o pagórki osłaniające dolinę rzeki od północy. Jak się później okazało, do wyboru tej taktyki, unikatowej w dziejach wojen indiańskich, przekonali Czejenów dwaj szamani, Biały Byk i Ciemność, znani na całych Równinach ze swej nadprzyrodzonej mocy. Obaj szamani zapewnili, że magiczne siły uchronią wojowników przed kulami żołnierzy. Wystarczy, że zanurzą dłonie w wodach świętego jeziorka, a będą powstrzymać kule lub zawracać je w locie.

Sumner pozostawił juczne muły oraz piechotę z działami w tyle i ruszył przeciwko Czejenom z samą jazdą w trzech kolumnach. Jego siły prawie dorównywały siłom Indian. Na widok wroga w szyku bojowym pułkownik natychmiast rozwinął oddział w linię, osłonił swoje flanki, zaginając szyk dwóch skrzydłowych kompanii, i rzucił kawalerię do ataku na wprost. Żołnierzom kazał zawiesić karabiny na pasach i poprowadził ich do pierwszej i prawdopodobnie jedynej masowej szarży na białą broń w dziejach wojen indiańskich. Jeden z jej uczestników wspominał: „Z dzikim wrzaskiem wyciągnęliśmy nasze szable i kierując ich ostrza prosto przed siebie, runęliśmy na nich z impetem”.

Tego Czejenowie nie przewidzieli. Ich „czary” miały przecież odpierać kule, a nie szable wroga. Nie pomogły ani magiczne pióropusze i barwy wojenne mające dodać sił i odwagi przystrojonym w nie wojownikom, ani woreczki z lekami, ani tarcze z bizoniej skóry opatrzone tajemnymi znakami. Na widok zbliżającej się nawały „długich noży”, błyskającej w słońcu setkami nagich ostrzy, Indianie zawahali się, potem w popłochu wystrzelili chmurę strzał i kul, po czym – uznając, że czary wroga są tego dnia silniejsze od ich czarów – poszli w rozsypkę.

„Wszyscy Indianie dosiadali koni i byli dobrze uzbrojeni, wielu miało karabiny i rewolwery – raportował Sumner kilka dni później z fortu Atkinson nad rzeką Arkansas. – Stali z godną podziwu odwagą, dopóki ich nie zaatakowaliśmy. Wtedy rzucili się do ucieczki we wszystkich kierunkach, a my ścigaliśmy ich przez siedem mil. Ich konie były wypoczęte i bardzo śmigłe, przez co nie mogliśmy większości z nich dogonić”.

Według relacji pułkownika, w czasie pościgu jego żołnierze zabili dziewięciu wojowników. On sam stracił dwóch żołnierzy, a dziewięciu zostało rannych, głównie od indiańskich strzał. Podczas pogoni kilku oficerów, wśród nich zadziorny Wirginijczyk porucznik James Stuart, osaczyło Czejena uzbrojonego w pistolet. Zdeterminowany Indianin wycelował do jednego z prześladowców, a wtedy Stuart odważnie rzucił się na niego z szablą w dłoni. Indianin błyskawicznie odwrócił się i wypalił do niego z odległości paru kroków. Kula małego kalibru utkwiła w lewej piersi Stuarta, ale go nie zabiła (podobno tkwiła w jego ciele aż do śmierci). Widać tego dnia bogowie wojny czuwali nad młodym oficerem, albowiem kilka lat później, w czasie wojny secesyjnej, Stuart zasłynął jako najwybitniejszy dowódca kawalerii konfederackiej**[80]**.

Rozproszywszy Czejenów, 31 lipca Sumner ruszył ich tropem. Na południe od miejsca bitwy natrafił na opuszczoną wioskę liczącą ponad sto siedemdziesiąt tipi. Żołnierze splądrowali i spalili namioty, po czym pomaszerowali dalej, przekonani, że Indianie rozpierzchli się po Równinach i nie sposób ich dalej ścigać. Z obawy jednak, że mogą znowu się połączyć, Sumner pomaszerował nad Arkansas, a potem w górę rzeki do fortu Bent. Niezadowolony, że nie udało mu się dopaść Indian, skonfiskował przynajmniej przeznaczony dla nich przydział towarów. Na tym kampania się skończyła i wojsko odeszło do fortu Laramie. Ranni i ich eskorta, pozostawieni nad Solomon River, szczęśliwie dotarli do fortu Kearny po trzech tygodniach błądzenia po bezdrożach. We wrześniu z rozkazu prezydenta Jamesa Buchanana część żołnierzy Sumnera odwołano z Równin i skierowano do stłumienia rebelii mormonów w Utah. Pułkownik z resztą oddziału powrócił do fortu Leavenworth, przebywszy prawie trzy tysiące dwieście kilometrów.

Sumner nie odniósł decydującego zwycięstwa nad Czejenami, lecz raczej sukces psychologiczny. Pokonani Indianie wycofali się na południe od Arkansas, gdzie połączyli się z Kiowami, Komanczami, Kiowa-Apaczami i garścią Arapahów. A po odejściu wojska z Równin, ponownie atakowali osady białych aż do zimy. Później, widać pomni bolesnej lekcji, jakiej udzielił im Sumner, utrzymywali niepewny pokój z Amerykanami przez kolejne sześć lat.

# Wojna Siuksów w Minnesocie

Lata 1861–1865 w Stanach Zjednoczonych zdominowała wojna secesyjna, ale w tle toczyły się w tym czasie krwawe starcia z Indianami, prowadzone niemal wyłącznie przez siły ochotnicze, powoływane przez władze stanowe lub terytorialne. Ani bowiem Północ, ani Południe nie miały rezerw wojskowych, a nawet doświadczonych oficerów, którzy mogliby stanąć na czele ochotników.

W Indianach, niezadowolonych z narzuconych im traktatów, przesiedlania ich na ograniczone powierzchniowo jałowe tereny rezerwatów oraz z niedostatecznych i nieregularnych przydziałów rządowych, narastał gniew i bunt. Byli gotowi wykorzystać każdą okazję, aby wyrazić swój sprzeciw wobec krzywdzącej dla nich polityki rządu. Na początku 1862 roku prezydent Lincoln mówił wprost, że w wielu miejscach na granicy indiańskiej panuje już stan „otwartej wrogości".

A późnym latem tego roku osadników na Zachodzie ogarnął strach. W końcu sierpnia bowiem do pogranicznych osiedli dotarły wieści o wielkim powstaniu Siuksów Santee (Dakotów) w Minnesocie. Do tej pory to najbardziej wysunięte na wschód i najmniej wojownicze z plemion Siuksów utrzymywało pokojowe stosunki z Amerykanami, którym zresztą na mocy traktatów z lat 1837, 1851 i 1858 oddało swoje ziemie, zachowując jedynie wąski rezerwat na południowym brzegu rzeki Minnesoty. I raptem 18 sierpnia 1862 roku doszło do gwałtownego, desperackiego wybuchu nienawiści. Siuksowie podjęli próbę wyparcia białych osadników z doliny rzeki, niszcząc tysiące hektarów upraw, paląc setki domostw i zabijając kilkaset osób obu płci. Dopuścili się przy tym brutalnych gwałtów i wzięli do niewoli wiele kobiet i dziewcząt. Wbrew licznym opiniom, nie było to jednak zaplanowane powstanie, lecz nagły akt determinacji i sprzeciwu wobec nieudolnej polityki rządu oraz niegodziwości amerykańskich kupców i agentów indiańskich w rezerwacie Siuksów Santee nad Minnesotą.

Przyczyny buntu narastały latami, ale bezpośrednim powodem stał się, jak to często bywa, błahy incydent z kurzymi jajami znalezionymi pewnego sierpniowego dnia przez paru głodnych Siuksów na farmie białego osadnika. Dyskusja, czy mają prawo je zjeść, przerodziła się w kłótnię na temat odwagi, co doprowadziło do zabójstwa kilkorga białych z sąsiedztwa. I tak drobna sprawa rozpaliła gniew Indian i pchnęła ich do walki z osadnikami, która szybko przybrała rozmiary poważnego konfliktu pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i całym plemieniem Siuksów.

Walki z Indianami w lecie 1862 roku sparaliżowały na sześć tygodni życie w Minnesocie, północnej części Iowa i wschodniej Dakocie w bardzo trudnym dla

kraju okresie wojny secesyjnej, kiedy oczy wszystkich były zwrócone na operacje wojsk Unii i Konfederacji w Wirginii i Marylandzie, w Kentucky i Tennessee oraz w Missouri i Arkansas. Dopiero rzucenie przeciwko zbuntowanym Siuksom dużych sił ochotniczych pozwoliło pokonać ich 23 września w bitwie nad Wood Lake i zmusić większość z nich do ucieczki na prerie Dakoty. Wojna ta pochłonęła życie ponad siedmiuset białych – cywilów i żołnierzy – i spowodowała straty materialne w wysokości około półtora miliona dolarów, najwięcej w całej historii wojen indiańskich w Stanach Zjednoczonych. W jej wyniku całkowicie wyludnił się znaczny obszar osadnictwa na północnym zachodzie kraju. To bezprecedensowe indiańskie powstanie w Minnesocie stało się poważnym problemem dla administracji prezydenta Lincolna i zaważyło na dalszych stosunkach Amerykanów z Siuksami. Masowo aresztowanych Indian postawiono przed sądem, który skazał na śmierć trzystu buntowników. Ostatecznie Lincoln zatwierdził trzydzieści osiem wyroków śmierci. Wykonano je w grudniu 1862 roku i była to największa masowa egzekucja w historii Ameryki. Wydarzenia w Minnesocie pociągnęły za sobą wojskowe ekspedycje karne do Dakoty w latach 1863–1864, podczas których stoczono największe bitwy z Indianami, ustępujące wielkością i znaczeniem tylko słynnej bitwie nad Little Bighorn w 1876 roku.

## Masakra nad Sand Creek

Od wyprawy pułkownika Sumnera Czejenowie i sprzymierzeni z nimi Arapahowie przestrzegali pokoju, a ich pacyfistycznie nastawieni wodzowie starali się trzymać swoich wojowników z dala od głównych szlaków komunikacyjnych. Jednakże coraz liczniejsze rzesze górników i karawany osadników zaczęły płoszyć stada bizonów na Wielkich Równinach, a wzdłuż rzek, nad którymi Indianie tradycyjnie polowali na bizony i widłorogie antylopy, pionierzy wycinali nieliczne drzewa i systematycznie wybijali zwierzynę, stanowiącą podstawę ich wyżywienia. W rezultacie pod koniec 1860 roku Indianie ze środkowych Równin stanęli w obliczu głodu.

Pozostający od dawna w przyjaznych stosunkach z Indianami kupiec i ranczer William Bent, agent indiański znad górnej Arkansas, widział narastające problemy lepiej od innych. W 1859 roku donosił komisarzowi do spraw Indian w dorocznym raporcie:

„Napływ białych jest tak duży, że nie ma możliwości objęcia go kontrolą i powstrzymania przez rząd. Z tego powodu należy przyjąć politykę szybkiej ochrony Indian i odsunięcia ich od kontaktów z białymi (...). Ci liczni i wojow-

niczy Indianie, naciskani ze wszystkich stron przez Teksańczyków, osadników z regionu wydobycia złota, ludzi idących z Kansas i znad Platte, już teraz są ściśnięci na niewielkim terytorium, pozbawieni pożywienia i rozdzieleni przez nieprzerwanie wędrującą linię emigrantów. Z tego powodu wojna spowodowana głodem i wyniszczeniem jest nieunikniona, o ile na czas nie zostaną podjęte środki zaradcze".

Wybuch wojny secesyjnej nie wpłynął zasadniczo na zmianę dotychczasowego sposobu życia Indian z Wielkich Równin. Wiosną 1862 roku, tak jak przedtem, wędrowali oni po swych dawnych łowiskach w poszukiwaniu bizonów. Czasami, gdy wyprawa się nie udała, rekompensowali sobie niepowodzenie, kradnąc konie i bydło z mijanych po drodze rancz. Kiedy indziej małe oddziałki wojowników w poszukiwaniu żywności napadały na pojedyncze farmy, niepokoiły dyliżanse i furgony przewożące towary szlakiem Santa Fe.

Powstanie Siuksów w Minnesocie wzburzyło plemiona ze środkowych Równin, od dawna rozgniewane napływem białych na ich tereny łowieckie i trudnościami ze zdobyciem pożywienia. Mimo to wodzowie Czejenów i Arapahów nie chcieli ryzykować losu zbuntowanych Siuksów i starali się uspokajać swoich wojowników. Jednakże gdy z braku bizonów w okolicy wśród Indian zapanował głód i myśliwi musieli wyprawiać się na łowiska odległe o setki kilometrów od rezerwatu, nic już nie mogło powstrzymać młodych wojowników przed wkroczeniem na wojenną ścieżkę. Głodni Indianie zaczęli napadać na karawany transportowe i rancza, choć samym ludziom na ogół nie wyrządzali krzywdy. Nie było tygodnia, aby do posterunków wojskowych na szlaku Santa Fe nie zgłaszali się przewoźnicy ze skargami na grabieże Indian. Żołnierze w fortach lekceważyli jednak zagrożenie i nadal pokątnie sprzedawali Indianom alkohol oraz napastowali ich kobiety.

Wiosną 1864 roku, gdy tylko na równinach Kolorado i Kansas zazieleniła się trawa, małe wyprawy łowieckie Czejenów i Arapahów wyruszyły na poszukiwanie bizonów, odbywających po zimowej przerwie doroczną wędrówkę na północ[81]. Zamiast nich jednak na dawnych pastwiskach tych zwierząt Indianie napotykali stada bydła białych ranczerów. Wściekli na osadników za przepłoszenie bizonów, zaczęli tu i ówdzie uprowadzać bydło, żeby dostarczyć rodzinom choć trochę świeżego mięsa.

Niepewny spokój panujący w Kolorado prysł nagle wczesną wiosną 1864 roku. Nieporozumienia na tle kradzieży bydła doprowadziły do wybuchu nowej wojny. Żołnierzy z Kolorado poprowadził w kwietniu przeciw Indianom osła-

wiony pułkownik John Chivington, były kaznodzieja metodystów zwany Walczącym Pastorem. Nakazał on swoim ludziom „zabijać Czejenów kiedykolwiek i gdziekolwiek ich spotkają”.

Po kilku mniejszych starciach z Czejenami i Arapahami, w listopadzie tego roku Chivington ruszył ze specjalnie zorganizowanym do walki z Indianami 3. Ochotniczym Pułkiem Kawalerii na zimowy obóz Czejenów wodza Czarnego Kotła. Indianie ci już dawno poddali się żołnierzom z pobliskiego fortu Lyon i obozowali nad wyschniętym potokiem Sand Creek w południowo-wschodnim rogu Kolorado, około dwustu sześćdziesięciu kilometrów od Denver, w przekonaniu, że znajdują się pod ochroną wojska. Chivingtona jednak kompletnie to nie obchodziło, a kiedy paru trzeźwiej myślących oficerów próbowało go powstrzymać, przypominając, że atak na jeńców wojennych jest przestępstwem, ten obrzucił ich obelgami i wrzasnął z wściekłością: „Niech będzie przeklęty każdy, kto sympatyzuje z Indianami! Wielkie nieba! Jestem przekonany, że stosowanie wszelkich możliwych środków przeciwko mordercom kobiet i dzieci jest słuszne i zgodne z honorem. Do diabła z każdym, kto sympatyzuje z Indianami!”.

Na ranem 29 listopada około siedmiuset żołnierzy Chivingtona zaatakowało uśpiony i niestrzeżony obóz Czarnego Kotła, rozciągnięty na przestrzeni półtora kilometra wzdłuż północnego brzegu potoku, będącego dopływem rzeki Arkansas. Obóz liczył prawie sto dwadzieścia tipi i znajdowało się w nim około sześciuset Indian, z czego niemal dwie trzecie stanowili starcy, kobiety i dzieci. Mimo zaskoczenia i przewagi białych Czejenowie dzielnie walczyli ponad osiem godzin. Karny i dobrze wyćwiczony oddział wojska pokonałby ich bez większego trudu, ale ludzie Chivingtona byli niezdyscyplinowani i słabo wyszkoleni, a wielu z nich także pijanych, wskutek czego większość Indian zdołała uciec. Pyszałkowaty Chivington nazwał tę bitwę „jedną z najkrwawszych, jakie kiedykolwiek stoczono na Równinach” i w raporcie z 16 grudnia podał, że zginęło od pięciuset do sześciuset Indian, w tym Czarny Kocioł i inni wodzowie, ale późniejsze badania nie potwierdziły tej liczby. Prawdopodobnie żołnierze zabili około stu pięćdziesięciu Indian, w tym sześćdziesięciu mężczyzn w różnym wieku oraz dziewięćdziesiąt kobiet i dzieci, a straty własne pułku wyniosły dziesięciu zabitych i czterdziestu siedmiu rannych.

W Denver powracających z wyprawy nad Sand Creek ochotników witano z honorami należnymi bohaterom. Przy dźwiękach orkiestry wojskowej „krwawy” 3. Ochotniczy Pułk Kawalerii z Kolorado w glorii chwały przemaszerował ulicami miasta. Jadący na jego czele Chivington niczym wódz rzymski trzymał w

ręku tyczkę z przywiązanym do niej żywym orłem. A gazeta „Rocky Mountains News” z dumą donosiła: „Wśród wszystkich wspaniałych czynów wojennych, jakich dokonano w walkach z Indianami, niewiele jest takich, które w historii mogą dorównać ostatniej kampanii naszych ochotników z Kolorado, a żadna nie przewyższa jej pod względem ostatecznych rezultatów. Żołnierze z Kolorado znowu okryli się chwałą”. Jakiś czas później niewielkie miasteczko powstałe w pobliżu pola bitwy nad Sand Creek nazwano – na cześć sprawcy masakry – Chivington.

Nie wszyscy jednak podzielali ten entuzjazm. Już kilka dni po powrocie z wyprawy pojawiły się głosy, że nad Sand Creek żołnierze z Kolorado zmasakrowali bezbronne kobiety i dzieci. To zmieniło nastawienie opinii publicznej do akcji Chivingtona. Uznano, że dobrze rokujące perspektywy pokojowego ułożenia stosunków z Indianami zostały zniweczone, gdy „żołnierze Chivingtona napadli pokojowy obóz Indian koło fortu Lyon, zabili połowę z nich, same kobiety i dzieci, a potem wrócili do Denver”.

Na Wschodzie wiadomość o masakrze wywołała furię. Kongres podjął oficjalne śledztwo, ale Chivington, nie czekając na jego wynik, w styczniu 1865 roku odszedł ze służby dobrowolnie i z pełnymi honorami, co uratowało go przed procesem i karą. Jako cywil, Walczący Pastor przestał podlegać jurysdykcji wojskowej.

W marcu rozpoczęły się przesłuchania w Kongresie, a w lutym własne śledztwo wszczęły także władze wojskowe. Zeznania świadków, w tym także niektórych oficerów, potwierdziły fakt bestialskiego mordowania bezbronnych kobiet, dzieci i starców oraz skalpowania i okaleczania zwłok poległych. Jeden z oficerów zeznał pod przysięgą:

„Następnego dnia, kiedy szedłem przez pole bitwy, nie widziałem ani jednego ciała mężczyzny, kobiety czy dziecka, które nie byłoby oskalpowane. W wielu wypadkach zwłoki mężczyzn, kobiet i dzieci nosiły ślady bestialskiego okaleczenia. Słyszałem, jak jeden z mężczyzn opowiadał, że wyciął kobiecie intymne części ciała, a następnie przywiązał je do kija i obnosił publicznie. Inny chwalił się tym, że odciął Indianinowi palce, aby mu zabrać pierścienie. J.M. Chivington wiedział o popełnianych okrucieństwach, nie słyszałem jednak, aby starał się im zapobiec (...). Słyszałem o wielu przypadkach pozbawienia kobiet intymnych części, które rozpinano na łękach siodeł lub noszono przy kapeluszach w czasie jazdy”.

Inny oficer oświadczył, że zastrzelono wszystkich Indian, którzy chcieli się

poddać i wyszli do wojska z podniesionymi rękami. Później ich ciała oskalpowano i okaleczono, bez żadnej reakcji dowódców. Licznym zabitym zdjęto z głów po kilka skalpów, gdyż nie dla wszystkich chętnych starczyło krwawych trofeów. Jeszcze inny świadek przysiągł, że widział, jak pewien podporucznik z zimną krwią zastrzelił i oskalpował trzy kobiety i pięcioro dzieci, co „napełniło zgrozą i wyraźnym niesmakiem" żołnierzy, którzy przyprowadzili je do obozu.

Ostatecznie specjalna komisja Kongresu uznała, że Sand Creek było „miejscem mordu i barbarzyństwa", i potępiła akcję Chivingtona jako akt „najgorszego zdziczenia". Dowództwo wojskowe zdecydowało jednak, że nie można nikogo postawić przed sądem, jako że w armii jest zbyt wiele podziałów personalnych i politycznych, aby istniały warunki do uczciwego i obiektywnego wyjaśnienia faktów. Mimo to naczelny dowódca, generał Ulysses Simpson Grant, potępił działania podwładnych Chivingtona jako „czyste morderstwo", a generalny prokurator wojskowy, generał Joseph Holt, stwierdził, że była to „tchórzliwa i dokonana z zimną krwią rzeź, wystarczająca, aby jej wykonawców okryć niesławą, a oblicza wszystkich Amerykanów rumieńcem wstydu i oburzenia".

Sprawcy masakry pozostali bezkarni, ale John Chivington poniósł karę moralną: do końca życia towarzyszyła mu zła sława „rzeźnika" znad Sand Creek. Zmarł w październiku 1892 roku z opinią „prawdopodobnie najgorszego oficera, jaki kiedykolwiek służył w siłach ochotniczych armii Stanów Zjednoczonych".

Wieść o masakrze nad Sand Creek rozniosła się lotem błyskawicy po Równinach i przeraziła wszystkie plemiona. Wkrótce jednak wstrząs ustąpił pragnieniu zemsty. Wściekli Czejenowie posłali do innych plemion gońców z wezwaniem do wojny. W grudniu 1864 roku wszystkie plemiona, które wypaliły fajkę wojny i odpowiedziały na ten apel, wystawiły ponad trzy tysiące wojowników gotowych pomścić zabitych nad Sand Creek. Jak podpis_obrazuowo określił to jeden z wodzów Siuksów imieniem Wielkie Usta, Sand Creek „rozpaliło na preriach ogień". Miał on kosztować białych życie trzystu ludzi, a rząd Stanów Zjednoczonych trzydzieści milionów dolarów.

Zimowa kampania 1865 roku przyniosła Amerykanom ogromne straty materialne. W dzikiej furii Indianie spalili wiele rancz i osiedli, zniszczyli liczne magazyny z zaopatrzeniem, napadli na karawany z towarami, wreszcie zerwali setki kilometrów drutów telegraficznych. Zaskoczone wojsko poniosło kilka bolesnych porażek i nie było w stanie ich powstrzymać. Na koniec, chcąc osłonić swój odwrót przed żołnierzami, Indianie podpalili wyschniętą prerię. W końca stycznia 1866 roku potężny wał ognia przetoczył się przez Równiny i po trzech

dniach dotarł do brzegów rzeki Arkansas. W wielu innych miejscach Indianie chronili się, wypalając trawę przed sobą, wskutek czego przerażona zwierzyna uciekła z okolicy, zostawiając kraj pomiędzy Platte i Arkansas martwy i całkowicie opuszczony. Dopiero na wiosnę ściągnięto posiłki zwolnione z pól bitewnych wojny secesyjnej i wznowiono walki. Miały się one toczyć jeszcze wiele lat, ale nigdy więcej Indianie nie zdołali już sprawić armii takiego kłopotu i przeprowadzić działań ofensywnych z udziałem tak wielkiej liczby wojowników.

Po Sand Creek i zakończeniu wojny secesyjnej stosunki z Indianami na Zachodzie weszły w stan permanentnego kryzysu. Specjalna komisja Kongresu, która w 1867 roku badała sytuację plemion indiańskich, donosiła, że wszystkie poważne problemy Indian, takie jak: choroby[82], pijaństwo czy wszechobecny głód, wynikają z najazdu zbyt wielkiej liczby białych na ich tereny plemienne. Istotnie, terytoria łowieckie Indian na Wielkich Równinach najeżdżały całe hordy białych osadników, zainteresowanych usunięciem tubylców z tych ziem. Przesuwające się coraz dalej na zachód linie kolejowe przecinały tradycyjne szlaki wędrówek stad bizonów, które przy każdej okazji zabijali bezlitośni biali łowcy skór[83]. Wskutek tego niekończące się stada bizonów, od których jeszcze do niedawna „równiny były czarne”, zaczęły znikać w zastraszającym tempie. W tej sytuacji naiwna polityka Biura do spraw Indian, polegająca na próbach uspokajania Indian podarkami i doroczną rentą albo nakłaniania ich do pokojowego przeniesienia się do rezerwatów, zawiodła na całej linii. Zresztą nie mogło być inaczej, bo jak niechętnie przyznała wspomniana komisja, na przeszkodzie rozwiązaniu problemu indiańskiego stał „niedający się opanować konflikt między rasą wyższą i rasą niższą”.

## Wojna Czerwonej Chmury

W 1865 roku, po klęsce Konfederacji, na Zachód przerzucono tysiące żołnierzy, zbrutalizowanych rzezią i okropnościami wojny domowej, których byli świadkami. Podobnie jak cywile, patrzyli oni ze zgrozą na nowe krwawe ślady pozostawione przez wojujących Indian. „W ciągu paru najbliższych lat – stwierdził w 1866 roku jeden z wyższych oficerów armii – staniemy wobec alternatywy całkowitego wyniszczenia Indian albo prowadzenia z nimi nieustannej walki”. Dla wojskowych problem Indian na Zachodzie miał jedynie wymiar militarny, uważali więc, że można go rozwiązać tylko w jeden sposób, ale to wymagało wolnej ręki. Dlatego dowodzący armią na obszarze Wielkich Równin generał Sherman wydał rozkaz swojemu podwładnemu, generałowi Philipowi Sheridanowi, aby doprowadził „problem indiański do ostatecznego rozwiązania”.

Dla osiągnięcia celu Sherman planował utworzenie na preriach wolnego od Indian pasa ziemi szerokości sześciuset kilometrów, pomiędzy rzekami Platte i Arkansas, oraz wybudowanie linii posterunków wojskowych od fortu Laramie we wschodnim Wyomingu do złotodajnych pól Virginia City w Montanie. Przez obfitujące w świeżą wodę i bujną trawę tereny zagwarantowane Indianom traktatem z 1851 roku, na które żaden biały nie miał wstępu, prowadził tak zwany szlak Bozemana. Wiosną 1866 roku rząd wysłał swojego komisarza, aby wynegocjował nowy traktat z Siuksami i Czejenami Północnymi, który dawałby białym prawo swobodnego przejazdu tym szlakiem, po czym – nie czekając na zgodę Indian – w maju skierował na ich ziemie kolumnę wojska w celu wzniesienia fortów do ochrony zmierzających tamtędy osadników. Do końca roku armia wybudowała trzy forty: Reno, Phil Kearny i C.F. Smith. To poważne naruszenie terytorium Indian doprowadziło do konfliktu, nazwanego później wojną Czerwonej Chmury. Siuksowie i ich sprzymierzeńcy byli gotowi przepuszczać przez swoje tereny emigrantów do Idaho i Oregonu, ale nie mogli tolerować stałej obecności wojska na swoich ulubionych łowiskach wzdłuż szlaku Bozemana.

Przeszkadzał im zwłaszcza fort Phil Kearny, wybudowany latem 1866 roku przez żołnierzy pułkownika Henry’ego Carringtona nad Piney Creek, dopływem Powder, w samym środku indiańskiej krainy, rozciągającej się na przestrzeni prawie tysiąca kilometrów pomiędzy fortem Laramie a złotodajnymi polami Montany. Na początku lipca, parę dni po wkroczeniu do fortu ludzi Carringtona, Indianie, którym przewodził wielki wódz plemienia Siuksów Oglala, Czerwona Chmura, dali wojsku ostrzeżenie, zabijając kilku żołnierzy nad Crazy Women’s Creek, dopływem Powder River. Ostrzeżenie nie poskutkowało, więc od tej pory wojownicy Czerwonej Chmury byli stałymi gośćmi w okolicach fortu. Do końca roku w jego pobliżu stoczono pięćdziesiąt jeden walk i potyczek. Indianie atakowali mniejsze oddziały wojska i prawie wszystkie karawany wędrujące szlakiem Bozemana, trzymając Phil Kearny w stanie oblężenia. Tylko od sierpnia do grudnia w okolicach fortu zabili sto pięćdziesiąt cztery osoby, ranili dwadzieścia oraz uprowadzili blisko osiemset sztuk bydła, mułów i koni. W ciągu dwóch lat w sąsiedztwie fortu stoczono więcej walk niż w pobliżu jakiegokolwiek innego posterunku wojskowego na pograniczu indiańskim.

Po kilku miesiącach nękania wojska i napadów na podróżnych, w grudniu 1866 roku przeciwko Siuksom, Czejenom i Arapahom wyruszył kapitan William Fetterman. Podobno już wcześniej wyśmiewał ostrożność Carringtona i przechwalał się, że „mając osiemdziesięciu kawalerzystów, przejechałby przez cały kraj Siuksów”. Kiedy jednak w

*Wódz Siuksów Czrewona Chmura*

końcu poprowadził oddział osiemdziesięciu ludzi na pomoc grupie drwali zaatakowanej przez Indian, 21 grudnia Siuksowie i ich sprzymierzeńcy wciągnęli jego żołnierzy w misternie zastawioną zasadzkę i wszystkich zabili[84]. Biali byli wstrząśnięci pogromem, który okrzyknęli masakrą Fettermana (*Fetterman s Massacre*), a generał Sherman wezwał w imieniu armii do srogiej zemsty, oświadczając: „Przeciwko Siuksom musimy działać z mściwą powagą, nawet do ich całkowitej eksterminacji”.

Wojna, w której po obu stronach przelano wiele krwi, trwała ze zmiennym szczęściem ponad dwa lata. Zakończył ją ostatecznie traktat pokojowy, wynegocjowany w kwietniu i doprowadzony do końca w listopadzie 1868 roku w forcie Laramie. Rząd wycofał wojsko ze szlaku Bozemana, armia opuściła forty oraz zrezygnowała z otwarcia i ochrony nowej drogi komunikacyjnej wiodącej przez dolinę rzeki Powder. Czerwona Chmura okazał się nie tylko skutecznym dowódcą, ale i rozważnym politykiem. Podpisał traktat dopiero wtedy, gdy wojsko faktycznie opuściło forty, a jego wojownicy je spalili. Stany Zjednoczone zgodziły się, aby kraina rzeki Powder na północ od Północnej Platte i na wschód od gór Bighorn stała się „niepodzielnym i nieodstępowalnym terytorium indiańskim”, na które bez zezwolenia Indian nie ma wstępu żaden biały. Tak więc w traktacie uwzględniono wszystkie warunki Czerwonej Chmury, a on sam stał się dzięki temu jedynym wodzem indiańskim, który wygrał wojnę z Amerykanami.

*Rzymski Nos z plemienia Czejenów*

# W obronie ziemi przodków

Zanim przystąpiono do ostatecznej rozprawy z Indianami na zachodzie kraju, próbowano rozwiązać konflikt środkami pokojowymi. Wiele osób w sferach rządzących sympatyzowało z Indianami i wolało najpierw się z nimi dogadać. Planom tym sprzyjały buntownicze nastroje w oddziałach ochotniczych, domagających się demobilizacji po latach wojny, oraz żywa pamięć o Sand Creek wśród ludzi na Wschodzie. Wojna secesyjna dobiegała końca i rząd spodziewał się gwałtownego napływu osadników na Zachód. Potrzebny więc był nowy traktat pokojowy, który zapewniłby bezpieczeństwo na zachodnich szlakach i raz na zawsze załatwił sporną sprawę ziem na środkowych Równinach. Komisarze rzą-

dowi łudzili się, że nowe porozumienie skłoni wreszcie łowców bizonów do porzucenia dotychczasowego dzikiego trybu życia i przekształcenia się w cywilizowanych rolników.

Z prac specjalnej komisji Kongresu wyciągnięto wnioski i – ku niezadowoleniu dowództwa armii – w październiku 1867 roku przedstawiciele obu stron spotkali się koło fortu Lamed w Kansas, aby podpisać nowy traktat, zwany traktatem z Medicine Lodge (*Medicine Lodge Treaty*). Specjalnie na tę okazję wybudowano wielką wioskę złożoną z ośmiuset pięćdziesięciu tipi, w której rozbiło swoje obozy pięć tysięcy Komanczów, Kiowów, Kiowa-Apaczów, Arapahów i Czejenów. Zgromadzenie to opisano jako jedno z „największych i najbarwniejszych spotkań Indian i osob urzędowych, jakie kiedykolwiek odbyło się na Równinach". Drugi traktat, kończący formalnie wojnę Czerwonej Chmury, podpisano z Siuksami i Czejenami Północnymi w 1868 roku w forcie Laramie. W obu traktatach strony zapewniały o woli utrzymania pokoju. Postanowiono, że dla Indian zostaną utworzone dwa wielkie rezerwaty: jeden – dla południowych plemion – na południe od rzeki Arkansas, na obszarze Kansas przylegającym do Terytorium Indiańskiego, drugi – dla Siuksów oraz Czejenów Północnych i Arapahów – na obszarze Dakoty, Montany i Wyomingu, od rzeki Missouri na południe przez rzekę Yellowstone, z terenami łowieckimi w okolicach rzek Bighorn i Powder. W zamian za ograniczone prawo do polowań na swoich dawnych terenach łowieckich oraz rządowe dostawy żywności, odzieży i amunicji, Indianie zgodzili się pozostawić w spokoju starą drogę emigrantów wzdłuż Platte, zaakceptowali też projekty budowy linii kolejowych Union Pacific i Northern Pacific.

Samo podpisanie traktatu niczego jeszcze nie rozwiązywało. Rząd wypełniał warunki porozumienia powoli, a Indianie często nie do końca rozumieli sens swoich zobowiązań, a nawet jeśli je rozumieli, ich wodzowie nie byli w stanie powstrzymać młodych wojowników przed wkraczaniem na wojenną ścieżkę. Ponadto w skomplikowanym świecie ceniących sobie niezależność Indian traktaty zawierane przez jednych wodzów nie obowiązywały innych, którzy ich nie podpisali i nie akceptowali. Wiele grup Komanczów, Kiowów, Arapahów i Czejenów Południowych nie chciało się wyrzec praw plemiennych do polowania na swoich dawnych łowiskach. Poza tym traktaty nie uwalniały od wrogości i nienawiści do białych. Wojowniczy Komancze od lat toczyli bezlitosną wojnę z Teksańczykami i polowali na nich jak na dzikie zwierzęta, a Czejenowie i Arapahowie wciąż nie mogli zapomnieć o masakrze swoich braci nad Sand Creek.

Przez cały 1868 rok na granicach rezerwatu w Kansas trwała wojna podjazdowa. Rozgoryczeni utratą dawnych ziem i coraz powszechniejszym głodem,

młodzi wojownicy z południowych plemion najeżdżali i palili pojedyncze osady, nierzadko też zabijali białych, gdziekolwiek ich spotkali. Wojsko starało się utrzymać porządek w terenie, ale było to trudne z braku doświadczonych żołnierzy, którzy po zakończeniu wojny domowej masowo wracali do życia w cywilu. Nie powiodła się nawet próba wysłania w pole specjalnego oddziału pięćdziesięciu doświadczonych zwiadowców, złożonego z „pierwszorzędnych i twardych ludzi Pogranicza" majora George'a Forsytha (tzw. zwiadowców Forsytha), zorganizowanego przez generała Sheridana do wykrywania indiańskich obozów. Chociaż świetnie uzbrojeni i wyekwipowani, żołnierze Forsytha nie sprostali licznym wojowniczym Czejenom i Siuksom, a stoczona 16 września głośna bitwa na wyspie Beechera nad potokiem Arikaree we wschodnim Kolorado przyniosła im znaczne straty. Wprawdzie nie dali się wybić do nogi przeważającym siłom Indian, ale eksperyment z doborową, lecz niewielką grupą „pogromców Indian" uznano za chybiony i oddział rozwiązano. „Ci Indianie zasługują na porządne baty – stwierdził wściekły Sheridan. – Ich przywódców należy powywieszać, konie powystrzelać, a wszelkie dobra zniszczyć w takim stopniu, aby stali się bardzo biedni".

Jesienią 1868 roku do fortu Hayes w Kansas przybył stary, dotknięty artretyzmem i ślepnący Jim Bridger. Powołując się na swoje czterdziestoletnie doświadczenie z życia na Zachodzie, błagał wojskowych, aby zrezygnowali z planów zimowej kampanii. Generał Sheridan jednak nawet nie chciał go słuchać. Postanowił wysłać przeciwko opornym południowym plemionom, które odmawiały przejścia do rezerwatu, zaufanego bohatera wojny secesyjnej, długowłosego George'a Armstronga Custera**[85]**, „chłopięcego generała ze złotymi lokami", jak go nazywano ze względu na młody wiek i charakterystyczny wygląd. W pogoni za sławą i chwałą (specjalnie wziął ze sobą dziennikarza jednej z gazet) Custer wyruszył z fortu Hayes w końcu listopada na czele 7. pułku kawalerii.

Dla przeciętnego amerykańskiego kawalerzysty walka z Indianami nie była łatwa. Wojownik indiański pogardzał śmiercią. Uważał, że „tylko tchórz boi się śmierci" i że lepiej zginąć w walce, niż umrzeć ze starości lub z powodu choroby. Był znakomitym taktykiem, niezwykle ruchliwym i przebiegłym, a zarazem doskonale znał swój kraj. Wojna stanowiła istotę jego życia. Była najlepszą drogą do wykazania osobistej odwagi i męskiej wartości, a zarazem do sławy i bogactwa. Ideał wojownika wymagał, aby młodzież oswoiła się ze śmiercią i bez wahania oddawała życie w razie potrzeby. Tak przygotowany duchowo i fizycznie do walki wojownik indiański był trudnym przeciwnikiem dla amerykań-

skiego kawalerzysty i najczęściej przewyższał go wartością bojową. Wybitny znawca Indian Stanley Vestal twierdził, że Indianin – Siuks czy Czejen – był mniej więcej cztery razy bardziej efektywny w boju niż biały żołnierz.

Jednakże indiański sposób walki miał swoje słabości. Indianie, traktujący wojnę jako rodzaj gry, dużo wyżej niż śmierć wroga cenili sobie pokaz odwagi. A jej przejawy były różne. Mogło to być zwycięskie dotknięcie żywego lub zabitego przeciwnika gołą dłonią albo specjalną laską uderzeń (*coup stick*); stawanie do walki bez broni, którą można by razić wroga na odległość (godniejsza od łuku czy strzelby była lanca, a od lancy – maczuga lub tomahawk), a nawet walka jedynie za pomocą pejcza do poganiania koni lub laski uderzeń.

Mimo takiego typowego dla społeczeństw pierwotnych pojmowania wojny, odwaga, wytrzymałość, mistrzowskie posługiwanie się bronią i perfekcyjna sztuka jazdy konnej często dawały Indianom przewagę nad białymi, ale tylko na ograniczoną skalę. Rzadko kiedy bowiem udawało im się zebrać dostateczną liczbę wojowników, aby skutecznie przeciwstawić się dobrze uzbrojonym i zorganizowanym oddziałom wojska. Jeszcze trudniej było utrzymać ich na wojennej ścieżce przez dłuższy czas i nauczyć dyscypliny walki. Wodzowie właściwie nie mieli żadnego wpływu na zachowanie swoich ludzi podczas bitwy. Na niekorzyść Indian działała także zakorzeniona od stuleci wrogość plemienna. Wojny międzyplemienne miały jednak charakter sezonowy i trwały zwykle od wiosny do jesieni. Zimą Indianie okopywali się w zasypanych śniegiem niechronionych obozach razem z dobytkiem i rodziną, raczej bezpieczni przed wrogimi plemionami, ale nie przed zdyscyplinowanym i dobrze przygotowanym do zimowych warunków wojskiem. A żołnierzy często prowadzili indiańscy zwiadowcy z plemion od pokoleń wrogich szczepom najbardziej opornym wobec białych.

Siły Custera: jedenaście kompanii kawalerzystów, oddział zwiadowców z legendarnym skautem „California Joe” Milnerem, grupa zaprzyjaźnionych Indian z plemienia Osagów, razem ponad dziewięciuset ludzi, świetnie wyposażonych, uzbrojonych po zęby i dobrze zaopatrzonych, ruszyły przez zaśnieżone pustkowia dzisiejszej Oklahomy na obozy południowych plemion w dolinie rzeki Washita. 27 listopada wynurzyły się ze śnieżnej zamieci i przy dźwiękach hymnu bojowego 7. pułku *Garry Owen* zaatakowały znienacka obóz Czejenów z grupy Czarnego Kotła – tego samego, który cztery lata wcześniej padł ofiarą ataku Chivingtona nad Sand Creek. W ciągu kilku minut żołnierze zniszczyli obóz, zabili stu trzech Indian (ale zaledwie jedenastu wojowników) i wzięli do niewoli kilkadziesiąt kobiet i dzieci. Potem urządzili krwawą rzeź koni: wybili stado złożone z ośmiuset siedemdziesięciu pięciu sztuk i spalili cały dobytek Indian. Wy-

cofali się pod osłoną nocy, gdy na pomoc ludziom Czarnego Kotła pospieszyli Indianie z innych pobliskich obozów. Tak zaczęła się nowa sześcioletnia wojna z południowymi plemionami Czejenów, Arapahów, Komanczów i Kiowów, którym przewodzili wielcy wodzowie: Wysoki Byk, Satank, Satanta, Samotny Wilk i Kopiący Ptak.

Generał Sheridan, niski, zarośnięty Irlandczyk z krzywymi nogami, był bezlitosnym wrogiem. W czasie wojny secesyjnej zasłynął nie tylko jako wybitny dowódca kawalerii federalnej, ale także jako bezwzględny tyran, który ogniem i mieczem spustoszył spichlerz Konfederacji, dolinę Shenandoah, czym doprowadził do śmierci głodowej tysiące niewinnych mieszkańców Wirginii. Nienawidzący Indian (to jemu przypisuje się słynne zdanie, że „dobry Indianin to martwy Indianin”**[**[86]**]**), rozkazał wybijać bizony i konie „dzikusów”, aby głodem zmusić ich do ustępstw, czyli przejścia do rezerwatów. A jego ambitni podkomendni, tacy jak George Custer, Eugene Carr, Nelson Miles, John Davidson czy Ranald Mackenzie, szukający wojennej sławy w konfrontacji z półnagimi wojownikami z Równin, ściśle wykonali rozkaz dowódcy. W rezultacie do roku 1875 południowe plemiona zostały pobite, ich najwybitniejsi wodzowie zginęli, a innych – jako niebezpiecznych wichrzycieli – uwięziono w starych hiszpańskich lochach na Florydzie. Nowi wodzowie, którzy zajęli ich miejsce, w rodzaju półkrwi Komancza, Quanaha Parkera, czuli powiew nowych czasów i po negocjacjach poddawali się jeden po drugim. Resztki południowych plemion wepchnięto do ubogiego rezerwatu w Kansas i pozbawiono prawa do swobodnych wędrówek po Równinach. Tak się skończyło panowanie dumnych Kiowów i Komanczów jako „władców południowych Równin”.

## Wojna o Czarne Wzgórza

Na Północy wątły pokój zawarty w 1868 roku przetrwał tylko kilka lat. Większości Indian, którzy dobrowolnie przeszli do rezerwatu, w żaden sposób nie dało się zmienić w spokojnych amerykańskich rolników. Potężni Siuksowie nie mogli się pogodzić z utratą wolności i pod wpływem wodzów, którzy nie chcieli osiąść w rezerwatach, a zwłaszcza wielkiego wizjonera i duchowego przywódcy plemienia Hunkpapa, Siedzącego Byka, próbowali unikać białych i zachować tradycyjny sposób życia w granicach narzuconego im prawa. Jednakże traktaty zawierane przez rząd w Waszyngtonie niewiele obchodziły ludzi na Pograniczu. Emigranci, osadnicy, poszukiwacze złota i hodowcy bydła nie widzieli najmniejszego powodu, żeby zostawić Indianom najlepsze ziemie na Zachodzie. Uznali, że trzeba im je odebrać, nie zważając na żadne układy. To doprowadziło do

otwartej wrogości Siuksów i ich sojuszników. Sheridan i Custer postanowili więc rozprawić się z nimi, stosując taktykę sprawdzoną już wobec Komanczów i ich sprzymierzeńców. Polegała ona na wysyłaniu kilku samodzielnych kolumn wojska do kraju Indian, żeby ich wytropić i zmusić do walki. W ten sposób można było rozwiązać problem opornych plemion na północnych Równinach.

W lipcu 1874 roku wyruszyła na Czarne Wzgórza, czyli Black Hills, w Dakocie popierana przez rząd ekspedycja Custera, naruszając terytorium Siuksów, prawnie im należne na mocy traktatu z 1868 roku i uważane przez nich za świętą ziemię. Nie jest do końca pewne, czy cel wyprawy był wyłącznie militarny, czy też może chodziło o zbadanie zasobów mineralnych (kawalerii Custera towarzyszyła grupa geologów) Czarnych Wzgórz, w każdym razie przy okazji odkryto złoto. Szybko rozeszły się pogłoski o występujących tam bogatych pokładach tego kruszcu i w 1875 roku zaczęła się lawinowa gorączka złota. Początkowo rząd próbował ją powstrzymać, ale szybko dał za wygraną i otworzył Czarne Wzgórza dla białych. Świętą krainę Siuksów zalała fala awanturników. Mimo protestów Indian, wkrótce w pobliżu nowo odkrytych złóż powstały dwa miasta, Deadwood i Custer. Jeszcze raz się okazało, że zawarte z rządem traktaty są tylko bezwartościowymi świstkami papieru, które łatwo podrzeć i podeptać. Pod koniec 1875 roku poszczególni wodzowie, jeden po drugim, wyprowadzili po cichu swoich ludzi z Wielkiego Rezerwatu, w którym przebywali zgodnie z traktatem z Laramie, i powiedli ich w odległe rejony Wielkich Równin w dolinie rzeki Powder, na szeroki pas ziemi nazwany „terenami niescedowanymi”, aby tam kontynuować swój tradycyjny wędrowny tryb życia. Rząd zareagował szybko: w krótkiej nocie wydanej na początku grudnia nakazał wszystkim Indianom zgłosić się do wyznaczonych agencji w rezerwatach najpóźniej do 31 stycznia 1876 roku. Nawet gdyby Siuksowie tego chcieli, trudno byłoby im dotrzymać terminu z powodu ciężkiej zimy. Oni jednak nie byli łagodnymi barankami i nie zamierzali dać się zapędzić do rezerwatów jak wiele innych, mniej wojowniczych plemion.

Nazwa „Siuksowie” wywodzi się z języka ich największych wrogów, Czipewejów z regionu Wielkich Jezior. Używali oni określenia *nadoweisiweg*, które później francuscy myśliwi zniekształcili na *nadowessioux* lub krócej *sioux*, co znaczyło „małe węże” lub w szerszym rozumieniu – „wrogowie”. Inne plemiona wrogie Siuksom nadawały im jeszcze mniej pochlebne nazwy ze względu na ich zwyczaj torturowania jeńców i okrucieństwo. Tak więc Indianie Ute nazywali ich „ucinaczami rąk”, a Wrony, Arapahowie i Komancze – „mordercami” lub „podrzynaczami gardeł”. W indiań-

skiej mowie znaków pojęcie „siuks” oznaczało ruch dłoni imitujący podcinanie gardła. Sami Siuksowie nazywali siebie „sprzymierzeńcami”, co w poszczególnych dialektach ich języka brzmiało *Dakota, Nakota* lub *Lakota*.

*Podpułkownik George Armstrong Custer*

Byli ludem dumnym i bardzo wojowniczym. Pierwotnie tworzyli konfederację złożoną z siedmiu niezależnych, lecz spokrewnionych ze sobą plemion, zwaną Siedem Ognisk Rady. Bezlitośnie walczyli ze wszystkimi swoimi sąsiadami. Najeżdżali wioski rolniczych plemion znad Missouri i przeganiali tych, którzy przeszkadzali im w drodze na Zachód. W drugiej połowie XIX wieku zagrożone przez nich wyniszczeniem sąsiednie ludy: Wrony, Paunisi, Arikarowie i Szoszoni, zawarły sojusz z Amerykanami i odtąd wspomagały ich w wojnach z Siuksami, głównie przez dostarczanie cennych zwiadowców. Ci, którzy Siuksów znali, wiedzieli, że najazd na ich święte ziemie nie ujdzie nikomu płazem.

Jak było do przewidzenia, Siedzący Byk i inni wodzowie odmówili opuszczenia rejonu rzeki Powder i zgłoszenia się do wyznaczonej agencji w rezerwacie. W konsekwencji w lutym 1876 roku wybuchła wojna z Siuksami. Pod koniec zimy armia zaczęła zamykać wokół wolnych Indian pierścień okrążenia, z którego, wydawało się, nie ma dla ludzi Siedzącego Byka żadnego wyjścia. A jednak pierwsze starcia z oddziałem pułkownika Jamesa Reynoldsa nad Powder River (17 marca) i generała George’a Crooka nad Rosebud Creek (17 czerwca) Indianie, prowadzeni przez bitnego wodza Oglalów Szalonego Konia, wygrali: zmusili przeciwnika do odwrotu i zaprzestania dalszych działań. 17 maja z fortu Abraham Lincoln w Dakocie ruszyły w pole główne siły generała Alfreda Terry’ego, opóźnione z powodu złej pogody i niezdecydowania dowództwa. W awangardzie szedł osławiony 7. pułk kawalerii z podpułkownikiem George’em Custerem na czele, już bez swoich słynnych loków opadających na ramiona (przed wyruszeniem na wyprawę wszyscy żołnierze musieli się ostrzyc na

krótko), za to z krwistoczerwoną chustką zawiązaną na szyi przy kołnierzu skórzanej bluzy ozdobionej fantazyjnymi frędzlami.

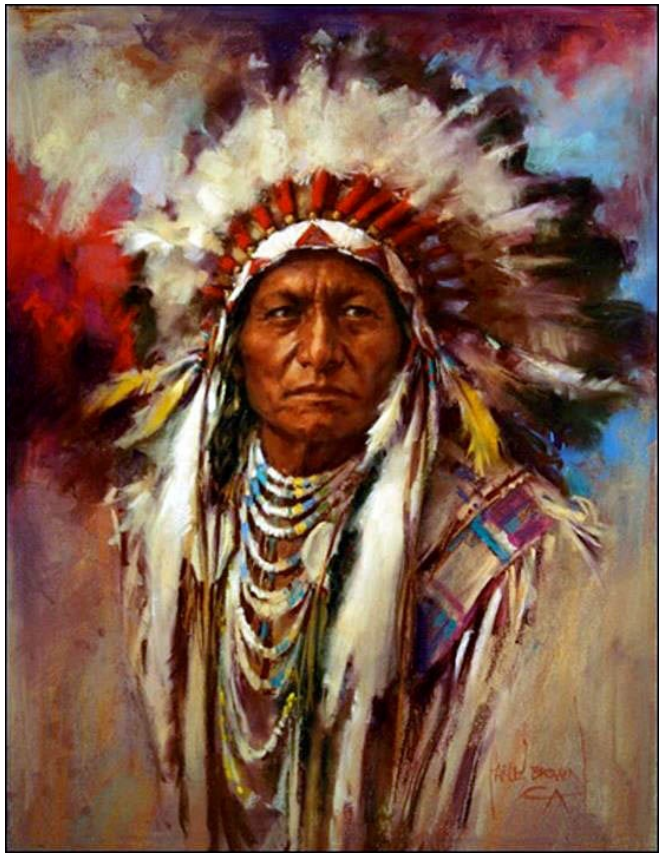

*Wódz Siedzący Byk*

Wiosną wiele grup Indian z Północy, które zimę spędziły poza rezerwatem, dołączyło do zyskującego coraz większe uznanie wodza Hunkpapów, Siedzącego Byka, i w czerwcu wszyscy sprzymierzeni obozowali pod jego wodzą nad rzeką Little Bighorn, dopływem Yellowstone w południowej Montanie. Byli tam ci, którzy nie akceptowali systemu rezerwatów: Siuksowie Hunkpapa, Minneconjou, Brulé, Czarne Stopy Lakota, Dwa Kotły i Bez Łuków, Santee i Yanktonai oraz Oglala ze swoimi słynnymi wodzami: Szalonym Koniem, Żółcią, Wronim Królem, Deszczem w Twarz, Garbem, Cętkowanym Orłem, Czerwonym Koniem, Zabić Orła, Gallem i Inkpadutą, a także wielu Czejenów Północnych i garść Arapahów pod wodzą Dwóch Księżyców, Kulawego Białego Człowieka, Małego Wilka, Tępego Noża, Kulawego Jelenia i Lewej Ręki. Łącznie w pięknej dolinie Little Bighorn, którą Siuksowie podpis_obrazuowo nazwali Tłustą Trawą, stanęła wieś niespotykanych rozmiarów, licząca ponad tysiąc tipi i przeszło siedem tysięcy Indian, w tym co najmniej dwa tysiące wojowników.

25 czerwca w pogoni za mijającą sławą ambitny Custer zaatakował, nie czekając na wsparcie, chociaż jego marsz został przez Indian odkryty. Zwiadowcy z plemienia Wron ostrzegali go, że ma przed sobą „więcej nieprzyjaciół, niż 7. pułk ma nabojów”, ale butny pułkownik nie zważał na to w obawie, że z takim trudem wytropieni Indianie wymkną mu się z rąk. Tymczasem oni wcale nie zamierzali uciekać, bo parę tygodni wcześniej, w czasie obrzędów Tańca Słońca w Medicine Deer Rock w Montanie, Siedzący Byk miał wizję, że Siuksowie odniosą wielkie zwycięstwo. Teraz więc, podtrzymywani na duchu jego przepowiednią, wojownicy szykowali się do walki, pewni sukcesu. Ani Custer, ani ża-

den z jego oficerów nie przewidzieli takiego scenariusza.

*Wojownik Czejenów Żółty Nos w bitwie nad Little Bighorn*

*Bitwa nad Little Bighorn (1876)*

Podobnie jak nad Washitą w 1868 roku, Custer podzielił swój pułk na cztery części i rzucił sześciuset pięćdziesięciu dwóch kawalerzystów i towarzyszących im zwiadowców na – jak sam stwierdził – „największy obóz indiański w Ameryce Północnej”. Bataliony kapitana Frederica Benteena (stu dwudziestu ludzi) i majora Marcusa Reno (stu siedemdziesięciu pięciu) miały związać siły Indian atakiem od południa, a wzmocniona kompania kapitana Thomasa McDougalla pozostała w tyle jako ochrona taboru jucznych mułów (łącznie sto siedemdziesiąt pięć osób). Złożony z pięciu kompanii batalion Custera (dwustu trzydziestu jeden ludzi) zamierzał obejść Indian pod osłoną urwiska i zaatakować obóz od północnego wschodu.

Od samego początku walka nie przebiegała po myśli białych. Batalion Reno zostały odparty z dużymi stratami i razem z siłami Benteena i McDougalla okopał się na pobliskim wzgórzu. Po osaczeniu kawalerzystów na wzniesieniu główne siły Siuksów pod wodzą Szalonego Konia i Galla wraz z Czejenami Kulawego Białego Człowieka zwróciły się przeciwko batalionowi Custera, atakującemu drugi kraniec obozu. Tym razem szczęście odwróciło się od bohatera wojny secesyjnej. Jego oddział został rozproszony na mniejsze grupki i w ciągu niespełna godziny wybity do nogi. Jak stwierdzili Indianie, walka zakończyła się wcześniej, niż ktokolwiek zdołałby wypalić fajkę. Z całego batalionu na placu

boju pozostał żywy tylko koń Komancz jednego z oficerów. Łącznie straty białych nad Little Bighorn wyniosły dwustu sześćdziesięciu pięciu zabitych i pięćdziesięciu pięciu rannych. Kto wie, czy nie zginęliby wszyscy, gdyby nazajutrz po bitwie Indianie nie wycofali się na wieść o zbliżaniu się głównych sił generała Terry'ego i pułkownika Johna Gibbona z fortów w Montanie. Siedzący Byk nie brał bezpośredniego udziału w bitwie; odprawiał w tym czasie czary w swoim namiocie. „Co uczyniłem? – powiedział później. – Nic. To nie my wyszliśmy ze swego kraju, aby ich pozabijać. To oni przyszli, żeby nas zabić, i sami zostali zabici".

## Ostatni wolni Indianie

Bitwa nad Little Bighorn, najsłynniejsze zwycięstwo Indian nad armią amerykańską, okazała się tylko przelotnym sukcesem. Klęska 7. pułku kawalerii i śmierć „długich włosów" Cusiera wstrząsnęły opinią publiczną i zmusiły rząd do bardziej zdecydowanych działań. Pozostawienie na wolności chociażby części Indian zagrażało całemu systemowi agencji i rezerwatów, a do tego nie można było dopuścić. Tradycyjny świat wolnych Indian musiał przestać istnieć, więc żądna zemsty armia żwawo zabrała się do roboty. Dowództwo wprowadziło w rezerwatach stan wojenny, Indianom odebrano broń oraz konie i poddano ich ścisłej kontroli, aby nie mogli już wspierać swoich wolnych braci. Za karę skonfiskowano im Czarne Wzgórza, „tereny niescedowane" i część Wielkiego Rezerwatu. Zimowe kampanie przeciwko zwolennikom Siedzącego Byka skutecznie eliminowały poszczególne grupy zbuntowanych Siuksów i Czejenów. Do wiosny 1877 roku opór Indian praktycznie ustał; jako jeden z ostatnich poddał się 6 maja Szalony Koń. Zmarł kilka miesięcy później w okolicznościach niegodnych wielkiego wojownika, przypadkowo pchnięty bagnetem w okolice nerek przez żołnierza, gdy w wyniku nieporozumienia próbowano zamknąć go w areszcie w forcie Robinson[87]. Ostatnich kilkuset Siuksów, wśród nich Siedzący Byk, w pierwszym tygodniu maja 1877 roku uciekło do Kanady. Śmierć Szalonego Konia i ucieczka wodza Hunkpapów za granicę oznaczały faktyczny koniec wielkiej wojny z Siuksami.

Znacznie wcześniej rozprawiono się z Indianami z Północnego Zachodu. Skutecznie złamano ich siłę bojową, powieszono wodzów, którzy dobrowolnie się poddali, po czym na całym obszarze na długie lata zapanował wymuszony pokój. Pobite plemiona Yakima, Palouse, Walla Walla, Spokane, Kalispel i Coeur d'Alene spokojnie udały się do wyznaczonych rezerwatów, a ich dawne tereny plemienne przeszły w ręce białych. Na zawsze jednak pozostała wśród nich

żywa pamięć o brutalności, z jaką ich sobie podporządkowano. Kiedy blisko dwadzieścia lat później wybuchła wojna z Siuksami, a potem z Nez Percé, wysłannikom tych plemion, którzy szukali sojuszu z dawnymi wrogami Amerykanów na wybrzeżu Pacyfiku, odpowiedziano, że „topór wojenny z białymi został na zawsze zakopany”.

*Pomnik Szalonego Konia w Górach Czarnych*

Długi okres pokoju na wybrzeżu Pacyfiku przerwała w 1872 roku dramatyczna wojna z Modokami. To niezbyt liczne plemię żyło niegdyś na granicy Kalifornii i Oregonu, utrzymując się z polowań i rybołówstwa. Po nadejściu białych Modokowie zostali zmuszeni do podpisania niekorzystnego dla siebie traktatu i opuszczenia swojego kraju. Osadzono ich w rezerwacie, razem z obcym i wrogim plemieniem Klamasów. W 1871 rou Modokowie przypominali bandę obdartusów, prześladowanych przez liczniejszych Klamasów i pogardzanych przez osadników. Doprowadzeni do kresu wytrzymałości, rok później sprowokowali wojnę, w porywie desperacji i złości zabili rządowych komisarzy przybyłych na negocjacje, po czym schronili się przed odwetem na niedostępnym obszarze wulkanicznych skał Lava Beds w północnej Kalifornii. Ich opór złamano dopiero po ciężkich walkach w kwietniu 1873 roku. Przywódca Modoków Kint-

puash, zwany przez białych Kapitanem Jackiem, oraz trzej jego najbliżsi towarzysze – skazani przez sąd wojskowy w forcie Klamath za zamordowanie bezbronnych komisarzy – w październiku zawiśli na szubienicy, a większość ich ludzi została zesłana do Oklahomy.

Potem przyszła kolej na Nez Percé, starych przyjaciół „ludzi z gór". Wojna z tym plemieniem była jedną z najsmutniejszych i najmniej potrzebnych ze wszystkich wojen indiańskich. Przez siedemdziesiąt lat, od czasu spotkania z uczestnikami słynnej wyprawy badawczej Lewisa i Clarka, Indianie ci żyli w pokoju z białymi i szczycili się tym, że nigdy nie przelali krwi białego człowieka. W latach 1855 i 1863 podpisali z rządem amerykańskim traktaty, na których mocy oddali Stanom Zjednoczonym większość swoich ziem plemiennych, zatrzymując sobie tylko niewielki rezerwat w Idaho oraz kilka urodzajnych dolin w Oregonie i Idaho, gdzie obfitość trawy pozwalała wypasać stada bydła i koni. Mimo to w 1875 roku administracja prezydenta Granta, pod naciskiem zachłannych mieszkańców Oregonu, pozbawiła to plemię prawa do terenów znajdujących się poza obszarem rezerwatu. Tym razem jednak Nez Percé, którzy dotąd parokrotnie już ustępowali władzom w sposób pokojowy, stanowczo odmówili oddania reszty swej ziemi pod osadnictwo białych. Kilku ich wodzów, z inteligentnym i dzielnym Wodzem Józefem na czele, postanowiło bronić praw do plemiennego terytorium, na którym spoczywały prochy przodków i pasły się stada zwierząt, jedynego bogactwa plemienia.

Początkowo jednak Nez Percé pozostawiono w spokoju. Dopiero klęska Cusiera w bitwie nad Little Bighorn w czerwcu 1876 roku tak bardzo wzburzyła amerykańską opinię publiczną, że mieszkańcy Zachodu pozbyli się resztek sentymentu do Indian. Armia otrzymała rozkaz otoczenia zbuntowanych Nez Percé – plemienia piętnastokrotnie mniejszego od słynnych Siuksów – i w razie potrzeby przesiedlenia ich siłą do rezerwatu. Zdesperowani Indianie w liczbie prawie ośmiuset mężczyzn, kobiet i dzieci ruszyli ku granicy kanadyjskiej. Ścigani przez oddziały wojska i setki cywilnych ochotników, w ciągu trzech miesięcy przebyli dwa i pół tysiąca kilometrów. Przedzierając się przez wrogie w większości i niegościnne terytorium Idaho, Wyomingu i Montany, odpierali i często bili na głowę dużo liczniejsze siły wroga, wyposażone w nowoczesną broń i środki techniczne. Na początku października zaskoczył ich w górach Bear Paw, sześćdziesiąt pięć kilometrów od granicy z Kanadą, generał Nelson Miles i wziął do niewoli większość uciekinierów z Wodzem Józefem na czele. Wbrew obietnicom rządu, trzysta czterdzieści jeden osób osadzono na Terytorium Indiańskim. Wiele z nich zmarło w gorącym, niezdrowym klimacie Oklahomy. Dopiero w

1885 roku, kiedy uznano, że Nez Percé odpokutowali za swoje winy, ostatnim pozostałym przy życiu pozwolono na powrót do ojczyzny w Oregonie. Wodza Józefa jednak przemieszczono do obcego rezerwatu w stanie Waszyngton. Tam, otoczony powszechnym szacunkiem, zmarł w 1904 roku, siedząc przy ognisku przed swoim tipi. Lekarz z agencji, opiekujący się Indianami z ramienia rządu, stwierdził, że przyczyną śmierci było „pęknięte serce".

Połączony z walką wymarsz plemienia Nez Percé w 1877 roku uznano za arcydzieło strategii wojennej Indian. Prasa amerykańska chętnie porównywała go do biblijnej ucieczki Żydów z Egiptu lub do słynnego odwrotu dziesięciu tysięcy zaciężnych Greków pod wodzą Ksenofonta po bitwie pod Kunaksą w 401 roku p.n.e., opisanego w dziele *Anabasis*. Nawet jeśli opinie te były przesadzone, istotnie przedsięwzięcie to nie może się równać z żadnym innym, nie tylko w historii wojen indiańskich, ale i w dziejach wszystkich wojen nowożytnych.

W maju 1877 roku Siedzący Byk i jego najbardziej nieprzejednani zwolennicy, nękani przez żołnierzy generała Milesa, przekroczyli *chanku wakan* („świętą linię"), jak nazywali granicę kanadyjską, i uciekli do Kraju Babki, w którym panowała brytyjska królowa Wiktoria. Tam w październiku dołączyły do nich niedobitki zbiegłych Indian Nez Percé. Wiosną następnego roku grupa Siedzącego Byka liczyła blisko osiemset tipi, w tym czterdzieści pięć należących do Nez Percé. Rychło jednak uciekinierzy przekonali się, że Kanada nie jest dobrym schronieniem. Nie było tu dla nich ani dostatecznie dużo miejsca, ani bizonów. Obwiniani przez miejscowych Indian o ograniczanie ich i tak już szczupłych zasobów pożywienia, zachęcani obietnicami amnestii ze strony amerykańskiego rządu i gnani tęsknotą za ojczyzną, zaczęli ze wstydem wracać do beznadziei życia w rezerwacie po drugiej stronie granicy. Jako ostatni zdecydował się na to Siedzący Byk: poddał się w lipcu 1881 roku w forcie Buford wraz z grupą stu osiemdziesięciu siedmiu swoich najwierniejszych zwolenników. Zdaniem kapitana Waltera Clifforda, który asystował wodzowi w drodze do fortu, „tylko nędza i głód mogły popchnąć tego człowieka do uległości". I to nie ze względu na siebie, ale na dzieci, które kochał nade wszystko.

*Geronimo i jego Apacze w górach Chiricahua (1886)*

Ostatnie rozdziały wojen indiańskich na południu i północy Stanów Zjednoczonych zapisały dwa najbardziej wojownicze i zawzięte ze wszystkich plemion indiańskich: Apacze i Siuksowie. Od czasów hiszpańskich Apacze z Południowego Zachodu nienawidzili białych i stale z nimi walczyli, a ich wrodzone okrucieństwo wzrosło jeszcze pod wpływem zdradzieckiego i brutalnego postępowania zarówno Meksykanów, jak i Amerykanów. Przez wiele lat opierali się armii, po mistrzowsku tocząc wojnę podjazdową i partyzancką pod przywództwem takich wodzów, jak Mangas Coloradas, Cochise czy Victorio. Sprzyjało temu specyficzne ukształtowanie terenu – suche pustynne płaskowyże, liczne głębokie kaniony i trudno dostępne góry.

W 1868 roku armia otrzymała rozkaz, aby „schwytać i wykorzenić Apaczów wszelkimi możliwymi środkami i polować na nich jak na dzikie zwierzęta”, i zgodnie z nim do roku 1871 władze cywilne i wojskowe w Arizonie realizowały politykę eksterminacji tego plemienia. Sytuacja zmieniła się po objęciu dowódz-

twa wojsk przez generała George’a Crooka. Przestał on – ku niezadowoleniu miejscowych Amerykanów – bezwzględnie tępić Indian i przyjął taktykę uspokajania ich środkami pokojowymi. Taktyka ta okazała się skuteczna: w 1872 roku Crookowi udało się zawrzeć pokój z najbardziej wojowniczym odłamem Apaczów – plemieniem Chiricahua, a następnie utworzyć duży rezerwat, obejmujący znaczną część ich dzikiego, suchego i posępnego kraju. Jednakże gdy w 1875 roku generała odwołano, kłopoty z Apaczami niemal natychmiast odżyły. W 1877 roku rząd podjął niefortunną decyzję o umieszczeniu wszystkich plemion w jednym głównym rezerwacie w Arizonie. Tym samym na niewielkim obszarze znalazły się wrogie sobie plemiona, a na domiar złego zaczęli tam coraz liczniej napływać biali poszukiwacze cennych minerałów. Konflikt był więc nieunikniony.

Pierwsi zaczęli się burzyć w 1881 roku Apacze Chiricahua, otoczeni przez nieprzyjazne im plemiona, również sprowadzone z odległych okolic. W następnym roku sytuacja pogorszyła się tak bardzo, że niektóre grupy plemienia opuściły rezerwat i wróciły do dawnego życia na rozległych obszarach Arizony, Nowego Meksyku i samego Meksyku. Przez pięć lat Apacze pod wodzą wielkich i nieulękłych wojowników, takich jak: Geronimo, Nana, Juh, Chato, Chihuahua, Ulzana i Loco, walczyli o swoją niezależność. Ustąpili dopiero w maju 1883 roku, gdy wezwany na pomoc generał Crook otoczył buntowników w górach Sierra Madre w Meksyku. Pod presją siły wrócili do rezerwatu, ale kiedy wydawało się, że problem z nimi został raz na zawsze rozwiązany, w maju 1885 roku niepokorny Geronimo znów wyrwał się na wolność i poprowadził małą grupę wojowników, kobiet i dzieci w góry północnego Meksyku. Przez szesnaście miesięcy pięć tysięcy żołnierzy i kilkuset zwiadowców indiańskich ścigało garstkę rebeliantów. Wreszcie Geronimo, zmęczony ciągłą ucieczką, w marcu 1886 roku jeszcze raz poddał się generałowi Crookowi. Po paru dniach jednak po pijanemu złamał obietnicę i znowu uciekł, pociągając za sobą grupę trzydziestu pięciu wojowników, kobiet i dzieci. Prezydent Groover Cleveland i naczelny dowódca armii generał Sheridan obwinili o wszystko Crooka i w kwietniu przysłali na jego miejsce generała Milesa, tego samego, który kilka lat wcześniej pokonał Siuksów, przegnał do Kanady Siedzącego Byka i zmusił do kapitulacji plemię Nez Percé.

Końcowa obława na Apaczów Geronima trwała trzy miesiące. Ostatecznie, po dwóch dniach rozmów, 6 września 1886 roku nieulękły Geronimo poddał się po raz ostatni generałowi Milesowi w Kanionie Szkieletów w Arizonie, niedaleko granicy z Meksykiem. Jak na ironię, największy udział w jego schwytaniu

mieli indiańscy zwiadowcy rekrutowani przez Crooka zgodnie z przyjętą przez niego zasadą, że „Apacza może wytropić tylko inny Apacz”. Na wieść o kapitulacji Geronima generał zauważył ze smutkiem: „To już koniec starego Zachodu”. Geronima, jego wojowników oraz resztę Apaczów Chiricahua wywieziono daleko od ich kraju. Najpierw przez osiem lat byli trzymani w wojskowym więzieniu na Florydzie, potem w Alabamie, a w 1894 roku przeniesiono ich do Oklahomy. Geronimo osiadł w rezerwacie w pobliżu fortu Sill i żył tam przez czternaście lat jako smutny relikt wolnych niegdyś Indian z Południowego Zachodu. Kiedy zmarł w 1909 roku, pochowano go na pobliskim cmentarzu Apaczów, a na jego grobie wzniesiono skromny pomnik. Chociaż generał Miles powiedział, że Geronimo był „najgorszym Indianinem, jaki kiedykolwiek żył”, stał się on legendą już za życia. Zyskał sławę najdzielniejszego z Apaczów i jednego z najbardziej niepokornych Indian w historii Ameryki, a jego imię jest powtarzane przy różnych okazjach do dziś**[88]**.

Cztery lata po śmierci Geronima plemię Chiricahua objęła amnestia. Po dwudziestu siedmiu latach więzienia i wygnania pozwolono im wrócić do Nowego Meksyku. Zamieszkali w górskim rezerwacie bliskich sobie Apaczów Mescalero, ale żaden z nich nie otrzymał zgody na powrót do Arizony.

Ostatni akt dramatu rozegrał się z udziałem Siuksów. Wielka wojna z lat 1876–1877, którą skutecznie doprowadził do końca ambitny generał Miles, przyniosła bezwarunkową kapitulację większości Indian z północnych Równin. Osadzeni siłą w niegościnnych rezerwatach, Siuksowie, Czejenowie i Arapahowie bez większego powodzenia próbowali nauczyć się rolnictwa i podążać narzuconą im przez zwycięzców „drogą białego człowieka”. Uparty Siedzący Byk przez kilka lat nie chciał pogodzić się z nową rzeczywistością i wciąż powtarzał, że „Bóg stworzył go Indianinem, ale nie Indianinem z rezerwatu”, w końcu jednak zrozumiał – podobnie jak wielu jego poprzedników – że dawny świat przeminął i aby żyć dalej, trzeba zmienić sposób myślenia. W 1881 roku podjął rozmowy z przedstawicielami rządu amerykańskiego i ku wielkiemu zadowoleniu władz kanadyjskich wrócił na drugą stronę granicy. On i jego ludzie osiedli w rezerwacie Standing Rock nad Grand River w Dakocie, prawdopodobnie blisko miejsca, gdzie przyszedł na świat w 1831 roku. W ten sposób wódz Hunkpapów stał się „Indianinem z rezerwatu”.

Odtąd Siedzący Byk i jego zwolennicy wiedli nudne i nieszczęśliwe życie w rezerwatach Dakoty, zdani na łaskę rządu. Władze jednak nie miały pieniędzy na wypłacanie Siuksom obiecanej renty, obcięły im też racje żywnościowe. Wojownicy, którzy pokonali Custera i dzielnie walczyli z Crookiem i Milesem, zaczęli

przymierać głodem. Ich szeregi zdziesiątkowała towarzysząca głodowi epidemia grypy i odry. W tej sytuacji wielu Indian straciło resztki nadziei, aż tu nagle latem 1889 roku do rezerwatów dotarły pogłoski o nowej indiańskiej religii głoszonej przez pewnego szamana z Nevady. Dwa lata wcześniej trzydziestojednoletni mistyk z plemienia Pajutów o imieniu Wovoka doznał w ciężkiej chorobie wizji, z której zrodziła się ożywcza religia nazwana Tańcem Ducha (*Ghost Dance*). Wovoka twierdził, że udał się „do góry, do innego świata", gdzie spotkał się ze Stwórcą (Wielkim Duchem), który przekazał mu zasady nowej wiary, mającej przynieść Indianom odnowę. Zapowiadał nadejście mesjasza, który zstąpi na ziemię i odrodzi dawny świat Indian, przywracając im utraconą ziemię. Odtąd Indianie będą wiecznie żyć w szczęśliwym kraju, obfitującym w zwierzynę i inne ziemskie dobra, w pokoju z innymi plemionami i wspólnie z pokoleniami zmarłych krewnych i przyjaciół. Będzie to kraj bez białych ludzi, wolny od nieszczęść, starości, chorób i śmierci. Aby przyspieszyć nadejście tej chwili, wyznawcy nowej religii muszą odprawiać modły, śpiewać święte pieśni, pościć i co jakiś czas wykonywać nieprzerwanie przez pięć dni i cztery noce specyficzny taniec, którego nauczył proroka Wovokę sam Stwórca w czasie pamiętnego spotkania w „innym świecie".

Przesłanie Wovoki o nadchodzącym odrodzeniu Indian było jasne i proste. Biali za swoje grzechy wobec czerwonych plemion mieli zniknąć z powierzchni ziemi, z jaskiń miały się wyłonić ukryte tam przed nimi bizony i inna zwierzyna, a zmarli Indianie mieli powrócić do życia. Nauki Wovoki, będące dziwną mieszanką dawnych wierzeń indiańskich i nowych nauk chrześcijańskich przejętych od misjonarzy, trafiły do wielu plemion, nawet tak odległych jak Siuksowie, Czejenowie, Arapahowie, Szoszoni i Arikarowie z północnych Równin. Do siedziby Wovoki w Nevadzie przybywali wysłannicy różnych szczepów, zapoznawali się z nową religią i wracali do swoich, aby krzewić ją wśród współplemieńców. Jesienią 1889 roku, za radą wodzów, na spotkanie z prorokiem wyruszyła też (koleją, niechcianym wynalazkiem białych!) delegacja Siuksów. Wysłannicy powrócili wiosną 1890 roku całkowicie odmienieni. Przekazali swoim współbraciom tak krzepiące wieści, że zrezygnowanych, bliskich apatii Siuksów w rezerwatach ogarnęło nagle podniecenie i wstąpiła w nich nadzieja.

Początkowo mesjanistyczna religia Wovoki miała pokojowy charakter, ale gdy rozprzestrzeniła się wśród wojowniczych plemion z Wielkich Równin, uległa zaostrzeniu. Obietnica wypędzenia białych i powrotu stad bizonów, w połączeniu z bardzo ciężką sytuacją w rezerwatach spowodowała radykalizację nowej wiary i wprowadzenie do niej akcentów wojennych. Wkrótce zaczęto orga-

nizować spotkania, a w powietrzu krążyły najdziwniejsze obietnice. „Już niedługo, już niedługo!” – podawano sobie z ust do ust. Wielu wojowników, którzy dawno porzucili wszelką myśl o wojnie, zaczęło szykować obrzędowe koszule pokryte tajemnymi znakami wyobrażającymi duchowych przodków i siły natury. Koszule te – z braku wyprawionej na biało skóry szyte często z worków po mące z rządowych dostaw – miały wspierać tancerzy w próbie przywrócenia dawnego porządku i chronić ich przed kulami białych. Młodzi zwiadowcy ruszyli daleko w prerię, aby poszukać pierwszych oznak powracających bizonów. Jeden z delegatów Siuksów, który złożył sąsiedzką wizytę Arapahom, wrócił z wiadomością, że podczas obrzędowego tańca widzieli oni zmarłych krewnych i z nimi rozmawiali. Grupy najbardziej zagorzałych zwolenników nowego kultu tańczyły nieprzerwanie dzień i noc, aż do wyczerpania, wpadając w hipnotyczny trans powodujący wizje.

Nagle dla wyznawców nowej religii nadzieją stał się znowu Siedzący Byk, starzejący się, żyjący na uboczu zgorzkniały wódz, który nigdy nie krył niechęci i braku zaufania do białych. Choć sam powątpiewał w nauki proroka Wovoki, pozwolił swoim ludziom zapoznać się z nimi i wkrótce pod jego okiem rozpoczęły się rytualne tańce. Pogłoski o rozszerzaniu się nowego kultu i wyraźne ożywienie Indian przestraszyły białych osadników, którzy w obawie przed kolejnym powstaniem zażądali ochrony wojska. A bojowe nastroje Indian zradykalizowały się jeszcze latem 1890 roku, kiedy na ich polach powysychały zboża. Mieszkańcy rezerwatów uznali to za ostateczny znak od Wielkiego Ducha, zwiastujący kres „drogi białego człowieka” i bliskie już odrodzenie dawnego świata Indian. Jesienią tego roku agenci w rezerwatach zabronili praktykowania Tańca Ducha, a rząd wysłał w zagrożony rejon wojsko, gotowe zdusić każdy przejaw buntu. Spowodowało to nasilenie praktyk religijnych i wykonywanie rytualnego tańca nocą lub w odosobnionych miejscach, ukrytych przed wzrokiem białych.

*Czarna kawaleria (Buffalo Soldiers)*

W listopadzie wszystkim Indianom nakazano powrót do rządowych agencji. Większość usłuchała, ale najzagorzalsi tancerze ducha oraz wielu tych, którzy zwyczajnie przestraszyli się obecności żołnierzy, uciekli w najbardziej niedostępne rejony zwane „złymi ziemiami” lub badlandami (*Badlands*). To wystarczyło, żeby władze od razu okrzyknęły ich „wrogimi Indianami”, chociaż nie zrobili nic złego. W grudniu rozeszły się pogłoski, że na czele niezadowolonych tancerzy zamierza stanąć Siedzący Byk. 15 grudnia 1890 roku policja agencyjna złożona z Indian pozostających na żołdzie rządu, wspierana przez amerykańskich kawalerzystów, przybyła do Standing Rock, aby zabrać wodza do wojskowego więzienia w forcie Yates. Siedzący Byk widać wyczuł nadchodzącą śmierć, bo oznajmił, że ostrzegły go przed nią skowronki. Kiedy zwolennicy starego wodza próbowali nie dopuścić do jego aresztowania, wywiązała się walka i w zamieszaniu Siedzącego Byka zastrzelił jeden z Indian w policyjnym mundurze. Jak wielu innych wielkich wodzów i wizjonerów, zginął on z rąk ludzi wła-

snej rasy i wrócił do indiańskiego nieba.

W ciągu dwóch tygodni po śmierci Siedzącego Byka wybuchły spodziewane zamieszki. Wiele grup przestraszonych Siuksów uciekło i ukryło się wśród niedostępnych wąwozów lub schroniło się w gnieździe tancerzy ducha w badlandach. Najważniejszym przywódcą wyznawców Tańca Ducha poza „złymi ziemiami" był pokojowo nastawiony wódz Siuksów Minneconjou, Wielka Stopa. Po zabójstwie Siedzącego Byka, choć ciężko chory na zapalenie płuc, zamierzał on dołączyć do zgrupowania tancerzy w badlandach, ale po drodze jego grupę przechwycili kawalerzyści z dawnego pułku Cusiera. 29 grudnia na zaśnieżonych brzegach strumienia Wounded Knee w Dakocie Południowej (niedaleko granicy z Nebraską) Wielka Stopa i jego wojownicy przywdziali święte „koszule ducha" i stanęli naprzeciw żołnierzy, którzy przyszli ich rozbroić po ucieczce z rezerwatu. I znów, jak to często bywa, na skutek nieporozumienia oraz braku wzajemnego zaufania doszło do gwałtownej bitwy. 7. pułk kawalerii od dawna czekał na okazję do rewanżu za klęskę nad Little Bighorn i teraz nie mógł jej zmarnować. Potężne salwy karabinów i ogień szybkostrzelnych działek dosłownie zmasakrowały zabiedzonych, niemal bezbronnych Siuksów i w ciągu dwóch minut obróciły ich obóz w perzynę. Zginął Wielka Stopa, a wraz z nim ponad stu pięćdziesięciu mężczyzn, kobiet i dzieci. Wojsko też poniosło dotkliwe straty, w większości od własnego ognia, nad którym w ferworze walki nikt nie panował. Kiedy było już po wszystkim, jeden z oficerów 7. pułku powiedział z dumą: „Teraz wreszcie pomściliśmy śmierć Custera". Prawda jednak jest taka, że dawni podkomendni Custera byli więksi w dniu swojej klęski niż w dniu zwycięstwa, które do dziś budzi uzasadnione kontrowersje.

Indianom nie pomogły ani nadnaturalna moc tańca, ani święte „koszule ducha". Masakra nad Wounded Knee złamała resztki ich woli, a religia, która na krótko wzbudziła w nich nadzieje na powrót do lepszego życia, samoistnie wygasła. Zrozpaczeni i pozbawieni wszelkich złudzeń, dawni władcy Wielkich Równin zapadli w swoich rezerwatach, gdzie czekały ich już tylko beznadzieja, wstyd, bieda i alkoholizm. Taki był ich smutny, tragiczny koniec.

Dziewiętnastowieczny amerykański pisarz Linus P. Brockett, zajmujący się problematyką migracji na Zachód, w książce *Nasze Zachodnie Imperium* wskazywał na gwałtowny spadek liczebności Indian, poczynając od roku 1860 roku, kiedy żyło ich w granicach Stanów Zjednoczonych nieco ponad pięćset tysięcy, przez rok 1870 (trzysta osiemdziesiąt trzy tysiące), 1878 (dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy) do 1880 (dwieście pięćdziesiąt tysięcy). Jego zdaniem przyczyniły się do tego „prawa natury", ale także prowadzona przez całe stulecie poli-

tyka rządu wobec Indian. Brockett zakładał, że jeśli ta tendencja spadkowa się utrzyma, Indianie wymrą lub zostaną całkowicie zmarginalizowani.

*Zamarznięte zwłoki Wielkiej Stopy na wounded Knee (1890)*

Opierając się na takich opiniach, przewidywano, że Stany Zjednoczone uporają się ostatecznie z problemem swojej „ginącej rasy” do roku 1935. Na szczęście te pesymistyczne prognozy się nie sprawdziły. Rdzenni Amerykanie nie zniknęli i nie wymarli. Od roku 1890 liczba ludności indiańskiej z najniższego poziomu około dwustu czterdziestu tysięcy zaczęła systematycznie rosnąć. Jeśli liczby stanowią o sile, to można powiedzieć, że potęga Indian wzrasta. W 1970 roku przybyło ich o ponad pięćdziesiąt procent, dziesięć lat później o siedemdziesiąt, a w roku 1990 o jedną trzecią. Amerykanów, którzy choć trochę uważają się za Indian, jest obecnie przeszło cztery miliony (w tym dwa i pół miliona to Indianie czystej krwi). Ludność indiańską można zatem uznać za najszybciej rosnącą mniejszość Stanów Zjednoczonych.

Przez ponad sto lat Indianie północnoamerykańscy wegetowali w cieniu białego człowieka. Ujarzmieni, pozbawieni poczucia godności i tożsamości, próbowali przetrwać z rządowych zapomóg. Dziś sytuacja diametralnie się zmienia. Odnotowane w rejestrach władz federalnych pięćset sześćdziesiąt dwa szczepy

stanowią półtora procent ludności kraju. Coraz częściej sięgają one do dziedzictwa swoich przodków i na nowo odczuwają dumę z tego, że są Indianami. To odrodzenie zaczęło się od politycznej aktywizacji w latach sześćdziesiątych XX wieku, kiedy po okresie ujarzmienia wzrosły wpływy organizacji Red Power (Czerwona Siła). Indianie mocnym głosem zażądali suwerenności i wzmogli wysiłki w celu odzyskania swego dziedzictwa. Głównym polem walki pozostaje własność ziemi. Konfiskata terytoriów indiańskich, którą ułatwiło federalne ustawodawstwo z lat 1887–1934, oddające ziemię poszczególnych plemion indywidualnym właścicielom, doprowadziła do sprzedaży lub wydzierżawienia jej białym, stanowiącym obecnie blisko połowę ludności rezerwatów. Świadome swego dziedzictwa, dysponujące siłą ekonomiczną (m.in. dochody z kasyn gry) plemiona toczą prawne i polityczne batalie o większą kontrolę nad swoimi terytoriami. Patrząc kategoriami przyszłości, wiele z nich poszukuje środków na ponowne wykupienie terenów zarezerwowanych niegdyś dla Indian. Zmianie ulega także stereotyp Indianina w świadomości przeciętnego Amerykanina. Świadczy o tym moda na poszukiwanie indiańskich korzeni i stopniowe eliminowanie z oficjalnego słownictwa nazwy „Indianie”, którą coraz częściej zastępuje się określeniem „tubylczy Amerykanie” (*Native Americans*) lub „pierwsi mieszkańcy Ameryki” (*First Nations*). Według raportu naukowców z Uniwersytetu Harvarda z końca lat dziewięćdziesiątych XX wieku, „zasadniczą cechą indiańskiej Ameryki u progu nowego milenium jest parcie Indian do samostanowienia”.

Rozdział X

# Koniec epoki dzikiego zachodu

## Nadejście nowych czasów

„Zanim można było zasiedlić Zachód, trzeba go było najpierw zdobyć” – napisał na początku lat dziewięćdziesiątych XIX wieku późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych, Theodore Roosevelt. Było to nawiązanie do ogłoszonego w 1890 roku przez amerykańskie Biuro Badania Ludności zakończenia okresu zasiedlania zachodnich połaci kraju. Ustawiczny ciąg na zachód przesunął granice państwa amerykańskiego do jego naturalnej granicy, którą stanowiło wybrzeże Oceanu Spokojnego.

Na północy do roku 1890 liczba mieszkańców Terytorium Dakoty wzrosła w ciągu dwudziestu lat z czternastu tysięcy do pół miliona. Tylko jesienią 1877 roku do nowo powstałego Deadwood w Dakocie Południowej przybywało dwustu ludzi dziennie i wkrótce liczyło ono już ponad dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców. Na południu zaludnienie Terytorium Kansas wzrosło w tym okresie z trzystu sześćdziesięciu czterech tysięcy do ponad półtora miliona. Pięciotysięczne w 1870 roku Denver w Kolorado w 1890 roku było już miastem ponadstutysięcznym. Zważywszy na rozległość obszaru, wielkości te wydają się dziś niewielkie, ale są one miarą historycznego procesu rozwoju Zachodu i wskazują na przeżywanie się pierwszych, starych metod jego zasiedlania. Pierwsi pionierzy byli niczym nieskrępowani: mogli wędrować, dokąd chcieli, i postępować według własnego uznania. Czas jednak zrobił swoje i w latach dziewięćdziesią-

tych XIX wieku ludzie na Zachodzie żyli już w zorganizowanych społecznościach, ograniczonych wymogami cywilizowanego świata, i potrzebowali nie przyzwolenia, lecz porządku i rządów prawa. Człowiek, który teraz zostawiał swój dom na Wschodzie i ruszał z dobytkiem na Zachód, musiał już kupić grunt od poprzedniego właściciela.

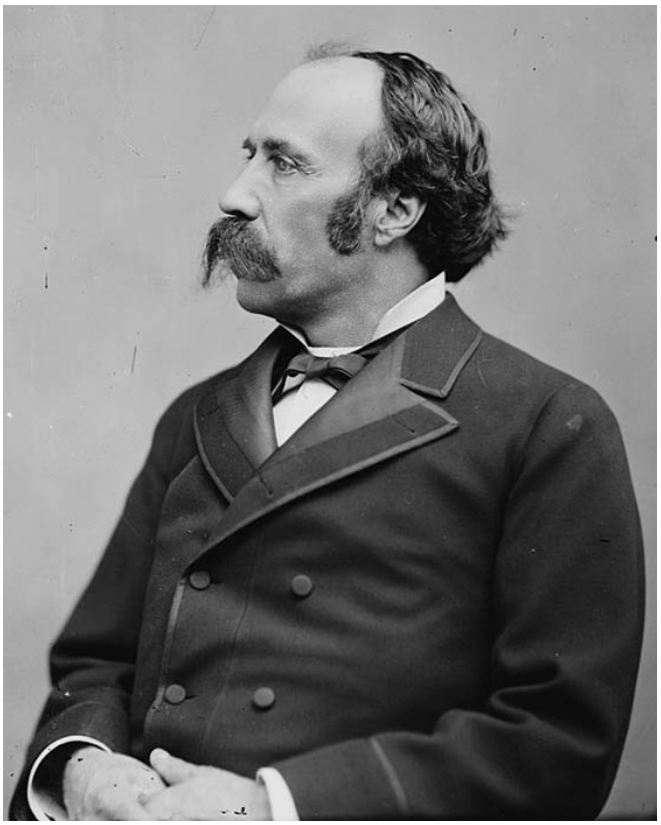

*Horace Austin Warner Tabor jako senator (1883)*

Przez dziesiątki lat rozwój Zachodu dokonywał się dzięki przedsiębiorczym i energicznym indywidualistom, którzy chwytali każdą okazję i brali to, co im wpadło w ręce, bez oglądania się na metody. Bardziej wyrobionym i praworządnym mieszkańcom wschodniego wybrzeża wydawali się oni nieokrzesani, prostaccy i prymitywni, ale to właśni ci gburowaci, gruboskórni ludzie tworzyli historię ich młodego kraju.

Bez wątpienia amerykańskie Pogranicze było krajem, gdzie balansowano na granicy prawa, gdzie porywcze charaktery walczyły o fortunę i gdzie przeróżni śmiałkowie ryzykowali życie, polegając na własnym szczęściu i odwadze. Grali swoim losem i grali pieniędzmi, a ich zachowanie przy hazardowym stole odzwierciedlało ryzykowne życie, jakie wiedli.

W szczytowym okresie gorączki srebra w Virginia City w Nevadzie „na stołach piętrzyły się ogromne stosy srebra i często dziesięć tysięcy dolarów przechodziło z ręki do ręki w ciągu minuty”. Do historii miasta przeszła opowieść o ryzykancie Joe Timberlake’u z Nowego Meksyku. Ten rubaszny ranczer grał żetonami o wartości tysiąca dolarów w słynnym na całym Zachodzie saloonie spółki Gentry & Crittenden, która organizowała gry hazardowe. W październiku 1863 roku w ciągu paru godzin stracił fortunę, ale nie stracił rezonu. „Myślę, że miałem wystarczająco dużo zabawy jak na jedną imprezę” – stwierdził podobno z uśmiechem i postawiwszy wszystkim obecnym beczułkę wina, pewną ręką wypisał czek na czterdzieści dwa tysiące dolarów. Jeszcze bardziej ryzykował gubernator Nowego Meksyku Samuel Beach Axtell, kiedy – przyparty do muru

– postawił całe podległe mu Terytorium przeciwko teksańskiemu hodowcy bydła, który rzucił na szalę ranczo i czterdzieści tysięcy krów. Z kolei pewien podróżny ze Wschodu, po wizycie w Denver w 1859 roku, odnotował, że widział na własne oczy, jak tamtejszy kurator sądowy przegrał w karty w niespełna dziesięć minut trzydzieści działek w mieście, a miejscowy szeryf zastawił swój rewolwer za dwadzieścia dolarów, aby zagrać w popularną grę o nazwie faraon.

*>Baby Doe Tabor (1883)*

Szukanie szczęścia stanowiło istotę życia na Zachodzie. Wielkie wzloty i bolesne upadki były czymś normalnym i nie budziły zdziwienia. Miasta, osady, kopalnie, rancza, biznesy, spółki powstawały przy dźwięku fanfar i często znikały niepostrzeżenie. Henry Comstock, od którego wzięła nazwę wielka żyła srebra w Nevadzie, spotkał dwóch irlandzkich górników poszukujących szczęścia na zboczu Mount Divison. Szybko zawiązał z nimi spółkę i równie szybo wyzbył się swojego udziału za marne jedenaście tysięcy dolarów i parę osłów, pozbawiając się milionów z przyszłych dochodów, jakie dało niedocenione przez niego złoże. Drugi raz taka okazja już mu się nie nadarzyła i w 1870 roku biedny jak mysz kościelna odebrał sobie życie w Bozeman w Montanie. Wielka Czwórka spółki kolejowej Central Pacific, początkowo drobni handlarze z Kalifornii, zarobili miliony i potrafili je utrzymać. Horace Tabor (1830–1899), właściciel sklepu spożywczego w Kolorado i późniejszy senator, też zdobył miliony i tytuł „króla srebra”. Stracił jednak cały majątek w czasie wielkiej paniki 1893 roku, wywołanej kłopotami skarbowymi administracji prezydenta Grovera Clevelanda. Jego pozbawiona dochodów piękna żona, Elizabeth „Baby Doe” McCourt (1854–1935), przez wiele lat żyła w nędzy i w końcu zamarzła w zimnej chacie przy kopalni Matchless Mine koło Leadville, która niegdyś przyniosła fortunę jej mężowi. Winfield Stratton, właściciel kopalni Independence

Mine koło Victor w Kolorado, wyrzucony z eleganckiego hotelu w Colorado Springs za nieodpowiedni ubiór, wrócił i kupił hotel za gotówkę tylko po to, aby wywalić na zbity pysk kierownika, który tak obcesowo go potraktował.

## Rządy rewolwera

W czasach największej pogoni za szybką fortuną i równie szybką władzą, kiedy koleje losu układały się przedziwnie i w całkowicie nieobliczalny sposób, życie ludzkie miało niewielką wartość, a prawo było często tylko pustym słowem. W głuszy, z dala od cywilizacji, ludzie musieli polegać wyłącznie na sobie i sami zadbać o jakiś zewnętrzny porządek. Mówiąc inaczej, w praktyce to rewolwer Colta, strzelba śrutówka lub karabin Winchestera szybciej wymierzały sprawiedliwość niż wędrowny sędzia zwyczajowo objeżdżający najodleglejsze osady. Liczbę ludzi, którzy zmarli gwałtowną śmiercią na Zachodzie w ciągu pół wieku po roku 1830, szacuje się na około dwudziestu tysięcy. Głównymi przyczynami, które wpędziły ich wcześniej do grobu, były walki z Indianami, bandyckie napady, rywalizacja o dostęp do złóż cennych minerałów, kradzieże bydła, kłótnie hodowców z osadnikami, pijackie burdy i samosądy.

Amerykański Zachód przez długie lata był krajem bezprawia, zdziczenia i zwyrodnialstwa. To na jego glebie wyrosły rzesze bandytów i desparatów, którzy rabowali, terroryzowali, wymuszali okupy i mordowali mieszkańców. Do historii Dzikiego Zachodu przeszły całe gangi i bandy rzezimieszków, takie jak: „Niewiniątka” (*Innocents*) Henry’ego Plummera w Montanie, gang Davida Opdyke’a z Idaho, „dzika banda” Butcha Cassidy’ego z Utah, groźna banda braci Dalton wyspecjalizowana w kradzieży koni i napadach na pociągi w kilku stanach Południowego Zachodu, banda Sama Bassa z Teksasu czy rabusie kolejowi bracia Reno**[**[89]**]**, przez dwa lata terroryzujący wiele okręgów na Środkowym Zachodzie.

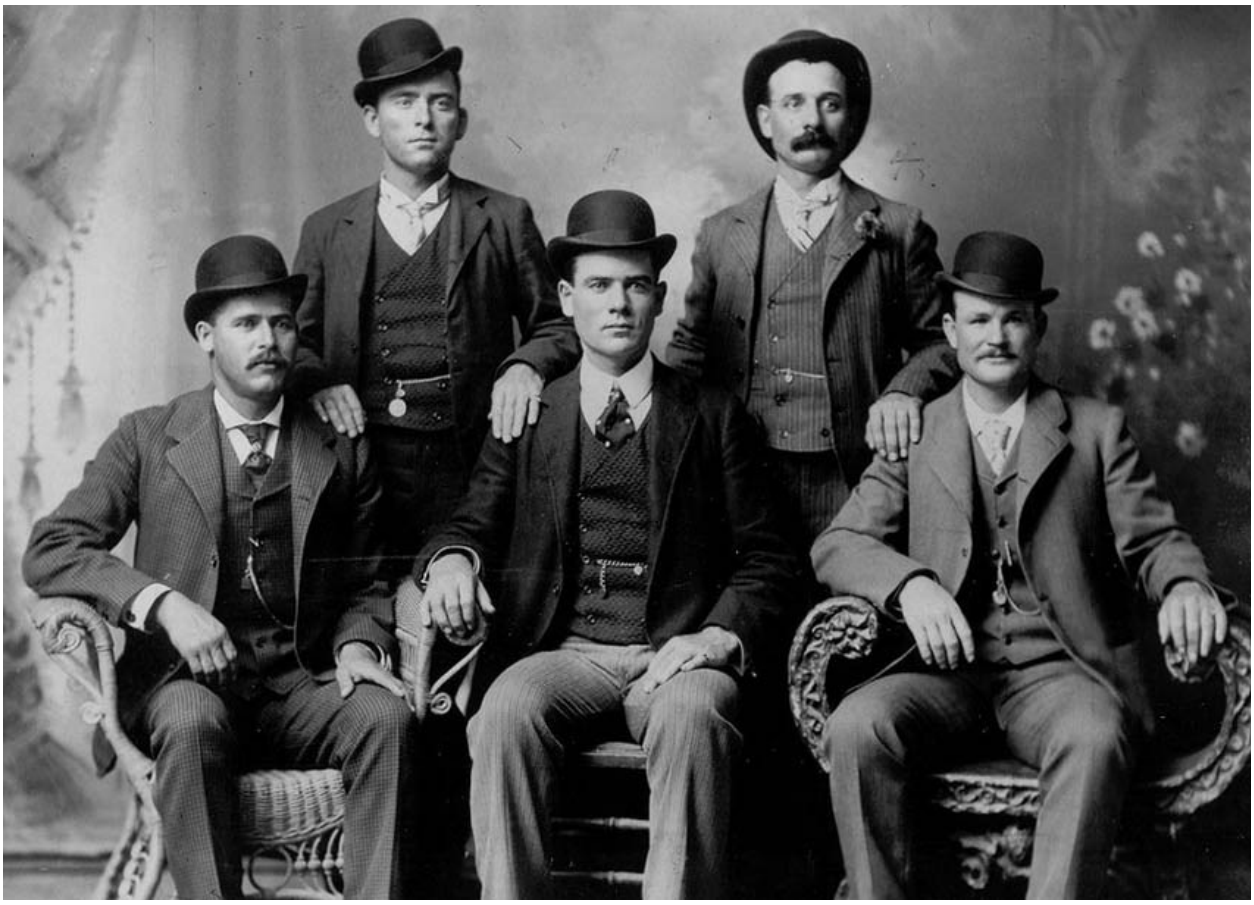

*Dzika Banda*

Największą chyba jednak sławę zyskała banda braci Jamesów oraz ich kuzynów nazwiskiem Younger z Missouri, znana z brawurowych napadów na banki. O jej przywódcy Jesse Jamesie (1847–1882) krążą legendy, a on sam, porównywany do „współczesnego Robin Hooda", jest bohaterem niezliczonej liczby książek, komiksów, sztuk teatralnych, filmów i piosenek, wykonywanych także przez największe gwiazdy estrady**[**90**]**. Niewiele miast Pogranicza uniknęło wizyt takich bezwzględnych i groźnych zabójców, jak: Tom Horn, John Hardin, Sam Brown, Johnny Ringo, William Doolin, Joseph Slade, Henry Starr czy Boone Helm. Temu ostatniemu, dawnemu traperowi z gór i żołnierzowi Konfederacji, a potem członkowi bandy Plummera i seryjnemu zabójcy, przypisywano współudział w stu dwóch morderstwach i niezliczonych kradzieżach, a nawet akty kanibalizmu. Ostatecznie został schwytany i powieszony razem z innymi członkami bandy przez komitet samozwańczych stróżów prawa zwanych wigilantami (*vigilantes*) w Virginia City w styczniu 1864 roku. „Widziałem śmierć w najróżniejszych postaciach – powiedział Helm, stojąc pod szubienicą – i wcale nie boję się umrzeć". Potem poprosił o szklaneczkę whisky i wypił ją jednym haustem, jak to zwykło czynić wielu zabójców prowadzonych na szafot. Wreszcie, wi-

dząc, że egzekucja się opóźnia, zaklął szpetnie i zwrócił się do swoich prześladowców: „Na miłość boską, jeśli zamierzacie mnie powiesić, zróbcie to, do cholery, bo chcę mieć to już za sobą. Jeśli nie, dajcie mi coś do okrycia, bo strasznie zmarzłem”. Zanim jednak wymierzono mu sprawiedliwość, hardy bandyta musiał patrzeć, jak są traceni jego czterej kompani z bandy. Kiedy przyszła kolej na jego kumpla, Jacka Gallaghera, stojącego na katowskiej skrzynce z pętlą na szyi, mruknął do niego z sarkazmem: „Wykopnij ją, stary druhu! Ja jestem następny. Za chwilę będę razem z tobą w piekle!”. A potem, widząc podchodzącego kata, wzniósł okrzyk na cześć prezydenta Konfederacji, Jeífa Davisa, i zeskoczył ze swojej skrzynki, kończąc ze sobą na oczach sześciu tysięcy zgromadzonych gapiów, butny i bezczelny do samego końca.

Tak niebezpieczny, pełen zagrożeń świat wymagał posiadania broni. A najpopularniejszą bronią Dzikiego Zachodu był słynny wynalazek Samuela Colta (1814–1862), dwutaktowy sześciostrzałowy rewolwer. Zanim jednak stał się on nieodzowną częścią męskiego stroju na Zachodzie, udowodnił swoją skuteczność w słynnym starciu Teksańczyków z Komanczami pod Pedernales w 1844 roku, w wojnie z Meksykiem, a potem w czasie wojny secesyjnej. Na Dzikim Zachodzie, razem z popularnymi Winchesterami z 1866 i 1873 roku, upowszechnił się znakomity model kolta wyprodukowany dla wojska w roku 1873 (*Single Action Army Revolver*), którego cywilna wersja nosiła nazwę *Peacemaker* albo *Frontier*. Ten ciężki kawał metalu o wadze kilograma, z blisko dwudziestocentymetrową lufą kalibru 0,45 lub 0,44 cala i obrotowym bębenkiem w pełnej ramie na scalone naboje nowego typu w łusce metalowej, stał się niezwykle popularny zwłaszcza wśród kowbojów, którzy wiedli samotne życie na obrzeżach cywilizacji, narażeni na ataki Indian i złodziei bydła. W tamtym okresie mówiło się często, że „to Bóg stworzył ludzi, ale Colt uczynił ich równymi”. Wbrew jednak powszechnemu wyobrażeniu, kowboj udający się do miasta wcale nie szukał okazji do strzelaniny (ciężki rewolwer nie był zbyt poręczny i celny, a przeciętny kowboj rzadko kiedy dobrze strzelał), ale chciał się pochwalić swoim dziarskim wyglądem i zrobić wrażenie na paniach. Zwykły człowiek Zachodu używał broni tylko wtedy, kiedy musiał, ale gdy już do tego doszło, starał się być jak najbliżej przeciwnika i przebiegle wykorzystać swoją szansę. Najchętniej strzelając mu z zaskoczenia w plecy... W takich sytuacjach rewolwer czy karabin był po prostu środkiem przeżycia, a nie narzędziem rycerskiej rywalizacji, do czego przyzwyczaiły nas niemające nic wspólnego z rzeczywistością sceny pojedynków rewolwerowców wymyślone przez pisarzy i twórców filmowych westernów.

*Martwi członkowie gangu Daltonów (1892)*

Rewolwer i karabin, choć niezbędne w świecie bezprawia i anarchii, musiały ustąpić miejsca ludzkiej „potrzebie zaprowadzenia porządku i zapewnienia dobra ogółu”. Na początku była to tylko nieformalna, demokratycznie akceptowana szybka i szorstka sprawiedliwość. Choćby taka, jaką zaobserwował Bayard Taylor w czasie gorączki złota w Kalifornii. W Stockton był on świadkiem, jak dwóch mężczyzn przywiązano do drzewa i publicznie wychłostano za próbę gwałtu. Przy każdym uderzeniu bicza gapie śmiali się, szydzili i pohukiwali. Ku zaskoczeniu obserwatora ta i inne proste, twarde metody okazały się bardzo skuteczne. Taylora bardzo podniosło to na duchu, bo jak napisał: „To przeczy kłamliwej tezie wyniosłych i cynicznych autokratów ze wschodniego wybrzeża, którzy myślą, że człowiek Zachodu jest dziką bestią i należy go unikać, zakuć w łańcuchy albo zamknąć do klatki”.

*Colt Peacemaker*

Zanim na ogromnych obszarach Zachodu pojawiły się prawdziwe sądy i policja, podejmowano rozmaite próby utrzymania porządku wszelkimi dostępnymi sposobami. Dawało to pole do popisu różnym, nierzadko samozwańczym stróżom prawa. Najsłynniejszymi z nich byli tzw. regulatorzy (*regulators*) i wspomniani już wigilanci, członkowie ochotniczej straży obywatelskiej działający z legalną albo bez legalnej legitymacji prawnej. Najbardziej znany komitet straży obywatelskiej powstał w 1851 roku w San Francisco w czasie słynnej gorączki złota, która przywiodła do Kalifornii wielu złodziei, gwałcicieli i morderców zagrażających uczciwym obywatelom. Członkowie komitetu (siedemset osób!) pod hasłem „Bądź sprawiedliwy i niczego się nie bój!” wzięli sprawiedliwość w swoje ręce i w ramach bezwzględnej walki z korupcją i przestępczością publicznie powiesili kilkudziesięciu bandytów, a wielu innych skutecznie wystraszyli srogimi karami. Podobne komitety powołano w Arizonie, Kolorado, Montanie, Nevadzie, Teksasie i innych miejscach. Ich działalność budziła liczne kontrowersje, ponieważ dopuszczały się one samosądów (linczów) już nawet po zorganizowaniu legalnych organów wymiaru sprawiedliwości i powołując się na zakorzeniony w społeczeństwie „etos” strażnictwa obywatelskiego, uzurpowały sobie prawo do reprezentowania obywateli w zwalczaniu pospolitej przestępczości**[**[91]**]**. Często też pod hasłami ochrony porządku i walki z bandytyzmem załatwiały prywatne interesy różnych grup społecznych, kontrolowały prasę i eliminowały konkurencję, à nawet angażowały się w politykę. Jednym z prominentnych krytyków komitetu w San Francisco był generał William Tecumseh Sherman, który w proteście przeciwko uzurpatorskiej działalności wigilantów w 1856 roku zrezygnował z dowództwa jednostki milicji kalifornijskiej.

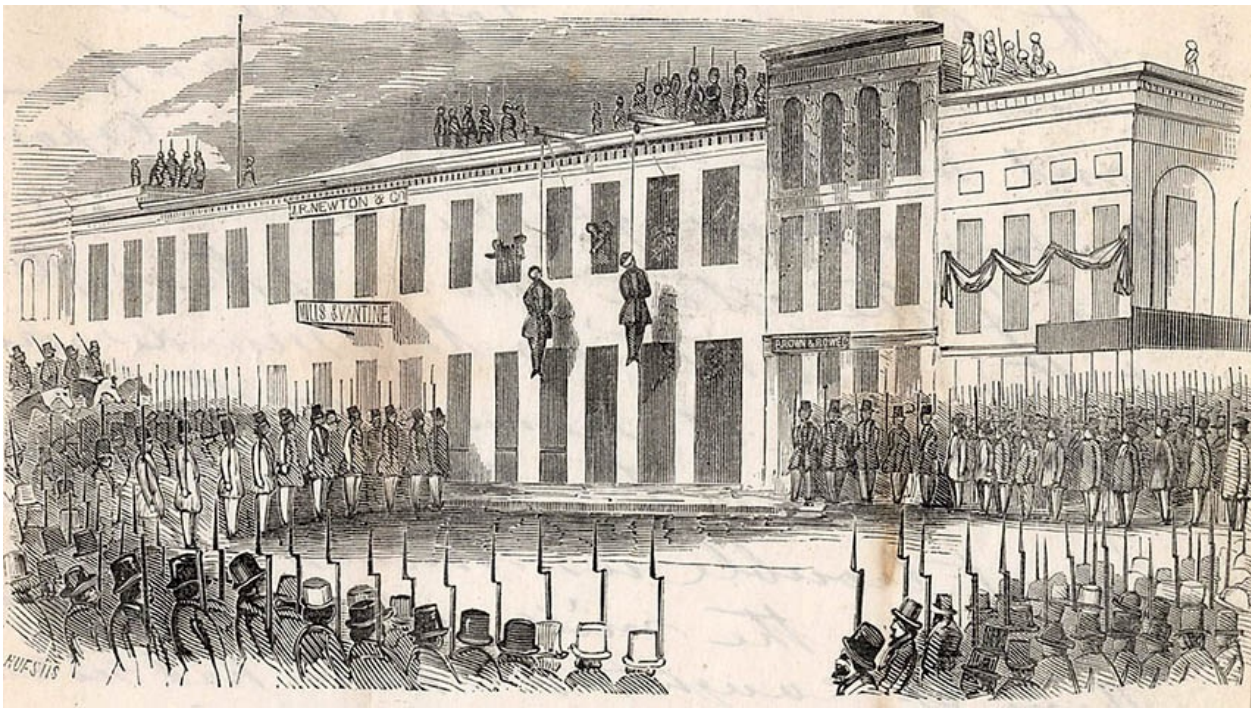


*Samosąd wigilantów w San Francisco (1856)*

Oprócz regulatorów, wigilantów i członków innych formacji straży obywatelskiej do historii Dzikiego Zachodu weszły również tak barwne postaci wymiaru sprawiedliwości jak słynny sędzia Parker czy szemrany obrońca prawa Bean Roy.

Isaac Charles Parker (1838–1896), zwany „wieszającym sędzią” (*Hanging Judge*), stał się postrachem bandytów w zachodniej części Arkansas i na Terytorium Indiańskim, które było w tym czasie azylem dla przestępców z całego kraju. Zgodnie ze swoim mottem „Czynić równą i ścisłą sprawiedliwość”, bezwzględnie tępił morderców, bandytów, złodziei, rabusiów, gwałcicieli, fałszerzy pieniędzy i bimbrowników, czyli najgorszy element na świecie. Do egzekwowania prawa zatrudnił dwustu szeryfów federalnych (marszali), wśród nich tak znane postaci, jak: Frank Canton, Zeke Proctor, Frank Eaton, Bass Reeves i Henry „Heck” Thomas. Aż sześćdziesięciu pięciu spośród nich straciło życie z rąk przestępców, co najlepiej świadczy, jak trudną i niebezpieczną wykonywali pracę. Sędzia Parker zasłynął tym, że przed budynkiem sądu w Fort Smith kazał wybudować mocną szubienicę, na której można było jednocześnie wieszać kilkunastu skazanych. Okazała się ona urządzeniem bardzo przydatnym w zwalczaniu przestępczości na jego terenie, w ciągu bowiem dwudziestu jeden lat sprawowania urzędu (1875–1896) Parker rozpatrzył trzynaście i pół tysiąca spraw i wydał ponad sto sześćdziesiąt wyroków śmierci (na stu pięćdziesięciu sześciu mężczyzn i cztery kobiety), przy czym przez pierwsze czternaście lat skazańcy

całkiem legalnie nie mieli prawa do apelacji[92]. Podobno wszystkie swoje egzekucje oglądał z okna na piętrze budynku sądu. Kiedy zmarł w roku 1896, więźniowie w piwnicach sądu w Fort Smith dali taki popis radości, że dopiero strażnicy pałkami musieli przywrócić porządek.

W przeciwieństwie do Parkera, sędziego z prawdziwego zdarzenia, ekscentryczny właściciel małego saloonu w pobliżu rzeki Pecos, Bean Roy (1825–1903), który mówił o sobie, że jest „prawem na zachód od Pecos" (*The Law West of the Pecos*), nie miał żadnej wiedzy ani praktyki prawniczej. Mimo to mianował się sędzią pokoju na pustynnych terenach w południowo-zachodnim Teksasie, a wyroki wydawał według własnego uznania, polegając tylko na spisanych statutach Teksasu i ławie przysięgłych, składającej się z najlepszych klientów jego saloonu. Ponieważ w miejscowości Langtry w okręgu Valverde, w której mieszkał, nie było więzienia, większość spraw kończyła się karami grzywny, a pochodzące z nich pieniądze trafiały do kieszeni sędziego. Działalność Bean Roya tolerowali Strażnicy Teksasu, wychodząc z założenia, że na pozbawionym prawa bezludziu lepszy taki sędzia niż żaden[93].

Około roku 1890 lokalne społeczności zdołały zdusić bezprawie i zaprowadzić porządek. Życie na Zachodzie przestało być już tak niebezpieczne i w istotny sposób różnić się od tego na Wschodzie. W pewnym sensie jednak było to zaprzeczeniem wolnego, nieskrępowanego, twórczego ducha Zachodu. Bayard Taylor podkreślał, że ludzi Pogranicza rozpierała „aktywność i, proporcjonalnie do niej, beztroska i śmiałość ducha", a typowy mieszkaniec Zachodu postrzegał siebie jako jednostkę o nieograniczonej energii i przedsiębiorczości, żyjącą bez żadnego przymusu, zahartowaną w walce i polegającą wyłącznie na sobie. Ale tak było na początku. Potem wszystko się zmieniło. Pod koniec XIX wieku na Zachodzie żyli już farmerzy, wyposażeni w nowoczesne, produkowane w fabrykach, kosiarki, żniwiarki i maszyny parowe, albo zwykli mieszczanie zatroskani codziennymi sprawami i poczuwający się do stróżowania w sąsiedzkich komitetach obywatelskich.

*Napad rabunkowy na pociąg*

W większości społeczeństw powolny bieg wydarzeń nie sprzyja rozpamiętywaniu przeszłości i oglądaniu się wstecz. Na amerykańskim Zachodzie jednak czas biegł tak szybko, że ludzie nie zapominali tego, co niedawno było, bo jak ktoś rozsądnie zauważył, „chłopak na tyle duży, by powozić wozem obozowym towarzyszącym pierwszemu stadu bydła długorogiego pędzonego do Abilene, (...) nadal jest człowiekiem w średnim wieku, kiedy to wszystko przechodzi do legendy”. Słynny Apacz Geronimo, symbol indiańskiej odwagi, którego imię budziło trwogę w sercach najdzielniejszych kawalerzystów Crooka i Milesa, pod koniec życia był zapraszany do udziału w wielu wydarzeniach kulturalnych (w 1904 roku pojawił się na wystawie światowej w St. Louis, zorganizowanej dla uczczenia setnej rocznicy zakupu Luizjany) i zanim zmarł w spokoju w 1909 roku, zdążył jeszcze zasiąść za kierownicą samochodu. Charles Goodnight, którego wielu uważało za pierwszego i największego hodowcę bydła, zmarł w 1929 roku jako dziewięćdziesięciotrzyletni starzec, który otworzył i zamknął całą epokę w historii Dzikiego Zachodu.

## Mity i legendy

Kiedy wreszcie na Zachodzie zaprowadzono prawo i porządek, a ludzie zro-

zumieli, że dawne czasy bezpowrotnie odeszły w przeszłość, niemal natychmiast odezwała się nostalgia, sprzyjająca powstawaniu mitów i legend. Wykorzystali to autorzy pierwszych książkowych westernów, tacy jak Andy Adams, Ned Buntline, Edward Ellis, Bret Harte, Frank Norris czy Zane Grey, oraz wydawcy taniej literatury wagonowej z nowojorską oficyną Beadle & Adams na czele. Spopularyzowali oni dobrze znane postaci Zachodu, niektóre bardzo kontrowersyjne, przedstawiając je w nowym, korzystnym świetle. Tym samym przyczynili się do utrwalenia ich legendy. Dzięki nim status ludowych bohaterów zyskali: pionierzy Daniel Boone i Davy Crockett, traperzy i zwiadowcy wojskowi Jim Bridger i Kit Carson, łowca bizonów Buffalo Bill Cody, Stróże prawa „Dziki Bill" Hickok i Wyatt Earp, bandyci i rewolwerowcy bracia Jesse i Frank Jamesowie oraz Billy Kid, Allan Pinkerton – szef pierwszej prywatnej agencji detektywistycznej, której motto brzmiało „My nigdy nie śpimy", czy wreszcie najsłynniejsze kobiety Zachodu: Martha „Calamity Jane" Cannary, Belle Star i Kate Elder. Życie wszystkich tych barwnych postaci, często znacznie odbiegające od rzeczywistości, czytelnicy mogli poznać dzięki tandetnym pisemkom w rodzaju „Famę and Fortune" czy „Wild West Weekly", zeszytowej literaturze westernu, seryjnie ukazującej się od końca XIX wieku, lub tanim powiastkom o Dzikim Zachodzie, których jedyną zaletą była wartka akcja i niska cena. A w XX wieku na nowo odkryły je film i telewizja.

James Butler Hickok (1837–1876), były pracownik Pony Express i zwiadowca Unii w czasie wojny secesyjnej, po raz pierwszy dał się poznać w lipcu 1861 roku, gdy w niejasnych okolicznościach zabił swego wroga Dave'a McCanlesa. Podobno strzelił mu w plecy zza zasłony na stacji Rock Creek w Nebrasce, a potem z pomocą kolegów śmiertelnie ranił dwóch innych ludzi, którzy towarzyszyli McCanlesowi. Badający sprawę sąd uznał jednak wyjaśnienie, że pracownicy stacji działali w obronie własnej oraz mienia firmy, i Hickoka uniewinnił. Od tej pory zaczęto go nazywać „Dzikim Billem" (*Wild Bill*), co brzmiało znacznie godniej niż „Kaczodzioby Bill" (*Duck Bill*), jak zwał go złośliwy McCanles ze względu na jego długi organ powonienia i wystającą górną wargę. Kilka lat później, gdy Hickok zaczął zyskiwać sławę, podał zupełnie inną wersję zabójstwa w Rock Creek, w której przedstawił McCanlesa jako groźnego mordercę i przywódcę gangu terroryzującego okoliczny region. Tę zmyśloną, ubarwioną wersję opowiedział znanemu dziennikarzowi ze Wschodu, pułkownikowi George'owi Wardowi Nicholsowi, którego spotkał w 1865 roku w Springfield w Missouri. W lutym 1867 roku Nichols zamieścił w czasopiśmie „Harpers Monthly Magazine" duży artykuł za-

tytułowany *Dziki Bill*, który utrwalił w świadomości społecznej walkę Hickoka z McCanlesem i jego rzekomą bandą jako jeden z dziesięciu najsłynniejszych pojedynków w historii Dzikiego Zachodu. Według tej wersji wszyscy bandyci z gangu McCanlesa zostali zabici, a przeciwnik Dzikiego Billa, uzbrojonego tylko w rewolwer i nóż Bowiego, padł przeszyty jedenastoma kulami z kolta i pocięty trzynastoma ciosami noża. Historię tę podchwycili pismacy i nazwali ją „masakrą McCanlesa". Zapoczątkowała ona legendę Hickoka i z czasem utrwaliła jego sławę jako jednego z bohaterów Dzikiego Zachodu. Gazety w Kansas i Missouri protestowały przeciwko wyolbrzymianiu dokonań Hickoka, ale nie zahamowało to jego rosnącej popularności.

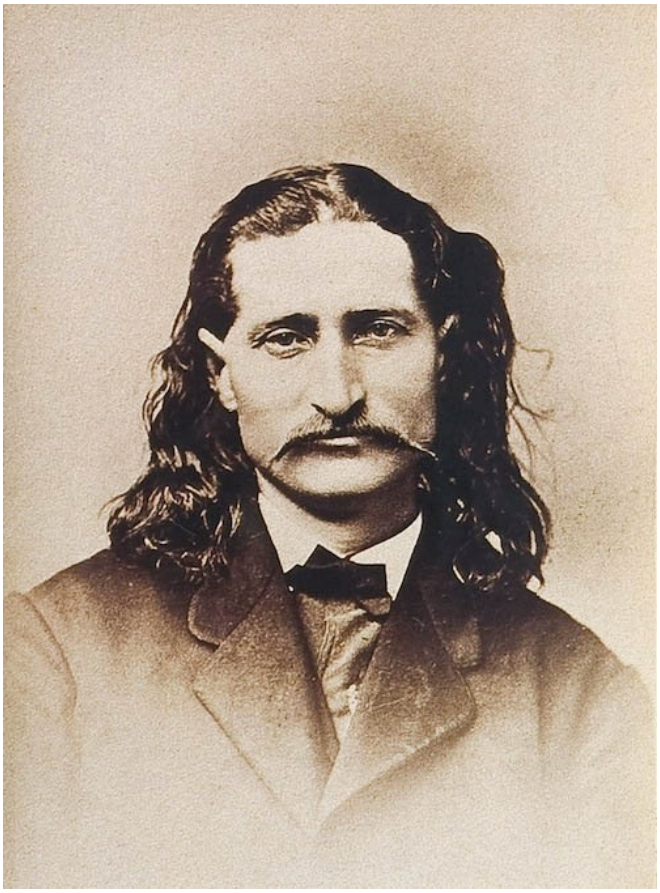

*Dziki Bill Hickok*

Nichols opisał też szczegółowo pojedynek Hickoka z jego towarzyszem od gry w karty, znanym hazardzistą i dawnym żołnierzem Konfederacji, Davisem Tuttem, do którego doszło w lipcu 1865 roku w wyniku zatargu przy pokerze. Pojedynek ten należy do nielicznych udokumentowanych pojedynków rewolwerowych jeden na jednego z udziałem publiczności na Dzikim Zachodzie (chociaż widzowie na wszelki wypadek pochowali się w budynkach i obserwowali wszystko z bezpiecznego ukrycia). Nie był to jednak żaden zapierający dech w piersiach popis brawury rewolwerowców, którzy błyskawicznie wyciągali broń i oddawali szybki strzał (*fast draw*), tak dobrze nam znany z hollywoodzkich filmów. Po prostu obaj przeciwnicy wyszli na główny plac Springfield, stanęli naprzeciw siebie z rewolwerami w dłoniach, przyjęli postawę pojedynkową, zwracając się do siebie bokiem, i jednocześnie oddali strzał z odległości dwudziestu paru kroków. Tutt nie miał szczęścia: kula Dzikiego Billa trafiła go w lewy bok pomiędzy żebra. Ranny nieszczęśnik biegał jeszcze dookoła, krzycząc: „Ludzie, jestem zabity!", po czym wykrwawiony padł na ulicę i wyzionął ducha. Dziki

Bill został aresztowany i po raz drugi stanął przed sądem. Po trzydniowym procesie uniewinniono go, ponieważ znaleźli się świadkowie, którzy zeznali, że to Tutt pierwszy sięgnął po broń, a Hickok działał w obronie własnej.

>Buffalo Bill Cody (ok. 1875)

Potem Dziki Bill wyjechał ze Springfield i został szeryfem w Fort Riley w Kansas. Później przeniósł się do fortu Harker i od czasu do czasu służył jako zwiadowca w 7. pułku kawalerii Cusiera walczącym z Indianami, a następnie strzegł porządku w Fort Hayes (tam ponownie spotkał starego znajomego z Pony Express, Buffalo Billa Cody'ego, który w tym czasie zajmował się polowaniem na bizony na równinach Kansas). Wynajmował się też czasem jako zwiadowca nowego 10. pułku kawalerii złożonego z Murzynów (zwanych przez Indian, ze względu na czarne kręcone włosy, „bizonimi żołnierzami" – *Buffalo Soldiers*), dopóki we wrześniu 1868 roku nie odniósł dotkliwej rany w potyczce z Czejenami. Wtedy wrócił do Hayes i w pierwszym miesiącu szeryfowania zabił w strzelaninie dwóch ludzi. W lipcu 1870 roku wdał się w bijatykę z dwoma pijanymi żołnierzami z pułku Custera. Jednego z nich zabił, drugiego ranił, a sam ledwo uszedł z życiem. W następnych wyborach na szeryfa nie znalazł już uznania w oczach ludzi i został bez pracy.

W kwietniu 1871 roku zatrudnił się jako stróż prawa w nowo powstałym mieście Abilene, które szybko się rozrastało dzięki przepędom bydła z Teksasu. Swoją barwną postacią dodawał kolorytu szarej mieścinie, przyciągając wzrok fantazyjnym strojem, sumiastymi wąsami i długimi pofalowanymi włosami. Jako znany hazardzista, pilnował porządku w mieście zza karcianego stolika w saloonie o historycznej nazwie „Alamo" i niechętnie opuszczał to miejsce. Kiedy już jednak konieczność zmuszała go do wyjścia, imponował biegłością w posługiwaniu się bronią, chociaż jego słynne kolty z nakładkami z kości słonio-

wej na rękojeściach stanowiły zagrożenie nie tylko dla wrogów, ale i dla przyjaciół. W pewien październikowy wieczór zabił podczas próby aresztowania niechętnego mu właściciela innego saloonu w Abilene, Phila Coe, a chwilę później zastrzelił przez pomyłkę swojego zastępcę, Mike'a Williamsa, który przybiegł mu na pomoc. Ten wypadek położył kres jego dobrze zapowiadającej się karierze w Abilene i prześladował go do końca życia. Odtąd Hickok żył z pokera, a potem podążył na północ. W 1873 roku dołączył do pierwszej objazdowej trupy aktorsko-cyrkowej Buffalo Billa „Cody Combination", z której później wyłoniła się słynna rewia „Buffalo Bill Wild West Show", pełna dzikich jeźdźców, nieokrzesanych kowbojów, prawdziwych Indian i wyborowych strzelców. W marcu 1876 roku ożenił się z dużo starszą od siebie wdową po właścicielu konkurencyjnego, zespołu cyrkowego z Cheyenne w Wyomingu, aktorką Agnes Thatcher Lake, ale już po paru miesiącach opuścił ją, aby szukać szczęścia na złotonośnych polach Czarnych Wzgórz w Dakocie Południowej. W lipcu pojawił się przy karcianym stoliku w Deadwood jako profesjonalny hazardzista ze słynną Calamity Jane u boku.

Martha Jane Cannary (1852–1903), bo tak brzmiało jej prawdziwe nazwisko, była brzydką, pozbawioną moralności alkoholiczką, która od najmłodszych lat zadawała się z woźnicami, mulnikami i robotnikami kolejowymi, i przechwalała się, że nigdy nie chodzi do łóżka trzeźwa. Już jako nastolatka pracowała dla pewnej rajfury, która organizowała oszukańcze gry hazardowe w saloonach Dzikiego Zachodu i wraz ze swoimi podopiecznymi uprawiała prostytucję. Wiosną 1876 roku zjawiła się w Deadwood, gdzie spotkała Dzikiego Billa i nawiązała z nim krótkotrwały romans, chociaż niektóre źródła podają, że znali się już wcześniej i nawet zawarli małżeństwo, ale po kilku miesiącach rozwiedli się, żeby Hickok mógł poślubić zamożną Agnes Lake. Karciarz i jego niechlujna kompanka nie cieszyli się sobą długo: już 2 sierpnia 1876 roku podczas gry w pokera w saloonie „Nuttall & Mann's No. 10" zezowaty młody opryszek Jack McCall z okrzykiem: „Masz za swoje!", strzelił mu z kolta w tył głowy z powodów, których nigdy nie udało się dokładnie ustalić**[**94**]**. Jeden ze świadków tego zabójstwa napisał potem: „Dziki Bill był najpiękniejszym trupem, jakiego widziałem. Jego długie wąsy prezentowały się znakomicie nawet po śmierci, a palce wyglądały tak, jakby były zrobione z marmuru". Hickoka pochowano na cmentarzu w Deadwood (w 1903 roku spoczęła obok niego, zgodnie ze swoim życzeniem, Calamity Jane). Chociaż w powszechnej opinii Dziki Bill uchodzi za najlepszego Strzelca Zachodu i prawdziwą maszynę do zabijania, budzącą zarówno podziw, jak i przerażenie, wielu uważa, że relacje o jego umiejętnościach i doko-

naniach są znacznie przesadzone (twierdził, że zabił ponad sto osób, chociaż w rzeczywistości strzelał szybko i niecelnie, a z jego ręki padło tylko około dziesięciu ludzi). Legenda jednak, o którą zadbał już za życia, rządzi się swoimi prawami i nie sposób jej podważyć.

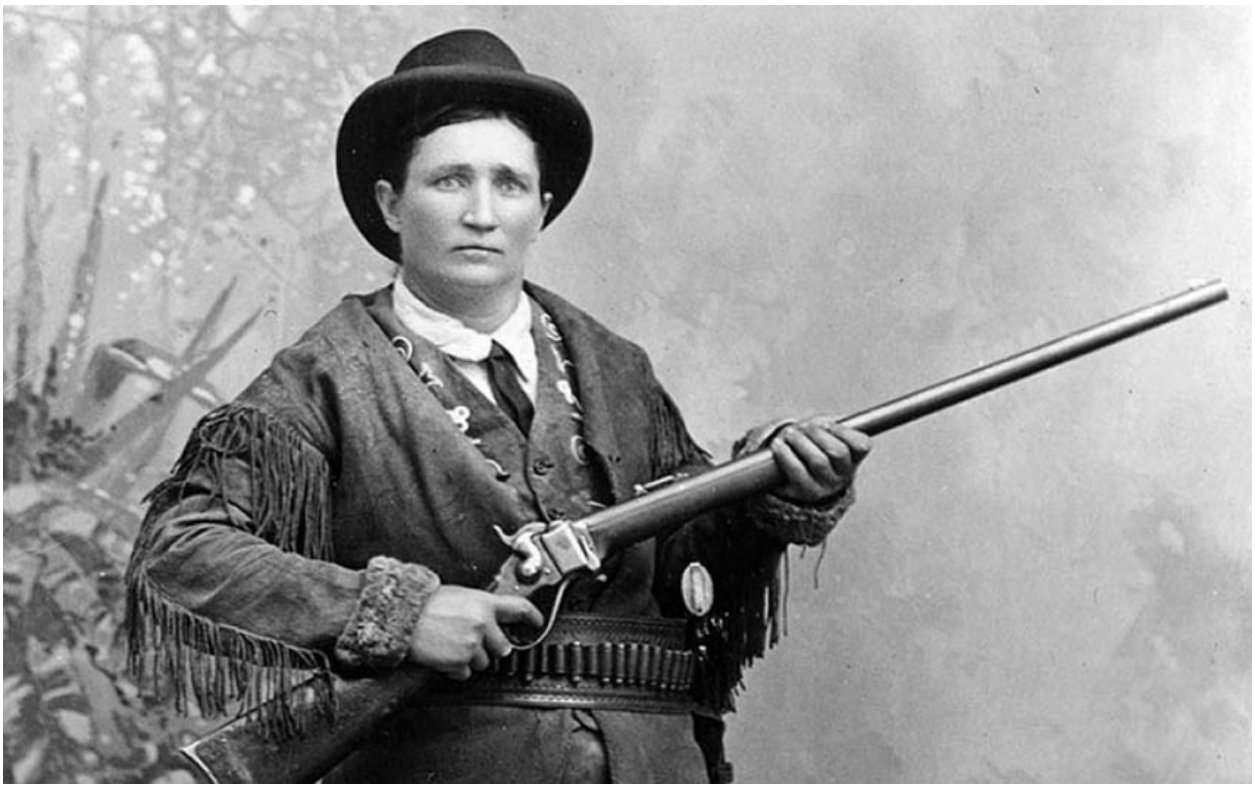

*Calamity Jane*

„Karciany szeryf' Bill Hickok nie był jedynym kontrowersyjnym stróżem prawa, który przeszedł do legendy. Równie sławny jak on Wyatt Earp skończył, jak wiemy, w 1876 roku karierę zastępcy szefa policji w Wichita w Kansas w atmosferze skandalu, aresztowany i wyrzucony z pracy za niegodne zachowanie w miejscu publicznym. Potem ze swoim przyjacielem Batem Mastersonem podążył dalej na zachód szlakiem bydlęcej kolei i znalazł przystań w Dodge City. Tam został pomocnikiem szefa policji, a Masterson szeryfem. W sprytny sposób udało im się połączyć obowiązki stróżów prawa z dużo bardziej intratnym procederem gier hazardowych w saloonie o nazwie „Long Branch". Obaj rozzuchwalili się tak bardzo, że sami zaczęli mieć kłopoty z prawem (Mastersona ukarano nawet grzywną w wysokości ośmiu dolarów za postrzelenie w pierś niewinnego człowieka). W 1879 roku obywatele Dodge City mieli ich już dosyć. We wrześniu Earp zrezygnował ze stanowiska i razem ze swoją drugą, nieformalną żoną, prostytutką Celią Anne „Mattie" Blaylock (pierwsza żona, Urilla Suther-

land, zmarła w ciąży niespełna rok po ślubie w 1870 roku), wyjechał do Nowego Meksyku, a następnie do Arizony. Tam oboje zamieszkali w „srebrnym” miasteczku Tombstone, gdzie osiadła już większość rodziny Earpów. Wkrótce dołączył do nich elegancki, chory na gruźlicę hazardzista, dawny chirurg dentystyczny John Henry „Doc” Holliday (1852–1887) i niejaka Kate Elder, zwana Kate „Wielki Nos” (*Big Nose Kate*), dawna prostytutka, alkoholiczka i narkomanka, przez pewien czas także towarzyszka życia „Doca” (prawdopodobnie żona).

W 1880 roku Wyatt przez krótki czas pełnił funkcję zastępcy szeryfa w okręgu Tombstone. Po przegraniu wyborów na następną kadencję utrzymywał się ze sprzedaży srebra pochodzącego z działek należących do jego rodziny i prowadzenia salonu gier hazardowych (wśród których królował niezwykle popularny wśród poszukiwaczy srebra faraon) w hotelu „Oriental”. Przez jakiś czas pomagali mu w tym procederze sprowadzeni specjalnie do Tombstone dawni przyjaciele z Dodge City, Bat Masterson oraz zawodowy karciarz o reputacji dandysa Luke Short, rezydujący wówczas w Leadville w Kolorado.

W Tombstone, szybko rozwijającym się górniczym miasteczku, liczącym podówczas ponad tysiąc mieszkańców, rodzina Earpów i Holliday weszli w konflikt z rywalizującym z nimi o wpływy klanem Clantonów, luźno powiązaną grupą balansujących na granicy prawa typków, zwanych potocznie „kowbojami” (*The Cowboys*). Na jej czele stał notoryczny złodziej Ike Clanton, któremu zarzucano, że razem ze swoimi wspólnikami kradnie bydło w Meksyku i sprzedaje je głodnym górnikom w Arizonie. Obie strony oskarżały się o zachłanność, oszustwa, czerpanie korzyści z hazardu, korumpowanie władz, napady i kradzieże bydła. Ten długotrwały spór rozstrzygnęła w końcu słynna strzelanina koło pustej zagrody dla koni (corralu) przy Fremont Street na skraju miasteczka.

*Earp, Masterson i Short wśród stróżów prawa z Dodge City (1878)*

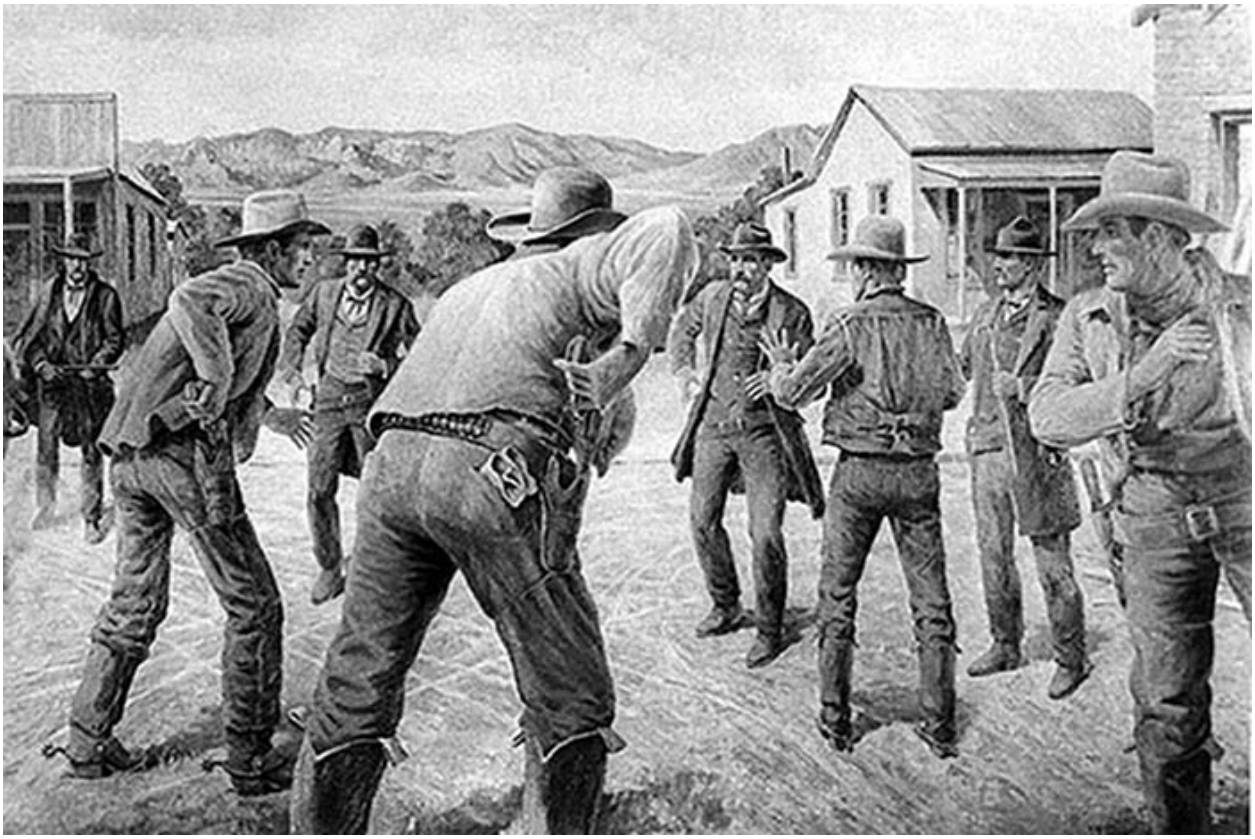

*Strzelanina w O.K.Corral (1881)*

26 października 1881 roku Earpowie sprowokowali Clantonów do kłótni, po czym wykończyli ich bez skrupułów w O.K. Corral. Wymiana strzałów pomiędzy Wyattem Earpem oraz jego dwoma braćmi, Virgilem i Morganem, wspomaganymi przez „Doca" Hollidaya a pięcioma ludźmi z bandy Clantonów trwała niecałe pół minuty, ale to wystarczyło, żeby zabić trzech przeciwników. Dwaj pozostali – nieuzbrojony herszt bandy Ike Clanton i jego kumpel Billy Claiborn – zdołali uciec. Morgan, Virgil i Holliday odnieśli lekkie rany, Wyatta zaś kule ominęły. Dwa miesiące później Virgil Earp, miejski szeryf i rewolwerowiec, sam nieźle oberwał od strzałów zza węgła, a w marcu 1882 roku zginął Morgan, zastrzelony przez nieznanych sprawców w sali bilardowej. W odwecie Wyatt z dwoma pozostałymi braćmi, Jimem i Warrenem, oraz „Dokiem" Hollidayem i paroma przyjaciółmi zabił kilku podejrzanych, po czym, oskarżony o morderstwo, musiał na zawsze opuścić Arizonę.

Strzelanina w O.K. Corral i okoliczności zemsty na zabójcach Morgana Earpa trafiły na pierwsze strony gazet w całym kraju, uczyniły z Wyatta popularną postać i na zawsze wprowadziły go do folkloru Dzikiego Zachodu. Pozostał on niespokojnym duchem do końca życia. Po opuszczeniu Arizony wyjechał z Mastersonem i Hollidayem do Kolorado, a gdy „Doc" zmarł parę lat później w sanato-

rium w Glenwood Springs, wrócił ze swoim drugim kumplem do swojej dawnej profesji, czyli hazardowej gry w karty (w ostatnich latach życia Masterson pracował dla nowojorskiego „Morning Telegraph” jako dziennikarz sportowy). Wyatt nigdy już nie połączył się z Mattie Blaylock. Przenosił się z miasta do miasta i nigdzie nie mógł zagrzać na dłużej miejsca. Jego kochanka, opuszczona i osamotniona, wyjechała z Tombstone i wróciła do prostytucji. Zmarła od przedawkowania opium w 1888 roku. Dwa lata później Wyatt związał się z nową partnerką, Josephine Sarah „Sadie” Marcus, i spędził z nią czterdzieści sześć lat. Jako jego nieformalna żona Sadie towarzyszyła mu we wszystkich podróżach. Na jakiś czas zatrzymali się w Dodge City, potem w Idaho i Teksasie, w 1887 roku wylądowali w słonecznym San Diego, a cztery lata później przenieśli się do bardziej deszczowego San Francisco, gdzie mieszkała rodzina Sadie. Wyatt nadal grał w karty, interesował się sportem (został nawet sędzią bokserskim) i próbował swoich sił jako hodowca koni wyścigowych. Kiedy w 1897 roku wybuchła słynna gorączka złota w Klondike nad rzeką Yukon, wyjechał ze swoją towarzyszką na Alaskę. Tam też zarabiał na życie grą w karty i przez jakiś czas prowadził luksusowy saloon. Pod koniec 1901 roku wrócił z Sadie do Kalifornii i zamieszkał w Los Angeles. Imał się różnych zajęć, aż w 1929 roku zakończył swoje bogate i pełne wrażeń życie jako ostatni z piątki braci Earpów. Dwa lata później ukazała się napisana przy jego udziale książka Stuarta Lake’a *Wyatt Earp. Frontier Marshall* (Wyatt Earp. Szeryf z Pogranicza). Lake przedstawił w niej Earpa jako superbohatera Zachodu i nieustraszonego obrońcę prawa. Ten mocno ubarwiony i wyidealizowany podpis_obrazu daleko odbiegał od prawdziwego wizerunku strażnika dyliżansów firmy Wells Fargo, łowcy bizonów, zawodowego hazardzisty, górnika, właściciela burdelu i alfonsa, a tylko niekiedy stróża prawa. I chociaż tej ostatniej profesji Wyatt Earp poświęcił najmniej czasu i zaangażowania, to właśnie ona wykreowała go na legendę Zachodu.

Tęsknota za dawnym Zachodem, chęć zysku i fantazja niektórych ludzi zmieniły w bohaterów różne mętne i dwuznaczne postaci, takie jak cyniczny desperat William Bonney, zły młodzieniec o stalowym wzroku i niezrównanej biegłości w posługiwaniu się bronią, który pod przydomkiem Billy Kid przeszedł do historii jako najsłynniejszy przestępca Południowego Zachodu. W ciągu paru dni po swojej śmierci w lipcu 1881 roku „Billy Dzieciak”, bo tak należy tłumaczyć nadany mu przydomek, stał się bohaterem literatury popularnej. Różne tandetne wydawnictwa reklamowały go jako „przestępcę, który zabił po jednym człowieku za każdy rok swego życia”. A najbardziej do utrwalenia legendy Billy ego jako pozbawionego skrupułów mor-

dercy, nieustraszonego bandyty i geniusza zła przyczynił się jego zabójca, szeryf Patt Garrett.

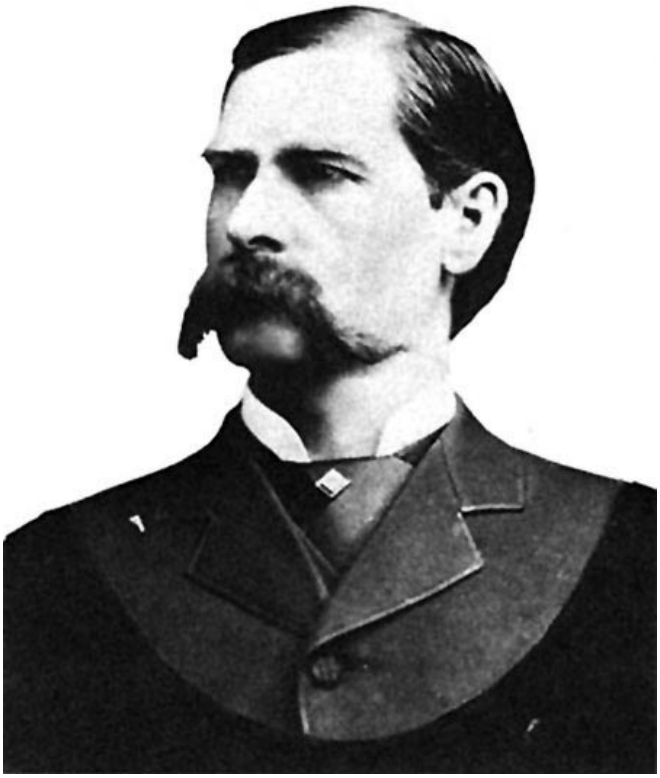

*Wyatt Earp*

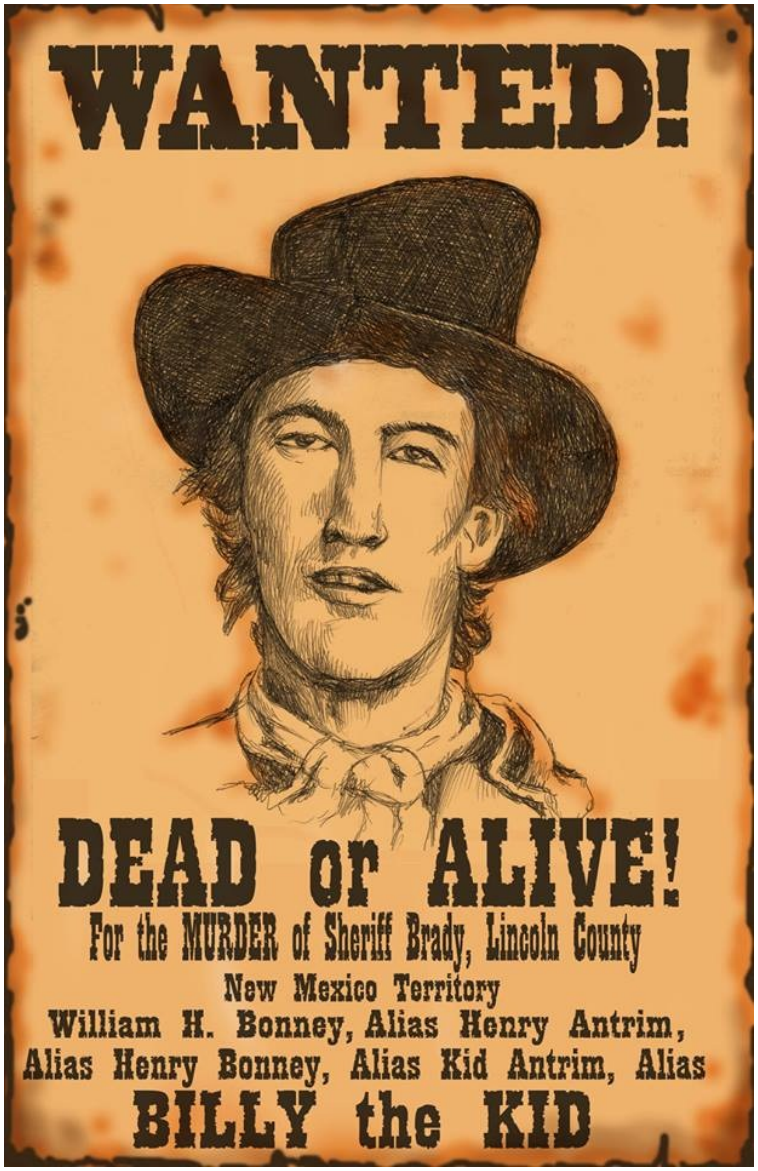
WANTED!
DEAD or ALIVE!
For the MURDER of Sheriff Brady, Lincoln County
New Mexico Territory
William H. Bonney, Alias Henry Antrim,
Alias Henry Bonney, Alias Kid Antrim, Alias
BILLY the KID

*List gończy za Billi Kidem (1887)*

Fakty związane z osobą Kida same w sobie stanowią zagadkę. Prawdopodobnie nazywał się Henry McCarty i był synem Michaela i Catherine Bonney McCarty, chociaż w ciągu swego krótkiego życia używał nazwisk: Austin, Billy, Henry lub Kid Antrim albo William Henry Bonney. Urodził się 23 listopada 1859 roku w Nowym Jorku i po śmierci ojca, który być może zginął w czasie wojny secesyjnej, wyjechał z matką i bratem najpierw do Indiany, a potem do Kansas i Nowego Meksyku. Antrim to nazwisko jego ojczyma, Williama, weterana wojny domowej, z którym matka pozostawała w ośmioletnim związku, aż do swojej śmierci na gruźlicę w 1874 roku. Na krótko przedtem rodzina przeprowadziła się do Silver City w Arizonie, zwabiona mirażem odkrytego tam niedawno srebra i nadzieją na lepszy klimat dla chorej. Do tego czasu Henry

McCarty stał się małym kościstym wyrostkiem i wpadł w złe towarzystwo. Mówi się, że w wieku dwunastu lat zabił pierwszego człowieka, chociaż nie ma na to żadnych dowodów. Pewne jest natomiast, że mając szesnaście lat, popełnił pierwsze przestępstwo, okradając wraz z kolegą pralnię należącą do dwóch Chińczyków. Przyłapany na gorącym uczynku i aresztowany, uciekł nocą przez komin przy pomocy matki swego serdecznego szkolnego kolegi, która się nim opiekowała po śmierci jego własnej rodzicielki. Pod koniec września 1875 roku trafił do Globe w Arizonie i to był moment zwrotny w jego życiu. W ciągu dwóch lat przemienił się w Billy'ego Kida, od jesieni 1877 roku posługującego się nazwiskiem Austin lub Kid Antrim. Ci, którzy się z nim wtedy zetknęli, zapamiętali go jako „spokojnego i miłego chłopaka", który jednak zawsze chodził z „sześciostrzałowcem przyklejonym do spodni". Nadal był chudym, nie wyrośniętym młodzieńcem, ale z koltem kalibru 0,45 cala w dłoni uważał się za równego każdemu mężczyźnie. Na krótko przez swoimi osiemnastymi urodzinami, 17 sierpnia 1877 roku, Kid zastrzelił w pobliżu Camp Grant wojskowego kowala Franka Cahilla, który prawdopodobnie podpis_obrazuił go wulgarnymi słowami. Miejscowy sędzia uznał to za „kryminalne i nieusprawiedliwione morderstwo" i kazał go aresztować. Okoliczności ucieczki Kida z aresztu nie są do końca jasne, wiadomo jednak, że w październiku trafił do okręgu Lincoln w Nowym Meksyku, gdzie zaczął używać nazwiska William Bonney.

Południowa część Nowego Meksyku na wschód od Rio Grande była wówczas atrakcyjnym miejscem dla ranczerów, zwłaszcza dla hodowców bydła. Wielu z nich osiągało z hodowli ogromne zyski. Należał do nich John Simpson Chisum (1824–1884), zwany nieraz „królem bydła w Nowym Meksyku". W 1872 roku przekroczył on Brazos i przeniósł działalność z zachodniego Teksasu do słabo zaludnionej doliny rzeki Pecos w okręgu Lincoln. Tam w Bosque Grande, niedaleko dzisiejszego Roswell, założył prawdziwe imperium hodowlane. W jego ślady poszli inni, wśród nich młody angielski przedsiębiorca John Henry Tunstall (1853–1878), który przybył w tamte strony w listopadzie 1876 roku. Korzystając z dobrodziejstwa Ustawy o zasiedlaniu terenów pustynnych (*Desert Land Act*) z 1877 roku, zachęcającej do zasiedlania i zagospodarowania suchych nieużytków na Zachodzie, nabył on szmat ziemi publicznej nad Rio Feliz i założył ranczo. To właśnie u niego po długich wędrówkach i przelotnym pobycie u gościnnego Chisuma, w listopadzie 1877 roku zatrudnił się jako kowboj Henry McCarty alias William Bonney.

Wolna już od meksykańskich bandytów i groźnych Komanczów dolina Pecos wabiła nie tylko ludzi interesu, ale także różne męty społeczne, złodziei koni,

zbiegłych przestępców i amatorów cudzego bydła. Ogromne przestrzenie obfitujące w niezliczone stada krów i koni, trudno dostępne kaniony i góry stanowiły dla nich doskonałą kryjówkę. Wydawałoby się też, że słabo zaludniony okręg Lincoln jest rajem dla hodowców, rozproszonych na wielkim obszarze, ale ci, którzy mieli dużo, chcieli posiadać jeszcze więcej. Zaczęła się rywalizacja różnych grup interesów o wpływy w regionie, co w 1877 roku doprowadziło do wybuchu tzw. wojny okręgu Lincoln (*Lincoln County War*), poprzedzonej konfliktem zwanym wojną nad Pecos (*The Pecos War*). Czynnikiem zapalnym była ekspansywność Chisuma, właściciela stu tysięcy sztuk bydła, który wciąż dążył do rozbudowy swego imperium kosztem miejscowych farmerów i mniejszych ranczerów. Zagrożeni właściciele stawili opór i nie dopuścili do rozszerzenia wpływów „króla bydła” w dolinie Pecos.

Chisum przegrał, ale nienawiść drobnych ranczerów do niego i jego zwolenników doprowadziła wkrótce do wybuchu wspomnianej wojny okręgu Lincoln. Wrogów Chisuma wspierała w niej monopolistyczna spółka L.G. Lawrence & Company, na której czele stał bezwzględny weteran wojny secesyjnej, nałogowy alkoholik i członek loży masońskiej w Santa Fe, major Lawrence Gustave Murphy, wspomagany przez swojego młodego protegowanego, Jamesa Dolana. Po usadowieniu się w Lincoln spółka Murphy’ego i Dolana zdominowała całą sferę ekonomiczną w okręgu. Do niej należał jedyny w mieście bank i duży sklep, zaopatrujący okolicznych farmerów i hodowców, w którym dowolnie dyktowała ceny. Dzięki swoim wpływowym przyjaciołom z Santa Fe i sprytnym praktykom korupcyjnym Murphy zapewnił sobie ochronę prawa. Jeżeli czegoś potrzebował, zwracał się bezpośrednio do przekupnego gubernatora Terytorium, Samuela Beacha Axtela, albo życzliwego sędziego pokoju. Na jego usługach był także miejscowy szeryf, William Brady. Chisum postanowił przeciwstawić się monopolistycznym praktykom Murphy’ego i Dolana, zawarł więc sojusz finansowy z Tunstallem, po czym wspólnie z młodym astmatycznym prawnikiem Alexandrem McSweenem późnym latem 1877 roku założyli nieformalną spółkę z własnym bankiem i sklepem, w którym sprzedawali towary po konkurencyjnych cenach. W tej sytuacji prędzej czy później musiało dojść do konfrontacji.

W czasie gdy Chisum, Tunstall i McSweene próbowali rozkręcić wspólny biznes, do okręgu Lincoln przybył Jesse Evans ze swoją bandą, wzmacniając miejscowy element przestępczy. Jego „chłopcy” (*The Boys*) szybko dali się poznać jako pierwszorzędni złodzieje bydła, zachęcając innych do pójścia w ich ślady. Ofiarami kradzieży padali przede wszystkim najbogatsi ranczerzy w okolicy, wśród nich także Tunstall i Chisum. W październiku złodzieje zadali Tun-

stallowi bolesny cios, kradnąc mu ponad czterysta sztuk bydła i koni. Ranczer wysłał za nimi pościg i odzyskał uprowadzone zwierzęta, jego ludzie ujęli też paru złodziei z bandy Evansa. Trafili oni do aresztu, po czym 16 listopada wieczorem, przez nikogo niezatrzymywani, wyszli z otwartej celi i rozpłynęli się w ciemnościach. Na tym tle doszło do ostrej kłótni pomiędzy Tunstallem i szeryfem Bradym, która zapewne zakończyłaby się tragicznie dla hodowcy, gdyby nie interwencja McSweena.

Po tym incydencie Dolan, od którego McSween pożyczył pieniądze na rozkręcenie interesu, przekonany, że jest on formalnie wspólnikiem Tunstalla, uzyskał nakaz sądowy uprawniający go do zajęcia bydła ranczera. Wyegzekwować nakaz mieli ludzie szeryfa Brady'ego z udziałem Jessego Evansa i paru jego „chłopców". Tunstall usiłował bronić swojego bydła, ale nie za cenę czyjegoś życia. Przyparty do muru, postanowił oddać sprawę do sądu, ale najpierw chciał uzyskać dodatkową ochronę i w tym celu udał się po pomoc do odległego o dziewięćdziesiąt pięć kilometrów rancza Chisuma. Nie zastawszy gospodarza w domu, zdeterminowany oświadczył, że ze złodziejami będzie rozmawiać w sądzie, i 18 lutego rano ruszył do Lincoln z pięcioma ludźmi, wśród których był też Billy Kid. Szeryf Brady wysłał za nimi pościg. W czasie postoju, kiedy ludzie Tunstalla opuścili go na krótko, żeby zapolować na dzikie indyki, grupa pościgowa otoczyła osamotnionego ranczera. Jeden z zastępców Brady'ego, William Morton, strzelił do niego z karabinu, a drugi, niejaki Tom Hill, dobił leżącego z jego własnego rewolweru. Potem zabójcy twierdzili, że Tunstall stawiał opór i strzelił pierwszy, ale prawda jest taka, że było to morderstwo z zimną krwią.

Zabójstwo ranczera podzieliło ludzi na dwa wrogie obozy i rozpaliło otwartą wojnę w okręgu Lincoln. W pościg za mordercami ruszył specjalny oddział regulatorów pod wodzą Richarda Brewera, dawnego sąsiada Tunstalla i szefa kowbojów na jego ranczu. Byli wśród nich Billy Kid, pałający żądzą zemsty za śmierć swojego chlebodawcy, oraz paru innych ludzi (w większości weszli oni później w skład bandy Kida). 8 marca jedenastu regulatorów dokonało samosądu nad schwytanymi przywódcami grupy Brady'ego: każdy oddał do nich po jednym strzale. 1 kwietnia Billy Kid i czterej inni regulatorzy zastawili zasadzkę na szeryfa i czterech jego zastępców na głównej ulicy Lincoln. Ukryci za murkiem z suszonej na słońcu gliny *adobe*, przeszyli go szesnastoma kulami, zanim zdążył sięgnąć po broń. Jeden z jego zastępców, George Hindman, dostał dwa razy i padł, śmiertelnie ranny, a trzej pozostali zdołali odpowiedzieć ogniem, raniąc Kida i jednego z jego towarzyszy.

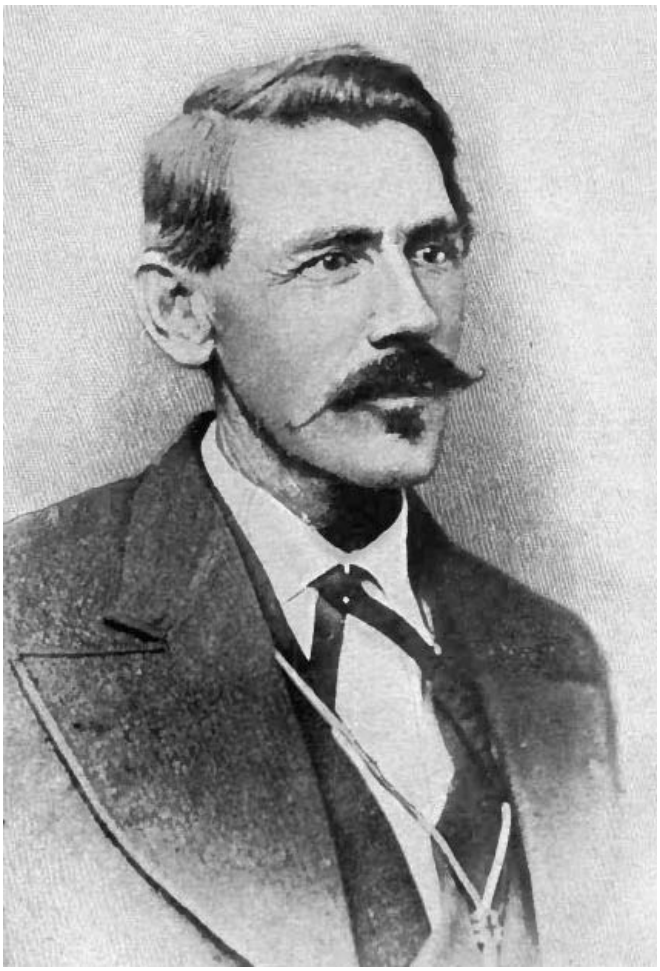

*John Simpson Chisum*

Następnym w kolejności był pozbawiony skrupułów wolny strzelec z Teksasu, Andrew „Buckshot” Roberts, członek bandy Jessego Evansa uczestniczący w zabójstwie Tunstalla. 4 kwietnia regulatorzy dopadli go w tartaku niejakiego Josepha Blazera w La Maquina, ale zanim się z nim rozprawili, zdołał on zabić dwóch z nich, w tym Dicka Brewera, i zranić Kida w ramię. Sam zmarł następnego dnia, śmiertelnie postrzelony przez jednego z regulatorów, prawdopodobnie Charlesa Bowdrego. Jego zastrzelenie przypisano jednak Billy’emu Kidowi, który z tego powodu trafił na czołówki gazet.

Kulminacyjnym momentem konfliktu była dramatyczna „pięciodniowa bitwa o Lincoln” (*Five Day Battle*). 14 lipca pozbawieni zdolnego przywódcy regulatorzy oraz lojalni wobec McSweena miejscowi Meksykanie z Martinem Chavezem na czele zajęli Lincoln i wdali się w regularną bitwę ze stronnikami Dolana (w marcu 1877 roku odkupił on udziały od zniszczonego przez alkohol Murphy’ego), którym przewodził nowy szeryf, George Peppin. Decydującym czynnikiem bitwy o miasto okazała się interwencja komendanta pobliskiego fortu Stanton, podpułkownika Nathana Dudleya. Początkowo, chociaż sympatyzował on z Dolanem, jako służbista nie chciał mieszać wojska do spraw cywilnych. Dopiero kiedy ludzie McSweena ostrzelali jego kuriera, 19 lipca przybył do Lincoln z czterdziestoma żołnierzami, wyposażonymi w haubicę i działo Gatlinga, pod pretekstem „ochrony życia kobiet i dzieci”. Wojsko obsadziło miasto, przepędziło ludzi Chaveza i otoczyło dom McSweena, w którym schronili się regulatorzy, gotowi stawić opór. W tej sytuacji żołnierze ewakuowali żonę i szwagierkę McSweena z pięciorgiem dzieci, a następnie podpalili dom. Zagrożeni śmiercią w płomieniach, obrońcy rzucili się do ucieczki w dwóch grupach. Pierwsza, w której był Billy Kid i trzech innych, jakimś cudem

zdołała się przebić i ujść w góry. Pięciu pozostałych, wśród nich McSweena, osaczyli na tyłach domu ludzie Peppina z jego zastępcą, Robertem Beckwithem na czele, współodpowiedzialnym za śmierć Tunstalla. Chmury dymu przesłoniły wszystko, a kiedy się rozwiały, Beckwith, McSween i trzej jego ludzie leżeli martwi, a czwarty ciężko ranny. Taki był niechlubny finał „pięciodniowej bitwy o Lincoln". Walka z frakcją Dolana ukształtowała trzon gangu Billy'ego Kida, specjalizującego się w napadach na rancza i kradzieży bydła oraz koni, która przez prawie dwa lata terroryzowała znaczny obszar Nowego Meksyku.

Nie wiadomo, jak długo jeszcze ciągnąłby się konflikt w okręgu Lincoln, gdyby na scenę nie wkroczył nowy gubernator Nowego Meksyku, bohater ostatniej wojny, generał Lew Wallace. Na jego wniosek Dudleya zawieszono w obowiązkach dowódcy fortu Stanton (później stanął przed sądem cywilnym za podpalenie domu McSweena i przyczynienie się do jego śmierci, ale sąd go uniewinnił). W listopadzie 1878 roku Billy'ego Kida i jego towarzyszy objęła amnestia, a on sam 22 grudnia przyjechał do Lincoln i oddał się w ręce sprawiedliwości. Na mocy porozumienia z gubernatorem, który specjalnie w tym celu przybył z Santa Fe, miał zeznawać przed sądem jako świadek w sprawie okoliczności śmierci głównych postaci konfliktu. Był to chyba jeden z nielicznych w dziejach przypadków, kiedy wysoki przedstawiciel rządu i postać powszechnie znana w kraju, składał obietnice niewykształconemu młodocianemu przestępcy. Do spotkania z Kidem doszło 17 marca 1879 roku. Można sobie wypodpis_obrazuić zdziwioną minę Wallace'a, kiedy zamiast paskudnego bandziora o marsowej, naznaczonej piętnem występku twarzy i byczym karku, zobaczył drobnego i delikatnego jak dziecko dziewiętnastolatka, który wyciągnął do niego na powitanie drobną kształtną dłoń i z niewinnym uśmiechem odpowiadał na jego pytania. Wszystko było na dobrej drodze, ale sprawa nabrała nagle znaczenia politycznego i pod naciskiem niektórych prominentnych ludzi z Santa Fe proces postanowiono przenieść z Lincoln do odległej miejscowości Mesilla nad Rio Grande. Kid przestraszył się, że może zginąć w drodze, i uciekł w przeciwnym kierunku, do odległego o sto sześćdziesiąt kilometrów fortu Sumner.

Zadanie schwytania go przypadło jego dawnemu przyjacielowi z saloonu i partnerowi od gry w pokera, Patrickowi Floydowi „Patowi" Garrettowi (1850–1908), w listopadzie 1880 roku wybranemu na szeryfa okręgu Lincoln. Garrett, który przyrzekł przywrócić na swoim terenie prawo i porządek, natychmiast zorganizował pościg. W grudniu, przed samymi świętami, jego ludzie zabili dwóch członków bandy Kida, a jego samego i dwóch innych pochwycili w starej kryjówce w Stinking Springs, na wschód od fortu Sumner. Na początku kwietnia

1881 roku Billy stanął przed sądem w Mesilla pod zarzutem zamordowania „Buckshota” Robertsa i szeryfa Brady’ego. Od tego pierwszego zarzutu sąd go uwolnił, ale uznał go za winnego zabójstwa Brady’ego i 13 kwietnia skazał na karę śmierci przez powieszenie. Egzekucja miała się odbyć 13 maja w Lincoln. Zanim jednak do tego doszło, Kid jeszcze raz oszukał śmierć i w nieprawdopodobny sposób uciekł z aresztu znajdującego się na piętrze dawnego sklepu Murphy’ego i Dolana, zamienionego na siedzibę sądu w Lincoln. A było to tak:

Późnym popołudniem 28 kwietnia jeden ze strażników, Bob Olinger, zostawił swoją broń w areszcie i poszedł na kolację do gospody po drugiej stronie ulicy. Skutego kajdanami więźnia pilnował drugi strażnik, James Bell, z którym Kid grywał nieraz w karty dla zabicia czasu. Tak było i tego dnia. W pewnym momencie Billy niby przez przypadek upuścił kartę, a gdy prostolinijny Bell schylił się, żeby ją podnieść, sprytny młodzieniec błyskawicznie wyciągnął mu broń z kabury**[**95**]**. Zdumiony strażnik wyprostował się i zobaczył wymierzoną w siebie lufę własnego rewolweru. „Mam cię, Bell – powiedział Kid – ale nie chcę cię zabijać. Podejdź tu i rób, co ci każę”. Przerażony Bell rzucił się jednak do ucieczki i wtedy dosięgły go kule Kida. Martwy, ciężko stoczył się po schodach. Huk wystrzału usłyszeli ludzie na ulicy. Zaalarmowany Olinger w pośpiechu pobiegł do aresztu, gdzie niebacznie zostawił broń, i przypłacił nieostrożność śmiercią: zginął od śrutu z własnej strzelby. A Kid spokojnie zszedł na dół, przekroczył ciało Bella i nie bez trudu, przy pomocy przygodnego przechodnia z kilofem, uwolnił się od krępujących go łańcuchów. Mijając leżące przed domem ciało Olingera, rzucił jeszcze: „Już nigdy więcej mnie nie złapiesz”. Potem kazał więziennemu stróżowi osiodłać „małego płochliwego kuca” i obiecawszy, że go odda, odjechał w siną dal (następnego dnia faktycznie zwrócił pożyczonego konia). Teraz był już całkiem wyjęty spod prawa i nie miał przed sobą żadnej przyszłości. Wiedział tylko, że Patt Garrett mu nie odpuści i zrobi wszystko, żeby go dopaść.

Ucieczka Billy’ego Kida odbiła się głośnym echem w całym kraju. Stała się wdzięcznym tematem spekulacji prasowych i kolejnym elementem legendy. A szeryf Garrett oczywiście znowu ruszył w pościg. Po prawie trzech miesiącach kluczenia i niejednej wymianie strzałów on i jego dwaj zastępcy, John Poe i John Kinney, nakryli w końcu Kida w forcie Sumner, gdzie miał najwięcej przyjaciół i gdzie mieszkała ponoć tajemnicza „miłość jego życia” (prawdopodobnie Meksykanka Celsa Gutiérrez). W końcu los sprowadził ścigającego i ściganego do domu ich wspólnego znajomego, ranczera Petera Maxwella. 13 lipca 1881 roku około północy Pat Garrett dostrzegł z okna sypialni postać wyłaniającą się z mroku w świetle księżyca i błyskawicznie oddał do niej dwa strzały z rewol-

weru[96]. Po raz pierwszy i ostatni Billy Kid spotkał kogoś, kto strzelił pierwszy i był od niego szybszy. I tak oto tchórzliwa egzekucja zakończyła jego krótkie, nędzne życie. Młody desperat, odchodząc z tego świata w wieku dwudziestu jeden lat, zostawił za sobą – jak chce legenda – dwadzieścia jeden trupów i mit, który żyje do dziś[97]. Jego zabójca został doceniony i zrobił karierę, którą przerwała gwałtowna i niegodna śmierć w lutym 1908 roku: zginął koło Las Cruces w niewyjaśnionych do końca okolicznościach od dwóch strzałów w plecy.

## Romantyczny Dziki Zachód

Przemiana złoczyńców w bohaterów była niewinną rozrywką, która dała radość milionom, a nielicznym przyniosła pieniądze. Ale legendy tworzone przez autorów wielkonakładowych tanich powieści, a następnie podtrzymywane i upowszechniane w rewiach typu „Wild West Show" Buffalo Billa i innych sprytniarzy kreujących własny wizerunek Zachodu, miały też znacznie ważniejszy cel. W prostej podkolorowanej formie sławiły one dawne wartości i przypominały ludziom, że w swoim bezpiecznym i uporządkowanym życiu zapominają o istotnych jego aspektach. Mity pomijały lub wybielały to, co brzydkie, złe, brudne i niegodziwe, eksponując to, co najważniejsze: energię, wysiłek, lojalność i idealizm mieszkańców Pogranicza. „Nie mogę znaleźć właściwych słów, aby wyrazić wierność, odwagę, trud, poczucie honoru oraz umiejętność polegania na sobie i innych, jakie cechowały dawnych poganiaczy na szlaku" – napisał były „król bydła" Charles Goodnight. A wielokrotnie wspominany Bayard Taylor postrzegał Amerykanów na Zachodzie jako współczesnych wikingów – ludzi szalonych, pełnych pasji, niezwykłej siły i brawury, zdolnych do pokonywania największych barier i przeszkód.

W ostatniej dekadzie XIX wieku terytoria na zachodzie Stanów Zjednoczonych zostały całkowicie scalone z resztą kraju. Czasy Taylora, Goodnighta i innych minęły, ale młody naród amerykański nadal chciał o nich pamiętać. Ludzie byli dumni ze swej przeszłości i dokonań swoich przodków. Pragnęli je utrwalać i przekazywać następnym pokoleniom w każdy możliwy sposób. Kiedy w 1885 roku Buffalo Bill namówił Siedzącego Byka, aby zostawił nudne życie w rezerwacie i przyłączył się do jego rewii, widzowie wygwizdywali wodza Siuksów jako pogromcę Custera, ale wiwatowali na jego cześć i nie żałowali pieniędzy, aby oglądać go w roli o Dzikim Zachodzie i książki *The Story of the Cowboy*, wydanej w Nowym Jorku w 1897 r. wspaniałego wroga w popularnej zabawie w kowbojów i Indian. Siedzący Byk szybko przystosował się do świata białych ludzi i jego oczekiwań. Chętnie też korzystał z oferowanych mu dobrodziejstw, a

nawet luksusów (jadał specjalnie sprowadzane dla niego ostrygi). Potem jednak zrozumiał, że jego miejsce jest wśród swoich. Po roku zrezygnował z występów, oznajmiając: „Tipi jest lepszym miejscem. Te wszystkie domy, hałasy i chmary ludzi przyprawiają mnie o chorobę”. Bajeczki były dla naiwnych, on wolał rzeczywistość, nawet przykrą i smutną.

*Miasteczko na Dzikim Zachodzie*

Indianie tęsknili za światem, który zabrali im Amerykanie, ci zaś za przeszłością, nieskrępowanym duchem Zachodu i za surowym romantycznym życiem na łonie szybko znikającej dzikiej przyrody. Poeta Walt Whitman, który pisał nostalgiczne hymny na cześć wielkości swego kraju, widział w Zachodzie „jedyną prawdziwą Amerykę”. Inni uważali Zachód za „najbardziej amerykańską część Ameryki”, w powszechnym zaś mniemaniu czas jego zdobywania i zasiedlania był tym okresem, w którym Stany Zjednoczone wykształciły swoje najlepsze wartości lub, jak to pięknie określił Bayard Taylor, „czynnikiem, który uszlachetnił naszą rasę”.

Potem nie wykazywano już tak bezkrytycznego entuzjazmu. W migracji na Zachód zaczęto dostrzegać nie tylko gigantyczną energię i pomysłowość, ale także brud, nędzę, zachłanność i gwałt. Nie można już było ukrywać ciemnych stron tego procesu: wyzucia Indian z ich ziem podstępem i oszustwem, a następnie wytępienia znacznej części ich populacji; dewastacji wspaniałej dzikiej przy-

rody, wybicia niezliczonych stad bizonów, wycięcia górskich lasów i rozsadzenia skał dynamitem; nieprawdopodobnej korupcji i spekulacji, na której wyrastały gigantyczne fortuny potentatów kolejowych; niebywałego bogacenia się właścicieli kopalń i wielkich hodowców bydła kosztem górników i drobnych farmerów; straszliwego wyzysku i eksploatacji ludzi; plag nędzy, chorób i alkoholizmu; okrutnego prawa linczu i morza bezprawia; opryszków spod ciemnej gwiazdy i zawodowych rewolwerowców w roli szeryfów mających strzec prawa.

*Cyrk Pawnee Billa (1905)*

Oba te wizerunki amerykańskiego Zachodu są prawdziwe. Bo też był to kraj otwarty na ideały, a zarazem kraj zła i egoizmu. Niekwestionowaną jednak i ponadczasową wartością pozostaje wielkość ludzi Zachodu, sprawdzona w warunkach nieznanej, nieprzyjaznej dziczy, i ostateczny triumf cywilizacji, której forpocztę stanowili.

*Legenda Dzikiego Zachodu*

# Cyrk Buffalo Billa

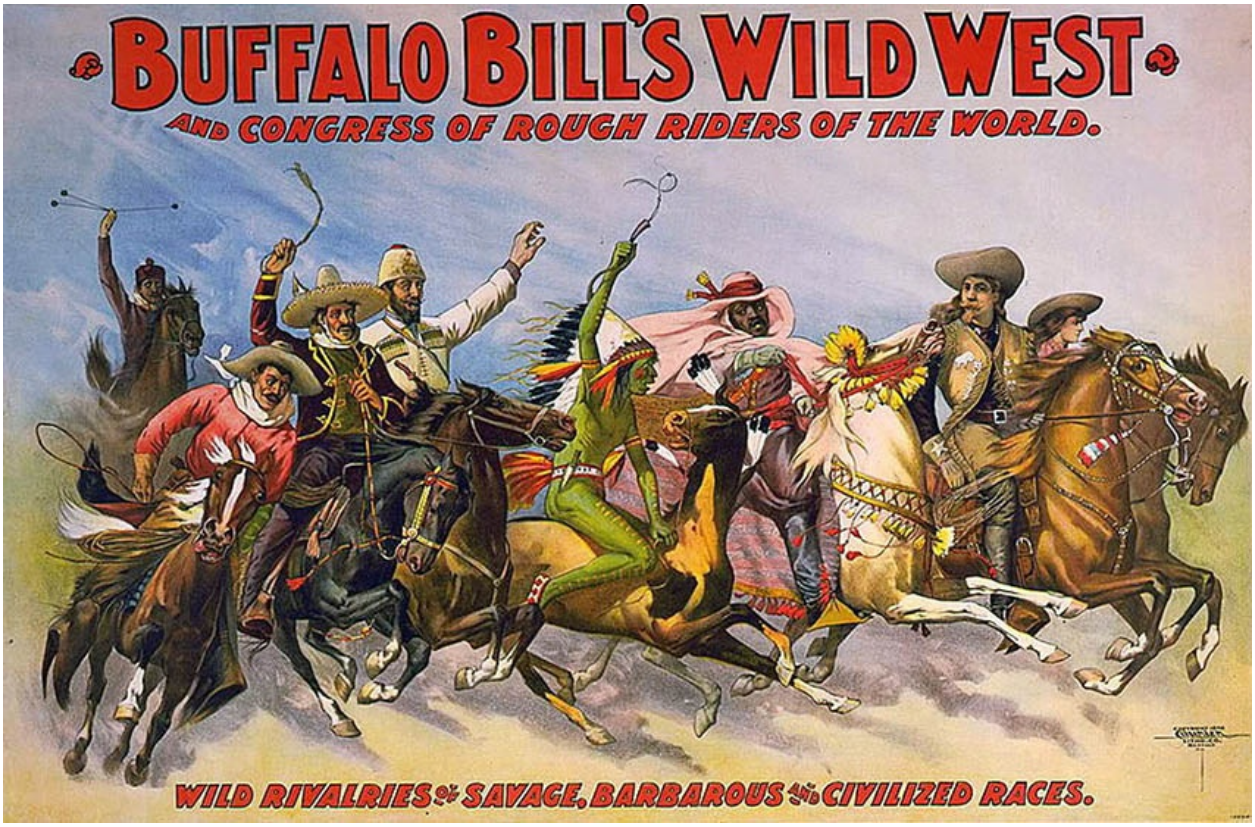
BUFFALO BILL'S WILD WEST
AND CONGRESS OF ROUGH RIDERS OF THE WORLD.
WILD RIVALRIES OF SAVAGE, BARBAROUS AND CIVILIZED RACES.

*Plakat reklamowy cyrku Buffalo Billa*

*Show Buffalo Billa*

*Buffalo Bill i Indianie*

*Buffalo Bill i kowboje*

*Annie Oakley w cyrku Buffalo Billa (1888)*

*Siedzący Byk i Buffalo Bill*

# Bibliografia


Appleman Roy E., *Lewis and Clark: Historic Places Associated with their Transcontinental Exploration (1804–1806)*, United States Department of Interior, National Park Service, Washington 1995.

Bakeless John, *Daniel Boone, Master of the Wilderness*, University of Nebraska Press, Lincoln 1989.

Bartnicki Andrzej, Critchlow Donald T., *Historia Stanów Zjednoczonych Ameryki, t. 3 1848–1917*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995.

Bonneville Benjamin L.E., *The Adventures of Captain Bonneville*, University of Oklahoma Press, Norman 1961.

Brown Dee, *Pochowaj me serce w Wounded Knee*, Państwowe Wydawnictwo „Iskry", Warszawa 1981.

Brown Dee, *The American West*, Simon & Schuster, New York 1994.

Brown Mark H., *The Flight of the Nez Perce*, University of Nebraska, Lincoln 1967.

Christensen Lawrence O., *Dictionary of Missouri Biography*, University of Missouri Press, Columbia 1999.

Dillon Richard H., *North American Indian Wars*, Magna Books, Leicester 1983.

Doyce Nunis M., *Frontier Fighter, The autobiography of George W. Coe who fought and rode with Billy the Kid*, R.R. Donnelley and Sons Company, Chicago 1984.

*Great Western Indian Fights*, University of Nebraska Press, Lincoln 1966.

Grinnell George Bird, *The Fighting Cheyennes*, University of Oklahoma Press, Norman, Oklahoma 1955.

Hafen LeRoy R., *Mountain Men and Fur Traders of the Far West*, University of Nebraska Press, Lincoln 1982.

*Historia wojen Indian Ameryki Północnej*, Wydawnictwo Akcydens, Poznań 1995.

Hoggatt Stan, *In-who-lise, Attack at the Big Hole*, Stan Hoggatt and Western Treasures, Billings 1997.

Hoig Stan, *The Sand Creek Massacre*, University of Oklahoma Press, Norman, Oklahoma, 1961.

Hull Myra E., *Soldiering on the High Plains. The Diary of Lewis Byram Hull*,

*1864–1866*, Kansas Historical Collection, February 1938.

*Indianie Ameryki Północnej*, Muza SA, Warszawa 1994.

Jaimes Annette, *The State of Native America, Colonization and Resistance*, 1992.

Johnson Michael, *The Real West*, Octopus Books Ltd., London 1983.

Josephy Alvin, *People of the Plateau*, Regional Park Service, Nez Perce Country, Washington 1983.

*The Journals of Lewis and Clark*, edited by Bernard de Voto, Houghton Miffin Company, Boston 1953.

Katcher Philip, *The American Indians Wars 1860–1890*, Osprey, London 1977.

Katcher Philip, *US Cavalry on the Plains 1850–1890*, Osprey, London 1985.

Ketchum William C., *The Art of The Golden West*, Smithmark Publishers, New York 1994.

Langford Nathaniel P., *Vigilante Days and Ways*, American & World Geographic Publishing, Helena 1996.

McCann Lloyd E„ *The Grattan Massacre*, Nebraska History, Vol. XXXVII, No. 1, 1956.

Mellor William J., *The Military Investigation of Colonel John M. Chivington following the Sand Creek massacre*, „Chronicles of Oklahoma", Vol. 16, No. 4, December 1938.

Michno Gregory F., *Encyclopedia of Indian Wars: Western Battles and Skirmishes, 1850–1890*, Mountain Press Publishing, Missoula 2009.

Nester William R., *From Mountain Man to Millionaire*, University of Missouri Press, Columbia 2011.

Nichols Roger L., *Backdrop for Disaster: Causes of the Ankara War of 1823*, South Dakota State Historical Society 1984.

Noel Thomas J., *Mile High City*, University of Nebraska Presss, Lincoln 1984.

Nye Wilbur S., *Carbine and Lance, The Story of old Fort Sill*, University of Oklahoma Press, Norman 1969.

Panzeri Peter, *Little Big Horn 1876*, AmerCom SA, Poznań 2010.

Pegler Martin, *US Cavalryman*, Osprey, London 1993.

Pieroni Piero, *Wielcy wodzowie Indian*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1970.

Przewłocka Irena, *Czciciele kojota i kruka*, Wydawnictwo Morskie, Gdynia 1968.

Racięski Jarosław, Kabiesz Edward, *Encyklopedia Dzikiego Zachodu*, Videograf II Spółka z o.o., Katowice 1996.

Reedstrom E. Lisle, *Custer's 7th Cavalry*, Sterling Publishing Co. Inc., New York 1992.

Rogers Ann, *Lewis and Clark in Missouri*, University of Missouri Press, Columbia 2002.

Rogers Ken, *Sakakawea and the Fur Traders; Facing the Unknown*, „Bismarck Tribune", Bismarck 1995.

Seton Ernest Thompson, *Poselstwo Indianina*, Biblioteczka WALDEN, Katowice 1994.

Simmons H. Edwin, *The Secret Mission of Archibald Gillespie*, Marine Corps Gazette, Quantico 1968.

Sudak Aleksander, *Komancze, władcy Południowych Równin*, Akcydens – Poznań, Tipi – Wielichowo, 1998.

Sudak Aleksander, *Leksykon 300 najsłynniejszych Indian*, Wydawnictwo Akcydens, Poznań 1995.

Sudak Aleksander, *Paunisi, nieszczęśliwy lud Równin*, Tipi – Wielichowo, 1999.

Sweeney Edwin R., *Cochise Chiricahua Apache Chief*, University of Oklahoma Press, Norman 1991.

Teplicki Zbigniew, *Wielcy Indianie Ameryki Północnej*, Książka i Wiedza, Warszawa 1994.

Thrapp Dan L., *Encyclopedia of Frontier Biography*, A. Clark Co., Glendale 1988.

Utley M. Robert, *Siedzący Byk*, PIW, Warszawa 1998.

Vestal Stanley, *Jim Bridger, Mountain Man: A Biography*, University of Nebraska Press, Lincoln 1946.

West Elliot, *The Last Indian War: The Nez Perce Story*, Oxford University Press, Oxford 2009.

Wheeler S. Sessions, *The Desert Lake: The Story of the Nevada's Pyramid Lake*, The Caxton Printers Ltd., Caldwell, Idaho 1967.

Wood E.S. Charles, *The Pursuit and Capture of Chief Joseph*, Treasury of the West, New York 1998.

Yenne Bill, *The Encyclopedia of North American Indian Tribes*, Bison Books Ltd., London 1986.

[←1]

Kraina zwana Missouri leżała wówczas w granicach Luizjany, którą Francja po przegranej wojnie z Wielką Brytanią (1756–1763) odstąpiła swojej sojuszniczce Hiszpanii, żeby ziemie te nie dostały się w ręce Anglików.

[←2]

Daniel był szóstym z jedenaściorga dzieci w kwakierskiej rodzinie Boone’ów. Jego ojciec Squire (1696–1765), tkacz i kowal, przybył do Pensylwanii w 1713 r. z hrabstwa Devon w Anglii. W 1720 r. ożenił się z Sarą Morgan, pochodzącą z kwakierskiej rodziny z Walii, i osiadł w miejscowości Towamencin. W 1731 r. Boone’owie zbudowali swój pierwszy drewniany dom w dolinie Oley w dzisiejszym hrabstwie Berks. To tam właśnie urodził się Daniel.

[←3]

Oblicza się, że do roku 1810 przez przełęcz Cumberland przeszło do Kentucky i doliny Ohio 200–300 tys. ludzi.

[←4]

Pierwszy książę Cumberland (1721–1765) zasłynął jako zdolny wódz w czasie austriackiej wojny sukcesyjnej (1740–1748) oraz pogromca Szkotów w bitwie pod Culloden Moor (1746), która przypieczętowała los jakobitów i przyniosła mu przydomek Rzeźnik (*Butcher Cumberland*). W późniejszym okresie bez powodzenia brał udział w wojnie siedmioletniej (1756–1763) na terenie Niemiec. Jego imieniem nazwano wiele miejsc w angielskich koloniach w Ameryce Północnej.

[←5]

Nazwa Amity, czyli „przyjaźń”, świadczy o przyjaznym stosunku osadników do miejscowych Indian.

[←6]

Jefferson przyjął w Waszyngtonie delegację wodzów plemion Oto, Missouri, Arikara i Siuksów Yankton, którzy spotkali się z Lewisem i Clarkiem, prawie półtora roku później, 4 stycznia 1806 r.

[←7]

Siuksowie tworzyli konfederację, na którą składały się trzy odłamy plemienia: Santee (wschodni), Yankton (środkowy) i Teton (zachodni). Sami Siuksowie nazywali siebie *Dakota*, czyli „sprzymierzeni”. W dialekcie Santee nazwę tę wymawiano *Dakota*, w narzeczu Yankton – *Nakota*, a u Tetonów – *Lakota*.

[←8]

Podczas wizyty w Waszygtonie Ankedoucharo i kilku innych wodzów zmarło, o czym zawiadomiono Indian w 1807 r. Wywołało to podejrzenia o celowe uśmiercenie wodzów i było jednym z powodów wrogości Arikarów wobec Amerykanów nad Missouri.

[←9]

Przesyłka wysłana z fortu Mandan dotarła do Waszyngtonu 12 sierpnia 1805 r.

[←10]

Na cześć urzędującego sekretarza skarbu Alberta Gallatina, sekretarza stanu Jamesa Madisona i prezydenta Thomasa Jeffersona.

[←11]

W rzeczywistości początek rzece Missouri daje potok Hell Roaring Creek, wypływający z doliny Centennial.

[←12]

Lewis i Clark, nie wiedzieć czemu, w swoich dziennikach określali Indian Nez Percé jako „Chopunnish”. lest to prawdopodobnie zniekształcona forma wyrazu oznaczającego którąś z grup tego plemienia.

[←13]

Dziko rosnąca roślina bulwiasta z rodzaju *Cammasia*, z której bulw przyrządzano słodkie, pożywne danie.

[← 14]

Miejsce to leży około 50 km na północny zachód od charakterystycznego szczytu Mount Hood (3427 m n.p.m) w Górach Kaskadowych, w obecnym stanie Oregon.

[←15]

Późniejsze badania nad kulturą materialną Nez Percé wykazały, że plemię to bardzo chętnie używało motywów amerykańskiej flagi (pasów i gwiazd) do ozdabiania swoich wyrobów na znak szczególnie przyjaznych stosunków z Amerykanami od czasu spotkania z Lewisem i Clarkiem w latach 1805–1806.

[←16]

Towarzyszył m.in. księciu Maksymilianowi oraz znanemu szwajcarskiemu malarzowi Karlowi Bodmerowi, którzy gościli na Dzikim Zachodzie w 1833 r.

[←17]

Według niektórych źródeł kobietą, która zmarła w 1812 r. w forcie Manuel, była Kobieta Wydra, natomiast Sakakawea powróciła do kraju Szoszonów i zmarła w rezerwacie Wind River (Wyoming) w 1884 r. w wieku około 97 lat.

[←18]

Wartość nabytego terenu Pike oszacował na 200 tys. dolarów. Dopiero w 1819 r. wzniesiono w tym miejscu posterunek wojskowy o nazwie Fort Snelling.

[←19]

Wilkinsona podejrzewano o współpracę z byłym wiceprezydentem Aaronem Burrem, który najpierw wszedł w konszachty z Madrytem, a potem planował oderwać od Hiszpanii Meksyk i ogłosić się jego cesarzem. W 1807 r. Burra aresztowano i sądzono za zdradę, zdołał się jednak wybronić dzięki zawiłościom prawnym i uciec do Europy.

[←20]

Spory graniczne pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Hiszpanią zostały uregulowane dopiero w lutym 1819 r. traktatem Adamsa–Onisa (*Transcontinental Treaty 1819*). Za 5 mln dolarów Hiszpania scedowała na rzecz USA okupowaną przez Amerykanów Florydę i prawa do Oregonu, powyżej 42. równoleżnika, ale zatrzymywała Teksas na zachód od rzeki Sabine i inne sporne terytoria, w tym Kalifornię.

[←21]

W latach 1804–1806 z Santa Fe wysłano cztery ekspedycje wojskowe z zadaniem odnalezienia i aresztowania amerykańskich odkrywców badających Luizjanę. Wyprawa Malgaresa była czwartą z kolei i największą. W jej skład wchodziło 105 regularnych dragonów, 400 konnej milicji z Nowego Meksyku, 100 posiłkowych Indian oraz 2000 koni i jucznych mułów z zapasami na pół roku.

[←22]

Chociaż Pike nigdy nie postawił na nim stopy, na mapie z 1818 r. pojawił się on jako szczyt Pike’a (*Pike’s Peak*, 4300 m n.p.m.). Nazwę tę spopularyzował po 1844 r. słynny badacz Zachodu, John Charles Frémont.

[←23]

Z kolei Brytyjczycy po bitwie pod Bladensburgiem zajęli 24 sierpnia 1814 r. Waszyngton i w odwecie za podpalenie Yorku spalili wszystkie obiekty wojskowe i budynki rządowe, w tym siedzibę amerykańskiego Kongresu (Kapitol), a także rezydencję prezydencką – Biały Dom.

[←24]

Do wojny meksykańskiej (1846–1848) szlakiem Santa Fe wędrowała średnio jedna karawana rocznie, za każdym razem liczniejsza (od 26 wozów w 1824 r. do 230 w 1843 r.). Po zajęciu Nowego Meksyku przez Stany Zjednoczone ruch na szlaku znacznie wzrósł. Szlak ten był najdłużej użytkowany ze wszystkich szlaków na Zachód (do 1880 r.).

[←25]

Korzystając z przywileju, jaki dawało mu meksykańskie obywatelstwo, Wolfskill kupił ziemię w miejscu, gdzie dziś znajduje się centrum Los Angeles, i rozpoczął uprawę winorośli. Aż do swojej śmierci w 1866 r. był największym producentem wina w Kalifornii i jednym z trzech najbardziej zasłużonych ludzi dla kalifornijskiego rolnictwa ery meksykańskiej.

[←26]

Statek o nazwie „Tonquin”, dowodzony przez kapitana Jonathana Thorna, dotarł do ujścia Kolumbii w marcu 1811 r. Na przełomie maja i czerwca ludzie, którzy nim przybyli, ukończyli budowę faktorii w forcie Astoria. Potem „Tonquin” odbył wzdłuż wybrzeża rejs na północ, w czasie którego 15 czerwca doszło do starcia z wrogimi Indianami koło wyspy Vancouver. Załoga została zmasakrowana, a statek zniszczony. Ekspedycja lądowa pod wodzą Wilsona Hunta, która opuściła St. Louis w październiku 1810 r., dotarła po wielu trudach do wybrzeża Oregonu w styczniu i lutym 1812 r.

[←27]

Czarne Stopy nie zapomniały krwawego starcia z oddziałkiem Lewisa w 1806 r., Arikarowie zaś pamiętali o śmierci wodza Ankedoucharo w Waszyngtonie. We wrześniu 1807 r. zaatakowali przepływającą obok ich wiosek nad Missouri wyprawę Lisy i napadli na rządowego emisariusza Nathaniela Pryora, odwożącego wodza Mandanów Shahakę do jego domu w Dakocie Północnej. Następne kłopoty z tym plemieniem Lisa miał w sierpniu 1812 r.

[←28]

W ciągu pierwszych czterech lat istnienia Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych Ashley zarabiał około 50 tys. dolarów rocznie. Zwykle płacił traperom od 2 do 3 dolarów za funt (ok. 0,5 kg) skórek bobrowych, które sprzedawał następnie w St. Louis po 5 dolarów. Nawet po odjęciu kosztów transportu dawało mu to stały zysk 80–90 centów za funt skórek. Szacuje się, że w latach 1822–1826 jego zyski okupiło śmiercią od 27 do 60 ludzi.

[←29]

Ceny towarów oferowanych podczas *rendezvous* były niekiedy wyższe o 600 do 1500% od cen obowiązujących w St. Louis. Drastyczne ich zawyżanie przez spółkę Smitha, Jacksona i Sublette'a spowodowało interwencję niezależnych traperów, którzy doprowadzili do pojawienia się w górach rywalizującej z nią Amerykańskiej Kompanii Futrzarskiej.

[←30]

Wrogość Arikarów była spowodowana nieuczciwością białych handlarzy, zaopatrywaniem przez nich wrogich Arikarom Siuksów oraz zastrzeleniem w potyczce koło faktorii Cedar Fort w wielkim zakolu Missouri w marcu 1823 r. syna ich ważnego wodza Szare Oczy.

[←31]

Po raz pierwszy Przełęcz Południową odkryła w 1812 r. grupa pracowników Kompanii Futrzarskiej Pacyfiku, która pod przywództwem Roberta Stuarta powracała na wschód z Astorii. Ponownie odkryta przez amerykańskich traperów w 1824 r., przełęcz ta służyła jako główna droga zaopatrzeniowa dla „ludzi z gór” w okresie *rendezvous*. Pozbawiona stromych podejść i położona na wysokości zaledwie 2430 m n.p.m., stanowiła najdogodniejsze przejście przez kontynentalny dział wód. Po 1840 r. była jedynym dostępnym dla ciężkich wozów przejściem przez Góry Skaliste na szlaku Oregońskim.

[←32]

Imieniem Jacksona nazwano głęboką dolinę (*Jackson Hole*), a także jezioro (*Jackson Lake*) i miasto w Wyomingu *(Jackson*). David Jackson był stryjem słynnego generała Konfederacji, Thomasa „Stonewalla” Jacksona.

[←33]

Strzelby Hawkena produkowała słynna firma rusznikarska braci Jacoba i Samuela Hawkenów z St. Louis. Traperzy cenili je sobie ze względu na ich wytrzymałość, dobre wyważenie i celność. Dzięki tym zaletom szybko wyparły one z użycia zbyt delikatne i podatne na uszkodzenia popularne niegdyś strzelby z Pensylwanii. Mimo staromodnego mechanizmu skałkowego, który po 1821 r. zaczął być zastępowany zamkiem kapiszonowym, „ludzie z gór” uważali broń skałkową za pewniejszą i wygodniejszą od kapiszonowej.

[←34]

Fort Henry u ujścia Yellowstone do Missouri założyła grupa traperów Andrew Henry’ego w październiku 1822 r. jako bazę do handlu futrami na obszarze obejmującym dzisiejszą wschodnią Montanę, zachodnią część Dakoty Północnej i część Wyomingu. Placówka została opuszczona zaledwie rok później wskutek zagrożenia ze strony Indian i Kanadyjczyków.

[←35]

Historię Hugh Glassa spopularyzowała powieść *Lord Grizzly* Fredericka Manfreda. Najbardziej znaną ekranizacją przygód dzielnego trapera jest film *Człowiek w dziczy* z 1971 r., z Richardem Harrisem i Johnem Hustonem w rolach głównych. W najnowszej, nominowanej do nagrody Oscara, ekranizacji „Zjawa” z 2015 roku w roli Glassa wystąpił gwiazdor Hollywood Leonardo Di Caprio.

[←36]

Obecnie niektórzy badacze przyznają pierwszeństwo francuskiemu traperowi Étienne’owi Provostowi (1785–1850), działającemu na terenie Nowego Meksyku i w dorzeczu Green River, późniejszemu pracownikowi Amerykańskiej Kompanii Futrzarskiej Jacoba Astora.

[←37]

Taborowi Campbella towarzyszył także Benjamin Harrison, syn późniejszego prezydenta USA Williama Henry'ego Harrisona, dla którego podróż w Góry Skaliste miała być swoistym lekarstwem na chorobę alkoholową, częstą wówczas w wyższych sferach.

[←38]

Kraj w górze Missouri odwiedził również amerykański malarz George Catlin, podróżujący po Zachodzie w latach 1831–1839, autor wielu rysunków i ilustracji z życia północnych Indian, a potem także kanadyjski malarz Paul Kane, przebywający na Północnym Zachodzie w latach 1845–1848.

[←39]

Termin użyty po raz pierwszy przez dziennikarza Johna O’Sullivana w 1845 r. na uzasadnienie prawa Stanów Zjednoczonych do całego kontynentu północnoamerykańskiego. O’Sullivan twierdził, że prawo to wynika z *Manifest Destiny*, czyli „objawionego przeznaczenia, którym jest ekspansja i wzięcie w posiadanie całego kontynentu (...) danego nam przez Opatrzność po to, byśmy prowadzili tam wielki eksperyment wolności i federacyjnego samorządu, który nam powierzono”.

[←40]

Nazwa pochodzi od białej plandeki, która – rozpięta na wygiętych w łuk podporach – z daleka przypominała żagle okrętu. Wóz powszechnie używany przez osadników udających się na Zachód był doskonale przystosowany do jazdy po bezdrożach i przewozu ciężkiego ładunku. Zaprzęg stanowiło 4–6 koni, mułów lub wołów, które w dobrym terenie mogły pokonać 10 do 25 km dziennie (w zależności od rodzaju zaprzęgu).

[←41]

Fort Laramie swoją nazwę zawdzięczał rzece nazwanej od imienia trapera Jacques'a La Ramee, który zginął w jej pobliżu z rąk Indian w 1820 r. Mimo że w swojej historii nosił różne nazwy, potocznie zawsze mówiono o nim „Fort Laramie".

[←42]

*Księga Mormona, Świadectwo Proroka Josepha Smitha* s. nlb., Kościół Jezusa Chrystusa Świętych Dni Ostatnich, Salt Lake City, Utah 1981.

[←43]

W 1859 r. handlarz Louis Guinard wybudował w tym miejscu faktorię handlową Platte Bridge Station i stały most na Platte. Faktoria była także stacją dyliżansu, przystankiem poczty konnej Pony Express i biurem telegrafu. W 1862 r. placówkę Guinarda kupilo wojsko i w 1865 r. oficjalnie przemianowało ją na Fort Caspar. Fort został opuszczony w 1867 r.

[←44]

W 2013 r. mormoni stanowili ponad 62% blisko trzymilionowej ludności Utah i około 40% liczącego 1 mln 140 tys. mieszkańców Salt Lake City.

[←45]

Około 1850 r. liczba mustangów na preriach sięgała 2 mln sztuk.

[←46]

Eskadra Pacyfiku (*Pacific Squadron*), stanowiąca część floty USA, stacjonowała na Oceanie Spokojnym w XIX i na początku XX w., a jej głównym zadaniem była ochrona amerykańskiej żeglugi handlowej. Początkowo nie miała stałej bazy na terytorium Stanów Zjednoczonych, dlatego zaopatrzenie dostarczały jej statki transportowe, a żywność i wodę kupowała na Hawajach oraz w lokalnych portach na wybrzeżu Pacyfiku. Podczas wojny z Meksykiem 1846–1848 odegrała główną rolę w zdobyciu Górnej Kalifornii.

[←47]

Zbiegiem okoliczności w Teksasie doszło wówczas do pierwszych walk. 8 i 9 maja wojska gen. Zachary’ego Taylora pobiły armię meksykańską gen. Mariano Aristy w bitwach pod Palo Alto i Resaca de la Palma. 13 maja USA formalnie wypowiedziały wojnę Meksykowi, ale wiadomość o tym dotarła do Kalifornii dopiero na początku lipca.

[←48]

Symbolem amerykańskich kolonistów w Kalifornii była flaga z wizerunkiem niedźwiedzia grizzly na białym tle. Od 1850 r. pozostaje ona flagą stanu Kalifornia.

[←49]

San Diego ma niemal idealny klimat i piękne piaszczyste plaże o długości prawie 120 km. To właśnie o tej części kraju mówi słynna piosenka Alberta Hammonda z 1972 r. *It Never Rains in Southern California* (Nigdy nie pada w południowej Kalifornii).

[←50]

W szczytowym okresie Sutter zatrudniał na swoim ranczu, w warunkach półniewolniczych, 600 miejscowych Indian z plemion Miwok i Maidu, tzw. Indian misyjnych oraz Kanaków sprowadzonych z Hawajów. Uprawiał pszenicę, zajmował się także gorzelnictwem, produkcją kapeluszy i koców oraz garbowaniem skór. Jego posiadłości broniło 200 kalifornijskich Indian pod dowództwem niemieckojęzycznych oficerów.

[←51]

Od nazwy najwyższego szczytu w tej okolicy – Szczytu Pike’a, upamiętniającej por. Zebulona Pike’a, słynnego podróżnika, który w latach 1806–1807 badał graniczące z posiadłościami Hiszpanii obszary południowo-zachodniej części Luizjany, nabytej przez Stany Zjednoczone od Francji w 1803 r.

[←52]

Wyjechało wtedy z Kansas do Kolorado ponad 20 tys. ludzi.

[←53]

W tym czasie Stanami (*the States*) nazywano ziemie leżące na wschód od rzeki Missisipi, uważane za cywilizowaną część kraju.

[←54]

*Here lies the body of D.C. Oakes, killed for aiding the Pike's Peak hoax* (wolny przekład autora).

[←55]

Denver zostało stolicą Kolorado dopiero w 1867 r.

[←56]

W czasie wojny secesyjnej Custer doszedł do stopnia generała majora ochotników. Po wojnie był w armii regularnej zastępcą dowódcy 7. pułku kawalerii w randze podpułkownika. Poległ w słynnej bitwie z Indianami nad Little Bighorn 25 czerwca 1876 r., walcząc na czele tego pułku.

[←57]

Uważa się, że pierwszy wóz tego typu skonstruował Charles Goodnight w 1866 r., ale trudno to zweryfikować. Początkowo adaptowano do tego celu wozy farmerskie i wojskowe, później wyrabiano je już specjalnie. Jedną z firm specjalizujących się w produkcji wozów obozowych była firma Studebaker, słynna później z produkcji samochodów ciężarowych.

[←58]

Charakter pracy kowboja trafnie oddaje popularny przebój znanego duetu Sonny and Cher z 1972 r., zatytułowany *A cowboy's work is never done* (Praca kowboja nigdy się nie kończy).

[←59]

Do 1876 r., kiedy bizony zostały praktycznie wybite, z Dodge City wywieziono koleją ponad 1,5 mln skór oraz setki ton zbielałych kości, sprzedawanych przez miejscowych farmerów po 6–8 dolarów za tonę producentom porcelany i nawozów.

[←60]

Oficjalnie miasto założono w sierpniu 1872 r. jako Buffalo City, ale kiedy się okazało, że istnieje już miejscowość o tej nazwie, przemianowano je na Dodge City, od pobliskiej placówki wojskowej w forcie Dodge, dla której stało się cywilnym zapleczem.

[←61]

Najsłynniejszym konfliktem była tzw. wojna w okręgu Johnson w Wyomingu (1892). Oficjalnie wielcy hodowcy zrzeszeni we wpływowej Wyoming Stock Growers Association próbowali drastycznymi metodami (m.in. przy pomocy wynajętych płatnych zabójców) zlikwidować narastający proceder kradzieży bydła, ale przy okazji zwalczali także drobnych hodowców i farmerów, w dużej części imigrantów niedawno przybyłych z Europy, którym odmawiano prawa osiedlania się na ziemi publicznej użytkowanej do wypasu bydła. Konflikt przybrał tak ostry charakter, że na prośbę gubernatora Wyomingu do jego uśmierzenia sprowadzono wojsko.

[←62]

W pierwszej przesłanej wiadomości zapewniono prezydenta Lincolna o lojalności Kalifornii wobec Unii.

[←63]

Mimo że rozwój kolei położył ostatecznie kres liniom dyliżansowym i transportowym, Wells, Fargo & Company przetrwała zmiany i dostosowała się do nowej sytuacji. Funkcjonuje do dziś.

[←64]

Pierwszym prezydentem Sacramento Valley Railroad był William T. Sherman, późniejszy generał Unii w czasie wojny secesyjnej i naczelny dowódca armii Stanów Zjednoczonych (1869–1883).

[←65]

Najbardziej znany z nich, Leland Stanford, był gubernatorem stanu Kalifornia (1862–1863), senatorem USA z ramienia Partii Republikańskiej (1885–1893) i założycielem Uniwersytetu Stanforda w Kalifornii (1891). Huntington stał się potentatem kolejowym i finansowym na skalę krajową. Crocker przez krótki czas pełnił funkcję dyrektora Wells Fargo (1869), a potem został bankierem w San Francisco. Hopkins natomiast współtworzył Partię Republikańską w Kalifornii. Przeszedł do historii jako właściciel jednej z najwspanialszych rezydencji w San Francisco, która legła w gruzach podczas wielkiego trzęsienia ziemi w 1906 r.

[←66]

Wśród ponad 200 uczestników owej „wielkiej wycieczki” byli m.in.: syn prezydenta Lincolna Robert Todd Lincoln, konstruktor luksusowego wagonu sypialnego George Pullman oraz kongresmen z Ohio Rutherford Hayes, który 10 lat później został wybrany na 19. prezydenta w najbardziej kontrowersyjnych wyborach prezydenckich w historii USA.

[←67]

Od czerwca 1865 do marca 1869 r. Sherman w stopniu generała porucznika dowodził tzw. Dywizją Missisipi, przemianowaną w 1866 r. na Dywizję Missouri (*Military Division of the Missouri*) – wielkim okręgiem wojskowym z siedzibą w Chicago, obejmującym wszystkie ziemie pomiędzy rzeką Missisipi a Górami Skalistymi. Jego imieniem (*The General Sherman*) została później nazwana lokomotywa Union Pacific oznaczona numerem 1.

[←68]

1 sierpnia 1867 r. Czejenowie pod wodzą Cętkowanego Wilka jako jedni z nielicznych Indian wykoleili pociąg koło stacji Plum Creek (obecnie Lexington) w Nebrasce, 353 km na zachód od Omaha. Rozkręcili nocą szyny, a kiedy pociąg z nich wypadł, pozabijali wszystkich pasażerów i obsługę. Nie oszczędzili także robotników naprawiających w pobliżu linię telegraficzną. Po rozprawieniu się z białymi splądrowali i spalili wagony, po czym uciekli z bogatym łupem. Drugi udokumentowany przypadek ataku Indian na pociąg odnotowano 29 maja 1869 r. na linii Kansas Pacific koło Fossil Creek w Kansas. Czejenowie pod wodzą Wysokiego Byka zerwali 3 km torów, a gdy pociąg się wykoleił, zabili dwóch i ranili czterech ludzi z jego obsługi.

[←69]

1 marca 1867 r. sformowano batalion 200 pauniskich zwiadowców pod komendą mjr. Franka Northa. Podzieleni na 4 kompanie po 50 ludzi, mieli oni osłaniać budowniczych linii kolejowej Union Pacific. W sierpniu tego roku 40 zwiadowców z batalionu Paunisów, uzbrojonych w wielostrzałowe karabiny, podjęło pościg za Czejenami Cętkowanego Wilka, którzy parę dni wcześniej wykoleili pociąg koło stacji Plum Creek, po czym pokonało 100 Czejenów i Siuksów pod wodzą Nogi Indyka. Do 1870 r. zwiadowcy bez przerwy strzegli kolei i uczestniczyli we wszystkich kampaniach wojska przeciwko wrogim Indianom. W tymże roku wdzięczna dyrekcja Union Pacific postanowiła, że wszyscy Paunisi mogą jeździć za darmo jej pociągami po całej Nebrasce.

[←70]

W czasie kampanii prezydenckiej 1840 r. Harrison i jego kandydat na wiceprezydenta John Tyler używali hasła „Tippecanoe, a także Tyler” (*Tippecanoe and Tyler too*). Harrison został wybrany, ale po miesiącu urzędowania zmarł, co niektórzy tłumaczyli indiańską klątwą. Jego miejsce na fotelu prezydenckim automatycznie zajął Tyler.

[←71]

Domniemany zabójca Tecumseha, płk Richard Johnson, został dzięki temu wybrany w 1836 r. na wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych.

[←72]

Z ogólnej liczby 553 osób znajdujących się w forcie: żołnierzy, cywilów i murzyńskich niewolników, Indianie wyrżnęli około 350. Oprócz Murzynów, których oszczędzono, uratowało się tylko 36 białych.

[←73]

8 stycznia 1815 r. Jackson pokonał Brytyjczyków w bitwie pod Nowym Orleanem. Do bitwy tej doszło już po podpisaniu pokoju w Gandawie 24 grudnia 1814 r., o czym obie strony nie wiedziały. Zwycięstwo pod Nowym Orleanem rozpoczęło błyskotliwą karierę Jacksona, którą zwieńczyła prezydentura w latach 1829–1837.

[←74]

Prezydent James Monroe powołał Biuro do spraw Indian (*Bureau of Indian Affairs*) w Departamencie Wojny w 1824 r. Od 1832 r. na czele Biura stał wojskowy komisarz do spraw Indian w stopniu pułkownika, któremu w terenie podlegali inspektorzy stanowi (terytorialni) i agenci. Wszyscy agenci indiańscy zwyczajowo nosili honorowy stopień majora. W 1849 r. Biuro zostało przeniesione do nowego Departamentu Spraw Wewnętrznych.

[←75]

Alfabet Sekwoi składał się z 86 liter, oznaczających różne dźwięki z języka Czirokezów. Sekwoja przedstawił go starszyźnie plemiennej w 1819 r. W 1823 r. przełożył na język czirokeski fragment Biblii, czym zyskał sobie sympatię misjonarzy, którzy do tej pory chłodno traktowali jego wynalazek. W późniejszych latach próbował bez powodzenia stworzyć wspólny język i gramatykę indiańskich plemion. Od jego imienia pochodzi nazwa rosnących w Kalifornii drzew, najwyższych na kontynencie amerykańskim i jednych z najstarszych na Ziemi.

[←76]

Obecnie liczba Seminolów na Florydzie wynosi około 2000, z czego ponad 1300 żyje w sześciu rezerwatach. Od 1975 r., kiedy Indian zwolniono z podatków i zezwolono im na prowadzenie handlu wyrobami tytoniowymi oraz kasyn gry, Seminole stali się jednym z najbogatszych plemion indiańskich. W 2005 r. roczny dochód plemienia wyniósł ponad 1 mld dolarów. Seminole są w swoich rezerwatach nie tylko właścicielami kasyn, ale także hoteli, a od 2007 r. również słynnej sieci restauracji muzycznych „Hard Rock Cafe”.

[←77]

21 grudnia 1866 r. w bitwie z połączonymi siłami Siuksów, Czejenów i Arapahów koło fortu Phil Kearny (Wyoming), znanej jako „masakra Fettermana”, zginął cały 81-osobowy oddział kpt. Williama Fettermana, a 25 czerwca 1876 r. nad rzeką Little Bighorn (Montana) Siuksowie i Czejenowie doszczętnie zniszczyli część 7. pułku kawalerii dowodzonego przez ppłk. George’a Custera.

[←78]

Stosowanie białej flagi do oszukiwania Indian było częstą praktyką stosowaną przez wojsko podczas wojen z Seminolami na Florydzie. W ten m.in. sposób w 1837 r. schwytano wodza Seminolów Osceolę, który później zmarł w więzieniu wojskowym w forcie Moultrie (1838).

[←79]

Fort Pierre założył w 1832 r. jako faktorię handlową kupiec Pierre Chouteau. W kwietniu 1855 r. sprzedał go rządowi USA z przeznaczeniem na posterunek wojskowy za 45 tys. dolarów.

[←80]

James Ewell Brown Stuart (1833–1864), znany jako „Jeb” Stuart, w czasie wojny secesyjnej dowodził związkami kawalerii w Armii Północnej Wirginii na froncie wschodnim. Poległ 11 maja 1864 r. pod Yellow Tavern w Wirginii.

[←81]

Oblicza się, że w czasach historycznych na równinach Ameryki Północnej pasło się około 60 mln bizonów.

[←82]

Choroby przywleczone przez białych, zwłaszcza ospa, odra i cholera, były główną przyczyną drastycznego spadku populacji Indian. Epidemie ospy i cholery, rozprzestrzenione przez poszukiwaczy złota w latach 1849–1851, zredukowały liczbę Komanczów do 12 tys. Na cholerę zmarła także połowa Paunisów i wielu Kiowów. W mniejszym stopniu epidemie dotknęły Czejenów i Siuksów Teton.

[←83]

Jak wynika z badań, już około 1872 r. liczba bizonów zabitych tylko dla skóry przekraczała 1 mln sztuk rocznie.

[←84]

Siuksowie nazwali walkę z Fettermanem „bitwą stu zabitych”. Sami stracili w niej około 60 wojowników, mieli też wielu rannych.

[←85]

Custer, który w czasie wojny secesyjnej miał stopień generała ochotników, zasłynął jako jeden z najwybitniejszych dowódców kawalerii federalnej. Ambicja, szalona brawura, szczęście wojenne i odniesione zwycięstwa sprawiły, że stał się ulubieńcem Sheridana, który powierzał mu najtrudniejsze zadania. Po wojnie, w stopniu podpułkownika, dowodził w armii regularnej 7. pułkiem kawalerii, utworzonym specjalnie do ochrony linii kolejowej Union Pacific w Kansas.

[←86]

W grudniu 1868 r. Sheridan miał powiedzieć poddającemu się wodzowi Komanczów o imieniu Tosawi, który przedstawił się jako „dobry Indianin”, że „jedyni dobrzy Indianie, jakich kiedykolwiek widział, byli martwi”. Później jego słowa trochę zniekształcono i tak powstało słynne amerykańskie powiedzenie, że „dobry Indianin to martwy Indianin”.

[←87]

Według oficjalnej wersji sprawcą śmiertelnego zranienia wodza był wartownik, szeregowy William Gentles. Inna wersja głosi, że wodza przypadkowo zranił nożem w czasie szarpaniny jego dawny przyjaciel Mały Wielki Człowiek, który po zakończeniu działań wojennych został policjantem w rezerwacie Siuksów.

[←88]

Z okrzykiem „Geronimo!” skakali amerykańscy spadochroniarze w czasie inwazji na Normandię w czerwcu 1944 r. Kontrowersyjny kryptonim „Geronimo” nosiła też akcja komandosów, która doprowadziła do śmierci przywódcy terrorystów z Al-Khaidy, Osamy bin Ladena w 2013 r.

[←89]

8 października 1866 r. koło Seymour w Indianie banda braci Reno napadła na pociąg Towarzystwa Kolejowego Ohio i Missisipi i ze znajdującego się w nim sejfu skradła 16 tys. dolarów w złocie, srebrze i banknotach. Potem dokonała jeszcze trzech innych napadów na pociągi.

[←90]

Od 1921 r. Jesse James był bohaterem co najmniej 30 filmów fabularnych, a piosenki o nim śpiewały takie gwiazdy popkultury, jak: Johnny Cash, Bruce Springsteen, Bob Dylan, Ricky Nelson, Van Morrison, George Strait, Cher i Kate Bush.

[←91]

12 grudnia 1868 r. zamaskowana grupa około 65 rozjuszonych wigilantów wdarła się do więzienia w New Albany w Indianie, sterroryzowała szeryfa, a następnie powiesiła na więziennym korytarzu czterech członków słynnego gangu braci Reno: Franka, Billa i Simeona Reno oraz ich wspólnika, Charlesa Andersona.

[←92]

Spośród ponad 160 wyroków śmierci wydanych przez Parkera wykonano 80, ponieważ Sąd Najwyższy uznał, że sędzia jest zbyt surowy i samowolny, i od 1889 r. zaczął uchylać jego wyroki.

[←93]

W 1896 r. Bean Roy zorganizował walkę o mistrzostwo świata w boksie na wyspie położonej na rzece Rio Grande, ponieważ walki bokserskie były zabronione zarówno w USA, jak i w Meksyku. Walka trwała tylko 95 sekund, ale doniesienia sportowe z pojedynku rozsławiły Roya w całych Stanach Zjednoczonych.

[←94]

Prawdopodobnie McCall działał na zlecenie przedstawicieli świata przestępczego Deadwood, którzy obawiali się, że uczciwi obywatele przy pomocy Hickoka zrobią z nimi porządek. Mordercę Dzikiego Billa aresztowano dopiero kilka tygodni po zabójstwie. Skazano go na karę śmierci i powieszono w Yankon na Terytorium Dakoty 1 marca 1877 r.

[←95]

Według innej wersji, opartej częściowo na wyjaśnieniach Garretta, broń dostarczył Kidowi jeden z jego meksykańskich przyjaciół, który ukrył rewolwer w wychodku na podwórzu.

[←96]

Pat Garrett zastrzelił Kida ze swojej ulubionej broni, kolta typu Frontier kal. 0,44 z lufą długości 19 cm i zwykłym drewnianym uchwytem rękojeści.

[←97]

Popularny mit o 21 ofiarach Kida rozpowszechnił Frank Hall w 1891 r., a następnie podchwycił go Emerson Hough, autor popularnych opowieści